



ALICJA I LUSTRO ZOMBI

GENA SHOWALTER



Dziwniej i dziwniej!

Gena Showalter

**ALICJA I LUSTRO
ZOMBI**

Tłumaczenie:

Jan Kabat

Dla trzech jasnych światel mojego życia –
Shane’a, Sionny i Michelle.

„Granica między dobrem a złem przecina serce
każdego człowieka”.
Aleksander Solżenicyn

Od Alicji

Od czego powinnam zacząć?

Od parodii? Od rozpacz?

Nie. Nie chcę zaczynać od tego, gdzie w tej chwili jestem.

I nie chcę też na tym zakończyć.

Zaczniemy od czegoś innego. Od prawdy. Wszystko, co nas otacza, zmienia się nieubłaganie. Dzisiaj jest zimno. Jutro nadejdzie upał. Kwiaty rozkwitają, potem więdną. Tych, których kochamy, możemy pewnego dnia znienawidzić. A życie... Życie wydaje się w jednej chwili doskonałe, a w drugiej wali się w gruzy. Doświadczylam tego na własnej skórze, gdy moi rodzice i ukochana siostra zginęli w wypadku samochodowym; zdruzgotało to każdą cząstkę mojego serca.

Próbowałam za wszelką cenę się pozbierać, ale - tik-tak. Kolejna zmiana.

Zmiana, która kosztowała mnie wszystko.

Szacunek przyjaciół. Nowy dom. Cel życiowy. Dumę.

Mojego chłopaka.

I to wszystko z mojej winy. Nie mogę zrzucić odpowiedzialności na nikogo innego.

Jeden błąd pociąga za sobą tysiąc innych.

Wiedziałam, że potwory istnieją. Zombi. Wiedziałam, że nie są bezrozumnymi istotami, wbrew temu, jak przedstawia się je w filmach albo w książkach. Istnieją w postaci duchowej, niewidoczne dla niewtajemniczonych. Są szybkie, zdeterminowane i chwilami przebiegłe. Spragnione życiodajnego źródła.

Wiem, wiem. To śmiechu warte, prawda? Niewidzialne istoty, gotowe żerować na ludziach? Żarty. Ale to prawda. Wiem, ponieważ stałam się dla nich głównym daniem i podsunęłam im na deser swoich przyjaciół.

Teraz walczę nie tylko z zombi. Walczę o ocalenie życia, które pokochałam.

Odniosę zwycięstwo.

Tik-tak.

Już czas.

Zacząć od początku

Coraz częściej śniłam o wypadku, w którym zginęli rodzice i młodsza siostra. Przeżywałam na nowo ten moment, kiedy nasz samochód koziółkował. Dźwięk metalu zgrzytającego o asfalt. Bezruch, kiedy już było po wszystkim i tylko ja zachowałam przytomność... i być może życie.

Próbowałam rozpaczliwie uwolnić się od pasa, chcąc za wszelką cenę pomóc małej Emmie. Jej głowa była wykręcona pod dziwacznym kątem. Policzek mojej matki wyglądał niczym przecięta nożem szynka bożonarodzeniowa, a ciało ojca zostało wyrzucone z samochodu. Panika ogłupiła mnie całkowicie; uderzyłam głową o ostry kawałek metalu. A potem pochłonęła mnie ciemność.

Widziałam jednak w snach, jak matka unosi powieki. W pierwszej chwili była zdezorientowana. Jęczała z bólu i próbowała zrozumieć cokolwiek z tego chaosu, który ją otaczał.

W przeciwieństwie do mnie, nie miała problemu z pasem; uwolniła się z niego i odwróciła; jej spojrzenie spoczęło na Emmie. Po policzkach zaczęły płynąć łzy.

Popatrzyła na mnie i westchnęła, potem wyciągnęła rękę, a jej drżąca dłoń spoczęła na moim kolanie. Odniosłam wrażenie, że przepływa przeze mnie strumień ciepła, dodając mi sił.

- Alicjo! - zawołała, potrząsając mną. - Ocknij się...

Usiadłam gwałtownie.

Dyszząc, zлана potem, rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam ściany pokryte kością słoniową i złotem, pomalowane w koliste wzory. Zabytkową komodę. Puszysty biały chodnik na podłodze. Mahoniowy stolik nocny z lampą od Tiffany'ego, stojącą obok zdjęcia mojego chłopaka, Cole'a.

Znajdowałam się w swojej nowej sypialni. Bezpieczna.

Sama.

Serce waliło mi o żebra, jakby chciało się uwolnić z piersi. Stłumiłam w sobie wspomnienie koszmaru sennego i przesunęłam się na brzeg łóżka, żeby wyrzeć przez wielkie wykuszowe okno i odzyskać poczucie spokoju. Pomimo wspaniałości widoku - ogrodu pełnego jasnych, bujnych kwiatów, które

zdołały jakimś cudem rozkwitnąć w chłodnej październikowej pogodzie - poczułam ucisk w żołądku. Noc trwała w najlepsze, a wraz z nią lęki.

Mgła, która zbierała się od wielu godzin na horyzoncie, w końcu zaczęła się rozlewać, podpełzając coraz bliżej okna. Księżyc, okrągły i pełny, płonął oranżem i czerwienią, jakby jego powierzchnia została zraniona i teraz krwawiła.

Wszystko było możliwe.

Zombi wyszły tej nocy na łowy.

Moi przyjaciele też byli gdzieś w ciemności i walczyli z tymi istotami. Nienawidziłam się za to, że zasnąłam w takim momencie. A jeśli jakiś łowca potrzebował mojej pomocy? Wzywał mnie?

Kogo chciałam oszukać? Nikt by mnie nie wezwał, bez względu na to, jak bardzo byłabym potrzebna.

Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju, przeklinając obrażenia i kontuzje, z powodu których tu tkwiłam. Pocięto mnie kilka tygodni temu od biodra do biodra. I co? Usunięto mi już szwy, a ciało zablizniało się z wolna.

Może powinnam się uzbroić i wyruszyć. Wolałabym ocalić kogoś, kogo kocham, i narazić się na kolejną śmiertelną ranę, niż nic nie robić

i trzymać się z dala od niebezpieczeństwa. Ale... nie wiedziałam, dokąd wybrała się grupa, poza tym, gdybym zdołała ją wytropić, Cole by się przestraszył. Mogłabym go zdekcentrować.

Dekoncentracja zabijała.

Do diabła. Postanowiłam, że zrobię, co mi kazano, i będę czekać.

Minuty rozciągały się w godziny, kiedy tak krążyłam po sypialni, a poczucie niepokoju narastało z każdą upływającą sekundą. Czy wszyscy wrócą żywi? Tylko w ciągu ostatnich kilku miesięcy straciliśmy dwóch zabójców. Nikt z nas nie był przygotowany na to, by stracić następnego.

Usłyszałam skrzypienie zawiasów w drzwiach.

Cole wśliznął się do pokoju i przekręcił klucz w zamku, żeby nikt nas nie zaskoczył. Ulga stępiła ostrze niepokoju; zadrżałam.

Był tu. Cały i zdrowy.

Mój.

Spojrzał na mnie, a ja poczułam dreszcz, czekając na wizję, pragnąc jej.

Od dnia, w którym się poznaliśmy, gdy tylko nasze oczy spotykały się po raz pierwszy, zdarzało się nam widzieć przelotnie przyszłość. Widzieliśmy, jak się całujemy, walczymy z zombi, a nawet tańczymy. Teraz jednak, jak niemal

codziennie od chwili, gdy zostałam ranna, doznałam jedynie przygniatającego rozczarowania.

Dlaczego wizje ustały?

W głębi serca podejrzewałam, że jedno z nas wzniosło wokół siebie coś w rodzaju emocjonalnego muru - i wiedziałam, że to nie ja.

Byłam nim zbyt oczarowana.

Zawsze przyciągał uwagę każdej dziewczyny w promieniu dziesięciu kilometrów. Choć miał zaledwie siedemnaście lat, wydawał się znacznie starszy. Odznaczał się ogromnym doświadczeniem na polu walki i od wczesnego dzieciństwa brał udział w wojnie ludzi z zombi. Miał też doświadczenie, jeśli chodzi o dziewczyny. Może zbyt dużo doświadczenia. Wiedział, co powiedzieć, jak dotknąć, a my się dosłownie roztopiałyśmy. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego. I przypuszczałam, że nigdy więcej nie spotkam.

Był cały ubrany na czarno, niczym nocny duch. Atramentowe włosy poprzetykane liśćmi i gałązkami sterczały sztywno na wszystkie strony. Nie umył sobie nawet twarzy; policzki miał pokryte smugami czarnej farby, brudu i krwi.

Tak cholernie pociągający.

Fioletowe oczy, prawie nieziemskie w swojej nieskazitelnej czystości, zniknęły pod powiekami,

a wargi zacisnęły się w twardą, pełną udręki linię. Znałam go. To oblicze mówiło: spalimy cały świat do gołej ziemi i będzie w porządku.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku, Ali?

Zignorowałam pytanie i ostrość tonu, tłumacząc sobie, że jedno i drugie wynika z głębokiej troski.

- O co chodzi? - ja z kolei spytałam. - Co się wydarzyło?

Zaczął się w milczeniu rozbrajać, pozbywając się sztyletów, broni palnej, magazynków z amunicją i ulubionego sprzętu - kuszy. Najpierw zjawiał się u mnie, jak sobie uświadomiłam, nie wstępując nawet do domu.

- Zostałeś ugryziony? - spytałam. Cierpiał? Ugryzienia zombi zostawiały po sobie palącą toksynę. Owszem, mieliśmy antidotum, ale proces odtruwania zawsze był bolesny.

- Widziałem Hauna - odparł w końcu.

O, nie.

- Tak mi przykro, Cole.

Jakiś czas temu Haun zginął w walce z zombi. To, że Cole go znów zobaczył, mogło oznaczać tylko jedno. Haun wstał z grobu jako nieprzyjaciel.

- Podejrzewałem, że tak się stanie, ale nie byłem na to przygotowany, kiedy już się stało. - Teraz zdjął koszulę.

Widok jego ciała zapierał mi dech w piersiach i teraz też nie było inaczej. Chłonełam go dosłownie - cudownie nieprzyzwoity kolczyk w sutku, szeroką pierś i płaski brzuch pokryty mnóstwem tatuaży. Każdy wzór, każde słowo coś dla niego znaczyły - począwszy od imion przyjaciół, których stracił na wojnie, a skończywszy na wizerunku kosi, nieodłącznego rekwizytu posępnego żniwiarza, czyli śmierci. Bo tym właśnie był. Zabójcą zombi.

A także bardzo złym chłopakiem - niebezpiecznym facetem, takim, którego nawet potwory boją się znaleźć w swojej szafie.

I zbliżał się teraz do mnie. Wibrowałam niespokojnym oczekiwaniem, pewna, że weźmie mnie w ramiona. On jednak osunął się na łóżko i ukrył twarz w dłoniach.

- Spopielilem go dziś wieczorem. Wykończyłem raz na zawsze.

- Przykro mi. - Usiadłam obok niego i przesunęłam palcami po jego udzie. Wiedziałam, że on też to pojmuje - że wcale nie zabił Hauna, a nawet jego ducha. Istota, z którą walczył, pozbawiona była wspomnień i osobowości Hauna. Miała jego twarz i nic więcej. Ciało stanowiło jedynie skorupę wiecznego głodu i zła. - Nie miałeś wyjścia.

Gdybyś pozwolił mu odejść, wróciłby po ciebie i twoich przyjaciół i zrobił wszystko, by nas zniszczyć.

- Wiem, ale nie jest mi przez to łatwiej. - Westchnął.

Przyjrzałam mu się z uwagą. Miał na rękach, piersi i brzuchu zaognione cięcia. Zombi były duchami, źródłem życia - lub życia pośmiertnego w ich przypadku - i mogły być zwalczane tylko przez inne duchy. Tak więc, by tego dokonać, musieliśmy uwalniać się od swoich ciał, tak jak dłoń uwalnia się od rękawiczki. Mimo to, choć zostawialiśmy je zastygłe bez ruchu w jakimś miejscu, jedno i drugie, duch i ciało, wciąż łączyła nierozzerwalna więź. Jeśli jedno odnosiło rany, odnosiło je też drugie.

Poczłapałam do łazienki, zmoczyłam kilka myjek i wzięłam tubkę kremu z antybiotykiem.

- Jutro znowu zacznę się szkolić - oznajmiłam zdecydowanie, opatrując go. Zaskoczyło to nas oboje.

Popatrzył na mnie gniewnie spod gęstych czarnych rzęs; można by pomyśleć, że malował sobie oczy.

- Jutro jest Halloween. Wszyscy mamy wolny dzień i wolną noc. Tak przy okazji, zabieram cię do

klubu na bal kostiumowy. Myślę, że najlepiej będzie odgrywać ofiary koszmarnych obrażeń, czyli niegrzecznego pielęgniarza i niegrzeczną pacjentkę.

Moje pierwsze wyjście z domu od tygodni i od razu randka z Cole'em. *Tak, tak!*

- Przemienisz się w naprawdę seksownego pielęgniarza.

- Wiem - odparł bez mrugnięcia. - Zaczekaj tylko, aż zobaczysz mój kostium. „Nieprzyzwoity” to mało powiedziane. A ty oczywiście będziesz wymagała kąpieli. I gąbki.

Nie śmieję się.

- Obiecanki, cacanki - rzuciłam, a potem przybrałam poważniejszy ton. - Ale ani razu nie wspomniałam o łowach. - Wiedziałam, że na ulicach pojawi się mnóstwo ludzi, wielu przebranych za zombi. Trudno będzie odróżnić na pierwszy rzut oka oryginał od podróbki. - Mówiłam tylko o szkoleniu. Zamierzasz pracować jutro rano, prawda?

Zawsze tak było. Zignorował moje pytanie, oznajmiając:

- Nie jesteś gotowa.

- Nie, to ty nie jesteś gotowy na to, że ja jestem gotowa, ale tak właśnie jest, czy ci się to podoba, czy nie.

Popatrzył na mnie wilkiem, mroczny i niebezpieczny.

- Czyżby?

- Tak - odparłam zdecydowanie. Niewielu ludzi sprzeciwiało się Cole'owi Hollandowi. Wszyscy w naszej szkole uważali go za pełnokrwistego drapieżnika, bardziej zwierzęcego niż ludzkiego. Dzikiego. Groźnego.

Nie mylili się.

Cole nie zawahałby się rozedrzeć kogoś na strzępy - kogokolwiek - za najdrobniejszą zniewagę. Prócz mnie. Mogłam robić, co chciałam, mówić, co chciałam, a on był oczarowany. Nawet gdy patrzył spode łba. Nie nawykłam do sprawowania nad kimś władzy, wciąż wydawało się to dziwne, ale skłamałabym, gdybym twierdziła, że mi się to nie podoba.

- Dwa problemy z twoim planem - oznajmił. - Pierwszy polega na tym, że nie masz klucza do siłowni. Drugi polega na tym, że twój instruktor stanie się nagle nieosiągalny. Jest to niezwykle prawdopodobne.

Ponieważ to on był moim instruktorem, uznałam jego słowa za łagodną groźbę i westchnęłam.

Kiedy po raz pierwszy przyłączyłam się do jego grupy, rzucił mnie w wir walki bez wahania. Myślę, że bardziej wierzył w swoją zdolność zapewnienia mi ochrony przed jakimkolwiek zagrożeniem niż w moje umiejętności.

Potem udowodniłam, że je posiadam, a on się wycofał.

A potem niechcący mnie zranił.

Tak. Właśnie on. Celował w zombi, który próbował go ugryźć; pospieszyłam mu z pomocą i spopieliłam jedyną istotę, która chroniła mnie przed jego ciosem. Cole jeszcze sobie tego nie wybaczył.

Może dlatego wzniósł ten emocjonalny mur między nami.

Może potrzebował czegoś, co by mu przypominało, jaka potrafię być przebiegła.

- Cole - powiedziałam chrapliwie, mrużąc oczy.

- Tak, Ali?

- Popatrz.

Uśmiechnęłam się, z wolna obejmując dłońmi kostki jego stóp, a potem szarpnęłam energicznie. Zsunął się z łóżka i rąbnął o podłogę.

- Co, u diabła?!

Skoczyłam na niego i przygwoździłam mu rami-
ona kolanami. Gwałtowny ruch sprawił, że blizna
na brzuchu zapulsowała nagle, ale stłumiłam
grymas bólu kolejnym uśmiechem.

- I co teraz, panie Holland?

Przyglądał mi się z uwagą, rozbawienie przyciem-
niło mu tęczęwki.

- Chyba podoba mi się to, co widzę. - Chwyił
mnie w talii i ścisnął lekko, by się upewnić, że
skupiam na nim całą uwagę. - Z tej perspektywy
mogę dostrzec twoje...

Tłumiąc śmiech, zamachnęłam się na niego.

- Szorty - dokończył, chwytając mnie za dłoń,
zanim dotarła do celu. Nie miałam szans się wys-
wobodzić. Przewrócił mnie na plecy, przytrzymał
mi ręce ponad głową i unieruchomił.

Przebiegły zabójca.

- I co teraz zrobisz, panno Bell?

Pozostać w tej pozycji i cieszyć się nią?
Wdychałam jego zapach - sosna i mydło. Słyszałam
nasze oddechy, które się mieszały. Czułam żar
i twardość jego ciała, które na mnie napierało.

- A co byś chciał? - Napotkałam jego spojrzenie,
a otaczające nas powietrze zgęstniało nagle, jakby
naładowane elektrycznością.

Dotknie mnie?

Pragnęłam, by mnie dotknął.

- Nie jesteś gotowa na to, czego od ciebie chcę. - Przyglądał mi się badawczo, wsuwając jednocześnie między nasze ciała dłoń, co zaprzeczało jego słowom... *Proszę, proszę...* W końcu zaczął podciągać z wolna brzeg mojej bluzki powyżej pępka, odsłaniając każdy centymetr pokiereszowanego brzucha.

Przesuwał po mnie wzrokiem, a ja poczułam dreszcze. Do diabła, drżałam cała, od stóp do głów. Zsuwał się niżej, coraz niżej, potem dotknął ustami jednego końca mojej rany, potem drugiego; jęknęłam bezwiednie.

Błagam! Jeszcze!

Chwila jednak przeminęła, potem druga, a on przyjął poprzednią pozycję, doprowadzając mnie do szalu swoją bliskością, ale nie robiąc nic, co uwolniłoby mnie od napięcia, które we mnie narastało.

- Jeszcze tydzień odpoczynku - powiedział, napinając mięśnie szczęki. Jakby zmuszał się do wypowiedzenia tych słów. - Polecenie lekarza.

Pokręciłam głową.

- Poproszę Bronxa i Szrona, żeby mnie szkolili.

Zmrużył oczy, które zmieniły się w wąziutkie szparki.

- Odmówią. Dopilnuję tego.

- Może z początku. - Akurat. Wszyscy postępowali zawsze według jego zasad. Nawet inne samce alfa rozpoznawały w nim większego, groźniejszego drapieżnika. - Dysponuję jednak sekretną bronią.

Uniósł brwi.

- To znaczy?

- Na pewno chcesz wiedzieć? - spytałam, ocierając się kolanami o jego biodra.

- Tak. Powiedz mi. - W jego głosie zadźwięczał niski, szorstki ton.

Przesunęłam kolana wyżej, jeszcze wyżej, a on znieruchomiał całkowicie, czekając, co zrobię dalej. Miałam dwie możliwości do wyboru. Spróbować go uwieść - zważywszy na to, jak na mnie patrzy, może uda mi się tym razem - albo udowodnić, że niełatwo mnie rzucić na deski.

Czasem nienawidziłam tych swoich priorytetów.

Oparłam stopy na jego ramionach i pchnęłam go z całej siły. Poleciał do tyłu i wylądował na podłodze.

- Ćwiczyć z tobą? Nic z tego nie wyjdzie - zamruczałam.

Rozbawiony, nie ruszył się z miejsca, tylko ujął mnie za nogę i złożył pocałunek na kostce.

- Jestem chyba zdrowo stuknięty, skoro lubię, kiedy mnie tak traktujesz.

Poczułam na policzkach gorący rumieniec.

- Czuję się jak he-woman.

Znowu się roześmiał. Och, cóż to był za piękny dźwięk! Zwłaszcza że Cole bywał ostatnio taki ponury.

- Lubię też, kiedy się czerwienisz.

- No cóż. Będę prześladować Szrona i Bronxa, dopóki się nie zgodzą. - Najwidoczniej moja wścib-ska osobowość nie każdemu wydawała się czarująca. I bądź tu mądry. - Będą tak poirytowani swoim brakiem hartu ducha, że zaczną mną rzucać jak kawałkiem mięsa.

- Nabawisz się siniaków, które będę musiał całować, żebyś poczuła się lepiej. Jeśli masz jakiś problem, to znajdź rozwiązanie.

Stłumiłam śmiech, starając się zachować surową minę.

- Pozwolę ci się całować, jeśli siniak znajdzie się na tyłku.

- Hm. Perwersyjne. To plan, na który mogę przystać, szczególnie że ten tyłek mi się podoba.

Prowokacja!

- Cole - powiedziałam z nadąsaną miną. - Nie możesz flirtować ze mną w ten sposób, a potem nic nie robić.

- Och, zrobię coś. - W jego głosie znów zabrzmiał ten szorstki, niski ton. Jego spojrzenie spoczęło na moich ustach. - Kiedy już całkowicie wyzdrowiejesz.

No tak, kolejne siedem dni w roli porcelanowej lalki. Nie jęcz.

- Pan Ankh już dawno kazałby mi wstać z łóżka, gdyby nie twoje protesty. - Usiadłam i przesunęłam palcami po jego włosach. - Już mi lepiej, przysięgam!

- Nie, dopiero ku temu zmierzasz. Ale jeśli zaczniesz trenować, mogłoby to pogorszyć sytuację. Poza tym jesteś moja, Ali-gatorze, i bardzo dla mnie cenna. Chcę, żeby ci się polepszyło. Bardzo. Poza tym owszem, nie podoba mi się myśl, że moi przyjaciele mogliby cię dotykać.

Ali-gator? Naprawdę? Chyba wolałabym jakieś inne określenie, nie wiem, może ciasteczko. Wszystko było lepsze niż porównanie do przerośniętej jaszczurki, prawda?

I nazwał mnie właśnie „swoją”?

Widzicie? Roztapiam się...

- Bronx durzy się sekretnie w Reeve, a Szron ma fioła na punkcie Kat. Niczego by nie próbowali.

Prawdę mówiąc, przed Cole'em żaden chłopak niczego ze mną nie próbował. Nie miałam pojęcia, dlaczego działałam na niego tak nieodparcie.

- Nieważne - odparł, nachylając się, by musnąć ustami moją szyję. - Wyślę swoich chłopców do szpitala, jeśli się do ciebie zbliżą. Nie lubię się dzielić z nikim swoimi zabawkami.

Omam nie prychnęłam.

- Jeśli ktoś jeszcze raz nazwie mnie zabawką, wypruję mu flaki.

- W porządku, przyjąłem do wiadomości. Poza tym, Ali, chciałbym, żebyś mnie nazywała czymś swoim, zwłaszcza zabawką. Naprawdę pragnę, żebyś się mną bawiła.

Okay, przyznaję, prychnęłam. Niejasny sygnał.

- Udowodnij to, Cole'u Hollandzie.

Jego reakcja? Jęk.

Westchnęłam. Nie było w tym nic niejasnego, prawda?

- Wracając do bezwzględnych metod, które zamierzasz stosować... - Nie miałam wątpliwości, że potrafi wysyłać ludzi do szpitala - robił to już wcześniej - ale przyjaciół? Nigdy. Już otwierałam usta, żeby mu to powiedzieć, ale tylko sapnęłam.

Ukąsił lekko moje ramię, a mnie przeszło ostrze najdoskonalszej przyjemności. – Cole...

– Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem ci udowodnić swoją bezwzględność.

– Nie przerywaj – powiedziałam chrapliwie. – Nie tym razem.

– Ali. – Znowu jęk. – Zabijasz mnie.

Wziął mnie w ramiona i położył delikatnie na łóżku. Wyciągnął się obok, ale mnie nie przytulił.

Stłumiłam krzyk niezadowolenia i frustracji. Nie wiedziałam, czy karze samego siebie za to, co mi zrobił, czy też naprawdę boi się, że wyrządzi mi krzywdę. Wiedziałam natomiast jedno: tęskniłam za jego dotykiem i smakiem.

Odwróciłam się i oparłam mu głowę na ramieniu. Skórę miał ciepłą i zaskakująco miękką, kiedy zataczałam palcem kółka wokół kolczyka w sutku. Niegrzeczna Ali.

Cwana Ali. Jego serce załomotało szybszym rytmem, wprawiając mnie w zachwyt.

Rozczarowana Ali. Nie poruszył się; był tutaj, ale tak daleko ode mnie.

– Kiedy ci się polepszy – oznajmił w końcu.

Potrafił się oprzeć mojemu urokowi, co wcale mi nie pochlebiało.

- Nie potrafiłbym sobie wybaczyć, gdybym skrzywdził cię jeszcze bardziej - dodał, a ja wyzbyłam się wszelkiego gniewu.

Ta troska o mnie bardzo mi się podobała.

- Posłuchaj, muszę wam jakoś pomóc, King Cole.
- Gdy tylko ten epitet padł z moich ust, wiedziałam, że to błąd. I że on potraktuje go zbyt dosłownie. - Nieróbstwo mnie wykańcza.

Odetchnął ciężko.

- W porządku. Okay. Możesz przyjść jutro rano do siłowni. Przekonamy się, jak sobie radzisz.

Pocałowałam go w brodę, a krótki zarost, który sobie wyhodował, połaskotał mnie w usta.

- To urocze. No wiesz. Że uznałeś, że proszę o pozwolenie.

- Dziękuję, Cole - mruknął. Ujął mnie za kark, przyciągając moją głowę. - Chcę się tylko tobą opiekować.

- I będziesz się opiekował... dopóki zdołasz trzymać ostrza na wodzy.

Pociemniały mu oczy.

- To nie jest zabawne.

- Co? Za wcześniej? Nie można jeszcze żartować o tym, że otarłam się o śmierć, a ty miałeś w tym swój udział?

- Prawdopodobnie nigdy.

Uszczypnęłam go żartobliwie w brodę.

- Okay. - Litując się nad nim, zmieniałam temat. - Powiesz mi wreszcie, co się wydarzyło w ciągu tych paru minionych tygodni? - Polecenie szefa. Nie mówimy o sprawach zawodowych. - Jak widzisz, potrafię wysłuchać ze spokojem złych wiadomości.

- Tak. No dobrze - odparł z widoczną ulgą. - Kat i Szron znowu się rozstali.

Odnotowałam sobie w pamięci, żeby skontaktować się z nią z samego rana.

- Poza tym zniknęła siostra Justina.

Justin Silverstone był kiedyś zabójcą zombi. Potem jego bliźniacza siostra, Jaclyn, przekonała go, by zmienił front i przyłączył się do Anima Industries, czyli kombinezonów, jak ich nazywaliśmy. Przetrzymywali zombi, żeby prowadzić na nich badania, i zamierzali wykorzystywać je w charakterze broni, nie zważając na niewinne ofiary, które przy okazji traciły życie.

- Pewnie uciekła, bojąc się, że ją dopadniemy - powiedziałam. Razem ze swoimi ludźmi wysadziła dom moich dziadków. Byłam jej winna rewanz.

Cole skinął głową.

- Jest jeszcze kwestia moich poszukiwań. Potrzebujemy więcej zabójców. Wiem, że po świecie

chodzą młodzi ludzie, tak samo zagubieni jak niegdyś ty, nie wiedząc, dlaczego widzą potwory, których nikt inny nie potrafi dostrzec. I nie mają pojęcia, co z tym zrobić.

- Jacyś kandydaci?

- Jeszcze nie, ale z Georgii przyjeżdża dwóch zabójców, żeby nam pomóc, dopóki nie odbudujemy zespołu.

Przez jakiś czas sądziłam, że problem zombi istnieje tylko w moim rodzinnym stanie Alabama. Później się dowiedziałam, że jest inaczej. Zombi można było znaleźć na całym świecie. Tak jak i ich zabójców.

- Należało mi o tym powiedzieć już dawno temu. Potrafisz być utrapieniem, Coleslaw - odparłam. No już, lepiej, ale i tym razem przydomek nie zaliczał się do pierwszej klasy.

- Wiem, ale jestem wyłącznie twoim utrapieniem.

Moja irytacja ulotniła się, ot tak sobie. Jak on to robił?

- Pan Ankh wie, że tu jesteś?

Od śmierci dziadka i zniszczenia domu babci obie mieszkałyśmy u pana Ankha i jego córki Reeve. Pan Ankh - doktor Ankh dla każdego spoza kręgu wtajemniczonych - wiedział o zombi i niósł zabójcom pomoc medyczną. Reeve nie wiedziała za

Boga, co się dzieje, a my mieliśmy utrzymywać ją w stanie całkowitej nieświadomości. Bezwzględnie. Jej ojciec życzył sobie, by prowadziła w miarę normalne życie.

A co właściwie było normalne?

- Poradziłem sobie z jego systemem zabezpieczeń - oznajmił Cole z nutką dumy w głosie. - Czułby się zobowiązany powiedzieć o wszystkim twojej babci, a nie chciałbym, żeby mnie wykopał i żebym musiał się potem tu przekradać. Po prostu chcę być z tobą.

- Zamierzasz więc zostać tu całą noc i obejmować mnie, Coley Guacamole? - Rany. Chyba trochę przesadziłam. To było naprawdę koszmarne.

Parsknął śmiechem.

- Bardziej mi się podobał King Cole.

- Nie dziwię się.

- Pasuje do mnie.

- Jestem pewna, że tak sądzisz. - Pociągnęłam delikatnie za kolczyk na piersi.

- Wątpię, czy tylko ja. Poza tym owszem, zostaję.

Położył dłoń na moich palcach, odsunął je od kolczyka i podniósł do ust, a potem pocałował. Chwilę później dostrzegłam błysk paniki w jego

oczach. Nie rozumiałam jej i chyba błędnie ją odczytałam, ponieważ powiedział:

- Tak do twojej wiadomości, możesz mnie nazywać, jak chcesz, dopóki zechcesz to robić.

Do biegu, gotowi... Stop!

Obudziłam się sama; byłam zlane potem i brakowało mi tchu. Jeszcze jeden koszmar senny o wypadku, wciąż trwający w zakamarkach umysłu. Widziałam matkę, która wyciągała do mnie ręce. Czułam niezwykle ciepło jej dotyku. Krzyczała coś do mnie. Potem patrzyłam, jak zombi kończą spożywać mojego tatę, suną w stronę samochodu i brutalnie wyciągają z jego wnętrza mamę, gotowe na deser.

Zmagala się z nimi, na jej twarzy malowała się panika. Znowu mnie zawołała: „Alicjo! Alicjo!”.

Staralam się jej dosięgnąć, błagając te istoty, by nie robiły jej krzywdy.

Potem nic.

Teraz to ja chciałam krzyczeć.

Dlaczego to widziałam? Przecież tak nie było.

A może?

Czy obudziłam się po prostu we wraku samochodu i nie pamiętałam? Czy też mój umysł przypominał mi to wszystko w ten sposób?

Mama była na zewnątrz, obok taty, choć znajdowała się wciąż w samochodzie, kiedy straciłam przytomność.

- Cole - powiedziałam, poklepując miejsce obok siebie. Potrzebowałam jego objęć, mocnych i pewnych. Wiedziałam, że mnie pocieszy bez względu na odpowiedź.

Materac był zimny; cóż za rozczarowanie. Cole zniknął.

Pomyślałam... Tak, przypomiinałam sobie, że mówił coś, zanim odszedł.

„Mam ci wierzyć? Tak po prostu?” - spytał gniewnym tonem.

Nie, nie zwracał się do mnie. Potem nastąpiła pełna napięcia pauza, zanim odwarknęła: „Przestań do mnie wydzwaniać, Justin. Już dawno ci powiedziałem, że to koniec. Cokolwiek zrobisz czy powiesz, nie zmienisz tego”. Kolejna nabrzmiała od napięcia pauza. „Nie, nie mam ochoty wysłuchiwać informacji, które zebrałeś”.

Znałam tylko jednego Justina. Albo Cole rozmawiał przez telefon z chłopakiem, z którym poprzysiągł sobie więcej nie rozmawiać, albo

umysł płałał mi figle. A ja w tej chwili nie miałam odpowiedniego nastroju, by ufać bez zastrzeżeń umysłowi.

Usiadłam ostrożnie na łóżku i rozejrzałam się po pokoju. Przez okno wpadał jasny blask słońca. Pikowana kołdra w zimnym niebieskim kolorze była pomarszczona, a na jednej z poduszek widniały czarne kropki - pozostałość farby, którą Cole malował sobie twarz. Rany. Pomyślałam, że będę musiała usunąć te plamy przed wyjściem.

Jego broni nie było już na podłodze, ubrania też. Na dobrą sprawę o jego obecności świadczyła jedynie karteczka na stoliku nocnym.

„Jestem w siłowni. Zadzwoń, a przyjadę po ciebie. Całuję, C”.

Nucąc z niespodziewanego szczęścia, umyłam zęby, wzięłam prysznic i włożyłam zimowy strój do ćwiczeń. Zadzwoiłam na jego komórkę i... od razu włączyła się poczta głosowa.

- Nie śpię i jestem gotowa - powiedziałam. - Możesz przyjechać po mnie w każdej chwili.

Nie miałam samochodu. Ani prawa jazdy. Tylko tymczasowe pozwolenie. Postanowiłam, że jeśli nie doczekam się szybko odpowiedzi, to wyruszę na piechotę. Siłownia mieściła się w stodole kilka kilometrów dalej.

- Liczysz się chyba z tym, że będziesz zbierał z podłogi własny tyłek - dorzuciłam.

Rozłączając się, zauważyłam, że mam jedenaście esemesów. Wszystkie od mojej najlepszej przyjaciółki Kat. Nie mogłam podczas ich lektury zapanować nad szerokim uśmiechem.

Numer jeden: „Szron mnie WKURZA!”.

Numer dwa: „Wspominałam, że wkurza mnie na całego?”.

Numer trzy: „Co sądzisz o morderstwie? Za czy przeciw? Zanim odpowiesz, wiedz, że mam konkretny powód!”.

Numer cztery: „Jeśli za, to czy znasz dobre miejsce, żeby ukryć zwłoki?”.

Pozostałe opisywały różne metody zabójstwa, jakimi chciałyby się posłużyć. Najbardziej podobała mi się ta z użyciem torebki skittles i jedwabnego szala.

Mmm. Skittles.

Zaburczało mi w brzuchu; odłożyłam telefon na stolik nocny. Postanowiłam zadzwonić do Kat po śniadaniu, zakładając, że będzie wtedy mniej zaspana, a ja jeszcze bardziej przytomna, i dowiedzieć się, o co chodzi. Mogłam z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że Szron zapomniał po prostu zadzwonić do niej po ostatniej nocnej

walce, a ona się martwiła. Nie bardzo wiedziałam, jak mam ją w tej sytuacji pocieszyć. Już dawno dała mi do zrozumienia, że zombi nie są jej ulubionym tematem do rozmowy.

Najpierw jednak posprzątałam każdy centymetr kwadratowy swojego pokoju. Nie zgadzałam się, by robiła to za mnie gospodyni pana Ankha. Nie byłam pasożytem i nie zamierzałam twierdzić, że cokolwiek mi się należy. Czułam, że powinnam się odwdziżyć, i to jakkolwiek. Dzięki Bogu, odrobina wody i mydła pozwoliły mi usunąć plamy z poduszki.

- Alicjo.

Głos Emmy.

Odwróciłam się i - och, chwała niebiosom - ujrzałam ją. W każdym razie jej ducha. To, czego mnie nauczyła: śmierć nigdy nie jest końcem.

- Jesteś tu - powiedziałam, czując jednocześnie, jak rośnie we mnie serce. Nawiedzała mnie już wcześniej, ale za każdym razem wydawało się, że to pierwszy raz - szokujący i nierzeczywisty.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja tak bardzo pragnęłam przytulić ją mocno i nigdy nie wypuszczać z objęć.

- Mam tylko chwilę.

Nosiła ubranie, w którym zginęła: różowy trykot i spódniczkę baletnicy. Odziedziczone po naszej matce ciemne włosy zebrane były w dwa warkoczyki, kołyszące się nad delikatnymi rami-onkami. Złote oczy, które zawsze patrzyły na mnie z uwielbieniem, skrzyły się jasnością.

Powiedziała mi kiedyś, że nie jest duchem, lecz świadkiem. Duchy - nieistniejące - były emanacją zmarłych, którzy zachowali swoje wspomnienia i straszili. Mit zrodzony prawdopodobnie za sprawą widywanych przelotnie zombi. Świadkowie byli duchami, które niosły pomoc.

- Chciałam cię ostrzec, że będziesz mnie rzadziej widywać - oznajmiła, a uśmiech na jej twarzy przy-gasł. - Moje odwiedziny stają się coraz trudniejsze. Jednakże... jeśli mnie wezwiesz, znajdę sposób, by do ciebie dotrzeć.

- Coraz trudniejsze? Dlaczego? - spytałam, pełna troski o siostrę.

- Moja więź z tym światem zanika.

Och.

Wiedziałam, co to oznacza. Pewnego dnia miałam ją stracić na zawsze.

- Nie smuć się - poprosiła. - Nie znoszę, kiedy jesteś smutna.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Nieważne, co się stanie. Będę wiedziała, że gdzieś jesteś i że mnie pilnujesz. Nie ma powodu do smutku.

- Właśnie. - Rozpromieniona, posłała mi całusa. - Kocham cię. Nie zapomnij mnie wezwać w razie potrzeby. Mówię poważnie.

Potem zniknęła.

Zrobiło mi się smutno. Mogłabym zwinąć się w kłębek i zapłakać, ale nie chciałam się zdręzczać myślą o dniach, gdy jej zabraknie. Postanowiłam, że poradzę z tym sobie, kiedy nadejdzie czas.

Związałam włosy w koński ogon i poszłam do kuchni. Spodziewałam się, że zastanę tam gospodynię, tymczasem zobaczyłam przy stole Reeve, babcię i Kat; popijały kawę z parujących kubków.

- ...coś się dzieje - mówiła właśnie Reeve, zaplatając na palec kosmyk włosów. - Tata zainstalował więcej kamer od frontu i podwórza na tyłach, a przecież mamy już ich tysiące! Co gorsza, zainstalował tak wiele lamp, że zasłony w moim pokoju nic nie dają.

Babcia i Kat poruszyły się niespokojnie.

- Wyjaśnił wam cokolwiek?

- No... - zaczęła babcia. Przesunęła spojrzeniem po kuchni, jakby mając nadzieję, że znajdzie nowy temat do rozmowy.

I znalazła.

- Ali! Wstałaś z łóżka o tydzień za wcześnie. - Zerwała się z krzesła, niemal je przewracając. Podeszła do mnie szybko i uściskała. - Nie powiem, żeby mi się to podobało.

Kat polerowała sobie paznokcie, uśmiechała się i w ogóle nie wyglądała jak dziewczyna bliska popełnienia brutalnego mordu. Sprawiała jednak wrażenie zmęczonej. Miała podkrążone oczy i zapadnięte policzki, jakby nie jadła od wielu dni.

- Wstałabym o dwa tygodnie za wcześnie, ale nie wszyscy ucieszyliby się z mojego zdumiewającego powrotu do zdrowia.

Ucałowałam babcię w policzek i uśmiechnęłam się do Kat. Dziewczyna odznaczała się zdrowym (i uzasadnionym) ego i nie wahała się tego okazywać. Ja? Zawsze spuszczałam głowę, kwestionując własną wartość.

Przypomniałam sobie, że przecież spotkałam się twarzą w twarz ze śmiercią i wygrałam, więc prawdopodobnie powinnam bardziej w siebie uwierzyć.

Ale... właśnie w tym momencie przyszło mi do głowy, że Kat posługiwała się swoim ego jako zasłoną dla fizycznej słabości. Cierpiała na wyniszczającą chorobę nerek.

- Co ty tu robisz? - spytałam ją. - Co nie znaczy, żebym nie cieszyła się na twój widok. Jestem zachwycona. - Zachwycona to jeszcze za mało powiedziane. Od samego początku nie zważała na to, jak wyglądam albo jak jestem nieporadna w towarzystwie. Zaakceptowała mnie bez zastrzeżeń. - Wydawało mi się, że w weekendy wolisz spać do drugiej.

- Chciałam cię zobaczyć, niegrzeczna dziewczynko. Nie odbierasz telefonów ani nie odpowiadasz już na moje niesamowite esemesy. Mój plan polegał na tym, żeby pouczyć cię tak długo, aż obiecasz, że przyszyjesz sobie chirurgicznie komórkę do dłoni, ale postanowiłam najpierw napić się kawy.

Skoro mowa o kawie...

- Tej się napiję - oznajmiłam i skonfiskowałam jej kubek, siadając obok. Nie pozwoliłabym sobie na to, żeby jeść cokolwiek albo pić u Ankhów, więc kawa stała się niedostępnym luksusem, ale nie miałam nic przeciwko temu, żeby odebrać ją najlepszej przyjaciółce.

- Hej! - Sekundę później skonfiskowała kubek Reeve.

- Hej! - rzuciła Reeve, konfiskując kubek babci.
Muzyczna kawa.

Babcia pokręciła głową, ale dostrzegłam w jej oczach błysk rozbawienia.

- Nie trzeba mnie pouczać - zwróciłam się do Kat, kładąc sobie dłoń na boku. - Koniec z operacjami chirurgicznymi.

Jej twarz złagodniała.

- Moja biedna, słodka Ali.

- Nie rozumiem, jak mogłaś spaść u nas ze schodów i tak się poważnie poranić - wtrąciła Reeve. - Nie jesteś niezdarna, a przy poręczy i na podłodze nie ma niczego ostrego.

- Oczywiście, że jest niezdarna! - zawołała Kat, wybawiając mnie z kłopotu, gdy próbowałam coś wyjąkać. - Ali potrafiłaby się zaplątać w bezprzewodowy telefon.

Spuściłam wzrok, starając się nie wyglądać żałośnie - to, co powiedziała o mnie, można by uznać za kłamstwo, gdybym nie potrafiła w to uwierzyć. Chyba faktycznie byłam niezdarna. Raz wlałam w pułapkę Cole'a i zawisłam do góry nogami na drzewie. Innym razem uczył mnie, jak posługiwać się mieczem, a ja niemal skróciłam go o głowę.

- W każdym razie - odezwała się Kat, zmieniając czym prędzej temat - wszyscy się pewnie ucieszą, jeśli powiem, że wygraliśmy wczoraj wieczorem.

- Górą Tygrysy! - wykrzyknęłyśmy zgodnym chórem, a potem wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem.

W komórcie Reeve odezwał się alarm.

- Cholera! - Zerwała się z miejsca. - Przepraszam, moje drogie, ale mam plany na Halloween, i to od samego rana. Sie ma!

Wybiegła z kuchni. Babcia podniosła się z miejsca.

- Ja też muszę lecieć. Chcę uświadomić ojcu tej dziewczyny, jak ważną rzeczą jest odpowiednie informowanie ludzi. Aha, Ali, Cole dzwonił do mnie przed chwilą i powiedział, że potrzebujesz kostiumu, ale że będziesz zbyt zajęta treningiem, żeby coś sobie kupić. Myślałam, że nie mówi poważnie, że to jakiś żart z okazji Halloween, bo jeszcze wczoraj nie chciał słyszeć o tym, żebyś wstała z łóżka. Ale jeśli uważa, że jesteś gotowa, to w porządku. Nie będę pytać, w jaki sposób doszedł do tego wniosku.

Błagam, nie pytaj!

Cole naprawdę zadzwonił do babci?

- To miło z twojej strony, ale nie ma sensu wydawać pieniędzy na coś, co włożę tylko raz. Mogę przerobić jakiś stary ciuch.

Poklepała mnie z uśmiechem po dłoni.

- Nie żyjemy w nędzy, kochanie. Mamy odszkodowanie za dom.

- Ale oszczędzamy na nowy.

Mieszkałyśmy tu pod określonymi warunkami, a to oznaczało datę wyprowadzki. Chciałam, żeby babcia zajęła się swoim życiem, jakie jej jeszcze pozostało, bez żadnych niespodzianek. Powinnam na dobrą sprawę znaleźć jakąś pracę... choć mogło się to okazać niemożliwe, biorąc pod uwagę, że należałoby znaleźć jeszcze czas na szkołę i łowy.

Nie. Musiał istnieć jakiś sposób.

- Przygotuję ci kostium, młoda damo, nie ma dyskusji. Sama nie mogę się doczekać.

Westchnęłam.

- W porządku, ale wystarczyłoby coś ze sklepu z używaną odzieżą.

Pocałowała mnie w czubek głowy i ruszyła w ślad za Reeve. I nie powiedziała „tak”, jak sobie zbyt późno uświadomiłam.

Poczułam, że wibruje moja komórka; spojrzałam na ekran.

Cole McCool (jak ochrzciła go Kat): „Nie mogę wyjść z siłowni, żeby po ciebie przyjechać, przepraszam, Ali-gator. Wciąż jesteśmy umówieni na wieczór. Tęsknię za tobą”.

Zastanawiałam się, co takiego zatrzymało go w siłowni. Rozczarowana, spojrzałam na Kat.

- No więc dokąd się wybieracie? - spytała.

- Do Hearts, jak sądzę. - Był to jedyny nocny klub, do którego uczęszczali zabójcy. - No dobra, pogadajmy o twoich telefonach i esemesach. Nie ignorowałam cię, słowo daję. To po prostu dziwne wiedzieć, że wiesz teraz to, co ja wiem, a mimo to robić wszystko, żeby ci oszczędzić najgorszych szczegółów.

- To nie jest dziwne. To jest okropne! Nienawidzę wiedzieć, ale postanowiłam być twardą dziewczyną i rozmawiać od tej pory o... wiadomo kim. A skoro tak szczerze mówimy, to powiem ci, że twarde dziewczyny są o wiele lepsze od twardych chłopaków.

- Bardzo dobrze. Jeśli chodzi o „wiadomo kogo”.

Wiedza oznaczała w tym wypadku siłę, a ja chciałam, żeby Kat była bezpieczna. Zawsze.

Do kuchni wpadła gospodyni, zauważyła mnie i spytała, czy ma przygotować coś do jedzenia. Odmówiłam, a ona załadowała tacę croissantami i kawą dla pana Ankha. Aromat świeżego pieczywa wypełnił pomieszczenie i sprawił, że do ust napłynęła mi ślinka.

Gdy tylko kobieta zniknęła, rzuciłam się do szafki, żeby pozbierać okruchy z blatu. Potem złapałam torebkę obwarzanków, które kupiłam za kieszonkowe, i poczęstowałam Kat.

Pokręciła głową.

- Domyśliłaś się więc zapewne z moich niebywale subtelnych esemesów, że między Szronem i mną wszystko skończone. „Między” czy „pomiędzy”? Nigdy nie wiem, co jest lepsze. Tak czy owak, tym razem to na poważnie.

- Co się stało? - Pochłonęłam obwarzanka w rekordowym czasie i choć miałam wielką ochotę na drugiego, oparłam się pokusie. Gdyby starczyły na dłużej, mogłabym kupować ich mniej, a tym samym więcej bym zaoszczędziła.

- Wczoraj w nocy nie czułam się dobrze - oświadczyła, wyglądając żałośnie. - Fakt, Szron o tym nie wiedział. Poprosiłam, żeby ze mną został, a on odmówił.

- Kiedy „wiadomo kto” wychodzi na świat, on musi walczyć. Wszyscy walczymy, jeśli tylko jesteśmy do tego zdolni. To nasz obowiązek.

Nasz przywilej.

- Nie umarłby, gdyby zrobił sobie wolny wieczór - mruknęła.

- Ale mogliby umrzeć jego przyjaciele. Potrzebują każdego wsparcia.

Popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Musisz być taka rozsądna i udzielać tak inteligentnych odpowiedzi?

- Przepraszam. Na drugi raz się postaram.

- Dzięki.

Przyglądałam jej się z uwagą. Była tak piękną dziewczyną. Filigranową i jednocześnie krągłą. Kruchą i jednocześnie odporną. Jej mama cierpiała przez większość zbyt krótkiego życia na tę samą chorobę nerek co ona. Kat za wszelką cenę próbowała ukryć stan swojego zdrowia przed Szronem i chłopakami; jak dotąd z powodzeniem.

Żyła chwilą. Nigdy się nie hamowała - ani w słowach, ani w czynach. Nie zamierzała zniknąć niezauważona z tego świata; wręcz przeciwnie, chciała odcisnąć na nim swoje piętno, zaznaczyć swoją obecność i odejść z głośnym przytupem. Mogłam jej w tym pomóc.

- Co ty na to, żeby nauczyć się obrony przed „wiadomo kim”? - spytałam.

Tata mnie wyszkolił i pokazał, jak z nimi walczyć, jeszcze nim posiadałam zdolność ich dostrzegania, i ten trening okazał się nieoceniony, gdy zmieniły się okoliczności mojego życia. Może Kat

zobaczyłaby któregoś dnia zombi. Może nie. Tak czy inaczej, mogłam ją odpowiednio przygotować.

- Czułabym się... ekstra. Tak sądzę.

- To mi wystarczy. Cole ma siłownię pełną odpowiedniego sprzętu. Pokażę ci, jak strzelać z broni palnej i posługiwać się łukiem i strzałami.

Machnęła ręką, starając się zapewne okazać lekceważenie, ale dostrzegłam w tym geście lęk.

- Nie potrzebuję takiego treningu.

- Posługiwałaś się już tą bronią? Jedną i drugą?

- Nie, ale broń, z której się nie celuje, nigdy nie chybia. I tego zamierzam się trzymać.

Przewróciłam wymownie oczami.

- Szron tam będzie? - Zagryzała dolną wargę, czekając na moją odpowiedź.

- Może.

Nie potrafiłam się zorientować, czy sprawiło jej to przyjemność, czy też zdenerwowało; wciąż zagryzała wargę.

- No cóż, dzisiaj jest jakby największe święto w roku, więc wpisz mnie na jutro, punkt dwunasta. Albo najlepiej w przyszłym tygodniu. Tak. Zdecydowanie w przyszłym tygodniu.

- Nie ma mowy. Wpiszę cię na teraz, na jutro i na przyszły tydzień. Nie wykręcisz się od tego, nie ma mowy. Zrobimy z ciebie maszynę bojową,

w dodatku wściekłą jak diabli. Staniesz się twarda i będziesz mogła powalić Szrona na tyłek. Z taką samą swobodą, z jaką oddychasz.

Jej twarz rozjaśniło budzące grozę wyczekiwanie.

- Okay, wchodzę w to. Ale tylko z jednego powodu: wiem, że będę dobrze wyglądała z odpowiednimi bicepsami. Szczerza prawda. - Dopięła resztkę kawy i odstawiła kubek. - Chodźmy, zanim się rozmyślę.

Zostawiłam babci wiadomość, że wrócę dopiero po lunchu i że ją kocham. Zastanawiałam się, czy nie przesłać wiadomości Cole'owi, ale szybko się rozmyśliłam. Wolałam go zaskoczyć.

- Chcesz prowadzić? - spytała Kat, kiedy ruszyłam najkrótszą drogą do drzwi mustanga po stronie pasażera. - Masz pozwolenie.

Poczułam palący kwas w krtani.

- Nie, dzięki. Jesteś za młoda, żeby być moim instruktorem czy czymkolwiek.

- Ale potrzebujesz praktyki.

- Może kiedy indziej - odparłam wymijająco.

- Ja to samo powiedziałam o treningu, a ty mnie zgasiłaś.

- Chcesz dojechać do siłowni w piętnaście minut czy piętnaście godzin? - spytałam. Gdybym miała wybierać między prowadzeniem samochodu

a kąpielą w oborniku, to zdecydowałabym się na to drugie.

- Fakt. - Usadowiła się za kierownicą.

- Czy Szron zabrał cię kiedykolwiek do siłowni Cole'a? Nie tej w jego garażu, ale innej, kilka kilometrów od jego domu? - Pas ocierał mi się o ranę, więc przesunęłam się nieporadnie.

- Nie. Według Szrona superekstrasala dla ogierów - to jego słowa, nie moje - jest niedostępna dla ludzi spoza kręgu zabójców.

Nieaktualne. Podałam jej adres bez skrupułów. Chłopcy wprowadzili Kat w podstępny świat sekretów i musieli zmierzyć się z konsekwencjami.

Kiedy pędziłyśmy po autostradzie, spenetrowałam niebo w poszukiwaniu króliczej chmury, dzięki której Emma uprzedzała mnie przed rychłym atakiem zombi. Tego dnia obłok był niewidoczny, a ja odetchnęłam z ulgą.

Kat skręciła gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia z innym samochodem; krzyknęłam.

- Czyżby mój styl jazdy przyprawiał cię o nerwość? - spytała. - Chodzi mi o to, że jesteś super-spięta. Co jest śmieszne, zważywszy, że od czasu, jak kazali ci leżeć w łóżku, miałam tylko trzy stłuczki i żadna nie była z mojej winy, jeśli się nad tym zastanowić. No jasne, zjechałam na

przeciwległy pas i wysyłałam akurat esemesa, ale inni kierowcy mieli mnóstwo czasu, żeby zwać na pobocze.

Jakim cudem jeszcze żyła?

- Kat, jesteś najgorszym kierowcą, jakiego znam.

Nastroszyła się dumnie jak paw.

- To być może najśłodszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam. Dzięki.

Jakiś samochód zatrafił wściekle, kiedy przecięła cztery pasma, żeby zjechać z autostrady; wydawała się kompletnie nieświadoma tego manewru.

- Czyli ty i Cole jesteście już na etapie, kiedy on bez skrępowania dzwoni do twojej babci, co?

- Wiem, to nieco dziwne, owszem... - Zaraz. Znałam Cole'a. To facet, który zawsze ma jakiś konkretny plan. Cel. Nigdy niczego nie robił bez powodu, jeśli ten nie był równie solidny jak skała. Ale jaki mógł mieć powód, żeby...

Odpowiedź walnęła mnie jak obuchem; niemal rozplynęłam się na siedzeniu. Straciłam rodzinę i miało to być pierwsze Halloween bez najbliższych. Cole starał się ograniczyć w jakiś sposób wspomnienia, z którymi musiałabym walczyć.

Nie wiedział, że nigdy wcześniej nie świętowałam Halloween. Tata nie pozwalał nam wychodzić wieczorem z domu, nie było więc żadnego powodu, żeby kupować kostium, a otwieranie drzwi przed obcymi, by dać im łakocie, nie wchodziło absolutnie w rachubę.

- Tak - zwróciłam się do Kat, pragnąc jednocześnie zagłębić się w ramionach Cole'a i nigdy się już od nich nie uwalniać. - Tak, jesteśmy na tym etapie.

- Masz szczęście. Mój tata nigdy nie był fanem Szrona. Jestem pewna, że zamierza wykastrować chłopaka.

To przez te oczy urodzonego zabójcy. Czasem, kiedy Szron spojrział na człowieka, ten nie wątpił, że umrze za chwilę straszliwą śmiercią.

- Mimo wszystko twój tata pozwala ci umawiać się z chłopakami.

- Tak, i zawsze tak będzie. Kiedy wykryto u mnie chorobę nerek, obiecał, że sama będę mogła o wszystkim decydować i żyć po swojemu.

Dobry człowiek.

- Jak postanowiłaś spędzić dzisiejszy wieczór?

- Tak jak ty. I nie wspominałam o tym wcześniej, bo nie chciałam, żebyś zanurzyła się po szyję w zazdrości, wiedząc, że bawię się jak nigdy w życiu,

a ty wciąż cierpisz na łożu boleści. – Zaciśnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że kostki zbieleły. – Staram się panować nad nerwami. To znaczy wiem, że będą tam wszyscy zabójcy, ale w nocy wypełzną różnego rodzaju koszmarni przebierańcy, jak mam się więc zorientować, kto jest niebezpieczny, a kto nie?

– Nie potrafisz dostrzec prawdziwych zombi – przypomniałam jej.

– To nie znaczy, że ich tam nie będzie. W pierwszej chwili powiedziałam Szronowi zdecydowanie „nie”, a on na to: „Czy kiedykolwiek naraziłbym cię na jakieś ryzyko, kobieto?”. A ja na to: „Skąd mam wiedzieć? Prowadzisz podwójne życie, odkąd zaczęliśmy ze sobą chodzić”. A on na to: „Chcesz, żebym znowu przeproszał, co?”. A ja na to: „Codziennie, do końca twojego życia”. Miał czelność się roześmiać, jakbym żartowała.

Sama stłumiłam śmiech.

– Za kogo się przebierzesz?

– Za Czerwonego Kapturka. Zbyt seksownego, żeby mu dogodzić.

– Niech zgadnę. Szron wystąpi jako Wielki Zły Wilk.

- A niby kto inny? Sądzi zapewne, że to będzie zabawne, kiedy kłapnie na mnie zębami i oznajmi: „Zamierzam cię zjeść, moja droga”.

Wyobrażając to sobie, pokręciłam głową.

- A ty mu powiesz, żeby to udowodnił, prawda?

- Podoba mi się, że znasz mnie tak dobrze.

Skręciła w krętą zwirową drogę między rzędami drzew, które zrzucały właśnie swe jesienne okrycia. Kiedy ustąpiły miejsca łanom pszenicy, ukazała się „siłownia dla ogierów” Cole’a - duża czerwona stodoła, która wyglądała tak, jakby miała lada chwila runąć. W rzeczywistości budowla ta mogłaby przetrwać inwazję militarną.

- To istne pustkowie - zauważyła Kat, zatrzymując samochód.

- Z wielu powodów. - Zabójcy zjawiający się tutaj o każdej porze dnia i nocy. Ilość przechowywanej broni. Nie wspominając już o tym, w jak koszmarnym stanie zdarzało się nam tu przebywać.

Na podjeździe parkowało więcej samochodów niż zwykle. Zmarszczyłam czoło, wychodząc z wozu na chłód dnia. Przez szczeliny w drzwiach docierały pomruki, jęki, a nawet okrzyki radości.

- Chodźmy. - Przyspieszyłam kroku.

Po chwili przekroczyłam próg stodoły i rozdziawiłam usta. Zakładałam początkowo, że tylko Cole

i może jeszcze szczególnie oddani sprawie Szron i Bronx gotowi są zrezygnować z wolnego dnia – wolnego jak kraj długi i szeroki.

Kat wpadła na mnie od tyłu i zastygła bez ruchu.

– Och, walnij mnie – wyszeptała nabożnym tonem.

Oto miałyśmy ich przed sobą, wszystkich zabójców w całej okazałości. Powietrze zawierało dość testosteronu, by przyspieszyć bicie martwego serca. Chłopcy byli w większości półnaczy i prezentowali opalone mięśnie, wyrzeźbione nie tylko za sprawą ciężarów – ale też dzięki walce z wrogami. Widziałam koszarne blizny, seksowne tatuaże i kolczyki, nawet kilka obroży elektronicznych.

Jasnowłosa i przerażająco piękny Szron okładał pięściami biedny, bezbronny worek treningowy, trzymany przez emanującego brutalnością Bronxa, którego stopy nawet nie drgnęły. Nie było na ziemi siły mogącej zbić go z nóg, nawet tak bezwzględnej jak Szron. Collins ćwiczył na mechanicznej bieżni, a Cruz podnosił ciężary.

Cole zaś, no cóż, walczył na ringu z dziewczyną, której nie potrafiłam zidentyfikować.

Z boku stał jakiś nieznany mi chłopak, obserwując obydwójce. W siłowni przebywały jeszcze

tylko dwie kobiety: Mackenzie - niegdysiejsza dziewczyna Cole'a, bardzo zwierzęca - i Trina, której Kat wciąż musiała wybaczyć wymaginowany letni romans ze Szronem.

Nie pytajcie.

Trina pomachała do mnie, a ja jej odpowiedziałam tym samym gestem, szybko jednak skupiłam uwagę na Cole'u. Atakował beztrąsko nieznaną dziewczynę, a ona robiła uniki, prostowała się i atakowała z kolei jego. On też się uchylał, i gdy ruszyła na niego znowu, unieruchomił jej pięść i przyciągnął ją do swego twardego ciała, obezwładniając skutecznie.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, uosobienie aroganckiej pewności siebie i kobiecej podstępności - i nie ruszyła się z miejsca, najwyraźniej zadowolona z sytuacji, w jakiej się znalazła. Chłopak, który ma dziewczynę, powinien uwolnić swoją sparingpartnerkę i odsunąć się od niej. Choć Cole nieco zeszywniał, a błysk w jego oczach przybrał barwę twardego granitu, nie zmienił pozycji i też wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Nie mogłam się zorientować, co to wszystko oznacza. Wiedziałam tylko, że niespecjalnie mi się podoba.

Czas na Rozsądną Ali: „Trenował już inne dziewczyny. Nawet uśmiechał się do innych dziewczyn. Nie ma w tym nic romantycznego. Nie ma w tym nic seksualnego”.

Oczywiście, Przygnębiona Ali nie była w pełni przekonana (tak, tak, moja osobowość ma niejedno oblicze): „Nie podwiózł cię do siłowni, bo nie chciał rozstać się z tą dziewczyną”.

Pokręciłam głową. Był mój, był moją zabawką i z nikim nie zamierzałam się nim dzielić.

A jeśli sam chciał, żebyśmy się nim podzieliła?

Nie! Głupia niepewność! Cole nie był taki.

- Kociaku! - zawołał Szron z jakimś zdziwieniem w głosie. - Jak mnie znalazłaś?

Kat uniosła brodę - ucieleśnienie kobiecej urazy.

- Nie pochlebiaj sobie. Nie przyszłam tu dla ciebie. Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to wykorzystałam swoje fenomenalne zdolności detektywistyczne i wsparłam je dość miernymi wskazówkami Ali. - Zwróciła się do mnie. - Bez obrazu.

- Nie ma sprawy - zapewniłam ją. „Mierne” było i tak delikatnym określeniem.

- Nie bądź taka, dziecinko - zareplikował, odwijając bandaż z pięści. - Wiesz, że

zafundowałbym ci jazdę Oszronionym Ekspresem.
Wystarczyło poprosić.

Bronx, wyraźnie zde gustowany, przewrócił oczami. Kilku chłopaków jęknęło z rozpacz.

Cole skierował uwagę w moją stronę. Nasze spojrzenia się zwały, a w fiołkowych tęczęwkach pojawił się cień winy.

Winy? Dlaczego winy? Żadna odpowiedź nie byłaby w tym wypadku dobra.

Nie wejdę na ring.

Nie rozdzielę ich.

Nie stłukę obydwójga na miazgę.

Odsunął od siebie dziewczynę. I znowu przyłapałam się na tym, że czekam i mam nadzieję na wizję. Znowu stałam na nogach. Wszystko powinno wrócić do normalności. Chwila jednak minęła, potem następna.

Normalność była w odwrocie.

Odrobina strachu połączyła się ze szczyptą zazdrości – idealny przepis na kłopoty.

Nowy chłopak gwizdnął cicho i moja uwaga skupiła się teraz na jego osobie. Nasze spojrzenia zderzyły się ze sobą niespodziewanie. Sekundę później świat odpłynął, tak jak pragnęłam tego w przypadku Cole'a – byliśmy w mojej sypialni i staliśmy obok mojego łóżka. Nie, leżeliśmy na

moim łóżku. Pchnęłam go na materac. Jedną ręką przechyliłam mu głowę, a drugą szarpałam ubranie. Potem zaczęłam przesuwać językiem po jego gardle. Wydawałam z siebie dziwne, ciche pomruki, jakbym jeszcze nigdy nie rozkoszowała się takim smakiem i pragnęła więcej...

- Ali! - krzyknął Cole.

Zamrugałam, wizja rozplynęła się w powietrzu.

Pojawił się obok mnie, na jego twarzy malowało się napięcie.

- Co to było?

- Stary - zwrócił się Szron do nowego chłopaka - twój umysł wymeldował się na moment. Nie widziałem czegoś takiego od chwili, kiedy Cole pierwszy raz spotkał Ali... i, hm, no tak, mniejsza z tym.

Nowy patrzył na mnie podejrzliwie i gniewnie.

Cofnęłam się o kilka kroków. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie zdradziłam mózgowo Cole'a. I to na całego.

- Cole zadał dobre pytanie - zauważył chrapliwym głosem nowy chłopak. - Co to było?

Zatem i on doznał wizji. Nie. Nie, nie, nie. Co to oznaczało? Tak silna więź nigdy nie połączyła mnie z nikim prócz Cole'a. Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? Dlaczego z tym właśnie chłopakiem?

- Mam lepsze pytanie - oznajmiła nowa dziewczyna ze słodkim południowym akcentem. - Czy ktoś zechce mnie przedstawić nowo przybyłym?

Musiałam się upewnić, że ta wizja nigdy się nie zdarzyła. Nie mogła się zdarzyć. Oznaczałoby to, że z Cole'em i ze mną koniec. Oznaczałoby, że nowe życie, które z takim wysiłkiem sobie stworzyłam, legło w gruzach i spłonęło.

Dostrzegłam drgnienie mięśnia w szczęce Cole'a.

- Veronico, poznaj Ali. Ali, to jest Veronica. Zabójczyni z Atlanty. A ta przyjaciółka Ali to Kat.

- Moja dziewczyna - dodał Szron, wypinając dumnie pierś.

- Śnij dalej! - rzuciła Kat.

Wszczęli zajadły spór.

- Veronica to jeszcze jedna z byłych Cole'a - wtrąciła Mackenzie.

O, wielkie nieba, nie!

- Nie tylko była - dorzuciła Veronica, obdarzając mnie uśmiechem tak słodkim jak jej głos. - Także ulubiona.

Zesztywniałam, czekając, aż Cole wypowie słowa: „Tak naprawdę to Ali jest moją ulubioną i nie jest byłą”. Nie zrobił tego.

- Miło cię poznać - wyszeptalam, walcząc z paniką.

Kiedys nie przyszłoby mi do głowy, że istnieje dziewczyna piękniejsza od Mackenzie. Teraz zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Taka dziewczyna istniała. Zdecydowanie. Veronica. Miała doskonale opaloną skórę, ciemne lśniące włosy, które były idealnie proste i opadały na ramiona, i jasnozielone oczy.

Mackenzie miała ciemne włosy, choć kręcone, i ciemnozielone oczy. Gdybyśmy we trzy stanęły obok siebie, nikt nie musiałby pytać, która nie pasuje do dwóch pozostałych. Moje pofalowane włosy odznaczały się tak bladym odcieniem, że można by je zakwalifikować jako babcino siwe, a oczy były tak niebieskie, że ich barwa przywodziła na myśl kiczowaty błękit.

Veronica uniosła doskonale brwi.

- A więc ty jesteś tą niesławną Ali Bell, co? Dziewczyną o zdolnościach, których nikt nie potrafi wyjaśnić?

Widziałam Linie Krwi, które wytyczaliśmy wokół naszych domów - mieszanek chemikaliów, nie do ominięcia dla zombi. Moje ciało zamieniało się czasem w żywy płomień, spopielając w sekundy każdego potwora, którego dotknęłam, podczas gdy inni łowcy mogli rozpalać tylko swoje dłonie i potrzebowali kilku minut, by osiągnąć te same co ja

rezultaty. Potrafiłam też czasem wejrzeć w przyszłość.

Nie wiedziałam, dlaczego umiem robić to wszystko ani co sprawia, że jestem inna. Moje zabójcze geny nie wyróżniały się niczym szczególnym.

- Tak - odparłam. Cole nie patrzył na mnie. Dlaczego tego nie robił? - To ja.

Veronica przechyliła głowę, przyglądając mi się z jeszcze większą uwagą.

- Czy posłużyłaś się jedną z tych swoich zdolności także w przypadku mojego przyjaciela?

Próbowałam coś wydukać, ale bez powodzenia.

- A jeśli tak, to co z tego?! - zawołała Kat, zawsze gotowa pospieszyć mi z pomocą. - Owinęła sobie szefa wokół małego palca. Może robić, co chce i z kim chce.

Jak bardzo kochałam tę dziewczynę!

W słodycz Veroniki przeniknął z wolna jad.

- Nikt nie owija sobie Cole'a Hollanda wokół palca.

Cole pozostawił obie te uwagi bez komentarza i zeskoczył z ringu.

- Później, Ronny. Poćwicz sama.

Ronny? Dla Mackenzie też miał czuły przydomek. Kenze, tak ją czasem nazywał. Darzyłam nienawiścią oba te miana.

Podszedł do bieżni, skinął na mnie i wcisnął kilka guzików.

- Zanim wejdiesz na ring, musisz popracować nad wytrzymałością. I nie próbuj - powtarzam: nie próbuj się przemęczać.

Zbliżyłam się do niego.

- Nie mylisz się, jeśli chodzi o wytrzymałość, i zapewniam cię, że nie mam zamiaru się przemęczać, ale najpierw musimy porozmawiać.

Wciąż omijał mnie spojrzeniem.

- Mieliście bez wątpienia wizję, ty i Gavin.

Gavin. Imię chłopaka, którego przed chwilą molestowałam umysłowo.

- No... tak, ale nie o tym zamierzałam rozmawiać. Ta dziewczyna, Veronica...

- Co widziałaś? - przerwał mi.

- Ja, hm... - Nie mogłam mu powiedzieć, a nie chciałam kłamać. Co mi więc pozostało? - A czy to ważne? Nie spełni się.

Nie pozwoliłabym na to.

- Ważne. Spełni się. I wiemy o tym oboje.

Odszedł bez słowa, nawet na mnie nie patrząc.

Odprowadzałam go wzrokiem, dopóki nie zniknął w szatni, a moje serce wybijało w piersi rytm staccato. Veronica - Ronny - ruszyła w ślad za nim.

Przystanęła w drzwiach i w przeciwieństwie do Cole'a popatrzyła na mnie.

I uśmiechnęła się złośliwie.

Nie można wrócić do dnia wczorajszego

Podczas gdy ćwiczyłyśmy na mechanicznej bieżni - starałam się nie przejmować wizją z Gavinem i zachowaniem Cole'a przed i po - babcia pojechała kupić mi dużą, puszystą niebieską suknię. Nie w sklepie z używaną odzieżą. To błyszczące szkaradztwo miało koronkową górę i paski na spódnicy - do tego wieńczący całość czarny kapelusz.

Nie bardzo wiedziałam, kogo mam uosabiać - pomijając piękność rodem z głębokiego amerykańskiego Południa, w stylu Scarlett O'Hara. Na niezłym haju.

W innej sytuacji nie wyszłabym wieczorem z domu, mając na sobie coś kolorowego. I nigdy coś tak fantastycznego. Lubiłam kryć się w cieniu. Musiałam. Tego dnia jednak zamierzałam zrobić wyjątek.

Chciałam, żeby Cole zobaczył mnie w czymś innym niż podkoszulek i szorty, które nosiłam przez kilka ostatnich tygodni, czy w stroju ćwiczebnym z tego ranka. Chciałam, żeby zaświeciły mu się oczy. Żeby przez całą noc prawił mi komplementy, nie mogąc utrzymać rąk przy sobie. Tak, pomyślałam, będziemy tańczyć. Będziemy się śmiać. Będzie mnie całował. Nie będę mogła sobie darować, że martwiłam się o niego i Veronicę-ukośnik-Ronny.

Nie wolno nam było walczyć tego wieczoru, ale mimo wszystko przytroczyłam do uda pas ze sztyletami. Nie ruszałam się bez nich z domu.

Zastanawiałam się, jaki kostium Cole będzie nosił. Nie powiedział mi wcześniej. No cóż, z pewnością coś innego niż strój niegrzecznego pielęgniarza, wiedziałam, że to był żart.

Włożyłam sukienkę, pozapinałam wszystko i zaczęłam studiować swoje odbicie w lustrze. Nieźle. Całkiem fantazyjnie. Szkoda, że rodzice nie mogli mnie zobaczyć. Na pewno...

Wyłączyłam tę myśl, zanim zdążyła przybrać skończony kształt. Bałam się, że się rozplacę.

Po policzku spłynęło mi coś ciepłego i mokrego. Wspaniale. Już płakałam.

Zaćwierkała moja komórka. Esemes. Otarłam łyż wierzchem dłoni.

Cole McCool: „Przepraszam, Ali, ale nasze plany na wieczór były błędem. Potrzebuję przerwy. Zostań w domu, porozmawiamy jutro”.

Musiałam przeczytać te słowa trzy razy, zanim uświadomiłam sobie ich sens. Potrzebował cholernej przerwy? Poważnie?

Od czego? – chciałam krzyknąć. I co dokładnie znaczyło „potrzebuję przerwy”?

Mój gniew i rozczarowanie były zimne jak stal.

Ja: „DLACZEGO? Co się z tobą dzieje? Szanuj mnie na tyle, żeby ze mną rozmawiać. Na tym bez wątpienia POLEGA związek”.

Upłynęła minuta. Dwie, trzy. Nie odpowiedział.

Cisnęłam telefonem przez cały pokój, a potem sprawdziłam czym prędzej, czy nie rozwaliłam ekranu.

Co, u licha, zamierzał robić podczas tej „przerwy”?

I z kim?

Nie, to się nie dzieje naprawdę.

Komórka zaćwierkała. Czując, jak wali mi serce, spojrzałam na ekran.

Kat: „Gdzie jesteś?”.

Ja, wciskając klawisze odrobinę za mocno: „W domu”.

Kat: „Olałaś Cole’a?”.

Ja: „Nie. On olał mnie”.

Kat: „OHO, JEST TUTAJ. Właśnie przyszedł”.

Zaraz, zaraz, zaraz. Miał na myśli to, że potrzebuje przerwy, żeby odpocząć ode mnie?

Tak. Nie inaczej. Musiał wiedzieć, że Kat skontaktuje się ze mną. Że się dowiem, że poszedł do klubu beze mnie.

Nie przejmował się tym. Po prostu.

Wystukałam drżącymi palcami: „Co robi?”.

Kat: „Rozmawia z Lucasem, Veronicą i tą zdziwą Triną i wyobraź sobie: nosi kostium, który sugeruje, że to cholerny sukinsyn - co znaczy, że nie ma żadnego kostiumu”.

Znowu Veronica.

Ja, zgrzytając zębami: „Powiedział, że potrzebuje przerwy, żeby ode mnie odpocząć”.

Kat: „CO? Och, już ja mu zrobię przerwę - w obu nogach! Najpierw, oczywiście, zabawię się w szpiega”.

W ciągu następnej godziny otrzymałam od Kat niemal pięćdziesiąt wiadomości.

„Rozmawia teraz ze Szronem”.

„Wyłonił się właśnie z cienia z Justinem S - a co to TAKIEGO??? Właśnie kazał Szronowi wykopać JS z klubu i nie było to przyjemne (dla JS)”.

„Właśnie zanurzył palce we włosach Veroniki. Roześmiała się i prawie wepchnęłam jej zęby do gardła (nie zapomnij o moim jutrzejszym treningu!)”.

„Podał tej zdzirze Trinie drinka”.

„Podał Lucasowi drinka”.

„Rozmawia gorączkowo z Gavinem”.

„Odchodzi od Gavina (nienawidzę w tej chwili C, naprawdę, ale tyłek ma rzeczywiście niezły)”.

„Mówi, żebym przestała za nim łązić”.

„Mówi mi, że wie, co robię, i wkurza się, gdy go ignoruję”.

„Odchodzi wkurzony”.

„Mówi Szronowi, żeby mnie kontrolował (jakby to było w ogóle możliwe)”.

Denerwując się z każdą chwilą coraz bardziej, poszłam na dół. Ufałam Cole’owi; czasem ufałam mu bardziej niż sobie. Nie oznaczało to jednak, że zamierzam siedzieć tutaj i pozwalać mu na „przerwę”, i to tak, żeby ze mną o tym nie rozmawiał.

Babcia była przy drzwiach wejściowych i właśnie dawała resztę słodyczy duchowi, kowbojowi i smurfowi.

- Babciu - powiedziałam, gdy tylko drzwi się zamknęły - jest to prawdopodobnie pierwszy raz w dziejach, kiedy nastoletnia dziewczyna stawia takie pytanie swojej babci, ale czy zawieziesz mnie do klubu nocnego? Jest tam Cole - pospieszyłam z zapewnieniem. - I Szron, i Kat.

Popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Myślałam, że Cole ma cię zabrać.

- Ja też tak myślałam - odparłam z leciutką goryczą.

- A co z... - zniżyła głos do szeptu, w którym pobrzmiwała wyraźna nuta strachu - ...istotami?

- Nie musisz się martwić. O ile się orientuję, nie wyjdą dziś w nocy. A nawet jeśli się pojawią, to twój samochód jest chroniony przez Linie Krwi. Nie dopadną cię.

Jej uśmiech był pełen czułości i jednocześnie smutku.

- Nie martwię się o siebie, tylko o to, że nie potrafiłabym ci pomóc.

Och.

- Babciu, to ja mam cię strzec.

Smutek odplynął, pozostała jedynie czułość.

- Nie, miało być inaczej, ale dzisiaj dajmy sobie z tym spokój. Pije się w tym klubie?

Nie chciałam jej okłamywać.

- Tak, ale ja tego nie będę robić. Cole też nie.

Alkohol osłabiał zdolność trafnego osądu, a Cole traktował poważnie swoje obowiązki przywódcy. Ja? Widziałam, jak nałóg niszczył mojego tatę, i byłam zdecydowana uniknąć podobnego losu.

- No cóż, kupiłam ci ten... - Wskazała moją sukienkę. Jakiego przymiotnika szukała? Ogromniasty? Niewybaczalny? Monstrualny? - ...wyjątkowy kostium - dokończyła. - I chcę, żebyś mogła się nim popisywać. Wyglądasz tak pięknie.

- Dziękuję. Ale kogo właściwie mam odgrywać?

- Alicję w Krainie Czarów, głuptasie. A kapelusz jest dla Cole'a, który będzie twoim Szalonym Kapelusznikiem.

- Zawieziesz mnie?

Westchnęła i skinęła głową.

- Zawiozę.

Zarzuciłam jej ramiona na szyję.

- Dzięki, dzięki, po stokroć dzięki!

Piętnaście minut później wysiadłam z samochodu, a ona odjechała. Zbliżyłam się do wejścia i podałam bramkarzom imię Cole'a. Weszłam do środka bez żadnych problemów - jeśli nie liczyć zdesperowanych ludzi w kolejce, którzy skarżyli się, że nie muszą czekać tak jak oni.

W klubie migotały wielobarwne lampy stroboskopowe, w powietrzu unosiły się kłęby sztucznego dymu. Tłum ludzi, każdy w jakimś kostiumie. W przypadku dziewczyn obowiązywał pewien schemat: zdirowatość. Zdirowata diablica. Zdirowata wróżka. Zdirowata czarownica. Czułam się przesadnie odpicowana. W przypadku chłopaków trudno było się dopatrzeć jakiejś myśli przewodniej. Koszula zrobiona z kartonu. Toga z wizerunkami uśmiechniętych gofrów. Spodnie klauna w połączeniu z butami do jazdy konnej. Dudniła ogłuszająco muzyka, prowokując tancerzy do spazmatycznych ruchów. Ruszyłam po schodach do łoży VIP-ów, przewracając po drodze troje ludzi, którzy potknęli się o moją sukienkę. Uznałam, że tak niewielka liczba ofiar to jednak duży sukces.

Rozejrzałam się po piętrze i dostrzegłam wszystkich, którzy byli wcześniej w siłowni, plus parę osób towarzyszących.

Gdzie podziewał się Cole?

Wpadła mi w oko Mackenzie Love. Ubrana w kusą czarną sukienkę z barwnymi pawimi piórami, które sięgały jej ponad ramiona, podeszła do mnie zdecydowanym i dumnym krokiem.

- Patrzcie, patrzcie, Ali Bell. Chciałabym ci powiedzieć, jak niesamowicie wyglądasz, i jeśli zdołam cię przekonać o swojej szczerości, zrobię to. Co takiego masz na sobie?

Poczułam na policzkach rumieniec rozpalonego do białości zażenowania.

- Nie domyślasz się? - spytałam, posługując się pogardliwym tonem, który miał sugerować, że jest idiotką. - Rany. Jakież to smutne.

Zbladła i odsunęła się ode mnie.

- Słuchajcie wszyscy, nowa gra alkoholowa! - zawołał ten nowy, Gavin. Jasnowłosy i przystojny w przebraniu alfonsa był otoczony wianuszkami gorących ciemnowłosych wampirzyc. - Jak tylko ktoś się odezwie, strzelamy po jednym!

Spotkało się to z powszechnym aplauzem.

- A jeśli ktoś chce załatwić sobie darmową sesję obściskiwania - krzyknęła jedna z wampirzyc - to jestem do usług.

Roześmiany Gavin pocałował ją, co wywołało kolejną falę wiwatów.

Potem pocałował dziewczynę stojącą obok tamtej. W obu przypadkach posłużył się językiem.

Patrzyłam na to oszołomiona. Tamta wizja musiała być fałszywa. Nie ma mowy, bym mogła szaleć

za takim facetem. Był piękny, owszem. To musiałam mu przyznać. Ale nie. Po prostu nie.

- Ali! - Kat pospieszyła do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję. Była chyba najbardziej uroczym Czerwonym Kapturkiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Jej skąpa sukienka w kolorze czerwonym, czarnym i białym opinała ściśle wszystkie krągłości. Dół z tiulu rozszerzał się na wysokości talii i kończył bardzo szybko. Całości dopełniały białe podkolanówki. - Dotarłaś!

Nim zdążyłam odpowiedzieć, tuż obok pojawił się Cole, chwycił mnie za rękę i odciągnął od Kat.

Rzuciłam jej spojrzenie z rodzaju „teraz oberwie”. Odpowiedziała gestem uniesionego kciuka i po chwili, gdy Cole zawlókł mnie do zacienionego kąta, zniknęła mi z oczu. Przyparł mnie do ściany i oparł się o nią dłońmi tuż przy moich skroniach, biorąc mnie w kleszcze. Owionął mnie jego żar i zapach, przyprawiając o zawrót głowy.

O, nie. Nie zamierzałam się tym razem roztapiać.

- Co ty tu robisz? - spytał ostro.

Jak śmiał się do mnie zwracać takim tonem?

- Jestem na ciebie wściekła - odparłam, waląc go w pierś.

Jego agresywna postawa straciła odrobinę na sile.

- Wiem. I masz pełne prawo.

- Poszłam w odstawkę. Chcesz zrobić sobie przerwę. Ode mnie.

- Tak. Nie. - Przesunął dłonią po twarzy. - Nie od ciebie. Nie rozumiesz.

- Oczywiście, że nie! Idiotka! Nie wyjaśniłeś mi tego! Zignorowałeś mojego esemesa.

Popatrzył na mnie ze złością, gniew znowu się w nim rozpałał.

- Chciałem być z tobą, ale nie mogłem tu nie przyjść, bo jestem szefem.

- I nie mogłeś zabrać mnie ze sobą? Ponieważ, cytuję, „nasze plany na wieczór były błędem”?

- Były. Nie chcę cię tutaj, bo wiem...

- Co? - spytałam nieustępliwie, znowu waląc go w pierś.

- Gavin tu jest, okay? - Odstłonił zęby w grymasie niezadowolenia. - Nie chcę, żebyś się przy nim kręciła, okay? Teraz kapujesz? Potrzebuję przerwy od zazdrości. Dopóki jesteś obok niego, nie mogę się od niej uwolnić.

Jakim cudem chciałam go trzepnąć po twarzy i jednocześnie pocałować?

Z drugiej strony znałam doskonale odpowiedź. Sama walczyłam z zazdrością.

- Daję ci słowo, że nie masz powodu do zazdrości.

Opuścił ręce.

- Wiem o tym, tak teoretycznie, i przepraszam za to, jak się zachowałem. Nigdy czegoś takiego nie czułem i nie radzę sobie z tym za dobrze. Jeśli zdarzy się wam kolejna wizja...

Wsunęłam mu dłonie za kark i zaczęłam się bawić koniuszkami jego włosów.

- Nie miałyby znaczenia. Moje uczucia się nie zmieniają. Ale musimy chyba pogadać o tym, co widziałam, nawet jeśli wolałabym to zapomnieć.

- To coś złego, tak? - spytał chrapliwym głosem.

Skinęłam głową; zabrakło mi nagle słów.

- Nie jestem więc gotowy rozmawiać.

Dzień w dzień stawiał czoło potworom, a na to był za słaby? Och, Cole, co mam z tobą począć?

- Ufasz mi wobec tego? Ufasz moim uczuciom wobec ciebie?

Upłynęła chwila, zanim kiwnął głową. Było to sztywne i zdawkowe potwierdzenie, ale mimo wszystko potwierdzenie.

Uśmiechnęłam się do niego.

On też się uśmiechnął. Potem przesunął po mnie spojrzeniem, powieki zrobiły mu się ciężkie; zmrużył oczy.

- Można by cię schrupać, tak przy okazji. Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę dostać się pod tę sukienkę. - W jego głosie zabrzmiała chrapliwa nuta, gdy dodał: - Szkoda, że nie mam czasu, żeby ci to udowodnić.

O. Boże.

- Babcia powiedziała, że ten kapelusz jest dla ciebie. Jestem Alicją w Krainie Czarów, a ty Szalonym Kapelusznikiem.

Wziął ze śmiechem ten kapelusz i włożył sobie na głowę.

- Co więc takiego robisz, że nie masz czasu dostać się pod moją sukienkę? - spytałam, przesuwając dłonie w inne miejsce, by zmierzyć puls jego serca.

Jakby na twarz spadła mu zasłona; zero emocji.

- Musisz mi po prostu zaufać.

Natychmiast ożyło tysiące pytań. Zignorowałam wszystkie. Jak sugerował jego ton, nie mogłam prosić, żeby zaufał mi w sprawie wizji, jeśli nie mogłam odplacić mu się tym samym w tejże sprawie. Czymkolwiek „ta sprawa” była. Poza tym mógł mnie okłamać i wymyślić jakąś wymówkę dla swojego zachowania. Nie zrobił tego. Nie był takim facetem. Albo prawda, albo nic. Zawsze mi się to w nim podobało.

- Masz kilka minut? - spytałam cicho.

Zacisnął obie dłonie na moich włosach, mocno i nieubłaganie, bym nawet nie drgnęła pod jego uważnym spojrzeniem.

- Dla ciebie? - Panika, która ogarnęła mnie poprzedniej nocy, obudziła się na sekundę, zanim pocałował mnie przejmująco delikatnie i wyszeptał: - Zawsze.

- Hej, Cole - rozległ się jakiś głos. Zza narożnika wysunęła się czyjaś głowa. - Zmywam się z Kirą i Jane i...

Odwróciłam się w tamtą stronę i mój wzrok natknął spojrzenie Gavina.

Świat zniknął. Cole zniknął...

...było tylko tutaj, było tylko teraz i był tylko Gavin; znowu w mojej sypialni, na moim łóżku, ja leżałam na nim. Trzymał dłoń w moich włosach. Drugą zsuwał mi po plecach, potem zacisnął ją na moim tyłku, nakłaniając, bym ocierała się o niego... mocno, mocniej...

Głuche warknięcie przywołało mnie do rzeczywistości. Do Cole'a.

Ten dźwięk dobył się z jego krtani.

- Uhm, zmywam się - oznajmił Gavin i zniknął czym prędzej.

Tkwiliśmy długą chwilę w miejscu, nie odzywając się do siebie.

- To, co teraz widziałam... - zaczęłam niepewnie, siląc się na spokój. Powiedziałam wcześniej, że to bez znaczenia, i teraz musiałam się modlić, bym się nie myliła. - To było powtórzenie tej pierwszej wizji.

Tyle że bardziej wyraziste.

- Nie mów mi - rzucił rozkazująco. - Nie dzisiaj.

- Cole...

- Nie dzisiaj wieczorem, Ali. - Z tymi słowami odszedł ode mnie, już po raz drugi tego dnia.

Obserwował mnie z daleka przez cały czas, ale przynajmniej nie zdjął kapelusza.

*

Dni upływały, ja zaś musiałam przyznać, że nasz związek strzępił się jak znoszone dżinsy.

Cole codziennie oddalał się ode mnie odrobinę. Ilekroć próbowałam rozmawiać z nim o Gavinie i wizji, zmuszał mnie do milczenia, oświadczając zdecydowanie: „Nie w tej chwili”.

Starałam się mu ufać, tak jak mnie o to prosił. Naprawdę. Jednak męczyło mnie to zachowanie, na przemian pełne żaru i chłodu. Choć nie skąpił mi pochwał, nie odnosiłam w ciągu kilku ostatnich

tygodni wrażenia, że nabieram pewności. Zwłaszcza w sprawach sercowych.

Miałam znowu do niego zadzwonić?

Co uchodziło za właściwe zachowanie w przypadku czyjejś dziewczyny? Co było uznawane za prześladowanie?

Wiedziałam, że dręczy go coś innego niż wizja. Przy kilku okazjach, gdy go widziałam, twarz miał ściągniętą i skurczoną. I o co chodziło z tą paniką? Ale znów, kiedy próbowałam z nim pomówić, uciał wszelką dyskusję i po prostu odszedł.

Nie bardzo wiedziałam, jak długo zdołam jeszcze czekać na wyjaśnienie tego dziwnego zachowania, nie wałęsać się w pierś i nie wrzeszcząc niczym wkurzony goryl.

W końcu przestał odpowiadać na moje telefony, a jego repliki na moje esemesy były krótkie i niespodziewane - jeśli w ogóle je przesyłał. Przestał pojawiać się w domu pana Ankha i ćwiczyć we własnej siłowni.

Może Gavin powiedział mu o wizji, a on postanowił dać sobie ze mną spokój?

Och, wielkie nieba! Nie! Choć mogłam się założyć, że właśnie o to chodziło. Do diabła! Sama powinnam była mu wszystko powiedzieć. Powinnam mieć babskie jaja i zmusić Cole'a, żeby mnie

wysłuchał. Mogłabym go wtedy zapewnić, że prędzej bym umarła, niż dotknęła wargami jakiegokolwiek części ciała Gavina, tej męskiej zdziiry.

Nie widziałam zabójcy z Georgii od czasu Halloween i nie miałam pojęcia, co by się stało, gdybyśmy następnym razem zwarli się wzrokiem. Z jednej strony wolałam nie wiedzieć. Z drugiej musiałam wiedzieć. Gdyby nic się nie stało, mogłabym zapewnić Cole'a, że doszło w jakiś sposób do umyślowego sprzężenia - owszem, dwukrotnie - i że siłą rzeczy musiałam lizać się i migdalić z tym facetem.

Co teraz?

Nie mogłam porozmawiać o tym z Kat. Miała własne problemy, a ja nie chciałam zwałać jej na głowę nowych.

Nie mogłam porozmawiać z Reeve. Nie wolno mi było ryzykować wpadki.

Nie mogłam porozmawiać z babcią. Właśnie straciła męża.

Nie mogłam porozmawiać nawet z Emmą. Brzydziła się całowaniem.

Tęskniłam za czasami, kiedy ze mną było tak samo. Czułam się w tym osamotniona.

Rozległ się dzwonek, długi i przeraźliwy, oznaczający koniec lekcji. Stałam na drżących nogach i zgarnęłam zeszyt i ołówki. Wcześniej tego dnia poznałam nowego dyrektora szkoły, starszego czarnoskórego mężczyznę o łagodnych oczach – miła zmiana w stosunku do jego poprzedniczki, która była królową lodowatych serc. Oddałam wszystkie prace, które nauczyciele mi zadali, kiedy leżałam na łożu boleści. W końcu nadrobiłam braki.

- Cieszę się, że wróciłaś i że osiągasz dobre wyniki! - zawołała za mną pani Meyers, kiedy wychodziłam z klasy.

Była to prawda. W tym całym zamieszaniu związanym z osobą Cole'a zapomniałam cieszyć się z dobrej oceny. Wyjęłam czym prędzej komórkę i wysłałam babci esemesa.

„Dostałam pięć z kreatywnego pisania!” Sama pracowałam nad tekstem w domu; świadomość, że czas i uwaga poświęcone temu zadaniu opłaciły się, była niezwykle przyjemna.

Po kilku sekundach nadeszła odpowiedź: „Kreatywne pisanie? HGW!”.

Zamrugalam, święcie przekonana, że coś mi się przywidziało. Ale nie, stało czarno na białym. HGW.

Ja: „Babciu, czy wiesz, co znaczy HGW?”.

Ona: „Oczywiście, głuptasie. Znaczy: Hurra, Górą Wiedza”.

Stłumiłam śmiech. „Kocham cię!”.

Ona: „Ja też cię kocham. A teraz wracaj do pracy”.

Schowałam swoje rzeczy do szafki i ruszyłam w stronę stołówki. Po drodze wpadłam na Mackenzie. Widząc ją, byłam tak samo zadowolona jak w klubie, ale mimo wszystko chwyciłam ją za ramię i zatrzymałam.

Popatrzyła na moją dłoń na swojej ręce, skrzywiła usta w grymasie obrzydzenia i wyszarpnęła się. Nie odeszła jednak, jak to miała na ogół w zwyczaju, a ja byłam jej za to wdzięczna.

- Czego chcesz? - warknęła.

Przemiała dziewczyna. Sama słodycz.

- Gdzie jest Cole?

- A kto ja jestem? Jego strażnik?

- Powiedz mi tylko, gdzie mogę go znaleźć - rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

- Odszedł.

- Jak to odszedł? - Bez pożegnania? Znowu?

- A jest jakieś inne znaczenie tego słowa?

Nie walnij jej. Nie ryzykuj zawieszenia.

- Co to za historia z Veronicą? Ona i Cole są na tak przyjacielskiej stopie, że chciałabym wiedzieć, jak długo się znają. - Powinnam omówić to z Cole'em i wyłącznie z nim, ale ciekawość - i może odrobinę gniew - okazała się silniejsza.

- Cole chodził z nią przede mną. Słyszałam plotki, ale nie wiem, dlaczego się rozstali. Nigdy nie powiedział.

Zachowaj spokój. Jej ton... Wiedziała coś, o czym nie chciała mi powiedzieć.

- Kiedy z tobą zerwał... to jak to zrobił?

Popatrzyła na mnie jak na wielkiego robaka pod mikroskopem - już pokrojonego i przeznaczonego na sprzedaż w kawałkach. W końcu odwróciła wzrok, zdążyłam jednak dostrzec w jej oczach cień żalu.

- To było kilka tygodni po tym, jak wprowadziłam się do niego z Bronxem, a kilka miesięcy przed twoim pojawieniem się. Począł, aż będziemy sami, posadził mnie na krzesło i oznajmił, że to koniec. Byłam całkowicie zaskoczona. Załedwie dzień wcześniej szaleliśmy za sobą. Albo tak mi się wydawało.

Zaskoczona.

Jednego dnia szaleli za sobą, ale drugiego już nie.

Nagle u mojego boku zjawiała się Kat.

- Tu jesteś.

Zawsze gotowa do pomocy pomimo własnych kłopotów.

- No, no. Witaj, kocurku. - Mackenzie uśmiechnęła się z przyprawiającą o mdłości słodyczą.

Nigdy nie były wielkimi przyjaciółkami i tak prawdopodobnie miało pozostać już na zawsze. Mackenzie, tak zazdrosna o „swoich” chłopców, próbowała zniszczyć związek Kat ze Szronem, i to wielokrotnie.

- Witaj, słodziutka - odparła Kat z tą samą fałszywą uprzejmością. Potem odwróciła się do mnie, pokazując rywalce plecy, jakby ta w ogóle się nie liczyła. Policzki miała blade, a wargi popękane od ciągłego zagryzania. - Odpuszczam sobie lunch i kilka ostatnich lekcji. Zmywam się. Wybieramy się na mecz. Wiem, że zamierzasz przez kilka minut wyjaśniać, dlaczego nie możesz iść, ale zaoszczędzę ci czasu, bo i tak mnie nie przekonasz. Idziesz i koniec.

Otworzyłam usta, ale ona pocałowała mnie tylko w policzek i oddaliła się w ekspresowym tempie, zanim zdążyłam wydobyć z siebie choć słowo.

- A jeśli, no nie wiem, będę musiała pomóc Cole'owi?! - zawołałam. Kilku zabójców musiało

niemal każdej nocy patrolować ulice, tak na wszelki wypadek.

Nie odwróciła się nawet.

- Nie będziesz musiała. Nie ma cię w grafiku - wtrąciła Mackenzie, po czym też się oddaliła w ekspresowym tempie, tyle że w inną stronę.

Cole wciąż nie włączał mnie do akcji.

Drżąc, weszłam do stołówki i skierowałam się w stronę stolika, który zwykle dzieliłam z Reeve i zabójcami. Mniej więcej w połowie drogi wpadłam na ścianę. Czy raczej na ścianę, która nazywała się Justin Silverstone.

- Przesuń się - nakazałam.

Spoglądał na mnie błagalnym wzrokiem dużymi wilgotnymi oczami.

- Niby dlaczego? Jestem dokładnie tam, gdzie chcę być.

- To dziwne, biorąc pod uwagę to, że możesz skończyć z jądrami w gardle.

Nie zamierzałam nabrać się na jego niewinność. Nigdy więcej. Już raz wykorzystał mnie jako źródło informacji dla Animy. Może pomógł nawet wysadzić w powietrze mój dom. Bóg jeden wie, do czego byłby zdolny następnym razem.

- Daj mi szansę i pozwól sobie wyjaśnić pewne sprawy, Ali. Proszę. Nie miałem nic wspólnego z...

- Daruj sobie. - Odsunęłam się na bok, żeby go wyminąć, ale przyszło mi nagle coś do głowy. - Najpierw odpowiedz na jedno pytanie. Rozmawiałeś z Cole'em przez telefon w sobotę wieczorem?

Jego twarz zamieniła się w bezuczuciową maskę - taką samą, jaką ostatnio prezentował Cole.

- Nie. A o co chodzi?

Jeśli można było mu wierzyć, to ta ich rozmowa tylko mi się przyśniła. Naprawdę musiałam mieć mętlik w głowie.

- Wyobraź sobie, że nie mam ochoty dyskutować z tobą na ten temat. - Pomaszerowałam do stolika i usiadłam z większym impetem, niż zamierzałam.

- Czego chciał Justin? - spytał Szron, który wyglądał tak, jakby był gotów zamordować kogoś w moim imieniu.

- Pogadać o starych czasach.

Bronx przesunął językiem po zębach. Dawał mi tym samym do zrozumienia, że stanąłby u boku Szrona i spowodował poważne obrażenia u nieszczęsnego chłopca. Z tymi sterczącymi włosami, pomalowanymi teraz na metaliczny błękit, nie na zielono, z kolczykami w brwiach i wardze - i, okay, z tatuażem widocznym pod kołnierzem koszuli - nie musiał nic mówić, żeby przerazić śmiertelnie większość ludzi.

Szron skrzyżował ramiona na piersi.

- Chcesz, żebym przestawił mu twarz?

- To niezwykle miłe z twoje strony - odparłam, zadowolona, że mam tak bezwzględnych protektorów. - Ale gdyby doszło do przestawiania twarzy, sama chciałabym to zrobić.

- No cóż, jeśli zmienisz zdanie...

- Dam ci znać.

Zaczęłam skubać lunch, który zapakowałam sobie wcześniej - obwarzanek z serkiem śmietankowym - zastanawiając się, dokąd odszedł Cole, co robi i czy ten dzień może okazać się jeszcze gorszy.

*

Co za głupie pytanie - powiedziałam sobie tego wieczoru. Oczywiście, że dzień mógł okazać się jeszcze gorszy.

Przed piątą do Birmingham dotarł chłodny front, a o ósmej, pomimo zimowego ubrania, czułam się jak lód na patyku. Kuliłam się na stadionie między Kat i Reeve. Wydawało się, że ta koszmarna temperatura nie robi na dziewczynach wrażenia. Były zbyt zajęte podskakiwaniem i radosnym dopingowaniem. Tygrysy zaliczyły właśnie pierwsze punkty w meczu.

Gdy rozpoczęła się druga kwarta, Kat oznajmiła:

- No więc słuchajcie. Jestem, jakby to powiedzieć, bardziej wkurzona na Szrona niż kiedykolwiek. Może nawet nigdy mu nie wybaczę.

- Dlaczego? - spytałam. Sprawiała wrażenie bledszej niż w szkole i pomimo podniecenia wywołanego grą na boisku wzrok miała trochę szklisty. - Co zrobił?

- Zeszłej nocy całował się z jakąś zdzirą, i to na moim podwórzu!

- Och, Kat, tak mi przykro.

- Co za gad! - zawołała Reeve. - Zasluguje na tysiąc bolesnych śmierci.

Kat skinęła głową.

- I to jeszcze nie wszystko. Wsadził ją na grzbiet swojego jednorożca i oboje odjechali w stronę tęczy. Mnie nigdy tam nie zabrał.

Zaraz.

- O czym ty mówisz?

- O swoim śnie z zeszłej nocy - odparła bez wahania i beztrąsko, potem napiła się gorącej czekolady.

- O swoim śnie. - Reeve pokręciła z powątpiewaniem głową. - Jesteś na niego wściekła z powodu jakiegoś snu?

- Hej! Ja zawsze zachowuję się w snach przywoicie - odparła. - On też powinien. A jeśli nie potrafi, to musi przeprosić. I nie wystarczą moje ulubione kwiaty.

- Naprawdę ci je przyniósł? - Popatrzyłam na nią osłupiała. - Za to, co zrobił w twoim śnie?

- No, tak. A ty byś tego nie zrobiła?

Chwilowo nie mogłam wyciągnąć z Cole'a czegoś więcej niż kilku słów. I to na jawie.

Nagle usiadł przede mną Gavin i choć uśmiechnął się szeroko, nie spojrzał mi w oczy.

Czy to koszmar senny?

Sąsiednie miejsce zajęła jakaś ładna brunetka; nie widziałam jej w klubie. Otoczyła go ramieniem. Był to gest zaborczy. Wyraźne ostrzeżenie skierowane do mnie i moich przyjaciółek.

Miał dziewczynę.

Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem i uwolnił się od jej uścisku. O-okay. Może to nie była jego dziewczyna.

- Ali Bell - powiedział, czemu towarzyszyło skinienie głowy. - Dobrze cię znów widzieć.

Nie ogolił się od naszego ostatniego spotkania i teraz jego brodę pokrywał złotawy zarost. Czując nierówne bicie serca, spojrzałam ponad jego

ramieniem, na wypadek gdyby przypadkowo podniósł wzrok.

- Uhm, cześć - odparłam. - Co tu robisz?

- Przyszedłem cię zobaczyć.

- Hej, pamiętam cię - wtrąciła Kat. - Widzieliśmy się... - Ugryzła się w język, zanim zdążyła przyznać się do czegoś, do czego nie powinna się przyznawać, i dokończyła niezgrabnie: - Gdzieś.

Reeve zeszywniała, jakby się domyślając, że Kat coś wie.

- Nic dziwnego - oznajmił Gavin. - Trudno mnie zapomnieć.

- Co za zaskakujący zbieg okoliczności - zareplikowała Kat, poprawiając sobie włosy. - Mnie też trudno zapomnieć. Jesteś więc nowym nabytkiem uczniowskim naszej szkoły?

Jego dziewczyna nie dziewczyna parsknęła ironicznie.

- A czy wygląda jak chłopak z liceum, dzieciaku?

Jej pogarda wyjątkowo mnie drażniła.

Gavin, jak odkryłam, ukończył szkołę rok wcześniej. Miał dziewiętnaście lat, nie był wiele starszy ode mnie, ale wyglądał jak trzydziestolatek. W kącikach oczu dało się dostrzec cieniutkie zmarszczki - wyżłobione przez śmiech albo częsty grymas gniewu. Albo przez jedno i drugie.

Wiedziałam, że w przypadku zabójców nigdy nic nie wiadomo. Ci faceci byli w większości wredni niczym grzechotniki, ale odznaczali się też specyficznym humorem.

- Hillary - upomniał dziewczynę Gavin.

- Mam na imię Belinda - skorygowała cierpko.

- Nieważne. Chciałem spędzić z tobą jedną noc, ty chciałaś dwie. Zgodziłem się na dwie, pod warunkiem że będziesz się odpowiednio zachowywać. Nie zachowujesz się odpowiednio.

Zacisnęła wargi i nie odezwała się.

To chyba żart.

Rozmawiał od niechcienia o seksie z kobietą, której imię pomylił. Brakowało mi słów.

- Ponieważ nikt nie zamierza dokonać prezentacji, ja to zrobię - powiedziała Reeve, żeby przerwać gęstniejące z każdą sekundą milczenie. - Jestem Reeve Ankh.

Gavin przyjrzał jej się z obcesowym zainteresowaniem.

- To ty chodzisz z Bronxem?

- Nie, nie chodzę. Już się nawet nie przyjaźnimy.

Wyczułam gorycz w jej głosie. Nie miała pojęcia, że jej ojciec postawił warunek: będzie pomagał zabójcom, dopóki żaden z nich nie zbliży się do jego córki. Każdego dnia Bronx musiał wybierać między

dziewczyną, której pragnął, a przyjaciółmi, których był gotów za wszelką cenę bronić.

- Tak naprawdę spotykam się z kimś innym - przyznała cicho.

- Co? - Kat aż sapnęła z wrażenia. - I nic mi nie powiedziałaś? Kto to taki? Od jak dawna?

- Powiem ci, jeśli ty mi powiesz.

Podniecenie Kat ulotniło się bez śladu.

- Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

Dostrzegłam kątem oka Wren Kyler i Poppy Verdeck, które zmierzały w stronę trybuny z miejscami ulgowymi. Stanowiły uderzającą parę - piękna czarnowłosa dziewczyna i delikatna rudowłosa. Jeszcze kilka tygodni wcześniej Kat, Reeve i ja byłybyśmy z nimi.

Gdy tylko zaczęłam chodzić z Cole'em, a Kat znów zesła się ze Szronem, poszłyśmy w odstawkę. Uważały nas teraz za wichrzycielki, kiepskie towarzystwo; wierzyły, że ich przyszłość, wolna od naszej obecności, maluje się w jaśniejszych barwach.

Zapewne miały rację.

Justin umawiał się z Wren i teraz szedł za obiema dziewczynami. Podniósł głowę, a jego spojrzenie spoczęło na mnie, jakby od początku wiedział,

gdzie siedzę. I tak jak wcześniej, jego oczy patrzyły błagalnie.

Odwróciłam wzrok.

- Hej, mogę z tobą pogadać? - spytał mnie Gavin.

- W cztery oczy?

Hillary-Belinda już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale szybko je zamknęła.

Poczułam pot na dłoniach. Gavin chciał się dowiedzieć, czy przytrafi się nam kolejna wizja, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Jasne. Dlaczego nie? - odparłam, siląc się na obojętny ton.

Wstaliśmy jednocześnie. Poprowadził mnie w stronę trybun, jego ręka spoczywała nisko na moich plecach; czułam się niezręcznie.

- Tu będzie dobrze. - Zatrzymał się w miejscu z widokiem na parking, potem wskazał sektor, z którego właśnie wyszliśmy. - Muszę widzieć dziewczyny.

Zgadzałam się w pełni. Emma nie uformowała jak dotąd króliczej chmury, nie obawiałam się więc ataku, ale nauczyłam się już ostrożności.

- Nim spytasz - zwróciłam się do niego, wciąż nie patrząc mu w oczy - powiem ci, że nie wiem, co powoduje wizje albo co je przerywa. Myślałam, że

wystarczy wznieść mur emocjonalny, ale choć wzniosłam przed wizytą w klubie niedostępną fortecę z myślą o tobie, doszło między nami do wizji.

Odetchnął ciężko.

- Muszę coś sobie zanotować w pamięci. Zażywać prozac przed rozmową z Ali.

Nie był to prawdopodobnie zły pomysł.

- Myślę, że nie powinniśmy na siebie patrzeć. Nie tutaj. Tak na wszelki wypadek.

- W porządku. Gdzie? Kiedy?

A może... nigdy? Zignorowałam jego pytanie i zadałam swoje.

- Doświadczyłeś wizji z kimś innym?

- Nie. Ale ty doświadczyłaś.

- Tak. - I jako jedyna byłam czymś w rodzaju matematycznej stałej. W dodatku zmiennej. Za wszystko to w jakiś sposób ponosiłam winę. - Co widziałeś w stodole?

Może zobaczył coś innego? Może...

- Widziałem, jak smakowałaś moją szyję.

Przełknęłam z wysiłkiem. A więc żadnych „może”. Widzieliśmy to samo.

- To się nigdy nie wydarzy naprawdę.

- Cole powiedział coś innego.

Poczułam, jak wzbiera we mnie furia, choć już wcześniej podejrzewałam, że Gavin zdradził najbardziej pikantne szczegóły.

- Powiedziałaś mu?

- Oczywiście. Musiałem. Jest moim przyjacielem. A ty jesteś jego dziewczyną.

Byłam nią? Oblizawałam nerwowo wargi.

- Kiedy to zrobiłeś? Co on na to?

- Nazajutrz po incydencie w klubie. A on nic. Wypadł jak burza.

Dlaczego do mnie nie zadzwonił?

Musiałam z nim porozmawiać. Musiałam wyjaśnić... co właściwie? Co mogłabym powiedzieć, żeby naprawić sytuację?

- Czuję się w obowiązku powtórzyć: nigdy nie zamierzam lizać cię albo rzucać na łóżko.

Gavin nawinął sobie na palec kosmyk moich włosów.

- Kotku, tu muszę się z tobą zgodzić. Nie jesteś w moim typie. Daleko ci do tego.

- A jaki jest ten typ? „Łatwa”?

- Między innymi - odparł niespeszony.

Cofnęłam się i oparłam dłonie o balustradę. Ciemność na parkingu rozpraszała się w blasku latarni, ukazując nieskończone rzędy samochodów.

- Chcę się po prostu zorientować, o co chodzi - powiedział.

- Ja też. A tak przy okazji, ty też nie jesteś w moim typie.

- Nie podoba ci się typ „sexy”?

Przewróciłam oczami.

- Podoba mi się Cole.

- Podoba ci się więc „humorzasty i zamyślony”.

Niewiele brakowało, bym się uśmiechnęła.

- Ja... - Uderzyła mnie nagle woń rozkładu. Zmarszczyłam nos. Sztywniejąc, zaczęłam szukać gorączkowo innych oznak obecności zombi. Nie mogły tu być. Nie...

Były tutaj.

W nocnej ciemności błysnęły czerwone oczy, a moje serce zabiło oszalałym rytmem. Każdy, kto znajdował się na parkingu, nie potrafiłby dostrzec zła czającego się tuż obok i wedle dużego prawdopodobieństwa zamieniłby się w posiłek.

- Są tutaj - powiedziałam, starając się nie wpadać w panikę. - Zombi są tutaj.

Krew i łzy

Pobiegłam czym prędzej do przyjaciółek.

- Zostańcie tutaj. Bez względu na to, co zobaczycie albo usłyszycie, nie ruszajcie się stąd, dopóki po was nie wrócę, okay?

Zombi mogły się zapaść na parking, ale ich wrażliwe ciała zaskwierczałyby w świetle stadionowych jupiterów.

Kat zbladła - wiedziała, co się dzieje.

- Okay.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona Reeve. - Widziałam już, jak Bronx, Szron i Cole zachowywali się tak samo. I mówili to samo.

Gavin, niezrażony w najmniejszym stopniu, wycelował palec w jej twarz.

- Rób, co ci się mówi, albo dopilnuję, żebyś pożałowała. - Zwrócił się do swojej dwunocnej dziewczyny. - Ty też.

Niczego więcej nie powiedzieliśmy. Nie było na to czasu. Zbiegliśmy na dół.

- Jesteś gotowa, kotku? - spytał Gavin.

- Zawsze. Dupku.

Roześmiał się.

Wyjęłam w biegu komórkę i zadzwoniłam do Szrona. Nie było sensu kontaktować się z Cole'em. Odesłałby mnie do poczty głosowej. Szron jednak też nie odebrał. Zostawiłam wiadomość: „Jesteśmy na meczu. Wróg wkroczył na parking. Przyślij wsparcie. Migiem”.

U mojego boku pojawił się Justin, dotrzymując nam kroku, kiedy zagłębialiśmy się w mrok.

- Ilu? - spytał.

- Wracaj do domu - odwarknęłam. - Nie potrzebujemy takiej pomocy. Rzucisz nas na pożarcie kombinezonom, i to przy pierwszej okazji.

- Nie zrobię tego. Zaufaj mi.

Zaufać mu, kiedy starałam się za wszelką cenę zaufać Cole'owi?

- Pracuje z kombinezonami? - Gavin zwolnił kroku, przesuając się do tyłu. Potem, bez słowa ostrzeżenia, walnął Justina w tył głowy. Chłopak poleciał do przodu. - Więc nie pracuje z nami.

Justin potknął się o własne nogi i runął na twarz; jego dłonie i kolana zamortyzowały upadek, ale

Gavin kopnął go w plecy, rzucając na brzuch, a potem przeskoczył przez leżące ciało.

Z jednej strony chciałam zaprotestować przeciwko takim metodom. Nie przyjaźniłam się z Justinem, ale... Z drugiej strony nie mogłam zaprzeczyć, że jestem pod wrażeniem. Mój wizyjny napaleniec był niezły.

Gdy tylko dotarliśmy na parking, dobytek ulubione sztylety z torby przy boku, a samą torbę rzucałam na ziemię, żeby zombi nie miały mnie za co chwycić. W dali, po lewej i prawej stronie, stały latarnie, oświetlając część terenu. Do czerwonego pikapa wsiadało właśnie czworo młodych ludzi, których znałam ze szkoły. Dwoje innych stało obok sedana, dziewczyna opierała się o maskę, chłopak opierał się o nią.

- Wiejcie stąd! - krzyknęłam, nie bawiąc się w sentymenty. Dla ich dobra. Wbrew powszechnej opinii głupota nie wpływała na smak mózgu.

Środek parkingu tonął w ciemnościach i tam się właśnie kierowaliśmy. Szukałam wzrokiem blasku Linii Krwi, ale... nigdzie ich nie dostrzegłam. Bardzo dobrze. Żaden z samochodów nie stanowiłby dla nas fizycznie zwartej przeszkody, kiedy już wkroczylibyśmy w świat duchowy. Mogliśmy je przenikać - i tak mogły też robić zombi.

Im bardziej się tam zbliżaliśmy, tym silniejszy czułam zapach rozkładu; zakrztusiłam się.

- Do dzieła! - rzucił Gavin i opuścił swoje ciało, jakby to była zbroja, której noszeniem już się zmęczył.

Jak powiedział mi kiedyś Cole, ludzie to duchy. Mamy dusze i mieszkamy w ciele. Duch to źródło siły. Dusza to umysł, wola i emocje związane z siłą. Ciało to dom.

Ja też uwolniłam ducha i duszę z ciała, które zastrygło w miejscu, niezdolne do ruchu, dopóki bym do niego nie powróciła. Gdyby ktoś natknął się na tę pozbawioną żywotności skorupę, niczego by się od niej nie dowiedział, co oznaczałoby kłopoty. Nic nie można na to poradzić.

Powietrze ochłodziło się natychmiast, a światło, które jeszcze kilka sekund wcześniej podziwiałam, stało się zbyt jaskrawe, przyprawiając oczy o wilgoć. Typowa reakcja na opuszczenie świata naturalnego i wejście w duchowy.

- Krzyknij, jeśli wpakujesz się w kłopoty! - zawołał Gavin.

Nie odpowiedziałam. Czasem lepiej zachować milczenie.

Cokolwiek zabójca mówił w postaci duchowej, urzeczywistniało się. No cóż, na ogół. Z dwoma

zastrzeżeniami. Musieliśmy w to wierzyć i nie wolno nam było naruszać czyjejś wolnej woli.

Niektóre rzeczy działały się natychmiast. Inne dopiero po chwili. Ale działały się, gdy tylko wypowiedziane słowa spełniały dwa powyższe warunki. Bez wyjątku.

Gavin przyspieszył i wyprzedził mnie. Wyciągnął przed siebie obie ręce i wypalił z dwóch SIG Sauerów - punkt dla mnie za znajomość typu broni albo rodzaju... Nieważne! Z luf dobiły się iskry, a dźwięk, który się rozległ ułamek sekundy później, sprawił, że się skuliłam. Nikt w pobliżu nie mógł tego słyszeć.

Walka trwała dalej.

Dwa zombi, te najbliżej nas, runęły na ziemię, jednak chwilę później dzwignęły się z powrotem na nogi, gotowe na więcej. Zdziwiło mnie to. Pociski je unieruchamiały, przynajmniej na trochę. Zombi nie czuły bólu, ale ich duchowe ciała były podatne na rany, tak jak nasze.

- Nie chybiłem - rzucił przez zaciśnięte zęby Gavin i znów zaczął strzelać, dopóki nie opróżnił magazynków.

Dopadł potworów pierwszy i potraktował te podziurawione kulami jak worki treningowe.

Doskoczyłam do swojego i zatoczyłam szeroki łuk sztyletem, przecinając mu kręgosłup i niemal pozbawiając głowy. Działanie, które obezwładniało, nic więcej. Tylko jedna rzecz mogła wykończyć te istoty na dobre – ogień wystrzelający z dłoni zabójcy. Wcześniej jednak pragnęłam zafundować sobie jak najwięcej zabawy.

Następnego kopnęłam w brzuch; poleciał do tyłu i odsłonił drugiego, który nadchodził za nim. Poruszał się zbyt szybko. Ten nowy pchnął mnie, a ja przewróciłam się o leżące ciało i upadłam z głuchym łoskotem. Poczułam w boku bolesne rwanie. Sekundę później napastnik skoczył na mnie i przygwoździł do ziemi, kłapiąc zębami tuż przy mojej szyi. Złamałam mu nos i szczękę, a potem wydostałam się spod niego.

Wstałam i cięłam ostrzami, ich czubki zanurzyły się w szyi przeciwnika, raz, drugi, coraz głębiej, w kręgosłup, zapewniając mi chwilowe wytchnienie. Od tego jednego w każdym razie.

Próbowałam wzniecić ogień w taki sam sposób, w jaki opuściłam ciało, wierząc, że mogę to zrobić, ale brakowało mi doświadczenia, nie miałam tyle wiary co inni i stać mnie było na tyle, na ile było mnie stać. Jednoczesność działań? Nie ma mowy.

Żadnego płomienia – jak się mogłam spodziewać.

Rzucił się na mnie następny zombi, obnażając zęby pokryte czarnymi plamami. Kopnęłam go z półobrotu, obcas trafił go w bok. Zatoczył się do tyłu w chwili, gdy zaatakował mnie kolejny. Kobieta. Walnęłam ją w nos i znowu wykonałam półobrót, trafiając łokciem w lewą skroń. Runęła, ale szybko się przekręciła i sięgnęła do mojej kostki.

O nie, moja droga! Podskoczyłam i nadepnęłam jej na dłoń. Zobaczyłam, że z prawej zacierają w moją stronę dwa inne. Obróciłam ostrze, przyciskając je do nadgarstka, i walnęłam jednego pięścią, a drugiego kopnęłam. Gdzieś z boku wysunęło się poskręcane ramię. Chwyciłam je i wykręciłam, zmuszając zombi, by się pochylił, po czym uniosłam gwałtownym ruchem kolano i rąbnęłam go w twarz. Upadł na ziemię.

Ale tak jak jego współtowarzysze, doszedł błyskawicznie do siebie. Wykonałam kolejny półobrót - jestem w tym coraz lepsza! - i wierzgnęłam nogą, żeby odepchnąć go o kilkadziesiąt centymetrów. Nim zdołał podnieść się po raz drugi, wzięłam zamach i uderzyłam sztyletem. Czubek ominął otwarte usta i zagłębił się w krtani.

Strzał w dziesiątkę.

Obróciłam się instynktownie i uświadomiłam sobie, że jakaś zgrana paczka zombi postanowiła przypuścić na mnie podstępny atak. Cięłam szerokim łukiem w lewo i prawo, unikając o włos szponów i zębów, moje ostrze tańczyło bez wytchnienia, tnąc gnijące mięso. Po moich dłoniach spływała zimna czarna maź.

Uśmiechnęłam się szeroko. Niektórych ludzi rajcowały narkotyki. Mnie rajcowała walka.

Coś twardego naparło na moje plecy; wyprostowałam łokieć, uniosłam ostrze. Gdy cięłam w dół, Justin zrobił unik, umykając w ostatniej chwili przed ciosem stali.

- Idiota! - wrzasnęłam. Powinien był mieć więcej rozumu i nie podkradać się do zabójcy.

- Nadchodzą. - Wskazał ponad moim ramieniem.

Oceniłam sytuację tak szybko, jak się dało, i podjęłam decyzję. Jakiś zombi postanowił wykorzystać chwilę mojej nieuwagi, podchodząc blisko i chcąc zatopić zęby w ramieniu. Mogłam uskoczyć, ale Justin był tuż, tuż i to on naraziłby się na atak. Mogłam ciąć, ale siła bezwładności napastnika pociągnęłaby mnie wraz z nim i upadlibyśmy oboje. Jego ciężar stałby się dla mnie pułapką. Zdołałby dosięgnąć mojej szyi.

Musiałam dać się ukąsić w ramię i modlić się, by Justin albo Gavin od razu wstrzyknęli mi antidotum i bym mogła znów podjąć walkę.

Będzie bolało.

- Nie! - Justin wyciągnął rękę, z jego dłoni wyszła płomień, świecił tak jasno jak latarnie. Zombi wgrzyzł się w ten blask i obaj z Justinem upadli.

Zombi uderzał się gorączkowo po ustach, gardle, brzuchu, jakby doświadczając bólu po raz pierwszy. Ale to przecież niemożliwe. Czyżby? Mimo wszystko nie był dostatecznie długo narażony na działanie ognia, by umrzeć.

Justin natomiast był dostatecznie długo narażony na działanie toksyny, by umrzeć. Wystarczyła jedna kropla. Wił się, trucizna już weń przenikała, istna rzeka, ciągnąc go w głąb i w głąb, zalewając go i topiąc.

Chciałam mu pomóc, wstrzyknąć antidotum, ale nie miałam czasu ani okazji. Mogłam tylko stać nad nim i walczyć, chroniąc przed poważniejszymi urazami, ze świadomością, że chłopak, którego znałam jako zdrajcę, przyjął na siebie cios przeznaczony dla mnie. Może powinnam była okazać mu więcej serca.

Zombi, zombi, zombi - wszędzie, gdzie spojrzalam; tak wiele groteskowych ciał, że straciłam rachubę. Przypominały rój much, które zawodzą dziko, zamiast bzyceć. Obezwładniałam jednego, a na jego miejscu pojawiały się dwa inne, a po chwili dołączał do nich ten obezwładniony.

Mój oddech zrobił się płytki, zbyt pospieszny. Drżałam, zdawało się, że ostrza przy każdym ruchu ręki zyskują na ciężarze pięć kilogramów. Zbyt długo brakowało mi fizycznej aktywności. Było tego za dużo, za wcześnie się wydarzyło. Nie wiedziałam, ile czasu jeszcze zdołam wytrzymać i nie upaść.

Nie mogę pozwolić, by ofiara Justina poszła na marne.

Muszę pomścić rodzinę.

Walcząc, dostrzegałam kątem oka Gavina, który zmagął się ze swoją hordą wrogów. Poruszał się ze zwinnością pantery, płynnie, żaden ruch nie był przypadkowy.

Powinnam wezwać pomocy?

W moją stronę zmierzała rozcapierzona dłoń. Z trudem się uchyliłam.

Kłapały na mnie zęby. W uszach rozbrzmiewały syki i powarkiwania. Wzięłam zamach, ale poczułam łokieć w brzuchu i straciłam oddech.

Zgięłam się wpool. W moje włosy zaplątały się czyjeś palce, a potem hej! Szalona jazda w dół, ku ziemi.

- Gavin.

- Ali! - krzyknął.

Wierzyłam nogami, ale dwa stwory zdołały chwycić mnie za kostki. Zadawałam ciosy pięściami, ale dwa inne złapały mnie za nadgarstki. Szarpałam się, ale nie dałam rady się uwolnić.

Nie panikuj. Wiedziałam, że panika nie pozwoli mi działać racjonalnie. Mogłam się z tego wydostać. Musiałam tylko... Co?

- Ali! - rozległ się inny głos.

Cole! Cole tu był!

Cole, światło mojego życia.

Światło. Tak.

- Zapalcie się, do diabła! - rozkazałam własnym dłoniom. Mogłam to zrobić. Wiedziałam, że to zrobię. Wierzyłam. - Teraz!

Gdy Gavin strącił ze mnie jednego z napastników, z koniuszków moich palców wystrzeliły w końcu płomienie.

Zombi, które wciąż mnie trzymały, zamieniły się w popiół.

- Pomóż dzieciakowi - nakazał Gavin i znów zabrał się do wykańczania swojej hordy.

Spojrzałam przez ramię. Zobaczyłam stwory pożerające Justina. Zdjęta przerażeniem, dźwignęłam się i wykonałam niezbyt elegancki taniec zniszczenia, uwalniając chłopaka od łapczywych rąk i ostrych jak brzytwa zębów.

Znów stojąc, z rękami płonącymi jasno, przedierałam się przez tłum ocalałych jeszcze zombi, dotykałam tego, dotykałam tamtego, unicestwiając wszystkich po kolei. Kiedy ostatni eksplodował i zamienił się w drobinki popiołu, ugięły się przede mną kolana i osunęłam się na ziemię. Płomienie zniknęły, a moja skóra przybrała normalną postać.

Zwycięstwo.

Gavin zbliżył się do mnie z szerokim uśmiechem. Twarz miał zbryzganą czarną mazią.

- No, to jest umiejętność godna pochwały.

Cole przeniknął przez stojący obok samochód i przystanął gwałtownie. Emanował z niego strach. Fioletowe oczy, za którymi tęskniłam każdą cząstką swojego ciała, każdym jego włóknem, przyglądały mi się badawczo, szukając śladów obrażeń.

- Zostałaś ugryziona?

- Nie, nic mi nie jest. Gorzej z Justinem.

Zmarszczył czoło.

- Z Justinem?

- Przyjął na siebie to, co było przeznaczone dla mnie. - Podpełzłam do chłopaka i sprawdziłam puls. Serce waliło mu tak szybko, że nie mogłam policzyć uderzeń. - Potrzebuje antidotum.

- Dam mu swoje - powiedział Cole, pochylając się i wyciągając strzykawkę z tylnej kieszeni.

- Justin! - zawołałam, klepiąc go po policzku. - Jesteśmy tutaj. Zajmiemy się tobą.

Uniół powieki. W jego tęczęwkach płynęły rzeki czerwieni. Westchnęłam głośno. Z pewnością nie był... nie mógł... nie tak szybko.

Jego głowa uniosła się ku mnie błyskawicznym ruchem i zatopił zęby w moim nadgarstku.

Uwolnił mnie szybko, a potem zwinął się w kłębek i wymiotował, ale szkoda została wyrządzona. Krzyknęłam. Poczulałam się tak, jakby do moich piersi przytwierdzono elektryczne łopatkę, które wprawiły w ruch drugie serce; zaczęło bić, ale nigdy w zgodzie z rytmem tego pierwszego.

Nagle pojawiły się dwie Alicje i obie czuły ból.

Jedna nienawidziła go. Drugiej bardzo się podobał.

Ta druga była głodna. Taka głodna.

Zamajaczył nade mną Cole, rysy wykrzywił mu grymas głębokiej troski. Poruszał ustami, ale nie

słyszałam, co mówi. Całą uwagę skupiałam na pulsie w jego szyi. Puk, puk. Puk, puk.

Hipnotyczny.

Smakowity.

Przez pory jego ciała dobywało się fosforyzujące światło. Światło, które nie raniło mojego wzroku. Światło, które mnie przyciągało, każdą moją cząstkę. Oblizalam wargi. Gdybym tylko zdołała przebić się przez jego skórę, osiągnęłabym tego światła. Mogłabym go dotknąć. Posmakować.

Zjeść.

Zdesperowana, chwyciłam go za ramiona i pociągnęłam w dół, obnażając zęby. Nim jednak zdążyłam wgryźć się w niego, jakaś pięść uderzyła mnie w skroń. Zobaczyłam kątem oka Gavina, który unosił rękę do następnego ciosu. Cole go powstrzymał.

Była to ostatnia rzecz, jaką widziałam, zanim ogarnęła mnie ciemność.

Król bije pionka

Pierwszych szesnaście lat życia spędziłam pod czujnym okiem człowieka, który widział potwory niedostrzegalne dla nikogo innego. Uważałam go za szaleńca i chwilami nienawidziłam za te wszystkie zasady, jakie narzucał, za kłopoty, jakie sprawiał.

Zbudował dom, który miał nas chronić, właściwie fortecę odosobnienia, ze ścianami wzmocnionymi żelazem i z kratami w oknach. Ja i moja siostra opuszczaliśmy to więzienie, kiedy szliśmy do szkoły albo do kościoła, czasem na obiad z dziadkami, ale to było wszystko. Każdą pozostałą chwilę spędzaliśmy w zamknięciu.

Teraz wiedziałam więcej o niewidzialnym świecie, który mnie otaczał, znacznie więcej niż tata, i uświadamiałam sobie, że żelazo i kraty nie powstrzymałyby zombi. Mogły to uczynić tylko Linie Krwi. Wiedziałam, że zombi przyciąga życie -

czyli to, co utraciły. Wiedziałam, że najpierw łakną swoich zabójców, a potem przeciętnych ludzi. Stanowiliśmy dla nich smakowitsze danie, jak sądzę. Wiedziałam, że strach to dla nich afrodyzjak, a furia to deser.

Emocje potęgowały apetyt.

Choć nie byłam wtedy szczęśliwa, tęskniłam teraz za niegdysiejszym życiem. Tęskniłam za godzinami, kiedy tuliłam zasypiającą siostrę. Tęskniłam za czułymi uściskami matki, których mi nigdy nie skąpiła. Tęskniłam za uśmiechami, którymi rodzice się obdarzali. Za domowym jedzeniem. Za karteczkami, które matka zostawiała mi pod poduszką.

„Kocham cię, Alicjo Rose”.

„Myślałam dziś o tobie, kochana dziewczyno”.

„Jesteś taka silna i piękna. Jakim cudem spotkało mnie tyle szczęścia?”

Wspominanie wywołało szarpiący ból, czułam go w piersiach, raz za razem, znowu i znowu, ostre jak brzytwa szpony rozrywające ciało i mięśnie, nawet kości, do żywego, do krwi. Cierpiałam. O nieba, cierpiałam z powodu głodu, którego nikt nigdy nie powinien doświadczyć. Jakbym nigdy nie miała nic w ustach. Jakby moje ciało pochłaniało

samo siebie, komórka za komórką. I cały czas te dwa serca waliły mi w piersi.

Uwolniłam koszmarny krzyk.

Ból się tylko spotęgował, przeszył mi mózg, sięgnął nawet palców u stóp. Staralam się zagłębić palce w czaszce, w piersi, gdziekolwiek, byle wyrwać go z siebie, ale byłam żałośnie bezradna.

Krew w moich żyłach przemieniła się w roztopione żelazo, paląc od środka. Jednak sekundę później poczułam na skórze chłód, który przyprowadził mnie o drżenie. Zimno. Zęby mi szczykały, gdy zagrzebywałam się pod koc. Żar. Odsunęłam nogami głupie okrycie. Zimno. Podciągnęłam ręce na piersi, próbując się skulić, by było mi cieplej. Żar. Zaczęłam szarpać na sobie ubranie.

- Ali! - zawołał jakiś głos. Wiedziałam, że jest znajomy. Męski. Ochrypliły od troski.

Cole, być może. Wzięłam głęboki oddech, i och, on pachniał tak cudownie. Był czysty, chrupki, skrzył się energią. Znowu ogarnął mnie ten niepowstrzymany głód. Ślina napłynęła mi do ust.

- Nakarm mnie - zaskrzeczałam.

Poczułam na policzkach delikatne, łagodne dłonie, które głaskały mnie uspokajająco.

Zakończenia moich nerwów oszalały, potęgując ból jeszcze bardziej. Szarpnęłam się.

- Nie. Nie rób tego.

- Ali.

Złap go. Pożryj go. Od razu poczujesz się lepiej.

- Zaaplikowałam jej podwójną dawkę antidotum, i to wiele godzin temu. Dlaczego jej stan się nie poprawia?

Zdecydowanie Cole. Był tu. Był ze mną.

- Daj jej jeszcze jedną.

- Zniesie to?

- A mamy jakiś wybór?

Ostre ukłucie w szyję, potem zimno rozlewające się po żyłach; ból i głód zostały w końcu stłumione, zamarły. Ten drugi puls zwolnił, złagodniał, ale nie zniknął całkowicie. Mimo wszystko wystarczyło. Miałam wrażenie, że zapadam się w sobie, jakby pozbawiona kości.

- Ali, musisz się obudzić, okay?

Dla Cole'a wszystko. Przedarłam się przez zasłoniętą ciemności, która spowijała moją świadomość, i z trudem uniosłam powieki. Z początku widziałam tylko mgiełkę białych chmur.

Chmury.

Emma.

Ale... nie było jej tutaj. Gdzie znajdowało się owo „tutaj”? Zmarszczyłam czoło.

- Dobra dziewczyna, tak trzeba - powiedział Cole. - Wróć do mnie, kochanie.

„Kochanie”.

Czułe słowo.

Nie był już na mnie zły.

Zamrugałam szybko, odpędzając mgłę. Cole nachylił się nad brzegiem łóżka, przyglądając mi się z uwagą. Czarne włosy opadające niesfornie na czoło pokryte głębokimi bruzdami troski i jednocześnie ulgi. Oczy miał szkliste i przekrwione; domyśliłam się, że od dawna nie spał. Zarost, który zawsze nosił, teraz zrobił się znacznie gęstszy.

- Hej - odezwał się cicho.

- Hej. - Mój głos był zdarty, jakby przecięto mi struny głosowe i dopiero co pozszywano na nowo.

- Cieszę się, że znów ze mną rozmawiasz.

Zmarszczył czoło i nagle dojrzałam pod zewnętrzną powłoką wyczerpania wzbierający gniew.

- Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek z tobą nie rozmawiał.

- Wobec tego mnie unikałeś.

Teatralna pauza. Potem przyznał:

- Tak.

Sekundę później świat wokół mnie zawęził się tak bardzo, że istniał w nim tylko Cole. Ogarnęło mnie radosne uniesienie – wreszcie doznawaliśmy wizji...

...Cole stał na drugim końcu pokoju gier pana Ankha. Uśmiechał się, słuchając czegoś, co mówiła mu Veronica. Ja stałam naprzeciwko Gavina, moje dłonie spoczywały na jego policzkach.

„Jesteś lepszym człowiekiem, niż kiedykolwiek sądziłam” – oznajmiłam mu.

„Wiem” – odparł.

„I jesteś taki skromny”.

Parsknął śmiechem.

„Cieszysz się, że sprawy przybrały taki obrót?”.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę Cole’a. Napięcie, które przez tych kilka tygodni okrywało go niczym druga skóra, zniknęło bez śladu.

„Tak. Tak, cieszę się...”

Wizja zniknęła w okamgnieniu wraz z moim radosnym uniesieniem, a Cole opuścił głowę i oparł ją o dłonie; potem przejechał palcami po włosach, które i tak już były zmierzwione.

- Gavin to męski ogier, sama wiesz. Nigdy nie był z tą samą dziewczyną dwa razy. I nigdy nie podobały mu się blondynki. Nie zostanie z tobą długo.

Wyczuwałam w jego tonie lodowatą nutę i to mnie przeraziło.

- Nie interesuje mnie Gavin. - Spróbowałam usiąść. - Cole, musisz...

- Nie mów nic. Po prostu... nic nie mów. - Wykonując nerwowe ruchy, podsunął mi pod plecy dwie poduszki i sięgnął po szklankę z wodą na stoliku nocnym.

Uświadomiłam sobie, że leżę w swojej sypialni. Przez zasłony przenikał nieustępliwy blask słońca, a iPod, który dostałam wcześniej od Cole'a, stał na biurku. Pokój wypełniała cicha muzyka.

Przysunął mi słomkę do ust.

- Pij.

Spełniłam posłusznie polecenie; chłodny płyn spłynął w dół gardła, przynosząc chwilowe ukojenie, ale potem zaczął się burzyć w żołądku, pobudzając kwas.

- Dziękuję.

Skinął sztywno głową i odstawił kubek.

- Porozmawiajmy o tym, co stało się z Justinem.

Tak. Okay. Bezpieczny temat.

- Doszedł do siebie?

- Owszem, i to znacznie szybciej niż ty.

Nuta oskarżenia w jego głosie uderzyła mnie nieprzyjemnie. Spojrzałam na niego ze złością.

- Hej, nie miej do mnie pretensji. To ja jestem w tym przypadku ofiarą.

Potarł się po karku, nieco skruszony.

- Tak, wiem. Przepraszam. To było dość stresujące... patrzeć, jak cierpisz, i nie móc nic zrobić.

Odprężyłam się powoli.

- Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby jakiś zabójca ugryzł w ten sposób innego zabójcę?

- Nie, o ile mi wiadomo. Nie wtedy, gdy obaj wciąż byli ludźmi.

Dlaczego Justin? Dlaczego ja? Czym się wyróżnialiśmy?

- Czy próbowałam ugryźć kogokolwiek, kiedy byłam... nie do końca sobą? - W chwili, gdy zadałam to pytanie, powróciły szeroką falą wspomnienia. Cole. Próbowałam ugryźć Cole'a.

- Jedynie mnie - odparł bez cienia emocji.

Miałam wrażenie, że wchłaniam przerażenie jak gąbka.

- Przepraszam - rzuciłam pospiesznie. - Wiem, że zawiodłam. Zaraz. Zawiodłam, tak?

Skinął głową, raz i energicznie.

- Zawiodłaś.

Znowu się odprężyłam, ale tylko odrobinę.

- Przepraszam, Cole. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło, ale wiem, że więcej tego nie zrobię. Obiecuję ci.

Wzruszył ramionami - i nie mogłam się zorientować, czy chce mi w ten sposób powiedzieć, że mi wierzy... czy że nie wierzy.

- Mówię poważnie - zapewniłam żarliwie.

- Próbowalaś mnie ugryźć więcej niż jeden raz - oznajmił bezbarwnym głosem.

Och. Nie mogłam sobie tego przypomnieć.

- Tak mi przykro - powtórzyłam. - Nie zdawałam sobie sprawy...

- Wiem.

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę. Czy wzbudzałam w nim teraz obrzydzenie?

- Myślisz, że Anima zaprogramowała Justina, żeby mnie zranił? Żeby wywołał u mnie taką reakcję, sądząc, że zniszczymy się nawzajem?

- Może, ale podobnie jak ty sędzę, że Justin nie wiedział, co robi.

Pełna zgoda. Ta czerwień, którą widziałam w jego oczach...

- Gdzie teraz jest?

- Ankh trzymał go przez kilka dni na dole, w lochu, jak lubisz nazywać to pomieszczenie, żeby się upewnić, że antidotum działa i że nie będzie

próbował zaatakować nikogo więcej. Przeprowadzono badania, które wykazały w jego krwi obecność dziwnej toksyny. Nie zombicznej, w gruncie rzeczy antyzombicznej. Innej niż to, co znajduje się w antidotum. Wydaje nam się, że dlatego zwymiotował.

Zaraz. Chwila moment.

- Kilka dni? Jak długo byłam nieprzytomna? Moją krew też zbadaliście?

Był przyzwyczajony do moich seryjnych pytań, więc nie sprawiły mu kłopotu.

- Około tygodnia. Owszem, miałaś... masz... w sobie tę samą antyzombiczną toksynę, tyle że znacznie więcej, co każe nam przypuszczać, że się nią z nim podzieliłaś, kiedy cię ugryzł.

Cholera. Straciłam kolejny tydzień życia. Moja biedna babcia. Rany, moje biedne oceny szkolne.

- Jak i gdzie wchłonęłam tę toksynę? I dlaczego jest w mojej krwi, a nie w moim duchu?

Wzruszył ramionami.

- To być może kwestia zdolności, jak te wizje. I jeśli toksyna jest w twoim duchu, to jest i w twojej krwi. Musimy zbadać to, co tylko się da.

Tak. Okay. Wszystko to miało sens.

Kiedy wprowadziłam się do babci, znalazłam pamiętnik pisany dziwnym numerycznym szyfrem,

który zawsze sam się „ujawniał”. Dowiedziałam się, że niektórzy zabójcy rodzą się obdarzeni pewnymi zdolnościami, których nikt nie potrafi wyjaśnić. Było tam o trucicielskim duchu i tym samym trucicielskiej krwi – co w gruncie rzeczy należało uznać za coś pozytywnego. Podobnie jak Justin, zombi odczuwały obrzydzenie, gdy tylko mnie ugryzły.

- Tak do twojej wiadomości, powiedzieliśmy wszystkim, że przesadziłaś z walką i że rana otworzyła ci się na nowo – oznajmił Cole. - Co w obu przypadkach jest prawdą.

- Dziękuję.

Skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

Zamierzał... mnie zostawić? Tak po prostu?

- Cole! - zawołałam. - Musimy porozmawiać.

- Musisz przede wszystkim wypocząć.

- Cole. - Mój głos przypominał smagnięcie biczem. Nie pozwolę mu odejść. Nie tym razem.

Przystanął i spojrzał na mnie. Nic nie mogłam wyczytać z jego twarzy.

- To się musi skończyć.

Kiwnął głową, a oficjalna sztywność tego gestu wzbudziła we mnie niepokój.

- Próbowałam cię nie naciskać, ale musisz zdobyć się na jakieś wyjaśnienia. Twoje milczenie doprowadza mnie do szału.

Skrzyżował ramiona na piersi, jakby szykował się do walki.

- O niektórych rzeczach nie należy mówić, Ali.

Akurat dziś nie mogłam tego zaakceptować. Posunęłam się już tak daleko...

- W klubie nie chciałeś spędzić ze mną czasu. Dlaczego?

Przesunął językiem po zębach.

- Powiedziałem ci już wszystko, co mogłem na ten temat.

- Prosiłeś mnie, żebym ci zaufała, a teraz ja cię proszę, żebyś mi zaufał i powiedział prawdę. No więc dlaczego?

Milczenie.

Cholera! Spróbowałam innego podejścia.

- Powiedziałeś mi, że chcesz, żebym trzymała się od Gavina z dala, a jednak to ty trzymałeś się ode mnie z daleka. Dlaczego?

Znowu milczenie.

Niech go diabli! Tyle z siebie dawałam, a on niczym się nie odplacał.

- To, co zobaczyliśmy w tej wizji...

- Stanie się. - W jego oczach zapłonęła furia, pozwalając mi wejrzeć pod tę pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu maskę. - Wiesz, że tak będzie. Zawsze tak jest.

Zaprzeczałam temu przed sobą, ale nie mogłam zaprzeczać przed nim. Rzucił mi wyzwanie, zmuszając do odsłonięcia kart.

- Może to nie oznacza wcale tego, co sądzimy.

Przechylił głowę, przyglądając mi się w skupieniu. Z nadzieją?

- A co według ciebie oznacza?

- No... nie wiem. - Nie byłam w tym momencie w najlepszej formie. Ale, jak wiedziałam, tylko dlatego, że stałam z Gavinem, a Cole stał z Veronicą, i że dotykałam Gavina, a Cole uśmiechał się tak błogo do Veroniki, nie oznaczało, że jesteśmy z nimi związani. - A ty co myślisz?

Błagam, powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

Wiedziałam, że powie. Musiał powiedzieć. Niewielu ludzi było tak wielowarstwowych jak Cole. Twarda zewnętrzna powłoka skrywała ostrza brzytwy, a one skrywały stal. Ale jeśli ktoś zdołał zagłębić się bardziej - i zadać sobie krwawe rany - odnajdywał miękkie, plastyczny środek. Ja się kiedyś zagłębiłam. I znalazłam. Nie, nigdy nie pozwoliłby mi odejść, nie zwróciłby się ku Veronice.

- Myślę, że to oznacza, że... z nami koniec - odparł i zamknął oczy.

Powiedział to. Naprawdę powiedział.

Równie dobrze mógł dać mi w twarz.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie.

- W porządku, pozwól, że wyrażę to inaczej. Wiem, że to oznacza, że z nami koniec. Tak musi być. Niemal cię straciłem dwukrotnie i stracę cię na dobre, kiedy te wizje się urzeczywistnią. Nie mam zamiaru trzymać się przegranej sprawy, Ali.

Pojawiła się panika. Musiałam sprawić, by mnie zrozumiał.

- Nie jestem przegraną sprawą. Nie podoba mi się Gavin.

- Ale ci się spodoba.

Nie!

- Nie rób tego. Błagam! Musisz mi zaufać. Błagam - powtórzyłam i nie obchodziło mnie, że w moim głosie słychać rozpacz. - Są rzeczy, których potem nie da się już cofnąć, i to jest właśnie jedna z nich.

Ogarnęła go jakaś straszliwa martwota. Nie byłam nawet pewna, czy oddycha. Po chwili podszedł do ściany i wziął zamach pięścią.

Bum! Drgnęłam bezwiednie. Tynk nie wytrzymał, odsłaniając dziurę. W powietrze wzbija się chmura gipsowego pyłu.

Oto miałam przed sobą niebezpiecznego chłopaka, przed którym ostrzegano mnie na samym początku. Takiego, przed którym matki chciały chować swoje córki. Roztapiacza majtek, jak mówiły na niego niektóre dziewczyny w szkole. Faceta, którego inni się bali. Bezwzględного przestępcę. Maszynę o twardym sercu.

- Nie spojrzę nagle na Gavina i nie zacznę go pragnąć - wyszeptałam. Nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić. - Ty jesteś jedyny. I to do ciebie niepodobne - dodałam. - Nigdy się nie wycofujesz. Nigdy się nie wycofujesz z walki.

Walcz o mnie.

Oparł czoło o zdewastowaną ścianę.

- Cole - powiedziałam cicho. Muszę do niego dotrzeć. - Pragniesz Veroniki?

- Nie - odparł, a ja mogłabym w tej chwili zaszclochać z ulgi. - Ani trochę.

- Widzisz!

- Ali, ja... - Wyprostował się, obrócił w moją stronę. Dostrzegłam cień paniki, ale ułamek sekundy później jego rysy przykryła maska lodu, a ten lód był po stokroć gorszy niż furia, którą

wcześniej okazał. - To, co czujemy teraz, nie stanowi problemu. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz. Wątpię, czy zdołam kiedykolwiek wybaczyć sobie. Ale... to koniec.

Koniec.

Tak zwyczajnie.

Po wszystkim. Raz na zawsze.

- Cole.

- To koniec - powtórzył bardziej zdecydowanym tonem. - To koniec.

Jak ostatecznie to brzmiało. Jak pewnie.

Po raz drugi w życiu serce rozpadło mi się na tysiąc kawałków. Myślałam, że umrę. Teraz jednak miałam drugie serce, nowe, czymkolwiek było, i ono mogło przejąć pałeczkę i utrzymać mnie przy życiu.

Pogrążony w milczeniu, ruszył w stronę wyjścia, oddalając się ode mnie.

- Nie będę się za tobą czołgała - rzuciłam chrapliwym głosem.

- Nie chcę, żebyś to zrobiła.

Tymi pięcioma słowami zmiażdżył mnie do reszty. Mojego ducha, duszę i ciało. Nie zamierzałam dawać mu po temu drugiej okazji. Nie mogłam.

- Nie będę chciała cię widzieć, nawet jeśli to ty przyczołgasz się do mnie.

- Wiem - odparł z nutą rozpaczony w głosie. -
I nie... nie mogę... - Pokręcił głową. - Nie mogę
powiedzieć nic, co ułatwiłoby to nam obojgu, i jest
mi z tego powodu przykro. Nigdy się prawdopodobnie
nie dowiesz, jak bardzo. Ale to niczego
nie zmieni. Tak musi być.

Odwrócił się i wyszedł.

Witaj w swoim koszmarze

Ja...

Załamalam się...

Po prostu.

Znalazłam w sobie ledwie dość siły, żeby nie upaść. Trzęsły mi się nogi. Z wściekłości. Smutku. Bezradności. Żalu.

Bólu.

Chciałam pobiec za Cole'em i rozszarpać go, tak jak on uczynił to ze mną. Chciałam go uderzyć. Chciałam na niego wrzeszczeć.

Chciałam, by cierpiał tak, jak ja cierpiałam.

Chciałam płakać i błagać, by do mnie wrócił.

Chciałam znaleźć się w jego ramionach.

Chciałam go nienawidzić.

Może naprawdę go nienawidziłam. Tego dnia dowiedział, że nie jest takim godnym podziwu chłopcem, za jakiego go uważałam. Czy mogło być inaczej? Pozbył się mnie tak samo, jak pozbył się

Mackenzie. Jakbym nic nie znaczyła. Z tą różnicą, że dostałam wcześniej drobne ostrzeżenie. Tyle że nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy.

Postanowiłam unikać go już zawsze.

Wiedziałam jednak, że znów go zobaczę. Oczywiście, że tak. I że będziemy nawet ze sobą rozmawiać. W sposób nieunikniony. Był poniekąd moim szefem. Ustalił grafik nocnych dyżurów. Prowadził szkolenie. Ale tamto pełne swobody koleżeństwo, które nas łączyło, dobiegło końca. Żartobliwe zaczepki. Pocałunki. Dotykanie.

Dobiegło końca.

Zamierzał uchronić siebie i mnie przed jeszcze większym cierpieniem, przed udziałem w przegranej bitwie, przed tajemnicą, o której nie chciał rozmawiać, przed spustoszeniem i wstydem, jakich byśmy doznali, zakochując się w innych ludziach i będąc jednocześnie razem.

Byłam gotowa zaryzykować.

On doszedł do wniosku, że nie jestem warta tego wysiłku.

Rozejrzałam się po pokoju, który nie należał do mnie, po moim tymczasowym lokum. Jedyne, co do mnie tu należało, to ubrania w szafie i komodzie. Podeszłam niepewnie do komody, nie bardzo wiedząc po co – dopóki nie poczułam, jak moje

palce zaciskają się na jej krawędzi, a ramiona napierają z całej siły; mebel runął z hukiem na podłogę.

Chwyciłam szufladę i rzuciłam nią, potem drugą, potem jeszcze jedną. Na wszystkie strony poleciały skarpetki i bielizna. Widok tych rzeczy na podłodze tylko mnie rozwścieczył. Byłam tak jak one. Ciśnięta w kąt, tam gdzie nie powinnam się znaleźć.

Cole zmienił właśnie bieg mojego życia, a ja nie potrafiłam go powstrzymać. Tak jak nie potrafiłam zapobiec wypadkowi.

Ile jeszcze zmian byłabym zmuszona przeżyć?

Wszystko się zmieniało. Świat. Pory roku. Czas. Ludzie. Nic nie pozostawało takie samo i nikt nie pozostawał taki sam. Zaakceptowanie kolejnej zmiany powinno być łatwe. W końcu i ja się zmieniałam. Wiedziałam, że pewnego dnia zapomnę o Cole'u i uczuciach, jakie wobec niego żywiłam. Że podążę dalej.

I on też.

Że będzie się spotykał z inną dziewczyną.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę zdjęcia, które trzymałam na stoliku nocnym. Kat zrobiła je, kiedy byłam zbyt rozkojarzona, żeby się zorientować, że w pobliżu jest ktoś jeszcze. Cole stał za mną i otaczał mnie ramionami. Brodę wspierał na mojej głowie i wyglądał na niezwykle

zadowolonego, a ja uśmiechałam się z marzycielską pewnością dziewczyny, która rzuca się bez wahania w wir miłości.

Miłość.

Nie, nie chciałam go kochać.

Chwyciłam to zdjęcie i rzuciłam nim przez cały pokój, moje nowe serce waliło z niebezpieczną szybkością, płuca płonęły, niezdolne wchłaniać dostatecznie dużo tlenu - jakby coś tkwiącego we mnie go pochłaniało. Czułam, jak kurczy mi się żołądek i twardnieje, zamieniając się w kawałek żelaza - ale żelaza wydrążonego i łaknącego wypełnienia. Znowu byłam głodna, tak piekielnie głodna... Tylko że nie pragnęłam jedzenia. Pragnęłam... Nie bardzo wiedziałam czego. Potrzebowałam tego jednak.

Natychmiast.

Dzwoniło mi boleśnie w uszach. Na czoło i dłonie wystąpił pot; spływał strużkami po plecach. Pokój zawirował, traciłam równowagę, zamachałam rękami, żeby ją zachować... ale i tak się przechyliłam gwałtownie... i poczułam gwałtowne i ostre ukłucie w całym prawym boku. Domyśliłam się, że runęłam na podłogę.

Pomocy! - próbowałam zawołać, ale z moich ust nie dożyły się żadne słowa. Serce biło mi coraz

szybciej, puls przyspieszył. Płuca zacisnęły się jeszcze bardziej, uczucie gorąca nasiliło. Miałam wrażenie, że dłonie i stopy ulegają mutacji, zamieniając się w bryły lodu.

Czyżbym... umierała? Tak, na pewno.

Podczołgałam się do biurka, sięgnęłam na ślepo po komórkę i strąciłam lampę. Po podłodze rozsypało się szkło.

Musiałam wysłać esemesa do Col... Nie, do babci. Wiedziałam, że się zjawi. Że się mną zaopiekuje - ona na pewno mnie kochała. Nie mogłam jednak dojrzeć klawiatury telefonu. Pokój wciąż wirował.

Usłyszałam skrzypienie zawiasów.

- Ali? Wszystko w porządku? Co się tu stało?

Męski głos. Rozpoznałam go. Pan Ankh?

Pomocy - próbowałam powiedzieć, ale z moich ust znowu nie dobył się żaden dźwięk.

Kroki. Poczułam, jak wsuwają się pode mnie silne ramiona i dźwigają z podłogi. Miałam wrażenie, że unoszę się przez chwilę w powietrzu, zanim moje plecy dotknęły materaca.

- To ta toksyna? - spytał, wbijając mi igłę w szyję. Tak, to musiał być pan Ankh. Podobnie jak my wszyscy, nosił w kieszeni antidotum. Na wszelki wypadek.

Przez moje żyły zaczął płynąć zimny strumień, a głód przygasał.

- Oddychaj - nakazał łagodnie. - Wdech. Wydech. O, właśnie tak. Jeszcze raz. Jeszcze raz. - Poczułam na czole dłonie. Przynosiły pociechę, której tak bardzo potrzebowałam. - Jeszcze raz.

W końcu moje serce... serca... zaczęły zwalniać. Płuca znów napełniały się powietrzem. Przestałam się pocić, a chłód pocałował mnie na pożegnanie.

Zamrugałam, otworzyłam oczy i zobaczyłam pana Ankha, który siedział na brzegu mojego łóżka. Jego wciąż przystojna twarz zdradzała troskę.

- Nie było to skutkiem toksyny, prawda? - spytał. Troska ustąpiła przed współczuciem.

Milczałam.

- Zdarzyło ci się to wcześniej?

- C... co? - Że niemal umarłam?

- Atak paniki.

Atak paniki? Nie.

- To nie to.

Przetrwałam śmierć rodziny. Jej odejście nie naruszyło mojej równowagi umysłowej. Nie dopuściłam do tego.

- Ali, kochanie, jestem lekarzem. Co więcej, przez kilka lat małżeństwa byłem związany

z kobietą cierpiącą na zaburzenia lękowe. Wiem, jak wygląda atak paniki.

Zaburzenia lękowe. Nie, to też nie.

- Nic mi nie jest - odparłam drżącym głosem. -
To tylko zmęczenie.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Stało się coś, co wywołało taką reakcję?

Coś? Na przykład to, że utraciłam część samej siebie?

- Powiedziałam panu, że nic mi nie jest - odparłam sztywno i natychmiast pożałowałam swojego tonu. Był miły, starał mi się pomóc. Nie zasługiwał na moją niechęć.

Westchnął i wstał.

- Im więcej wie się o przyczynach, tym lepiej można sobie poradzić ze skutkami. Jeśli będziesz chciała kiedykolwiek o tym porozmawiać...

- Nie chcę. Raczej nie. Naprawdę czuję się dobrze.

- W porządku. I nie martw się o pokój. Przyślę kogoś do sprzątanía.

- Nie! Nie - powiedziałam już łagodniej. - Zajmę się tym.

Chwila milczenia.

- Jeśli tak wolisz. - I, podobnie jak wcześniej Cole, wyszedł z pokoju.

Zostawił mnie samą.

Moje nowe serce znów przyspieszyło biegu.

*

Ustawiłam meble i posprzątałam pokój, załatałam nawet dziurę w ścianie. Tę, którą wyrąbał Cole. Przypominała mi go, a ja w tym momencie nie życzyłam sobie takich pamiątek. Zdjęcie wrzuciłam do kosza na śmieci.

Następny tydzień upłynął mi w otępieniu. Każdego dnia musiałam zagrzebywać głęboko emocje i udawać, że wszystko jest okay - żeby wytrzymać jakoś w szkole. Kat i Reeve traktowały mnie jak zawsze - nie miały pojęcia, że Cole i ja się rozstaliśmy. Nie powiedziałam nikomu, tak jak on z jakiegoś powodu. Sądzę jednak, że dziewczyny się czegoś domyślały i spodziewałam się niebawem licznych pytań.

Trzymałam się z dala od siłowni Cole'a i ćwiczyłam z Kat w domu pana Ankha. Wciąż nie byłam wyznaczona do nocnych patroli, ale nie upierałam się przy tym, ponieważ zombi nie pokazały się po raz drugi.

Nie jadłam, nie spałam.

Nie mogłam tak egzystować.

- Emmo - powiedziała, zagrzebując się pod kołdrę. - Emmo.

Potrzebowałam swojej małej siostry.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim zmateri-
alizowała się na środku pokoju.

- Och, Ali - wyciągnęła się obok mnie na łóżku, a jej dłoń przeniknęła przez moje włosy. Zdołała mnie uspokoić, serce odzyskało miarowy rytm, ból głodu, który zdawał się trwać bezustannie na obrzeżach świadomości, zniknął. - Nie znoszę oglądać cię w takim stanie.

- Czuję się lepiej, kiedy tu jesteś.

- Cieszę się. Również dlatego, że mnie wezwałaś.

- Jej ciemne oczy błysnęły. - Ucieszysz się, jeśli powiem, że obserwowałam Cole'a? Jemu też jest ciężko.

- Może - odparłam, pociągając nosem. -
Dlaczego go obserwowałaś?

- Wydaje mi się, że szpieguje innych zabójców.

Dlaczego miałyby to robić? Ufał ludziom, którzy go otaczali, to znaczy wszystkim prócz mnie, i...

Zaraz.

- Już mnie to nie obchodzi. - Zmieniłam temat. -
Tamtej nocy, kiedy zostałam ugryziona, nie wywołałaś na niebie króliczej chmury. Dlaczego?

- Obserwowałam gniazda zombi, żadne nie zdradzało najmniejszego ruchu. Te, które cię zaatakowały, wzięły się znikąd.

Nie, musiały się skądś wziąć. Ale skąd? I co to mogło oznaczać dla przyszłości?

Nie mogę się skoncentrować. Jestem taka zmęczona.

- Nie słuchasz mnie - zauważyła, śmiejąc się cicho. - Odpocznij.

Musiałam w końcu zasnąć, jak mi się zdaje; kiedy otworzyłam oczy, już jej nie było.

W czwartek babcia próbowała porozmawiać o moim nagłym przygnębieniu. Martwiła się, że jestem chora. Zapewniłam ją, że czuję się świetnie.

W piątek Mackenzie i Trina uparły się, że odwiozą mnie po szkole do domu, więc usadowiłam się na tylnym siedzeniu zdezelowanego jeepa. Niczego nie trzeba było im mówić; znały już moją sytuację.

- Rozpoznaję ten szklisty wzrok - oświadczyła Mackenzie, obracając się na siedzeniu pasażera. Ten jeden raz w jej głosie nie wyczuwało się wścickiego podniecenia, a twarz nie zdradzała protekcyjności ani gniewu. - Wiem, że nigdy nie darzyłyśmy się sympatią, ale wierz mi, przykro mi z powodu tego, co przeżywasz. Może powinnam

była cię ostrzec. Tak właśnie robi. Tak zawsze robił.

Wyglądałam przez okno. Słońce świeciło tego dnia oślepiająco, jego blask przyprawiał mnie o łzy.

- Co przez to rozumiesz? Co on zawsze robi?

- Wieje, kiedy sprawa robi się poważniejsza, i sędzę, że nawet sobie tego w pełni nie uświadomiam. Szuka wymówki, a potem trach! Koniec.

Przypomniałam sobie tę panikę, którą - jak mi się zdawało - dostrzegałam w jego oczach. Wmawiałam sobie, że to tylko moja wyobraźnia, ale jeśli była to za każdym razem zapowiedź końca naszego związku? I że wizje nie miały z tym nic wspólnego?

- Wczoraj spytałam o to Veronicę wprost - odezwała się Trina. - Kiedy z nią zerwał, powiedział, że ma już dosyć tego długoterminowego romansu.

Zastanawiałam się, co powiedziałby mnie, gdyby w końcu zaczął mówić.

- To wspaniały facet - dodała Mackenzie. - Ale nigdy nie wytrzymał długo w związku.

- Myślę, że tak samo jest z przyjaźniami. Nie zrozum mnie źle, wiem, że kocha nas, swoich zabójców. - Trina skrzyła w ulicę, przy której mieszkała Reeve. - Nie ma co do tego żadnych

wątpliwości. Ale zawsze mam świadomość, że trzyma mnie na emocjonalny dystans. Robi tak z każdym z wyjątkiem Szrona i Bronxa. Są jak bracia obdarzeni innymi matkami czy coś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, byłam zdumiona, że tak bardzo pozwolił ci się zbliżyć do siebie. I tak szybko.

Wydawało mi się, że rozumiem. Cole stracił mamę; padła ofiarą zombi. Wiedział, że straci tatę, jeśli ten zostanie następnym razem ugryziony, ponieważ uodpornił się na antidotum. Gdyby związał się z kimś innym na dobre, powiedzmy z dziewczyną, a potem ją też stracił, to – jak zapewne sądził – nie zdołałby tego przeżyć.

Powróciła wściekłość – jej korzenie nigdy nie obumierały. Jak śmiał? Jak śmiał mnie zwodzić, sprawiać, bym pragnęła więcej, podczas gdy sam nigdy nie zamierzał w tym wytrwać? A potem rzucił mnie z powodu tego, co mogłoby się kiedyś tam stać... Z powodu strachu.

- Wrócił kiedykolwiek do swojej byłej?

- Nigdy. Nawet wtedy, gdy szłyśmy na całość i próbowałyśmy zwrócić jego uwagę, zadając się z kimś innym – dodała z goryczą.

Wyczuwałam, że coś się za tym kryje, ale nie naciskałam.

- Jaka była wymówka w twoim przypadku? - spytała Mackenzie.

- Słyszałyście o mojej wizji z Gavinem?

Skinęła głową.

- Gavin prosił w tej sprawie o radę.

- To była właśnie wymówka.

Dostrzegłam w jej oczach błysk gniewu. Z mojego powodu?

- Pewnego dnia pojawi się jakaś dziewczyna, a on nie będzie chciał z nią zerwać. Może to ona z nim zerwie, a on się dowie, co oznacza porzucenie.

Może. Ale to by oznaczało, że ją kocha. Wbiłam sobie paznokcie w udo.

- Myślę, że twoja wizja z Gavinem jest powodem, dla którego Cole nie wspomniał nikomu słowem o zerwaniu - oznajmiła Trina. Zaparkowała na podjeździe pod domem Reeve. - Nie chce, żeby Gavin pytał cię o tę twoją umiejętność. Zrobiłby to, gdyby wiedział, że ty i Cole zerwaliście ze sobą.

- Co jest dla Cole'a nietypowe - zauważyła Mackenzie, trochę zaskoczona. Trochę zaintrygowana. - Cole nie przejmuje się zwykle tym, co robi dziewczyna albo z kim, kiedy już daje sobie z nią spokój.

Z jednej strony poczułam dreszcz nadziei. Może wciąż mu na mnie zależało. Z drugiej miałam

ochotę szydzić z samej siebie. Czyżbym była tak żałosna?

- Ja i Cole to już historia, koniec, kropka. Przeżyję - oznajmiłam zwięźle. - Dzięki za podwózkę, dziewczyny. I za rozmowę. Doceniam to.

Mackenzie chwyciła mnie za rękę, zanim zdążyłam wysiąść.

- Możesz na nas zawsze liczyć.

*

Znowu mi się to śniło.

Matka wyciągała do mnie ręce. Czułam przenikliwe ciepło.

Potrząsała mną, krzycząc: „Alicjo, ocknij się!”.

Nie ocknęłam się. Nie tym razem.

Zjawiły się zombi, wyciągnęły ją z wraku i rzuciły na zimny, twardy asfalt obok mojego ojca. Potem runęły na nią, znikając w jej wnętrzu i pożerając w jej ciele ducha. Z początku krzyczała i walczyła. Potem ucichła i tylko wiła się z bólu. Potem znieruchomiała. Na jej skórze pojawiły się czarne wrzody, znak, że zombiczna toksyna zatruwa ją od środka.

Patrzyłam na to bezradnie, szlochając.

I gdy się obudziłam, miałam mokre policzki.

Czy umarła w ten sposób? Sama myśl przyprawiała mnie o straszną, mroczną wściekłość. Moja matka była taką łagodną, pełną miłości kobietą. Nigdy nikogo świadomie nie zraniła. A te istoty tak się nad nią znęcały...

Nie zmienisz przeszłości. Wygramoliłam się z łóżka i powlokłam pod prysznic. Stałam pod nim tak długo, aż moje palce u rąk i nóg przypominały suszone śliwki. Wytarłam się ręcznikiem, potem przesunęłam drżącą dłonią po zaparowanym lustrze. Uchwyciłam swoje odbicie i zatoczyłam się do tyłu, zszokowana. Byłam... było... To niemożliwe.

Tik-tak. Tik-tak.

Ten dźwięk rozbrzmiewał mi szeptem w głowie, w zgodnym rytmie z moim nowym sercem. Przysunęłam się do lustra tak blisko, jak było to możliwe, dopóki nie oparłam się o zaokrągloną krawędź umywalki. Miałam ciemne smugi pod oczami i wokół ust, a nad sercem czarną plamę wielkości mojego kciuka. Choć szorowałam się z całej siły, zostawiając na ciele pręgi i niemal zdzierając sobie skórę, te niepokojące ślady pozostały.

Czyżby stres?

Może. Prawdopodobnie.

Odwróciłam się od lustra i dźwięk tik-tak zamarł. Drżały mi ręce, kiedy wciągałam na siebie

podkoszulek, dżinsy i wojskowe buty, a potem przypinałam do kostek pochwy ze sztyletami.

Wzięłam komórkę i napisałam do Kat.

„Jak szybko możesz się tu dostać? Czas poćwiczyć”.

Była sobota, tuż po dwunastej w południe. Skończyłam z unikaniem Cole’a. Wybierałam się do jego siłowni i zamierzałam żyć dalej. Dobrowolne uwięzienie nie służyło mi. Bez wątpienia.

Kat: „Na przykład od razu. Jestem tutaj! Przyjdź do pokoju Reeve”.

Ja: „Już idę”.

Kat: „Idź szybciej. Reeve mnie irytuje”.

Reeve: „ONA KŁAMIE! Nikogo nie irytuję”.

Przemknęłam się korytarzem i zaczęłam się wspinać na schody. Reeve zajmowała całe górne piętro. Dostałam się na podest i wkroczyłam do pierwszego salonu, czyli pomieszczenia ozdobionego różem, różem i jeszcze większą ilością różu, a do tego całymi górami koronek i falbanek. Ilekroć tu przychodziłam, wydawało mi się, że Walentynki zwymiotowały i oto jest rezultat.

Drzwi do sypialni były otwarte. Dziewczyny siedziały na brzegu wielkiego łóża z baldachimem (krytego różową satyną). Reeve przykładła dłoń do czoła Kat. Kat potrzęsała głową, jakby chciała

czemuś zaprzeczyć; policzki miała blade, oczy podkrążone.

- Dobrze się czujesz? - spytałam ją.

Spojrzenie orzechowych oczu spoczęło na mnie, potem umknęło w bok.

- Tylko nie ty. Przegapiłam drzemkę dla urody, to wszystko.

Nie. Chodziło o coś innego. Ostatnio miała więcej złych dni niż dobrych.

Znowu skupiła na mnie uwagę, przyjrzała mi się dokładnie i zmarszczyła czoło.

- No, ale co z tobą? To znaczy wiem, że przeżyłaś ostatnio coś, o czym nie chcesz nam powiedzieć, bo nie masz dość przyzwoitości, ale rany! Przypominasz chodzącą śmierć.

- Kat! - upomniała ją Reeve.

- Co? To prawda.

Spróbowałam zetrzeć przebarwienia ze skóry.

- Nie wiem, co się stało, ale nie mogę się pozbyć tych smug.

- Smug? Jakich smug? Masz ten sam śnieżnobiały odcień co zawsze - i jest to komplement, tak przy okazji. Jesteś jak wróżka z zimowej krainy czarów i zżerałaby mnie zazdrość, gdybym...

- Gdybyś nie była w sobie taka zakochana - wtrąciła Reeve ze śmiechem.

- Właśnie! Widzicie mnie, prawda? Bóg miał wyjątkowo dobry dzień, kiedy mnie stworzył, no, wiecie, odrobinka seksu tutaj, kropelka niesamowitości tam. Chodzi o... twoje oczy - zwróciła się do mnie Kat. - Są bardziej udręczone niż zwykle.

Smugi przyblakły? Tak szybko? Podeszłam do lustra i nachyliłam się, opierając dłonie o blat upstrzony śladami po makijażu. Z drugiej strony spojrzało na mnie moje odbicie; smugi były tak samo ciemne jak przedtem. Odczułam rozczarowanie, a ułamek sekundy później uświadomiłam sobie coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Coś znacznie gorszego.

Nie uśmiechałam się - w przeciwieństwie do swojego odbicia.

Tik-tak.

Pokręciłam energicznie głową, zamrugalam, ale obraz w lustrze się nie zmienił. Tik. Chwiejąc się na nogach, podniosłam rękę i poklepałam się po wargach. Tak. Kąciki ust nie podniosły się jakimś cudem bez udziału mojej świadomości. Tik.

Z trudem łapiąc oddech, wyprostowałam się i odwróciłam od lustra. To, co przed chwilą ujrzałam... figiel wyobraźni, nic więcej.

- Wyglądam normalnie? - zwróciłam się do dziewczyn.

- Jasne. Straciłaś trochę na wadze, ale pozwolą ci to nadrobić czekoladowe babeczki twojej babci - odparła Kat.

- Całkowicie - dodała Reeve.

Zyskałam potwierdzenie. Winna była moja wyobraźnia.

Nic się takiego nie stało, powiedziałam sobie. Wszystko wróci do normy, gdy tylko uporam się ze stresem.

Oblizalam wargi. Krok pierwszy: musiałam przestać udawać.

- Więc... rozstałam się z Cole'em. Skończyliśmy ze sobą na sto procent. Nie ma nadziei, byśmy się kiedykolwiek zeszli.

- Co? - sapnęła gwałtownie Kat, zrywając się na równe nogi. - Co zrobił? I wiem, że to jego wina, cholernego palanta! Zabiję go. Przysięgam! Reeve, gdzie twoje skittles?

Reeve zignorowała ją, kładąc sobie odruchowo dłoń na sercu.

- Och, Ali, tak mi przykro.

Uniosłam brodę, zachowując jakimś cudem spokój.

- Niepotrzebnie. Takie jest życie.

- Ale byliście tacy szczęśliwi. I spędzał z tobą noce - zauważyła Kat, wyraźnie wstrząśnięta. -

Bronx powiedział Szronowi, że Cole wielokrotnie się wymykał, żeby spędzać z tobą czas.

Pokręciłam głową.

- Może się wymykał i spędzał ze mną noc, ale tak naprawdę nigdy nie uprawialiśmy seksu.

Nawet przed moją rekonwalescencją.

Mama mówiła mi, żebym czekała na kogoś wyjątkowego. Kogoś, kto będzie mnie kochał i cenił nie tylko z racji ciała, i nie paplał o wszystkim swoim przyjaciołom. Kogoś, kto nie będzie mnie ranił. Kto nie będzie żądał więcej, niż byłabym w stanie mu dać. Kto mnie nie porzuci, gdy sprawy zaczną się komplikować. Myślałam, że Cole jest właśnie takim chłopakiem, ale wyczuwałam gdzieś w głębi duszy, że w jakimś sensie nie jest ze mną szczerzy do końca.

Gratulacje.

- Uważał, że nasz związek nie przetrwa - powiedziałam. - I nie podobałam mu się na tyle, żeby o mnie walczyć. To boli. Jestem tak wściekła, że mogłabym go poważnie uszkodzić, ale nie zamierzam się załamywać.

Nigdy więcej.

- No cóż, chłopcy potrafią wkurzyć. - Kat zarzuciła sobie włosy na ramię, szczerze przejęta. - Ali, zapomnij o treningu. Reeve, łap kluczyki i kartę

kredytową taty. Zrobimy sobie dziewczyński dzień, a ponieważ twój ojciec zalicza się do wrogiego obozu mężczyzn, niech płaci.

- Wydaje się to sprawiedliwe. Musimy tylko wrócić przed szóstą - odparła Reeve, wstając. - Mam randkę... to znaczy, hm, przepraszam, Ali. - Jej smagła skóra pokryła się rumieńcem, a ramiona przygarbiły pod brzemieniem wstydu. - Nie powinienam była wspominać o randce, kiedy ty cierpisz... Tak mi przykro.

Och, nie, nie, nie. Tylko nie to, żadnej litości.

- Nie śmiej gryźć się w język, kiedy masz ochotę mówić o swoim życiu miłosnym, i to jedynie dlatego, że moje spłonęło do szczętu.

- Tak. Święte słowa. Choć sama mam wrażenie, że i moje życie miłosne niedługo spłonie do szczętu. - Kat bawiła się kosmykami włosów. - Nie sądzę, by Szron zechciał stać się dla mnie dziewczyną, bo całkowicie odpuszczam sobie facetów.

Reeve pokręciła zdesperowana głową.

A ja? Zobaczyłam nagle Kat nowymi oczami. Groziła, że pośle Szrona w odstawkę tylko wtedy, gdy wyglądała blado i mizernie. Innymi słowy, kiedy odzywały się chore nerki. Uświadomiłam sobie, że kieruje nią strach, tak jak kierował

Cole'em. Czuła się prawdopodobnie bezbronna i za wszelką cenę chciała chronić siebie.

Biedna Kat. Pomyślałam, że pewnego dnia Szron może poczuć się zmęczony tym jej lodowatogorącym traktowaniem i rzucić ją.

Wycelowała palec w Reeve.

- Nie sądz, że zapomniałam o tym, że unikasz pytań o twojego tajemniczego faceta.

- Może ci o nim powiem. A może nie. - Jej ciemne bursztynowe oczy błysnęły wyzywająco. - Nie tylko wy potraficie dochować sekretu.

Kat się wycofała; co innego mogła zrobić?

- Nie wiem, o czym mówisz. Jestem zapewne najbardziej otwartą i szczerą dziewczyną na świecie - mruknęła. - Spytaj Ali, jeśli nie wierzysz.

Obie wlepiły we mnie pełen wyczekiwania wzrok.

Kat pragnęła potwierdzenia. Reeve chciała, żebym wyjawiała nasze tajemnice.

- Ktoś wspominał o dziewczynskim dniu? - spytałam.

*

U fryzjera obcięłyśmy i ułożyłyśmy włosy, poszłyśmy do kosmetyczki, kupiłyśmy przybory do makijażu, perfumy, ciuchy i buty. Czy raczej one to wszystko kupiły. Wciąż oszczędzałam, nie chcąc

wydawać pieniędzy pana Ankha. Nie zniechęciło to dziewczyn. Gdy tylko stałam do nich plecami, wybierały coś dla mnie i wkładały mi do torby.

Przez cały czas unikałam luster. Nie mogłam się zdobyć na to, by spojrzeć na swoje oblicze, choć moje towarzyszki bezustannie zachwycały się moim wyglądem.

Niestety, omal nie doznałam hiperwentylacji, kiedy Kat powiedziała:

- Nowa ty. Na nową drogę życia.

Świetnie. Naprawdę doznałam hiperwentylacji, co wystraszyło obie dziewczyny nie na żarty. Miałam wrażenie, że strach zaciska zimne, lepkie dłonie na mojej szyi, blokując drogi oddechowe. Rytm drugiego serca stał się bardziej wyczuwalny, a tamten intensywny głód znów powrócił.

Reeve spryskała mi twarz wodą, ale nie to uwolniło mnie ze szponów lęku. Była blisko mnie, ja zaś czułam jej zapach – tak słodką, smakowitą woń – i chciałam ją ugryźć. Tak bardzo. To pragnienie przyprawiło mnie o kolejną zapaść. Osunęłam się na krzesło, przywierając z całych sił do jej ramion... jej życia... i ponownie brakło mi tchu.

Kat zadzwoniła do Szrona, sądząc, że potrzebuje pomocy medycznej, jakiej mogli udzielić wyłącznie zabójcy.

Piętnaście minut później w sklepie pojawili się Szron, Bronx, Lucas i Cole – Boże, tylko nie on – i wszyscy obrócili głowy w ich stronę. Ludzie otwierali szeroko oczy. Kobiety szeptały z podnieceniem. Mężczyźni cofali się przezornie.

– Co on tu robi? – syknęła Kat.

Dzwonienie w moich uszach wreszcie ucichło, słyszałam więc, co mówi.

– Schowaj pazurki, kociaku – powiedział Szron. – Nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. I co zrobiłaś z włosami?

– Zafundowałam sobie nową fryzurę.

– Poprzednia podobała mi się bardziej.

– Jeszcze jedno słowo, a ostrzegam, zetnę włosy do gołej skóry. Twoja była dziewczyna będzie łysa.

– Nie jesteś moją byłą – oświadczył stanowczo.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, by mówił do niej takim tonem. Jednak ta ich klasyczna paplanina wpłynęła na mnie uspokajająco, a niepowstrzymana chęć ugryzienia Reeve w końcu przygasła. Co się ze mną działo, u licha?

A potem Cole klęczał przed moim krzesłem i reszta świata poszła w zapomnienie. Policzki płonęły mi z zażenowania. Do czoła i twarzy lepiły się wilgotne kosmyki włosów. Podkoszulek na wysokości szyi był przemoczony.

Napotkałam jego spojrzenie, nie spodziewając się tym razem wizji; nie doszło do niej. Starłam się za wszelką cenę zachować obojętny wyraz twarzy. Upłynęły sekundy... minuty... może godziny... ale on nie zrobił tego, czego pragnęłam, by zrobił. I by odszedł.

Proszę, odejdz.

I wtedy coś się stało. To samo, co działo się za każdym razem, gdy byliśmy ze sobą.

Powietrze wokół nas ożyło, gęstniejąc z każdą chwilą, jakby obdarzone własną świadomością. Skóra szczypała mnie w najbardziej rozkoszny sposób.

Nie podobało mi się to - właśnie dlatego, że podobało mi się tak bardzo.

Musiał poczuć to samo, bo uciekł wzrokiem w bok.

Wdzięczna za to chwilowe wytchnienie, skupiłam się na języku jego ciała. Jego palce spoczywały tuż obok moich, poruszając się nerwowo na podłokietnikach krzesła, jakby chciał mnie dotknąć i jednocześnie walczył z tym impulsem.

Pragnął mnie dotknąć?

Podniosłam bezwiednie wzrok.

Znowu na mnie patrzył. Tyle że o wiele intensywniej, to spojrzenie wwiercało się we mnie,

próbując dostać się pod skórę, do samej duszy, i poszukać odpowiedzi, których nie znałam.

- Nie potrzebuję mrocznego rycerza, który spieszy mi na ratunek - rzuciłam ze złością. - Czuję się świetnie.

- Ali. - Westchnął. - Nie czujesz się świetnie. Kat powiedziała, że nie mogłaś oddychać.

- Jak widzisz, już wszystko w porządku. - Byłam dumna ze swojego domniemanego spokoju i opanowania. - Możesz już odejść.

Jego rysy zasnuł cień troski, podważając mój gniew.

Nie miał prawa troszczyć się o mnie.

- Dlaczego nie mogłaś oddychać, Ali?

- To naprawdę takie ważne?

W końcu podniósł ręce, chcąc położyć mi dłonie na policzkach, tak jak miał w zwyczaju to robić. W ostatniej chwili się powstrzymał. Znowu oparł dłonie o podłokietniki, jakby zamykając mnie w klatce, przyprawiając o dreszcz i o nienawiść do samej siebie.

- Niech Ankh przeprowadzi kilka badań.

- Nie. - Myliłam się, sądząc, że potrafię stanąć tego dnia twarzą w twarz z Cole'em. Było za wcześnie. Zwłaszcza jeśli zamierzał być miły.

Dlaczego się tak zachowywał?

- Dosyć już tego. - Odsunęłam go z drogi i stanęłam na drżących nogach.

Szron ciągnął lekko Kat za włosy, a ona się śmiała i waliła go w ramię. Bronx i Reeve odstawiali pojedynkę na groźne spojżenia.

- Mamy jeszcze coś do roboty - powiedziałam dziewczynom. Po czym oddaliłam się bez słowa, a płaszcz i torby objęły mi się o boki.

Kat i Reeve ruszyły za mną pospiesznie, porzucając chłopców bez wahania.

- Wiedziałyście, że przespanie się z dwunastoma różnymi facetami jest jak przespanie się z... powiedzmy czterema tysiącami? - spytała Kat, przełamując milczenie i napięcie.

Miałam ochotę ją uściskać. Nie wspomniała o naszych facetach i nie zamierzała. Starła się skupić moją uwagę na czymś innym.

- Nie ma mowy - powiedziała Reeve.

Wyszliśmy z centrum handlowego na chłód dnia. Włożyłam płaszcz.

Kat skinęła głową.

- Sama dokonałam analizy numerycznej. Jestem w osiemdziesięciu trzech procentach przekonana, że jestem w stu procentach przekonana, że moje obliczenia się zgadzają. Widzicie, jeśli sypiasz z facetem, to tak, jakbyście były z wszystkimi,

z którymi był, i z wszystkimi, z którymi były jego partnerki, i z wszystkimi, z którymi byli ich partnerzy. To ciągnie się bez końca. – Wyprostowała palec. – Szron jest moim jedynym, ale był z innymi i jestem pewna, że one też były z innymi, więc, jak przypuszczam, byłam z co najmniej pięćdziesięciorgiem ludzi. Czy mam na czole wypisane cudzołóstwo?

– Zastanawiam się, ile dziewczyn Bronx wzięła sobie do łóżka – mruknęła w zamyśleniu Reeve.

– Bronx? Powiedziałaś: Bronx? Bo mogłabym przysiąc, że dałaś sobie z nim spokój, jak sama przyznałaś, i że spotykasz się z kimś innym – zażartowała Kat.

Reeve zasznurowała wargi.

Wciągnęłam powietrze w płuca – przytrzymałam. Odetchnęłam powoli. Ujrzałam przed sobą chmurę mgiełki. Moje pierwsze prawdziwe porozstaniowe spotkanie z Cole'em przeszło już do historii. Przeżyłam je z niejaką godnością, a to było więcej, niż się spodziewałam. Nie miałam żadnych wątpliwości, że będzie okay.

Drogę zastąpił nam jakiś facet, na oko dwudziestokilkuletni. Przystanęliśmy gwałtownie.

- Hej, ślicznotko - powiedział, obdarzając Kat szerokim uśmiechem. - Masz ochotę na towarzystwo?

Obok niego pojawił się drugi facet. Przyjrzał się Reeve od stóp do głów, jakby była watą cukrową, a on kimś, kto łaknie czegoś słodkiego.

- Nie, dzięki - odparła Kat, starając się go wyminąć.

Też się przesunął, wciąż zagradzając jej drogę.

- Chwileczkę. Może najpierw wymienimy się numerami telefonów, co?

Ten drugi nachylił się i powąchał jej szyję.

- Mój ulubiony narkotyk. Bez dwóch zdań.

- Cytujesz jakiś romans? - Skrzywiona, odsunęła się od faceta. - Lekcja numer jeden: nie obwąchujesz dziewczyny, dopóki ci na to nie pozwoli. Nigdy. Bo w przeciwnym razie jesteś zboczeńcem.

Obruszył się i wydał wargi.

Wątpiłam, czy są naprawdę niebezpieczni. Wydawało mi się, że mogę się z nimi dogadać. Albo nie.

Choć byłam już „okay”, wciąż odczuwałam gniew, który utrzymywałam na cienkim postronku.

Nie. Myliłam się. Postronek pękł.

Wpakowałam mu palec w nos, rozrywając chrząstkę. Trysnęła krew. Przeklinając, jego

towarzysz chwycił mnie za rękę. Żeby powstrzymać mnie przed ucieczką - niepotrzebnie - albo przed następnym atakiem, sama nie wiem. Wiedziałam tylko, że popełnił błąd. Zacisnęłam palce na jego nadgarstku i wykręciłam mu z całej siły rękę, zmuszając jego ciało do uległości; gdyby się oparł, złamałabym mu kość.

Nim zdołał się wyswobodzić, wymierzyłam mu kopniaka w zgięcie kolana, rzucając go na ziemię. Cios w skroń dokończył sprawę; facet osunął się i wyciągnął jak długi na betonie, po czym znieruchomiał.

Poczułam głęboką satysfakcję, która przemieniła się szybko w poczucie winy.

- Chodźmy - powiedziałam i otuliłam się szczelniej płaszczem.

- To było niesamowite i jednocześnie przerażające - oznajmiła Kat, wzdrygając się i próbując dotrzymać mi kroku. - Nie wiem, czy poklepać cię po plecach, czy zwać i schować się w mysiej dziurze.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytała Reeve, wciąż zerkając na chłopaków.

- Col... Tu i tam. - Zatrzymałam spojrzenie na salonie tatuażu po drugiej stronie ulicy. TATTIE'S INK - migotały zachęcająco jasnoczerwone litery.

Przystanąłam.

Dziewczyny także stanęły i zawróciły.

- Też chcę go mieć - oznajmiłam bezwiednie.

- Co? - spytała Kat.

- Tatuaż.

Zabójcy uwieczniali na swoich ciałach imiona bliskich, których stracili w wojnie z zombi, albo ich symbole. Ja nie miałam żadnego, choć straciłam rodziców, siostrę i dziadka.

Niedobra Ali.

- Chcę go mieć - powtórzyłam, tym razem z większym przekonaniem i pewnością. Ruszyłam na drugą stronę ulicy.

Dziewczyny ruszyły za mną.

- Co chcesz sobie wytatuować? - spytała Kat, stąpając radośnie. - Czaszkę z pieszczelami? Kły węża ociekające krwią? Jednorożca?

- To błąd - powiedziała Reeve.

Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach, kiedy wkroczyłam do salonu. Ściany pokryte były dziełami sztuki: wizerunkami lwów i tygrysów, smoków i kosmitów. Serca. Gwiazdy. Słońce, księżyc, ryba i błyskawica. Nagie kobiety. Robiło to wrażenie.

Za ladą stał wytatuowany od stóp do głów mężczyzna z kolczykami na całej twarzy i czyścił swój sprzęt. Popatrzył na nas i mruknął z pogardą.

- Macie choć osiemnaście lat? - spytał.

- Nie - odpowiedziałyśmy zgodnie, ja i Reeve.

- Tak - oznajmiła Kat i trąciła mnie łokciem w bok.

Mężczyzna wytarł dłonie szmatką.

- Potrzeba pisemnej zgody rodziców. Przynajmniej jedno z nich musi być obecne przy zabiegu.

Kat uraczyła go jednym ze swoich najśłodszych uśmiechów i objęła mnie w tali.

- Wiemy o tym. Dlatego się tu zjawiłam. Jestem jej matką i podpiszę każdy papierek.

W oku mężczyzny błysnęło rozbawienie.

- Musi być chyba bardziej podobna do ojca.

- Tak jak wszystkie moje dzieci - zapewniła Kat.

Jego spojrzenie spoczęło na mnie.

- Niech zgadnę. Chcesz wytatuować sobie kwiat. Albo motyla.

Niezupełnie.

- Chcę białego królika - wyjaśniłam.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, potem wzruszył ramionami i podsunął Kat formularz i długopis.

- Wypełnij to jak należy za swoją córkę, ponieważ, jak się domyślam, macie różne nazwiska, a ty - zwrócił się do mnie - chodź na zaplecze. Mam chyba coś, co ci się spodoba.

- Ali. - Reeve złapała mnie za rękę. - Tatuazu nie da się już usunąć.

Tak, a mój miał być jedynym stałym elementem w moim życiu. Wiedziałam, że babcia nie będzie żyć wiecznie. I, jak powtarzał mi wielokrotnie pan Ankh, gdy tylko Reeve dowie się o zombi, zniknie z mojego świata. Nawet pełna życia Kat nie miała zagwarantowanego jutra.

- Muszę to zrobić - oświadczyłam i uwolniwszy się od jej dłoni, podążyłam śladem Wielkiego Artysty, który zniknął za szkarłatną zasłoną. Było tam kilka pokoi, do każdego broniła dostępu taka sama zasłona. Zaprowadził mnie do pomieszczenia na samym końcu, odsunął kotarę i wskazał duży wygodny fotel. Usiadłam.

Przewertował książkę z rysunkami tatuaży. Znalazł to, czego szukał, i pokazał mi stronę.

- I co myślisz?

- U tego podobają mi się uszy - powiedziałam, wskazując obrazek. - Ale ciało u tego, a ogon u tego. - Doskonały, jeśli chodzi o Emmę. - Chciałabym także zrobić sobie drugi tatuaż. Dwa sztylety. W kształcie krzyża.

Nie przychodził mi do głowy bardziej trafny symbol moich rodziców. Nie bardzo wiedziałam, co

mam sobie wytatuować, żeby upamiętnić dziadka. Musiało to jeszcze chwilę poczekać.

Wielki Artysta zmarszczył czoło i odłożył książkę.

- Muszę oba narysować od początku, a to będzie kosztować ekstra.

- W porządku.

Po raz pierwszy tego dnia nie zamierzałam się martwić o to, że wydaję kieszonkowe, które dała mi babcia. Zdjęłam płaszcz i podciągnęłam rękaw koszuli.

Popatrzył z uwagą na moje blade, nienacechowane jeszcze ciało i pokręcił głową.

- No dobra, gdzie mam je zrobić? Dokładnie?

- Na nadgarstkach. Chodzi o to, żeby były zwrócone w moją stronę, a nie patrzących na mnie ludzi. - Chciałam widzieć te tatuaże bez konieczności wykręcania rąk.

Zastanawiałam się, co powie babcia, kiedy to zobaczy?

- Jak wspomniałem, muszę wpierw narysować to, czego sobie zażyczyłaś, więc daj mi... och, jakieś pół godziny. - Po czym wyszedł bez słowa.

Okazja, by zwiać. Nie, nie ma mowy.

Zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć w myślach.

Nim wrócił, doliczyłam do 1532. Zastanawiałam się, co robią Kat i Reeve, siedząc w holu.

Zgromadził konieczne materiały i usiadł obok mnie.

- Wciąż chcesz to zrobić? - spytał. - Bo jak już zaczną, to nie będzie odwrotu.

- Absolutnie.

Posłużył się kawałkiem papieru, żeby nanieść na mój nadgarstek pierwszy wzór. Zobaczyłam wielkie podniesione uszy, tłuste ciało i puszysty ogon - wypisz wymaluj króliki, które Emma tworzyła od czasu do czasu na niebie, żeby mnie ostrzec przed rychłym atakiem zombi.

- Doskonałe - oceniłam trochę zaskoczona.

- Wykonuję tylko i wyłącznie doskonałą robotę. - Był wyraźnie urażony.

- Niech pan to udowodni.

Moja bezczelność zaskoczyła go; pokręcił głową.

- Wiesz, że będzie bolało.

- Znam prawdziwy ból. A to będzie pestka.

Parsknął.

- Jasne, księżniczko. Jak sobie życzysz.

Nachylając się nade mną z aparatem w dłoni, zabrał się do roboty. Owszem, bolało bardziej, niż się spodziewałam; paliło mnie i rwało, ale w jakimś sensie przyjmowałam to z ulgą. Podobało mi się, że czuję coś innego niż gniew i panikę.

Panika. To słowo tkwiło uparcie w mojej głowie, odbijając się echem.

Wcześniej mnie prześladowała.

I to na całego.

Pan Ankh miał rację, czyż nie? To były ataki paniki, wywołane przez... co? Emocje? Może. Żyłam w poczuciu winy, wiedząc, że życie Emmy pozostanie na zawsze niespełnione. Cierpienie związane z wykuwaniem tego nowego, dla siebie, podczas gdy to dawne legło w gruzach. Niepewność, jaką stanowił świat duchowy, na który byłam nieprzygotowana. Strach przed nieznanym.

Jednak nie chodziło wyłącznie o emocje. W przeciwnym razie nigdy nie doświadczyłabym chwil spokoju. Cofnęłam się myślą wstecz. Leżąc w łóżku, kiedy już Cole odszedł ode mnie, lamentowałam nad tą niespodziewaną zmianą w swoim życiu. I nagle, bum, panika. Potem, później, Kat wspomniała o moim nowym wyglądzie i bum, znowu panika.

Coś nowego.

Zmiana, jak sobie uświadomiłam. Myśl o zmianie musiała stanowić w tym wypadku przyczynę i katalizator.

Okay. W porządku. Teraz, kiedy już wiedziałam, mogłam sobie z tym poradzić. Ale...

To też nie było do końca prawdą. Nie mogło być. Panika nie wyjaśniała podwójnego bicia serca... głodu... i tego, że chciałam ugryźć Reeve. A jeśli myliłam się co do tych smug na twarzy? Jeżeli nie podsunęła ich wyobraźnia, tylko... cokolwiek to było?

Oznaczałoby to... Co?

Nie wiedziałam, ale jedno wydawało się pewne. Na horyzoncie majaczyły kolejne zmiany.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, na czoło i górną wargę wystąpił mi pot, a na piersi usiadł niewidoczny słoń. Nacisk... Z trudem oddychałam, z gardła nie dobywał się nawet świst.

- Hej, wszystko w porządku? - spytał mnie Wielki Artysta.

- Super - wysapałam z trudem. - Niech się pan po prostu pospieszy.

- Jakość i pośpiech nie idą w parze. Poza tym uprzedzałem, że będzie bolało.

Uspokajającą siłą w moim życiu była siostra, przywołałam więc jej obraz i skoncentrowałam się na nim. Ujrzałam gęstwinię prostych ciemnych włosów. Opaloną skórę. Figlarny błysk w ciemnych oczach.

- Jesteś najładniejszą dziewczyną na świecie, Alicjo - oznajmiła, patrząc na mnie rozpromieniona.

- Nie, dzieciaku, ty jesteś najpiękniejsza - odparłam, stukając delikatnie palcem w czubek jej nosa.

- Nie ma mowy. Jeden chłopiec w mojej szkole powiedział, że słyszał, jak jego tata mówił, że tylko blondynki są tego warte.

- Po pierwsze, nie chcę więcej słyszeć, jak wypowiadasz słowa „tego warte”. Po drugie, tata tego chłopca jest idiotą. I świnią!

Taka głodna... Muszę jeść...

W moją pamięć wniknął cichy, szepczący głos. Spojrzałam na Wielkiego Artystę.

- Mówił pan coś?

Nawet na mnie nie spojrział, zabierając się do drugiego nadgarstka.

- Nie.

Głodna. Głodna! GŁODNA!

Pokręciłam energicznie głową, jakby mój umysł zablokował się na innej częstotliwości radiowej i odrobina ruchu mogła przywołać poprzedni kanał. Nie stało się tak jednak i oto stwierdziłam, że nie potrafię oderwać wzroku od bezbronnej - i błyszczącej teraz - szyi Wielkiego Artysty.

- Nie ruszaj się - nakazał.
- Przepraszam. Tylko że... Słyszał pan to?
- Co niby?
- Ten głos. Szept.

Przerwał robotę, żeby otrzeć wacikiem kropelkę krwi.

- Wspaniale. Ładna księżniczka zalicza się do tych stukniętych. Powinienem się był domyślić.

Ugryź go. Pożyw się nim.

- Emma - powiedziałam.
- Mam dodać imię? - spytał.
- Nie.

Moja siostra pojawiła się kilka minut później.

- Robisz sobie tatuaże? - pisnęła. Potem dostrzegła wyraz mojej twarzy, a jej ekscytację stłumiła troska. - Alicjo?

- Dzieje się ze mną coś złego - wyznałam jej.

- Wiem. - Wielki Artysta westchnął. - To właśnie przed chwilą powiedziałem.

- Cole? - spytała.

Kłapnęłam zębami i zerknęłam na Wielkiego Artystę, próbując dać jej do zrozumienia, na czym polega problem.

- Chcesz go ugryźć?

Kiwnęłam głową.

Marszcząc czoło, przesunęła palcami po moich włosach, a pragnienie, by ugryźć, od razu zniknęło; poczułam dreszcz... zakłopotanie.

- Rozpytam się i wrócę, kiedy już dowiem się czegoś.

Zniknęła. A może to ja straciłam na chwilę świadomość pod wpływem ulgi. Nie wiem. W jednej chwili siedziałam sobie odprężona na fotelu, a w następnej Wielki Artysta oznajmił:

- W porządku. Gotowe. I co myślisz?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że odkłada ten swój sprzęt. Czekałam na ten tajemniczy głos albo na powrót pragnienia, ale... była tylko cisza. Ani śladu głodu. Odmówiłam bezgłośnie modlitwę dziękczynną.

Skrzyżował ramiona, przyglądając mi się bacznie.

- No i co?

Tatuaż był doskonały, zgodnie z obietnicą, dokładnie to, o co mi chodziło. Z jednej strony królik, z drugiej sztylety. Skóra wokół tuszu zaczerwieniła się jednak, spuchła i pulsowała bezustannie.

- Są wspaniałe.

Pomrukując z zadowoleniem, wysmarował oba wizerunki jakąś maścią, potem zakrył je bandażami.

- Zdejmij opatrunki za mniej więcej godzinę i przyłóż więcej maści. Utrzymuj tatuaże w czystości, ale nie bierz długich pryszniców ani kąpieli przez co najmniej dwa tygodnie.

- Okay.

Zaprowadził mnie z powrotem do holu, gdzie czekały Kat i Reeve.

Uśmiechając się szeroko na mój widok, Kat podskoczyła i klasnęła.

- Pokaż, pokaż!

Reeve podniosła się z miejsca znacznie wolniej, jakby chciała unikać oglądania tatuaży możliwie długo.

- Daj mi chwilę, żebym mogła zapłacić - poprosiłam.

Gdy tylko znalazłyśmy się na ulicy, zdjęłam bandaż.

- Cholernie niesamowite! Cole przeklnie dzień, w którym pozwolił ci odejść - oświadczyła Kat. Kiedy wsiadałyśmy do porsche Reeve, dodała: - To będzie moja misja życiowa. I torturowanie Szrona.

Zajęłam środek tylnej kanapy i zapięłam pas.

- Dokąd teraz jedziemy?

- Do Reeve. A potem ja i ty pójdziemy do domu... hm, Cole'a, żeby ćwiczyć - odparła Kat. - Będiesz

mnie szkolić, tak jak obiecałaś. Koniec z ćwiczeniem na bieżni.

- Szkolić? - Reeve włączyła się do ruchu. - Po co? Wiem, że dużo ćwiczycie, ale nie miałam pojęcia, że robicie to w jakimś konkretnym celu.

- Samoobrona - wyjaśniłam. - To, co zrobiłam dzisiaj z tymi dwoma facetami.

Kat potwierdziła skinieniem głowy.

- Tyle że może nie tak ostro.

- Obiecałam, że będę cię uczyć - powiedziałam, czując drgnienie strachu. - I zrobię to. Tyle że... nie dzisiaj.

Musiałam pojechać do domu i poczekać na Emmę.

- Też chciałabym się szkolić - oznajmiła Reeve.

- Uhm... - Wyrzałam przez okno, za którym przemykały samochody. Drzewa. Linie wysokiego napięcia. - Chętnie to zrobię, ale najpierw musisz poprosić tatę o pozwolenie.

Zmarszczyła czoło.

- Zgodzi się.

Nic z tego, nawet gdyby go błagała.

- Dlaczego miałby się nie zgodzić? Zwłaszcza po tym, co stało się dzisiaj - dodała.

Moje spojrzenie zatrzymało się na chmurze - chmurze w kształcie królika. Zrozumiałam, że tej

nocy nastąpi inwazja zombi. Zmarszczyłam czoło. Czy byłam gotowa?

Lepsze pytanie: czy poproszą mnie o pomoc?

- Słuchajcie, dziewczyny, wydaje mi się, że ktoś za nami jedzie - oznajmiła nagle Reeve głosem drżącym z niepokoju. - A jeśli to ci faceci z centrum handlowego? Co mam robić?

Obróciłam się i wyrzałam przez tylną szybę.

- Zadzwoń do... - Ugryzłam się w język, zanim zdążyłam wypowiedzieć jego imię. - Który to samochód?

- Czarny SUV z przyciemnianymi szybami.

Znajdował się z lewej strony, nieco z tyłu. Był wielki, w środku mogło siedzieć sześciu ludzi. Nie za dobrze, ale też nie fatalnie.

- Skręć w następny zjazd i zatrzymaj się na poboczu.

- Co!?! - zawołały jednocześnie Reeve i Kat.

- Po prostu zrób to. Proszę.

Byłam uzbrojona. I w okropnym nastroju. Jeśli ci z Animy liczyli na to, że mnie przestraszą, to mieli się niebawem dowiedzieć o niewłaściwości tak bezowocnego zamiaru. Jeśli faceci z centrum handlowego pragnęli rewanzu, to zamierzałam dać im popalić po raz drugi. Jeśli było to natomiast jedno

wielkie nieporozumienie, to też chciałam się o tym przekonać.

Reeve posłuchała z niechęcią i gdy tylko nasz samochód stanął, wyjęłam sztylety i wyskoczyłam z wozu. SUV podążył za nami, zwolnił i się zatrzymał. Szyba zjechała w dół.

- Panno Bell - powiedział jakiś mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkałam. Mógłby być moim dziadkiem. Miał włosy koloru soli z pieprzem, grube okulary, orli nos i ogorzałą skórę. - Chciałbym zamienić z panią słowo.

Wiedział, jak się nazywam, i zbliżył się do mnie w podstępny sposób. Musiał być jednym z kombinezonów.

Nie potrzeba mi było niczego więcej. Rzuciłam sztyletem, tak jak nauczył mnie tego Cole; czubek ostrza wbił się w oponę SUV-a. Rozległ się syk uchodzącego powietrza.

Mężczyzna popatrzył na mnie skrzywiony.

- Naprawdę było to konieczne?

- Pewnie nie. - Uniosłam drugi sztylet. - Wątpię, czy to, co zrobię w następnej kolejności, też będzie konieczne, ale wiem jedno: będzie cholernie zabawne.

Posłał mi spojrzenie pełne rozczarowania.

- Doskonale. Kiedy zaintryguje panią własne samopoczucie, i tak będzie pani musiała do mnie przyjść. - Rzucił wizytówkę przez okno i gdy kartonik sfrunął na ziemię, SUV ruszył ostro z miejsca.

Gnijące potwory i smakowici ludzie

W innej sytuacji odszukałabym Cole'a i opowiedziała, co się wydarzyło. Tego dnia jednak postanowiłam zwrócić się do pana Ankha.

W drodze do jego gabinetu natknęłam się na babcię.

- Ali, kochanie, mam niespodziankę...

- Przepraszam, babciu - rzuciłam pospiesznie - muszę pomówić o czymś z panem Ankhem. Może później?

Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- W porządku. Żaden problem.

Natychmiastowe poczucie winy. Postanowiłam, że szybko załatwię to, co trzeba, i resztę dnia spędzę z babcią. Weszłam do gabinetu bez zaproszenia, zrobiłam to po raz pierwszy, a potem zamknęłam starannie drzwi. Podniósł wzrok znad stosu papierów na biurku.

Miał ciemne włosy i oczy jak Reeve, ale niemal zawsze był sztywny i oficjalny; nasze spotkania rzadko poprawiały mi humor. W tej chwili jednak nie miałam się do kogo zwrócić.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Chciałem z tobą porozmawiać. Siadaj.

Usiadłam posłusznie i oznajmiłam:

- Doszło do pewnego incydentu.

- W porządku. - Przyjął to do wiadomości, splatając palce.

- Jak poważnie to wygląda? Trzeba sprawę zatuszować?

- Nie, nic z tych rzeczy. To tylko...

- Nie ma martwych ciał?

- Nie.

- Żadnych zombi?

- Nie. Chodzi o to, że...

- Posłuchaj - przerwał mi znowu. - Dowiedziałem się, że sama sprzątasz w domu i że jesz tylko obwarzanki i serek śmietankowy. To nie do zaakceptowania, panno Bell. Płacę komuś, żeby zajmował się domem, i mam dość jedzenia, żeby wyżywić całą armię.

- To wspaniale, ale nie zamierzam pana wykorzystywać. Wracając do sprawy. Pojechałyśmy dzisiaj do centrum handlowego i...

- Twoja babcia wie, co robisz? Jak się głodzisz?

- Nie głodzę się - odparłam z naciskiem.

Następnie powiedziałam mu, co się wydarzyło, opisałam SUV, człowieka, który zatrzymał się, żeby ze mną porozmawiać, i to, co zrobiłam z oponą. Nie wspomniałam tylko o wizytówce, która w tym momencie wypalała mi dziurę w kieszeni.

Podniosłam ją z ziemi ze szczerym zamiarem pokazania panu Ankhowi, teraz jednak, kiedy wpatrywałam się w jego surowe rysy, po prostu... nie mogłam.

„Kiedy zaintryguje panią własne samopoczucie...”

Czy ten człowiek wiedział coś, czego sama nie wiedziałam? Czy wiedział, co mi dolega?

Skąd mógł wiedzieć?

I co zrobiłby pan Ankh, gdybym powiedziała mu o smugach, biciu serca i głodzie? Ile badań zechciałby przeprowadzić? Czy zamknąłby mnie na klucz?

Wysunął w zamyśleniu brodę.

- To typowe działanie Animy. Wyznaczę kogoś do ochrony...

- Och, nie - rzuciłam pospiesznie, obciągając rękawy, by nie zauważył bandaży. - Nikt mnie nie śledzi.

Nie sposób było przewidzieć, co bym z tym kimś zrobiła.

Popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Prywatność schodzi na drugi plan, gdy chodzi o bezpieczeństwo, panno Bell. Jestem pewien, że twoja babcia zgodziłaby się ze mną.

Cios poniżej pasa. Zignorowałam to.

- Żadnych strażników - oznajmiłam zdecydowanie. - Reeve może ich zauważyć i zacznie zadawać pytania.

Ustąpił. Tak jak przypuszczałam.

Naprawdę kochał swoją córkę.

Po raz pierwszy zastanowiłam się nad życiem tego człowieka i nad jego przeszłością.

- Ta kobieta, o której pan kiedyś wspomniał... ta, która cierpiała na zaburzenia lękowe... Czy to była mama Reeve?

- Tak - odparł zwięźle, dając mi tym samym do zrozumienia, że powiedział na ten temat wszystko, co chciał powiedzieć.

Nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy.

- Wiedziała o zombi? Dlatego się bała?

Oparł się energicznie łokciami o blat biurka, wprawiając cały mebel w drżenie.

- Tak, panno Bell. Tak. Wiedziała o nich, ale nie mogła ich zobaczyć, więc zaczęła wyobrażać sobie,

że ją otaczają, w każdej sekundzie każdego dnia; nie mogła tego znieść. W końcu się zabiła.

Okropne. Biedna pani Ankh, jeśli czuła, że jedynym wyjściem jest śmierć. Biedny pan Ankh, któremu pozostało tylko pozbierać się jakoś. Biedna Reeve, mała dziewczynka pogrążona w smutku i zagubiona. Nic dziwnego, że tak bardzo mu zależało, by o niczym nie wiedziała. Nie chciał, żeby spotkał ją taki sam los jak matkę.

- Przykro mi.

Potraktował moje współczucie zdawkowo.

- Przeszłość to przeszłość, panno Bell.

Tak proste słowa - ale czy mu wystarczały?

- Do pańskiej wiadomości, widziałam na niebie króliczą chmurę. Być może zombi pojawią się dziś w nocy.

Zmarszczył brwi.

- I pewnie chcesz wyruszyć na łowy?

Mówiłam sobie wcześniej, że nie jestem jeszcze gotowa spotkać się z Cole'em. Wątpiłam nawet w swoją zdolność do walki. Mimo to odparłam bezwiednie: „Tak”. Nie mogłam zmarnować takiej okazji. Chodziło o moich wrogów.

Pan Ankh zaczął wypytywać mnie szczegółowo o zdrowie. Czy dobrze się czuję? Czy zdarzają mi

się chwile słabości? Czy doznałam kolejnego ataku paniki?

Na dwa pierwsze pytania odpowiedziałam bez ogródek, ale pominęłam trzecie.

- Proszę posłuchać, urodziłam się po to, żeby zabijać zombi. Jest to dokładnie to, co zamierzam robić dziś wieczorem. Bez względu na pańską opinię. Tak, to groźba.

Uśmiechnął się do mnie, ale nie był to miły uśmiech.

- Nie zdołasz nic zrobić, jeśli będziesz nieprzytomna.

Zamierzał mnie czymś odurzyć?

- Niech pan spróbuje - odparłam tylko.

Przyglądał mi się długą chwilę, potem westchnął i skinął sztywno głową.

- Świetnie. Jesteś zdeterminowana. Rozumiem. Tym razem będzie tak, jak chcesz. Musisz się jednak pospieszyć. Zabójcy są już w siłowni Cole'a i ustalają plan walki na najbliższy tydzień.

Cholera. Dzień, który zamierzałam spędzić z babcią, trzeba przełożyć na kiedy indziej.

- Jest pewien drobny problem - powiedziałam. - Nie mam prawa jazdy ani samochodu.

Znowu westchnął.

- Bądź gotowa o piątej. Przed domem będzie czekał na ciebie mój szofer.

- Dziękuję, panie Ankh. - Wstałam i podeszłam do drzwi.

- Tak przy okazji, nie żartowałem, mówiąc o sprzątaniu i jedzeniu.

- Też mi się tak wydawało. - Za chwilę miał się przekonać, że i ja nie żartuję. Odczekałam chwilę i popatrzyłam na niego. - Podziwiam to, jak stara się pan chronić Reeve, naprawdę, ale te nasze sekrety są dla niej źródłem cierpienia. Już żywi podejrzenia, a te z kolei sprawiają, że jest nieszczęśliwa. Trzeba coś z tym zrobić.

- Panno Bell - powiedział ostro, rzucając pióro na blat biurka.

Wiedziałam, że zanosi się na dłuższy wykład, więc wyszłam pospiesznie na korytarz.

Przebrałam się w swoim pokoju w strój bojowy i pobierałam wszystko, czego potrzebowałam. Więcej sztyletów, strzykawkę z antidotum, gwiazdy ninja i komórkę.

Wizytówkę, którą dał mi tamten mężczyzna, schowałam do dolnej szuflady biurka i wtedy zauważyłam karteczkę obok komputera.

„Przeglądałam rzeczy, które przetrwały pożar, i znalazłam dziennik mojego pradziadka. Dałam go

przed wielu laty twojej matce. Kilka kartek jest teraz osmalonych, ale poza tym nie ucierpiał. Wiem, że to dziwne, pomyślałam sobie jednak, że zechcesz mieć jakąś pamiątkę rodzinną. Kocham cię, babcia”.

Dziennik!

Myślałam, że jego autorem jest mój tata i że to on dał go mojej mamie. Jakim cudem mój prapradziadek zdołał napisać to wszystko? Chodzi mi o to, że zdolność widzenia zombi była przekazywana przez geny równie łatwo jak niebieski kolor oczu, ale moja matka nigdy nie widziała potworów. Tak jak babcia.

Co miałyby to oznaczać?

Nie czas na zagadki.

Ale to właśnie musiała być niespodzianka, o której mówiła babcia. I jakże zdumiewająca niespodzianka.

Byłam winna tej kobiecie tysiące uścisków.

Nie miałam zamiaru tego robić, ale otwierając drzwi, spojrzałam w lustro przy toalecie. Nawyk, który w sobie wyrobiłam po pierwszym spotkaniu z Cole'em. Zawsze chciałam wyglądać dla niego szalowo. Tym razem moje odbicie zaskoczyło mnie kompletnie.

Tik. Dziewczyna w lustrze – ja! – miała podniesioną rękę i przyciskała dłoń do lustra, jakby chcąc mnie dotknąć.

Tak. Jakim cudem... W jaki sposób... Niemożliwe.

Tik. Oślupiała, podeszłam do niej – do siebie.

Tak. Nie drgnęła ani razu. To znaczy moje odbicie nie drgnęło ani razu.

Tik. Przycisnęłam drżącą dłoń do chłodnej powierzchni szkła.

Tak. Jej dłoń odsunęła się.

Przez głowę przelatowało mi tysiące myśli.

Doszłam do wniosku, że jest postacią realną, nie zaś wytworem mojej wyobraźni. Czym więc była? Częścią mnie samej?

To była inna ja?

Smugi pod jej oczami miały kształt łuków i sięgały policzków. Ja umierająca?

Roztrzęsiona, zgarnęłam z łazienki czerwoną szminkę i napisałam na szkle: KIM JESTEŚ?

Rzuciłam szminkę na blat toaletki i ruszyłam zdecydowanym krokiem do drzwi. Wychodząc na korytarz, zerknęłam przez ramię. I przeczytałam: TWOIM FATUM.

Wbiegłam z powrotem do pokoju i zamazałam słowa na lustrze, ale to nie dało mi satysfakcji,

pogłębiło tylko szok. Kimkolwiek była ta dziewczyna, nie przepadała za mną.

Nie mogę się teraz tym martwić.

Wypadłam z pokoju, ale się nie obejrzałam. Postanowiłam nie myśleć o tym, co zobaczyłam, o zmianie... zmianie... Nie! Nie zamierzałam pozwalać, by pojawił się kolejny atak paniki i pokonał mnie. Pan Ankh dowiedziałaby się o tym i zakazano by mi spotkania z Cole'em.

Spenetrowałam korytarze. Puste. Dobrze. Reeve była pewnie w swoim pokoju; nie bardzo wiedziałam, gdzie jest babcia. Nawet gospodyni gdzieś zniknęła. Szofer, zgodnie z obietnicą, czekał na mnie pod drzwiami wyjściowymi. Minęłam go bez słowa i usadowiłam się na tylnej kanapie ciemnego sedana. Wstrzymałam oddech, kiedy szofer usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik. Ruszył powoli do przodu.

Uwolniłam powietrze z płuc.

Po drodze penetrowałam wzrokiem niebo. Królicza chmura wciąż tam była.

Zadzwoiła moja komórka; drgnęłam wystraszona. Wiedziałam, kto to jest, i doznałam całego wachlarza sprzecznych uczuć, od niepewności po wdzięczność.

- Justin, powinnam była do ciebie zadzwonić - powiedziałam. - Dzięki za pomoc w walce i za poświęcenie.

- Hej, miałem dług wdzięczności. - Milczał przez chwilę. - Jak się czujesz, Ali?

Miał niski, przyciszony głos, jakby nie był pewien mojej reakcji i nie chciał mnie wystraszyć.

- Bywało lepiej.

Mruknął.

- Tak, przykro mi z tego powodu. Przepraszam, że cię ugryzłem. Nie wiem, co mnie opętało. Byłaś blisko, pachniałaś tak wspaniale, tak czysto, ślina napływała mi do ust, poczułem nagle pragnienie, takie silne, takie intensywne, nie mogłem nad tym zapanować. - Słowa wylewały się z niego, mówił niemal bez tchu. - Nie chciałem nad tym zapanować.

To, co powiedział, nie było dla mnie niczym nowym. Czysty, wyraźny zapach. Niechęć do walki. Niepowstrzymany głód.

- Czy przytrafiło ci się coś jeszcze od tamtej nocy?

Chwila milczenia, która była ciężką próbą dla moich nerwów.

- Na przykład?

Jakbym zamierzała mu się zwierzać. Nic z tego.

- Ty mi powiedz - odparłam, posługując się taktyką, którą kiedyś stosował wobec mnie Cole.

Cole. Przesunęłam nerwowo językiem po zębach.

Musiałam przestać o nim myśleć.

- Szczerze mówiąc, czułem się normalnie - wyznał Justin. - Nic się nie stało. To znaczy ze mną - dodał. - Domyślam się, że z tobą było inaczej.

Usłyszałam pisk hamulców i spojrzałam przez okno. Byliśmy na miejscu. Tak szybko?

- Muszę kończyć - powiedziałam.

- Nie chcesz o tym porozmawiać?

- Jestem trochę zajęta.

Rzeczywiście.

Znowu milczenie.

- Ale pomówimy jeszcze? - spytał z wahaniem.

- Tak. Chyba tak.

Rozłączyłam się i wysiadłam z samochodu na chłód wieczoru. Słońce miało niebawem zniknąć, zastąpione przez złoty księżyc w pełni. Choć ciemność jeszcze nie zapadła, ścieżka prowadząca do stodoły była oświetlona przez małe halogeny, zainstalowane po to, by odstraszać zombi.

Wystukałam kod przy drzwiach. Przed naszym zerwaniem, kiedy zjawiałam się tu bez niego, Cole złamał się ostatecznie i przekazał mi „klucz”. Weszłam do środka i przekonałam się, że

spotkanie trwa już od dłuższego czasu. Na środku ringu stało krzesło, na którym rozsiadł się Cole.

Trzymał na kolanach Veronicę.

Obejmował ją w talii.

Dziewczyna tuliła się do niego, na całkowitym luzie, jakby nie żywiła żadnych wątpliwości, że on to zaakceptuje.

Cole miał ubranie w nieładzie, ale też sprawiał wrażenie wyluzowanego. Jakby się wcześniej migdalili, a on nie był nigdy szczęśliwszy.

Te wszystkie szczegóły uderzyły mnie z siłą pocisków, jeden za drugim, szybko i pewnie. Zawsze lubił mnie dotykać. Przesuwać kosmyki moich włosów między palcami. Muskać moją brodę palcami. Przyciągać do twardych konturów swojego ciała i całować. Widząc, jak robi to wszystko z kimś innym...

Ból? Tak, odczuwałam ból. Zdrada? Zazdrość? Tak, to też odczuwałam. Tak głęboko, że nie wiedziałam, jakim cudem trzymam się jeszcze na nogach - albo z dala od ringu. Żywiłam nadzieję, jak mi się zdaje, że przyczołga się do mnie, bez względu na to, co mu powiedziałam. Bez względu na to, co powiedziałam jego przyjaciółom. Nie zamierzał jednak tego zrobić, prawda? Koniec z nami,

tak jak powiedział. Tak jak przyznałam. Tyle że on zamknął już ten rozdział.

Oddychaj. Po prostu oddychaj.

Nie ucieknę.

Zjawiłam się tu, żeby zrobić swoje. I powiedziałam sobie: zrobię to.

Skupiłam uwagę na innych. Opierali się o liny ringu. Szron, Bronx, Mackenzie, Derek, Trina, Lucas, Collins, Cruz i Gavin, wszyscy twardo umięśnieni i okryci czernią, gotowi do działania. Jak zauważyłam, nikogo nie obchodziło, że Cole – facet, który właśnie ze mną zerwał – już o mnie zapomniał.

Okay, może nie do końca skupiłam uwagę na innych.

Wściekłość podsycała niebezpieczny koktajl emocji, które zalewały mnie niepowstrzymaną falą. To było nie w porządku. To było nieuczciwe. Jak mógł mi zrobić coś takiego? Próbował mnie ukarać za wizję, której doznałam? Wizję, której nie mogłam w żaden sposób kontrolować? Wizję, której nigdy nie pozwoliłabym się ziścić?

Nie. Nie chodziło mu o moją korzyść czy karę. Nie wiedział, czy zjawię się w siłowni. Chodziło o niego. Chciał, by ta dziewczyna siedziała mu na kolanach.

Zacisnęłam pięści. Myliłam się co do jego uczciwości. Okłamywał mnie.

Pamiętam, co mi powiedział.

Ja: „Pragniesz Veroniki?”.

On: „Nie. Ani trochę”.

Kłamca! Chciałam to wykrzyczeć.

Jak łatwo byłoby wejść na ring, zatopić zęby w jego duchu i...

Jego duchu?

O, wielkie nieba. Czy rozumowałam w tej chwili jak zombi?

Uniosłam dumnie brodę, wyprostowałam ramiona. Wolałabym już umrzeć.

Zmusiłam się do koncentracji.

- ...przekazujcie wszystkie szczegóły - mówił Cole. - Nie chcę od was słyszeć jedynie, że przetrwaliście noc albo że widzieliście czy nie widzieliście zombi. Nie żartuję, chcę znać wszystkie szczegóły. Od każdego z was. Dwoje partnerów nie może przekazać jednego raportu. Chcę dwóch i macie je sporządzić osobno. Po tym, co przytrafiło się Justinowi i Ali, żądam wszelkiego rodzaju informacji. - Cienie i światła zmagaly się ze sobą na jego twarzy, nadając jej posepny wyraz.
- Jasne?

Przesunął wzrokiem po towarzyszach, ominął mnie spojrzeniem, ale szybko się zreflektował i skupił na mnie uwagę. Dostrzegłam w jego oczach błysk winy, który zgasł jednak szybko, ja zaś ujrzałam chłodną, nieprzeniknioną maskę. Wstał, zmuszając Veronicę, by zsunęła mu się z kolan, i opuścił ręce wzdłuż boków. Ona wciąż się o niego niemal ocierała, a zauważywszy mnie, zmarszczyła czoło.

Patrzyłam Cole'owi uparcie w oczy, nie oczekując wizji, ale jej pragnąc - nie, nie pragnęłam jej, nie powinnam była jej pragnąć, ale...

Nie pojawiła się.

Rozczarowanie przypominało skrzydła z ostrego żelaza; trzepotały we mnie, tnąc moje wnętrze na kawałki.

Cole odchrząknął, najwyraźniej zakłopotany.

Nie pokazuj mu nic po sobie.

Spojrzał w inną stronę.

- Od tej pory - powiedział twardszym i bardziej zdecydowanym tonem - jeśli wasz partner zostanie ugryziony, zaaplikujcie mu antidotum jak najszybciej. Nie czekajcie do końca walki. I jeśli ugryzie was partner, nie próbujcie ukrywać tego przed nami. Nie będziemy go winić.

- Albo jej! - zawołała Mackenzie i kłapnęła zębami.

- Zachęcasz dziewczyny, żeby skubały nas wszędzie i zawsze - odciął się Szron. - I tak już nie mogę się od nich opędzić.

Odpowiedział mu zbiorowy chichot.

Nie potrafiłam się zmusić do śmiechu.

- Znacie swoich partnerów - ciągnął Cole - i znacie grafik. Zróbcie wszystko, co trzeba, żeby się odpowiednio przygotować.

Grupa zaczęła się rozchodzić; niektórzy mieli patrolować ulice, polując na zombi; inni - wrócić do domu, żeby odpocząć albo nadrobić zaległości w nauce; jeszcze inni mieli tu zostać i pilnować ciał zabójców, a także czekać w pogotowiu, gdyby potrzebne było wsparcie.

Veronica wspięła się na palce i szepnęła coś Cole'owi do ucha.

Powróciła wściekłość, i to silniejsza niż przedtem, ale zdołałam spytać spokojnie: „A co ze mną” i wejść na ring.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie.

- Nasza Ali - oznajmił Szron, obejmując mnie ramieniem. - Nie sądziłem, że cię dziś zobaczymy.

Doceniałam ten pokaz wsparcia.

- A co ma być z tobą? - spytał z wahaniem Cole.

Tylko spokojnie.

- Chcę, żebyś mnie uwzględnił w grafiku.

Podszedł do mnie; dostrzegłam, jak drgnął mu mięsień pod okiem.

- Po tym, co się dzisiaj wydarzyło? Nie.

- A co się dzisiaj wydarzyło? - spytała Veronica, która zbliżyła się do Cole'a i położyła mu głowę na ramieniu. Podkreślanie swoich praw? Wbijanie noża jeszcze głębiej?

Gdyby ktoś jej powiedział, przez co przesłam...

Cole uwolnił się od niej i zaczął masować sobie kark, jak to miał w zwyczaju. W tym momencie był nie tylko zakłopotany, ale wręcz zbity z pantałyku.

I dobrze.

- Jesteś ranna - zauważył.

- Jestem wyleczona. Poza tym inni walczyli, mając kontuzje, i nie narzekałeś.

- Inni byli lepiej wyszkoleni. I dlaczego masz zabandażowane nadgarstki?

Zauważył je, choć miałam długie rękawy?

Starając się zapanować nad nagłym drżeniem, ściągnęłam opatrunki na dobre. Moja skóra była jeszcze bardziej zaczerwieniona niż przedtem i o wiele bardziej spuchnięta, ale tatuaże wciąż wyglądały dobrze.

Veronica nachyliła się do mnie i wzruszyła ramionami.

- Nie zrozum mnie źle, ale są za duże jak na twoją budowę ciała.

A mogłam to rozumieć właściwie? Wiedziałam, że tatuaże są piękne i mają odpowiedni rozmiar.

Nie zamierzałam odpowiadać i tym samym dać jej satysfakcję.

Nie, to nie była prawda. Odpowiedziałam.

- Dziękuję ci sekundy od tego, żeby poprawić ci budowę ciała.

Zamrugnęła, jakby brakowało jej piątej klepki.

- Jestem dla ciebie miła, a ty na mnie naskakujesz?

To miało być miłe?

- Myślę, że tatuaże są doskonałe. - Cole wkroczył między nas. Powiódł po mnie spojrzeniem zmrużonych oczu, zatrzymując się na kilku starannie wybranych miejscach. Musiałam zapanować nad dreszczem. - Tatuaże. Nowa fryzura. Nowy makijaż. Nie zauważyłem tego wcześniej. Byłaś za bardzo nabuzowana. Teraz to widzę.

- Nabuzowana? - spytała Veronica, z trudem wymawiając to słowo. - W jakim sensie?

Krzywiąc się gniewnie, Cole pchnął ją w stronę ringu.

- Jazda. Do roboty.

Pragnęłam, by ziemia się rozstała i pochłonęła mnie bez reszty.

Veronica rzuciła mi przez ramię spojrzenie pełne zakłopotania, ale zrobiła, co jej kazano, i zostawiła nas samych.

Wracając do rzeczy. Miał jakieś problemy ze zmianą mojego wizerunku?

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam jak kaszalot?

Szron parsknął śmiechem.

- Skąd dziewczyny biorą takie wyrażenia, człowieku?

- Nie wiem nawet, co to dokładnie znaczy - powiedział Cole. - Że wyglądasz źle i że nie powinienem cię jeść, czy że masz w sobie mnóstwo tranu i że powinienem cię skonsumować?

Zabijcie mnie.

Błagam.

- Że wyglądam źle - rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Nigdy nie wyglądasz źle. - Ujął moje dłonie i przesunął kciukiem po tatuażach. Kiedy sobie uświadomił, co robi, skrzywił się i opuścił ręce. - No dobrze. Powiedz mi więc, po co te wszystkie zmiany.

Zmiany.

Słowo na „z” przyćmiło wszelką przyjemność, jaką mogłam czerpać z jego komplementu, z jego dotyku. Co mogło się zmienić tego wieczoru? Jutro?

Oba serca przyspieszyły. Zdawało mi się, że nos mam zapchany watą.

- Spokojnie - zwrócił się do mnie Szron.

Cole puścił moje ręce i położył mi dłonie na policzkach.

- Oddychaj, Ali. Po prostu. Wdech, wydech. Dobra dziewczyna.

Gdy tylko poczułam, że się uspokajam, wywobodziłam się z jego uścisku i odsunęłam od Szrona. Znów ogarnęło mnie zażenowanie. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby polegać na tych facetach.

- Co się stało? - spytał Cole.

- Odpowiem na twoje pierwsze pytanie, jedyne, jakie do mnie dotarło - oznajmiłam chłodno. - Wprowadziłam kilka innowacji, jeśli chodzi o mój image. Chciałam wyglądać gorąco i szałowo z myślą o nocy, kiedy to urzeczywistni się moja wizja z Gavinem.

Celne uderzenie - nokaut. Cole drgnął, nawet zbladł.

- Byłaś gorąca już wcześniej - odparł, patrząc mi głęboko w oczy. - Cokolwiek o mnie myślisz, cokolwiek się między nami wydarzyło, nie podlegało to nigdy dyskusji.

Ładne słowa, nic więcej, a jednak powietrze między nami naładowało się niebezpiecznie, tak jak wcześniej - naelektryzowało swoistą świadomością.

Każdy nerw w moim ciele nastroszył się w oczekiwaniu na... coś. Na kolejną dostrzegalną pieśczętę. Dotyk dłoni na ramieniu. Trącenie kolanem. Cokolwiek.

Cofnął się o kilka kroków i napięcie spadło do zera. Wciąż jednak wyczuwałam jego zapach, to było mydło i coś leśnego, nieznaczną woń zwierzęcia, jakim stawał się czasem. Brutalnego, dzikiego, nieokiełzanego. Ale pod tym wszystkim wyczuwało się woń róż... woń Veroniki.

Pomyślałam, że może skonsumuję oba ich duchy.

- Naprawdę zrobiłaś to wszystko dla Gavina?

Powiedział to martwym, obojętnym tonem. Jakby mu nie zależało.

Jakby nigdy mu nie zależało.

- Zrobiłam to dla siebie - odparłam i na tym skończyłam. Nie zamierzałam mu nigdy uświadomić, jak bardzo mnie zranił.

Skinął głową, pozbywając się odrobinę napięcia.

Napięcia? Nie zauważyłam tego. Zastanawiałam się, co go uspokoiło. Z pewnością nie moje wyznanie. Nie zależało mu, pamiętacie?

- Jak wygląda grafik w moim przypadku?

- Idziesz dziś na patrol. W niedzielę odpoczywasz. W poniedziałek będziesz siedzieć tutaj, w siłowni, na wypadek gdybyśmy cię potrzebowali. Wtorek znowu patrol. Zaczynasz o dziesiątej. Przygotuj się. - Zniknął w szatni.

Stałam w miejscu, próbując zapanować nad burzą uczuć.

Veronica stała z boku, obserwując mnie uważnie.

Popatrzyłam na nią ze złością, prowokując, by podeszła bliżej. Nie ulegało wątpliwości, że przyjechała do Alabamy - mojej Alabamy - żeby odzyskać Cole'a za pomocą uczciwych metod albo brudnych. No cóż, zrobiła to. I nie musiała się nawet zbytnio wysilać.

- Ciesz się nim, dopóki możesz! - zawołałam. - Najwidoczniej cierpi na zespół deficytu uwagi miłosnej.

Odwróciła wzrok, ale zdążyłam zauważyć rumieniec na jej policzkach.

Zarumieniła się. Dlaczego?

Szron odchrząknął, dając mi do zrozumienia, że mam się bez reszty skupić na jego osobie.

- Nie chcę ci przeszkadzać, kiedy idziesz na całość, ale musisz pogadać z Reeve - oświadczył. - Powiedz jej, żeby dała sobie spokój z facetem, z którym się spotyka. Jeśli potrwa to dłużej, Bronx może się wkurzyć i ostro pograć z gościem.

- Skąd wiesz o nowym chłopaku Reeve, Ethanie? - spytałam, szukając wzrokiem Bronxa.

Walił w worek treningowy z taką siłą, że bałam się o jego ręce. Ciemne włosy poprzetykane niebieskimi pasemkami były mokre i kleiły mu się do czaszki. Ze skroni spływał pot na nagie ramiona, i jeszcze niżej, na węzłowate mięśnie brzucha; gdybym wciąż była z Cole'em, nie patrzyłabym na te strużki jak zahipnotyzowana.

Szczęściara Reeve.

Biedny Ethan.

Szron poklepał mnie po czubku głowy.

- Puk, puk, jest tam kto? Jakbyś nie znała odpowiedzi na własne pytanie.

No tak, racja. Kat.

- Zapomnij o Reeve. Jej życie, jej decyzja. Twój problem polega na tym, że Kat chce pobierać lekcje samoobrony, a ja obiecałam, że będę jej ich

udzielać. Wiem, że byłaby zachwycona, gdybyś zechciał w tym pomóc.

Biorąc pod uwagę moje nowe... zachcianki, byłyby to bardzo wskazane.

Zaskoczony nagłą zmianą tematu, przestąpił z nogi na nogę.

- Nie. I powiesz jej, że zmieniłaś zdanie.

- Żartujesz? Wykluczone.

- Nie chodzi o to, że nie chcę, by trenowała. Chcę, żeby się najpierw trochę wzmocniła. Mogłabyś zrobić jej krzywdę. Ja zdecydowanie zrobiłbym jej krzywdę.

- Cole nie zrobił mi krzywdy, a ja będę znacznie łagodniejszym nauczycielem. I ty też. Widziałam, jak się wobec niej zachowujesz.

Zyskałam tyle, że znowu poklepał mnie po głowie.

- Cole dawał ci fory, słodziutka. A ja jestem na-
jgorszym trenerem, jakiego zabójcy w życiu
widzieli. Niecierpliwie się, kiedy coś komuś nie wy-
chodzi. Mógłbym zranić uczucia Kat.

Uczepiłam się tego, co powiedział na początku.

- Cole nie dawał mi forów.

Cmoknął.

- Ładne, ale złudne. Niezłe połączenie. Nic dziwnego, że wszyscy chłopcy mają na ciebie ochotę.

Nie bardzo.

- Zaraz rozwalę ci nos, Szron.

Roześmiał się.

- W przeciwieństwie do Cole'a zawsze oddaję.

Pamiętaj tylko, co mówiłem o Reeve. - I oddalił się.

Jakbym mogła zapomnieć.

- Kto jest dzisiaj na patrolu?

Szron uśmiechnął się przez ramię.

- Będą dwa. Gavin z Mackenzie i Cole z Lucasem.

Chcesz zgadywać, do kogo dołączysz?

Piękna katastrofa

Stałam przez kilka dobrych minut tam, gdzie Szron mnie zostawił, sama, czując się zapomniana i porzucona. Pocieszenie przyszło z najmniej spodziewanej strony.

- Nie zawsze będzie tak ciężko - powiedziała ze smutnym uśmiechem Mackenzie.

Pokaz współczucia. Nie zasłużyłam na to. Nie od niej. Mówiła chyba poważnie, kiedy wspomniała wcześniej, że zawsze mogę na nią liczyć.

Postanowiłam, że wynagrodzę jej wszystkie złe rzeczy, jakie ode mnie kiedykolwiek usłyszała.

- Mam nadzieję - odparłam.

Poklepała mnie po ramieniu i odeszła.

Po kilku sekundach jej miejsce zajęła Trina.

- Jak już będziesz gotowa, to daj mi znać. Poznam cię z kimś spoza naszego małego kręgu. Nie pożalujesz, obiecuję. Zdziałało cuda w przypadku Mac. Gdy była w takiej samej sytuacji co ty.

Skinęłam głową, a ona się oddaliła. Nie mogłam przysiąc, że będę kiedykolwiek gotowa.

Z szatni wyłonił się Cole. Namalował sobie pod oczami czarne półksiężycy, a ciało obwiesił bronią. Zawsze uwielbiałam go takim widzieć. Silnym. Gotowym do działania. Trochę niegrzecznym, zdolnym do każdego czynu. Gdybyśmy wciąż byli razem, rzuciłabym mu się w ramiona i wyczułabym do utraty tchu.

Wiesz, dokąd cię zaprowadzi myślenie życzeniowe? Na bezkresne pustkowie.

- Jakie otrzymam instrukcje? - spytałam ostro.

Zatrzymał się przede mną. Unikając mojego wzroku, wyjął z kieszeni bojówek czarną bandanę i przewiązał mi włosy.

- Zostaniesz z Gavinem i Mackenzie. I będziesz ostrożna.

- Chwilę. Co?! - zawołał gdzieś z boku Szron.

Właśnie. Co? Dawał mi do zrozumienia, że Cole chce mieć mnie przy sobie.

Cole popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem; wydawało mi się, że obaj wdali się w bezsłowny pojedynek na spojrzenia.

- No, dalej - rzuciłam, znów skupiając na sobie uwagę Cole'a.

- Chciałbym... no cóż, mniejsza z tym. - Poruszył nerwowo ramionami. - Muszę być dzisiaj z Lucasem. Sam.

Ten chrapliwy ton pojawiał się, ilekroć Cole mówił o swoich sekretach. Musiał być z Lucasem, ponieważ... szpiegował go? Emma wspominała coś o szpiegowaniu.

Albo starałam się go usprawiedliwić, że nie chce iść ze mną na patrol.

Rany. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam tego, że rozbieram na czynniki pierwsze wszystko, co mówi albo robi, szukając ukrytych znaczeń, próbując znaleźć jakiś powód, który pozwoliłby mi liczyć na pojednanie, choć wiedziałam, że do niego nie dojdzie.

Głupia. Pokładaj nadzieję w czymś właściwym, a będzie to lina ratunkowa. Pokładaj nadzieję w czymś niewłaściwym, a będzie to pętla na szyję.

- Mówiłem poważnie. Bądź ostrożna. - Musnął mnie kostkami dłoni po brodzie. - Zachowaj czujność.

Cofnęłam się poza jego zasięg. Nie bardzo wiedziałam, co rozumiał przez ten przelotny dotyk - i nie zamierzałam się tego domyślać. Postanowiłam, że nie pozwolę, by jeszcze kiedykolwiek tak mnie dotykał.

Zmarszczył czoło.

- Tak przy okazji, widziałam króliczą chmurę - poinformowałam go. - Jestem pewna, że zombi wyjdą tej nocy.

Jego rysy stwardniały.

- Mówisz mi o tym dopiero teraz, kiedy zdecydowałem się wysłać cię na patrol?

Myślał, że zombi pozostaną w swoich gniazdach? To był jedyny powód, dla którego postanowił wyekspediować mnie na ulice? Poczułam, jak rozpała się we mnie gniew.

- Gdybyś już ze mną nie zerwał, to z pewnością sama bym z tobą zerwała, i to natychmiast. Jesteś pierwszej klasy dupkiem, Cole'u Hollandzie.

- Twoja babcia wyraziłaby się inaczej. I jeśli coś robię, to warto wiedzieć, że staram się to robić jak najlepiej - oświadczył, niezrażony obelgą z mojej strony. - Jesteś doskonałym zabójcą, którego mogę rzucić w sam środek walki - kiedy nic ci nie dolega - ale wciąż dochodzisz do siebie po tym ugryzieniu, pomijając wszystko inne. Dzisiaj zostajesz.

Poczułam, jak dłoń zaciska mi się w pięść. Jak łokieć cofa się nieubłaganie. Jak ręka wystrzela do przodu i pięść wali Cole'a w szczękę. Nie potrafiłam się powstrzymać.

Głowa poleciała mu gwałtownie na bok, z rozcięcia w wardze wypłynęła krew.

Usłyszałam za plecami zbiorowe sapnięcie.

- Nic mi nie dolega - powiedziałam dobitnie. - Wierzysz mi teraz?

Popatrzył na mnie, a jego oczy zwężyły się w szparki.

- Czynna napaść jest niezgodna z prawem.

- Każ więc mnie aresztować.

Zbliżył się, zmniejszając i tak już niewielki dystans, który nas dzielił. Nagle poczułam na skórze pieśczośliwe ciepło jego oddechu, uwodzicielski zapach, gorąco ciała.

- Może zamiast tego przełożę cię przez kolano i dam ci w tyłek?

- Może wepchnę ci kolanem jaja do gardła?

- Jeśli chcesz bawić się tą konkretną częścią mojej anatomii, to wołałbym, żebyś użyła rąk.

- Moje ręce nigdy się tam nawet nie zbliżą.

Chwila milczenia. Potem:

- Założę się, że mogłabyś zmienić zdanie i pójść po rozum do głowy.

- Mogłabym ci ją rozwalić.

Cofnęłam gwałtownym ruchem drugą pięść, ale był na to przygotowany i zdążył chwycić mnie za rękę. Rozszerzyły mu się źrenice, oznaka

podniecenia. Inny sygnał: zaczął dyszeć. Zachowywał się tak, jakbym właśnie próbowała rozpiąć mu dżinsy, zamiast walić go bez litości.

- Uderz mnie jeszcze raz, a potraktuję to jako zachętę - powiedział tym samym przytłumionym głosem.

Byłam tak samo wściekła jak on. Drżałam z pragnienia, nad którym nie potrafiłam zapanować, i próbowałam złapać oddech.

- Zachętę do czego?

Jego ucisk zelżał, palce pocierały moją skórę. Pieszczota, nie ostrzeżenie.

- Myślę, że dowiemy się tego razem.

Co ty, u licha, wyprawiasz?

Słowa krzyczały mi w głowie. To... czymkolwiek było - flirtowaniem? - musiało się skończyć.

Opuściłam ramiona i cofnęłam się, dopiero teraz uświadamiając sobie, że w stodole zapadła cisza. Czy inni patrzyli, słuchali? Paliły mnie policzki.

- Wiem, że się przyjaźnisz z byłymi dziewczynami - powiedziałam. - I jeśli chcesz się przyjaźnić ze mną, w porządku, spróbuję się dostosować. Nie chcę się tylko bawić w takie gierki. Rozumiesz?

Otworzył usta, po czym westchnął ciężko. Skinął zdecydowanie głową.

Odwróciłam się od niego, zanim zdążyłam zrobić albo powiedzieć coś jeszcze gorszego, i zbliżyłam się do ściany z uzbrojeniem. Stał tam Gavin, ważąc w dłoni pistolet półautomatyczny.

- Niezły prawy prosty, Als - pochwalił.

Wreszcie. Urocza ksywka. Dlaczego padła akurat z jego ust?

- Dzięki. - Wzięłam do ręki topór.

Odebrał mi go.

- Przykro mi, kotku, ale jeśli chcesz władać bronią typową dla dużych chłopaków, to będziesz musiała o nią stoczyć ze mną bój. Popsuję ci przyjemność: pozwolę ci się powalić, dopóki zgodzisz się siedzieć na mnie okrakiem.

Chyba skrzywiłam kąciki ust.

- Nie mam zamiaru - mruknęłam, wybierając inny, lżejszy topór.

- Kiepsko. - Nacisnął guzik przy rękojeści mojej broni. Była to dźwignia uwalniająca metalowe szpikulce, które wysunęły się błyskawicznie po bokach ostrza. - Wiesz, jak się tym posługiwać?

- Mam rękę i potrafię nią wymachiwać. Myślę, że to wystarczy.

- Jeśli nie dasz się dzisiaj zabić, to będzie zakrawało na cud - ocenił. - Dobrze, że mam Cud na drugie imię.

- Widziałeś, jak walczyłam. Wiesz, że jestem dobra.

- Fakt. - Trącił mnie ramieniem. - A myślałaś kiedykolwiek o tym, żeby ufarbować sobie włosy na punkrockową czerń? Jak zapewne słyszałaś, mam słabość do brunetek i zawsze unikam blondynek.

- Słyszałam. I nie zamierzam się farbować.

- Szkoda. Kiedy na ciebie patrzę, to mam ochotę zrezygnować z pewnej zasady: nie uprawiać seksu z byłymi swoich przyjaciół.

Parsknęłam, nie próbując nawet ukryć... niedowierzania? Z pewnością nie byłam rozbawiona.

- Jak na ciebie patrzę, to mam ochotę zrezygnować z pewnej zasady: nie popełniać morderstwa z zimną krwią. - Nie czekając na jego odpowiedź, odmaszerowałam zdecydowanym krokiem.

Śmiejąc się, ruszył za mną.

- Zawsze jesteś taka nerwowa?

- Kiedyś taka nie byłam. - Westchnęłam. - Posłuchaj, przykro mi, jeśli zraniłam twoje uczucia.

Chciałam usiąść na jednym z wyściełanych krzeseł na tyłach pomieszczenia, ale zamknął moje ramię w delikatnym, choć zdecydowanym uścisku i zmusił, żebym na niego spojrzała.

- Po pierwsze, nie zraniłaś moich uczuć. Wątpię, czy udałoby się to komukolwiek, zważywszy, że ich nie mam. Po drugie uważam, że łączy nas pewna niedokończona sprawa.

Wpatrywałam się w podłogę, żeby uciec przed jego spojrzeniem. Tak jak Cole, górował nade mną, co było nie byle jakim wyczynem przy moim wzroście.

- Cole przydzielił cię do mojego zespołu i nie ma sposobu, żebyśmy mogli się unikać nawzajem. Nie możemy ryzykować wizji w trakcie starcia z zombi.

Skinęłam głową, ale wciąż na niego nie patrzyłam.

Ujął mnie dwoma palcami pod brodę i zmusił, żebym podniosła głowę.

- Załatwmy to od razu.

Nie, nie, nie... Nie mogłam tego jednak uniknąć i nasze spojrzenia się spotkały. I... nic się nie wydarzyło.

Oboje odetchnęliśmy z ulgą.

- No cóż, to z pewnością było antyorgazmiczne - mruknął.

- Takie skoki napięcia bywają irytujące, prawda?

- Najpierw z Cole'em, potem z Gavinem.

- Może przydałby ci się porządny przegląd z regulacją.

Przewróciłam oczami.

- Wpadnę jutro do warsztatu nadprzyrodzonych zdolności.

Uśmiechnął się, przesunął opuszkami palców po mojej brodzie. Opatentowany gest Cole'a Hollanda. Ten kontakt wytrącił mnie z równowagi; odwróciłam się.

- Siadajcie! - zawołał Cole. Jego chrapliwy głos odbił się echem od ścian stodoły.

Zignorowałam go. Miałam do wyboru albo to, albo mu powiedzieć, żeby się walił na wszelkie możliwe sposoby.

- Tak, przestańcie flirtować. Robi mi się od tego niedobrze - oznajmiła Mackenzie dostatecznie głośno, żeby wszyscy obecni usłyszeli. Stanęła obok mnie i mrugnęła, a ja sobie uświadomiłam, że chciała, by dotarło to do Cole'a; sądziła zapewne, że faceta zeżre zazdrość.

To było słodkie z jej strony, ale myliła się całkowicie. Wiedziałam, co jest powodem jego zachowania - to, że chciałam brać udział w walce.

Cole przeszedł obok naszej grupy, trącając złośliwie Gavina ramieniem i odsuwając go z drogi, i zajął swoje miejsce. Nim Lucas usiadł na swoim, posłał mi całusa.

Marszcząc czoło, Gavin też się rozsiadł. Mackenzie osunęła się na krzesło obok niego i przywołała mnie gestem dłoni.

- Jeśli pojawią się jakiegokolwiek kłopoty - powiedział Cole, nie zwracając się do nikogo w szczególności - to chcę o tym bezzwłocznie wiedzieć.

- Rany. To się nazywa przywiązywać wagę do szczegółów - mruknął Gavin.

Wyłączyłam się i zamknęłam oczy. Mogłam to zrobić. Głęboki wdech, przytrzymać, przytrzymać, potem odetchnąć i gdy powietrze uszło ze mnie, duch opuścił moje ciało. Poczułam, jak otaczają mnie okrutne ramiona chłodu, ściskając coraz mocniej.

Odwróciłam się i popatrzyłam w dół. Moje ciało spoczywało bezwładnie na krześle, oczy były zamknięte, rysy pozbawione napięcia.

Gavin poklepał mnie w ramię.

Napotkałam jego wzrok i uniosłam pytająco brwi.

Wskazał ruchem brody drzwi. Kiwnęłam głową. Od tej chwili, bez względu na to, co czułam, musiałam zważać bardziej niż zwykle na słowa.

Cole przysunął się do Gavina i wydał mu szeptem jakiś rozkaz; na jego twarzy malowała się

zawziętość. Usłyszałam tylko „zaopiekować się”, ale nic więcej.

Zaopiekować się... mną?

Gavin odpowiedział mu coś cicho i wydało mi się, że usłyszałam „szalona”.

Znowu ja?

Czy może zachowywałam się odrobinę narcystycznie? Nie zawsze musiało chodzić wyłącznie o mnie.

Wyszliśmy ze stodoły przez drzwi, które otworzył nam Szron. Posesję, dom, stodołę i wszystko w jej wnętrzu otaczały Linie Krwi. Tym samym wszystko było podatne na nasz fizyczny dotyk.

Gdy tylko wkroczyliśmy do lasu, moja grupa odłączyła się od grupy Cole'a. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzałam przez ramię. Patrzył na mnie, w jego wzroku dostrzegłam zmieszanie... tęsknotę... dopóki nie zniknął; chwila przeminęła bezpowrotnie.

Nie bardzo wiedziałam, jak rozumieć to jego nagle zainteresowanie, albo czy niewłaściwie to wszystko odczytałam, albo jak...

Wpadłam na drzewo, odbiłam się od niego rykoszetem i wylądowałam na tyłku.

Mackenzie parsknęła śmiechem.

- Tak się właśnie z nią dzieje, kiedy widzi Linie Krwi.

- To prawda? - spytał Gavin, pomagając mi wstać. - Naprawdę je widzisz?

- Świecą - odparłam przez zaciśnięte zęby. Zasłużyłam na to złośliwe upomnienie ze strony drzewa. Naprawdę. Dosyć już tego Cole'a. Dosyć.

- A więc... ty, dziewczyna, która nigdy wcześniej nie była na patrolu, której nigdy nie pokazano właściwej trasy, potrafiłabyś wyprowadzić nas z lasu wybraną przez nas drogą?

- Patrz.

Wysunęłam się na czoło, prowadząc ich przez pola pszenicy, do następnego lasu, i omijając każde drzewo oznaczone Linia Krwi i przenikając każde, które oznaczone nie było. W ciągu pół godziny wydostaliśmy się z zarośli i stanęliśmy na skraju polnej drogi. Rozpostarłam ramiona w geście: patrz i podziwiał.

- Niezwykłe - oznajmił Gavin.

Nawet Mackenzie wyraziła mrukliwie podziw.

- Co teraz? - spytałam. Jaką jeszcze odległość mieliśmy w ten sposób pokonać?

- Teraz zapołujemy. - Zrobił tylko dwa kroki i nagle znalazł się na końcu drogi.

Odwróciłam się gwałtownie do Mackenzie, chcąc ją spytać, co się właściwie stało, miałam to na końcu języka, ale ona już podążyła za Gavinem. Stała obok mnie, a sekundę później stała już obok niego. Doznałam niemal szoku. Zrobiłam krok, potem drugi i...

Od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą się znajdowałam, dzieliły mnie dwa kroki. Co u licha?

Zrobiłam jeszcze jeden krok, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, ale nie posunęłam się daleko. Szok ustąpił miejsca głębokiej frustracji.

- Przestań zwlekać! - zawołał Gavin. - Chodź.

Nie był to rozkaz, który naruszał moją wolną wolę - zależało mi na tym, by nie zwlekać. Ruszyłam w jego stronę i sekundę później otoczenie zamieniło się w rozmazaną plamę. Po upływie kolejnej sekundy stałam już obok niego.

- Jak to zrobiłam? - wysapałam zdumiona.

- Duchy rządzą się prawami duchowymi, nie fizycznymi - wyjaśniła Mackenzie. - Nakaż tylko własnym stopom, żeby zrobiły swoje, a zrobią to. Koniec, kropka.

- Spenetrujemy dziś te osiedla - powiedział Gavin, wskazując kierunek, w którym zamierzał się udać.

Ruszył przed siebie z nieprawdopodobną prędkością, Mackenzie tuż za nim. Popatrzyłam na swoje stopy w wysokich butach i warknęłam:

- Zaczniecie się poruszać równie szybko!

Posłuchały, znowu przygotowując mnie o szok. Błyskawicznie dogoniłam dwójkę towarzyszy, a potem mknęliśmy przez osiedla, jedno za drugim, szukając jakichkolwiek śladów zombicznej aktywności. Wytrzymałam godzinę... dwie... trzy... zanim niewyobrażalne przyspieszenie zaczęło dawać mi się we znaki, i to niebezpiecznie.

Z początku ręce i nogi drżały mi nieznacznie, potem bardziej, a później już gwałtownie. W końcu z trudem trzymałam się prosto.

- Czekaście - wysapałam i zatrzymałam się.

Błąd.

Poczułam nagle ciężkość stóp; ledwie mogłam utrzymać topór w dłoni.

Musiałam przyznać z niechęcią, że Cole i Szron mieli rację. Wytrzymałość była ważna. Należało wznowić treningi.

Gavin zwolnił i odwrócił się do mnie.

- Odpocznij - powiedział.

Taka głodna - wyszeptał urywany głos, przyciągając moją uwagę.

Obróciłam się błyskawicznie wokół własnej osi, ale nikogo w pobliżu nie dostrzegłam.

Jeść. Pokarm będzie krzyczeć. Tak. Tak!

Hm, co to za zapach? Pochłonąć, pochłonąć.

Poczułam na ramionach ucisk, jakby oplatała mnie taśma. Instynkt zwyciężył; podniosłam pięści, żeby zaatakować przeciwnika. Obróciłam się.

Gavin przykucnął, unikając ciosu. Wyprostował się ze zmarszczonym czołem.

- Co się z tobą dzieje?

- Nie... nie wiem.

„Pani samopoczucie” - powiedział człowiek w SUV-ie.

- W powietrzu unosi się woń rozkładu. - W głosie Mackenzie pobrzmiwało podniecenie.

Uśmiechając się, Gavin uwolnił mnie. Wystrzelił rękę, żeby powiadomić Cole'a i Lucasa, potem wyjął dwa sztylety.

- Tak, dziecinko. Zombi są w pobliżu.

Odetchnęłam głęboko, ale czułam tylko sosnową woń drzew. I... woń Gavina. Czułam go i wydawało się to przyjemniejsze niż zapach sosen. To było smakowite. Aż ślina do ust napływała.

- Dasz radę walczyć? - spytał.

Nie byłam właściwie pewna, nie wiedziałam nawet, czy w ogóle mnie to obchodzi. Nachyliłam się i powąchałam go. *Hm. Czas na przekąskę.*

Popatrzył na mnie pytająco, ale w tym momencie jego uwagę zwrócił męski osobnik z garbem i wykręconą kostką, który wyłonił się z mroku pobliskiego domu.

Zombi nie czaiły się w pobliżu; były tutaj.

Ten nosił brudny, podarty garnitur z przekrzywionym krawatem.

Tuż za nim wlokły się trzy inne, a za nimi jeszcze pięć.

Pochłonąć, pochłonąć, pochłonąć.

Moje, wszystko moje.

Będzie takie dobre!

Głosy nakładały się na siebie, uporczywe i donośne. Pokręciłam głową i zatkałam sobie uszy, oblizując jednocześnie wargi i wpatrując się w szyję Gavina.

Rzucił w stronę zombi czymś niedużym i czarnym i krzyknął:

- Na ziemię!

Po chwili już leżał. Nie rozumiejąc, o co chodzi, wciąż stałam.

Bum!

Eksplodował minigranat, siejąc spustoszenie w pierwszym szeregu zombi. W powietrzu fruwały oderwane od ciał ręce i nogi. Gorący podmuch powietrza rzucił mnie do tyłu. Kiedy upadłam, posypały się na mnie gałązki, żdźbła trawy i części anatomiczne.

Gavin i Mackenzie zerwali się z ziemi i ruszyli do bitwy, tnąc i rąbiąc stwory, które się nie przewróciły.

Zacisnęłam zęby i zmusiłam się do działania.
Dam radę, dam radę.

Ale... gdy wbiłam się w kręgosłup jednej z kobiet, zwróciła się ku Gavinowi, ignorując mnie całkowicie. Kiedy obciąłam rękę innemu zombi, rzucił się na Mackenzie, jakby mnie w ogóle nie było.

Będzie smakować.

Moje, moje, moje.

Kaleczyć, ranić, zabijać.

Dobre, takie dobre.

Cholera! Głosy. Donośniejsze teraz, krzyczące. Rzuciłam topór, żeby zakryć sobie uszy. *Przestańcie. Błagam, przestańcie!* Nie przestały. Stały się jeszcze głośniejsze. Ugięły się pode mną kolana; upadłam na ziemię. Zombi przestępowały nade mną, pragnąc za wszelką cenę dopaść Gavina i Mackenzie.

Co ty wyprawiasz? Wstawaj. Walcz. Pomóż przyjaciółom. Stać cię na to.

W końcu odezwał się głos rozsądku. Ledwie słyszalny w tej wrzawie. Ujęłam drżącą dłonią sztylet i podniosłam się z ziemi. Poczułam drżenie nóg i zatoczyłam się, znalazłam jednak w sobie dość siły, żeby ruszyć niepewnie przed siebie.

Zbryzgana krwią, Mackenzie przedstawiała sobą makabryczny widok - wykonała szybki obrót i rozcięła gardła trojga zombi próbujących ucześcić się jej ramion. Gavin przeskoczył przez stos bezgłowych, wijących się istot, unikając chwytnych dłoni, i przywarł do pleców towarzyszki.

Uniosłam ostrze. Chciałam im pomóc... dotknąć ich. Promieniowali. Pory ich ciał pulsowały miękkim światłem. Tak pięknym. Przyciągało mnie.

Moje.

Musiałam posmakować tego światła. Musiałam ich posmakować.

Smakować. Tak. Mackenzie znajdowała się najbliżej i to ona pierwsza miała mnie nasycić. Chciałam się nią objadać. Krzyczałyby, a ja bym się tylko śmiała, nasycona po raz pierwszy w życiu.

- Ali - warknęła. - Jeden z tyłu!

Jeden zombi. Z tyłu. Nie zwracał na mnie uwagi. Ominął mnie.

Ale mnie ostrzegła. Żeby mi pomóc... podobnie jak ja miałam jej pomóc.

Tak wiele razy chciałam pomagać ludziom, których kochałam, i zawiodłam. Tatę, mamę, siostrę, dziadka. Zamrugałam, odzyskując rozum i rozsądek. Uświadomiłam sobie nagle z przerażeniem, co zamierzam zrobić. Niewiele brakowało, żebym skrzywdziła przyjaciółkę.

Zagryzłam język i poczułam smak krwi; rzuciłam ostrze i odsunęłam się od Mackenzie. Jak mogłam ulec tak mrocznym myślom?!

- Ali, wznieć płomień! - zawołał Cole.

Był tutaj. Odwróciłam się, spojrzeliśmy sobie w oczy. Biegł w moją stronę, poruszając się tak szybko, jak ja wcześniej. Mimo to potrafiłam przewidzieć jego ruchy. Dostrzegłam nawet niepokój na jego twarzy.

A gdybym postanowiła go zranić? A gdybym go zaatakowała?

Choć nie znosiłam go w tej chwili, nie mogłam ryzykować.

Spanikowana, pobiegłam w przeciwną stronę, byle dalej od Cole'a, od walki, od wszystkich i wszystkiego. Biegłam i ani razu się nie odwróciłam.

Pij mnie

Dyszając, wyprostowałam się gwałtownie. Ogarnęła mnie panika, kiedy zaczęłam rozglądać się po otoczeniu, którego nie mogłam sobie przypomnieć. Stałam...

...na zimnej, twardej ziemi przed swoim dawnym domem. Domem, w którym spędziłam większość życia. Domem, który zbudował mój ojciec. Domem, którego nie odwiedziłam od czasu śmierci najbliższych.

Poczułam dreszcz. Jak się tu dostałam? Uciekłam od Cole'a, od zombi i głosów, tak, tak, zgadza się, a potem... straciłam chyba przytomność. Nic więcej nie pamiętałam.

Słońce już wschodziło, choć ukryte za gęstą nawałnicą chmur - z których jedna miała kształt królika. Przełknęłam z wysiłkiem. Spojrzałam w inną stronę. Huśtawka na drzewie, którą tata zawiesił dla Emmy, zniknęła. Różany ogród, który

mama starała się utrzymać, zraszając go krwią, łzami i potem, zamienił się w rumowisko kamieni.

W żyłach krążył żrący kwas, który groził przelaniem. Zmiana, zmiana, jak okiem sięgnąć, tu, tam i wszędzie - przypomnienie, że nic i nikt nie ujdzie przed jej okrutnymi szponami.

Poczułam bolesne ukłucie znajomych doznań. Przyspieszone bicie serca - obu serc - krople potu na czole, uścisk w płucach. Świadomość, że tracę kontrolę nad ciałem i reakcjami tylko pogorszyła sprawę.

Przestań! Po prostu przestań. Nie byłam jakąś wystraszoną myszą. Byłam silniejsza, wykuta w ogniu i stali. Wdech - wciągnęłam powietrze - wydech - uwolniłam je. Wdech. Wydech. Dobrze.

Coś miękkiego musnęło mi włosy, łaskocząc głowę.

- Och, Alicjo. Nie znoszę, kiedy jesteś w takim stanie.

Moje spojrzenie przesunęło się po baletkach, pończochach, puszystej spódniczce i błyszczącym różowym trykocie. Panika, która już przygasiała, zderzyła się nagle z falą szczęścia... i, cuda nad cudami, szczęście zwyciężyło.

- Emma! - Zerwałam się na równe nogi i wzięłam swoją małą siostrę w ramiona. Zaraz. Coś było nie

tak. - Mogę cię dotykać. Naprawdę mogę cię dotykać. - Zatoczyłam się zszokowana. - Jak mogę cię dotykać? Nie żyję?

Złote oczy błysnęły wesoło, a doskonale usteczka w kształcie serca uśmiechnęły się.

- Jesteś w postaci duchowej, głuptasie. - Zarzuciła znajomym gestem warkoczyki za ramiona. - Twoje ciało czeka w stodole Cole'a, a twoi przyjaciele są superzaniepokojeni, by się tak wyrazić.

Stodoła. Zgadza się.

Nie przejmowałam się tym.

- Niech już tak pozostanie na zawsze. - Nie chciałam za żadne skarby świata tracić z nią fizycznego kontaktu. Nigdy więcej.

- To niemożliwe. Twoje ciało umrze.

Teraz, w takiej chwili, tym też się nie przejmowałam.

- O co ci chodzi? Wciąż będziemy razem?

Jej uśmiech przygaszał z wolna.

- Nie wydaje mi się. - Spoglądając na swoje baletki, powiedziała: - Przrzekłyśmy sobie kiedyś, że nie będziemy się okłamywać, i zamierzam dotrzymać słowa. - Chwila milczenia. Westchnienie. - Masz kłopoty, Alicjo, i z każdym dniem jest coraz gorzej.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Panuję nad wszystkim.

Spojrzała mi w oczy.

- Widzę smugi.

Przełknęłam z wysiłkiem.

- Co to takiego?

Na jej twarzy malowała się czułość; musnęła mnie dłonią po policzku.

- Mówiłam ci, że porozmawiam z ludźmi, i tak też zrobiłam. Ale chyba nie spodoba ci się to, co usłyszysz, Alicjo.

- Mimo wszystko chcę wiedzieć. - Musiałam znać prawdę.

- Doskonale. Słyszałaś opowieść o dwóch głodnych wilkach, które żyją w każdym człowieku? Jeden jest dobry, a jeden zły, i oba walczą o przejęcie nad nim władzy. W końcu ten, który się nasyci, wygra z drugim.

Pokręciłam głową.

- No cóż, tak się właśnie dzieje - ciągnęła Emma. - Tamtej nocy, w Anima Industries, kiedy zostałam ranna, miałam w sobie tyle zombicznej toksyny, że antidotum nie mogło wyeliminować jej do końca. Twój duch był dostatecznie silny, by ją zwalczyć i obronić się, ale nie twoje osłabione ciało. A toksyna, no cóż, stanowiła zmutowaną odmianę, która

stworzyła coś nowego, coś zrodzonego z siebie. Innego ducha. To oznacza, że istnieją teraz dwa duchy, które toczą śmiertelną walkę o prawo przebywania w twoim wnętrzu. Twój duch, Alicji człowieka. I drugi... Alicji zombi.

Umilkła, by znaczenie i sens jej słów dotarły do mnie.

Objęłam się ramionami, jakbym mogła ochronić samą siebie przed tak straszną prawdą. Alicja Zombi. Walka o przejęcie władzy. Moje skażone odbicie w lustrze... Szepczące niecierpliwe głosy... Odrażające pragnienia... Osunęłam się niemal na kolana.

- Twierdzisz, że stałam się żywicielem jakiegoś... zombi?! Ale to niemożliwe. Zdarzają mi się długie okresy bez żadnych mrocznych zachcianek. Tak jak teraz. Nie chcę cię ugryźć.

- To prawda, ale musisz postrzegać to jak chorobę. Twój ludzki duch walczy z duchem zombi, nawet jeśli nie jesteś tego świadoma, i chwilowo wygrywa. Ale ponieważ twój ludzki duch, a tym samym ciało, wytwarza truciznę na zombi, a ty masz go w sobie, to w gruncie rzeczy trujesz samą siebie. Jesteś na siebie uczulona i osłabiasz się z tego powodu.

- Nie - odparłam zdecydowanie, kręcąc głową.

- Wiesz, że mam rację - powiedziała, a ja zauważyłam, że stara się powstrzymać łzy. - Mroczniejsza strona twojej osobowości jest czasem tak silna, że uwidacznia się na zewnątrz. Poza tobą.

Nie.

- Zażyję więcej antidotum.

- Pomoże na krótką metę, ale to nie jest rozwiązanie.

- A co nim jest? - spytałam chrapliwie.

- Nie wiem tak naprawdę. Justin, gryząc cię, obudził w tobie tę mroczną stronę. Tchnął w nią życie.

W końcu osunęłam się na kolana. Nie mogłam dłużej zaprzeczać jej słowom, prawda? Kilka sekund po ugryzieniu zaczęło bić nowe serce.

Nowe serce.

Dla nowej mnie.

- Co się stanie, jeśli wygra ta druga?

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

Znałam. Jeszcze przed chwilą nie chciałam się do tego przyznać.

Stałabym się tym, czego nienawidziłam najbardziej.

- Ile mam czasu? - spytałam, tłumiąc szloch.

- Więcej niż inni. Pamiętasz, jak mama po wypadku położyła ci dłoń na nodze?

Zrobiłam wielkie oczy. Nie potrafiłam sformułować żadnych słów, mogłam tylko skinąć głową. Zatem to nie były sny, lecz wspomnienia. Ta świadomość rozdarła mi serce. Cierpiała. Moja matka cierpiała.

- Nie uświadamiała sobie tego, co robi, ale przekazała ci swoje zdolności, pozwalające pokonać zombi. Swoją... moc. To chyba odpowiednie słowo.

Swoją moc. Nie moc mego ojca.

- Ale przecież nigdy niczym się nie wykazywała.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że coś może istnieć, nawet jeśli się tego nie widzi. - Usadowiła się przede mną i ścisnęła mi rękę. - Odziedziczyłaś też zdolności po tacie. Dlatego jesteś taka silna. To także powód, dla którego potrafisz robić to, czego nie potrafią inni. Powód, dla którego twoje ciało jeszcze nie umarło. Jeśli ktokolwiek może sobie z tym poradzić, to tylko ty sama.

- Jak?

- Tego też nie wiem - odparła i opuściła zrezygnowana ramiona. - Przykro mi.

Próbowałam się uśmiechnąć. Nie bardzo mi się to udało.

- Hej, nie martw się o mnie. Znajdę jakiś sposób.

Kiwnęła głową, a ja zauważyłam, że chce mi uwieryć. Potem ucałowała mnie w policzek, powiedziała: „Wciąż poszukuję odpowiedzi” i zniknęła.

Siedziałam tam z zaciśniętymi pięściami, oddychając miarowo. Bez względu na wszystko, nie zamierzałam stać się zombi. Postanowiłam z tym walczyć i znaleźć jakiś lek, ale gdyby zawiódł...

Nie. Nie ma takiej możliwości. Ułożyłam sobie w głowie listę rzeczy, które należy zrobić, i uspokoiłam się. Znajdź sposób na odszyfrowanie całego dziennika. Dowiedz się, jak zabić tego zombi, który w tobie mieszka. Tę zombi, ściślej mówiąc.

Proste, a jednak zdumiewająco skomplikowane. Nieważne. Radziłam sobie w gorszych sytuacjach.

- Ali!

Zmarszczyłam czoło. To był głos Cole'a.

Wstałam, obróciłam się w lewo i zobaczyłam samochód pędzący przez osiedle. Obróciłam się w prawo i zobaczyłam jakąś kobietę, która podchodziła do swojego wozu z kubkiem kawy w dłoni.

- Ali?

Nagle poczułam ostre ukłucie na policzku.

Czyżby Cole właśnie mi przyłożył? Ruszyłam przed siebie, ustalając kurs kolizyjny na stodołę i przy okazji wszystkie swoje problemy i... świat wokół mnie zamienił się w rozmazaną plamę, po czym nabrał znów ostrości, gdy zobaczyłam duży czerwony budynek, w którym pozostawiłam swoje ciało. Ktoś zostawił mi otwarte drzwi. Dostrzegłam Cole'a, pana Hollanda i innych zabójców; wszyscy otaczali moje krzesło.

Cole podniósł rękę, dłoń trzymał płasko, gotów znowu uderzyć.

Zrobił to. Naprawdę.

Wniknęłam w swoje ciało z głośnym westchnieniem.

- Już jestem.

Wyprostował się. Jego oczy napotkały mój wzrok i zwęziły się. Nastął nowy dzień, ale nie byłam zaskoczona, gdy upłynęła chwila, a mimo to nie doszło do żadnej wizji między nami.

Jego ojciec wbił mi igłę w szyję.

- Antidotum - wyjaśnił.

- Dobrze się czujesz? - spytał Cole.

Dobrze? Nie. Nawet mając gdzieś w głowie tę swoją listę rzeczy do zrobienia, chciałam zwinąć się w kłębek i zapłakać. Chciałam mu powiedzieć, czego się właśnie dowiedziałam. Chciałam...

wszystkiego, czego nie mogłam mieć. Jego objęć. Jego głosu, tuż przy swoim uchu, zapewniającego, że wszystko będzie dobrze.

Był jedynym człowiekiem, któremu potrafiłabym uwierzyć.

Wydawało się to dziwne, zapewne skutek tej chwili albo szoku, ale teraz, gdy moja przyszłość miała wyraźnie zakreślone granice, wściekłość, którą wobec niego odczuwałam, ulotniła się bez śladu. Wciąż bolało mnie to, co zrobił i jak mnie traktował, ale nie miało to już znaczenia.

Jedna noc zmieniła mnie nieodwracalnie.

Zmiana.

Roześmiałam się bez humoru. Kolejna zmiana w moim życiu.

- Zróbcie trochę miejsca, niech dziewczyna odetchnie. - Pan Holland odsunął pozostałych zabójców.

- Przepraszam - powiedziałam. Mój głos był nieledwie szeptem.

Cole zignorował polecenie ojca, położył dłonie na oparciach krzesła i nachylił się do mnie; zetknęliśmy się prawie nosami.

- Gdzie byłaś? Coś ty sobie myślała, siedząc tam przez cały czas? Masz pojęcie, jak się martwi... jak się martwiliśmy?

Zamrugalam zdumiona, patrząc na niego. Zniknął łagodny Cole, który zajął się mną troskliwie po ataku paniki. Ten, który tak słodko przewiązał mi włosy bandaną.

- Domyślałam się, że się niepokoiiliście - odparłam i odwróciłam wzrok od niego. Byłam zbyt odsłonięta, zbyt podatna na jego troskę i nastrój, znowu rozdarta na strzępy. - I przepraszam - powtórzyłam.

- Gdzie byłaś? - spytał ostro po raz drugi.

- Obok swojego dawnego domu.

- Po co tam poszłaś?

- Nie wiem. Obudziłam się tam i już.

Pan Holland otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Cole nie dopuścił go do słowa.

- Nie wiesz? - warknął, wciąż rozgniewany. - Jak możesz nie wiedzieć?

Co spowodowało w nim taką zmianę zachowania?

Gavin klepnął go w ramię.

- Człowieku, daj jej chwilę, żeby mogła wyjaśnić.

Cole obrócił się do niego gwałtownie, rzucając wściekle:

- Chciałbyś, co?

- No... owszem. Wszyscy byśmy chcieli. - Zmieszany, Gavin spojrzął na mnie, oczekując

prawdopodobnie, że wyjaśnię Cole'owi swoje dziwne zachowanie. Nie mogłam tego zrobić.

A potem świat przygasał...

...Gavin był w moim pokoju, stał przede mną. Pchnęłam go na łóżko i po chwili znalazłam się na nim. Przekręciłam mu głowę na bok, odsłaniając szyję. Przesuwałam językiem po jego skórze, szarpiąc na nim koszulę, próbując zdjąć ją mu przez głowę i...

...trach!

Zamrugałam, odzyskując ostrość widzenia, „tu” i „teraz” powróciły równie szybko, jak zniknęły, ja zaś uświadomiłam sobie, że Cole walnął pięścią w przepierzenie nad moją głową, robiąc w nim sporą dziurę i wzbijając przy okazji chmurę pyłu, który przyprawił mnie o kaszel. Potem odsunął brutalnie Gavina.

Chłopak zatoczył się do tyłu i przesunął dłonią po twarzy.

- Co widziałaś? - spytał Cole tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Powiedz mi, zanim...

- Opanuj się, synu. - Pan Holland chwycił go za ramię i popchnął w stronę drzwi. - Jeśli nie potrafisz, wyjdź.

Cole zastanawiał się tylko przez chwilę. Potem wypadł ze stodoły jak burza, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Szron i Bronx rzucili mi współczujące

spojrzenia i wyszli w ślad za nim. Po kilku sekundach usłyszałam pisk opon i chrzęst żwiru.

- Pozostali też muszą wyjść - oznajmił zdecydowanie pan Holland. - Oprócz ciebie, Gavin. Ty zostajesz.

Wszyscy zabójcy, z wyjątkiem Gavina, opuścili stodołę. Mackenzie rzuciła mi na odchodnym pytające spojrzenie.

Opuściłam ją zeszłej nocy, kiedy była w niebezpieczeństwie.

- Przepraszam - powtórzyłam, obejmując się ramionami. Poczułam w oczach łzy. -Ktoś został ranny?

- Nie. - Pan Holland przyglądał mi się uważnie, jego krystalicznie czyste spojrzenie przewiercało mnie na wskroś jak laser. - Nie zamierzam pytać, co ty i Gavin widzieliście w swojej wizji. Sądząc po wyrazie twojej twarzy, mogę się tego domyślać. Chcę natomiast wiedzieć, co się z tobą stało tej nocy.

Jeszcze nie tak dawno temu ten człowiek uważał mnie za kogoś, na kim nie można w ogóle polegać. Nie chciał mnie tutaj. Co by zrobił, gdyby dowiedział się prawdy - że gniję od środka?

Niebawem mogłam stać się zagrożeniem i ryzykiem dla wszystkich, których kochałam.

- Straciłam przytomność - odparłam.

- Słyszałem, że zombi nie chciały mieć z tobą nic wspólnego.

- Zgadza się. - Wzdrygnęłam się z obrzydzenia. Musiały mnie już uznawać za jedną ze swoich.

- Chcę, żeby zbadał cię pan Ankh - oznajmił. Nie mogłam się sprzeciwić.

- Okay.

Co by stwierdził? Odkryłby źródło problemu? Dotąd tego nie zrobił.

- I nie chcę, żebyś uczestniczyła w czymkolwiek, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Z miejsca chciałam zaprzeczyć. I szybko się powstrzymałam. Niemal skrzywdziłam Mackenzie i Gavina. Porzuciłam swój zespół, skazując go na samotną walkę, beze mnie. Zasłużyłam na to, nawet na coś gorszego.

Spuściłam zawstydzona wzrok i skinęłam głową.

Pan Holland spojrzał na Gavina.

- Odwieź ją do domu. - Powiedział to, co miał do powiedzenia, wydał rozkazy i zniknął za drzwiami.

Gdy znaleźliśmy się w samochodzie, bez świadków, Gavin spytał:

- Dlaczego wciąż przytrafia się nam ta sama wizja?

- Nie wiem. Z Cole'em mieliśmy tę samą wizję tylko kilka razy, zanim pojawiała się nowa.

- Może ta jest ważna.

Wiedziałam, że nie ma na myśli nic zarozumi-
ałego. Przeczył temu jego ton, zbyt zatroskany.

- A może nie osiągamy tego, co według nich
mamy osiągnąć.

- To znaczy, że wizje są żywe? Obdarzone
świadomością?

- Nie. - Pokręciłam głową. - Ale nasze umysły
w tym uczestniczą i wiedzą, co osiągamy, a czego
nie.

Stukał palcami w kierownicę.

- Zapomnijmy na chwilę o tej wizji. Pamiętasz,
jak zakrywałaś sobie uszy w trakcie walki? Jakbyś
słyszała coś, czego nie powinnaś?

Poruszyłam się niespokojnie. Albo słyszałam Ali
Zombi - A.Z., jak przyszło mi do głowy, bo nienaw-
idziłam łączyć swojego imienia z czymś takim -
albo inne zombi. Obie te możliwości sprawiały, że
robiło mi się niedobrze.

- Tak. - Przekręcił kluczyk w stacyjce. - Jestem
pewien, że pamiętasz. Co słyszałaś?

- Nie zamierzam o tym rozmawiać.

- Świetnie. Nieważne. Nie zdradzę cię. Widzę, że jesteś dobrą dziewczyną, i nie wątpię, że masz powody milczeć w tej tak ciekawej sprawie.

Niespodziewany sojusznik. Potrzebowałam takiego, i to rozpaczliwie.

- Dzięki.

Wzruszył ramionami i wyjechał na drogę.

- Jestem ci chyba winien przysługę.

- Co masz na myśli?

- Po tym, jak rzuciłaś się na mnie, co sugerowało, że jesteś podłączona do aparatury podtrzymującej życie, a moje ciało było pełne tlenu, którego tak łaknęłaś...

Nagle poczułam się jak dawna ja; wyciągnęłam rękę i walnęłam go w pierś.

- Zamknij się.

Uśmiechnął się szeroko, jego twarz zdradzała rozbawienie.

- Jeszcze jedna taka wizja, a Cole zabije mnie, kiedy będę spał.

- Wysoce wątpliwe. Myślę, że był po prostu zdenierwowany, bo spędziłam gdzieś noc, a wszyscy się martwili.

Parsknął tak głośno, że odbiło się to echem w kabinie samochodu.

- Jasne, właśnie dlatego szukał cię całymi godzinami.

Naprawdę? Nie chodziło mu z pewnością o mnie, tylko o zespół.

- Poza tym, i uwierz mi na słowo, nie żartowałam, mówiąc za każdym razem, że mnie nie interesujesz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zdajesz sobie sprawę, że wydajesz mi się z każdą chwilą coraz bardziej atrakcyjna, prawda? Po pierwsze, czy naprawdę nie rozumiesz, jaka jesteś piękna? Nawet w oczach takiego faceta jak ja. I po drugie, nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, której nie potrafiłbym zdobyć.

Ja? Piękna?

- Może zdobywałeś w przeszłości kobiety, których pragnąłeś, ale zawsze jest ten pierwszy raz, kiedy ponosi się porażkę.

Złapał się za serce, jakby w przyпадzie nagłego bólu.

Przewróciłam kpiąco oczami.

- Nie udawaj, że traktujesz to jako wyzwanie. Nic z tego. Wiesz, co o tobie myślę, i to od samego początku.

Jego śmiech okazał się zaraźliwy, ja zaś uległam wesołości każdą cząstką ciała. Nie wiedziałam, czy będę miała po temu jeszcze wiele okazji.

- Facet może się zmienić, sama wiesz.

Zmiana.

- Tak. Facet może się zmienić. Podobnie jak dziewczyna.

Skupiłam uwagę na wzgórzach za szybą samochodu i ignorowałam go przez resztę drogi.

*

Gavin wszedł za mną do rezydencji.

- Powiedziano mi, żebym dowiózł cię bezpiecznie do domu. Zaniebawiłbym swoje obowiązki, gdybym nie odprowadził cię pod drzwi sypialni. Kto wie? Może nawet spróbujesz pocałować mnie na dobranoc?

- Trzymaj się z dala od mojego pokoju, ty brudny draniu - rzuciłam żartobliwie.

Chwycił mnie za rękę i obrócił mną jak w tańcu.

- Z każdą upływającą sekundą podobasz mi się coraz bardziej, Als. Może w tych wizjach jest mimo wszystko odrobina prawdy. Poważnie. Pomyśl o tym.

- Przymkniesz się i przestaniesz gadać o „wiadomo czym”? To nie jest bezpieczna strefa rozmów. -

Podeszłam do schodów i znalazłam karteczkę przyklejoną do poręczy.

„W moim gabinecie, panno Bell. Natychmiast”.

Domyśliłam się, że nie będę mogła zabrać się od razu do lektury dziennika. Zmięłam kartkę w kulkę i rzuciłam nią w Gavina.

- Jesteś wolny. Najwidoczniej mam randkę z kimś innym. - Pan Holland musiał zadzwonić do pana Ankha, którego druga osobowość, dr Krew i Flaki, przystąpiła natychmiast do działania.

- Wolny - powtórzył Gavin. - To już drugi „pierwszy raz”.

- Proszę bardzo. - Zmieniłam kierunek i weszłam do gabinetu pana Ankha.

- Zamknij drzwi - zakomunikował, siedząc za biurkiem.

Wykonałam polecenie bez słowa protestu czy komentarza.

- Usiądź.

Znowu posłuchałam, a moje nerwy wystrzały się z każdą upływającą chwilą.

Wstał, obszedł biurko i zajął miejsce naprzeciwko mnie, po czym otworzył czarną torbę wypełnioną igłami, tubkami, wacikami i kilogramami innego sprzętu, którego przeznaczenia nie miałam najmniejszego zamiaru poznawać. W przeciwległym

kącie pokoju stała jeszcze jedna czarna torba z fiolkami antidotum. Trzymał ją tam na wszelki wypadek.

- Staraj się nie krzyczyć - mruknął, sięgając po opaskę uciskową.

- Jasne. A pan niech nie próbuje dźgać mnie czymś, czym nie powinien.

- Jestem lekarzem. Wiem, co robię.

- Jest pan chirurgiem. Wie pan, jak kroić i szyć.

Zasznurował wargi tak samo, jak robiła to Reeve.

- Po tysiącu lat szkoły medycznej, jak wyraża się moja córka, wydaje mi się, że potrafię coś więcej, niż tylko kroić i szyć.

Umieścił igłę we właściwym miejscu i pchnął, a moja żyła stawiała opór. Poczułam ukłucie w całym ramieniu. Syknęłam głośno.

- Przepraszam - mruknął, próbując ponownie. I wyobraźcie sobie, znowu nie trafił.

Mogłam jedynie przygryzać język i spoglądać gniewnie na czubek jego pochylonej głowy.

- Przepraszam - powtórzył. Wreszcie mu się udało.

Po kilku minutach oklejał próbówki etykietkami.

- Jutro będę miał wyniki.

Zastanawiałam się, co znajdzie. Potarłam się dłonią po drugim pulsie i zmusiłam do oddechu.

- Dzięki.

Zaburczało mi w brzuchu, co wprawiło mnie w zażenowanie. Przekradłam się do kuchni i poszukałam obwarzanków. Nie było ich na swoim miejscu, tam gdzie je zostawiłam, w spiżarni też nie. Ktoś musiał je zjeść. Popatrzyłam tęsknym wzrokiem na pojemniki z deserami, a nawet na słoiki warzyw, ale wycofałam się, nie dotykając niczego, czego nie powinnam dotykać, i poszłam do pokoju babci. Do tej pory nie podziękowałam jej za dziennik. Zapukałam i czekałam.

- Twoja babcia poszła do kościoła - usłyszałam za plecami cichy głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam jedną ze służących. Odkurzała boczny stolik.

- Dziękuję.

Ja i babcia zawsze chodziłyśmy razem do kościoła. Nie mogłam sobie darować, że to przegapiłam. Zwłaszcza że wyglądało tak, jakbym ją zignorowała. Znowu. Miałam nadzieję, że nie jest na mnie zła.

Powlokłam się do swojego pokoju. Unikając luster, usiadłam przy biurku i przekartkowałam dziennik. Spodziewałam się, że ponownie przeczytam to, co zostało już odszyfrowane.

Stwierdziłam, że każde słowo znów ukrywa przede mną swoje znaczenie. Ale... jak było to możliwe?

Marszcząc w skupieniu czoło, przejrzałam powoli każdą stronę, linijka za linijką, studiując każdy symbol, każdą liczbę. Nic z tego. Ani śladu cudownego odsłonięcia.

Pomyślałam, że trzeba uprościć listę rzeczy do zrobienia: naucz się, jak zabić tkwiącego we mnie zombi bez pomocy dziennika. Tkwiącą we mnie zombi, ściślej mówiąc.

Od czego by tu zacząć? Od siostry? Może już zdołała dowiedzieć się czegoś o mojej sytuacji.

- Emmo, jeśli możesz złożyć mi następną wizytę, to z chęcią cię ujrzę.

Musiałam czekać dłużej niż zwykle, ale w końcu się zjawiała.

- Witaj - powiedziała.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Przybyłaś.

- Mówiłam ci. Zawsze przybędę. - Stała obok biurka, mnąc w palcach brzeg spódniczki. - Wyglądasz lepiej.

- Dziękuję.

- Co robisz?

Wzięłam do ręki książkę.

- Jak wszystko na to wskazuje, nasz prapradziadek pisał dziennik na temat zabijania zombi. Tyle że zastosował jakiś szyfr, którego nie potrafię rozgryźć. Zaczęłam się więc zastanawiać, czy dowiedziałaś się czegoś nowego.

- Jeszcze nie. - Potarła dłonie. - Pozwól mi jednak rzucić okiem na ten dziennik. - Nachyliła się nad moim ramieniem i przesunęła wzrokiem po stronach. Wydęła wargi, wyraźnie rozczarowana. - Miałam nadzieję, że złamię ten szyfr mocą swego genialnego umysłu, a potem będę bez końca ci to wypominać, ale potrafię odczytać te słowa bez większego problemu.

Wpatrywałam się w zaszyfrowane wciąż strony.

- Jak?

- Nie wiem. Po prostu potrafię. Wszystko wydaje mi się normalne.

- Wobec tego przeczytaj mi coś.

- Okay... może to? - Wskazała. - Słowa migoczą mi przed oczami.

Migoczą? Skinęłam głową.

- „Słyszałem, że potrzebujemy ciemności, by zrównoważyć światło - przeczytała - i światła, by zrównoważyć ciemność. Powiadam, że nie potrzebujemy ciemności, koniec, kropka. Dezorientuje. Rani. Sprawia ból. Niszczy. I nie może tak

naprawdę przetrwać ze światłem. Światło zawsze ją przegna. Pomyśl o tym. Zabijamy zombi za pomocą ognia naszych rąk - ogień tworzy światło. A one, zombi, to ostateczna ciemność. Za sprawą dotyku można je unicestwić na zawsze.

Czekałam, aż te słowa zagnieżdżą się w moim umyśle, by móc je obracać na wszystkie strony, raz za razem. Czy A.Z. można było zgładzić ogniem, który dobywał się z rąk zabójców? Moim ogniem? Jeśli tak, to gdyby zabójca położył dłoń na mojej piersi - czy i ja bym umarła?

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Czy był jednak wart ryzyka?

- Chcesz, żebym czytała dalej? - spytała Emma.

- Nie w tej chwili. - Dosłyszałam drżenie w swoim głosie. Cholera. Nie chciałam, żeby się domyśliła, co rozważałam.

- No cóż, wobec tego będzie lepiej, jeśli wrócę do swoich poszukiwań.

Skinęłam głową, obdarzając ją promiennym uśmiechem. Po chwili zniknęła.

Teraz wóz albo przewóz. Usiadłam w nogach łóżka i położyłam dłonie na kolanach, wewnętrzną stroną do góry. Mój oddech był szybki, zbyt szybki. Czułam narastającą nerwowość.

Byłam zabójcą. Potrafiłam wzniecić ogień.

Potrafiłam zabić A.Z.

I może siebie przy okazji...

Tak, a może nie.

Zamknęłam oczy, żeby się skoncentrować. Nim zdążyłam opuścić swoje ciało, pojawiła się pewna myśl, od której nie mogłam się uwolnić.

Czy babcia zjawi się tutaj i znajdzie kupkę popiołu, a potem będzie winić kogoś innego? Jednego z pozostałych zabójców?

Czy zostawić list?

Drżąc, skreśliłam kilka pożegnalnych słów przy biurku. „Sama to sobie zrobiłam. Tak bardzo cię kocham”. Na wszelki wypadek. Może powinnam była bardziej się wysilić, wyjaśnić wszystko, ale nie chciałam ryzykować; mogło się skończyć tym, że zrezygnowałabym z tego, co wydawało się konieczne.

Tak więc... bez dalszych ceregieli wyzwoliłam swojego ducha. Spojrzałam na dłonie i przywołałam ogień. Z moich drżących palców wystrzeliły małe białe płomienie. Nie pozwalając sobie na żadne refleksje, skierowałam te płomienie na swoją pierś. Potem czekałam. Obserwowałam własną twarz, mięsień drgający pod okiem... ale nic więcej się nie stało.

Rozczarowana, bardzo rozzłoszczona i równie odprężona, opuściłam ręce wzdłuż boków.

Dlaczego to nie działało?

Znowu połączyłam ducha z ciałem. Może A.Z. opuściła ciało wraz ze mną?

Czy zawsze tak by się działo?

Musiałam się dowiedzieć. Ale jak?

Czując pulsowanie w skroniach, wyszłam z pokoju na chwiejnych nogach i udałam się na poszukiwania Reeve, chcąc oderwać się na chwilę od tego wszystkiego. Nie siedziała w swoim pokoju. Nie było jej też w kuchni. Ruszyłam na piętro, omijając po drodze antyczne stoły z krzesłami, każdy otoczony przez barwne wazony i obrazy przedstawiające kwiaty. Im bardziej się zbliżałam do swojej siłowni, tym wyraźniej słyszałam pomruki, postękiwania i dziewczęce śmiechy. Była tam.

Dotarłam do otwartych drzwi i stanęłam jak wryta.

Veronica uczyła właśnie moje przyjaciółki, jak bronić się przed atakiem.

- ...odpowiednio pięść - mówiła. - O, tak. W ten sposób, kiedy zadacie cios, nie złamiecie sobie kciuka.

Reeve i Kat skinęły energicznie głowami.

- Pokażcie - zakomenderowała Veronica.

Obie przez kilka następných minut waliły pięściami w powietrze.

- Doskonale.

- Żal mi każdego, kto spróbuje się do mnie dobrać - oświadczyła Kat, napinając mięśnie. - Widzisz te zdumiewająco groźne bicepsy, które mi rosną jak na drożdżach?

- Gdzie się nauczyłaś tak bić, Ronny? - spytała Reeve, uśmiechając się szeroko.

Ronny. Tak po prostu poczułam się absolutnie zdradzona. To był „mój” dom i „moje” przyjaciółki. I miałam tego dosyć. Nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, wkroczyłam do sali.

- Co ty tu robisz, Veronico?

Popatrzyły na mnie trzy pary oczu.

- Szron mnie przysłał - wyjaśniła Veronica, w której głosie pojawił się chłodny ton.

- Powiedział, że nie masz nic przeciwko temu. Że sama mu to zasugerowałaś - powiedziała Kat, marszcząc czoło. - Ale, hm, sądząc po twojej minie, przypuszczam, że chyba cię opacznie zrozumiał.

Veronica spojrzała na mnie złym wzrokiem.

- Może zechcesz się do nas przyłączyć i czegoś nauczyć przy okazji, Ali? Opanowanie kilku umiejętności dałoby ci pewność siebie, której

potrzebujesz, żeby zaangażować się w walkę, zamiast uciekać.

Wciągnęłam powietrze w płuca, czemu towarzyszył nieprzyjemny świst. Co za wredny cios. Poniżej pasa.

- O czym ty mówisz? - spytała zdziwiona Reeve.

Kat rzuciła Veronice mordercze spojrzenie.

- O, nie.

- Nie wiesz, co się wydarzyło, Veronico - rzuciłam przez zaciśnięte zęby. - Tym samym nie masz prawa wygłaszać jakichkolwiek komentarzy.

- Co się wydarzyło? - spytała Reeve. - I skąd znasz naszą instruktorkę?

Wciąż skupiałam uwagę na Veronice.

- Możesz już iść. Ja przejmuję pałeczkę.

- Och, nie ma nawet mowy. Szron chce, żeby dziewczyny były szkolone należycie.

Zamierzasz pozwalać, żeby mówiła do ciebie w ten sposób?

Nie musiałam się zastanawiać nad odpowiedzią. Nie. Nie zastanawiałam się.

Groźby słowne niczego nie załatwią. Będziesz musiała zamknąć jej usta siłą.

Tak. Mogłam to zrobić. I postanowiłam, że zrobię.

Zrób to. Tutaj. Teraz.

Ruszyłam z wolna przed siebie; towarzyszył mi niemal bolesny dreszcz niecierpliwego wyczekiwania.

- Nie wiem jak ty, ale ja uczę poprzez pokazywanie.

Lustereczko, lustereczko na krwawej ścianie

Jedna z byłych Cole'a prowokowała mnie już kiedyś; uznałam, że koniec z tym. Zawsze – no, na ogół – wolałam się wycofać. Miałam to, czego chciały inne dziewczyny: Cole'a. Miotaly się bezradne, a ja to rozumiałam.

W tym jednakże momencie nie rozumiałam niczego z wyjątkiem wściekłości.

Ta dziewczyna myśli, że jesteś słaba, że można cię wystraszyć.

Dowie się, jak jest naprawdę.

Spędziła prawdopodobnie noc z Cole'em.

Będzie cierpieć.

Śmieje się prawdopodobnie za twoimi plecami.

Nigdy już się nie będzie śmiać.

Przyspieszyłam kroku. Kat i Reeve cofnęły się przezornie, usuwając się na bok. Ale nie Veronica. Stawiła mi czoło w połowie drogi. Wymierzyłam

cios, ale ona się uchyliła, unikając mojej pięści; walnęłam w powietrze. Próbowwała mi oddać, ja zaś uniosłam rękę, blokując ją, i zaatakowałam drugą pięścią.

Wreszcie. Kontakt.

Zatoczyła się pod wpływem siły uderzenia. Niestety, pozbierała się szybko i gdy zbliżałam się do niej, wymierzyła cios z prawej. Zrobiłam unik, a ona zahaczyła mnie lewą w sam środek blizny na brzuchu, wykorzystując przeciwko mnie moją własną sztuczkę.

Gdy szukałam rozpaczliwie punktu podparcia, rąbnęła mnie w szczękę z całej siły - niech skonam - i poleciałam bezwładnie w bok. Zatoczyłam się, ale odzyskałam równowagę, zanim zdążyłam wylądować na podłodze. Bez znaczenia. Rzuciła się na mnie i runęłyśmy obie. To ja przyjąłam na siebie impet upadku, który pozbawił mnie resztek tlenu w płucach. Nieważne. Udało mi się wgramolić na nią i wymierzyć cios w brodę, zanim miała czas zepchnąć mnie nogami. Wstałyśmy.

Dyszac ciężko, zaczęła krążyć wokół mnie.

- Pokazałaś już, że jesteś toksyczna - rzuciła nienawistnie. - Nie pozwolę ci skrzywdzić przyjaciół.

Tamten dreszcz niecierpliwości pulsował teraz w mojej piersi, niemal jak żywa istota. Ranić...

Wściekłość narastała.

Ranić ją!

Kiedy wykonała następny ruch, byłam gotowa. Rzuciła się na mnie, wymierzając kolejny cios. Wykręciłam się gwałtownie, by uniknąć jej pięści, przesunęłam się błyskawicznie za nią i stojąc do niej plecami, wysunęłam szybkim ruchem nogę i uderzyłam ją w zgięcie kolana. Gdy osuwała się na podłogę, rąbnęłam ją łokciem w tył głowy. *Tak. Zapomnij o honorze. Zamierzałam grać nieczysto.*

Spróbowała wstać. Chwyciłam ją za włosy, obróciłam, po czym bez chwili zastanowienia usiadłam na niej i przygwoździłam ramiona do podłogi, a potem zaczęłam ją tłuc bezlitośnie. Jeszcze raz... jeszcze raz... i znowu.

- Przestań! - krzyknęła Kat. - Ali, przestań. Ona krwawi. Krew! Ali, przestań, błagam!

- Ali! - wrzasnęła Reeve. - Dosyć!

Znieruchomiałam dopiero wtedy, gdy oczy Veroniki się zamknęły - znak, że była załatwiona. Z nosa ciekła krew. Niewykluczone, że go zламаłam. Zęby wbiły się w wargi, które zdążyły już spuchnąć do nieprawdopodobnych rozmiarów.

Cóż za smakowity bufet, niezdolny do obrony...

Uderzyła mnie fala głodu.

Kat podbiegła, żeby zepchnąć mnie z dziewczyny, ale dałam jej po łapach i nachyliłam się, chcąc powąchać szyję Veroniki. Jak słodko pachniała. Nie tak słodko jak Cole czy Mackenzie, ale też nieźle. Oblizawałam wargi.

Jeden kęs by nie zaszkodził.

Zamknęły się wokół mnie silne ramiona i szarpnęły do tyłu. Próbowaliśmy się wyswobodzić, pragnąc za wszelką cenę znów dorwać dziewczynę.

- Hej, wystarczy! - zawołał Gavin. - Zawsze uważałem, że nie ma nic złego w drobnym rozlewie krwi między przyjaciółmi, ale wykluczam morderstwo.

- Chciałam tylko... - Ugryźć ją, jak sobie uświadomiłam. Chciałam ją ugryźć. Poczułam, jak oblewa mnie fala lodowatej grozy; głód zniknął momentalnie. - Przepraszam - powiedziałam, drżąc teraz na całym ciele. - Nie myślałam... nie byłam sobą... - Och, Boże, dopomóż, stałam się zombi! Niemal w każdym calu.

Chcę umrzeć.

- Uspokoił się? - Gavin odsunął mnie na bok, przykucnął obok przyjaciółki i odgarnął delikatnie zakrwawione włosy z jej czoła. - Veronico, kochanie. Dobrze się czujesz?

Wycofałam się z sali, zbyt zawstydzona, żeby patrzeć komukolwiek w oczy. Na dobrą sprawę wzrok miałam spuszczoney, dopóki nie dotarłam do swojego pokoju. Zamknęłam drzwi na klucz i podeszłam ostrożnie do lustra przy toalecie. Przymknęłam powieki. Drżała mi broda, po policzkach ściekały łzy.

Przypomniałam sobie, jaką małą smutną dziewczynką byłam niegdyś, uwięzioną we własnym domu, wyglądającą przez okno, podczas gdy inne dzieci bawiły się na swoich podwórzach. Raz przyszli ludzie z opieki społecznej. Przepytywali moich rodziców, mnie też, może nawet się zastanawiali, czy nas nie zabrać, mnie i Emmy, z jedynego domu, jaki kiedykolwiek znałyśmy. Może nawet by nas rozdzielono. Może nie. Nie chciałam ryzykować, więc zrobiłam coś całkowicie przeciwnego własnej naturze. Skłamałam. Powiedziałam tym z opieki społecznej, że jesteśmy skrytymi ludźmi, to wszystko, i że czujemy się dobrze w tej rodzinie, i że nie wyrzekniemy się jej. Ich obawy o molestowanie i przemoc przyprawiły mnie o śmiech.

W gimnazjum koledzy i koleżanki nazywali mnie Nielicją. „Nie, nie mogę z tobą iść”. „Nie, nie mogę zostać u ciebie na noc”. „Nie, nie możesz zostać

u mnie na noc". Pewnego dnia przestano mnie po prostu zapraszać.

Pragnęłam ponad wszystko zwyczajnych, wzajemnych kontaktów z rówieśnikami. Teraz mogłam się nimi cieszyć, ale niewykluczone, że będę zmuszona z nich zrezygnować.

Stanowiłam zagrożenie. Byłam niebezpieczna.

Spójrz. Zobacz, kim się stałaś.

Rozwarłam z wolna powieki. Ukazało się lustro – i moje odbicie. Wzdrygnęłam się ze wstrętu. Oczy miałam czerwone. Dziewczyna patrząca na mnie z drugiej strony to nie byłam ja. Już nie. Pod żadnym względem. Nie mogła być mną. Smugi się powiększyły, stały się ciemniejsze, a na czole widniała czarna pajęczyna żył.

Tak... szybko.

Kości policzkowe miała wychudzone, włosy splątane.

Tik. Wyciągnęła do mnie pokrytą smugami rękę; cofnęłam się gwałtownie. Oczekiwałam z drżeniem jej następnego ruchu, niemal się spodziewając, że przeniknie przez szklaną tafelę. Ale ona przycisnęła tylko dłoń do powierzchni, ja zaś uspokoiłam się na tyle, by usiąść na krześle.

Tak.

- Miło mieć w końcu dość sił, by mówić -
oznajmiła.

Tik.

O, wielkie nieba. Słyszałam jej głos. Swój głos.
Ale przecież się nie odzywałam.

- Wiem, że jesteś zombi.

Tak. Uniosła ramię w geście lekceważenia.

- Mówisz „zombi”, a ja mówię „lepsza połowa”.

Tik. Co to było? Zegar? Owszem, uświadomiłam
sobie. To właśnie oznaczał ten dziwny dźwięk tik-
tak. Zegar, a czas uciekał.

Zignorowałam to siłą woli.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałam.

- A jak myślisz? - odparła, szczerząc w uśmiechu
zęby. - Chcę wszystkiego.

Wszystkiego. Mojego ciała? Mojego życia?

- Nie pozwolę ci wygrać. - Mam listę rzeczy do
zrobienia i słowo „porażka” na niej nie widnieje.
Drżąc, wyciągnęłam rękę i przycisnęłam palce do
chłodu szkła.

Roześmiała się.

- Nie zdołasz mnie powstrzymać. Staję się
z każdym dniem coraz silniejsza.

- To oznacza, że siła jest wymierna. Jeśli więc
możesz stać się silniejsza, to można też sprawić, że
staniesz się słabsza.

Moje słowa zgasiły jej rozbawienie.

- Spójrz, jak łatwo ulegasz moim pragnieniom. Niebawem gryzienie stanie się twoją drugą naturą.

- Nie. - Nigdy.

- Gdy tylko twój ludzki duch ulegnie zniszczeniu, przejmę kontrolę nad twoim ciałem. Dokonam tego jako pierwsza ze swego gatunku.

Oddech zamienił się w moich płucach w twarde kryształki.

- Nie możesz...

Rozległo się pukanie do drzwi, a jakiś słodki, drżący głos powiedział:

- Ali. Jest tam ktoś z tobą?

Kat.

- Nie - odkrzyknęłam trochę za głośno.

Pauza.

- Wpuścisz mnie wobec tego? Proszę. Chcę się upewnić, że nic ci nie jest, poza tym musimy pogadać o tym, co się właśnie wydarzyło. Nigdy nie widziałam, żebyś się tak zachowywała, nawet gdy waliłaś tych chłopaków w centrum handlowym. Zaniepokoiłam się.

- Nic mi nie jest i przepraszam, że cię wystraszyłam. Ale porozmawiamy o tym później. Chodzi tylko o to, że... chcę być teraz sama.

Nawet przez drzwi usłyszałam, jak wzdycha.

- Jesteś zdenerwowana, a ja chcę cię pocieszyć. To moja specjalność. Tylko mnie nie skrzywdź, dobrze?

Myszę, że traktowała własne słowa jak żart. Miałam taką nadzieję.

- Nigdy bym tego nie zrobiła - zapewniłam, czując łzy w oczach.

- Ali, wiem o tym, ale musisz...

- Proszę, Kat. Nie teraz.

Odczekałam kilka sekund, potem zapanowała absolutna cisza. Znów odwróciłam się do lustra.

Moje odbicie było tak groteskowe jak przedtem, ale w przeciwieństwie do mnie już się nie poruszało.

- Wciąż tam jesteś? - wyszeptałam, patrząc, jak usta mi się poruszają.

Moje odbicie nie udzieliło odpowiedzi.

Zagryzłam język, wstrzykując sobie antidotum, tak na wszelki wypadek. Potem wyjęłam z szuflady biurka wizytówkę i spojrzałam na numer telefonu. Ten mężczyzna wiedział coś o moich przeżyciach. Może zdołałby mnie uratować?

Jakie to smutne. W tej chwili moją największą nadzieją był obcy człowiek.

Zmienić listę: jeśli okaże się to konieczne, zabij A.Z. Jak najszybciej.

Choć nie podobała mi się myśl, żeby dzwonić ze swojej komórki i ujawnić jej numer, nie mogłam skorzystać z innego telefonu, nie alarmując jednocześnie pana Ankha, tym samym pana Hollanda, tym samym Cole'a. Zadzwoiłam, by się nie rozmyślić.

Odebrał po trzecim sygnale.

- Witam, panno Bell.

Wystraszył mnie. Jego powitanie było zbyt bezpośrednie, zbyt szybkie; rozłączyłam się z gwałtownym westchnieniem.

Głupia, głupia, głupia. Wystukałam numer ponownie.

Odebrał po drugim sygnale.

- Mam nadzieję, że tym razem coś pani powie.

- Kim pan jest? - spytałam.

- Nowym przyjacielem - padła zdawkowa odpowiedź. - Doktor Bendari.

Zacisnęłam palce na krawędzi toaletki, starając się zredukować choć odrobinę napięcie, które we mnie narastało.

- Dostyc tych gierek. Pragnę od razu wyjaśnić, że nie ufam panu.

- Proszę mi wierzyć, dała mi to pani niedwuznacznie do zrozumienia, przebijając moją oponę - odparł sucho.

- Zastanawia się pan prawdopodobnie, dlaczego zadzwoniłam.

- Nie. Wiem doskonale. Jest pani zdesperowana.

No cóż, dobrze więc. Rozumiemy się.

- Skąd mam wiedzieć, że zna pan odpowiedzi, których szukam?

- Została pani ugryziona przez zabójcę, którego pogryzł zombi? Widzi pani teraz różne rzeczy? Słyszy różne rzeczy? Doznaje nietypowych emocji i reakcji?

Wiedział. Naprawdę wiedział.

- Tak - wyszeptalam. - Jak uzyskał pan te informacje?

- Mam wewnętrzne źródło. I znam odpowiedzi, których pani szuka.

- Niech mi pan powie. - Rozkaz. - I kto jest pańskim źródłem? Czy to jeden z moich przyjaciół?

Kto mógł mnie zdradzić?

- Źródło niewiele znaczy. Poza tym powiem pani wszystko, co chce pani wiedzieć, ale nie zrobię tego przez telefon. Nie uwierzy mi pani. Muszę pokazać obrazki.

Każdą komórkę mojego ciała wypełnił gniew. Ten człowiek mógł kłamać, starając się mnie zwabić, uczynić łatwym celem.

- Chce się pan spotkać - zauważyłam bezbarwnym głosem.

- Tak. Dziś wieczorem. O północy.

Mógł się mną bawić, mógł planować moje morderstwo. Ale szczerze? Nie obchodziło mnie to. W tym momencie śmierć była lepsza od niepewności. Skoro miałam wkroczyć w swój osobisty horror filmowy... no cóż, niech będzie.

- W porządku. Gdzie?

- W Birmingham jest całodobowa knajpa chińska, Wok and Roll. Niech pani przyjedzie sama, będę tam czekał. Jeśli przyjedzie pani z kimś jeszcze, wyjdę, zanim zdąży mnie pani zobaczyć. Jeśli tak się stanie, nie odezwę się więcej.

Rozłączył się, zanim zdążyłam się zgodzić. Albo wrzasnął na niego.

Przez resztę dnia krążyłam tam i z powrotem po pokoju. Babcia podeszła pod drzwi z lunchem, potem kolacją, a ja prosiłam za każdym razem, żeby zostawiła tacę na korytarzu. Wcześniej chciałam z nią porozmawiać - i wciąż chciałam. Tyle że nie była to odpowiednia chwila. W tym momencie nie potrafiłam przewidzieć, jak się zachowam.

- Musisz mi powiedzieć, co się dzieje, Ali - powiedziała przez drzwi. Nigdy przedtem nie zwracała się do mnie tak surowym tonem. - Dowiedziałam

się od tego chłopca, Gavina, że pobiłaś do nieprzytomności inną dziewczynę. Jak mogłaś coś takiego zrobić?

- Sama zadaję sobie to pytanie - odparłam. Drżała mi broda.

Głębokie milczenie.

- Wpuść mnie do pokoju. Chcę ci patrzeć w oczy, kiedy będziemy o tym rozmawiać.

Zobaczyłaby moje przerażenie, moje wyrzuty sumienia. Moje łzy.

Moją nową naturę?

- Ja... nie mogę. Przepraszam.

- Chodzi o święto? - spytała z wahaniem. - Tęsknisz za rodzicami?

- Nie. - Szczerze mówiąc, w ogóle nie myślałam o Święcie Dziękczynienia.

Znowu chwila milczenia, tym razem pulsującego napięciem.

- Ali, odsuwasz się ode mnie. To mnie rani.

Tak, słyszałam ból w jej głosie.

Podeszłam do drzwi, sięgnęłam do klamki, znieruchomiałam. Po policzkach spływały mi gorące łzy.

- Przepraszam - powtórzyłam. - Wolalabym umrzeć, niż cię zranić, ale jeśli ci otworzę, to mogłabym zranić cię jeszcze bardziej. Potrzeba mi

tylko... jednego dnia, żeby się ze wszystkim uporać, okay?

Upłynęło w milczeniu kilka minut, zanim odparła:

- Masz jeden dzień.

Usłyszałam oddalające się kroki.

Wzięłam tacę, postawiłam ją w swoim pokoju; mój żołądek przypominał skłębioną masę. Nie mogłam się zmusić do jedzenia.

Wreszcie wieczność dobiegła końca i wybiła jedenasta trzydzieści. Obwiesiłam się bronią i przekradłam przez tajne korytarze, które pan Ankh zbudował w swoim domu. Chciał, żeby jego córka miała którędy uciekać w razie konieczności - nie znaczy to oczywiście, by wiedziała, co mogłoby ją gonić.

Reeve. Uniosłam zaskoczona brwi. Odetchnęłam i zmarszczyłam nos. Wyczułam jej perfumy. Musiała przekraść się tajemnym korytarzem, i to stosunkowo niedawno.

Hm. Korytarz prowadził do wjazdu tuż za frontowym podwórzem, do drogi było stamtąd zaledwie kilka kroków. Wiedziałam, że trzeba zachować ostrożność - pan Ankh zainstalował kamery dosłownie wszędzie. Kiedy tylko wydostałam się z posesji, dostrzegłam jakiś ruch w odległości paru metrów.

Wyostrając wzrok, ujęłam rękojeść sztyletu. Czy to była... Reeve? To musiała być ona. Ciemne włosy poruszały się w rytm kroków, gdy szczupła dziewczyna o wzroście i sylwetce Reeve podążała na północ. Wymykała się.

Niech cię diabli, Reeve! Bez względu na to, jak bardzo łaknęłam odpowiedzi, jak bardzo byłam w tej chwili niebezpieczna, nie mogłam pozwolić, by włóczyła się po ulicach bez wsparcia.

Podążając za nią przez cienie, zadzwoniłam do Bronxa.

- Co? - odwarknął.

- Reeve się wymknęła. Jestem kilka metrów za nią. Pomyślałam sobie, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Rzucił wiązkę przekleństw. Gdzieś w tle usłyszałam dziewczęcy chichot.

- Jest ktoś z tobą? - spytałam zszokowana.

- Gdzie jesteś? - przerwał mi.

Podalam mu lokalizację, a on się rozłączył.

Dziękuję, Ali. Doceniam twoją pomoc - mruknęłam szyderczo w duchu.

Obok przejechał samochód i w tej samej chwili Reeve uskoczyła za pień drzewa. Zrobiłam to samo i zeszywniałam, kiedy wóz zwolnił i zatrzymał się.

Z mroku wyłoniła się Reeve.

- Ethan?

- To ja, kotku.

Kotku. Witaj, nowy chłopaku.

- Dzięki Bogu! Usłyszałam, jak samochód zwalnia, i omal nie posikałam się w majtki. - Obeszła wóz i otworzyła drzwi po stronie pasażera. - Myślałam, że będziesz czekał przy autostradzie.

- Spóźniałaś się. Zacząłem się niepokoić.

Bronx, który przybrał postać duchową, przeniknął przez drzewa i przycupnął obok mnie. Włosy, ufarbowane wcześniej na niebiesko, były teraz zielone, ale nie sterczały. Tego wieczoru opadały zmierzwiłone na czoło. Na kołnierzu koszuli dostrzegłam kilka śladów po szmince - i to w różnym kolorze.

- Wsiadła właśnie do samochodu - poinformowałam go, ciesząc się bezgranicznie, że typową dla zabójców umiejętnością widzenia duchów mogą się też odznaczać ludzie. Choć...

Czy pogłębiało to moje mroczne pragnienia?

Spięłam się cała. I nic.

Ani śladu skurczów głodowych.

Ogarnęła mnie niepewność. Było ze mną... lepiej? Znowu mogłam normalnie żyć?

Spójrz, jak łatwo ulegasz moim pragnieniom.

Tak właśnie powiedziała A.Z. I miała rację. Ulegałam. Ponieważ byłam wściekła na Veronicę i nie potrafiłam się opanować. I wcześniej, ilekroć czułam się beznadziejnie w związku z Cole'em.

Gdybym od tej pory zachowywała spokój i się skupiła, to być może nie musiałabym porzucać przyjaciół i babci. Mogłabym pozostać z nimi, niczego się nie lękając.

Chciałam krzyknąć z niezmierzonej ulgi.

Krzywiąc się po swojemu, Bronx zbył mnie lekceważącym gestem dłoni.

- Wracaj do domu. Zajmę się tym.

Jego ton działał mi na nerwy - mój pierwszy test. Zachowaj spokój.

- Jesteś pewien, że nie chcesz wrócić do łóżka i umościć się wygodnie? - spytałam słodko.

Posłał mi spojrzenie, które przeraziłoby śmiertelnie większość bezwzględnych przestępców.

- Dziewczyny zawsze zwracają mi głowę w nieodpowiedniej chwili.

Dziewczyny. Liczba mnoga, tak jak podejrzewałam.

- Świnia - mruknęłam. Czy żaden facet nie dochowywał już wierności? Jasne, Bronx i Reeve nie chodzili ze sobą tak naprawdę, w dodatku ona widywała się z innym, ale mimo wszystko.

- Nieważne.

Dosłyszałam w jego głosie samopotępienie i wzdrygnęłam się.

- Przepraszam. - Westchnęłam. - Nie miałam nic złego na myśli.

Wzruszył ramionami.

- Naprawdę sądzisz, że byłbym z kimkolwiek innym, gdybym mógł być z Reeve?

Nie. Nie sądziłam. I kiedy się nad tym zastanowiłam, zrozumiałam. Czasem samotność ciążyła za bardzo i ktokolwiek wydawał się lepszy niż nikt. Nie miał rodziców. Porzucili go w lesie, nocą, kiedy był małym dzieciakiem, mając nadzieję, że zabiją go dzikie zwierzęta. Pragnął, by ktoś jego pragnął, chciał mieć kogoś, kogo mógłby nazwać kimś swoim.

Wcześniej, zważywszy na mój brak równowagi, mogłabym szukać pociechy nawet u Gavina.

Ethan zawrócił samochód. Bronx zeszywniał, szykując się do pościgu.

Nie powinien był tego robić sam. Wiedziałam o tym. Mógł wezwać wsparcie, ale wiedziałam, że tego nie zrobi.

Spojrzałam za siebie, tam dokąd się wcześniej wybierałam. Potem spojrzałam na Bronxa

i dostrzegłam w jego rysach gniew i frustrację. Był rozkojarzony. Bałam się, że narobi sobie kłopotów.

Gdy samochód przyspieszył, Bronx popędził niczym strzała.

Nie mogłam go zostawić.

Za sprawą mentalnego bodźca duch opuścił moje ciało, które miało pozostać ukryte wśród drzew. Ruszyłam za Bronxem, utrzymując odpowiednią szybkość, tak jak mnie tego nauczylili Gavin i Mackenzie, i dotrzymując mu bez trudu kroku.

Przenikaliśmy przez inne samochody i owszem, za każdym razem budziło to we mnie lęk.

- Gdzie jest Cole? - spytałam, ledwo dysząc.

- Zajmuje się Veronicą.

Drgnęłam, jakby ktoś mnie uderzył.

- Naprawdę namieszałaś, Ali - ciągnął, nieświadomy bólu, jaki wywołały jego słowa. - Takie zachowanie wobec kogoś ze swoich nigdy nie jest w porządku. - Popatrzył na mnie i w końcu zrozumiał. - Nie jest z nią z tego powodu. Lubi ją, ale nie tak, jak sądzisz.

- To nie ma znaczenia.

- Dla ciebie chyba ma. - Ale nic pocieszającego już nie dodał.

Mniej więcej dziesięć minut później samochód zaparkował na podjeździe jakiegoś odosobnionego

domu. Pojawił się Ethan – szczupły, umięśniony, blond włosy, przystojna twarz – i pospieszył otworzyć Reeve drzwi.

- Dziękuję – powiedziała z uśmiechem.

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kotku.

Bronx zawarczał głucho z głębi krtani, był to niemal zwierzęcy odgłos. Ruszył do przodu, jakby zamierzał zaatakować faceta, ale wpakował się w drzewo i odbił od niego. Podniósł się z ziemi, prychnąwszy wściekle.

- Linie Krwi. – Popatrzył w lewo, potem w prawo.

- Gość ma tu Linie Krwi.

A więc... wiedział o zombi. Mimo to ich nie widział. W przeciwnym razie nas też by zobaczył. I gdyby nas zobaczył, toby zareagował.

Ethan wprowadził Reeve do domu. Bronx deptał im po piętach, ale drzwi zamknęły się, zanim zdążył wniknąć do środka, i znowu odbił się od przeszkody. Zaklął.

Próbował sforsować ściany i okna, ale na próżno. Przemierzaliśmy zgodnie frontowe podwórze, czekając, aż pojawi się Reeve, i odliczając prawie nieznośne sekundy.

- Mam jego adres - warknął Bronx. - Dowiem się, kto to jest. Poznam każdy szczegół. Każdą dziewczynę, którą puknął.

Użył znacznie gorszego określenia.

- Poznam każdy jego sekret - dodał.

Jezu. Bronx naprawdę lubił Reeve, naprawdę jej pragnął. Zależało mu na jej bezpieczeństwie. Starał się po prostu szanować życzenia pana Ankha, jak i potrzeby zabójców.

Obserwując go, wiedziałam, że tak właśnie powinien reagować chłopak na myśl o rozstaniu z dziewczyną. Chciałam, by tak reagował Cole.

Nigdy jednak tego nie zrobił.

Czy kiedykolwiek żywił tak silne uczucia wobec jakiejś dziewczyny? Czy kiedykolwiek przejmował się tym, że od niej odchodzi? Czy też instynkt samozachowawczy był w jego przypadku tak silny, że tłumiał wszelkie głębsze emocje?

Zastanawiałam się, co o mnie myślał - i czy w ogóle o mnie myślał.

- Ali - rzucił gniewnie Bronx, a ja powróciłam gwałtownie do rzeczywistości.

- Tak?

- Wracaj do domu. Zajmę się tym.

- Nie.

- Wydajesz z głębi krtani powarkiwania. To mnie rozprasza. I to w nieodpowiedni sposób.

Poczułam kleszcze lęku, ponieważ wiedziałam, co te odgłosy oznaczają. Musiałam bardziej popracować nad skupieniem - bo jak nie... Przygarbiłam ramiona.

- Sprawiałam już dzisiaj zawód jednemu zabójcy. Nie zamierzam sprawić zawodu drugiemu. Zostaję.

Zerknął na mnie, a ja dostrzegłam błysk szacunku w jego oczach. Ale powiedział tylko:

- Nieważne. Rób, jak chcesz.

Ten szacunek...

Był wart więcej niż pieniądze.

I wiedziałam, jak zyskać go więcej. Lista. Jeśli okaże się to konieczne, zabiję A.Z. Jak najszybciej.

Poniesiesz klęskę, demonie.

Kiedy mrok ścierał się ze światłem, światło zawsze zwyciężało. Byłam światłem, dopóki nie pozwalałam, by zgasł mój ogień.

Byłam przekonana, że wygram. *Prawda?*

Bronx trącił mnie w ramię.

- Panikujesz z jakiegoś powodu, Bell?

- Nie, wszystko w porządku - zapewniłam. - Od tej pory zamierzam być chodzącym środkiem uspokajającym.

Gnij w pokoju

Następnego ranka wsiadłam do porsche Reeve i zapięłam pas. Nasza jazda do szkoły nie powinna się szybko skończyć. Zamierzałam zdrzemnąć się w luksusie.

Najwidoczniej zgadzała się ze mną - powoli wyjechała z garażu. Chciałam wziąć ją w krzyżowy ogień pytań, skoro byłyśmy same, ale czułam się zbyt zmęczona. Oparłam się o drzwi, a blask słońca wpadający przez szybę ogrzewał mnie i kołysał do snu.

Nucąc w takt muzyki, która płynęła z głośników, włączyła się do ruchu. Miała podkrążone oczy i - wprost nie do pomyślenia! - pomięte ubranie, jakby wstała dopiero co z łóżka i była z tego zadowolona.

Przypadkowo wiedziałam, że tak właśnie jest.

Zgodnie z obietnicą, nie zostawiłam Bronxa samego. Czekałam, aż Reeve wyjdzie z domu

Ethana. Owszem, wyszła, o trzeciej nad ranem. Ethan odwiózł ją i wysadził w tym samym miejscu, z którego ją zabrał; zanim się rozstali, pocałował ją w usta. Bronx nie odezwał się nawet słowem, ale język jego ciała był niezwykle wymowny.

Ethan miał wiele szczęścia, że przeżył.

Gdy tylko zostałam sama, zadzwoniłam do doktora Bendariego, żeby przełożyć spotkanie, ale nie odbierał. Zgrzytałam z frustracji zębami, wiedząc, że zaprzepąściłam największą szansę rozmowy z jedyną osobą znającą konkretne odpowiedzi.

Potem skarciłam się za to, że dopuszczam do głosu emocje.

Chodzący środek na uspokojenie.

- Żałujesz, że zrobiłaś sobie tatuaże? - spytała Reeve.

- Oczywiście, że nie - odparłam. - A o co chodzi?

- Spójrz na siebie.

Spuściłam wzrok. Pocierałam odruchowo kciukiem po sztyletach. No tak.

- To mnie uspokaja.

Reeve sapnęła raptownie i wdepnęła hamulec. Samochód zatrzymał się gwałtownie, a ja poleciłam do przodu tak daleko, jak pozwalał na to pas.

- Co do...

- Bronx - rzuciła piskliwie, odpinając pas i wysiadając z wozu.

Przed nami, na środku drogi, stał stary zarzewiały pikap. Bronx opierał się o jego maskę ze skrzyżowanymi ramionami.

Powinnam się była tego spodziewać.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro.

- A co ty wyprawiasz? - rzucił w odpowiedzi. - Wymykasz się z domu w środku nocy, spotykasz z jakimś obcym facetem i jedziesz do niego. Wiesz, jakie to niebezpieczne?

- Jak śmiałeś... Cholera! To bez znaczenia. - Chwyciła pierwszy z brzegu kamień i cisnęła w niego.

Uchylił się bez trudu.

Pokręciła głową, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiła.

- To nie jest jakiś obcy facet, to mój chłopak i to, co z nim robię, nic cię nie obchodzi - oświadczyła już spokojniejszym tonem.

- Obchodzi mnie wszystko, co jest z tobą związane.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Pieprz się. Bo z tobą już tego nie robię, Bronx. Już nie. - Odwróciła się.

Chwycił ją za ramię i zmusił, by na niego popatrzyła.

- Spałaś z nim?

- Powiedziałaś ci - odparła spokojnie. - To, co z nim robię, nic cię nie obchodzi.

- A ja ci powiedziałem, że obchodzi mnie wszystko, co jest z tobą związane, ale nikt z nas nie chce chyba słuchać.

Wymuszony spokój zniknął, kiedy mu się wyrwała.

- Nie możesz się tak zachowywać. Nie możesz udawać, że ci na mnie zależy. Jutro, kiedy go rzucę, znowu zmienisz zdanie. - Odepchnęła go, co wydawało się żalonym gestem, jeśli porównać giganta o wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu z księżniczką o wzroście stu sześćdziesięciu centymetrów, ale nie starał się jej zatrzymać.

- Czy ukochany tatuś wie o tym? - spytał cicho.

Wycelowała palec w jego twarz.

- Nie, a ty mu nie powiesz ani słowa. Nie będziesz odgrywał żadnej roli w moim życiu miłosnym. Obwąchiwaliśmy się od gimnazjum. Z początku byłeś dla mnie taki słodki. Robiłeś dla mnie różne rzeczy. To z tobą całowałam się po raz pierwszy. Nagle przestałeś na mnie patrzeć, przestałeś nawet ze mną rozmawiać, dopóki nie zwróciłam uwagi na kogoś innego i nie

spróbowałam pójść dalej swoją drogą. Wtedy wkraczałeś na całego, a ja zawsze lądowałam w twoich ramionach, ale to nie trwało długo i znów zaczynałeś mnie ignorować. Jestem tym zmęczona.

Przyszło mi do głowy, że nie powinnam tego słuchać. Nigdy w życiu bym nie chciała, by ktokolwiek przysłuchiwał się moim kłótniom z Cole'em, zwłaszcza tej ostatniej.

Próbując skupić się na czymś innym, włączyłam radio. Taylor Swift i „I Knew You Were Trouble”. Odpowiedni tytuł. Wysłałam babci esemesa: „Możemy później porozmawiać? Tylko ty i ja?”.

Gdyby moje emocje znów oszalały, jakoś bym się z tego wycofała.

Ona: „Byłabym zachwycona”.

Ja: „Przepraszam, że zachowywałam się ostatnio tak dziwnie i za bójkę z tą dziewczyną”.

Ona: „Możemy o tym porozmawiać przy kolacji. I żebyś była zadowolona, obiecuję, że nie wydam zbyt dużo na zakupy”.

Roześmiałam się.

Ona: „Tak przy okazji, możesz mi powiedzieć, dlaczego znalazłam w twoim pokoju karteczkę ze słowami: »Sama to sobie zrobiłam«. CO ZROBIŁAŚ?”.

Oho.

Ja: „Jestem już pod szkołą. Muszę lecieć. Kocham cię!”.

Hej. Ani słowo z powyższego nie było kłamstwem.

- ...nie mogę być z tobą tak, jak bym chciał - mówił właśnie Bronx, znów przyciągając moją uwagę do rozmowy.

- Dlaczego? - spytała ostro Reeve. - Przynajmniej raz udziel mi prostej, zrozumiałej odpowiedzi. Jeśli tak zrobisz, nigdy więcej nie spotkam się z Ethanem.

Bronx zacisnął wargi.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała z goryczą.

Podeszła do swojego samochodu, Bronx podszedł do swojego. Zawrócił z piskiem opon i wystrzelił do przodu, wzbijając chmury kurzu.

- Co za chłopak... - westchnęła Reeve, wyraźnie roztrzęsiona.

- Zależy mu na tobie.

- Tak, ale nie dość mocno.

Poklepałam ją po dłoni.

- Wierz mi, wiem, co czujesz.

Posłała mi smutny uśmiech, potem ruszyła w dalszą drogę.

Kilka minut później zatrzymała się na swoim stałym miejscu. Parking mógł pękać w szwach, ale

nikt, nie wyłączając nauczycieli, nie śmiał wkroczyć na jej terytorium. Nie przez wzgląd na nią czy pieniądze jej ojca; chodziło o Bronxa. Słyszałam, że ktoś tylko raz popełnił błąd, stawiając samochód na jej miejscu; Bronx uruchomił ten wóz, spinając przewody na krótko, i wpakował go w drzewa, które uczniowie spryskali złotą i czarną farbą – dumnymi barwami naszej szkoły.

Przeszłyśmy w milczeniu po tygrysiach łapach wystrzyżonych w trawniku i skierowałyśmy się do budynku.

Trina i Mackenzie opierały się o szafkę, powarkując na każdego, kto był dostatecznie głupi, żeby się do nich zbliżyć. Kiedy je mijałam – nigdy nie twierdziłam, że jestem mądra – wzięły mnie w dwa ognie, odsuwając Reeve na bok.

– Musisz porozmawiać z Cole’em – oznajmiła na początek Trina.

– Nigdy nie przypuszczałam, że to powiem – dodała Mackenzie – ale chcę, żebyś zrobiła coś więcej, niż tylko porozmawiała. Chcę, żebyś go uwiodła na całego. Nie wiem, jak długo będę jeszcze w stanie znosić ten postAlicyjny dramat.

– Okay. Zmywam się – rzuciła Reeve, odłączając się od nas. – Do zobaczenia podczas lunchu, Ali.

- Do zobaczenia. - Westchnęłam i zwróciłam się do dziewczyn. - Na czym polega problem?

Trina kręciła nerwowo koleczkiem w brwi.

- Przede wszystkim jest bardziej wredny niż york mojego ojczyma.

- Twój ojczym ma yorka?

Mackenzie machnęła w powietrzu ręką jak nożem.

- Zapomnij o tym małym psim terroryście. Cole wkurza się na wszystko, co mówimy, i robi to od tygodni.

Od tygodni?

Jeszcze dwa dni temu prezentował mi tylko swoją łagodniejszą stronę.

- Rozwalił Lucasowi nos podczas treningu - ciągnęła. - Wczoraj wieczorem walnął pięścią w okno i trzeba było mu założyć osiem szwów.

Wczoraj wieczorem? Kiedy był z Veronicą.

- To nie ma związku ze mną - zapewniłam je. Gdybym miała szpony, zaczęłabym drapać szkolne szafki.

Spokojnie.

- A ja sądzę, że to ma związek z tobą, i to stuprocentowy - oświadczyła Trina. - Widziałam, jak na ciebie patrzy ukradkiem.

- I mogłabym przysiąc, że pękają mu wszystkie naczynka krwionośne, ilekroć Gavin wspomni twoje imię - dorzuciła Mackenzie, kiwając głową.

- Słuchajcie, dziewczyny, Cole ze mną zerwał. Powiedziałam, że postaram się zachować z nim przyjacielskie stosunki, ale to nie znaczy, że mam głąskać jego... uhm, ego i wywoływać uśmiech na twarzy.

- Świetnie - odparła Trina. - Przystaniemy cię namawiać, żebyś zaciągnęła go do łóżka, ale wciąż musisz z nim porozmawiać. Posłucha tylko ciebie.

- Bardzo wątpię.

Puściła moje słowa mimo uszu.

- Znika na całe godziny. Nikt nie wie, gdzie się wtedy podziewa. Boi się paranoicznie, że nie będziemy prowadzić szczegółowych zapisków o wszystkim, na co się natkniemy podczas patrolu. Dzwonią do niego z zastrzeżonych numerów, a on wtedy wychodzi, żeby nikt nie słyszał rozmowy. Wcześniej niczego przed nami nie ukrywał.

A więc wciąż szpiegował zabójców. Co jednak starał się tak naprawdę odkryć?

Podeszłam do swojej szafki i schowałam torbę.

- Pogadam z nim o tym jego dziwnym zachowaniu, ale nic więcej nie mogę obiecać.

Byłam głęboko zszokowana, gdy Mackenzie objęła mnie serdecznie.

- Dziękuję. Słowo daję, będziemy ci zobowiązane.

Nagle, jakby przywołany przez naszą rozmowę, zza narożnika ukazał się Cole, który ruszył w naszą stronę. Na głowie miał czerwoną czapkę baseballową, ręce trzymał w kieszeniach; nie mogłam zobaczyć jego świeżej rany. Minął nas, kiwając głową Trinie i Mackenzie, a na mnie nie zwracając w ogóle uwagi. Ścisnęło mnie w piersiach.

- Albo może nie będę z nim rozmawiać - wymamrotałam i poszłam na pierwszą lekcję.

Cole, zanim zniknął za narożnikiem korytarza, popatrzył na mnie przez ramię; nasze spojrzenia zwały się ze sobą. O mało nie potknęłam się o własne nogi. Ani śladu wizji. Dostrzegłam jednak głód. Wściekłość. Żal. Wyrzuty sumienia. Strach. A potem już go nie było.

Ktoś wybuchnął śmiechem, wyrywając mnie z transu wywołanego przez Cole'a. Oszłomiona, trochę zła na siebie - *uspokój się, do diabła!* - rozejrzałam się, żeby odnaleźć źródło tego rozbawienia. Wren i Poppy stały z grupą koleżanek strojących sobie żarty z wysokiej, chudej, rudowłosej dziewczyny z piegami i aparatem na zębach. Wren i Poppy nie śmiały się, ale też nie

próbowały powstrzymać tych szyderstw. Biedaczka była bliska płaczu.

Podeszłam tam i przy akompaniamencie okrzyków „hej” i „uważaj” odsunęłam dziewczyny na bok.

- Macie pięć sekund, żeby się zmyć, albo się wścieknę.

Tak naprawdę nie zamierzałam zamienić się w środek na uspokojenie, czyż nie?

Może nie wiedziały, jak dobrze potrafię posługiwać się pięściami, ale znały ludzi, z którymi się zadawałam, więc zbladły i rozeszły się bez słowa. Poppy rzuciła mi przez ramię spojrzenie pełne skruchy. Wren także. I wymówiła bezgłośnie: „Dzięki”, czym mnie zaskoczyła.

- Dziękuję - wyjąkała rudowłosa i stłumiła szloch.

- Moja koszula... Nie wzięłam dzisiaj marynarki, nie mogę się zakryć.

Koszula była biała i mokra od wody, prześwitywał przez nią każdy szew stanika.

- Może się zamienimy? - Nie chciałam, żeby siedziała zmarznięta i przemoczona, myśląc jednocześnie o tym, co się stało. - Twoja koszula pasuje bardziej do moich džinsów.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Rozpromieniła się; pobiegłyśmy do toalety.

- Strasznie ci dziękuję - powiedziała, kiedy już dokonałyśmy wymiany.

- Nie ma za co. - Drżąc, pobiegłam do klasy, żeby uniknąć uwagi za spóźnienie. Nie mogłam sobie na to pozwolić.

Ku mojemu zdumieniu przy drzwiach czekał Justin.

- Hej, Ali.

- Hej.

Już chciał coś dodać, ale zrezygnował. Znowu otworzył usta. Zamknął gwałtownie. W końcu zadowolili się pytaniem:

- Co u ciebie?

- Bywało lepiej. - Ruszyłam w stronę swojego miejsca, on za mną. - A u ciebie?

- W porządku. Okay.

Przyglądałam mu się, zauważyłam podkrążone oczy, pociągłe kości policzkowe i wargi, które nosiły ślady zagryzania. Nie był „okay”.

- Mówiłeś mi, o ile sobie przypominam, że nie dzieje się z tobą nic nienormalnego. Nadal tak jest?

Na jego czole pojawiła się gniewna zmarszczka.

- A może zechcesz mi powiedzieć, co dzieje się z tobą? Bo coś się dzieje, zgadza się?

Wciąż nie byłam pewna jego motywów, ale w tej chwili nie miałam do kogo się zwrócić.

- Możliwe.

- Możliwe?

Usiadłam.

- To wszystko, co zamierzam powiedzieć. - Na razie.

Usiadł obok mnie.

- Okay, ale nie mogę ci pomóc, jeśli nie wiem, z czym masz do czynienia.

- Tylko czy zdołasz mi naprawdę pomóc?

Przygarbił ramiona.

- Chyba jestem ci to winien.

Tak, ale nie musiałam być w związku z tym taka zrzędliva, prawda?

- Znasz kogoś, kto się nazywa doktor Bendari?

- Nie? A o co chodzi?

Cholera. Może więc doktor Bendari nie był mimo wszystko w Animie. Może Justin nie kłamał. Albo nigdy go nie spotkał.

- Nieważne.

- Ali, proszę, porozmawiaj ze mną.

Ile jeszcze razy miałam słyszeć te słowa?

Odezwał się dzwonek, ratując mnie przed koniecznością odpowiedzi.

- Później - odparłam.

Może.

*

Nadeszła pora lunchu. Udało mi się z powodzeniem unikać Justina po pierwszej i drugiej lekcji. Także Triny i Mackenzie. Ale nie Cole'a.

Przyparł mnie do ściany w toalecie dla dziewcząt.

Myłam ręce, kiedy wszedł do środka. Jedna z moich koleżanek zamykała właśnie drzwi kabiny, kiedy go dostrzegła i pisnęła.

- Wynocha - rzucił, a ona wyszła pośpiesznie, zostawiając nas samych.

Serce waliło mi młotem, gdy suszyłam dłonie ręcznikiem papierowym.

- Jeśli zamierzasz wrzeszczeć na mnie za to, że uszkodziłam twoją dziewczynę, to możesz sobie oszczędzić kłopotu. Straciłam panowanie nad sobą, ale to się więcej nie powtórzy.

- Nie jest moją dziewczyną.

- Jeśli jest, to nie ma problemu. Nie musisz się wysilać i martwić o moje uczucia. Daję sobie radę.

Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto okazuje zrozumienie.

Próbowałam go ominąć; postanowiłam porozmawiać z nim o zarzutach Triny i Mackenzie

później, w jakimś miejscu bez luster. Zastąpił mi drogę.

- Zostań - powiedział.

- Rozkazy? - Spojrzałam na niego ze złością. - Wiesz, że nie boję się ci przywalić, prawda?

- Możesz mi zrobić, co zechcesz. Nie wyjdę, dopóki mnie nie wysłuchasz.

Czasem naprawdę nienawidziłam swojej ciekawskiej natury.

- Co?

Kiedy się cofnęłam, oparł się o umywalkę, przesunął po mnie spojrzeniem i zmarszczył czoło.

- Masz na sobie inną koszulę.

- Tak - odpowiedziałam, walcząc z nagłym pragnieniem zakrycia się.

- Dlaczego?

Walcząc bezskutecznie, jak się okazało. Zakryłam piersi dłońmi.

- Tylko o to chciałeś mnie spytać? Bo chyba moje powody nie wzbudzają twojej troski.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej. Pokręcił głową, jakby pragnął odzyskać jasność myślenia.

- Martwię się o ciebie i chcę o tym porozmawiać, jak robią to rozsądni ludzie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Dlaczego? Mówiłaś, że możemy być przyjaciółmi.

Lekcja, którą należy zapamiętać: lepiej pomyśleć, zanim się coś powie.

- Świetnie. Porozmawiajmy.

Mruknął coś pod nosem, potem oznajmił:

- Pan Ankh przekazał mi, że jesz obwarzanki w jego domu.

Zaraz.

- Nie chodzi ci o to, co wydarzyło się na patrolu? Albo co stało się z Veronicą?

- Obwarzanki - powtórzył z uporem.

O co chodziło z tymi pieprzonymi obwarzankami?

- Tak. Jem obwarzanki. O ile wiem, nie jest to przestępstwo.

- Jest, jeśli nie jesz nic innego.

Wsparałam dłonie na biodrach.

- Dlaczego cię to w ogóle obchodzi?

Zignorował moje pytanie.

- Nie wzięłaś ze sobą nic do jedzenia i nie zamierzałaś nic sobie kupić dziś w stołówce, zgadza się? Wiem, bo w zeszłym tygodniu było tak samo. Chcesz się zagłodzić.

W jego ustach brzmiało to znacznie gorzej niż w rzeczywistości.

- Oszczędzam, żeby kupić babci dom.

- Bierz więc jedzenie od pana Ankha. Nie ubędzie mu.

- Mieszkam u niego za darmo. Nie zamierzam być ciężarem i nadużywać jego gościnności.

- Nie jesteś ciężarem.

- Ty tak twierdzisz.

- Ali.

- Nie - odparłam stanowczo.

- Wobec tego weź ode mnie. - Wyjął brązowy skórzany portfel na łańcuszku. - Proszę.

Pokręciłam zdecydowanie głową. Co tu się działo, u licha?

- Nie chcę twoich pieniędzy.

- Ali - powtórzył urywanym głosem. - Przyjaciele dzielą się wszystkim.

- Nie jesteśmy już tak blisko.

Drgnął.

- Musisz jeść.

- Będę jadła. Obiecuję.

- Coś więcej niż obwarzanki.

Skinęłam głową, byle jakoś przeżyć tę rozmowę. Postanowiłam, że po lekcjach pójdę do sklepu spożywczego niedaleko domu Ankhów i kupię chleb i mięso.

- Nie później, tylko teraz, w czasie lunchu - zaznaczył, jakby czytał mi w myślach. - Proszę.

Proszę.

Jego troska działała na mnie, oplatała mnie jego urokiem, kazała zapominać o całym świecie, pograżała coraz bardziej w obsesji, która sprawiała mi tylko ból. Chciałam stąd wyjść. Musiałam wyjść.

- Wiesz, lepiej, że się rozstaliśmy - powiedziałam, bardziej ze względu na siebie. - Nasz związek przebiegał tak szybko, że nigdy nie staraliśmy się bliżej poznać. Poznać tak naprawdę. I jak byśmy się kiedykolwiek dowiedzieli, czy naprawdę zależy nam na sobie, czy może przekonały nas o tym tylko wizje?

Uderzył dłonią o lustro i nachylił się do mnie.

- Wiem, co czułem - rzucił gniewnie.

Czas przeszedł. Dlaczego tak bardzo to bolało?

- Ja też wiem, co czułeś. Nie dość mocno, by o mnie walczyć.

Zauważyłam, że drga mu mięsień pod okiem, kiedy się wyprostował, przypierając mnie do wyłożonej czarno-złotymi kafelkami ściany. Ciepło jego oddechu muskało mi twarz, słodkie jak pieszczota. Przyglądał mi się uważnie, próbując odczytać moje myśli, w końcu jego spojrzenie spoczęło na moich wargach. Wargach tęskniących boleśnie za pocałunkami, których mi odmawiał podczas mojej rekonwalescencji.

- Oboje wiemy, dlaczego odszedłem. Oboje wiemy, co się wydarzy.

- Więc co wyprawiasz, u licha, napierając tak na mnie?

Dobrze. Otrząsnęłam się z melancholii i zdobyłam na determinację.

- Nie wiem - warknął głucho i nagle znalazłam się twarzą w twarz z Cole'em yorkiem. - Już nie wiem.

Dla własnego dobra zmusiłam się do stwierdzenia: „To twój problem, nie mój”, po czym wymięłam go i ruszyłam przed siebie.

Tym razem pozwolił mi odejść.

Nie obejrzałam się. Nabierałam w tym wprawy.

W stołówce wydałam trzy cenne dolary na miernego hamburgera. Cole znalazł się przy stoliku, zanim zdążyłam się usadowić obok Kat i Reeve; przyglądał się, jak pochłaniam połowę... i próbuję zachować drugą na później.

Patrząc spode łba, odsunął Kat na bok, usiadł obok mnie, odwinął hamburgera i włożył mi go z powrotem w dłoń. Podejrzewałam, że spróbowałby mnie karmić na siłę, gdybym się opierała, więc zjadłam resztę. Mój żołądek niemal zapłakał z wdzięczności.

Cole podsunął mi napój energetyczny. Swój? Opróżniony już do połowy. Zapomniałam kupić sobie coś do picia, jak sobie uświadomiłam, i z ulgą wzięłam łyk, potem drugi.

- Dziękuję - powiedziałam, starając się nie przejmować tym, że on się przejmował.

- Od czego są przyjaciele? Nawet jeśli nie są akurat blisko. - Podniósł butelkę do ust, dotknął nimi miejsca, którego jeszcze przed chwilą dotykały moje wargi, i dopił napój.

*

Po lekcjach Kat i ja wgramoliłyśmy się do samochodu Reeve. Miałyśmy razem zajęcia i pan Toms, nauczyciel, pozwolił nam zrealizować wspólnie pewien projekt. W tym celu pojechałyśmy do Party Palace i kupiłyśmy baloniki z hasłem „Wkrótce wyzdrowiejesz”.

- A teraz z zupełnie innej beczki - oznajmiła w pewnym momencie Kat. - Chcecie wybrać się po prezent dla dziecka Aubrey Wilson? A mówiąc „wybrać się”, mam na myśli to, że twój tata będzie płacił, Reeve. Musimy kupić coś absolutnie niesamowitego.

- Wspomniała o łóżecku - powiedziałam. Biedna dziewczyna. Chłopak ją porzucił. Jej ciąża była coraz bardziej widoczna.

Reeve skinęła głową.

- Jestem za.

Kiedy krążyliśmy po bocznych drogach, szukając kolejnego rekwizytu, który spełniałby wymogi „najwspanialszego w świecie pomysłu” Kat, obserwowałam bacznie chmury. Słońce świeciło mi prosto w oczy, wyciskając łzy, ale mimo to zdołałam dostrzec królika i jęknęłam w duchu. Nie, błagam. Nie dzisiaj. Nie byłam jeszcze gotowa stanąć oko w oko z zombi i z własną reakcją na te istoty.

Tego wieczoru miałam zostać w siłowni Cole’a i pilnować ciał pozostawionych przez zabójców. Ale... Tak, wydawało się, że w moim przypadku zawsze jest jakieś „ale”. Zostałabym wezwana na pomoc, gdyby znaleziono zombi - a znaleziono by je na pewno.

Znowu usłyszałabym głosy? Czy miałam się wykręcić jakąś chorobą?

- Jestem pewna, że dostaniemy za to koszmarną ocenę - zauważyła Reeve z jękiem.

- Jeśli już, to dostaniemy świadectwo odlotowości - odparła Kat.

Przyszedł esemes. Spojrzałam na ekran i zeszywniałam.

- Co się stało? - spytała Kat.

- Cole chce się ze mną spotkać - wyjaśniłam głosem pozbawionym jakiegokolwiek intonacji.

W środku jednak się gotowałam.

Ponownie przeczytałam wiadomość: „W moim domu. O piątej. Bądź tam”.

Do diabła, zaplanowałam kolację z babcią przed pójściem do siłowni.

- Kiedy? Gdzie? - spytała Reeve, a ja zapoznałam ją ze szczegółami.

- Zamierzasz iść? - chciała wiedzieć Kat.

Przesłałam babci wiadomość, z trudem panując nad drżeniem dłoni. „Możemy przełożyć? Tak mi przykro, ale wyskoczyło mi coś w związku z Cole'em”.

Czekałam, ale mi nie odpowiedziała.

Przesłałam Cole'owi wiadomość: „Dlaczego?”.

Cole: „Naprawdę potrzebuję powodu?”.

Ja: „Żeby porozmawiać? Tak. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co mieliśmy powiedzieć”.

Okay, nie była to do końca prawda. Wciąż musiałam zebrać się na odwagę i wspomnieć o jego dziwnym zachowaniu, tak jak sobie obiecywałam.

Cole: „Kto jest twoim szefem? Po prostu przyjdź”.

Ja: „Doskonale”.

Cole: „Twój entuzjazm jest ponizający”.

Ja: „Pieprz się”.

Cole: „Robiłem to. Wolę mieć partnerkę”.

Chyba sapnęłam z wrażenia.

- Tak, zamierzam iść - powiedziałam. Zdecydowałam, że nie będę się wykręcać chorobą. Mi-ałam obowiązki. I postanowiłam je wypełniać.

- Teraz cicho. - Kat podskoczyła na fotelu i klasnęła uradowana. - Chyba widzę jednego.

- Gdzie? - Reeve rozglądała się na wszystkie strony.

Kat wskazała miejsce.

- Zatrzymaj się tam.

Jęcząc, Reeve zwolniła, zjechała na pobocze i zaparkowała. Odpięłam jeden z baloników i wysiadłam. Dziewczyny przyłączyły się do mnie, po czym razem zbliżyłyśmy się do głównego elementu naszego szkolnego projektu humanitarnego - martwego szopa, który wyciągał ku górze sztywne łapy.

- Rękawiczki - poleciała Kat, wyciągając rękę.

Reeve pomachała rękawiczkami z dala od dłoni Kat.

- Są kaszmirowe.

- Jestem pewna, że szop będzie z tego powodu wniebowzięty - odparła sucho. - Mówiłam, żebyś kupiła lateksowe.

- Pomyślałam sobie, że wolałabyś coś bardziej miękkiego. - Reeve oddała z westchnieniem rękawiczki, a Kat wciągnęła je na palce. - Kupiłam za to środek odkażający do rąk.

- Balonik - wydała kolejne polecenie Kat.

Dałam jej.

Kat przykucnęła następnie nad nieszczęsnym zwierzęciem i przywiązała balonik do jednej z łap. Nie było wiatru, więc balonik z napisem „wkrótce wyzdrowiejesz” utrzymywał idealny pion, unosząc się dumnie nad nieruchomym czworonogiem.

- Twoja rodzina podziękuje mi za to któregoś dnia - oznajmiła, skinąwszy głową.

- Jakbyśmy robiły cokolwiek dobrego - powiedziała z powątpiewaniem Reeve.

- Jasne, że tak. Ludzie powinni bardziej zwracać uwagę na stworzenia przechodzące przez jezdnię. Pomagamy w ten sposób. To dowcipne...

- I obrzydliwe - przerwała jej Reeve. - I okrutne.

- I będą pamiętać - dokończyła Kat.

Zrobiłyśmy kilka zdjęć komórkami, umyłyśmy dłonie i wsiadłyśmy do samochodu, żeby poszukać

następnej ofiary - czy raczej wybrańca - spod znaku „Wkrótce wyzdrowiejesz”.

Siłą rzeczy przyrównywałam się do tych zwierząt. Wypadek samochodowy. I to, że po części umarłam.

Modliłam się, by spotkał mnie lepszy koniec, ale czułam, że znów muszę zmienić swoją listę.

Zdradzają cię martwe oczy

Podrzuciłyśmy Kat na parking pod szkołą, gdzie stał jej samochód, i pojechałyśmy do domu. Do poręczy u dołu schodów znowu przyczepiono karteczkę. Wzdychając, udałam się do gabinetu pana Ankha, gdzie zastałam go w trakcie ożywionej dyskusji z panem Hollandem.

Interesujące.

Gdy tylko mnie zobaczyli, zamilkli. Pan Holland pochylał się nad biurkiem, niemal stykając się twarzą z panem Ankhem. Teraz ponownie usiadł na swoim miejscu i obaj zaczęli się zachowywać przyjaźnie jak zawsze.

Jeszcze bardziej interesujące.

Nie mogłam się powstrzymać od refleksji, że osoba pana Hollanda to wypisz wymaluj Cole za lat dwadzieścia. Obaj mieli ciemne włosy i mocne, wyraziste rysy. Jedyna różnica polegała na tym, że

oczy Cole'a odznaczały się zdumiewającym fioletem, a oczy jego ojca – metalicznym błękitem.

- Panno Bell – oznajmił na mój widok pan Ankh.

Czy kiedykolwiek chodził do pracy? Usiadłam na jedynym wolnym krześle.

- Dobrze, że jesteś. – Pan Holland pocierał się po karku. – Musimy porozmawiać we troje.

- Właśnie otrzymałem ostatnie wyniki badań krwi – poinformował pan Ankh. – Zaskoczyły mnie.

Poruszyłam się niespokojnie.

- Toksyna, którą mieliście w swoich organizmach ty i Justin, ta szkodliwa dla zombi, u niego zaniknęła, ale u ciebie jest silniejsza. Poza tym masz niższy poziom żelaza i zwiększoną liczbę białych ciałek krwi.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Ludzka strona mojej osobowości walczyła, ale ta druga nie zamierzała się poddawać.

- A co z zombiczną toksyną, która jest szkodliwa dla ludzi? Znalaziono coś u mnie?

Zmarszczył czoło.

- Nie.

- Dlaczego o to pytasz? – zainteresował się pan Holland.

Chciałam mu powiedzieć, słowo daję. Ale zabił własną żonę, kiedy przemieniła się w zombi. Bóg

jeden wie, co by zrobił ze mną, niepewną byłą dziewczyną jego syna.

Gdyby ci ludzie zostawili mnie przy życiu, to pan Ankh z pewnością wyrzuciłby mnie z domu. A tam, dokąd bym poszła, poszłyby też babcia. Nie zostawiłabym jej na ulicy.

Potem, oczywiście, pan Holland powiedziałyby innym. Jak Cole by wtedy na mnie patrzył? Nie zwracałby sobie głowy tym, żeby mnie karmić, tego byłam pewna.

- Ciekawość - odparłam wykrętnie.

Pan Holland westchnął i obrócił krzesło, żeby siedzieć twarzą do mnie.

- No cóż, ja też jestem czegoś ciekaw. Wiem, że ty i mój syn rozstaliście się. Nie wiem tylko dlaczego. Nie chce ze mną o tym rozmawiać.

Od razu poczułam się zdołowana.

- Ja też nie chcę - odparłam głucho.

Znowu zaczął masować sobie kark; gest irytacji albo zgryzoty, identyczny jak u Cole'a.

- Zaczął się wymykać z domu, rozmawiać z niewłaściwymi ludźmi, podejmować złe decyzje. Martwię się o niego. Coś się z nim dzieje, ale nie wiem, jak mam mu pomóc.

- Z kim rozmawia? - spytałam.

Przesunął w milczeniu językiem po zębach.

Nie zamierzał dzielić się ze mną tą informacją. Załapałam.

- Spróbujesz się zorientować, o co chodzi? - zwrócił się do mnie pan Holland.

- Trina i Mackenzie też zauważyły to jego dziwne zachowanie i poprosiły mnie o to samo. Zgodziłam się z nim porozmawiać - odparłam. - Mamy się spotkać o piątej.

Pan Holland odetchnął z wyraźną ulgą.

- Dziękuję.

Skinęłam głową.

- Tak przy okazji, widziałam dziś króliczą chmurę.

Obaj mężczyźni wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

Mogłam się domyślić, co im chodzi po głowach. Zombi odpoczywały zwykle przez tydzień między jednym atakiem głodu a drugim. Wcześniej tylko raz wyszły z kryjówki już następnej nocy. Żeby mnie wytropić i przerobić na swoją modłę.

Czy teraz skupiały uwagę na kimś innym?

- Wezmę w tym udział - powiedziałam. I dowiem się, w taki czy inny sposób, czy tamta noc stanowiła tylko anomalię, czy nie. Czy zombi ponownie mnie zignorują. Czy usłyszę jakieś obłąkańcze

szepty. Czy stracę przytomność i wyląduję pod swoim niegdysiejszym domem.

- Wyślę dziś wszystkich na patrol i dopilnuję, żeby twój partner przeniósł cię czym prędzej w bezpieczne miejsce, jeśli przytrafi ci się następny... epizod.

- Dziękuję - wymamrotałam.

Wyszłam z gabinetu i zamknęłam się w swoim pokoju. Potem zadzwoniłam do doktora Bendariego. Znowu informacja, że abonent jest niedostępny. Do diabła. Zamierzał kiedykolwiek odebrać?

Pomyślałam o dzienniku, swoim drugim źródle informacji. Światło przeganiało ciemność. Ogień wypalał każde zło. Te słowa trzymały mnie jak w sieci. Nie mogłam się od nich uwolnić.

Wzdychając, usiadłam przy toalecie i zdobyłam się na odwagę, by spojrzeć w lustro. Pragnęłam zapoznać się ze stanem obecnym. To był jedyny sposób.

Moje spojrzenie napotkało jej wzrok. Smugi rozlały się szerzej, ciągnęły się od oczu do policzków, zachodziły nawet na szyję. Nie mogąc opanować drżenia, ściągnęłam koszulę przez głowę. Zrobiła to samo... kilka sekund po mnie. I... smugi sięgały dalej, biegnęły od szyi do ramion.

Największa usadowiła się tuż nad jej sercem. Wcześniej wielkości kciuka, teraz była duża jak pięść. Przesunęłam palcami po skórze w tym właśnie miejscu.

Moje odbicie nie drgnęło.

Tik-tak. Tik-tak.

Głośniej niż przedtem.

Była silniejsza.

Zmagając się z falą frustracji, wstrzyknęłam sobie antidotum, tak dla bezpieczeństwa, wzięłam prysznic i włożyłam swój idealnie czarny strój bojowy. Otworzyłam drzwi, chcąc pójść do pokoju babci i poprosić, żeby zawiozła mnie do Cole'a. Zaskoczyła mnie Kat, która stała po drugiej stronie z podniesioną ręką, jakby zamierzała zapukać.

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- Super. Przyszłam zaproponować, że cię podrzucę do Cole'a. Szron przysłał mi wiadomość. Poprosił, żebyśmy spotkali się o piątej w stodole.

Zbieg okoliczności?

- Świetnie, dzięki.

*

W stodole roilo się od zabójców; uświadomiłam sobie, że opacznie rozumiałam intencje Cole'a. Nie

mieliśmy rozmawiać. Zamierzał przekazywać uwagi. Nie tylko mnie, ale wszystkim.

Zbyt często ulegałam ostatnio na przemian euforii i przygnębieniu, żeby mogło mnie to rozczarować. No, może trochę...

Moje spojrzenie zatrzymało się na twarzy Veroniki i w tym momencie musiałam się powstrzymać, by nie zwrócić lunchu. Miała podbite oczy, trochę spuchnięty nos i nabrzmiałą wargę; wpatrywała się w Gavina, który mówił coś do niej. Odwróciłam szybko wzrok.

- Kitty Kat - oznajmił na nasz widok Szron.

- Palant - odcięła się Kat, zaskakując mnie.

Oczy zaszły mu szklistym szronem, jakby w zgodzie z jego imieniem.

- Co tym razem zrobiłem?

- Nic. Pomyślałam sobie, że się wścieknę, ot tak sobie, i wprowadzę trochę ożywienia do naszego związku. Za bardzo śniedziejmy.

W mgnieniu oka pozbył się wystudiowanego chłodu i parsknął śmiechem.

- Jesteś niewymownie seksowna, wiesz o tym?

- Prawdę powiedziawszy, tak - odparła i podbiegła do niego, by rzucić mu się w ramiona.

Złapał ją i obrócił nią dookoła, a ja poczułam w piersi ostry ból. Ze mną też tak ktoś kiedyś robił.

Zastanawiałam się, czy umrę, zanim zdążę doświadczyć tego ponownie?

Zamknij się, Zdołowana Ali!

- Co się dzieje? - spytałam, nie mogąc znieść drżenia w swoim głosie.

Szron postawił Kat na ziemi, ale nie wypuścił jej z objęć, pełniąc rolę jej tarczy, jedyne wsparcia.

- Nie wiem. Cole ma coś wszystkim do powiedzenia, ale jeszcze się nie zjawił.

- Wszystkim...? Nawet mnie? - spytała Kat, stukając się palcem w pierś.

- Nawet tobie. - Pocałował ją w skroń. - Jesteś teraz ważnym członkiem naszego zespołu.

- Naprawdę? No, oczywiście, że jestem. Ba! - Popatrzyła na niego rozpromieniona.

Położył jej dłonie na policzkach, żeby patrzyła mu w oczy, i oznajmił tonem powagi:

- Nie możesz wyjść w nocy i walczyć, ponieważ nie potrafisz dostrzec zombi, więc nawet nie proś. Możesz mnie jednak polatać, jeśli wrócę ranny.

- Doktor Kitty Kat. - Skinęła głową. - Zgoda.

- Mam nadzieję, że aplikujesz pocałunki. - Nachylił się do niej i musnął miękko jej wargi. - To moje lekarstwo.

- No cóż, będzie cię kosztowało. Po prostu... nie wracaj ranny. Bo się wścieknę.

- Wiesz, że nie znoszę, kiedy mój mały kociak jest wściekły. Pokazuje wtedy pazurki.

- Także z innych powodów - zamruczała.

Po kilku sekundach zachowywali się jak dzikie zwierzęta w okresie godowym.

- Skończ z tym, Szron, bo ja skończę z tobą! - zawołał Bronx i nie sprawiał wrażenia kogoś, kto żartuje.

Odszukałam go w tłumie zabójców i zaciągnęłam w zacieniony kąt.

- Dowiedziałeś się czegoś o Ethanie?

Kiwnął sztywno głową.

- Tak, choć nie tyle, ile bym pragnął. Nazywa się Ethan Hamilton, ma dwadzieścia jeden lat i prowadzi większy biznes w Birmingham Southern. Ma też piętnastoletnią siostrę, u której rok temu wykryto białaczkę.

Jakież smutne.

- Co zamierzasz z nim zrobić?

W jego oczach pojawił się groźny błysk.

- Poza tym, że utnę sobie z nim małą pogawędkę? Znałam to spojrzenie. Sugerowało raczej użycie pięści niż słów.

- Na pewno chcesz to zrobić? Sprawia wrażenie całkiem przyzwoitego gościa, a Linie Krwi wokół jego domu to znowu nie taka rzadka rzecz.

I poniekąd rozumiem to, co powiedziała dziś Reeve: że ma dość tej huśtawki, którą jej fundujesz. Może czas pozwolić jej odejść.

Przyglądał mi się długą chwilę, zanim w końcu się odezwał.

- Naprawdę uważasz, że masz prawo udzielać dobrych rad? Nie, nie kłopotz się odpowiedzią. Oboje ją znamy. Może więc ja zajmę się swoim życiem, a ty swoim? - rzucił i odszedł.

Wspaniale. Nie mogłam tego już bardziej schrząnąć.

Świergot komórki. Wyjęłam telefon z kieszeni i przeczytałam: „Kolacja gotowa! Przyrządziłam twoje ulubione dania. Lasagne i chleb czosnkowy. Spytałam też pana Ankha, czy pozwoli nam skorzystać ze swojego tarasu, a on się zgodził. Wszystko jest już na stole, więc przychodź jak najszybciej”.

Serce mi się ścisnęło. O, nie. Nie wiedziała. Ona...

Po chwili nadeszła następna wiadomość. „Przepraszam, kochanie. Dopiero teraz przeczytałam twojego esemesa. No cóż, nie martw się. Załatwimy to przy innej okazji”.

Oczy wezbrały mi łzami. Babcia harowała w kuchni jak niewolnica, przygotowując mój

ulubiony posiłek. Przystroiła zapewne taras pana Ankha migoczącymi światełkami bożonarodzeniowymi, bo wiedziała, że nie jestem wielką zwolenniczką mroku. Wszystko to dowodziło, jaka jest wspaniała. A ja to odwołałam. Żeby znaleźć się tutaj.

Byłam okropna.

Znowu zaszyłam się w kącie i zadzwoniłam do niej.

- Babciu, tak mi przykro. Jestem w siłowni Cole'a. Poprosił mnie o spotkanie. Myślałam, że będziemy tylko we dwoje i że zdołam się jakoś dowiedzieć, co się z nim dzieje, ale okazało się, że są tu wszyscy zabójcy.

- Ali - odparła z westchnieniem. - Wszystko w porządku. Rozumiem.

- Wynagrodzę ci to, przysięgam.

Znowu westchnienie.

- To, co przygotowałam, zostanie na jutro, wtedy będziemy mogły porozmawiać.

- Tak. Z chęcią.

Rozłączyłyśmy się.

- Hej - usłyszałam za plecami czyjś głos.

Gavin. Poczulałam, jak cała sztywnieję, obracając się do niego. Pilnowałam się, by patrzeć pod nogi.

- Hej.

- Chciałem ci powiedzieć, że umówiłem się jutro na randkę z bardzo gorącą dziewczyną, ale chętnie zrobię coś niewyobrażalnego i dam sobie z tym spokój. Dla ciebie.

Słucham?!

- Nie rób tego. A myślałam, że jesteś na mnie wściekły za to, co zrobiłam Veronice.

- Nigdy nie byłem wściekły. To wymagałoby odwołania się do emocji, jakich nigdy nie doznaję. Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy. Wracając więc do naszej randki...

Pokręciłam głową, dziwnie oczarowana. I teraz wściekła na siebie.

- Nie spotkamy się.

- Spójrz na mnie i powiedz to. Może wtedy ci uwierzę.

Zareagowałam odruchowo, podnosząc wzrok. Nasze spojrzenia spotkały się i... nic. Żadnej wizji.

Odetchnęłam z ulgą, ale Gavin zmarszczył czoło.

W tym momencie z szatni wyłonił się Cole, przyciągając powszechną uwagę. Rozmowy ucichły.

Jego spojrzenie zatrzymało się na mnie - żadnej wizji - po czym przesunęło się w stronę Gavina i stwardniało. Wspiął się na ring i powiódł wzrokiem po milczącym teraz i wyczekującym tłumie zabójców. Wyglądał, jakby od naszego

ostatniego spotkania stoczył walkę - twarz miał ściągniętą z napięcia, włosy sterczały mu na wszystkie strony, ubranie było podarte.

Stłumiłam ciekawość.

- No dobra, słuchajcie! - zawołał. - Mamy nowego członka w zespole. Przyjmijcie go z otwartymi ramionami, a pięści i broń trzymajcie przy sobie.

Rozległy się pomruki zdziwienia.

Nowy członek? Ktoś, kogo chcielibyśmy skrzywdzić?

Drzwi od szatni się otworzyły i na scenę wkroczył Justin Silverstone.

Pomruki przeszły w pełne szoku westchnienia.

Justin skinął sztywno głową, a jego wielkie piwne oczy spoglądały czujnie.

- Zanim zaczniecie osądzać, wysłuchajcie mnie. Popełniłem błąd, odchodząc. Wiem o tym i jest mi przykro. To, co zrobiono z dziadkiem Ali, z jej domem... Nie miałem z tym nic wspólnego, daję wam słowo.

- Kłamca! - prychnęła wściekle Trina i wycelowała palec w Cole'a. - Zdradził nas już raz, a ceną było życie Bootsa i Ducky'ego, a ty chcesz mu dać okazję, żeby zrobił to znowu?

- Potrzebujemy w tej chwili każdej możliwej pomocy - powiedział Cole, a ja dosłyszałam sztywność w jego głosie.

Boots i Ducky. Cole nosił ich imiona wytatuowane na piersi.

Justin wyprostował ramiona.

- Wróciłem i zrobię wszystko, by udowodnić, że moje intencje są uczciwe.

- To idiotyzm - warknął Lucas. - Nie zamierzam z nim pracować.

- Będziesz. - Cole powiódł po obecnych spojrzeniem spod zmrużonych powiek. - Będziesz albo wylecisz z zespołu.

Niechaj potoczą się martwe głowy

Oszołomiona, ruszyłam ku tylnej części stodoły. Zabójcy usadowili się na krzesłach, przeklinając i przygotowując swoje duchy do opuszczenia ciał. Włącznie z Justinem.

Co za szokujący obrót wydarzeń.

Trina popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami, a ja zrozumiałam, że każe mi porozmawiać z Cole'em. Natychmiast.

- Wkrótce - odparłam, poruszając bezgłośnie wargami.

Czy Cole przyjął Justina z powrotem, ponieważ miał nadzieję trzymać wroga blisko siebie? Czy też naprawdę mu ufał? Wykorzystywał go, udając, że mu ufa, i mając nadzieję na uzyskanie informacji o Animie?

Czy Justinem kierowała szczerłość, czy też działał jako podwójny agent?

Tak wiele możliwości.

Jeden za drugim, zabójcy wstawali w postaci duchowej. Oprócz mnie. Próbowалам, raz po raz, ale bezskutecznie.

Kiedy tak się zmagалам sama ze sobą, miałam wrażenie, że ktoś przytrzymuje mojego ducha, zmuszając go do pozostania w miejscu.

Gavin i Veronica wyruszyli, po nich przyszła kolej na Trinę i Collinsa, potem na Lucasa i Mackenzie, Cruza i Bronxa. Wyglądało na to, że wszyscy prócz mnie mieli tej nocy partnera. Każdy dostał za zadanie udać się w innym kierunku, chodziło o jak największy teren penetracji. Jednak nikomu nie wolno się było angażować w walkę przed przybyciem wsparcia.

- Co się dzieje? - spytał mnie Justin, zwlekając.

To on był moim partnerem? Nie, z pewnością nie.

- Nic, wszystko w porządku. Mogę to zrobić.

Zamknęłam oczy. Starając się wykorzystać każdą cząstkę determinacji, wyobraziłam sobie, jak mój duch się unosi, a ciało reaguje odpowiednio. Gdy jednak otworzyłam oczy, poczułam, jak jakieś twarde ręce zaciskają się wokół mnie i nie pozwalają wstać z krzesła. Co się działo, u licha?

Justin wzruszył ramionami, mruknął: „powodzenia” i ruszył w drogę.

Przycupnął przede mną Cole, jedyny zabójca, który został w stodole. O, cholera. Czyżby mój partner? Popatrzył na drzwi, potem na mnie. Na jego twarzy malowało się niezdecydowanie.

- Jakiś problem? - spytał.

Dlaczego nie powiedzieć prawdy?

- Tak, ale nie wiem, co to takiego.

A jeśli A.Z. była teraz dostatecznie mocna, żeby trzymać mnie w miejscu?

Wydawało się, że mu wyraźnie ulżyło.

- Zostań tutaj. Miałem być twoim pomagierem, więc i tak zamierzaliśmy penetrować ten sam rejon. Zrobię to po prostu sam.

I to szybko, jak sugerował jego ton.

Popatrzyłam na niego gniewnie.

- Jutro Ankh zrobi ci kilka dodatkowych badań - dorzucił.

- To twoja odpowiedź na wszystko. Badania, badania, badania. Zrobił już ich tysiące i niczego nie stwierdził. Nie ma już co sprawdzać.

- Zrobi więc te same badania jeszcze raz. Wyniki mogą być inne.

Och, doprawdy?

- Znasz definicję obłędu? Robić tę samą rzecz w kółko i oczekiwać odmiennych rezultatów.

- Nie. To definicja determinacji.

Cole położył mi dłoń na kolanie. Ponieważ znajdował się w postaci duchowej, a ja w cielesnej, jego palce przeniknęły przeze mnie, pozostawiając po sobie ciepło.

- Idź już - powiedziałam, wskazując drzwi. Drżałam.

- Ali.

- Idź - powtórzyłam.

Skupił na mnie spojrzenie.

- Pomimo wszystko jestem twoim szefem, sama wiesz. Nie powinnaś tak do mnie mówić.

Nieważne.

- Jesteś moim szefem. Moim byłym. Moim przyjacielem. Czasem. Może. To wykluczone, żebyś był tym wszystkim jednocześnie. Musisz się na coś zdecydować.

Mrużył oczy coraz bardziej, aż w końcu widziałam tylko ciemne źrenice.

- Dzisiaj decyduję się na szefa. Jutro może zmienię zdanie.

Irytujący chłopak.

- Idź! - Potem dodałam: - Szefie.

Kłapnął na mnie zębami, tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, podniósł się i ruszył do drzwi. Otworzył je energiczniej, niż było to konieczne, a potem wkroczył w nocną ciemność.

Rozejrzałam się po stodole. Pan Holland i Kat byli pogrążeni w rozmowie. Odczuwając gniew i jednocześnie frustrację, silne niczym tsunami, uderzyłam pięścią o podłokietnik. Wstałam gwałtownie, dotarłam do końca rzędu krzesel, odwróciłam się, żeby ruszyć w drugą stronę... i zobaczyłam swoje ciało na krześle. Zaraz. Udało mi się? Ale jak? Dlaczego?

I dlaczego wciąż paliły mnie nogi?

Dotyk Cole'a... palący...

Czy A.Z. bała się go? Jeśli tak, to pozwoliłabym mu przesuwając tymi gorącymi duchowymi dłońmi po swoim ciele i wystraszyć ją na śmierć.

Jego dłonie... na całym moim ciele... Zadrżałam, potem się skrzywiłam.

Popędziłam do drzwi. Ponieważ były wysmarowane Linia Krwi, nie mogłam przez nie przeniknąć. Tak jak Cole, otworzyłam je i wkroczyłam w noc. Rozejrzałam się, ale nie dostrzegłam żadnego śladu.

Zaraz. Pośrodku podwórza widniała złota smuga, jakby drobinki roztrzaskanej żarówki. Linia Krwi. Podeszłam tam, zobaczyłam plamki czerwieni zmieszanej ze złotem; zmarszczyłam czoło. Może jednak nie Linie Krwi. Znalazłam kolejną smugę kilkadziesiąt centymetrów dalej i ruszyłam jej

śladem. Podążałam za nią uparcie, zagłębiając się coraz bardziej w las za stodołą.

Drzewa wystrzelały w bezgwiezdne niebo, a konary uderzały o siebie głucho w porywach wiatru. Hukała sowa. Ciemność była tak gęsta, że przypominała czarny koc rozpięty gdzieś w górze. Czułam uderzenia zimnego powietrza, które przyprawiało mnie o gęsią skórkę na ramionach. Z przodu, po mojej prawej stronie, poruszył się cień, a na ziemi pojawiła się kolejna smuga. Zmarszczyłam czoło. Te smugi nie były z pewnością śladami Linii Krwi, ale czyichś butów. Jak? Dlaczego?

Przyspieszyłam kroku, prąc szybko do przodu. Cień się zatrzymał. Ja zrobiłam to samo. Wysoki, umięśniony – mężczyzna. Czarna koszula, czarne spodnie; zlewał się idealnie z nocną ciemnością. Włosy zakrywała mu czarna bandana. Czy był zabójcą?

Szron nosił bandanę. Tak jak i Bronx. Ten facet przywarł piersią do drzewa i przechylił się na bok.

- ...nie mogę uwierzyć, że Cole nam to robi - usłyszałam głos Triny.

- Wiem - odparł Lucas, który się oddalał. Zorientowałam się po jego cichnym głosie.

Tych dwoje nie wyszło razem ze stodoły, ale szybko się odnaleźli. Interesujące.

- Lepiej żeby Ali zajęła się tym, bo jak nie to...

Potem nie słychać było już nawet świerszczy.

Cień się poruszył, pozostawiając za sobą kolejną smugę. Pospieszyłam tam, gdzie się jeszcze przed chwilą znajdował, potem ruszyłam szybko do przodu; dostrzegłam go kilka metrów dalej. Przywarłam do drzewa.

- Poważnie, co mamy robić? - spytała Trina; jej głos znowu do mnie docierał.

- Bądź ostrożna. Zważaj na słowa i na to, co robisz. Nie zamierzam zdradzić przed Justinem czegokolwiek, co mógłby przekazać kombinезonom - odparł Lucas, nieświadomy śledzącego go osobnika.

Cień miał postać duchową, zdecydowanie, i wyglądało na to, że szpiegował oboje.

Poczułam w sobie iskry gniewu. To nie był Szron ani Bronx.

Wyskoczył zza drzewa, a ja ruszyłam w ślad za nim. Tym razem nie zatrzymał się, by słuchać rozmowy Triny i Lucasa. Skierował się w inną stronę. Wciąż za nim podążałam, wypatrując smug. Ten mały zdrajca nie mógł się przede mną ukryć. Wiedziałam, że przyłapię go na gorącym uczynku i...

Coś twardego walnęło we mnie, zwałając z nóg; runęłam na twarz. Impet uderzenia pozbawił mnie tchu; poczułam ziemię na języku, w oczach zamigotały gwiazdy. Próbowałam się odczołgać, ale przygniatał mnie jakiś wielki ciężar. Niewiele brakowało, by sparaliżował mnie strach, opanowałam się jednak szybko i obróciłam, wysuwając szybkim ruchem pięść.

Kontakt!

Moją rękę przeszył ból. Może nawet złamałam sobie kostkę. Trafiłam gościa w szczękę - twardą, nieustępliwą szczękę.

- Puść mnie! - zażądałam, spodziewając się ujrzeć czerwone ślepie, cienką jak papier, gnijącą skórę i włosy zwieszające się w pozlepianych strąkach. Tymczasem zobaczyłam znajome fiołkowe oczy, a moja krew rozpałała się w najcudowniejszy sposób. Znieruchomiałam.

- Ali?

- Cole? Co ty robisz? Ja...

Byłam pod nim. W głowie kłębiły mi się myśli. Leżeliśmy tak już kiedyś. I za każdym razem mnie całował. Dłonie błędziły. Moje ciało się budziło i choć tym razem byłam go pozbawiona, czułam się jeszcze żywsza, jakby mnie podłączono do

generatora, a moje zakończenia nerwowe wibrowały energią.

Wwiercał się we mnie wzrokiem, potem przesunął spojrzenie na usta i zatrzymał się na nich; rysy mu złagodniały. Oddech się zmienił, stał się płytki i szybki.

- Wszystko w porządku? Nie dostrzegalem tego w twoim ciele, ale twój duch jest wychudzony. Straciłaś na wadze i masz cienie pod oczami. Nie byłem pewien, czy jesteś wędrowcem, który krąży zagubiony od kilku dni, czy zombi.

Zesztywniałam, próbując zapanować nad paniką.

- Nic mi nie jest.

- Dobrze. To dobrze. - Muskał kciukami moje policzki. - Ali...

Znałam to spojrzenie, ten ton, ten dotyk i wiedziałam, dokąd to zaprowadzi, jeśli nie położę temu kresu.

- Zejdź ze mnie. - Zawstydziałam się, że zabrakło mi tchu.

Nie ruszył się.

- Co ty ze mną robisz? Jakim cudem sprawiasz, że zapominam, co jest najlepsze dla mnie... Dla ciebie?

- Co jest najlepsze? - Może, gdyby to powiedział, uwierzyłabym mu w końcu.

- Dla mnie... Ronny. Dla ciebie... Gavin.

Nie, wciąż nie byłam przekonana.

- Mylisz się. - Nie martwiłam się też, że jego słowa ziszczą się później - nie w sensie duchowym. Moja wolna wola nie wchodziła w rachubę. Odwróciłam głowę, wpatrując się w niebo. - Nie pociąga mnie Gavin, a ciebie nie pociąga Veronica. Już nie.

- Masz rację. Nie pociąga mnie. - Doskonała odpowiedź. Dopóki nie dodał: - Tak mi się wydaje.

To uzupełnienie przypominało bolesne ukłucie. I pozbawiło mnie resztek spokoju. Chwyciłam go za kurtkę, potrząsnęłam nim.

- Naprawdę sądzisz, że będziesz z nią szczęśliwy?

- Nie wiem.

- Do diabła, może będziesz, przynajmniej przez jakiś czas, ale jeśli postąpisz zgodnie ze swoim zwyczajem, to nie potrwa to długo i nie zostaniesz z nią.

Spojrzał na mnie złym wzrokiem.

- Nie mam żadnego zwyczaju.

Ślepotą!

- Naprawdę nie rozumiesz, że tak bardzo się boisz stracić ludzi, na których ci zależy, że ich odpychasz od siebie, zanim zdążą wnikać ci w serce?

Chwycił moje ręce i przycisnął je do ziemi nad moją głową; wygięłam się w łuk i dotknęłam pierśmi jego piersi.

- Są ludzie w moim sercu - rzucił przez zaciśnięte zęby.

To, czego nie powiedział, i tak usłyszałam: tylko nie ty.

Muszę skończyć z tym ciągłym oczekiwaniem na odmowę.

- Może oboje się mylimy. Może nie masz serca.

- Och, mam. - Mrużąc oczy, sięgnął w dół drugą ręką i rozsunął mi nogi, by zapewnić sobie wygodniejszą pozycję - idealną pozycję - a głupia, głupia Ali pozwoliła mu na to. Twardość przeciwko miękkości, męskość przeciwko kobiecości. - Nie chcę tylko, by je złamano.

- Więc dlatego łamiesz serca innym ludziom?

- Nie złamałem twojego i wiesz o tym - warknął.

- Szybko to przebolełaś, tak jak ja szybko przeboleiałem.

To wszystko, co od niego usłyszałam, ale wiedziałam. W tym momencie wiedziałam.

- Doszło już do czegoś między wami. Między tobą i Veronicą - zauważyłam bezbarwnym głosem.

Po jego twarzy przesunął się mroczny cień. Czekałam, aż zaprzeczy.

Nie zaprzeczył.

Kiwnął głową.

Choć domyśliłam się wcześniej, doznałam szoku, który uderzył mnie z siłą kija baseballowego. Szok i poczucie zdrady. Nie miałam powodu tak tego przeżywać. Zerwaliśmy ze sobą. Ale... ale... leżał na mnie, a ja rozkoszowałam się każdym doznaniem, podczas gdy wspomnienie tego, jak obściskiwał się z Veronicą, było znów świeże i płonęło w mojej głowie żywym ogniem.

Odepchnęłam go i usiadłam gwałtownie.

- Chyba cię nienawidzę.

Skończyłam z tym tematem. Nie miał znaczenia. Nie mógł mieć znaczenia.

Co z nią robiłeś? - chciałam krzyknąć.

Drżąc, powiedziałam:

- Dlaczego mnie obezwładniłeś, jeśli uważałeś, że masz do czynienia z jakimś wędrowcem?

Wciągnął głęboko powietrze i odetchnął z wolna.

- Z wędrowcem, który węszy, jakby kogoś szukał. Nie chciałem ryzykować. - Przesunął dłonią po twarzy. - Wszyscy wychodzą ze stodoły, a twoja zdolność przybierania postaci duchowej wraca w magiczny sposób? Masz mi coś do wyznania, Bell?

Przez chwilę kręciło mi się w głowie.

- O co mnie oskarżasz, Holland?

- Szpiegowałaś mnie?

On... Och... Sapnęłam i wydukałam:

- Nie szpiegowałam cię. Szpiegowałam szpiega. To ciebie widziałam, jak skradałeś się za Triną i Lucasem?

Upłynęła chwila, milczenie pełne niedowierzania. Klnąc pod nosem, przykucnął.

- Ktoś ich śledził?

- Tak mi się wydaje.

- Jak wyglądał?

- Tak jak ty, tyle że nie był taki wysoki. Silny. Z bandaną na głowie. - Cole jej nie nosił. - Jego buty zostawiały nieznaczne złote smugi.

W jego oczach pojawił się błysk nadziei, rysy złagodniały.

- Pokaż mi. - Wstał i pomógł mi podnieść się z ziemi.

Jego palce splotły się z moimi... Ciepło... Bliskość... Podobało mi się, chciałam więcej i nienawidziłam siebie bardziej niż jego. Ale wyswobodziłam dłoń. Czułam suchość w ustach, kiedy się cofałam po swoich śladach, szukając tych smug, które wcześniej dostrzegłam.

- Tam. - Wskazałam. - Widzisz?

- Nie.

Bez znaczenia. Linii Krwi też nigdy nie potrafił zobaczyć.

Zbadał teren.

- Jest jeszcze jakaś w pobliżu?

Poszukałam i znalazłam kolejną, potem następną, ale po chwili zniknęły. Albo tamten facet zdążył już się oddalić, albo miał dość rozumu, żeby zdjąć buty.

- Okay. W porządku - powiedział. Ścisnął w zamyśleniu czubek nosa. - Przynajmniej potwierdziliśmy istnienie szpiega. I wiemy, że jest mężczyzną. To zawęży moją listę.

- Podejrzewałeś, że jest wśród nas szpieg. - Stwierdzenie, nie pytanie. Zrozumiałam, dlaczego sam szpiegował.

Nagle ruszył w moją stronę i pokonał błyskawicznie dzielący nas dystans. Chwycił mnie za ramiona.

- Nikomu nie powiesz, Ali. Obiecuj mi.

Ja też byłam podejrzana?

Powrócił gniew. Rozpalony do białości.

- Dlaczego pozwoliłeś Justinowi wrócić? Wiem, że pomógł nam wcześniej, ale skąd pewność, że nie działa na dwa fronty?

Pokręcił głową.

- Nie zamierzam o tym rozmawiać.

- Nie ze mną, chcesz powiedzieć. A z Veronicą rozmawiałaś?

Przestań. Po prostu przestań!

Zauważyłam, jak rozdymają mi się nozdrza. Z gniewu? Ulgi?

- Chcesz wiedzieć, do czego z nią doszło? - spytał ściśniętym głosem.

Tak!

- Nie. - Nie wiem.

- Powiem ci. Chyba naprawdę chcę ci powiedzieć. Wtedy będziesz trzymała się ode mnie z daleka, nawet jeśli okażę się na tyle głupi, żeby kręcić się koło ciebie. W końcu przestanę pragnąć tego, czego nie mogę mieć.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Tak się właśnie stanie. Nie musisz niczego mówić.

- Byłem w domu - zaczął. - Ona przyszła.

Pokręciłam głową.

- Zamknij się.

Był to rozkaz, ale nie jego wola. Ciągnął:

- Piłem. Nigdy nie piję, ale próbowałem zapomnieć o tobie.

- Zamknij się!

- Wypiłem dużo. - Słowo „dużo” wymówił z naciskiem. - Pocałowałem ją. Myślałem o tym, że

nigdy z tobą nie będę, i byłem na ciebie zły, myślałem o tobie i Gavinie, i całowałem ją namiętnie. Zdjąłem jej koszulę. Dotykałem jej.

Zamknij się!

Godził we mnie tymi wszystkimi szczegółami jak pociskami.

To były pociski.

- Rozpięła mi spodnie. Ja...

- Zamknij się, zamknij się, zamknij się!

Stałam przed nim, jeszcze zanim sobie uświadomiłam, że w ogóle się ruszyłam. Moje obie ręce rozpały się do prawie nieznośnego stopnia, jakbym miała za chwilę spopielić jakiegoś zombi. Kiedy jednak uniosłam dłoń i uderzyłam Cole'a w twarz, płomienie tryskające z mojej skóry nie były białe, tylko czerwone.

Cole zwałił się na ziemię jak uderzony przez ciężarówkę. Zerwał się szybko na równe nogi, przyglądając mi się teraz nieufnie. Policzek miał rozcięty, ale ponieważ znajdował się w postaci duchowej, rana nie krwawiła. W przeciwieństwie do jego ciała. Mogłam się założyć, że na jego twarzy w stodole pojawiły się szkarłatne smugi.

- Co się z tobą dzieje? - spytał.

Nakarm się nim.

Te słowa rozbrzmiały szeptem w moich uszach i nie dbałam o to, kto je wypowiedział. Zżerał mnie głód, głód bezlitosny. Tak, zamierzałam się nim nakarmić, ucztować na jego duchu. Krzywiąc się, postąpiłam naprzód. Czerwone płomienie przesunęły się ku moim ramionom. Wymierzyłam cios, ale Cole się uchylił. Mógł przypuścić kontratak, mógł zbić mnie z nóg, ale tylko się wyprostował i zacisnął pięści.

- Nie rób tego - powiedział.

Zrób to! Krążyłam wokół niego, ani na chwilę nie spuszczaaliśmy z siebie oczu.

JESĆ!

- No, dalej, dokończ tę swoją opowieść - rozkazałam, robiąc to, czego on nie zrobił, i wysuwając błyskawicznym ruchem nogę. Jego kostki zderzyły się ze sobą i runął na ziemię po raz drugi. Nogawki spodni u dołu spaliły się, ukazując rozcięcie na skórze. Ranę, którą ja zadałam. Moje stopy też były spowite czerwonymi płomieniami. - Pomóż mi się upewnić, że cię nienawidzę.

- Aż tego potrzebujesz? - Wstał. - Rzuciła się na mnie. I wiesz co? Podobało mi się.

Skoczyłam na niego z przeraźliwym krzykiem.

Zrobił unik.

Ponowiłabym atak, lecz moje spojrzenie przyciągnęły fajerwerki eksplodujące na niebie. Jeden za drugim, inni zabójcy wyrzucali z siebie płomienie. Każdy, jak się wydawało, natrafił na zombi.

Nieistotne.

Trzasnęła gałązka.

Mój wzrok powędrował błyskawicznie w lewo i zobaczyłam czerwone oczy wyglądające zza kruchej liściastej gęstwiny.

Wciąż nieistotne.

Cole przysunął się do mnie, chcąc być może ochronić mnie przed zbliżającym się starciem. Kiedy go wyczułam, mój głód wyrwał się spod kontroli. Zawarczałam na niego.

Spojrzał na mnie.

Postąpiłam krok. Kiedy skończę, nic z niego nie zostanie. Świat wokół mnie zaczął się ściemniać, aż w końcu ze wszystkich stron otoczyła mnie czerni.

- Nie! - krzyknęłam.

O, tak.

Chyba A.Z. próbowała przejąć władzę.

Ja - ona - któraś z nas parla do przodu pomimo ślepoty. I potknęła się.

- Ali! - powiedział Cole z trwogą w głosie.

Wydawało się, że czas zwolnił swój bieg, kiedy upadłam. W uszach nie rozbrzmiewał mi żaden dźwięk. Prócz jednego.

Tik. Tak.

Rzeź białej królowej

Otworzyłam oczy i uświadomiłam sobie, że nie mogę złapać tchu. Dlaczego nie mogłam złapać tchu?

Oceniłam sytuację. Stałam. Moje ubranie było podarte i pokrywała mnie od czubka głowy po pięty czarna maź. Miałam szramy na rękach i brzuchu. Drżałam na całym ciele, jakbym godzinami harowała w kieracie, i to pod górkę.

Las wokół mnie padł ofiarą ognia. Drzewa były nagie, ich liście spalone, ich gałęzie pokryte popiołem. Popiołem z zombi? Czy... popiołem zabójców? Ziemia nie wyglądała lepiej – czarna i zwęglona, bez śladu trawy.

Na tej ziemi leżał Cole, żywy. Dzięki Bogu! Skórę pokrywały mu czarne plamy. Ugryziono go wielokrotnie, rysy były boleśnie wykrzywione.

- Ali-gator - wysapał.

Pospieszyłam do niego, a on drgnął odruchowo, jakby sądził, że zamierzam go skrzywdzić.

Zmarszczyłam czoło. Przypomniałam sobie, że wymierzyłam mu cios, a on się uchylił. Opowiadał mi, jak całował Veronicę, jak robili inne rzeczy – nawet teraz dławił mnie ból. Pamiętałam, jak pragnienie, by się nim pożywić, zżerało mnie bez reszty i jak zaatakowałam go bez pardonu. A potem... już nic.

- Tak mi przykro – powiedziałam, wsuwając dłoń pod nogawkę jego spodni. Ampułkę miał przytroczoną do kostki. Wyjęłam strzykawkę i choć drżałam niepowstrzymanie, zdołałam wbić mu igłę w szyję.

Robił mi to niezliczoną ilość razy, ale ja jemu nigdy. Pozostałam przy jego boku, obserwując, czekając. W końcu czerń zaczęła znikać z jego skóry, on sam zaś wyraźnie się odprężył.

Wszelkie rany i zadrapania pozostały. Jego ciało w stodole było zapewne pokryte krwią.

- Co się stało? – spytałam.

- Nie pamiętasz?

Zagryzłam wargę, pokręciłam głową. A.Z. przemówiła do mnie – tak, właśnie tak. O, wielkie nieba! Zdobyła nade mną władzę.

Krzywiąc się, usiadł. Unikał mojego wzroku.

- Miałaś czerwone oczy, Ali, tak jak zombi. Potwory zjawily się i zignorowały cię, jakbyś była jedną z nich. Spaliłaś drzewa i...

Sapnęłam z wrażenia.

- Ja spaliłam drzewa?

- Dotknęłaś ich czerwonymi płomieniami i liście od razu uschły.

Poczułam lzy w oczach, piekły mnie, jakby fermentując, gotowe wzbierać tygodniami, ale powstrzymałam je siłą woli.

- Zrobiłam ci coś? - Czy zadałam mu jakiegokolwiek obrażenia, które odniósł?

Pokazał rozcięcie na policzku.

- Coś się z tobą dzieje, Ali - zauważył.

A jednak. Zraniłam go.

- Tak - wyszeptałam. Nie mogłam już dłużej milczeć, bez względu na konsekwencje, jakie wiązały się z wyznaniem prawdy. Wiedziałam od dawna, że stanowią zagrożenie, ale nie podjęłam dostatecznych środków, by chronić przyjaciół. - Pan Ankh powiedział, że moja krew jest w porządku, ale to nie może być prawda, Cole. Jestem pełna zombicznej toksyny. Tkwi we mnie i jest żywa. Stanowi część mojej osobowości. Nową część. Widziałam ją. I słyszałam.

Czekałam, aż oczy błysną mu nienawiścią.

Czekałam, aż ujawni się dzika wściekłość.

Musiał mnie teraz zabić. Byłam wrogiem.

- Co jeszcze? - spytał.

Zamrugalam zbita z tropu.

- Pojawiają się pragnienia, mroczne pragnienia, a ja im ulegam. Nigdy bym nie uwierzyła, gdyby nie...

- Co się, u diabła, stało? - rzucił ostro Gavin, który przerwał mi w pół słowa, zbliżając się do nas.

Zdażyłam zauważyć, jak nadchodzą, on i Veronica, od strony drzew, które spaliłam. Może uczyniła to A.Z., lecz moimi dłońmi. Świadomość tego wciąż sprawiała mi koszmarny ból.

Oboje byli tak samo pokiereszowani i brudni jak Cole.

Wyciągnął rękę i ścisnął mi nadgarstek.

- Nie chcę, żebyś pisnęła o tym choć słowo - wyszeptał.

Nie zamierzał powiedzieć innym? Dlaczego? Żeby mnie chronić? Może. Co by się stało, gdyby zabójcy się dowiedzieli, co z nim zrobiłam? Wykluczyliby mnie ze swojego grona. I postąpiliby mądrze.

Dźwignął się na nogi, ciągnąc mnie za sobą.

- Wracajmy do stodoły - powiedział.

- Cole! - Veronica podbiegła do niego, ujęła dłońmi jego poobijaną twarz i zaczęła przechylać

mu głowę to w jedną, to w drugą stronę, by ocenić obrażenia. - Najdroższy, wyglądasz, jakby cię niedźwiedź poturbował. Nic ci nie jest?

Najdroższy.

- Wszystko w porządku. - Wyraźnie zażenowany, odsunął od siebie Veronicę.

Byłam zbyt wykończona, żeby odczuwać w tym momencie zazdrość. Albo żal. Albo tęsknotę. Tak. Zbyt wykończona.

Otarłam wierzchem dłoni piekące oczy.

Rzuciła mi spojrzenie, jakby chciała mnie z miejsca zamordować.

- Myślałam, że odznaczasz się szczególnymi mocami czy czymś w tym rodzaju. Powinnaś była go ochronić.

- Tak - odparłam ze smutkiem. - Powinnam była.

Gavin otoczył mnie ramieniem w zaskakującym geście wsparcia, a ja przytuliłam się do niego. Coraz bardziej oswajałam się z jego bliskością - i nie chciałam zastanawiać się nad tym, co to oznacza. To nie jest romantyczne, powiedziałam sobie, i to było najważniejsze.

- Nie ma się o co kłócić. Cole ma rację. Wracajmy do stodoły.

Cole podszedł do nas, niemal emanując gniewem. Popatrzył na Gavina, potem na mnie, potem znów

na Gavina. Wyglądał jak człowiek zdolny do morderstwa. Na sto procent. Zatrzymał się jednak i ruszył przed siebie.

Tak bardzo chciałam za nim podążyć, dogonić go. Powstrzymałam się i była to dla mnie męka – tak, tak właśnie to odczuwałam – ale nie mogłam ryzykować kolejnej walki. Poza tym musiałam wypatrywać szpiega.

Prowadził nas przez las, Veronica trzymała się tuż za nim. Po drodze spotkaliśmy Szrona i Justina; dokonałam w głowie pewnych obliczeń. Obaj, jeśli chodzi o budowę ciała, bardzo przypominali szpiega, którego widziałam. Ale dotyczyło to także Lucasa. I Gavina.

Poza tym Gavin nosił bandanę.

Szpieg musiał wywodzić się z naszego kręgu. Znał lokalizację stodoły i wiedział, że będziemy dziś w nocy na patrolu. Ale nie chciałam oskarżać żadnego z zabójców. Może i nie ufałam w tej chwili samej sobie, ale ufałam swoim przyjaciółom. Nawet, co dość zaskakujące, Gavinowi.

Pod wieloma względami przypominał Cole'a. Nie wahał się ujawniać swoich przekonań i opinii, patrząc człowiekowi prosto w oczy. Był nieustraszony, nie dbał o konsekwencje.

I wykazywał się niezłomnością, gdy chodziło o bezpieczeństwo przyjaciół.

Miałam się nad czym zastanawiać.

- To, co zamierzam powiedzieć, jest prawdą, i nie dlatego, że tak mówię, jeśli wiesz, o co mi chodzi. W każdym razie lepiej nie mieć w niej wroga - oznajmił cicho Gavin.

- O kogo ci chodzi? O Veronicę?

Skinął głową.

Wzruszyłam ramionami. Miewałam już wcześniej wrogów, ale mogłam przysporzyć ich sobie jeszcze więcej, tego byłam pewna.

- Co faceci w niej widzą, tak przy okazji? To znaczy, jest piękna, ale nic poza tym. - Jak sądzę, pytałam w rzeczywistości o coś innego: co Cole w niej widzi?

Gavin popatrzył przed siebie.

- Jest tak naprawdę bardzo miłą osobą, ale zażdrość zamieniła was obie we wściekłe... Mniejsza z tym. Chcę zachować własne jaja. Tak jak mówiłem, jest bystra i zabawna, a najlepsze to, że daje.

Czy zawsze myślał tylko o seksie?

- Twoje słowa są jak poezja.

Parsknął śmiechem.

- Przyznaję, że chciałbym wziąć ją do łóżka, tak jest od chwili, w której ją poznałem, a ona by mi pozwoliła, jak sądzę, gdyby nie pragnęła tak bardzo odzyskać Cole'a, ale w przeciwieństwie do twojego pana Hollanda nigdy nie zadawałem się z drugim zabójcą. Lubię oddzielać interes od przyjemności. Banał, wiem, ale dzięki temu człowiek nie komplikuje sobie życia. Jestem pewien, że Cole odczuwa to na własnej skórze.

- Ja jestem zabójcą - przypomniałam mu. - A mimo to cały czas namawiasz mnie na randkę.

- I nie jesteś też w moim typie. Albo nie byłaś. Sam już nie wiem, jaki jest mój typ. Opierasz się, a to mnie doprowadza do szału.

- To smutne.

- Takie jest życie.

Przewróciłam oczami, co w jego obecności stało się już u mnie nawykiem.

- Jesteś chyba najdziwaczniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

- Dzięki.

- Nie wydaje mi się, by był to komplement.

- Zgadzam się, żeby się nie zgodzić.

Weszliśmy do stodoły i mój duch uwolnił się z uścisku Gavina, a następnie poleciał do przodu, jakby

przyciągany niewidzialnym sznurem. Przemknęłam przez pomieszczenie i bum!

Dysząc, uniosłam powieki. Siedziałam na krześle, znów w swoim ciele.

Pan Ankh klęczał przed Cole'em, opatrując już jego rany. Tak jak podejrzewałam, Cole był cały we krwi.

Nowa lista rzeczy do zrobienia: znaleźć sposób, by unieszkodliwić zombi w moim wnętrzu. Zabić zombi w moim wnętrzu. I wciąż zrobić to, co okaże się konieczne.

Otworzył oczy i skrzywił się.

- Trzeba założyć ci szwy, synu - oznajmił pan Ankh i zaczął grzebać w swojej torbie lekarskiej.

Poczułam gułą w gardle, kiedy spojrzenie Cole'a napotkało moje. Fiolet przeciwko błękitowi. Zimna maska przeciwko smutkowi.

- Przepraszam - powiedziałam, poruszając bezgłośnie ustami.

Skinął głową i odwrócił wzrok.

Zastanawiałam się, czy teraz, wiedząc o A.Z., zechce wykluczyć mnie ze swojego życia?

Było to lepsze niż śmierć, a jednak równie bolesne.

- Gdzie jest Kat? - spytał Szron. Tak jak Cole, był zalany krwią.

Pan Ankh, nie podnosząc nawet głowy, wyjaśnił:

- Kiedy zaczęłaś krwawić, ona zaczęła wrzeszczeć, więc odesłałem ją do domu.

Musiał jej zagrozić, że więcej się tu nie pojawi, jeśli natychmiast nie zniknie. Byłam tego pewna.

Szron wybiegł na zewnątrz.

- Wszyscy dostali antidotum? - spytał pan Holland.

Ja nie, ale nie zostałam ugryziona. Poprosiłam jednak o swoją dawkę i otrzymałam ją po kilku minutach. Zimny strumień przywrócił mi siły; przestałam drżeć.

- Zombi były wszędzie, człowieku - oświadczył Gavin, wstając. - Nie udało się nam załatwić wszystkich.

- Tak, i zdawało się, że wiedzą dokładnie, gdzie nas znaleźć - rzucił Lucas pod adresem Justina.

Justin zerwał się na równe nogi.

- Nikomu nic nie powiedziałem o dzisiejszym wieczorze. Nie miałem pojęcia, że spotkam się z wami, dowiedziałem się dopiero piętnaście minut temu, kiedy zjawił się Cole i zabrał mnie.

- Słyszałeś kiedykolwiek o komórce? O esemesach?

- Cole obserwował mnie przez cały czas. Naprawdę uważasz, że jakiś zombi jest w stanie odebrać ode mnie telefon?

- Byłeś w szatni sam przez kilka minut. Mogłeś przesłać komuś w Animie wiadomość - rzuciła Trina. - Mogłeś to wszystko zaaranżować.

- Myślicie, że mam też podsłuch? - Gwałtownym ruchem ściągnął koszulę przez głowę, ukazując zwartą, wyraźnie nakreśloną sylwetkę, o jaką go nie posądzałam.

W polu mojego widzenia pojawiła się jakaś dłoń; podniosłam wzrok. Stał przede mną Gavin, oferując mi pomoc. Spletliśmy palce, a on pomógł mi wstać. Nie byłam tak silna, jak sądziłam - niemal ugięły się pode mną kolana. Otoczył mnie ramieniem i podtrzymał.

Usłyszałam gwałtowne szuranie krzesła. Zobaczyłam, jak Cole podnosi się z miejsca, odsuwa pana Ankha i idzie do szatni, po czym zatrząskuje za sobą drzwi z hukiem.

Oczywiście, Veronica pobiegła za nim.

*

Zasypiałam z myślą o tym, jak unieszkodliwić A.Z. Obciąć sobie dłonie? Usunąć wszystkie zęby? Żyłabym, ona zaś nie mogłaby nikogo skrzywdzić.

Niech to będzie plan B.

Obudził mnie sygnał komórki. Wyciągnęłam rękę i zaczęłam macać na ślepo na stoliku nocnym.

- Halo? - wychrypiałam, kiedy już przyłożyłam telefon do ucha. Która była godzina?

- Nie zjawiała się pani na spotkanie, panno Bell.
Doktor Bendari?

Usiadłam gwałtownie. Wymyślny zegar na ścianie wskazywał 5.59. Nastawiłam alarm na szóstą i - mój telefon zaczął wibrować jak na zawołanie. Musiałam szykować się do szkoły.

- Coś mi wypadło - powiedziałam. - Próbowałam zadzwonić, ale miał pan wyłączoną komórkę.

- Konieczny środek ostrożności.

- To znaczy?

- A jeśli pani przyjaciele zabójcy zamierzają mnie schwycić? Mam pani wierzyć bez zastrzeżeń?

Psychologia na wspak? Żarty.

- To ja żywię wątpliwości, doktorze Bendari. Nie mogę wykluczyć, że zamierza mnie pan zamordować.

- Musimy chyba sobie ufać. Wciąż chce się pani ze mną spotkać?

- Tak.

- Dobrze, ponieważ chciałbym usłyszeć o kłopotach, jakie miała pani zeszłej nocy.

Czy to on wysłał szpiega?

- Skąd pan o nich wie?

Wyobraziłam sobie, jak wzrusza ramionami.

- A jak pani myśli? - odparł.

- No cóż, pański człowiek mógł dowiedzieć się o wydarzeniach zeszłej nocy tylko w jeden sposób: będąc na miejscu.

Z drugiej strony rozległ się śmiech pozbawiony humoru.

- Naprawdę? No cóż, powinna pani posłuchać wiadomości porannych.

Wiadomości? Sięgnęłam po pilota i włączyłam telewizor. Na ekranie pojawiły się kolory. Zaczęłam zmieniać kanały i nagle: „...dwadzieścia sześć osób zmarło z powodu syndromu gnilnego” - relacjonowała reporterka. Stała na ulicy, a na pasku u dołu ekranu podawano adres bliski okolicy, w której mieszkał Cole.

Syndrom gnilny: kiedy ludzkie ciało było skażone toksyną zombi. Choć cywile nie mieli pojęcia, że taka jest właśnie przyczyna. Reporterka kontynuowała: „W zeszłym roku dwaj uczniowie z miejscowej szkoły średniej zmarli na tę rzadką chorobę, a obywateli poinformowano, że nie jest ona zaraźliwa. Zaledwie miesiąc temu zmarł starszy mężczyzna. W jaki sposób i dlaczego jest aż

tylu zarażonych? Na miejscu zjawili się przedstawiciele Ośrodka Badań Epidemiologicznych, a domy zamieszkałe przez ofiary objęto kwarantanną”.

Doktor Bendari westchnął z żalem.

- Zginęli ludzie, panno Bell. Ludzie, którzy powstaną z grobów. Do ich domów wkroczyły zombi i pochłonęły każdą cząstkę ich człowieczeństwa, zostawiając po sobie jedynie zło.

- Dlaczego? - Poczułam nagle suchość w ustach.

- Jak?

- Nie każdy dom jest chroniony Linią Krwi.

To się zmieni, pomyślałam, zaciskając palce na kołdrze. Niebawem.

- Zombi ulegają mutacji - wyjaśnił. - Tak jak pani jej ulega. Stają się coraz głodniejsze. Coraz silniejsze. One...

Drzwi otworzyły się z impetem, uderzając o ścianę. Do pokoju wkroczyli pan Ankh i pan Holland. Obaj mieli twarze wykrzywione z wściekłości, której nigdy wcześniej nie okazywali. Serce zabiło mi gwałtownie w piersi, niemal łamiąc żebra.

- O co chodzi? - spytałam. - Co wy robicie?

Doktor Bendari coś powiedział, ale nie zdołałam zrozumieć słów.

- Chodź z nami, Ali - nakazał pan Holland. - Teraz.

Doktor Bendari umilkł.

Poprzedniej nocy Gavin podrzucił mnie do domu, a ja wzięłam prysznic, przebrałam się w koszulkę i bokserki i położyłam do łóżka. Obaj mężczyźni nie patrzyli na nic nieprzyzwoitego, ale mimo wszystko czułam się skrępowana.

- O co chodzi? - powtórzyłam. - Nigdzie nie pójdę, dopóki mi nie powiecie.

Pan Ankh wysunął szczękę.

- Powinnaś coś zobaczyć.

Przerwałam połączenie z doktorem Bendarim i wstałam. Poprowadzono mnie korytarzem, potem schodami w dół, potem następnymi, do samej piwnicy. Powietrze z każdym kolejnym stopniem robiło się coraz zimniejsze i wilgotniejsze, ja zaś czułam, jak moja skóra pokrywa się warstewką lodu - takiego samego, jaki czułam w sobie. Na końcu podziemnego korytarza zatrzymaliśmy się przed pojedynczymi drzwiami. Pan Ankh przyłożył dłoń do nowego czujnika i po chwili błysnęło jasnożółte światło.

Zawiasy się poruszyły, otwierając automatycznie drzwi.

Weszliśmy do laboratorium. Podłoga była cementowa, z odpływami w różnych miejscach. Znajdowały się tu liczne boksy oddzielone zasłonami,

w każdym stało łóżko na kółkach, zaopatrzone w rzemienie na nadgarstki i kostki nóg.

Przełknęłam z wysiłkiem.

Pan Holland wskazał mi krzesło ustawione przed telewizorem.

Usiadłam roztrzęsiona.

- Widziałam już wiadomości.

- Nie o tym zamierzamy rozmawiać. Muszę sprawdzić twoje funkcje życiowe. - Opukując mnie i osłuchując, zadał jedno pytanie. Tylko jedno. - Pracujesz dla Animy?

- Nie! Oczywiście, że nie. - Musiałam powiedzieć mu prawdę, czyż nie? Kolejna pozycja na mojej liście: mówić. Przyznać się do wszystkiego. Modlić się, by było jak najlepiej.

Zatem to zrobiłam. Wyrzuciłam z siebie wszystkie szczegóły dotyczące A.Z., jakie udało mi się zgromadzić.

Kiedy skończyłam, pan Ankh pokręcił głową.

- Niemożliwe. Wciąż jesteś człowiekiem.

- Na razie.

Przyglądał mi się w milczeniu długą chwilę. Potem skrzywił się i wcisnął jakiś guzik na pilocie. Cały ekran telewizora wypełniła jasna zieleń - las! Zobaczyłam las.

- Zostało to nagrane przy użyciu noktowizora - wyjaśnił. - Zainstalowałem tam więcej kamer, niż zdajecie sobie z tego sprawę. Nie zawsze je sprawdzam, ale to rozcięcie na policzku Cole'a było dziwne, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Kiedy go o to spytałem, nie chciał mi nic powiedzieć.

Patrzyłam, jak jedna czerwona linia rzuca się na drugą czerwoną linię i zwała ją na ziemię. Obie pozostały w tej pozycji przez kilka minut, jakby... rozmawiały. Cole i ja - uświadomiłam sobie.

- Jesteśmy duchami. W jaki sposób kamera nas zarejestrowała? - spytałam zaskoczona.

- Specjalna kamera. Specjalny sprzęt.

- Zauważyliście przypadkiem tego osobnika, którego śledziłam?

- Tak, ale podobnie jak ty, jest tylko niewyraźną linią.

Widać było na ekranie, jak Cole wstaje. Rozmawialiśmy. Wstaliśmy. Zaczęliśmy chodzić w kółko. Moje dłonie ogarnęła jaśniejsza czerwień; uderzyłam go. Upadł. Znowu wstał. Stanęliśmy naprzeciwko siebie. Ruszyłam na niego. Zrobił unik.

Przy drzewach pojawiły się jaśniejsze kropki czerwieni. Zombi?

Linia - ja - runęła na ziemię.

Właśnie w tym momencie upadłam i straciłam przytomność. Właśnie wtedy A.Z. przejęła nade mną władzę.

Patrzyłam, jak wstaję i zmierzam w stronę Cole'a. O, nie. Proszę, nie. Podeszłam do niego. Zignorował mnie i rzucił się biegiem w stronę zombi, atakując je zawzięcie. Pospieszyłam za nim. Zamiast mu pomóc, uderzyłam go od tyłu.

Chwyciłam się teraz za brzuch; czułam się tak, jakbym połknęła ostre kawałki szkła. Zombi zaciskały krąg wokół niego, on jednak zdołał odeprzeć ich atak, dźwigając się z ziemi. Ruszyłam na niego znowu, najwyraźniej zamierzając go zranić, ale uskoczył i stanął między mną a potworami. Mógł mnie uderzyć, znokautować albo nawet zostawić na pastwę losu. Byłam zdana na jego łaskę i niełaskę, ale on skupił uwagę na zombi.

W tym momencie się nienawidziłam, szczerze i prawdziwie. Jak mogłam zaatakować w ten sposób Cole'a? W tak krytycznej chwili?

Zombi go okrężały, wyciągały ku niemu ręce. Chwyciłam dwa potwory za ramiona, odciągnęłam je od niego, od mojego celu, i pchnęłam je w stronę drzew.

Zaraz. Może mimo wszystko mu pomagałam.

Z moich rąk wystrzeliły czerwone płomienie, objęły moje ciało. Chwyciłam dwa inne stwory i też je odepchnęłam. Pozbierały się, ignorując mnie całkowicie, i skupiły uwagę na osobie Cole'a. Zmniejszyłam dystans i oparłam dłoń o drzewo – liście w mgnieniu oka przemieniły się w popiół – a drugą chwyciłam jednego z zombi. Nie spopielił się, tylko osunął na ziemię. Pochyliłam się... i wgrzyłam w jego szyję.

Pan Ankh – tu i teraz – stanął przede mną. Szukałam rozpaczliwie jakichś słów, ale bezskutecznie. Ta groza, która mnie ogarnęła, kiedy widziałam, co sama robię, świadomość, że trawiłam zombiczną zgniliznę...

– Panno Bell, nie wiem, czy wierzę w to, że jesteś jednocześnie człowiekiem i zombi i że ta druga strona potrafi się uwidocznić poza twoim ciałem. Ale wiem, że nie mogę się dłużej zgadzać na to, byś mieszkała w moim domu, z moją córką. Chcę, żebyś zniknęła stąd w ciągu godziny.

Pieszczoty i pożegnanie

Poszłam do łazienki i ubrałam się, a potem spakowałam swoje nieliczne rzeczy. Dwie koszule, dwie pary dżinsów, sztylety i dziennik. To wszystko. Nie zabrało mi to dużo czasu. Może z dziesięć minut. Piekły mnie łyzy, ale zapanowałam nad nimi. Nie było mowy, żebym miała płakać z tego powodu. Straciłam już wcześniej dom, i to taki, który kochałam całym sercem.

A to? To nic.

Tylko dlaczego tak bardzo boli?

Chyba zawsze czułam przez skórę, że ten dzień nadejdzie. Zarzuciłam sobie torbę na ramię i wyszłam z pokoju, mijając zimnokrwistego pana Ankha i bezlitosnego pana Hollanda.

Babcia chodziła tam i z powrotem przy drzwiach wyjściowych, jej torba stała na podłodze. Zatrzymała na mnie pełne niepokoju spojrzenie, gdy zbiegłam hałaśliwie ze schodów; wyglądała

tak, jakby postarzała się w ciągu jednej nocy o dziesięć lat. Włosy miała w koszmarnym nieładzie. Bluzka i spodnie były zmięte. Na jej twarzy nie dostrzegłam nawet śladu makijażu.

Ktoś ją obudził i zmusił do pośpiechu.

Zacisnęłam zęby, zauważyłam, że drugie serce w mojej piersi uderza wściekle, i zaczęłam oddychać powoli, by się uspokoić, zanim odezwie się głód.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Co jej powiedziano? Zmusiłam się do słabego uśmiechu.

- Panuję nad sobą. A ty?

- Och, wszystko w porządku. - Spojrzała na pana Ankha i zmrużyła oczy. - Co się dzieje? Dlaczego pan nam to robi?

- Pozwolę pani wnuczce wyjaśnić wszystko. Ale nie musi się pani martwić. Nie wyrzucam was na ulicę. Wynająłem wam dom w waszej dawnej okolicy. Adres został już wgrany do GPS-a w waszym samochodzie.

Nie podobało mi się, że za wszystko płaci, i chciałam odmówić. Nie zrobiłam tego. Na razie. Postanowiłam korzystać z jego pieniędzy, dopóki nie znajdę sobie czegoś - naszego własnego domu,

takiego, na który będziemy mogły sobie pozwolić. Takiego, którego nigdy nie zdołałby nam odebrać.

Wzięłam torbę babci. Podczas gdy starała się zrozumieć za wszelką cenę to, czego nie powiedział pan Ankh, wyprowadziłam ją na zewnątrz. Jej sedan czekał na podjeździe, kluczyki tkwiły już w stacyjce, silnik powarkiwiał.

Rzuciłam nasze bagaże na tylne siedzenie i przypięłam się pasem na fotelu pasażera. Babcia usiadła za kierownicą i kilka minut później mknęłyśmy po autostradzie.

- Powiedz mi, co się dzieje - odezwała się z drżeniem w głosie. - Proszę. Ostatnio czułam się jak Reeve, która wyczekiwała niecierpliwie odpowiedzi, ale żadnej nie otrzymała. Nie ma cię przez cały czas, przyzwyczałam się już do tego, ale jak siedzisz w domu, to jesteś naburmuszona i błędzisz gdzieś myślami, bywasz nawet porywcza. A teraz ludzie, którzy mieli ci pomóc w twojej sprawie, nie chcą mieć z tobą nic wspólnego.

- Babciu, porozmawiam o tym z tobą, obiecuję. Tylko nie w samochodzie. - Wiedziałam, że usłyszawszy to, co miałabym jej do powiedzenia, jeszcze bardziej by się zdenerwowała. Samochody i wytrącenie z równowagi kierowcy - to nie było dobre połączenie.

- Ali.

- Proszę.

- W porządku. Ale gdy tylko znajdziemy się w domu...

Dziesięć minut później dotarliśmy na miejsce. Zaparkowała na podjeździe jednopiętrowego budynku w kształcie litery C - czerwona cegła i okna z białymi żaluzjami. O krok od dawnego domu babci, zdecydowanie nowszy, ale zimniejszy - i rudera w porównaniu z rezydencją Ankha. Weź się w garść.

Zataszczyłam torby do salonu, zdziwiona, że wewnątrz jest puste - i zdziwiona swoim zdziwieniem. Co? Spodziewałam się, że facet zadba o nasz styl? Ściany pomalowano na śmiałe, jasne kolory. Czerwień. Błękit. Zieleń. Zakładałam, że wokół posesji nakreślono Linie Krwi, ale nie zamierzałam opierać się wyłącznie na przypuszczeniu. Postanowiłam, że porozmawiam z babcią, a potem wezmę się do roboty.

- Ali - zwróciła się do mnie babcia. Głos się jej lekko załamywał.

Spokojnie.

- Zostałam pogryziona - wyjaśniłam. - Dostałam antidotum, które pomogło, ale nie zniszczyło toksyny. Robię straszne rzeczy. Niebezpieczne rzeczy.

Staje się tym, czego najbardziej nienawidzę. Pan Ankh boi się o Reeve. I babciu... boję się o ciebie. Myślę, że byłoby lepiej, gdybym...

- Nie! - przerwała mi, kręcąc gwałtownie głową. Podeszła do mnie i chwyciła za ramiona. - Nie zamieszkasz gdzie indziej czy co tam zamierzałaś mi powiedzieć. Jesteś moją wnuczką i kocham cię. Zostaniemy razem, a ja ci pomogę.

Poczułam, jak drży mi broda. Nie zasługiwałam na życzliwość tej kobiety.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - spytała.

- Z początku nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. A potem... - Jezu, trudno było to przyznać. - Za bardzo bałam się tego, co się może stać.

- Och, Ali.

Dotknęłam jej dłoni.

- Jeśli kiedykolwiek zrobię coś, co cię wystraszy, albo moje oczy zmienią kolor na czerwony, albo będę ci się przyglądała za długo, uciekaj. Uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

Potrząsnęła mną lekko.

- Nie staniesz się zombi, młoda damo. Nie pozwolę ci na to.

Roześmiałam się bezwiednie. Żałowałam, że brakuje mi jej pewności siebie.

Nachyliłam się i objęłam ją.

- Dzięki za to, że mnie kochasz. I naprawdę przykro mi z powodu tej odwołanej kolacji. Gdybym dotrzymała obietnicy, ostatnia noc nigdy by się nie... No cóż, teraz to bez znaczenia. Po prostu bardzo mi przykro.

- Nie myśl o tym więcej, laseczko. Masz obowiązki. Wiem o tym.

Laseczko? Znowu się roześmiałam. Babcia uwielbiała być na bieżąco ze slangiem, ale dała sobie spokój po śmierci dziadka. Świadomość, że znów stara się poskładać swoje porozbijane życie, zachwyciła mnie.

- Słuchaj, babciu... - Usiadłam na blacie, który oddzielał salon od kuchni. - Wiedziałaś, że ten dziennik, który mi dałaś, dotyczy bez wyjątku zabijania zombi?

Zrobiła wielkie oczy.

- Nie, nie miałam pojęcia.

- Czy ktokolwiek w naszej rodzinie... No, nie wiem, mówił o niewidzialnych potworach, których nikt inny nie mógł zobaczyć? Albo trafił do domu dla obłąkanych?

- No cóż. - Wlepiła wzrok w swoje pantofle. - Moja matka była alkoholiczką, bredziła o nocnych istotach, które chcą za wszelką cenę ukraść jej duszę. Tata zabronił nam rozmawiać o jej stanie z kimkolwiek; nie było z tym problemu, bo ta sytuacja nas zawstydziała. Oczywiście, kiedy zaczęłam chodzić z dziadkiem, przychodził do mnie czasem w tajemnicy i... no cóż. - Odchrząknęła. - Mniejsza z tym. Był raz świadkiem jej pijaństwa.

Zabójcy. Ze strony mojej mamy. Jak mogłam o tym nie wiedzieć?

Ilu zabójców miało swych przodków po stronie matki i ojca?

- To był jeden z powodów, dla których upieraliśmy się z dziadkiem, żeby twoja matka trzymała się z dala od twojego ojca. Och, Ali, powinnam była się domyślić, że oboje mieli ze sobą coś wspólnego. Uważałam, że moja matka to tylko zwykła pijaczka, że nic się za tym nie kryje. A potem, oczywiście, tata też zaczął pić, a resztę już znasz.

Tak, znałam. Nienawidzili oboje z dziadkiem mojego ojca, nigdy go nie zaakceptowali. Nie winiałam ich za to wtedy i nie winiałam teraz. Zdarzały się dni, kiedy sama taty nienawidziłam.

- Jak umarł twój pradziadek? - spytałam.

- Zniknął pewnego dnia. Tak w każdym razie mi powiedziano, kiedy dostałam ten dziennik.

Hm. Zniknął. Przypomniałam sobie pewien fragment.

„Niektórzy zabójcy potrafią dostrzec przelotnie przyszłość. Niektórzy widzą Linie Krwi i dostrzegają nasze sanktuaria. Niektórzy, ugryzieni jeden raz, potrafią niszczyć zombi pojedynczo, potem parami. Coś, co zawiera się w ich duchu, infekuje zombi i przechodzi na kolejne jak choroba zakaźna, bez jakiegokolwiek działania zabójcy. Niektórzy tego nie potrafią. Niektórzy potrafią wszystko. Potrafię wszystko. Dlatego wiem o wojnie, która nadchodzi. Dlatego wiem, że ani jeden zabójca - czy cywil - nie przeżyje, chyba że zrobi się coś więcej. Dlatego wiem, co należy zrobić. Muszę umrzeć”.

A potem, kilka rozdziałów dalej, napisał: „Jesteś gotowa oddać życie, by ocalić innych? Czy zdawałaś sobie sprawę, że umieranie to jedyny sposób, by żyć naprawdę?”.

Czy poświęcił własne życie, żeby ocalić innych? Czy umarł, by żyć naprawdę?

Jeśli tak, to świetnie. Wspaniale. Ale co to wszystko znaczyło? Nie wiedziałam wcześniej i z pewnością nie wiedziałam też teraz.

Uaktualniłam swoją listę. Módl się o to, co najlepsze. Miej nadzieję, że odpowiedzi spłyną na ciebie niczym krople deszczu.

Usłyszałam na zewnątrz pisk opon. Trzask drzwi.

Niestety żadne okno domu nie wychodziło na podjazd, nie mogłam więc zobaczyć samochodu. Czy też osoby, która z niego wysiadła, żeby wbiec na ganek i załomotać do drzwi.

- Ali! - zawołał jakiś głos. - Właśnie się dowiedziałem!

Serce podjechało mi prawie do gardła. Cole? Nie wykluczył mnie ze swojego życia?

Pobiegłam do drzwi wejściowych i otworzyłam je. Wpadł do środka i zatrzymał się przede mną. Przyjrzał mi się uważnie, ja jemu też. Miał przekrwione oczy - z pewnością nie spał. I pokiereszowaną, posiniaczoną twarz, szwy odcinały się ostro od skóry. Ubranie było zmięte, musiał wciągnąć je na siebie w pośpiechu.

- Nie powiedziałem im słowa - zapewnił.

- Wiem. Mieli nagranie.

Uniósł brew w odruchu zdziwienia.

- Widziałaś, co się stało?

Skinęłam głową, nie mogąc ukryć narastającego wstydu.

Ujął moją twarz, kładąc mi dłonie na policzkach, jakby wciąż miał prawo mnie dotykać. Poczułam, jak drży mi broda. Nie! Nigdy więcej łez! Zwalczyłam chęć, by się do niego przytulić, by oprzeć mu głowę na ramieniu i wchłaniać jego siłę. Odsunęłam się, przerywając ten chwilowy kontakt.

Z jego twarzy zniknęła łagodność.

- No dobrze. - Babcia odchrząknęła znacząco, po czym wzięła torbę i kluczyki do samochodu. - Jadę do sklepu po kilka niezbędnych rzeczy. Musicie sobie wyjaśnić pewne sprawy.

- Niczego nie potrzebuję - zapewniłam ją.

Pocałowała mnie w policzek, poklepała Cole'a po ramieniu i zostawiła nas samych.

- Porozmawiam z Ankhem - oznajmił Cole, zamykając starannie drzwi.

- Nie, nie rób tego. Jestem na niego wściekła za to, co zrobił babci, ale ze mną to inna sprawa. Rozumiem go. Zaatakowałam cię, Cole. Próbowałam wyssać życie z twojego ducha.

- Nie obchodzi mnie to.

- No cóż, mnie obchodzi.

Zbył moje słowa lekceważącym gestem dłoni.

- Nie byłaś sobą.

- A inne rzeczy? Ugryzłam cholernego zombi. Bóg jeden wie, jakie spustoszenia to we mnie

spowodowało albo jak skażona jestem w tej chwili. Nie wiem, co robić albo jak wyzdrowieć. Nie mam pojęcia. To znaczy w dzienniku napisano, że potrzebuję ognia, ale próbowałam tego i nic się nie stało, a teraz mój ogień jest czerwony. Słyszałeś, co powiedziałam o skażeniu?

- Zaraz, chwilę. Próbowałaś uleczyć się ogniem?

Oho!

- Próbowałaś tak naprawdę zabić zombi - siebie. A my co? Mieliliśmy znaleźć twoje popioły, nie zastanawiać się więcej, co się wydarzyło, i dalej robić swoje?

- Już zaczęliście robić swoje - odparowałam. - I wiedzielibyście, co się stało. Zostawiłam list.

Zmrużył groźnie oczy, podchodząc do mnie. Cofnęłam się. Był tak wysoki i tak dobrze zbudowany, że górował nade mną pod każdym możliwym względem.

- Jestem w tej chwili na ciebie wściekły. Nie wiem nawet, co powiedzieć.

Chwycił mnie w tali, wytrącając tak bardzo z równowagi, że nawet nie zaprotestowałam, i posadził na blacie szafki. Potem rozsunął mi nogi i przybliżył się, patrząc mi w oczy z bezdenną determinacją.

Jego żar otaczał mnie z wszystkich stron, nieodparcie cudowny. Po raz pierwszy od chwili, kiedy pan Ankh i pan Holland wpadli do mojego pokoju, zrobiło mi się ciepło.

Skoncentruj się.

- Wydawało mi się, że postępuję słusznie.

- Źle ci się wydawało. I nie jesteś skażona.

- Jestem. - Położyłam mu dłonie na ramionach. Żeby go odepchnąć czy przyciągnąć bliżej? Nie zapomniałam, co robił z Veronicą, i nie wiedziałam, czy mogłabym kiedykolwiek zapomnieć. - Posłuchaj. Staram się trzymać od ciebie z daleka. Tego właśnie chciałeś i tego sama bym chciała. Utrudniasz to.

W jego oczach pojawił się żal.

- Wiem. Ale nie odejdę, dopóki się nie upewnię, że nic ci nie jest i że rozumiesz, że nie jesteś skażona.

Tak. To był chłopak, z którym kiedyś chodziłam. Zatroškany. Miły. Gotów walczyć o to, by ze mną zostać.

Chciałam go odzyskać.

Nie mogłam go odzyskać. Nie na zawsze.

- Przykro mi, ale nie rozumiem i nie zrozumieć czegoś takiego. Mój tata był zabójcą i jak wszystko na to wskazuje, mama także, choć o tym nie

wiedziała, a wszyscy znamy powiedzenie „tym boleśniejszy upadek”. Przy wszystkich moich zdolnościach...

- Hej, możemy sobie podać ręce. Moja mama też była zabójczynią.

- Oboje, twój ojciec i matka, byli zabójcami? Rany. Okay. Nie spodziewałam się tego. Myślisz, że dlatego mieliśmy wizję?

- Może. Gavin jest jedynym znanym mi zabójcą, który pochodzi z takiej rodziny. Z drugiej strony nigdy nie mieliśmy wizji. Do pewnego momentu. Związanego z tobą.

Zatkało mnie.

- Mielicie wizję?

Skinął sztywno głową.

Wbiłam mu niemal paznokcie w skórę.

- Kiedy? Co widzieliście?

Położył dłonie na blacie, przy moich udach, jakby bał się, że może mnie dotknąć.

- Widzieliśmy... ciebie. Weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia, a ty przybiegłaś, kiedy nas zauważyłaś. Uśmiechnęłaś się i rzuciłaś mu się w ramiona. Jego ramiona. Nie moje. Wybrałaś go i nawet zaczęłaś całować cholernie namiętnie na moich oczach.

- Kiedy doszło do tej wizji? - spytałam nieustępliwie.

- Tamtego ranka, kiedy zerwałem z tobą. Tak bardzo się o ciebie martwiłem, tak się wkurzyłem, a potem on się pojawił, nasze spojrzenia się spotkały i doszło do tego. Do wizji. - Oparł czoło o mój mostek. - To było okropne, Ali. Zareagowałem tak, jakbyś mnie zdradziła. Chciałem zabić Gavina, i nie jest to żadna przenośnia. Chciałem tobą potrząsnąć, potem cię pocałować, a potem zmusić do obietnic, których, jak jestem pewien, nie potrafiłabyś dotrzymać.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Mogłam sobie wyobrazić ból i poczucie zdrady, których doznał - bo i ja bym ich doznała.

- Mieliście kolejną wizję?

- Nie.

Wydawało mi się, że odrzuciłam teorię o emocjonalnej ścianie, ale... ściany mogłyby runąć, gdyby się o mnie troszczył, a potem znowu wyrosnąć, kiedy pałałby do mnie gniewem. Jeśli tak, oznaczało to, że moje ściany też się waliły. Przynajmniej z Gavinem. Jak należało to rozumieć?

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? - spytałam.

- Nie powiedziałem ci o wielu rzeczach - odparł złowrogo.

- Na przykład?

- Na przykład... - Zanurzył palce we włosy i zaczął szarpać nimi nerwowo. Roześmiał się gorzko.

- Dlaczego nie? To, co dotąd zrobiłem, pogorszyło tylko sytuację. Jestem nieszczęśliwy. Ty jesteś nieszczęśliwa. Dlaczego nie spróbować nowej ścieżki?

- Cole! Proszę. - Moja cierpliwość była już w strzępach.

Zamknął oczy.

- Jest między nami szpieg - oznajmił beznamiętnie.

- Wiem. Widziałam go.

- Nie. W naszej grupie. - Przygwoździł mnie spojrzeniem, które ujawniało jego wzburzenie. - To jeden z nas. Ktoś, komu ufamy. Wiem o tym od pewnego czasu.

- Tyle to i ja wiem. Pytam ponownie: dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Chwileczkę. Skąd wiesz?

- Emma.

- Powinienem się być domyślić. - Odetchnął głęboko. - Nie powiedziałem ci, ponieważ nie chciałem narażać czyjegoś dobrego imienia, nie

mając twardego dowodu. Nie chciałem też, żebyś podejrzewała wszystkich i popsuła sobie relacje z zabójcami, którzy ledwie zaczęli cię akceptować. A gdyby szpieg zorientował się, że coś podejrzewasz? Co by się wtedy z tobą stało? Znajdowałabyś się w bezustannym niebezpieczeństwie. Ktoś bardzo chciałby cię uciszyć.

Nie potrafiłam spierać się z jego logiką.

- Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

- Twoje relacje z innymi już legły w gruzach. Ankh i mój ojciec pokażą wszystkim to nagranie. Chcą, by wiedzieli, dlaczego należy cię unikać.

I słusznie, tak było lepiej, ale mimo wszystko bolała mnie świadomość, że za jednym zamachem stracę ludzi, na których mi zależało.

- Skąd wiesz o tym szpiegu?

- Justin zadzwonił do mnie i powiedział, że ktoś przekazuje informacje tym z Anima Industries. Informacje, które mógł posiadać tylko ktoś z naszego wewnętrznego kręgu. O tym, kiedy się spotykamy. O obrażeniach, jakie odnieśliśmy. O naszych rozmowach.

Justin zadzwonił do niego. Zastanawiałam się, jakimi jeszcze kłamstwami uraczył mnie ten chłopak o wielkich piwnych oczach.

- Chodzi o to, że... nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł to robić którykolwiek z zabójców.

- Ja też nie. Ale ktoś to robi i muszę ustalić kto, zanim sprawy zajdą za daleko, a moi przyjaciele oberwą.

- A jeśli Justin gra na dwie strony? Jeśli powiedział ci to wszystko, licząc na to, że przyjmiesz go z powrotem? Mógł udawać, że chce pomóc, a w tajemnicy uprawiać sabotaż.

- Skąd miałby informacje, których nie powinien mieć, zanim przyjąłem go z powrotem?

- Szpiegował nas z zewnątrz, zanim zaczął szpiegować od środka.

- Obserwowałem go i nawet podsuwałem fałszywe informacje - oznajmił poważnie. - Dotąd nie połknął przynęty i niczego nie przekazał. A tak przy okazji, wspomniał, że pytałaś go, czy z nim rozmawiałem, i że udał głupiego, ponieważ uważał, że tak właśnie bym wolał.

Sprytne posunięcie, był szpiegiem czy nie był. Zabezpieczał się na wszystkie strony.

- Dlatego zaprzyjaźniłaś się z Veronicą? Szpiegowałaś ją?

- Z początku tak, owszem.

Zmrużyłam oczy, serce zabiło mi żywiej.

- A potem zaczęłaś wierzyć, że pasujecie do siebie.

Objął mnie i przytrzymał mocno, jakby się bał, że ucieknę.

- Tak.

Przez chwilę naprawdę chciałam uciec. Ale nie uciekłam. To, co zrobił, zdruzgotało mnie i zostawiło głęboką ranę, którą należało wypalić.

- A potem... obściskiwałaś się z nią.

Wytrzymał bez zmrużenia powiek moje spojrzenie, pomimo bólu, który dostrzegałam w tych fioletowych oczach.

- Tak. Ale nie powiedziałem ci wszystkiego.

- I nie chcę, żebyś mówił - przerwałam, kładąc palec na jego ustach. Miękkich, tak miękkich ustach. Zadrżałam. Nie! Żadnego drżenia! - Nie ma potrzeby. Nie jesteśmy razem. Co tu właściwie robisz, Cole?

Odsunął mój palec od ust i popatrzył na niego, jakby mógł tam znaleźć lekarstwo na wszystkie swoje choroby.

- Nie wiem. - Spuścił głowę, sprawiając wrażenie zawstydzonego, ale wciąż trzymał mnie za palec. - Po prostu nie potrafię chyba stać z boku. Jesteś jak magnes, który mnie przyciąga. A ty? Powinnaś wrzeszczeć na mnie, obrzucać mnie wyzwiskami,

mówić mi, żebym poszedł do diabła i nigdy nie wracał. Czemu tego nie robisz? - spytał niemal gorzko.

Ponieważ, wbrew wszystkiemu, podobało mi się, że tu jest.

Głupia dziewczyna.

- Chcesz, żebym wrzeszczała? - spytałam, nabierając powietrza w płuca. - Zrobię to.

Pokręcił głową i popatrzył na mnie spod gęstych, ciemnych rzęs.

- Jest na to za późno. Zamierzam cię pocałować, Ali.

Pocałować... Tak... Nie!

- Pościeliłeś już sobie łóżko.

- Wiem. Ale wciąż chcę, byś w nim była.

Tak po prostu. Przebudziła się we mnie każda komórka ciała, dążąc ku niemu. Łaknąć go rozpaczliwie. Tak długo byłam spragniona, a on był moją wodą. Zawsze.

Ostatni raz, pomyślałam. Tylko raz. To będzie jak zatrzaśnięcie drzwi. Koniec.

Koniec, raz na zawsze.

- To... nie będzie nic znaczyło - wyszeptałam.

Co ty wyprawiasz?

Z chaosu moich myśli wynurzyła się nagle Rozsądna Ali.

W tym momencie nienawidziłam jej. Potrzebowałam tego i nie zamierzałam się z nią spierać.

- Mam nadzieję - powiedział. Przypominało to głuchy pomruk.

Przywarł wargami do moich ust, nieskończenie miękko, powoli, smakując każdą chwilę, jakby mógł wywołać upragnioną reakcję albo był gotów zrobić wszystko, by ją wywołać.

Wystarczyło.

Płomyk, który zawsze się tlił między nami, eksplodował w oszalałe inferno. Zaatakowałam jego język swoim, a on odpowiedział tym samym. Żadne z nas nie było delikatne ani łagodne. Przywarłam do niego z całej siły, żądając więcej, biorąc więcej. Biorąc wszystko.

Nie miałam dość.

Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę miała dość.

Przesunął dłońmi po moich włosach, zaciskając palce na kosmykach tuż przy skórze głowy i odchyłając ją do tyłu, by móc głębiej wnikać w moje usta. W tym momencie posiadał mnie całkowicie.

Przeszłość przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Byłam dziewczyną, która cierpiała głód,

a on był czymś więcej niż wodą. Był miodem. Pochłaniałam go, nie mogąc się nim nasycić.

- Jesteś taka cudowna - wyszeptał ochryplym głosem. - Smakujesz tak cudownie. Tęskniłem za tobą. Muszę cię mieć. Szybko. Szybko. Nie odsyłaj mnie.

- Zostań.

Moja krew musowała energią. Szarpałam mu koszulę, tak mocno, że rozrywałam materiał. Zatoczył się do tyłu. Separacja. Nie. Zeskoczyłam z szafki, żeby podążyć za nim, potem pchnęłam go na podłogę i usiadłam na nim.

Nasze języki spotkały się z jeszcze większą siłą. Brałam więcej i dawałam więcej, i było to dzikie, nieokiełznane, ale wciąż za mało. Smakował miętą i truskawkami, moimi dwoma ulubionymi przysmakami - potrzebowałam więcej. Był twardy, ja byłam miękka i każdy punkt styczności emanował elektrycznym żarem - pragnęłam zapłonąć.

- Dotknij mnie - zażądałam.

Przewrócił mnie na plecy, przygwoździł do dywanu swoim muskularnym ciężarem, jego dłonie przesuwaly się po mnie gorączkowo. Lizałam go po szyi, wchłaniałam jego zapach.

Tak. Tak!

Pochylił się do następnego pocałunku, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i zmarszczył czoło.

- Twoje oczy. Są czerwone.

W jednej sekundzie groza stłumiła płomień. Groza i strach, strach tak odrażający. Wypełzłam spod niego, potem odczołgałam się na większą odległość.

- Trzy... trzymaj się ode mnie z daleka. Musisz trzymać się z daleka.

- Ali - powiedział, wyciągając do mnie ręce. - Nie skrzywdzę cię. Chcę ci pomóc.

O, wielkie nieba.

- Odejdź - rozkazałam, z trudem się powstrzymując, by nie kopnąć go w rękę. Już raz go zaatakowałam. Nie chciałam dawać sobie drugiej szansy. - Idź do szkoły, zanim ci wpiszą spóźnienie.

Opuścił pięści wzdłuż boków.

- Szkoła jest dziś zamknięta. Rano znaleziono dwadzieścioro sześcioro martwych ludzi, wśród nich było trzech uczniów. Nie są z twojej klasy, więc podejrzewam, że nigdy ich nie poznałaś - dodał pośpiesznie. - Mówi się, że syndrom gnilny jest teraz zakaźny i że sieje spustoszenie

w Birmingham. Obowiązują środki ostrożności, dopóki się nie ustalą, jak się rozprzestrzenia.

Ruszył w moją stronę zdeterminowany.

- Nie! - krzyknęłam, cofając się, aż trafiłam na ścianę. Po policzkach ściekały mi gorące łzy. Chyba nie byłam w stanie zapanować nad płaczem.
- Odejdź! Proszę!

Upłynęła długa chwila, zanim wstał. Popatrzył na mnie z góry, na jego twarzy malowały się różne emocje. Wcześniejszy żal. Gniew. Tęsknota.

- Jestem kompletnie zagubiony - wyznał.

Łzy płynęły teraz obficie, szybciej.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Myślałam, że możemy być przyjaciółmi. Nie możemy. Nie chcę cię więcej widzieć. Idź i nigdy nie wracaj.

Wszyscy tu jesteśmy szaleni

Kilka następnych tygodni upłynęło jak we mgle. Nie przestawałam już z zabójcami i nie miałam ochoty patrolować ulic na własną rękę. Załatwiłam więc sobie pracę na pół etatu w kawiarni przy swojej ulicy, zdecydowana zarobić jak najwięcej, zanim... No cóż. Pracowałam od środy do niedzieli, od piątej do dziesiątej. Chodziłam tam i wracałam do domu, a czasem zdarzało mi się natknąć na jakiegoś zombi. Inni pracownicy lokalu byli mili z początku, ale w końcu dostrzegli moje wyobcowanie i niebawem stracili ochotę na przyjacielskie stosunki.

Minęło Święto Dziękczynienia, a ja sobie uświadomiłam, że moja lista rzeczy do zrobienia przestała mnie całkowicie interesować. Żyłam z minuty na minutę.

Babcia próbowała wyciągnąć mnie z tej „ochronnej skorupy”, niech Bóg jej to wynagrodzi, ale za

bardzo zamknęłam się w sobie. Poza tym nienawidziłam tego święta. Zjawiła się Emma, na pół godziny, ale nie mama, tata ani dziadek. Nie mogli. Obchodzenie tego uroczystego dnia bez nich wkurzało mnie koszmarnie.

Szkoła zaczęła się kilka dni po ataku „choroby”. Nikt więcej na nią nie zapadł i lekarze wciąż nie potrafili niczego wyjaśnić. Zastanawiałam się, czy zabici przemienili się w zombi i czy zabójcy musieli mordować ludzi, których znali.

Zastanawiałam się, ale ani razu o to nie spytałam.

Reeve unikała mnie, jakbym się zaraziła trądem, i choć tak było lepiej – tego właśnie chciałam, tego potrzebowałam – sprawiało mi to ból.

Zabójcy też trzymali się ode mnie z daleka. Zwłaszcza Szron. Nie mógł pogodzić się z tym, co zrobiłam Cole’owi, i teraz toczył wojnę z Kat, ponieważ nie zgodziła się zerwać ze mną przyjaźni.

Wyznałam wszystko dziewczynie, dla jej własnego bezpieczeństwa, wyjaśniłam, że Szron się po prostu o nią martwi i że lepiej, jeśli go posłucha i przestanie się ze mną spotykać; po raz pierwszy w trakcie naszej znajomości wściekła się na mnie.

– Jesteś moją przyjaciółką – powiedziała. – To dla mnie coś znaczy.

- Tak, ale dlaczego mnie lubisz? - spytałam. - Nie jestem nikim szczególnym.

- Nikim szczególnym? Wszyscy śmieją się z miłości od pierwszego wejrzenia, ale wierz mi, Ali, to właśnie do ciebie poczułam. Miłość, nie sympatię. Jesteś siostrą, której nigdy nie miałam, lecz zawsze chciałam mieć. W dniu, w którym się poznałyśmy, kiedy weszłam do twojego pokoju szpitalnego, zobaczyłam przestraszoną, bladą dziewczynę o najbardziej w świecie znękanych oczach. Straciłaś wszystkich, a ja to rozumiałam. Ja też musiałam pochować swoją mamę, swój świat. Może więc wyświadczysz mi przysługę i pomyślisz o tym, dlaczego mnie kochasz, albo czy w ogóle kochasz.

- Nie muszę się zastanawiać. Kocham twoją lojalność, poczucie humoru, uśmiech, odwagę, bezwarunkową akceptację mojej osoby, wsparcie, oddanie, optymizm, twoje... wszystko.

Roześmiała się i objęła mnie, a potem wypowiedziała dziesięć drobnych słów, których nie potrafiłam wybić sobie z głowy:

- Dobrze. A teraz mi powiedz, co zamierzasz zrobić z Cole'em.

Cole...

Co zamierzałam z nim zrobić? Zjawił się u mnie kilka razy, przynosząc prezenty. Wypchanego aligatora. Obiad z mojej ulubionej knajpki serwującej hamburgery, oddalonej o godzinę drogi. Ochronną obwolutę na dziennik mojego praprapradziadka.

Co on sobie wyobrażał?

Miałam wątpliwości, czy sam to wie.

Za każdym razem ciskał we mnie niemal gniewnie prezentem i odchodził.

Gavin zjawił się dwukrotnie, ale nie otworzyłam mu drzwi. Chciał rozmawiać ze mną o naszej wizji, a ja nie bardzo wiedziałam, co mu powiedzieć.

Nakreśliłam Linie Krwi wokół nowego domu. Urządziłam też siłownię w garażu, gdzie ćwiczyłam na bieżni mechanicznej i macie zapaśniczej, które babcia kupiła w sklepie z używanymi rzeczami. Im dłużej zachowywałam ludzką naturę, tym dłużej bym żyła. Taką w każdym razie miałam nadzieję.

Nie słyszałam już szeptów, dzięki Bogu, ale nie śmiałam też patrzeć w lustro. Próbowalam dodzwonić się do doktora Bendariego, posługując się nowym numerem w pamięci telefonu. Znowu niedostępny – zaklęłam w duchu.

- ...słuchasz mnie w ogóle? - spytała Kat.

Zamrugalam, wyrwana z zamyślenia. Stała po drugiej stronie maty zapaśniczej. Miałam w pracy

wolne, więc po szkole zawiozła mnie do domu, gdzie postanowiłyśmy popracować nad samoobroną.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Ostatnio łatwo się rozpraszam. Może byłoby lepiej, gdyby to Szron cię szkolił.

Zdesperowana rozłożyła ramiona, jakby chciała nimi objąć całe pomieszczenie.

- Słyszycie to? - zwróciła się do pustych ścian. - Ali, wiesz przecież, że nigdy więcej nie będę z nim rozmawiać, zgadza się? Codziennie każe mi trzymać się od ciebie z daleka.

- Próbuje cię chronić - przypomniałam jej.

- No cóż, znam lepsze sposoby. - Odwinęła taśmę z kostek dłoni. - Chodź. Umyjemy się i ruszemy w miasto. Mam ochotę cię ukarać za twoją niezmienną negatywność.

- A jak to zamierzasz zrobić?

- Zobaczysz.

No cóż, dobrze w takim razie. Jakbym mogła jej czegokolwiek odmówić - nawet prawa do ukarania mojej osoby. Skorzystałam z prysznicza babci, a Kat z mojego. Ostatnio ćwiczyłyśmy tak intensywnie, że zawsze przynosiła ze sobą ubranie na zmianę.

Znalazłyśmy babcię w kuchni.

- Udało ci się ją namówić, żeby poszła gdzieś indziej niż do szkoły albo pracy? - zwróciła się do Kat. - To cud.

Pocałowałam ją w policzek. Objęła mnie i tuliła przez długą chwilę, jakby nie chciała mnie w ogóle wypuścić, jakby wiedziała, że gasnę z wolna. Kiedy mnie w końcu uwolniła z ramion, zauważyłam, że ma łzy w oczach.

- Babciu... - wyszeptałam, czując ucisk w krtani. Nie mogłam znieść myśli, że ją ranię.

- Idź - powiedziała, machając ręką. - Zabaw się. Raz w życiu zachowaj się jak nastolatka.

Wsiadłyśmy z Kat do jej samochodu i ruszyłyśmy na północ. Niebo było tego dnia szare, słońce kryło się za ciężkimi chmurami. Nie pozwoliłam sobie na poszukiwania królika. Nie chciałam wiedzieć.

Zadzwoiła moja komórka. Spojrzałam na ekran, ale numer był mi nieznany. Zagryzłam wargę, pełna nadziei.

- Halo - odezwałam się z drzeniem w głosie.

- Chce się pani umówić na kolejne spotkanie, panno Bell?

Doktor Bendari.

Wydałam niemal okrzyk ulgi.

- Gdzie pan był?

- Poza krajem, jeśli koniecznie chce pani wiedzieć. Ma pani dla mnie odpowiedź?

- Tak. Owszem, chcę się umówić na spotkanie.

- Uda się pani tym razem?

- Tak.

- To dobrze. Teraz, skoro uwolniła się pani od chirurga, mogę przyjechać po panią o północy.

Zawsze wiedział o każdym moim ruchu. W jaki sposób? Jego człowiek, kimkolwiek był, nie mógł mnie chyba śledzić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda?

- Okay - odparłam. - Będę gotowa.

- Do zobaczenia. - Klik.

- Kto to był? - zainteresowała się Kat.

- Pamiętasz SUV-a, który jechał za nami tamtego dnia, kiedy byliśmy z Reeve na zakupach?

- Ten, w którego rzuciłaś nożem? Nie. Całkiem zapomniałam.

Dobre.

- Ten starszy facet dał mi swoją wizytówkę. Zadzwoniłam do niego. On oddzwonił. I tak dalej. Umówiliśmy się na spotkanie.

Kat wyraźnie pobladła i zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Ali, nie znasz tego człowieka.

- Tak, ale wiem, że potrzebuję pewnych odpowiedzi, a on może mi ich udzielić.

- Odpowiedzi na temat... mrocznej strony?

- Tak - odparłam cicho.

Poklepała mnie po kolanie.

- Poradzisz z tym sobie. Wiem i już. Jesteś silna. Straciłaś tak wiele i będziesz walczyła z całych sił, żeby nie stracić więcej.

Chciałam jej wierzyć, ale nadzieja szybko mnie opuszczała.

Zaparkowała przed...

...Collector Park, jak sobie uświadomiłam. Był wtorek, zbliżała się pora kolacji i panował diabelny chłód. Drzewa świeciły nagością, ale zauważyłam ławki, huśtawki i pomniki. Stało tam też przyprawiające o dreszcz mauzoleum.

- Jak ma wyglądać ta kara? - spytałam, odpinając pas. - Chcesz, żebym się rozebrała i zaczęła biegać?

- Zobaczysz - powiedziała śpiwnym tonem.

Wysiadłyśmy na podmuchy ostrego zimowego wiatru; zadrżałam. Ktoś przyozdobił ścieżkę prowadzącą z parkingu do parku ozdobami bożonarodzeniowymi.

Kolejne święta, i to niedługo. Przynależałam sobie, że tym razem pójdzie mi lepiej i że babcia spędzi

ze mną cudowne chwile. Oczywiście, musiałabym kupić jej prezent. Także Kat. I może Cole'owi.

Nie, Cole'owi nie.

Kat ujęła mnie za łokieć i pociągnęła.

- Coś nie tak? Twoja twarz wygląda ściągliwie.

- A jest takie słowo? Ściągliwie?

- Jeśli nie ma, to powinno być. I nie myśl, że nie wiem, że uniknęłaś mojego pytania. Zdaję sobie sprawę, że się denerwujesz w związku z tym, co zaplanowałam. Patrz. - Wskazała jakieś miejsce za wzgórzem.

Wyrwał mi się jęk. Na ławce siedziała Reeve, obok niej Ethan. Oboje rozmawiali i śmiali się, szczęśliwi, że są razem.

- Czasem musisz stawić jej czoło - oświadczyła surowo Kat.

- Nie jest zainteresowana odnowieniem znajomości - wyszeptalam.

- Tylko dlatego, że jej tata powiedział, że nie znosiłaś mieszkać u nich i domagałaś się więcej miejsca.

Co zrobił?

No cóż, to zmieniało postać rzeczy, prawda? Ruszyłam zdeterminowana przed siebie.

- ...polubisz ją - mówiła właśnie Reeve. - Wszyscy ją lubią. Sam ją spytaj - dodała z pełnym czułości śmiechem.

Ethan podniósł wzrok, zobaczył mnie i zeszywniał.

- W czym mogę pomóc?

Zignorowałam go, zwracając się do Reeve:

- Cześć, Reeve.

Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, i drgnęła.

- Ali - oznajmiła, kiwając niechętnie głową. A gdy obok mnie stanęła Kat, dodała: - Kat. Myślałam, że przyjdiesz sama.

Kat wzruszyła ramionami.

- Ludzie myślą, że będę robić różne rzeczy. To nie znaczy, że je robię.

Ethan wstał z ławki. Miałam ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, on tylko odrobinę mnie przewyższał. Włosy mierzwił mu wiatr, a z twarzy trudno było coś wyczytać.

Wyciągnął do mnie rękę.

- Jestem Ethan. Miło cię poznać.

Uścisk jego dłoni był miękki, jakby chłopak się bał, że może mi zrobić krzywdę.

- A mnie miło poznać ciebie. Jestem Ali.

Zwrócił się do Kat i jej też uścisnął rękę.

- Reeve tyle mi o was opowiadała - powiedział, siadając z powrotem na ławce.

Kat usiadła obok niego, ale ja nadal stałam, podejrzewając, że Reeve dostałaby ataku nerwowego, gdybym wkroczyła na jej teren.

- Słuchaj, przepraszam, że wyprowadziłam się bez pożegnania. - Nie podobało mi się, że mówię to w obecności faceta, którego nie znałam, ale nie miałam pojęcia, kiedy nadarzy się druga okazja. - I nie zrobiłam tego, żeby uciec od ciebie. Podobało mi się mieszkanie z tobą pod jednym dachem.

Jej oczy zapłonęły mrocznym ogniem.

- Chcesz powiedzieć, że mój tata jest kłamcą?

Tak!

- Mówię tylko, że chronił cię przed prawdą.

- A jak dokładnie wygląda ta prawda?

Ethan patrzył to na mnie, to na nią.

Milczałam. O pewnych sprawach wciąż nie mogłam mówić.

- Oczywiście. Jeszcze więcej tajemnic - mruknęła, a ogień w jej oczach przygasł, stłumiony przez urazę. Spojrzała na Ethana. - Widzisz? Z tym muszę się mierzyć każdego dnia. - Wzięła torebkę i wstała. - Chodźmy, Ethan.

Zachowaj spokój.

- Proszę, nie odchodź.

Ethan ujął klapy jej kurtki i przyciągnął ją do siebie gestem zakochanego chłopaka.

- Jest twoją przyjaciółką, kochanie. Musiałem cię pocieszać, kiedy płakałaś, opowiadając mi o niej. Zostań i wysłuchaj jej do końca.

To wsparcie zaskoczyło mnie.

- Hej, Eth... nie masz nic przeciwko temu, żebym nazywała cię Eth, prawda? - spytała Kat. - Może będziesz mnie eskortował w drodze nad staw? Chcę zobaczyć kaczki, ale będę potrzebowała kogoś, kto mnie osłoni, jeśli staną się agresywne.

Spojrzał na Reeve, potem na mnie. Jakby rozważał wszystko, co mogłoby pójść nie tak, i starał się przedsięwziąć środki ostrożności. W końcu skinął głową.

- Z przyjemnością - powiedział i zaoferował Kat ramię.

Oboje się oddalili; Ethan dwa razy się odwrócił, by sprawdzić, czy z jego dziewczyną wszystko w porządku.

Wzdychając, zajęłam jego miejsce i zdjęłam torbę z ramienia.

- Słuchaj, Reeve, wyprowadziłam się, ponieważ... jestem chora. Naprawdę, naprawdę chora, zdarzają mi się ataki... Nie wiemy do końca, co się dzieje, a twojemu tacie zależy na twoim bezpieczeństwie.

Mnie zależy na twoim bezpieczeństwie. To nie jest zakaźne ani nic w tym rodzaju, ale... tak jest lepiej.

Jej twarz z miejsca złagodniała.

- Och, Ali, nie miałam pojęcia. Przykro mi.

- Mnie też.

- Szkoda, że nie wspomniałaś mi o tym nawet słowem. Zaproponowałabym ci, żebyś została. - Poklepała mnie po głowie. - Nie obchodzą mnie żadne ataki i wiem, że mojego ojca też by nie obchodziły, gdybym z nim porozmawiała.

- Nie - odparłam, kręcąc głową. - Proszę, nie rozmawiaj z nim. Nie rozmawiaj o tym z nikim.

- Ale...

- Twój tata będzie wściekły, że powiedziałam ci tak dużo i...

- Dlaczego będzie wściekły? - przerwała mi. - Chyba że chodzi o coś więcej. I pewnie chodzi. Nie bez powodu Bronx tak się zachowuje. Nie bez powodu moi przyjaciele kładą się spać bez jakichkolwiek obrażeń, ale budzą się pokryci ranami. Nie bez powodu mój tata urządził jakiś koszmarny loch pod domem. Nie bez powodu toleruje tatę Cole'a, człowieka, którego kiedyś nienawidził.

Pan Ankh i pan Holland nienawidzili się kiedyś?

- Posłuchaj, Reeve...

- Nie. Jestem już zmęczona tym, że tkwię w ciemności, Ali. Tak bardzo zmęczona. Potrzebuję oświecenia. Łaknę go. Stało się moją obsesją.

Ciemność. Światło.

Kłamstwa. Prawda.

- Jeśli ci powiem, to być może zatęsknisz za dniami szczęśliwej niewiedzy, i chyba tego twój tata obawia się najbardziej. - Wówczas jednak dowiedziałaby się ostatecznie, co czai się w świecie, i mogłaby podjąć pewne środki, by się chronić. Środki, których pan Ankh nigdy by nie zdołał jej zapewnić.

- Proszę - powiedziała.

- Pozwól, że się nad tym zastanowię - odparłam.

- Mogłabym przysporzyć paru osobom kłopotów.

Było to więcej, niż kiedykolwiek zaproponowałam, ona zaś skinęła z wdzięcznością głową.

- Ethan wydaje się miły - oznajmiłam, kierując rozmowę na inne tory.

- Tak, rzeczywiście - przyznała, nie naciskając mnie więcej, a ja odczułam ulgę.

Nie towarzyszyło jednak temu marzycielskie westchnienie ani uśmiech.

- Czuję, że za chwilę pojawi się jakieś „ale”.

Przygarbiła odrobinę ramiona.

- Naprawdę mnie lubi. Jest słodki i troskliwy. W zeszłym roku zmarła mu matka, a teraz jego siostrzyczka walczy z białaczką, nauczył się więc doceniać życie i przeżywać każdy dzień w pełni, ale nie mogę wybić sobie z głowy pewnej osoby. Wiesz, kogo mam na myśli.

Tak.

- Wierz mi, rozumiem to. Jeśli chodzi o Cole'a, czuję to samo.

Usłyszałam chrząknięcie Kat.

- Jesteśmy... hm, z powrotem. Ethan tęsknił za swoją dziewczyną.

Reeve drgnęła z poczucia winy; na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Dogadałyście się? - Ethan usiadł obok Reeve i przytulił ją, obdarzając swoim ciepłem. Gdyby usłyszał jej słowa o Bronksie, to podejrzewam, że zachowałby się inaczej.

- Tak - odparła.

- Dzięki Bogu - oznajmiła Kat. - Był już najwyższy czas i, zupełnie poważnie, należą mi się słowa uznania za inicjatywę.

Ethan kiwnął głową i pocałował Reeve w skroń.

- Zgadza się.

Było jasne, że mu na niej zależy, i mogłam zrozumieć, dlaczego wybrała właśnie jego. Pomimo jej

uczuć wobec Bronxa, mogli stworzyć coś normalnego. Żadnych sekretów. Ani nocnych walk z nie całkiem umarłymi. Ani podejrzenia każdego napotkanego człowieka o nieczystą grę. Ani obawy, czy drugie wróci wieczorem do domu, czy zostanie zjedzone.

Głodna... tak głodna...

Kiedy te słowa zaszeptały w mojej głowie, zerwałam się na równe nogi i odwróciłam, szukając, próbując zgnieść ten paciorek paniki. Panowałam przecież nad emocjami. To nie powinno się stać.

- Coś nie tak? - spytała zaniepokojona Kat.

Głodna, głodna, głodna.

GŁODNA.

Ranić. Niszczyć. Zabijać.

Wkrótce...

- Ali, twoje oczy - powiedziała.

Nie! Łapałam spazmatycznie oddech, odsuwając się od nich niepewnym krokiem. Reeve wstała z miejsca, wyciągając do mnie ręce. Ethan załapał ją za nadgarstek i zmusił, by stanęła za nim, jakby mi nagle wyrosły rogi, szpony i ogon. Może rzeczywiście tak było.

GŁODNARANIĆNISZCZYĆZABIJAĆWKRÓTCE.

Szepty... Tak głośne... Zlewające się ze sobą, przywołujące, przyciągające.

Kat wyjęła komórkę i zaczęła pisać. Wiadomość do Szrona, żeby się zjawił i mi pomógł?

- Nie. Nie rób tego - zaprotestowałam, próbując obrócić się w lewo. W jakiś sposób straciłam władzę nad swoim ciałem i skręciłam w prawo. Moje stopy poruszały się same, bez udziału mózgu. Zbliżałam się coraz bardziej do tego niesamowitego, przyprawiającego o gęsią skórę mauzoleum, a szepty się nasilały. Byłam pewna, że moje bębniuszki uszne pękną, niezdolne znieść dłużej tej bezustannej kakofonii. - Strzykawka. Torebka.

Zatrzymałam się przy podwójnych drzwiach.

GŁODNARANIĆNISZCZYĆZABIJAĆWKRÓTCE!

Pochyliłam się, aż nie mogłam posunąć się już dalej i mój duch oddzielił się od ciała, odrywając się ode mnie z bolesną siłą, jakby popchnięty. Zimne powietrze wewnątrz budynku niemal zmroziło mi skórę.

RANIĆWKRÓTCE!

GŁODNA!

Niewielka zamknięta przestrzeń była ciemna i wilgotna, ale pachniała kwiatami polnymi i blaskiem słońca. Przesunęłam się w bok i w tym momencie otworzyło się chyba z tysiąc czerwonych oczu, by śledzić mój ruch. Zachłysnęłam się z przerażenia.

Właśnie znalazłam gniazdo zombi.

Zombi wracają do miasta

Szok przywrócił mi zmysły. Moje ciało, z taką samą łatwością, z jaką zostało pchnięte, cofnęło się teraz po zderzeniu z duchem.

Obok mnie stała Kat, ciągnąc mnie za rękę. Potknęłam się o jej stopy i upadłam, uderzając kolanami o zimną, twardą ziemię. Czułam w nozdrzach uporczywą woń rozkładu; zapach dzikich kwiatów i słonecznego blasku zniknął.

- Szron już tu jedzie - oznajmiła. - Zajmie się wszystkim.

- Odejdź. Torebka. Strzykawka. Daj.

- Co się z nią dzieje? - spytała drżącym głosem Reeve. - Wiem, że jest chora, ale była tylko w śpiączce!

- Chora? - spytał Ethan.

- Robi się agresywna - wyjaśniła rozkojarzona Reeve.

- Agresywna - powtórzył jak papuga.

- Cofnij się! - krzyknęłam, odpychając Kat od siebie. Gdybym pomogła zombi... Gdybym skrzywdziła swoich przyjaciół... - Odejdź! Błagam! - zawołałam ochryłym głosem. Nie chciałam już, by traciła czas na poszukiwanie antidotum w mojej torebce. - Błagam.

Ethan odciągnął ode mnie protestującą Reeve. Uwolniła się i ruszyła w moją stronę, ale złapał ją czym prędzej, przerzucił przez ramię i zabrał do samochodu.

Niszczyć. Zabijać.

Głodna.

Wkrótce.

Zimno.

Te słowa odgrywały w mojej głowie koszmarną pieśń. Chciałam wstać, ale ciemniało mi w oczach.

- Uciekaj, Kat! - rozkazałam. - Uciekaj i nie oglądaj się. To się dzieje. Najgorsze.

Bliskość zombi musiała sprowokować A.Z.

- Nie zostawię cię. Ja... Rany! Co ty wyprawiasz, Ethan? Puść mnie!

Włókł ją do samochodu?

Tak było. Zapiszczały opony. W górę trysnął żwir. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale wyczuł niebezpieczeństwo, dojrzał prawdę w słowach

Reeve o agresji i zareagował odpowiednio. Pomyślałam, że będę musiała mu podziękować.

Leżałam na ziemi, tam gdzie upadłam. Dobywał się ze mnie chrapliwy oddech, paląc mi płuca, krtań. Czy miałam tu zostać i spróbować się uspokoić?

Żartujesz? Wstawaj! Walcz! Zombi zabiły mi rodzinę, a moją życiową misją był odwet.

Co więcej, gdyby pojawiły się tu zombi, a w pobliżu znajdowali się niewinni ludzie...

Podciągnęłam kolana do piersi i wyprostowałam się z wolna. Chwiałam się, ale zdołałam zachować pozycję wyprostowaną.

Owinęłam zeszywniałe palce wokół rękojeści sztyletów, które wystawały z moich butów; metal zaśpiewał, ocierając się o skórę, kiedy dobyłam ostrzy. Ciemność napierała uparcie, zamykając się wokół mnie; zamrugałam szybko. Nagle ukazały się małe kropki koloru - wszystkie czerwone.

Zombi pojawiły się jednak.

Tuż obok załomotały pospieszne kroki; zeszywniałam. Owionął mnie silny podmuch, potem jeszcze jeden, potem znowu. Nie wiedząc, jak blisko są potwory, zatoczyłam ręką łuk, trafiając tylko powietrze.

- Ali. - Głos Cole'a dotarł do mnie ułamek sekundy po tym, jak zostałam rzucona na ziemię.

Wypuściłam sztylety z rąk i straciłam resztki oddechu. Uderzyłam głową o kamień, a moją czaszkę przeszył ostry ból.

- Przepraszam, przepraszam - rzucił pośpiesznie Cole.

Próbowałam usiąść, ale przygwoździł mi ramiona do ziemi, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

- Zostaniesz tutaj. Inni zajmą się zombi.

Wokół nas wybuchła wrzawa jęków i powarkiwań. Toczyła się walka, dobro przeciwko złu, światło przeciwko ciemności.

Powinnam pomagać. Powinnam... hm, Cole pachniał jak niebios. Woń rozkładu przygasała, a zapach tego chłopaka był rześki i jasny, nieskażony, cudownie czysty i im głębiej go wdychałam, tym bardziej mi się podobał. Tym bardziej ciekła mi ślinka.

Taka głodna.

Czułam przemożną pustkę w żołądku, czułam, jak jego skurcze zamieniają się w małe ostrza brzytw. Moje spojrzenie skupiło się na pulsie Cole'a. Promieniał i wibrował, przemawiając do mnie: „Posmakuj. Mnie. Posmakuj. Mnie”.

Tak, pomyślałam. Uniosłam głowę, musnęłam nosem jego szyję. Był ciepły, a ja zimna. Zimniejsza niż kiedykolwiek.

- Co ty robisz, Ali? - spytał ostrym tonem.

Obnażyłam zęby, chcąc za wszelką cenę go ugryźć. Będzie smakował.

Jego mocne palce chwyciły mnie za szczękę, nie pozwalając otworzyć ust.

- Nie chcesz tego zrobić. Jesteś kimś lepszym.

Lepszym? Nie byłam lepsza. Byłam głodna, a on nie pozwalał mi jeść. Chciałam jeść! Warcząc, wyzwodziłam się z jego uścisku.

- Ali. Obiecałaś mi kiedyś, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Pamiętasz?

Znieruchomiałam. Tak, obiecałam mu, z całego serca, a nienawidziłam kłamać.

Głęboki wdech. Potem wydech. Jasność ogarniająca umysł.

- Możesz nad tym zapanować. I możesz zapanować nad nią.

Nad nią. Nad A.Z.

Przypomnienie sobie kim - i czym - była, stanowiło ostrzeżenie, którego potrzebowałam.

Walcz z nią.

Rozpoczęła się próba woli. Jej i mojej. Byłyśmy odrębne i nadszedł czas, by to udowodnić.

- Dobra dziewczyna. - Przesunął opuszkami palców po moim czole, a ja poczułam strumień ciepła, głód zaś ulotnił się całkowicie.

Jak on to zrobił?

Ciemność. Światło.

Znowu odczułam moc tych słów.

Nagle poczułam, jak Cole sztywnieje.

- Och! - rzucił nagle, a potem z jego ust dobył się wianuszek mrocznych przekleństw.

Usłyszałam szelest ubrania, suchy dźwięk metalu uderzającego w kość.

Próbowałam wstać, by uświadomić sobie po chwili, że Cole zostawił swoje ciało leżące na mnie, podczas gdy jego duch ciął zombi gotowego go wykończyć. Jednym ze sztyletów dźgnął potwora w obojczyk, wykonał półobrót i drugim ostrzem poderżnął przeciwnikowi gardło.

Zombi padł na ziemię, a jego głowa oddzieliła się od ciała. Cole wyciągnął rękę, jego palce zasyczały ogniem. Przyłożył dłoń do piersi wroga. Upłynęła jedna sekunda, druga, trzecia, nie wiem, ile jeszcze, straciłam rachubę, płomienie zaczęły skakać w górę i w dół, aż objęły każdy centymetr ciała zombi.

Bum!

Ciało eksplodowało i w powietrze wzbil się istny deszcz popiołu.

Cole uczynił to samo z głową, wciskając ją twarzą do ziemi, by zakryć zęby. Potwór wciąż żył i próbował go ugryźć.

Bum!

Znowu chmura popiołu.

Wyprostował się i zachwiał. Ogień w jego dłoni przygasł. Kolana ugięły się pod nim; runął na ziemię. Zebrałam siły i zrzuciłam z siebie jego ciało, po czym podpełzałam do jego ducha. Nie dostrzegłam ran... zaraz, chwila. Spodnie były rozdarte na wysokości kostek. Obróciłam się i dostrzegłam ślady zębów na ciele i czarną maź, którą zombi zawsze po sobie zostawiały.

Załkałam. Ugryziono go, ponieważ ktoś odwracał jego uwagę. Ja.

- Tak mi przykro - powiedziałam. Ostatnio dość często zdarzało mi się to mówić.

- Antidotum - wychrypiał.

Tak, oczywiście. Podczołgałam się z powrotem do jego ciała, znalazłam strzykawkę w tylnej kieszeni i wróciłam do niego. Tyle że igła i moja dłoń przeniknęła przez jego ciało. Dlaczego? - ponieważ znajdował się w postaci duchowej, a ja cielesnej.

Próbowałam uwolnić swojego ducha, ale przytrzymały mnie silne ręce, tak jak wcześniej, zamykając wewnątrz ciała. Niech to diabli!

Wydało mi się, że słyszę w głębi czaszki radosny chichot.

A.Z. śmiała się ze mnie.

Przyszło mi do głowy, że mogę sporządzić nową listę. Krótką, zawierającą tylko jeden punkt. ZABIĆ JĄ.

Rozglądając się, dostrzegłam innych zabójców. Gavin ciął dwa zombi jednocześnie. Veronica pojawiła się od tyłu i unieszkodliwiała przeciwników, atakując ich kostki. Szron też atakował; przyłożył rozjarzoną dłoń do piersi stwora, tak jak uczynił to Cole. Bronx walczył z każdym, kto próbował dopaść nieruchomego chwilowo Szrona.

Nie mogłam odwracać ich uwagi. Musiałam zrobić to sama i istniał tylko jeden sposób. Znów zbliżyłam się do ciała Cole'a. Wsunęłam mu rękę pod pachy i zaczęłam go ciągnąć po trochu, centymetr za centymetrem, w stronę ducha, który związał się teraz z bólu. Był taki ciężki, potykałam się przy każdym kroku. W końcu zdołałam przybliżyć się na tyle, żeby wyprostować mu rękę i połączyć cielesne palce z duchowymi.

Drżąc, dźwignęłam się na kolana i wbiłam mu igłę głęboko w szyję.

Wygiął się w łuk, plecy oderwały się od ziemi. Potem osunął się z powrotem.

- Dzięki - powiedział, dysząc ciężko.

Przycupnęłam przy nim, chroniąc go od dalszych ataków. Ale upłynęło mnóstwo czasu od chwili, w której pospieszyłam mu z pomocą, i bitwa dobiegła już końca. Gavin wyprostował się, popiół z ostatniego stwora opadał już wokół niego.

Veronica powróciła do swego ciała, stała się jednością i podbiegła do Cole'a, żeby go podnieść.

- Nic ci nie jest, kochanie?

Znowu to słowo, kochanie. Chciałam ją odsunąć od niego.

Nie odsunęłam.

- Wszystko w porządku. - Po chwili dodał bardzo cicho: - Nie nazywaj mnie tak. Okay?

Zbladła. Potem popatrzyła na mnie złym wzrokiem i wyrzuciła z siebie:

- To, że cię poznał, jest najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przytrafić. Uświadomiłaś to już sobie?

Nie chciałam wdawać się z nią w dyskusje. Nie mogłam też odpierać jej zarzutów, prawda?

- Jeśli nie odczepisz się od niego, to go zabijesz, a ja... ja cię... - Najwyraźniej trzymała się dotąd na smyczy, ale teraz ta smycz pękła. Rzuciła się na mnie z gardłowym pomrukiem, przewracając na plecy i wymierzając cios.

Przyjęłam go i wykorzystując resztki energii, wysunęłam nogi i odepchnęłam ją. Zatoczyła się do tyłu, a jej pięść trafiła mnie w brodę. Przetoczyłam się pod wpływem siły uderzenia i dźwignęłam na nogi. Zaczęłyśmy krążyć wokół siebie.

- Zrobię...

- Nic - przerwał jej Cole, podnosząc się z ziemi. - Nic nie zrobisz, Veronica.

- Proszę, powiedz mi, że nie obchodzi cię już ta dziewczyna - wydyszała. - Po tym wszystkim, co zrobiła. - Kiedy jej nie odpowiedział, zbladła i popatrzyła na mnie. - Nie wiem, czy jesteś człowiekiem, czy zombi, czy jednym i drugim, Ali Bell, i mam to w nosie. Nie przynosisz niczego dobrego Cole'owi ani nikomu innemu, więc może wyświadczyć nam wszystkim przysługę i się odsuniesz? Albo umrzesz. Opowiadam się za tym drugim.

- Dość tego! - krzyknął Cole.

Chciałam umrzeć. Wszystko, co powiedziała Veronica, brzmiało przekonująco. Tym ludziom byłoby o wiele lepiej beze mnie. Cole zdołałby

walczyć. Nie zostałyby ugryziony. A dzień jutrzejszy? Co mogłoby się stać? Zdawało się, że jestem żywą bombą zegarową. Nigdy nie wiedziałam, co zrobię za chwilę albo kogo skrzywdzę. Pewnego dnia mogłam detonować i zabić przy okazji wszystkich, którzy mnie otaczali.

- Zombi są martwe. Gdzie jest Kat? - spytał nagle Szron. Stał niedaleko ode mnie, ubranie miał podarte i zachlapane czarną mazią. Jego ciemnoniebieskie oczy dobrze oddawały znaczenie jego przydomka - pokrywał je lód.

Cole stanął obok mnie i objął w zdumiewającym i szokującym geście wsparcia. Uwielbiałam jego ciepło, jego zapach i jego siłę i nie pragnęłam niczego innego, jak tylko je chłonąć, ale odsunęłam się od niego.

Może i wspierał mnie w tej chwili, ale wiedziałam, że nie trwałoby to wiecznie. Wkrótce by tego pożałował i robił sobie wyrzuty, że nie trzymał mnie na dystans.

Uniósł brodę, w każdym jego mięśniu uwidaczniało się napięcie.

Udawałam, że nie zwracam na niego uwagi; wzięłam swoją torebkę i zaaplikowałam sobie antidotum.

- Kat - warknął Szron.

- Ethan - odparłam. - Jest z Ethanem Hamiltonem.

Szron znieruchomiał jak drapieżnik, który dostrzegł właśnie najsmakowitszą ofiarę.

- Kto to jest Ethan?

- Przyjaciel Reeve. Wiem, gdzie mieszka. - Bronx był równie potargany, równie zbryzgany mazią, równie drapieżczy. - Cole?

- Idźcie - zezwolił, a obaj chłopcy nie potrzebowali dalszych słów zachęty.

Gavin przysunął się do mnie.

- Podwieźć cię, Ali?

- Ja ją zabiorę. - Cole stanął przy mnie po raz drugi, ale czym prędzej zbliżyłam się do Gavina.

- Nie. On mnie zawiezie - oznajmiłam i ruszyłam przed siebie. Unikanie Gavina nie miało sensu. Nie namawiał mnie na rzeczy, których nie powinnam była robić. Z nim mogłam zachować spokój.

Wiedziałam, że nie stanę się zagrożeniem.

Cole znieruchomiał raptownie; zmrużył oczy i zaczął wodzić między nami wzrokiem. Nie wiedziałam, jak Gavin zareagował na tę sytuację, a ja nie byłam zainteresowana na tyle, żeby mu się przyglądać. Wciąż wlepiałam spojrzenie w Cole'a. Czułam, jak pęka mi serce.

- Tak jest lepiej, pamiętasz? - powiedziałam cicho.

- Dla kogo?

Dla ciebie.

- Dla nas obojga.

Potarł się po karku i skierował lodowate teraz spojrzenie na pozostałych.

- Widzimy się w stodole - oznajmił.

Trina skinęła głową, nie podnosząc nawet wzroku. Lucas wysunął w milczeniu kciuki do góry. Veronica podeszła do Cole'a, ale on odsunął ją bardzo łagodnie.

- Porozmawiamy o tym później, Ronny.

Jej twarz zdradzała głębokie rozczarowanie.

Oddalił się. Dwa razy się obejrzał i spojrzał na mnie, a szczelina w moim sercu pogłębiła się jeszcze bardziej.

Czy nic nie mogło się układać normalnie?

Tirli Bom i Tirli Bim - bliźniaki głuptaki

- Nie musisz wracać? - spytałam Gavina, otwierając drzwi wejściowe. - Dziś w nocy może dojść do istnego zatrzęsienia zombi. - Choć nie zauważyłam króliczej chmury podczas jazdy do domu. Tak, tak, w końcu się załamalam i popatrzyłam w niebo.

- Wątpliwe. Obudziłaś gniazdo. To jedyny powód, dla którego te zombi wyszły akurat wtedy.

Stałam w otwartych drzwiach i obróciłam się do niego. Zagradzał mi drogę rozłożonymi ramionami.

- No cóż, nie musisz zająć się nakreślaniem Linii Krwi wokół domów niewinnych ludzi?

Wykrzywił nieznacznie usta.

- Zajmują się tym pan Ankh i pan Holland. No dobrze, nie zaprosisz mnie do środka?

Jasne. Zaprosić? Nigdy.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale...

- Dobra. Nie bądź więc niegrzeczna. - Podniósł mnie i odsunął na bok. - Spędzę z tobą resztę wieczoru, a potem przekimam się na twojej kanapie.

Poirytowana, weszłam za nim do domu. Sądził, że pobiegnę i oddam się szaleństwu zabijania?

Jakbyś mogła go winić.

- Przykro mi, ale nie mamy kanapy. - Kupowałyśmy z babcią meble po jednej sztuce, wtedy kiedy udało się nam znaleźć coś taniego i jednocześnie trwałego, i dotąd miałyśmy zaledwie dwa łóżka i stół.

- Hm, jesteś tego pewna? - spytał wyraźnie rozbawiony.

- Może nie - odparłam sucho. - Ja tu tylko mieszkam.

Zamknęłam drzwi na klucz i przygwoździłam go gniewnym spojrzeniem.

- Spokojnie, spokojnie. Nie patrz tak na mnie - powiedział, ujmując mnie pod brodę. - Widziałem nagranie i wiem, do czego jesteś zdolna, ale wiem też, że chciałaś ugryźć Cole'a tamtej nocy... i tej. Wyraz twoich oczu, to, jak oblizywałeś wargi... Zauważyłem to u zombi. Ale koniec końców? Nie zrobiłaś tego. Za pierwszym razem zaspokoiliś głód, walcząc z zombi, a dzisiaj zdołałaś jakoś nad

sobą zapanować. Doceniam ten rodzaj siły, jakiej to wymagało.

Miał rację, jak sobie uświadomiłam. A.Z. mnie kontrolowała, pogrążała mój umysł w mroku, a mimo to miałam dość mocy, by się jej oprzeć. Poczułam, jak rozkwita nadzieja, po raz pierwszy od wielu dni, piękna niczym kwiat otwierający się w słońcu. Może nie byłam ostatecznie takim zagrożeniem, jak sądziłam.

- Jeśli wiesz, na co mnie stać, to dlaczego chcesz tu zostać? - spytałam, machając ręką w stronę... umeblowanego i przystrojonego pokoju. Zmarszczyłam czoło i skoczyłam do drzwi. - Babciu! - zawołałam.

- Ali, kochanie, już jesteś. - Splatając dłonie, pojawiła się w korytarzu. - O, nie. Jesteś ranna. Co się stało?

- To, co zwykle - wyjaśniłam, potem wskazałam nowe meble. - Ile to wszystko kosztowało?

Zaczęła się bawić brzegiem bluzki.

- Nie martw się o to. Narzuciłam sobie określony budżet i trzymałam się go.

- Babciu...

Wyraz mojej twarzy zdradzał zapewne to, co myślę, bo powiedziała:

- Wiem, że chcesz oszczędzać na nasz własny dom, ale ja z kolei nie chcę, żebyśmy żyły tymczasem jak jakieś biedaczki.

Okay. W porządku. Jeśli pragnęła mieć to wszystko, to mogłam się z tego tylko cieszyć.

Uściskałam ją i pocałowałam w skroń.

- Wygląda wspaniale, babciu. Poważnie.

- Cieszę się, że tak uważasz. Zaczekaj, aż zobaczysz swoją sypialnię - oznajmiła z uśmiechem.

Gavin chrząknął znacząco, a babcia spojrzała ponad moim ramieniem.

- Och, przepraszam, Gavin, nie wiedziałam, że tu jesteś. Miło cię znowu widzieć. - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, otwierając przy tym szeroko oczy. - Chyba spotkało cię to, co zwykle, jak moją Ali.

- Tak, proszę pani, bez wątpienia.

Przełknęła z wysiłkiem.

- Byli z wami też inni? I wszyscy przeżyli?

- Nie tylko przeżyli. Wygraliśmy. - Zdjął płaszcz i przerzucił go sobie przez ramię. - Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu. Nie marzę o niczym innym, jak tylko o tym, żeby przygotować kolację w dowód wdzięczności za to, że pozwolisz mi spać na swojej kanapie.

Zaraz. Ten podrywacz z wielkiego Południa znalazł się na gotowaniu?

Babcia patrzyła mi w oczy przez ułamek sekundy, a jej usta przybrały kształt litery O.

- Zostaniesz tu na noc?

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Będę się zachowywał przyzwoicie, ma pani moje słowo.

- Czy wy dwoje...

- Nie - pospieszyłam z wyjaśnieniem, a Gavin oznajmił niemal jednocześnie:

- Dyskutujemy o tym.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Lepiej jeśli pozostaniemy na stopie przyjacielskiej.

- W takim razie dobrze będzie mieć tu mężczyznę - zauważyła babcia, znowu splatając dłonie. - Kupiłam półkę na książki i nie poradziłabym sobie z jej złożeniem.

- Zrobię to - zaproponował. - Zawsze szukam okazji, by stać się bohaterem.

Zachichotała jak uczennica - bardzo, bardzo niegrzeczna uczennica - a mnie dosłownie zatkało.

- Już nim jesteś. Półka może poczekać, kolacja jest ważniejsza. Mam jeszcze do zrobienia parę rzeczy w swoim pokoju.

Gdy tylko zostaliśmy sami, wsparłam dłonie na biodrach.

- Może przestaniesz zapominać, że lubisz brunetki?

- Uświadomiłem sobie, że w ciemności nie dostrzegam koloru włosów.

O, rany.

- Jak mam się opierać tak cudownym pochlebstwom?

Uśmiechając się, wyminął mnie i wszedł do kuchni.

- Podoba mi się twój styl. Jest naturalny.

Poszłam za nim i otworzyłam lodówkę, żeby wziąć sobie coś do picia. Była teraz pełna moich ulubionych rzeczy. Sok pomarańczowy, mleko, koktajle mleczne z proteinami, owoce, warzywa, nawet babeczki czekoladowe, które lubiłam jeść na zimno. Jęknęłam.

- Co? - spytał Gavin.

- Wydała na mnie za dużo pieniędzy.

- Większość dziewczyn nie uskarżałaby się na to.

Wzięłam koktajl mleczny.

- Większość dziewczyn nie ma mojej babci. To ja chcę ją rozpieszczać, nie odwrotnie.

Gavin sięgnął za moimi plecami po sok. Nasze ramiona otarły się o siebie; popatrzyłam na niego spode łba.

- Przestań mnie uwodzić - powiedziałam.

- Dlaczego? Działa?

- Owszem, jeśli chcesz, żebym cię dźgnęła nożem.

- Pozwalałem dziewczętom na gorsze rzeczy.

Pokręciłam głową zdesperowana.

- Posłuchaj, nie chcę wracać do domu. Dzieliłem ostatnio czas między dom Cole'a, nędzny motel i mieszkania kobiet, które piep... które posuwam.

- Śmiało, możesz to powiedzieć. Uszy mi nie zwiędną.

Parsknął.

- Cole twierdzi, że nie powinniśmy kląć w twojej obecności. Chodzi mu chyba o to, że nieprzyzwoity język jest zaraźliwy. Nieważne. Tak czy inaczej mam dość i potrzebuję wytchnienia.

No cóż, nie mogłam go w tym momencie wykopać. Nie byłam aż tak okrutna.

Skinęłam głową na znak, że się zgadzam, i odsunęłam się od niego.

Uśmiechnął się do mnie, oczy błyszczały mu figlarnie.

- Teraz jesteś ucieleśnieniem przyzwoitości, ale w wizjach bez wątpienia napalasz się na mnie.

Stłumiłam śmiech.

- Napalam się?

Wzruszył ramionami.

- Lubię wiedzieć, że masz w sobie dwie osobowości i że to ja jestem tego przyczyną.

Dwie osobowości. Nie miał pojęcia, że jedna z nich to wróg.

- Gavin...

- Nie, nie musisz mnie szufladkować. Chcesz to przyznać czy nie, miękniejesz coraz bardziej, jeśli o mnie chodzi.

Absolutnie, ale nie w sposób, jakiego by sobie życzył.

Rozległo się pukanie do drzwi; zeszywniałam.

- Założę się, że to Cole. - Westchnął. - Spodziewałem się go prędzej.

Niemożliwe. Cole nie przyszedłby do mnie. Nie w sytuacji, kiedy go publicznie odtrąciłam. Mimo to drżałam, otwierając drzwi. Po drugiej stronie stał wysoki, silny i nieprawdopodobnie piękny Cole.

Słodki Jezu.

- Z Kat i Reeve wszystko w porządku - oznajmił, opierając się ramieniem o framugę. - Są ze Szronem i Bronxem.

- Chłopcy uszkodzili Ethana?

- Nie. Był dostatecznie wystraszony tym, co zobaczył. Przepytali go, to wszystko.

Podniosłam odruchowo dłoń do gardła.

- Co zobaczył w parku?

- Wyglądałaś tak, jakbyś chciała zjeść Kat i Reeve, i to nie w znaczeniu pozytywnym.

Nie zamierzałam komentować tego stwierdzenia.

- No cóż. - Odchrząknęłam. - Dzięki za najświeższe informacje, ale robi się późno i prawdopodobnie czekają na ciebie w domu.

Pokręcił głową.

- Przykro mi, mała, ale nigdzie nie idę.

Co to, dzień pod hasłem: nie zgadzamy się z Ali?

- To dla twojego dobra, Cole.

- W tej chwili wolę być zły i zmierzyć się z konsekwencjami później.

Proszę, bądź zły. Bardzo, bardzo zły. Jawnie niegrzeczny.

Poczułam dreszcz, który doprowadzał mnie do szaleństwa. Podobnie jak zdradziecki umysł.

- Możesz nie przeżyć tych konsekwencji. -
Uśmiechnęłam się z odrażającą słodyczą, próbując zamknąć mu drzwi przed nosem.

Pchnął je ramieniem i wszedł do domu.

- Jestem gotów zaryzykować.

Rany!

- Hej, Cole! - zawołał z kuchni Gavin. - Zostaniesz na kolacji?

Cole widział zapewne jego samochód na podjeździe i wiedział, że Gavin tu jest, ale mimo wszystko naprężył się jak struna na dźwięk tego głosu.

- Jesteś dziś szefem kuchni?

- Zgadza się.

Cole wkroczył do środka i zajął miejsce na stołku barowym, jakby należał do niego.

- To dobrze. Umieram z głodu.

Nie wierzyłam, że to się dzieje.

- Mamy składniki na *enchiladas* albo na kanapki z rostbefem - oznajmił Gavin, zerkając na mnie.

- *Enchiladas* - odparł Cole.

- Zatem kanapki - zdecydował Gavin.

Cole posłał mu lodowaty uśmiech.

O, wielkie nieba. Jeśli postanowili wcielić się w role samców walczących o terytorium... to doszłam do wniosku, że im pozwolę. Obaj pozbawiliby się nawzajem przytomności, a ja nie

tkwiłabym już uwięziona w tej wojnie. Musiałabym wytrzeć kałuże krwi, ale wydawało się to lepszym wyjściem z sytuacji. Miałyśmy w domu mnóstwo sody i octu.

Podczas gdy Gavin krzątał się po kuchni, Cole odwrócił się do mnie na swoim stołku.

- Jak się czujesz?

- Świetnie - odparłam, siadając obok niego. Stać mnie było na grzeczność. - A ty?

- Lepiej. - Ujął między palce kosmyk moich włosów. - Nie boję się ciebie, wiesz o tym.

- Powinieneś. - Ja się bałam. Uwolniłam włosy z jego dłoni. Potem dodałam ciszej: - Ale oboje wiemy, że to nie jest nasz jedyny problem.

Zbladł, a ja poczułam się winna. Nie powinnam tak się czuć.

- Wiem, o czym myślisz, ale nie o to mi chodziło - powiedziałam z westchnieniem.

- Więc o co?

- Ja... muszę ci to pokazać - wskazałam ruchem brody korytarz - i swoją sypialnię.

Skinął głową; dostrzegłam w jego oczach coś gorącego i mrocznego.

- Powiem jeszcze raz, że to nie to, co myślisz - oświadczyłam sucho.

Zdawało mi się, czy nadąsany wyjął usta?

Coś takiego! Cole pokazał się od nowej strony.

- Nie chcesz i mnie pokazać? - spytał Gavin nieco ściśniętym głosem. Zaczął kroić sałatę z większą energią.

- Tego nie - odparłam, siląc się na uprzejmość. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj go - warknął Cole.

Okay. Łód powrócił.

- Jest moim gościem - zauważyłam. - I lubię go, poza tym zachowuje się w sposób cywilizowany. Zasługiwał na przeprosiny z mojej strony. Teraz zasługuje na twoje. Nie ruszę się stąd, dopóki ich nie usłyszy.

Gavin uśmiechnął się złośliwie.

Cole rzucił przez zaciśnięte zęby niezwykle skąpe „przepraszam”.

- Dobrze. Chodźmy. - Kiedy wstaliśmy, ktoś znowu zapukał do moich drzwi. Do diabła, kto to? Biorąc pod uwagę mojego pecha, była to prawdopodobnie Veronica.

- Jedną chwilę. - Poszłam otworzyć. Tym razem na progu stał Justin.

- To chyba żarty.

Za moimi plecami stanął Cole, jego ciało emanowało żarem, który pieścił mi skórę.

- Co ty tu robisz?

Justin przypominał istny gejzer energii, ledwie mógł ustać w miejscu.

- Powiedziałaś mi, żebym się skontaktował, jeśli będę miał jakieś wiadomości. No cóż, mam. Poza tym myślałem, że wyjaśniłeś Ali, co się dzieje.

Cole spojrzał mi przez ramię, mówiąc:

- Trzeba było zadzwonić.

- Nie ma mowy. To zbyt ważna sprawa.

- To znaczy? - spytałam.

- Kto to?! - zawołał niemal jednocześnie Gavin.

Justin zacisnął usta. Cofnął się z progu.

- Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy. Prześlę ci wiadomość, jak tylko wsiądę do samochodu.

Drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem. Lepiej, żeby się pospieszył, pomyślałam. Ciekawość dosłownie mnie zżerała.

- Chciałaś mi coś pokazać - przynaglił Cole.

Skinęłam głową i poprowadziłam Cole'a obok kuchni. Gavin podniósł wzrok znad bochenka chleba, który kroił, i zmarszczył czoło.

- Poważnie? Porzucacie mnie?

- Tylko na parę minut.

- Nie musisz mu się tłumaczyć - oświadczył Cole, ciągnąc mnie. - A ja nie zamierzam drugi raz przepraszać.

Gavin pokazał mu chyba środkowy palec, ale nie dałabym za to głowy. Usłyszałam w korytarzu, jak babcia nuci coś pod nosem.

- Mamy jeszcze jednego gościa! - zawołałam.

Wyrzała z pokoju i wyraźnie się rozpromieniła.

- Cole. Wspaniale cię widzieć.

- I panią.

Uniosła brwi, zauważywszy, że trzymam dłoń na gałce drzwi swojej sypialni.

- Idziecie tam... sami?

- Tylko na kilka minut - pospieszyłam z wyjaśnieniem.

Zmrużyła oczy, ale kiwnęła głową.

- Będę patrzeć na zegar.

Weszłam do pokoju - i sapnęłam z wrażenia. Przyozdobiła go wszystkim, co kochałam. Meble z ciemnego wiśniowego drewna, wypolerowane na wysoki połysk. Zwiewne białe firanki w oknie, na ścianie oprawiona fotografia, moja i Emmy. Stała przede mną, otoczona moimi ramionami, i obie uśmiechałyśmy się szeroko.

Do ramki doczepiona była karteczka.

„Anioły trzymały zapewne to zdjęcie w dłoniach, bo tylko w ten sposób mogło przetrwać wybuch. Kazałam je oprawić kilka tygodni temu, ale chciałam poczekać do Gwiazdki, żeby ci je dać.

Wydawało się, że to właściwa pora. Kocham, babcia”.

Och, babciu, pomyślałam ze łzami w oczach.

- Obie jesteście cudowne - powiedział Cole, stając obok mnie i przyglądając się fotografii. - Wyglądacie na takie szczęśliwe.

- Bo tak było. Pamiętam, że skończyłyśmy się właśnie bawić w domu w chowanego i oczywiście ona wygrała. Zawsze wygrywała. Miałam za długie nogi, żeby się gdziekolwiek wcisnąć. Przechwalała się na ten swój słodki sposób: „Ha, ha, ha, znowu jestem mistrzynią”, więc złapałam ją i zaczęłam łaskotać. Mama poprosiła, żebyśmy jej pozowały.

Ścisnął moje ramię.

- Ja też mam zdjęcie, moje i mamy, zrobione na kilka tygodni przed jej śmiercią. Jest dla mnie cenniejsze niż moje serce i płuca.

Lubiłam, kiedy dzielił się jakimiś przeżyciami z przeszłości. Nieczęsto to robił. Odwróciłam się i napotkałam jego spojrzenie.

Założył mi kosmyk włosów za ucho. Czułam, jak dosłownie zatracam się w nim, w tej chwili, więc kiedy odezwała się jego komórka, drgnęłam nerwowo. I odetchnęłam z ulgą.

- Śmiało - zachęciłam. - Sprawdź.

Wahał się przez moment, potem zaczął przeglądać wiadomości; twarz ciemniała mu coraz bardziej.

- Justin twierdzi, że szpiegiem jest ktoś, kto był dzisiaj w parku. Informacje o walce już dotarły do Animy.

- Zatem to wyklucza Collinsa i Cruza. Szron i Bronx byli zbyt zajęci ratowaniem Reeve i Kat, żeby przekazać jakiegokolwiek szczegóły.

- Niekoniecznie, ale znam ich lepiej niż siebie. Nigdy nie pomogliby wrogowi. Nie przyszłoby mi do głowy ich podejrzewać.

A mnie kiedykolwiek podejrzewał?

- Możesz też wykluczyć Lucasa i Trinę. Obserwowałam szpiega, który z kolei ich obserwował, pamiętasz? Pozostaje więc... Veronica.

- Widziałaś w lesie mężczyznę.

- Tak, a ona mogła z nim współpracować.

- Może. - Przyjrzał mi się badawczo. - Jest także Gavin.

Potarłam się odruchowo po krtani. Gavin musiał być niewinny. A jednak chciał tu zostać na noc, choć byłoby mu niewygodnie na kanapie. Może nie dlatego, że miał dość motelu, ale dlatego, że chciał obserwować mnie i moją mroczną metamorfozę.

- Tak czy inaczej nie oni jedni tam byli - przypomniał mi Cole.

- Ja? - spytałam piskliwie.

Przewrócił zniecierpliwiony oczami.

- Nigdy cię nie podejrzewałem. Chodzi mi o Kat. I Reeve.

- Dziewczyna. I dziewczyna.

- Tak jak powiedziałaś, dziewczyna mogła współpracować z chłopakiem.

- Poza tym - ciągnęłam - Kat nie mogłaby nas zdradzić, a Reeve nic nie wie.

- Kat gada, co jej ślina na język przyniesie...

- Nie jest w tym wypadku odpowiedzialna - upierałam się przy swoim.

- A Ethan?

- Bronx już go sprawdził. Nie stwierdził niczego podejrzanego.

Skinął głową po krótkiej chwili milczenia.

- Pozostają nam... owszem, Gavin i Veronica. Ale już ich sprawdziłem, okazali się czyści. Jak wiesz, właśnie dlatego spędzałem z nią tak dużo czasu. Przeglądałem jej rzeczy, analizowałem wszystko, co mówiła. Żadnych dwuznaczności. Co więcej, kłopoty zaczęły się wcześniej, jeszcze zanim oboje się tu zjawili.

- Może nie grzebałeś dostatecznie głęboko. Może jedno z nich albo oboje pracowali wcześniej dla Animy i poprosili, by przydzielono ich do twojego zespołu. Porozmawiaj z panem Ankhem i swoim tatą. Będą wiedzieli, co...

- Wykluczone. Muszę milczeć z wiadomych powodów. Nie oczernię nikogo, nie mając konkretnych dowodów.

- Tak, ale kiedy prawda wyjdzie na jaw, oskarżony zostanie zrehabilitowany. Albo nie.

Pokręcił głową.

- Moi najbliżsi przyjaciele dowiedzą się, że im nie ufałem. Może mi wybaczą, a może nie, ale potem, cokolwiek zrobię, zawsze już będą się zastanawiali nad moimi motywami. Coś takiego przylega do człowieka.

Czy oskarżono go kiedykolwiek o coś, czego nie zrobił?

Musiałam zadać to pytanie głośno, ponieważ oznajmił:

- Kiedy Justin zaczął pracować dla Animy, kręcił się wokół mojego zespołu, by zdobyć informacje, tak jak ten szpieg. Wiedziałem, że coś się dzieje, i głupio winiłem Bootsa i Ducky'ego, tych, których nigdy nie poznałaś. - Potarł się po tatuażach z ich imionami. - Byli na mnie wściekli i czuli się

zranieni. Tak bardzo, że poszli w nocy na łowy, żeby udowodnić swoją lojalność, jak sądzę, i znaleźli gniazdo zombi. Zginęli wtedy. Nie chcę przeżywać tego po raz drugi.

- Cole... - zaczęłam, ale powstrzymał mnie ruchem głowy.

- Przyjrzę się jeszcze Gavinowi i Veronice. No dobra, dość na ten temat, pogadamy innym razem. Powiedziałaś, że chcesz mi coś pokazać. Czy chodziło o pocałunek? - Przyparł mnie do drzwi, przed sobą miałam jego ciało, z tyłu twarde drewno, byłam na dobrą sprawę unieruchomiona. I och, wielkie nieba, czyżbym użyła właśnie przymiotnika „twardy”? Ostatnio nie potrafię myśleć o niczym innym.

- Cole. Nie.

- Tylko raz - poprosił urywanym głosem. - Potem przestaniemy. Może potem to szaleństwo się wreszcie skończy i będziemy mogli być przyjaciółmi. Wiem, co mówiłaś, że nie możemy, ale nie podoba mi się, że nie będzie cię ze mną. Potrzebuję cię w swoim życiu, nieważne w jakim charakterze.

- Przyjaciele się nie całują. - Poza tym miałam już swój „tylko raz”. Zajęczałam. - Babcia nas usłyszy,

nie zawsze zachowujemy się cicho. Podejdzie do drzwi, zapuka. Będę koszmarnie zażenowana.

- Okay. - Oparł dłonie o ścianę przy moich skroniach. - Okay.

Musiałam wstrzymać oddech. Pachniał tak pociągająco, jego woń podbijała mi zmysły, przyprowadzając o zawrót głowy za sprawą pragnienia i pożądania, i przebijając wszelkie ściany, jakie zdołałam wznieść przeciwko niemu.

- Nie zachowujesz się tak, jakby było okay.

- Kiedy ta obsesja się skończy? - spytał. - Mam chyba obsesję na twoim punkcie, Ali. Jestem uzależniony. Cokolwiek czuję, jest zdecydowanie niezdrowe. Bez ciebie nie mogę jeść ani spać. Myślę o tobie cały czas, zastanawiam się, co w danej chwili robisz i z kim to robisz. Wiesz, ile razy mnie kusilo, żeby cię odszukać i uprowadzić?

- Cole...

Nie skończył jeszcze.

- Jesteś bystra, zawzięta, odważna. Lubisz patrzeć gdzieś w przestrzeń, a twój umysł jest pogrążony we wspomnieniach. Kiedy kochasz, robisz to całym sercem. A twoje współczucie... Kiedy Holly Dumfries wybierała się na randkę z Chadem Stevensonem, Kerry Goldberg, była dziewczyna Chada, wylała następnego dnia butelkę wody na

Holly. Pomogłaś Holly doprowadzić się do porządku, zamieniłaś się z nią nawet na koszule. Tak. Sprawdziłem to. A potem, kiedy wszyscy robili sobie żarty z Aubrey Wilson, bo zaszła w ciążę, zaproponowałaś zbiórkę pieniędzy na jej dziecko.

Otworzyłam oczy tak szeroko, że wyglądały chyba jak spodki. Nie miałam pojęcia, że wiedział o Holly i Aubrey, najwyraźniej nie spuszczał mnie z oka. Istniała groźba, że kolana się pode mną ugną.

- Co mam z tobą zrobić? - spytał cicho. Oparł się czołem o moje czoło. - Myślałem o tym, żeby odesłać Gavina z powrotem do Georgii, ale bałem się, że coś się wydarzy, coś, co sprawi, że pojedziesz za nim, a ja już bym cię nigdy nie zobaczył.

- Cole...

- Miałaś rację, nazywając mnie wcześniej tchórzem. Boję się przyszłości, Ali. Nie mogę znieść myśli, że z nim będziesz, więc jak mam to przeżyć?

Chciałam otoczyć go ramionami i właśnie dlatego go odepchnęłam.

- Nie ufasz mi, kiedy mówię, że nie interesuje mnie w sensie uczuciowym i że nigdy się nim nie

zainteresuję. Ufasz wizjom bardziej niż mnie i moim uczuciom, a ja zasługuję na coś lepszego.

Dostrzegłam w jego oczach udrękę, kiedy wymamrotał:

- Masz rację.

I tak po prostu coś w nim jakby pękło.

Osunął się na łóżko, wsparł łokcie na kolanach i oparł głowę o dłonie. Trwał w tej pozycji przez długą chwilę, oddychając tylko.

- Wszystko w porządku? - spytałam cicho.

- Na razie nie, ale potem będzie lepiej. - Spojrzał na mnie, a ja dostrzegłam determinację w jego oczach.

Determinację... Co zamierzał?

To budziło we mnie lęk.

Odwróciłam się plecami i cała drżąc, powiedziałam:

- Tak przy okazji, niektórzy z twoich przyjaciół nie są ostatnio zachwyceni twoim zachowaniem. Jesteś dla nich wredny, jak się okazuje. - No. Bezpieczniejszy temat.

- Chcesz, żebym był dla nich miłszy? - spytał niemal ostrożnie.

- Tak.

Odetchnął.

- Więc będę miłszy.

Tak łatwo?

- Dziękuję. - Pociągnęłam go w stronę toaletki. Usiadłam przy niej ze spuszczonym wzrokiem. - A teraz to, co zamierzam ci pokazać. Spójrz na moje odbicie w lustrze.

- W porządku. - Stał za moimi plecami, dłonie opierał mi na ramionach. - Chcesz, żebym zwrócił uwagę na coś konkretnego?

- Patrz, co się stanie - odparłam, i otworzyłam oczy.

A.Z. szczyrzyła się do mnie, a na zębach miała krew.

Moją krew?

- Co widzisz? - spytałam Cole'a, próbując siedzieć bez ruchu.

Odgarnął mi włosy z karku, pochylił się i złożył miękki pocałunek na mojej szyi. Zesztywniałam; poczułam twardość w jego dłoniach i dostrzegłam ją w jego spojrzeniu; wyprostował się.

- Widzę ciebie.

Przez moje ciało przebiegł budzący grozę dreszcz.

- Nie - odparłam. - Co widzisz w lustrze?

Napotkał moje spojrzenie w szklanej tafli. Zmarszczył czoło.

- Wciąż widzę ciebie.

Uniosłam zaskoczona brwi.

- Nie dostrzegasz ciemnych smug?

- Nie - zapewnił.

- Proszę, przedstaw nas. - Zachichotała, a był to głuchy i przyprawiający o gęsią skórkę dźwięk. - Może będzie wolał mnie.

- Słyszałeś to? - spytałam, chwytając się za brzuch.

- Co miałem słyszeć?

- Ją.

Wreszcie zrozumiał.

- Tę mroczną postać, o której wspominałaś?

Skinęłam głową.

- Nie słyszałem.

Do diabła! Dlaczego? Widział i słyszał duchy w jakiegokolwiek postaci. Widział i słyszał Emmę. Dlaczego nie potrafił zobaczyć i słyszeć także A.Z.?

Ktoś zapukał energicznie do drzwi.

- Kolacja na stole! - zawołał Gavin.

Cole wyprostował się, wyraźnie niezadowolony. Wstałam, odczuwając niejaką ulgę.

- Wrócimy do tego później - powiedziałam. Obietnica.

- W porządku. - Unik.

Milczeliśmy, idąc do kuchni.

Kładźcie się spać, moje maleństwa

Gavin został na noc, tak jak obiecywał. Podobnie jak Cole.

Zajął kanapę, a Gavin urządził sobie posłanie na podłodze. Wierciłam się i przekręcałam na łóżku, wiedząc, że obaj są tuż obok, tak blisko. Gavin, który mnie zapewne obserwował; Cole, który bez wątpienia obserwował Gavina. Powietrze było naładowane testosteronem.

Nie mogłam się wymknąć na spotkanie z doktorem Bendarim - choć obiecałam, że tym razem go nie zawiodę. Chłopcy bez trudu by mnie przyłapali. Mogłam tylko leżeć i rozmyślać.

Czy Gavin był szpiegiem?

Czy była nim Veronica - za czyimś pośrednictwem?

Czy działali razem?

Raczej nie, nie wydawało mi się. W każdym razie, kiedy się nad tym głęboko zastanawiałam, wciąż wierzyłam w niewinność Gavina.

Czy nie myliłam się co do niego? Czy mogłam zaufać sobie w tej kwestii, kiedy nie potrafiłam zaufać sobie w żadnej innej sprawie?

Lepiej, żebyś sobie zaufała. Skarciłaś Cole'a za to, że ci nie ufał.

Prawda.

Okay, więc posłucham własnej rady: nie przejmować się, baba z wozu, koniom lżej. Będę wierzyć w Gavina.

Czyli pozostała Veronica. To ona musiała współdziałać ze szpiegiem. I, oczywiście, nie należało wykluczać, że zazdrość zniekształcała moją percepcję tej osoby. A jeśli nie?

Jak zamierzaliśmy dowiedzieć się prawdy? Było za późno, bym mogła się z nią zaprzyjaźnić i dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Statek już wypłynął w morze, a sztorm zdążył nas pokonać i zmuszał do dryfowania. Nie zdołałabym udawać nagłego przyływu uczuć. Bez względu na to, co bym zrobiła, nigdy by mi nie uwierzyła.

Cole musiałby ją sondować – albo obmacywać. Czy zdecydowałby się kontynuować z nią romans? Może. Jak daleko by się z nią posunął? Co

dokładnie musiałyby zrobić, żeby ją zmiękczyć na tyle, by przyłapać na gorącym uczynku?

Kilka pocałunków? Trochę pieścizot?

Seks?

Nie miałam prawa czuć się zraniona myślą o tym, że znów się zesзли. Bez względu na powód. Nie miałam prawa czuć urazy. Poza tym musieliśmy za wszelką cenę poznać odpowiedzi. Ale...

Tak jak poprzednio, za każdym razem, czułam się zraniona. I pełna urazy.

Zmusiłam się do tego, żeby pomyśleć o czymś innym. O czymś mniej bolesnym. Na przykład o A.Z. Parsknęłam ironicznie. W jakim to świecie temat istoty próbującej opanować moje ciało był bezpieczniejszy?

Proste. W moim.

Czy miała jakieś słabości?

Nic mi nie przychodziło do głowy.

Nim weszło słońce, byłam na skraju załamania nerwowego. Zwlokłam się z łóżka, wzięłam prysznic, a potem włożyłam dzinsy i podkoszulek z napisem „Zawsze bądź sobą, chyba że możesz być Kat, a wtedy zawsze bądź Kat”. Prezent na nowe mieszkanie od - niespodzianka! - Kat.

Weszłam do salonu i zobaczyłam, że koce, pod którymi spali Gavin i Cole, zostały starannie

złożone, a poduszki z kanapy leżą na swoim miejscu. Chłopców nie było, żaden też nie zostawił mi wiadomości.

Czy Cole spieszyl na spotkanie z Veronicą?

Zagryzając policzek od wewnętrznej strony, poszłam do kuchni.

- Dzień dobry - powiedziała babcia, dojadając właśnie kanapkę z jajkiem.

- Dzień dobry.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna. Cole zrobił to wszystko i przyszykował ci przed wyjściem talerz.

- Podsunęła mi wielką górę jajecznicy, bekonu i tostów. - Powiedział mi, że masz zjeść to do ostatniego okruszka, bo jak nie, to... Och, zostawił ci też wiadomość.

Wręczyła mi złożoną kartkę.

„Nie wyrzekaj się mnie, tak jak ja wyrzekłem się ciebie. Proszę. Wynagrodzę ci to w jakiś sposób.

Całuję Cole”.

Czy mówił to, co mi się wydawało?

Czy też chciałam, by mówił to, co mi się wydawało?

Spytałabym go, ale nie pojawił się w szkole. Gdzie był? Co robił?

Wraz z upływem dnia zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do niego, potem zrezygnowałam z tego

zamiaru. Chciałam przesłać mu esemesa, potem też z tego zrezygnowałam. Byłam istnym kłębkim niepewności, kiedy Kat podwiozła mnie do domu.

Babcia wyszła dokądś. Przebrałam się w strój roboczy i wsadziłam do plecaka kilka niezbędnych rzeczy. Ulubioną broń, rzeczy na zmianę, komórkę i trochę pieniędzy, które zaoszczędziłam. Lubiłam być przygotowana na wszystko. Włożyłam płaszcz, czapkę i rękawiczki, po czym wyszłam z domu.

Powietrze było przejmująco zimne, z ust dobywała się mgiełka oddechu. Trawę pokrywał szron; pośliznęłam się kilka razy. Ruszyłam w dół ulicy, idąc szybkim krokiem. Oddaliłam się od domu i dotarłam do ruchliwego skrzyżowania. Minęłam światła i sklep spożywczy, a potem zaczęłam drzeć. A jednak skóra na twarzy mnie paliła, jakbym wpełzła do pieca. Zmarszczyłam czoło.

Wrażliwość na blask słońca była cechą zombi.

Usłyszałam pisk opon. Ujęłam rękojeść sztyletu, szukając powodu usprawiedliwiającego ten gest. Przy krawężniku zatrzymał się nieznany mi sedan z przyciemnionymi szybami. Ktoś otworzył tylne drzwi.

- Proszę wsiadać - nakazał doktor Bendari.

Zrobiłam krok w jego stronę i zastygłam. Gdybym go posłuchała, mogłabym spóźnić się do pracy,

może nawet stracić całą zmianę. A gdybym straciła całą zmianę bez uprzedzenia – czy pozwoliliby mi zadzwonić albo zagroziłby, że się zmyje, jeśli to zrobię? – mogłabym wylecieć z roboty. Ale czy mogłam tak naprawdę przepuścić taką okazję?

Czułam jednocześnie niepewność, nerwowość i strach – wszystko to pchało mnie do przodu. Wskoczyłam do samochodu, nie wyjmując sztyletu, ale trzymając go w pogotowiu. Doktor Bendari przesunął się, robiąc mi miejsce. Zanim zdążyłam zatrzaskać drzwi, samochód już nabierał szybkości.

Z nawiewów płynęło ciepłe powietrze i otulało mnie, kiedy zapinałam pasy.

Doktor przyglądał mi się z uwagą.

– W końcu się spotykamy, panno Bell. Twarzą w twarz.

– Przepraszam, że nie zjawiłam się wczoraj wieczorem.

– Miała pani gości, wiem. – Spojrzał na kierowcę.

– Powiedz mi, jeśli zauważysz, że ktoś za nami jedzie.

– Tak, sir – odparł kierowca.

– Skąd pan o tym wie? – spytałam. – Jakim cudem zawsze pan wie?

- Mówiłem pani - odparł Bendari, sięgając po coś, co leżało na podłodze. - Moje źródło.

- Jestem uzbrojona po zęby - uprzedziłam, wymachując sztyletem. - Radzę nie wykonywać gwałtownych ruchów. Jeśli spróbuje pan czegoś...

Doktor Bendari wyprostował się, nie podnosząc niczego, i patrząc na mnie jak na ranne zwierzę, powiedział łagodnie:

- Jestem dla pani zbyt cenny, by mogła się pani mnie pozbyć, panno Bell.

- Tak? Niby dlaczego?

- Mówiłem już. Znam odpowiedzi, których pani poszukuje.

- Jeśli tak jest, to skąd chęć niesienia mi pomocy? Kim pan jest? Jaki cel panu przyświeca? Jak pan chce to rozegrać? Po co ta tajemniczość? Dla kogo pan pracuje? Ktoś z pańskiego polecenia szpieguje moich przyjaciół? Kto jest pańskim źródłem, do diabła? Chcę wiedzieć!

Potarł się po skroniach, jakby prześladował go uporczywy ból.

- Zawsze jest pani taka ciekawska?

- Zawsze.

- To zniechęcające.

- No cóż, jestem nieco zdesperowana.

Przyglądał mi się, potem zmarszczył czoło; w tym odruchu można było dostrzec smutek.

- Nie wątpię. - Wzdychając, sięgnął po plik teczek na dokumenty. Położył je sobie na kolanach. - Jestem pewien, że nie będzie pani szczególnie zaskoczona tym, co powiem, ale przez wiele lat pracowałem dla Anima Industries.

Choć to podejrzewałam, przyłapałam się na tym, że zaciskam palce na rękojeści swojej broni.

Nie odrywając oczu od drogi, kierowca wyciągnął rękę; w dłoni trzymał pistolet, lufa była wymierzona w moją twarz.

- Dałem ci szansę odłożyć tę rzecz. Nie zrobiłaś tego. A teraz mówię ci bez ogródek: jeśli zagroziś czymkolwiek mojemu pracodawcy, dziewczynko, wykończę cię.

- No, no - wtrącił pojednawczo doktor Bendari. - Uspokójmy się, i to wszyscy. Powiedziałem, że pracowałem dla Animy, panno Bell. Użyłem czasu przeszłego, jeśli pani tego nie zauważyła. Już dawno stamtąd odszedłem. Jednak moje źródło wciąż dla nich pracuje. Właśnie stamtąd czerpie informacje. Cokolwiek wiem, wiedzą też oni. Wszystko wskazuje na to, że bacznie panią obserwują.

Odprężyłam się, ale tylko trochę, zważywszy na to, czego się właśnie dowiedziałam. Położyłam sobie sztylet na udzie.

Kierowca opuścił broń.

- Zniechęcałem się coraz bardziej do ich... praktyk biznesowych, jak mogłaby pani to nazwać - ciągnął doktor Bendari. - Ostatnio zaczęli wykorzystywać pacjentów chorych na raka w charakterze szczurów laboratoryjnych. Nie mogłem tego dłużej znosić. Odszedłem z firmy, ale widzi pani, nikt, kto miał dostęp do jej tajemnic, nie odchodzi z Animy żywy.

- Wygląda pan na okaz zdrowia.

- Tak, i musiałem podjąć drastyczne środki, żeby utrzymać ten stan.

Niech będzie.

- Zna pan Justina Silverstone'a?

- Znam ze słyszenia. Wiem też, że prowadzi bardzo niebezpieczną grę, i nie mam pewności, po czyjej jest stronie. Przekazuje informacje Animie, ale przekazuje je też Cole'owi Hollandowi. Albo zdradza obu przeciwników, albo oszukuje jednego. Zginie przez to. Tak jak zginęła jego bliźniacza siostra.

Co? Jaclyn nie żyła?

Otworzył jedną z teczek. Spojrzałam na kartkę na samym wierzchu - i zakrztusiłam się. Na zdjęciu widniała Jaclyn leżąca na trawie, ciało było dziwnie wykrzywione i zbryzgane krwią. W piersi miała dziurę wielkości pięści.

Nigdy jej nie lubiłam, ona mnie też nie lubiła, ale widząc ją w takim stanie, poczułam przypływ współczucia.

- Nikt nie wspominał o tym, że znaleziono jej zwłoki.

- Nie było mnie tam. Nie wiem, co się stało. Odkryłem jednak zdjęcia i mogę się tylko domyślać, że ktoś ją dokądś wywiózł i zabił. Jeśli znam Animę - a znam - to mogę powiedzieć z całą pewnością, że nikt nigdy o niej nie wspomni.

Biedna Jacklyn. Biedny Justin. Widziałam na własne oczy śmierć swoich bliskich i było to tragiczne i straszne, ale wiedziałam przynajmniej, co się stało.

- Justin wie?

- Nie jestem pewien. Ci z Animy mogli pokazać mu zdjęcia i zagrozić, że spotka go taki sam los, i zmusić, by zrobił to, czego chcą. Albo pokazali mu zdjęcia i zrzucili winę na pani przyjaciół, mając nadzieję, że zechce się zemścić. Albo udali, że nic nie wiedzą. Potrafią robić takie rzeczy.

Wierzyłam mu. Justin mógł być szpiegiem, mogła też nim kierować chęć zemsty za siostrę i przekonanie, że Cole maczał w tym palce.

- Widzę, że zastanawia się pani intensywnie. Jednak mój człowiek nie uzyskuje informacji dzięki doniesieniom Justina. Ktoś jeszcze szpieguje pani przyjaciół, panno Bell, ale nie znam tożsamości tego mężczyzny.

Mężczyzny, powiedział. Nie dziewczyny udającej chłopaka.

Ufaj sobie, pamiętaj. To nie Gavin.

- Co pan o mnie wie? - spytałam. - O moim... stanie? I skąd pan wie? Czy może trafniej spytać, skąd wie pańskie źródło?

- Z początku mój człowiek wiedział tylko tyle, że została pani ugryziona i zaczęła się dziwnie zachowywać. Resztę sam wydedukowałem. Potem widziano, jak wytwarza pani ogień czerwony, nie biały.

Na jego twarzy malował się smutek, kiedy zaczął przeglądać zawartość następnej teczki, pokazując mi zdjęcia ludzi uwięzionych w klatkach. Ludzi o cechach człowieka. Tyle że na kolejnych zdjęciach ci ludzie coraz bardziej przypominali zombi.

- Nie różnią się niczym od królików doświadczalnych - oznajmił. - Zdiagnozowano u nich nowotwór, ale ci pacjenci nie mieli ubezpieczenia, które mogłoby pokryć koszty leczenia. Byli na tyle zdesperowani, by spróbować wszystkiego. Eksperymentowano na nich przy zastosowaniu mojej formuły. - W końcu w jego głosie pojawiła się wyczuwalna nuta wstydu. - Kiedy zacząłem pracować dla Animy, miałem nadzieję stworzyć lek na przedłużenie życia. Źródło młodości, jeśli pani woli. Potem się dowiedziałem, że mam to testować na zombi.

- Widzi je pan?

Pokręcił głową.

- Ja i moi pracownicy nie potrafiliśmy wejrzeć w ten drugi świat, tak jak wy, zabójcy, i nie umiemy opuszczać swoich ciał bez pomocy, więc nie możemy zobaczyć ani dotknąć tych istot, dopóki nie są zaobrączkowane.

Bez pomocy? Jakiej pomocy? Najpierw skoncentrowałam się na najważniejszej rzeczy, jaką ujawnił.

- Zaobrączkowane?

- Nasza wersja Linii Krwi. - Pokazał mi zdjęcie dużej metalowej obręczy. - Zakłada im się to na szyje. Wysyła impulsy elektryczne, dzięki którym

stają się dotykalne, ale coś się z nimi dzieje... W końcu doprowadza je to do szaleństwa, a to z kolei sprawia, że stają się silniejsze. Wielu moich współpracowników musiało zostać zabitych, ponieważ zombi ich pogryzły podczas tych napadów szału.

- Chce mnie pan uśpić? - spytałam z drżeniem w głosie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zmarszczył czoło. - Proszę mi powiedzieć, co dokładnie się z panią stało, panno Bell.

Byłam zaskoczona, że nie zna jeszcze wszystkich cholernych szczegółów.

- Justin został pogryziony przez zombi. Potem ugryzł mnie. Oboje dostaliśmy antidotum. On wyzdrowiał, ale mnie się pogorszyło. I teraz z wolna zamieniam się w zombi, co wkurza mnie bardziej, niż potrafi pan sobie uświadomić, ponieważ mój duch jest dla zombi zabójczy, a to oznacza, że sama dla siebie jestem zabójcza.

Westchnął.

- Wiedziałem, że staje się pani zombi, ale miałem nadzieję, że się mylę.

- Skąd pan wiedział?

- Rozpoznałem objawy.

- Wie pan także, że widzę pewne rzeczy. Że słyszę szepty.

- Tak. W miarę jak esencja zombi przejmuje kontrolę nad pani ciałem, zaczyna pani wnikać zmysłami zarówno w świat duchowy, jak i naturalny, i to jednocześnie.

- Potrafiłam to już wcześniej.

- Ale nie do tego stopnia. Jeden świat zawsze będzie bardziej realny niż drugi. W tej chwili znajduje się pani w stadium przejściowym.

Przełknęłam z wysiłkiem.

- Czy kiedykolwiek uratował pan kogoś takiego jak ja? Kogoś zainfekowanego toksyną, kiedy było już za późno, by mogło mu pomóc antidotum?

Bawił się obrączką na palcu. W końcu, ignorując moje pytanie, powiedział:

- Nie miałem pojęcia, że zмага się pani z tym drugim problemem. Alergią. No dobrze, spróbujemy przeanalizować to po kolei.

Uznałam to za odpowiedź przeczącą i z trudem stłumiłam krzyk udręki.

- Słyszałem o paru innych osobach obdarzonych duchem zabójczym dla zombi.

Jedną z nich był mój praprapradziadek, jak mogłam się założyć.

- Justin zareagował tak, a nie inaczej, ponieważ został ugryziony przez zombi, na którym eksperymentowała Anima, a którego potem uwolniła. Ich toksyna jest silniejsza, działa szybciej.

- Ale Justin powrócił do normalnego stanu, a ja nie.

- Justin nie jest alergiczny na samego siebie. - Wziął z podłogi małą czarną kasetkę i uniósł wieczko. Ukazał się stos napełnionych plastikowych strzykawek. - Opracowałem różne rodzaje antidotum na różne reakcje, o których słyszałem.

- Ile jest tych rodzajów?

- Osiem. Odchodząc z Animy, zabrałem ze sobą formuły i sporządziłem po kilka próbek każdego rodzaju. Zaaplikuję pani antidotum przeciwhistaminowe i zobaczymy, co się stanie.

Powinam powiedzieć „nie”. Nie powinam pozwalać obcemu człowiekowi wstrzykiwać sobie jakiejś dziwnej substancji.

Rozsądna Ali darła się, że to głupie. Mimo to Samozachowawcza Ali wrzeszczała, że w tej chwili to moja największa szansa zwycięstwa.

- Okay - powiedziałam i skinęłam głową.

Wyjął z kasetki jakąś fiolkę. Zsunęłam płaszcz z ramienia, a potem koszulę. Wbił igłę w górną część mojej ręki. Poczulałam ukłucie, w mięsień

wniknął mi zimny strumień, który po chwili zaczął się rozlewać szeroką strugą.

Wydawało się po raz pierwszy od kilku tygodni, że podwójne bicie serca zanika. Ucisk w piersi zelżał, a mrok panujący w umyśle zaczął się przersedzać.

Poczucie ulgi przywołało uśmiech na usta. Pieprz się, zdrowy rozsądku.

Nie wypadłam jeszcze z gry. Nowe antidotum zapewniło mi to, czego potrzebowałam najbardziej. Czas.

- Dam pani cały zapas - powiedział. - Gdy tylko zacznie pani odczuwać te zombiczne pragnienia, proszę zaaplikować sobie dawkę. To nie lek, ale na początek wystarczy. Nie będzie też pani zagrażała innym.

- Dziękuję.

Wyjął z kasetki piętnaście fiolek i dał mi, a ja schowałam je do plecaka.

- Przygotuję tego więcej. Ale powinienem panią ostrzec. Przykro mi, panno Bell, nadejdzie moment, kiedy pani ciało przestanie reagować na to antidotum czy na jakiegokolwiek inne. Im częściej będzie je pani stosowała, tym szybciej się pani na nie uodporni.

Tak, wiedziałam o tym.

- Powiedziano mi, że istnieje lek, że istotą zombi jest ciemność i że światło ją przegania.

Zmarszczył czoło.

- Światło z dłoni zabójcy?

- Właśnie.

Opowiedziałam mu o tym, co zrobiłam, jak mój duch opuścił ciało, jak wywołałam płomień i dotknęłam swojej piersi, ale nic się nie stało.

- Jestem zdumiony, że się pani nie zabiła.

Umieranie to jedyny sposób, by żyć naprawdę.

Może właśnie o to chodziło. Może musiałam umrzeć.

Czułam narastające rozczarowanie. Wcześniej byłam skłonna zaryzykować śmierć. Teraz wiedziałam, że nie jestem gotowa na koniec.

- Będzie to wymagało dalszych badań i rozważań - powiedział.

- Przepraszam, sir, przykro mi, że przerywam tę miłą rozmowę, ale mamy ogon - wtrącił kierowca.

Doktor Bendari wyraźnie zeszywniał i obejrzał się.

- Możesz go zgubić?

- Znajdujemy się na odludnej drodze. Nie ma dokąd...

Zgrzyt!

Metal uderzył w metal. Nasz samochód skręcił gwałtownie, a potem przeokoziółkował. Krzyknęłam, powracając myślą do nocy, kiedy zginęła moja rodzina. Opony zapiszczały, kiedy znów uderzyliśmy o jezdnię; dźwięk gnieczonego metalu i tłuczonego szkła. Rzuciło mnie do przodu i tyłu, do przodu i tyłu, mózg obijał mi się o czaszkę.

Potem wszystko znieruchomiało. Wszystko prócz mnie. Wirowanie...

- Doktorze Bendari. - Wisieliśmy do góry nogami. Do głowy napływała mi krew. - Nic panu nie jest?

Zajączał.

Próbowałam odpiąć pas. Gdy tylko mi się to udało, spadłam, uderzając o dach samochodu - teraz podłogę - a plecak walnął mnie w twarz. Stęknęłam, kiedy przeszło mnie ostrze bólu. Nie było czasu na sprawdzanie obrażeń.

- Pomocy - wycharczał.

Pierś miał zalaną krwią - krwią, która kapiała mu na twarz, wypełniała usta. Koszula była rozdarta, a ostry czubek kości obojczykowej przebijał skórę.

Nie wolno ulegać panice.

- Nie mogę pana uwolnić z pasów. Spadnie pan. - Biorąc pod uwagę, jak bardzo był ranny, mógłby tego nie przeżyć.

Kiedy obróciłam plecak, próbując jednocześnie podjąć jakąś decyzję, jeśli chodzi o doktora, w polu mojego widzenia pojawiła się para wysokich skórzanych butów. Dostrzegłam ruchliwy cień, a potem w rozbitym oknie zobaczyłam jakiegoś mężczyznę. Byłam zbyt zdezorientowana, żeby przyjrzeć się dokładnie jego twarzy.

- Proszę nam pomóc - powiedziałam błagalnie.

- Doktorze Bendari - powiedział, a instynkt samozachowawczy kazał mi odsunąć się od niego jak najdalej. - Powiedziano mi, żebym sprowadził pana z powrotem do Animy... chyba że podzielił się pan naszymi sekretami z tymi samymi ludźmi, którzy próbują nas zniszczyć. Niech pan zgadnie, co pan tak naprawdę zrobił? - Wycelował broń i strzelił.

Trzask.

Obryzgało mnie coś ciepłego i mokrego i doktor Bendari w tym momencie zwiotczał. Jego krew... wszędzie, w każdym miejscu, na każdym skrawku mojego ciała. Krzyknęłam, zbyt zszokowana, żeby zareagować w inny sposób.

Strzelec chwycił porzucane teczki, potem to samo zrobił ze mną i wyciągnął mnie z samochodu.

Krew to nowa czerń

Doktor Bendari był martwy. Zastrzelono go na moich oczach.

Niemal sparaliżowana bólem i paniką, rozglądałam się po okolicy. Byliśmy na odludnej drodze, tak jak powiedział kierowca doktora, po obu stronach rosły gęsto drzewa. Za naszym wozem stał drugi samochód, a człowiek z bronią ciągnął mnie w jego stronę.

Gdybym zdołała dotrzeć do tych drzew, to mogłabym się ukryć.

Byłabym właściwie martwa, gdyby Strzelec zdołał wepchnąć mnie do samochodu.

Czas na nową listę: sprawić, by facet mnie puścił, popędzić ku drzewom, schować się. Posłużyć się komórką i zadzwonić do Cole'a.

Szarpnęłam się, adrenalina dodała mi sił, ale nie na tyle, by cokolwiek osiągnąć.

- Puszczaj!

- Chcesz umrzeć, słodziutka? - spytał od niechcienia, przez co jego słowa wydały się tym bardziej przerażające. - Mają wobec ciebie plany, ale jeśli nadal będziesz sprawiała kłopoty, to nie przywiozę cię na miejsce w jednym kawałku.

Oni. Tak powiedział. Ludzie w Animie.

Tym zacieklej zaczęłam walczyć; wysunęłam błyskawicznym ruchem nogę i podcięłam faceta. Zwalił się, uderzając o zwirowatą nawierzchnię. Jego uścisk zelżał, a zdjęcia, które trzymał w drugiej dłoni, rozsypały się na wietrze.

Strzelec wyciągnął rękę, żeby złapać jedno, odsłaniając się przy tym; rąbnęłam go z całej siły w nerkę, czyli w bardzo czuły punkt. Jęcząc, zwinął się w kłębek. Chwyciłam tyle teczek i fotografii, ile zdołałam, i skoczyłam na równe nogi.

Chciałam uciekać, ale trzasnęły drzwi i kierowca drugiego samochodu zaczął biegać w kółko, próbując złapać pozostałe zdjęcia i trzymając mnie jednocześnie na muszce.

- Nawet o tym nie myśl - warknął. Miał jasnorude włosy, nigdy nie widziałam takiego odcienia. - Strzele ci w plecy, i to bez wahania.

I tak by strzelił.

Odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki, biegnąc zygzakiem, by utrudnić mu celowanie; czułam, jak

plecak obija się o mnie rytmicznie. Niebawem dyszałam i sapałam, a płuca palił ogień.

Usłyszałam huk.

Skuliłam się w oczekiwaniu na eksplozję bólu. Ale... nic nie poczułam. Spojrzałam przez ramię. Kierowca samochodu doktora Bendariiego zdołał wypełznąć z wraku i strzelić do Rudego.

Zwolniłam, starając się złapać oddech.

Mój jedyny w tej chwili sprzymierzeniec obrócił się w moją stronę, krzycząc: „Biegnij, zjawią się inni!”, po czym ruszył, kulejąc, do przodu, i celując do tego pierwszego faceta, Strzelca.

Rozległy się dwa strzały.

Kierowca doktora Bendariiego upadł. Dlaczego? Jak? Wtedy zobaczyłam, że Strzelec próbuje się podnieść; pomimo bólu, który musiał odczuwać, spojrzenie miał wyraźne i ostre, kiedy na mnie padło. Zrozumiałam „dlaczego”. Zrozumiałam „jak”. Jeden strzał oddał napastnik, drugi oddał kierowca doktora Bendariiego.

Strzelec zatoczył się, wyjmując z kieszeni coś małego, okrągłego i czarnego, potem wyrwał coś z tego zębami i cisnął tym w nasz samochód. Granat!

Odwróciłam się i popędziłam...

Rozległ się ogłuszający wybuch.

Świat ogarnęła niesamowita cisza, gdy gwałtowny podmuch rozżarzonego do białości powietrza uniósł mnie do góry i rzucił na drzewo. Odbiłam się od niego, tracąc resztki tchu; potrząsnęłam energicznie głową, by uwolnić się od otępienia. Powietrze wypełniał dym, który mnie dusił; widziałam tylko zamgloną czern i biel.

W uszach rozbrzmiało mi słabiutkie dzwonięcie, potem stawało się coraz głośniejsze, aż urwało się tak raptownie, jak się zaczęło, a otaczający mnie świat znowu nabrał ostrości.

Wstałam i niemal upadłam. Widziałam kątem oka płomień obejmujące oba samochody - i widziałam też Strzelca, który wciąż trzymał się na nogach. Przełykając żółć, pognałam do lasu.

Aktualizacja listy: zadzwonić do Cole'a, potem się ukryć.

Wsadziłam zdjęcia do plecaka i złapałam komórkę. Byłam na tyle przezorna, by dzielić uwagę między ścieżkę, która ciągnęła się przede mną, a nazwiska na liście kontaktów. Ominęłam gruby pień drzewa. Litera C. Skoczyłam za skałę. CO. Urywany oddech drapał mi nozdrza i płuca.

Niemal krzyknęłam z ulgi, kiedy odnalazłam słowo COLE.

- Odbierz - wymamrotałam po pierwszym sygnale. - Błagam, odbierz.

- Ali - powiedział chwilę później.

Wyrwał mi się szloch.

- Cole.

W jego głosie od razu zabrzmiała troska.

- Kotku, co się stało?

- Był wypadek. Zastrzelili go. Zastrzelili. Nie żyje. Bomba. Teraz mnie ścigają, a ja nie wiem, co robić.

Słyszałam trzaski na linii, wiedziałam, że biegnie tak szybko jak ja.

- Gdzie jesteś?

- Co się dzieje? - usłyszałam w tle głos Veroniki.

- Dokąd się spieszymy?

Był z nią.

- Nie wiem - odparłam, zbyt otępiała z szoku wywołanego ostatnimi przeżyciami, by zareagować w jakikolwiek sposób. - Nie patrzyłam.

- Co jest wokół ciebie?

- Jakaś opuszczona droga. Las. Jestem w lesie.

- Gdzie byłaś przedtem? W jakim kierunku zmierzałaś przed tym wypadkiem?

- Dom babci. - Te słowa dobieły się po prostu z moich ust, ledwie słyszalne; dyszałam. - Oddaliłam się od swojego osiedla. Szłam na południe,

w stronę kawiarni. Zabrał mnie. Dalej na południe. Jechali za nami. Kraksa. Dym. Tyle dymu.

- Znajdę cię - obiecał. Dźwięk uruchamianego silnika. Pisk opon.

- Cole! - zawołała Veronica.

Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszałam. Potknęłam się o gałąź i rąbnęłam o ziemię z wdziękiem słonia w składzie porcelany, komórka wypadła mi z dłoni. Rzuciłam gorączkowe spojrzenie przez ramię, wypatrując Strzelca. Ani śladu. Może zemdłał z upływu krwi. Może umarł. Oby tak było.

Dźwignęłam się na nogi i zaczęłam szukać telefonu, ale go nie znalazłam. Postanowiłam go zostawić. Nogi sztywniały mi coraz bardziej, w miarę jak zagłębiałam się w las, i już po chwili, o wiele za wcześnie, poruszałam się w żółwym tempie. Rozejrzałam się po okolicy.

Zła wiadomość: drzewa były nagie, nie mogły zapewnić kamuflażu, gdybym wspięła się na jedno z nich.

Dobra wiadomość: Strzelec musiałby spojrzeć w górę, żeby mnie zobaczyć.

Zła wiadomość: bez trudu spojrzalby w górę.

Nie miałam innego wyjścia. Wykorzystując nierówności kory jako oparcie dla dłoni i stóp,

wspięłam się z trudem na najwyższe drzewo, jakie tylko zdołałam znaleźć. Każdy centymetr był agonią. W końcu dotarłam do wystarczająco grubego konara, by utrzymał mój ciężar, i znieruchomiałam, przywierając plecami do pnia. Wyjęłam sztylety przytroczone do kostek, podciągnęłam kolana do piersi... drząc... czekając...

W górze przeleciało stado ptaków, szeptał delikatny wiatr, maskując szaleńczy łomot mojego serca i świszczący oddech w płucach. Gdyby doszło do walki na śmierć i życie, co bym zrobiła? Bez trudu mogłam bić się z zombi, wykańczać je. Nie były ludźmi. On zaś był człowiekiem.

Chciał mnie zabić. Powinnam poradzić sobie z nim bez większych problemów. I oto się pojawił, przesuając się ostrożnie od drzewa do drzewa, wykorzystując pnie jak tarcze. Patrzył to w jedną, to w drugą stronę, potem ruszał dalej. Popatrzył w górę i...

Nasze oczy się spotkały.

Zareagowałam instynktownie, rzucając nożem, zanim zdążył wycelować. Ostrze utkwilo mu w barku. Zatoczył się do tyłu.

Zdołał jednak oddać strzał. Kula trafiła w drzewo tuż nad moim ramieniem i na wszystkie strony

poleciały kawałki kory. Niektóre wpadły mi do ust; wyplułam je, zeskakując z gałęzi.

Stuknęły zęby, kiedy wylądowałam twardo na ziemi. Poczułam w ustach smak zaśniedziałych miedziaków.

Biegnij, biegnij, biegnij. Zrobiłam kilka kroków, zamierzając uciec, a potem przystanęłam. Gdybym pobiegła, znów by mnie pewnie znalazł. Nie miałam się gdzie schować. Mogłabym rzucić drugim nożem i może go powstrzymać, a może nie. Znowu by do mnie strzelił.

Pomyślałam, że lepiej stawić mu czoło tu i teraz.

Drżąc, zawróciłam i zbliżyłam się do niego. Leżał na ziemi, pierś unosiła się szybko i opadała; próbował się podnieść. Broń wypadła mu z dłoni i poleciała kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Rzucił się w jej stronę, kiedy mnie zauważył, ale ja zrobiłam to samo. Byłam szybsza o ułamek sekundy; wyprostowałam się, mierząc do niego.

Popatrzył na mnie złym wzrokiem.

- Nie zrobisz tego.

- Wciąż nosisz w sobie mój sztylet, jak najmodniejszy w tym roku gadżet. Oczywiście, że cię zastrzelę.

Drżałam teraz znacznie bardziej, ciężar broni stał się prawie nie do zniesienia.

Przestał spoglądać groźnie, a na jego ustach pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

- Chcesz iść do więzienia za morderstwo, słodziutka?

- Chcę przeżyć i oboje wiemy, że będzie to działanie w samoobronie. - Palec drgnął mi na spuście. Prędeżyj, Cole. - Dlaczego pracujesz dla Animy? - spytałam, by zyskać na czasie.

- A dlaczego nie? Płaca jest przyzwoita.

- Nie obchodzi cię, że firma nie jest zainteresowana niszczeniem zombi? Że próbuje na nich zarabiać?

Posłał mi spojrzenie pełne politowania.

- Nie wstawiaj mi gadki o tym, co jest dobre, a co złe. Walczyłbym po twojej stronie, gdyby płaca była odpowiednia. - Mówiąc, przesunął się nieznacznie.

Coś kombinował.

Strzeliłam, a siła odrzutu szarpnęła mi ręką.

Jęknął i podciągnął nogę do piersi.

- Rusz się jeszcze raz, a przedziurawię ci drugą - ostrzegłam.

Obrzucił mnie wiązką przekleństw.

- Zapłacisz mi za to, mała.

Groźby? Poważnie?

Przestrzeliłam mu drugą nogę. Tak dla zasady.

Kiedy związał się z bólu, usłyszałam szelest krzewów po lewej stronie. Rozległ się głośny tupot. Cofnęłam się, gotowa uciekać. Albo się ukryć. Albo jedno i drugie.

- Ali! - zawołał Cole.

- Tutaj! - odkrzyknęłam, nie posiadając się z radości.

Nagle pojawili się przede mną - Cole i Veronica.

Zabrał ją ze sobą.

Wydawało się, że ocenił sytuację jednym spojrzeniem. Rzucił się na mężczyznę i zaczął go okładać, zadając mu cios za ciosem. Broń wypadła mi z dłoni, a kolana ugięły się pod mną.

Teraz, kiedy już byłam bezpieczna, siły opuściły mnie całkowicie. Zamykając oczy, zdążyłam dostrzec, że Veronica patrzy, jak Cole bije tamtego do nieprzytomności. Jej twarz nie zdradzała niczego. Ani śladu wyrzutów sumienia z powodu tego, co działo się z pracownikiem Animy.

Może i ona nie była szpiegiem.

Popłacz jeszcze trochę

Bum!

Ten dźwięk odbijał się echem w mojej głowie. Dysząc, usiadłam gwałtownie. Lał się ze mnie pot, puls w każdym miejscu ciała uderzał w rytm ogłuszającego bębna.

- Wszystko w porządku. Jestem tu.

Głos Cole'a. Silne dłonie położyły mnie z powrotem na materacu.

Zamrugalam, żeby widzieć wyraźniej, ale powitała mnie jedynie ciemność.

- Gdzie jestem? - wychrypiałam, a te słowa drapały mnie boleśnie w zdarte gardło.

- U Ankha. Zbadał cię. Twierdzi, że masz potłuczone żebra i kilka zadrapań, ale poza tym nic ci nie jest.

Fala paniki ustąpiła i teraz, kiedy czułam, co mnie boli i kłuże, powróciły wspomnienia. Przeżyłam kolejny wypadek, ale inni zginęli.

Ścigano mnie, niemal zginęłam. Być może zabiłam innego człowieka. Paliły mnie łyzy; pociągnęłam żałośnie nosem – może nawet nie jeden raz.

Cole ujął moje palce i ścisnął.

Szczelina w moim sercu otworzyła się nieco szerzej, zaczęło przez nią wnikać ciepło, dopóki nie przypomniałam sobie czegoś jeszcze. Zjawił się w lesie z Veronicą. Wyrwałam dłoń.

– Ali – powiedział. Chwila milczenia. Potem warknął: – Możecie zostawić nas na chwilę?

Rany. Gdzie...

– Proszę nam powiedzieć, co się stało, panno Bell – odezwał się pan Ankh, a ja uświadomiłam sobie, że Cole nie mówił do mnie.

Spojrzałam ponad jego ramieniem. Albo próbowałam. Ciemność była zbyt gęsta, bym mogła ją przeniknąć.

– Jestem ślepa?! – krzyknęłam.

– Co? – spytał Cole. – Nie, oczywiście, że nie. Jeśli masz kłopoty z widzeniem, to dlatego, że dym podrażnił ci oczy. Położyliśmy na nie trochę maści. Nie martw się. Wyzdrowiejesz.

Okay. Wobec tego okay.

– Będę musiała zadzwonić do kawiarni. Uprzedzić, że nie przyjdę do pracy.

- Już się tym zajęliśmy - uspokoił mnie Cole. - Powiedzieliśmy, że miałaś wypadek.

- Babcia...

- Wie, że żyjesz i że nic ci nie jest. Skontaktowałem się z nią i zapewniłem, że spróbuję odwiedzić cię do domu przed jedenastą.

- A która jest?

- Ósma.

Jeszcze trzy godziny; potem będę w domu. Wytrzymam przez ten czas?

- Panno Bell - przynaglił mnie pan Ankh.

Wciąż nie byłam jego wielbicielek, ale słowa wylewały się ze mnie. Powiedziałam mu o doktorze Bendarim. Powiedziałam mu o zdjęciach i o tym, czego się dowiedziałam o swoim stanie i antidotum. O Strzelcu, dwóch kierowcach i pościgu przez las.

Żałowałam, że nie widzę jego twarzy i że nie mogę osądzić jej wyrazu.

- Znaleźliśmy zdjęcia w twoim plecaku - wyjaśnił.

- Pozostałe musiały spłonąć.

Lepsze to niż nic.

- Które udało mi się ocalić?

- Jedno z siostrą Justina. Cztery z laboratorium Animy i dwa z ekranem komputera, na którym

widnieje formuła. Chodzi o udoskonalenie antidotum, jak przypuszczam.

Niezła zdobycz.

Pan Holland odchrząknął, przyciągając moją uwagę.

- Strzelec, którego Cole tu sprowadził, uciekł z klatki w lochu. Nie mamy pojęcia jak. Był osłabiony z powodu upływu krwi. Nie mógłby długo przeżyć bez opieki lekarskiej, ale o ile nam wiadomo, nie znaleziono żadnych zwłok. Wciąż może przebywać na wolności.

Pan Holland właśnie próbował mi powiedzieć, nie wzbudzając mojej paniki, że facet wciąż mógł na mnie polować. W tym momencie jednak, przebywając w tym bezpiecznym miejscu, nie przejmowałam się tym za bardzo.

- Zbadam ci teraz oczy - oznajmił pan Ankh.

Kroki. Otarł mi delikatnie powieki wacikiem, potem błysnął w twarz przyćmionym światłem.

- Nie rozumiem... Ach, w porządku. Już reagujesz.

Ciemność zaczęła się wreszcie rozpraszać.

- Już jest lepiej - zauważyłam.

- To dobrze. Przeprowadziliśmy kilka testów i okazało się, że poziom twojej toksyny znacznie się obniżył.

- Pomogło nowe antidotum.
- Nowe?
- Znajdziecie kilka fiolek w moim plecaku.
- Wezmę jedną i sprawdzę, czy uda mi się skopiować ten lek. Pozostałe zabierzesz ze sobą do domu.
- Dziękuję.

Odsunął się, jego miejsce zajął Cole. Nasze spojrzenia się zwały, fiolet przeciwko błękitowi. Pragnienie przeciwko... Nie bardzo wiedziałam, co chcę mu przekazać. My...

...staliśmy w mojej sypialni. Na jego twarzy malowały się udręka i smutek, kiedy mierzył do mnie z kuszy.

„Przepraszam” - powiedział.

„Cole...”

...znów byliśmy w piwnicy pana Ankha.

Zamrugalam zdumiona. Nic nas nie rozproszyło ani nam nie przeszkodziło; nie stało się nic, co zwykle kończyło wizje. Ta przerwała się sama.

Bo strzelił do mnie, a ja umarłam? Nieważne. Przynajmniej zdarzyła się nam wizja. To oznaczało, że odzyskuję częściowo normalność. Było ze mną lepiej.

Jak długo jednak miało to trwać?

Najwidoczniej zamierzałam zrobić coś tak strasznego, że Cole uznał, iż ma tylko jedno wyjście: zabić mnie. Trudno było mi nawet o tym myśleć.

- Nie wyceluję do ciebie z kuszy - oznajmił zdecydowanie. - Nie zrobię tego. Nigdy.

Skinęłam głową. Co w gruncie rzeczy mogłam powiedzieć?

Jemu to nie wystarczało.

- Miałaś wcześniej rację. Wizje muszą oznaczać coś innego.

Żywiłam głęboką nadzieję, że tak jest.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić - zapewnił. - Zaufaj mi. Proszę.

Te same słowa, które raz - cztery razy? - usłyszał ode mnie.

- Okay - odparłam, on zaś odetchnął z ulgą. Dość miałam zmartwień na głowie.

- Cole, zadzwoń do Justina i poproś, żeby tu przyszedł - zwrócił się do syna pan Holland. - Muszę mu powiedzieć o jego siostrze.

Popatrzyłam i ujrzałam go stojącego obok zasłony oddzielającej mój „pokój” od pozostałych.

- Ja mu powiem. - Moja deklaracja sprowokowała pytające spojrzenia. - Wiem, jak to jest stracić rodzinę. I wiem, że wy też wiecie - dodałam

pospiesznie. Wszyscy stracili kogoś w tej wojnie. – Ale w moim przypadku strata jest wciąż świeża. Jaclyn była jego bliźniaczą siostrą, kochał ją bardziej niż siebie samego. To samo czułam w stosunku do Emmy.

Pan Ankh westchnął.

– W porządku.

Cole zadzwonił.

Niebawem pan Holland przyprowadził Justina do mojego łóżka. Usiadł naprzeciwko Cole'a, jego twarz nic nie wyrażała. Nie miał pojęcia, dlaczego tu jest. Broda mi drżała, kiedy oznajmiłam:

– Słuchaj, Justin, spotkałam się z pewnym człowiekiem. Doktorem Bendarim.

Skinął głową.

– Wspominałaś o nim wcześniej.

– Tak. Został... został zabity na moich oczach. – Po policzkach ciekły mi palące łzy. Byłam pewna, że zostawiają wyraźne ślady.

Twarz Justina złagodniała.

– Przykro mi.

– Zanim umarł, powiedział mi, że twoja siostra...

Zerwał się z bolesnym jękiem, odsuwając hałaśliwie krzesło.

– Wiem. Nie mów tego. Nie śmiej tego mówić.

– Wiesz? – spytał Cole.

Justin zamknął oczy, odetchnął urywanie. Ale to było wszystko, jedyna reakcja. Mimo to krwawiło mi serce. Nie dziwiło mnie jego zachowanie, bo sama się tak zachowywałam. Chowałam swój żal do pudła i wpychałam je gdzieś bardzo głęboko.

Wiedziałam, że będzie się czuł lepiej przez jakiś czas. I że potem, pewnego dnia, ktoś się zjawi i coś powie albo on sam coś zobaczy, i wtedy pudło zacznie się otwierać. Wszystkie te negatywne emocje zaczną się wylewać, a on nie zdoła ich powstrzymać. I załamie się.

- Ich szef, pan K., pokazał mi zdjęcia.

- Pan K.? - spytał ojciec Cole'a. - Co znaczy to „K”?

- Nie wiem. Tak go wszyscy nazywają. - Uniósł brodę. - Pan K. powiedział mi, że ty, Cole, jesteś za to odpowiedzialny i że powinienem się zemścić. Ale że nie mogę cię zabić. Miałem cię po prostu szpiegować. - Uśmiechnął się do nas zimno. - Nie zdawał sobie sprawy, że znam was dobrze i że wiem, że nigdy nie skrzywdziłbyś mojej siostry. Że to on jest winien. Więc przekazałam mu jakieś informacje, ale nic istotnego. Żeby myślał, że się zgodziłem na jego grę.

- Czyli ty jesteś szpiegiem - rzucił przez zaciśnięte zęby Cole. - I kazałeś mi gonić za cieniem? Po co? Żeby odwrócić moją uwagę?

- Szpieg? - spytali jednocześnie pan Holland i pan Ankh.

- Nie. - Justin wsadził ręce do kieszeni. - Macie pośród siebie zdrajcę. Nigdy nie kłamałem w tej sprawie, po prostu nie wiem, kto to jest. Każda informacja, którą ci przekazałem, jest prawdziwa. Chcę, żeby Anima została zniszczona, i jestem gotów ci w tym pomóc.

Zawziętość malująca się na jego twarzy, chłodna determinacja w głosie, nienawiść, którą emanował - wszystko to przypominało krzyk: „Mówię prawdę!”.

- Szpieg - powtórzył pan Holland.

- Później o tym z tobą porozmawiam. - Cole skinął sztywno głową Justinowi, dając mu znak, żeby kontynuował.

- Moi rodzice sądzą, że Jace uciekła. Martwią się o nią, mama nawet płacze, ale nie mogę się zdobyć na to, by powiedzieć im, że ona... że ona... Ponieważ nie mogę tego udowodnić i nie mogę odpowiedzieć na ich pytania. Teraz wiecie wszystko, co ja wiem. Wyjaśniliśmy sprawę. - Odwrócił się i wyszedł.

Cole wstał, żeby za nim ruszyć, ale chwyciłam go za rękę.

- Daj spokój. Chce być teraz sam.

Pan Ankh i pan Holland patrzyli, jak Cole siada z powrotem.

- Zostawcie nas samych - poprosił, machając ręką.

Pan Holland przewrócił wymownie oczami i wyszedł. Pan Ankh otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu też opuścił pomieszczenie.

- Wiem, że masz prawdopodobnie więcej pytań, ale najpierw chcę z tobą porozmawiać o Veronice. O tym, co się stało po naszym rozstaniu.

- Nie - odparłam, czując nagły przypływ gniewu. Nie zamierzał przerywać.

- Powiedziałem ci, że wystartowała do mnie, i nie kłamałem, ale nie powiedziałem ci, że ją powstrzymałem, zanim... zanim wiesz co. I nie masz chyba pojęcia, jak trudne to było. W takiej sytuacji nie zawsze ma znaczenie to, czy facetowi podoba się dziewczyna, czy woli kogoś innego.

- Mam ci dać medal? - odwarknęłam. Wciąż nie mogłam myśleć o tym, co robili.

- Tak. Nie. - Uderzył w geście desperacji głową o brzeg mojego łóżka. - Spieprzyłem to. Znowu.

- Nie ma powodu tego analizować.

Podniósł wzrok i popatrzył na mnie błagalnie.

- Jest powód. Kiedy zadzwoniłaś do mnie, byłem z nią. - Ujął moją dłoń i przytrzymał mocno, żebym nie mogła jej wyrwać. - Nic się nie działo, wierz mi. Mówiłem jej właśnie, że nie skończyłem z tobą, że nie skończę i że nie będę z nikim prócz ciebie.

Poczułam, jak serce się we mnie zapada.

Chciałam ustąpić - tak bardzo. Nie mogę ustąpić.

Ostrzegłam go.

Powoli, krok po kroku. Niech twoja odmowa nie będzie ostateczna. W przeciwnym razie rozpadnę się na kawałki.

Pierwszy krok.

- Cole - powiedziałaś, skubiąc niepewnie pościel. - Nie. Nic z tego. Nie trwasz w związkach, tylko od nich uciekasz, a ja nie mogę przeżywać kolejnego rozstania.

Ścisnął moją dłoń jeszcze mocniej.

- Mała poprawka. Uciekałem przez związkami. Teraz potrafię wytrwać. Wiem o tym. Doszło to do mnie. Pozwalałem, by strach podejmował za mnie decyzje. Zawsze tak bardzo bałem się kogoś utracić, że wyczekiwałem z niecierpliwością końca. Nie tylko z tobą, ale ze wszystkimi swoimi dziewczynami.

Czy jakaś dziewczyna mogłaby tańczyć z radości i jednocześnie szlochać z rozpacz?

Drugi krok.

- Cieszę się, że to sobie uświadomiłeś i że jesteś gotów przy tym wytrwać, ale co będzie, jeśli uświadomisz sobie też, że nigdy nie skończyłeś z tymi innymi dziewczynami?

- To niemożliwe. Chcę ciebie. Wiem, że mnie ostrzegłaś, mówiłaś, żebym nawet nie myślał o tym, żeby przyczołgać się z powrotem. Wiem, że spieprzyłem sprawę w najgorszy możliwy sposób i mogę obiecać, że to się nigdy więcej nie stanie. Wiem, ale wciąż zależy mi na tobie jak na nikim innym.

Mogłabym załkać.

Trzeci krok, najtrudniejszy.

- Cole...

- Cii, maleńka. Proszę, posłuchaj mnie. Jesteś częścią mnie samego i wezmę wszystko, co zechcesz mi dać, tak długo, jak będziesz gotowa mi to dawać. - Pospieszył z wyjaśnieniem: - Porzuciłem wiele dziewcząt. Czasem to bolało. Czasem nie. Ale zawsze otrząsałem się z tego i sądziłem, że jest mi lepiej. Nie otrząsałem się po tobie, Ali, i na pewno nie jest mi lepiej. Potrzebuję cię. Proszę - powtórzył.

Kolejna próba trzeciego kroku.

- Nie - wyszeptałam. Razem przypominaliśmy kolejkę górską. W górę, w dół. Czasem trzeba po prostu zrezygnować z jazdy. - Moja odpowiedź brzmi „nie”.

Nie dał się zniechęcić.

- Poddałem się zbyt łatwo i nie zamierzam popełnić tego błędu po raz drugi. Powinienem być walczyć o ciebie, tak jak powiedziałaś. Zdaję sobie teraz z tego sprawę. Nie ufałem ci. No cóż, teraz zamierzam ci ufać, ponieważ nie potrafię żyć z konsekwencjami nieufności wobec ciebie.

Mówiąc - każde jego słowo wyrażało najgłębszą tęsknotę - nachylał się ku mnie. Chłonełam te słowa, tak piękne i upragnione. Kojące. Tak bardzo chciałam wyjść mu naprzeciw.

Do oczu napłynęły mi łzy, rozlały się. Czwarty krok. Ostatni.

- Przykro mi. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Kochanie, nie płacz. Nie mogę znieść myśli, że sprawiłem ci ból. - Otarł mi łzy kciukiem. - Okay, nie będziemy teraz o tym mówić. - Odetchnął. - Porozmawiajmy o szpiegu.

No i załkałam.

- Tak. Dobrze.

- Wiem, że podejrzewamy Gavina i Veronicę...

- Nie podejrzewam ich - powiedziałam, starając się za wszelką cenę zachować spokój. - Wszystko mi mówi, że są niewinni.

Skinął głową.

- Okay. Powiedziałem, że ci ufam, i tak jest. I zawsze będzie. We wszystkim, pod każdym względem.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować.

Przełknęłam.

- Pozostają Kat, Reeve i Ethan - dodał, przerywając milczenie.

- Ethan jest jedyną niewiadomą.

- Zaczniemy więc od niego.

Zaczniemy, powiedział. To znaczy „my”.

Owionął mnie podmuch powietrza; zadrżałam z zimna.

- Mogę cię przytulić?

Próbowałam powiedzieć „nie”, naprawdę próbowałam. Zaznałam już ostatniego pocałunku. Teraz miałam zaznać po raz ostatni jego objęć.

Położył się obok mnie i przyciągnął do siebie.

Tęskniłam za nim. Tęskniłam za tym. Jego ciepło otulało mnie, jego siła przynosiła ukojenie.

Bez znaczenia...

Racja.

- Znaleźliśmy w lesie twój telefon, przetrząsając teren w poszukiwaniu zdjęć. Możesz przesłać babci wiadomość. - Wyjął z kieszeni moją komórkę.

Przyjęłam ją z wdzięcznością i nadałam do babci esemesa z informacją, że nic mi nie jest, że ją kocham i że będę w domu przed jedenastą, tak jak obiecał Cole. Odpowiedziała natychmiast. „Nigdy więcej nie przysparzaj mi takich zmartwień”.

Ja: „Zrobię, co w mojej mocy”.

- Spytaj mnie o coś - poprosił Cole, kiedy już położyłam telefon na wózku obok łóżka.

- O co na przykład? - odparłam zdziwiona.

- O wszystko, co chcesz wiedzieć. Ty będziesz pytać, ja będę odpowiadać. Chcę, żebyś poznała mnie lepiej. Wcześniej mówiłaś, że nie znamy się zbyt dobrze, że to wizje nas złączyły.

Carte blanche? Tak, proszę. Więc na pewno to bez znaczenia?

- Z kim zrobiłeś to po raz pierwszy?

Prychnął.

- Rany, nieźle. Nie bawisz się w sentymenty, co? Do twojej wiadomości, zwykle nie rozmawiam o tego rodzaju szczegółach z nikim. Dla ciebie jednak... Miałem piętnaście lat, ona dwadzieścia

jeden, to była córka jednej z przyjaciółek mojej matki. Trwało to około pięciu minut.

Próbowałam zapanować nad śmiechem, ale nie udało mi się.

- Hm, nie powinnam wyśmiewać się z twoich niezwykle ubogich zdolności uwodzicielskich. Ponieważ, Cole, ta zboczona kobieta wykorzystwała do cna twoją dziecięcą niewinność.

Parsknął śmiechem, ten dźwięk był chrapliwy, ale jakże miły dla ucha.

- Jesteś niesamowicie urocza.

- Dlaczego? To prawda, co powiedziałam.

- Może.

Żadne „może”.

- Gdyby jakiś dwudziestojednoletni mężczyzna uprawiał ze mną seks, a ja miałabym piętnaście lat, to też by cię to bawiło?

Od razu spoważniał.

- Okay. Rozumiem.

- Powiedz mi, jak ma na imię. Zamierzam ją wytropić i wepchnąć jej do gardła zęby.

- Brzmi atrakcyjnie, ale nie. Ta kobieta należy do przeszłości, o której chciałbym teraz zapomnieć. Ale cieszę się, że nigdy z nikim nie spałaś. Nie podoba mi się myśl, że mogłabyś być z kimś innym.

Prawdopodobnie nakarmiłbym skur... hm, tego faceta czymś więcej niż tylko zębami.

Muszę się oprzeć tej władczej, czarującej stronie jego osobowości.

- Mogę zadać jeszcze jakieś pytanie?

- Tyle, ile zechcesz.

Sprawił wrażenie zdeterminowanego.

Przyszło mi do głowy, że będzie tego żałował.

- Spałeś z Veronicą?

Zesztywniał, ale nie zawahał się przed odpowiedzią.

- Tak. Ale to się wydarzyło ponad rok temu, kiedy jeszcze chodziliśmy ze sobą.

- Mackenzie?

- Tak. Wiele miesięcy temu, przez krótki czas, kiedy już przestaliśmy się spotykać. Potem poznałem ciebie i to był koniec.

- Inne?

- Tak. Chcesz znać dokładną liczbę?

- Nie - mruknęłam. Tak. Może. - Czy jestem jedyną z twoich dziewczyn, która nie poszła z tobą na całość?

- Nie - odparł. - Ale nie zmieniałbym nic w tym, co robiliśmy, i nic w tym, czego nie robiliśmy. Chciałem... Chcę, żebyś była gotowa, a nie żebyś

spała ze mną, bo tego się po tobie oczekuje. Mógłbym czekać na ciebie całą wieczność.

Och, wielkie nieba, to jednak coś oznaczało.

Jesteś pewna, że musisz mu się opierać?

- Tak, no cóż. Może będziesz musiał. - Odchrząknęłam. - Teraz raczej uwaga niż pytanie.

Poczułam napięcie w ręce, którą mnie obejmował.

- Mów.

- Czasem nadajesz Mackenzie i Veronice czułe przydomki. Kenz i Ronny. To bolesne dla dziewczyny, z którą jesteś.

- Naprawdę tak robię? - Bawił się końcówkami moich włosów. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy. To nawyk, jak mi się zdaje. Rozstaliśmy się jak przyjaciele.

- No cóż, my nie - przypomniałam, teraz też odrobinę zraniona. - To znaczy próbowaliśmy, ale najwyraźniej nam nie wychodziło.

Zacisnął usta, żeby stłumić... grymas zdziwienia? Uśmiech?

- Gadanie. Dziecinko, wciąż cię pragnąłem, wciąż uważałem, że do mnie należysz, i nie chciałem się tobą dzielić z Gavinem. Nie było miejsca na przyjaźń.

Zaraz umrę...

Pocałował mnie w skroń.

- Dość tej pogawędki. Mamy dwie i pół godziny, potem muszę odwieźć cię do domu, a chcę, żebyś odpoczęła. Jeśli poczujesz się lepiej do czwartku wieczorem, zamierzam cię zabrać na przyjęcie. Świątujemy zwycięstwo Tygrysów w tym sezonie. A ponieważ w piątek nie ma lekcji, wszyscy zaczynają weekend wcześniej.

Okazja, by zachowywać się normalnie.

- Pójdę na przyjęcie, tak czy inaczej. I nie jestem zmęczona.

Zachichotał.

- Pewnie, że nie. Powieki ci już opadają.

- Nieprawda...

Nie pamiętam, żebym dokończyła to zdanie.

*

Obudziłam się w ramionach Cole'a.

Odezwał się alarm w mojej komórce. Musiał go nastawić, zanim zasnął. Nawet nie drgnął, na jego twarzy malowało się odprężenie, miała niemal chłopięcy wyraz. Uśmiechnęłam się, zalała mnie wielka fala czułości. Patrząc na niego teraz, nikt by się nie domyślił, że jest bezwzględnym zabójcą.

Obok łóżka siedziała Trina, czytając książkę. Kiedy się poruszyłam, podniosła wzrok znad kartki, powiedziała: „Najwyższy czas” i zamknęła książkę.

- Chcę, żebyś wiedziała, że się zaniepokoiłam, kiedy obejrzałam to nagranie, na którym atakujesz Cole'a tak zapamiętałe. Wciąż tego nie rozumiem, ale przykro mi, że nigdy nie dałam ci szansy się wytłumaczyć.

- Dziękuję - powiedziałam, i to szczerze.

Do pokoju wkroczyła Mackenzie.

- Usłyszałam głosy - oznajmiła. - Hej.

- Hej - odparłam.

- Wyglądasz lepiej.

- Dzięki.

Cole poruszył się i przeciągnął.

- Okay, czas, żebyśmy się zmyły. - Trina wstała.

- Ale dopiero co przyszłam - zaprotestowała Mackenzie.

Trina pchnęła ją w stronę wyjścia.

- Ali, wyświadczyć sobie przysługę i weź prysznic, zanim się obudzi. Poważnie.

Wyglądałam aż tak źle?

Obie wyszły. Zsunęłam się z łóżka i niemal upadłam na podłogę, kiedy moje kolana ugięły się pod ciężarem ciała. Tuż obok była łazienka i choć

myślałam z niepokojem o tym, żeby spojrzeć w lustro, zrobiłam to.

Tak, wyglądałam aż tak źle.

Nie dostrzegłam nawet śladu A.Z., dzięki Bogu, ale włosy miałam ułożone w stylu, który można by określić jako „Najpaskudniejsze szcurze gniazdo zeszłego roku”. Na policzku miałam wielki czarny siniec, na wardze rozcięcie, a na brodzie guza. Ależ to ładne.

Ktoś rozciął moje poplamione krwią ubranie i włożył na mnie cienką jak papier koszulę szpitalną. Pomyślałam, że nie chciałabym być w takim stanie, kiedy Cole zobaczy mnie nagą ten pierwszy raz.

Zaraz. Kiedy?

Właśnie mu powiedziałam, że się nie zejdziemy.

Mówiłam poważnie. Czyż nie?

Teraz, wracając do tej rozmowy, gdy mgła bólu, gniewu i pragnienia opadła, nie byłam już taka pewna. Trzymanie się od niego z daleka nie miało na dobrą sprawę nic z kolejki górskiej. Nigdy taką nie jechałam, ale mogłam się założyć, że to ekscytujące. Tak musiało być; ludzie wciąż do nich wsiadali, spragnieni wrażeń.

Czy karałam go za ból, który mi sprawił? Czy też po prostu bałam się, że znów go stracę, i robiłam dokładnie to samo co on?

Zamyślona, wzięłam szybki prysznic, ubrałam się w podkoszulek i spodnie od dresu, które pan Ankh trzymał w szufladzie. To pierwsze pasowało idealnie. To drugie ledwie sięgało mi łydek. Niestety, pan Ankh nie miał szuflady wypełnionej po brzegi stanikami i majtkami, musiałam się więc obyć bez bielizny - alternatywą było włożenie brudnej. Umyłam zęby i uczesałam się, skrzywiona z bólu. Wreszcie wynurzyłam się z łazienki w chmurze pary.

Cole nie ruszył się z łóżka, ale teraz siedział i przyglądał mi się, powieki miał ciężkie. Przesunął po mnie spojrzeniem, zatrzymując się na dłużej na pewnych miejscach.

- Chodź tu - powiedział głosem stłumionym i chrapliwym z pożądania.

- Powinniśmy pewnie już iść - odparłam wykrętnie.

- Pójdziemy. Najpierw chcę cię pocałować.

- Nie powinieneś... nie powinnam...

- Będiesz zadowolona, że to zrobiliśmy - oznajmił cicho, niemal wstydliwie.

Jak mogłam się oprzeć tej nowej stronie jego osobowości?

Jeszcze jednej. Ile ich miał? Czy ulegałabym każdej z nich?

Wpełzłam na niego.

Dużymi dłońmi objął delikatnie moje policzki, zgrubienia na palcach tarły mi skórę w rozkoszny sposób. Poruszając się powoli, dając mi czas, bym go powstrzymała, podniósł głowę i przywarł do mnie wargami.

Rozcięcie zabolowało trochę, ale nie dbałam o to. Całowałam go z całym pragnieniem, które we mnie wezbrało. Pragnieniem, by go smakować. Pragnieniem, by brać z niego i dawać z siebie. Pragnieniem, by go naznaczyć, uczynić moim. Całkowicie moim.

Kiedy nasze języki zmagaly się ze sobą, przesunął się, przekręcając mnie na bok, i założył sobie moją nogę na biodro. Teraz stworzył idealną kołyskę dla nas dwojga i mógł się przysunąć do mnie bliżej, scalając niemal nasze ciała, ocierając się o mnie, raz, dwa razy.

- Czujesz się dostatecznie dobrze, żeby to robić?
- spytał ochryple.
- Przestań gadać, tylko całuj.

Zaśmiał się cicho, a ja skubałam zębami jego dolną wargę.

- Powiedz mi, jeśli sprawię ci ból.

- Wciąż gadasz.

Wsunęłam mu dłonie pod koszulę i ściągnęłam ją z niego. Chwytał brzeg mojej i po chwili wiedziałam tylko tyle, że cisnął ją przez ramię.

Moją skórę musnęło zimne powietrze, ale żar emanujący z jego ciała szybko przepędził chłód, przemienił nawet moją krew w lawę. Otoczyłam go ramionami, drapałam paznokciami plecy. Przez cały czas ocierał się o mnie, tam i z powrotem, napierając, cofając się, napierając... o, tak... właśnie... tak.

- Ali - tchnął mi w twarz.

Owionęła mnie najbardziej zdumiewająca woń. Czysta, rześka. Znajoma.

Pojawił się niepowstrzymany impuls. *Ugryźć.*

- Ali - powtórzył.

Oblizalam wargi.

- Cole.

Gdybym zdołała przebić się przez jego skórę, żyły i kości, to mogłabym dotrzeć do tego, czego pragnęłam. Do jego serca. Do...

Nie! Cofnęłam się gwałtownie i spadłam z łóżka.

- Potrzebuję antidotum z plecaka - wypaliłam, przemykając w stronę ściany. - Teraz. Proszę.

Nie zadawał żadnych pytań. Zerwał się z łóżka, pogrzebał w plecaku i pospieszył do mnie. Najpierw ostre ukłucie w szyję, potem zimna rzeka rozlewająca się po żyłach. Mimo wszystko ta rzeka nie pochłonęła grozy, którą napawało mnie to, co chciałam uczynić.

Cole został przy mnie, a ja wciąż czułam jego zapach. Moje spojrzenie zatrzymało się na jego łomoczącym pulsie, a usta zwilgotniały.

- Więcej - powiedziałam.

- To za dużo.

- Zrób to.

Wydając z siebie głuchy pomruk, znowu podszedł do plecaka i wyjął drugą strzykawkę. Wbił we mnie igłę z jeszcze większą siłą i ponownie zalała mnie lodowata fala. Moja fascynacja jego pulsem przygasła stopniowo. Cudowna woń zaniknęła. Osunęłam się na zimną, twardą podłogę, płacząc.

- Lepiej? - spytał.

- Lepiej.

- Więc skąd te łzy? - Przesunął palcami po grzbiecie mojego nosa. - Zawołam Ankha. Może...

- Nie. Żadnych więcej badań. - Wiedzieliśmy już, co jest nie tak. - Chcę tylko wrócić do domu.

Pragnęłam uściskać babcię. Odpocząć, nabrać sił. Wierzyłam, że zanim Cole zabierze mnie na przyjęcie, będę jak nowo narodzona. Proszę.

- W porządku, ale najpierw włożymy na ciebie koszulę - powiedział, a ja dosłyszałam w jego głosie nutkę humoru.

Och, daj mi klapsa. Jak powiedziałaaby Kat. Leżałam wyciągnięta na podłodze, półnaga. Bez stanika.

Zarumieniłam się i położyłam dłonie na piersiach.

- Dobry pomysł.

- Znam lepsze - oznajmił sucho. - Ale sądzę, że twoja babcia by ich nie pochwaliła.

- Chyba masz rację.

Uśmiechnął się i przez chwilę czułam, że wszystko naprawdę będzie dobrze.

- Chodź - powiedział. - Odwiozę cię do domu.

Nie ma powrotu do dnia wczorajszego

Babcia czekała na mnie, a ja ją uściskałam, tak jak było to zaplanowane. Przyjrzała mi się od stóp do głów, rozczulając się nad moimi sińcami i zadrapaniami.

- Tak się cieszę, że nic ci nie jest. Kiedy Cole zadzwonił i powiedział, że miałaś wypadek samochodowy, dostałam niemal zawału.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Ali, nie wiem, co by było, gdybym cię straciła.

- Babciu, ja... - Nic mi nie przychodziło do głowy.

- Wiem, że walczysz w imię dobrej sprawy, ale to dla mnie czasem trudne. Czekać i się zamartwiać.

- Przepraszam - powtórzyłam, nie mogłam jednak obiecać, że przepoczwarzę się w normalną nastolatkę z normalnymi problemami, i obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę.

- Tak, no cóż, dość już o tym. - Krzątając się po kuchni, żeby zrobić mi kanapkę, zmieniła temat. - Zeszliście się z Cole'em? Czy może spotykasz się z dwoma ciachami jednocześnie? A może jesteś singielką i po prostu grasz w kulki?

Ciacha? Gram w kulki?

- Nie, Cole i ja nie jesteśmy razem, ale idziemy na przyjęcie we czwartek. A Gavin... No cóż, pozostaniemy tylko przyjaciółmi.

- Myślę, że może powinnaś przemyśleć sprawy, jeśli chodzi o Cole'a. Jest w sam raz dla ciebie. Rozpromieniasz się, kiedy go widzisz, a on potrafi wywołać uśmiech na twojej twarzy. To coś, co udaje się tylko nielicznym.

Tak rzadko się uśmiechałam? Nie zauważyłam tego.

Podsunęła mi kanapkę, a kiedy już zjadłam ostatni okruszek, włożyła talerz do zlewu i poklepała mnie po ramieniu.

- Ali, kochanie, wiem, że twoja mama rozmawiała z tobą o... No wiesz, seksie, więc nie muszę ci przypominać o chorobach przenoszonych drogą płciową i dzieciach.

Niech mnie ktoś zabije.

- Słusznie. Nie musisz - zdołałam z siebie wydusić.

- Ale i tak zamierzam o tym wspomnieć. Czytałam, że nastolatki są zbyt zażenowane, żeby kupować kondomy, i między innymi dlatego tak wiele zachodzi w ciążę, więc jeśli kiedykolwiek zechcesz, no wiesz, żebym kupiła ci prezerwatywy, to proszę, po prostu mi powiedz. Co nie znaczy, żebym pochwałała seks w twoim wieku. Nie pochwalam. Naprawdę uważam, że powinnaś poczekać, aż twoje uczucia będą równie gotowe, jak twoje ciało.

Zabijcie mnie. Poważnie. Strzałem w głowę. Nożem w brzuch. Obie metody spełnią zadanie.

- Ja i Cole nie uprawialiśmy seksu.

- Ale sądząc po tym, jak na niego patrzysz, rozważasz to i domyślam się, że byliście bardzo blisko...

- Babciu, proszę.

- Och, w porządku. Nie chcę tylko patrzeć, jak ci erpisz. Seks może być dla dziewczyny poświęceniem, dla chłopca jedynie chwilą i...

- Babciu!

- Okay, okay. Idź spać - powiedziała, całując mnie w skroń. - Wyglądasz na zmordowaną.

Czując, jak płoną mi policzki, wstałam od stołu i jeszcze raz ją uściskałam.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Zobaczymy się rano, przed twoim wyjściem do szkoły.

Zasnęłam w chwili, gdy opatuliłam się miękką kołdrą.

Nie wiem, ile godzin upłynęło, zanim dostrzegłam światło sączące się przez zasłony. Nowy dzień. Zwlokłam się z łóżka; ciało miałam bardziej obolałe niż poprzedniego wieczoru. Gorący i parujący prysznic trochę pomógł, ale nie na tyle, bym nie krzywiła się z bólu, wciągając na siebie podkoszulek i dżinsy, a potem susząc rozpuszczone włosy.

Drzwi pokoju otworzyły się z głośnym jękiem zawiasów.

- Ali? - spytała babcia. - Nie śpisz już?

- Nie.

- To dobrze. Masz gościa.

Zmarszczyłam czoło.

- Kto to?

Przy jej boku pojawił się uśmiechnięty Gavin.

- Ja.

Babcia popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami.

Wzruszyłam ramionami - nie bardzo wiedziałam, dlaczego tu przyszedł - potem skinęłam jej głową, by dać do zrozumienia, że wszystko w porządku.

Przez chwilę zmagala się z niezdecydowaniem. I myślę, że w innej sytuacji – gdybym nie była zabójczynią, która potrafi zadbać o siebie, gdybym nie miała do czynienia z A.Z., bojąc się o swoje życie – to zapewne postawiłaby na swoim, a my poszlibyśmy do salonu.

- Macie dziesięć minut – oznajmiła w końcu i oddaliła się.

Gavin wszedł do pokoju, a ja byłem mu wdzięczna, że nie zamknął za sobą drzwi. Zainteresowana, wskazałem mu krzesło przy biurku, a sama usadowiłem się na brzegu łóżka, naprzeciwko niego. Roześmiał się.

- Boisz się, że wizja się urzeczywistni?

Tak. Nie. Może.

- Co tu robisz?

- Pomyślałem sobie, że odwiozę cię dziś do szkoły.

- Miło z twojej strony.

- No cóż, jestem miłym facetem.

- To zależy, z kim akurat rozmawiasz – oznajmiłem sucho, a on znów się uśmiechnął.

- Zabawna dziewczyna. – Spoważniał. – Słyszałem o wypadku i wybuchu, więc chciałem sprawdzić, jak się czujesz. Wszystko okay?

- Jestem pokiereszowana i przygnębiona faktem, że zabito człowieka na moich oczach, ale owszem. Radzę sobie.

- Przykro mi.

Skinęłam głową w odpowiedzi. Zmarszczyłam nos, wychwytyjąc jakiś zapach, który mnie rozproszył.

- Co czuję?

- Moją męskość?

Skrzyżowałam ramiona.

- Mówię poważnie.

- Co masz na myśli?

- Wydaje się, jakbyś nie mógł się zdecydować na konkretny odświeżacz powietrza, więc użyłeś wszystkich naraz.

Roześmiał się serdecznie.

- Może tak.

- Albo... spędziłeś noc z jakąś dziewczyną, może nawet nie jedną. O, mój Boże. Tak było!

Wzruszył ramionami, absolutnie niespeszony.

- Jak ty to robisz, że dziewczyny tak na ciebie lecą?

- Pomijając tę piękną twarz? - spytał, pocierając się po szczęce. - Mówię po francusku, a one to lubią.

Sapnęłam z wrażenia.

- Mówisz po francusku?

Przymrużył powieki, jakby mu ciążyły.

- *Je peux casser trois briques avec ma main.*

Powachlowałam się z uśmiechem.

Uniósł brwi.

- Seksowne, prawda?

- Nie zamierzam na to odpowiadać. No więc co powiedziałaś?

- „Potrafię rozbić dłonią trzy cegły”.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam śmiechem.

Wstał, przyciągając moje spojrzenie do wąskiego pasma skóry, która się odłoniła, kiedy brzeg jego koszuli wysunął się z džinsów. Opalone mięśnie. Piękne. Ale stwierdziłam z zadowoleniem, że wciąż nie żywię wobec niego romantycznych uczuć.

- Powinniśmy się zbierać. - Wyciągnął do mnie rękę, przebierając palcami.

Owionął mnie jego zapach i tym razem poczułam skurcze głodowe.

Żywić się.

Jęknęłam. Tylko nie to. Nie tutaj, nie teraz. Nie z nim.

Zwalcz to!

- Ali! - Wyraźnie zaniepokojony, zbliżył się do mnie.

Choć mówiłam sobie, żeby tego nie robić, chwyciłam go za przedramiona. Wspięłam się na palce i przysunęłam nos do jego szyi. *Takie dobre!*

- Ali? - Tym razem ciekawość w głosie.

- Uciekaj. - Wbrew własnemu ostrzeżeniu, obróciłam go i pchnęłam na łóżko, na które upadł plecami. Odbił się od materaca, a ja wylądowałam na nim. - Nie uciekaj. Potrzebuję cię - powiedziałam, tyle że to nie ja mówiłam tym razem. Ona mówiła.

Posłużyła się moim głosem, wykorzystując całą swoją moc, by mną zawładnąć.

Gavin zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony, ale nie zaprotestował, kiedy się nachyliłam niżej... niżej... i przycisnęłam wargi do jego szyi. Jego dłoń zaplątała się nawet w moje włosy, przytrzymując mnie... Pomagając A.Z.

- Zamknę drzwi - wyszeptał.

Przestań! - krzyknęłam w duchu. - *Proszę, przestań.*

Roześmiała się zadowolona.

- Nie.

Chwyciła go za brodę i przekreśliła mu głowę na bok, by tym łatwiej sięgnąć jego szyi. Pozwolił na to, wyginając ciało w łuk, przylegając do mojego. Przesunął dłonią po moich plecach, zacisnął palce na pośladkach.

Przesunęła moim językiem po jego gardle.

Zadrzał.

- Tak. Podoba mi się, ale jedno z nas naprawdę powinno zamknąć drzwi.

- Zapomnij o tych głupich drzwiach. - Obnażyła moje zęby.

Poczułam mocne rzemienie na ramionach; coś szarpnęło mnie do tyłu.

Próbowała uwolnić ciało i wrócić do Gavina. Tak blisko! Oczy miał szeroko rozwarte. Dyszał z wyczerpania, puls uderzał dziko. Był zaskoczony. Nie, teraz się bał. Ona przyprawiła go o strach i wiedziała, że będzie tak słodko smakował.

- Ma czerwone oczy - wysapał.

- Ali! Otrząśnij się!

Głos Cole'a.

Próbowałam coś powiedzieć. Z mojego gardła dobyło się gulgotanie.

Rzucił mnie na podłogę i przygwoździł kolanami. Wciąż się z nim zmagala, obracając mi głowę, żebym mogła wgrzyźć się w wewnętrzną stronę jego uda.

Warknął coś. Nie wiem co. Nagle obok pojawił się Gavin, który wkładał coś Cole'owi do ręki. Iglę. Iglę, którą Cole wbił mi w szyję. Skąpałam się w znajomym chłodnym strumieniu.

Osunęłam się na dywan. Cole patrzył na mnie gniewnie, fioletowe oczy rzucały błyski.

- Ali - powiedział.

- Tak - wychrypiałam.

Zsunął się ze mnie.

- Próbowałaś się nim pożywić.

Przekręciłam się na bok i zwinęłam w kłębek.

- Odejdź. Proszę.

- Ali. - Tym razem Gavin.

- Wyjdź stąd. - Cole wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

Gavin próbował wyprowadzić z pokoju babcię.

- Nic jej nie będzie? - spytała szeptem.

- Nie. Jestem przy niej. - Cole położył się ze mną, wciąż zamykając mnie w ramionach.

Obejmował mnie długą chwilę, mówiąc do mnie cichutko, gładząc mnie po włosach.

- Nienawidzę tego - wyznałam.

- Wiem.

- Przejęła władzę, Cole. Posługiwała się moim głosem, kontrolowała to, co robiłam.

- Powstrzymało ją to nowe antidotum.

- Na razie. Wiemy jednak oboje, że nie mogę żywać go bez końca.

Pocałował mnie w skroń.

- Cole.

- Tak?

- Jeśli przejmie władzę, a antidotum nie będzie działać, to chcę, żebyś...

- Nie mów tego - warknął głucho.

- ...mnie zabił - dokończyłam mimo wszystko. - Proszę.

- Nie dojdzie do tego, Ali.

Nie to mi podpowiadał instynkt. Może nadszedł czas, by powrócić do pierwotnej listy w drugiej wersji, ale z drobną korektą. Znaleźć sposób, by unieszkodliwić tkwiące we mnie zombi. Zabić tkwiące we mnie zombi. Załącznik: „Nawet jeśli będę musiała umrzeć”.

*

Przetrwałam dzień w szkole bez żadnych incydentów. Nie chciałam tam iść, ale Cole nalegał i przekonywał, że nie mogę pozwolić sobie na kolejną nieobecność. Pilnował mnie, by się upewnić, że moja zombiczna strona nie zaczyna przeważać.

Podwiózł mnie nawet do pracy, ale wrócił po godzinie i siedział w kawiarni do końca mojej zmiany. Inni pracownicy patrzyli na niego - chłopcy z przestachem, dziewczyny z ekscytacją. Wszyscy wymieniali szeptem uwagi, zastanawiając się, kto to jest i dlaczego się tu znalazł.

Myszę, że ich zaszokowałam, kiedy wyszliśmy razem.

- Zauważono gdzieś tej nocy zombi? - spytałam. Księżyc stał wysoko i był w pełni.

- Na razie nie.

- Nie powinienes zajmować się teraz poszukiwaniami?

- Zamieniłem się na nocę z Gavinem. - W jego głosie zabrzmiało napięcie. - Był mi to winien.

- Nie kłóć się z nim z mojego powodu. Z powodu tego, co się stało.

- Chcę, ale nie będę - odparł zwięźle. - Nie jesteś moja. W każdym razie nie oficjalnie. Właściwie nie zrobił nic złego.

Podwiózł mnie do domu, ale nie próbował pocałować. Nie mogłam go winić.

Nazajutrz dostałam od niego wiadomość.

„Nici z przyjęcia, przepraszam i nie porzucam cię tym razem, przysięgam. Tata wysła mnie poza miasto. Będziesz tęsknić?”

Ja: „Odmawiam odpowiedzi na to pytanie”.

On: „Zdecydowanie będę za tobą tęsknił”.

Sentymentalna dziewczyna. Moje serce poszybowało w górę.

Mogłam pójść na przyjęcie z Kat, ale po tym, co wydarzyło się z Gavinem, nie zamierzałam

ryzykować. I, szczerze mówiąc, byłam nieco wkurzona, że nie zobaczę się z Cole'em.

Wraz z upływem tygodnia dostawałam od niego przynajmniej jednego esemesa dziennie.

Piątek.

On: „Nie mogę przestać myśleć o naszym ostatnim pocałunku. Byłaś topless”.

Ja (rumieniąc się): „Dzięki za przypomnienie”.

On: „Jeśli potrzebowałaś przypomnienia, to muszę popracować nad techniką”.

Sobota.

On: „Odżywasz się prawidłowo?”.

Ja: „Tak, tatusiu”.

On: „Podoba mi się, jak to brzmi. Może klapsa?”.

Niedziela.

On: „Oglądałem dzisiaj film na kanale Hallmark i myślałem o tobie. Para bohaterów robiła to wściekle jak małpy”.

Gdzie on był? Z kim?

Te pytania zaczynały mnie dręczyć, ale nie pytałam go ani razu. Chciałam, żeby powiedział mi sam z siebie.

Poniedziałek.

On: „Słyszałem, że Z. ujawniły się zeszłej nocy w Alabamie. Jesteś ostrożna? Wiem, że wracasz z pracy do domu na piechotę – kiedy już przyjadę,

nauczę cię prowadzić samochód, koniec wymówek z twojej strony”.

Ja: „Jestem ostrożna, przysięgam. A ty?”.

On: „Skoro mam w domu coś cennego, do czego mogę wrócić? JASNE”.

Jakim cudem wszystkie te słowa sprawiały, że było mi ciepło i puszyście?

Wtorek.

On: „Śpię na sali z sześcioma innymi facetami i 3 z nich chrapie. Zastanawiam się, czy nie podać samego siebie tym wszystkim Z. na srebrnej tacy, byle się stąd wydostać”.

Ja: „Żadnych dziewcząt, które mogłyby ukoić twoje cierpienia?”.

Cóż za subtelna aluzja.

On: „Coś takiego, Ali B., czyżbym wyczuwał zazdrość?”.

Ja: „ NIE!”.

Tak. Oczywiście, że tak. Kłamałam? Naprawdę? W takiej kwestii? Byłam chyba wkurzająca.

Nie odpowiedział, a ja skręcałam się z poczucia winy.

Środa.

On: „Istnieje dla mnie tylko jedna dziewczyna”.

Potem wiadomości przestały przychodzić. Minął kolejny tydzień. Nie mogłam pozwolić sobie na

zmartwienia. Im większy stres odczuwałam, tym słabsze było moje ciało, a ja potrzebowałam go w szczytowej formie.

Pan Ankh zdołał powielić antidotum, dysponowałam więc nieograniczonym zapasem. I dopóki wstrzykiwałam je sobie trzy razy dziennie, A.Z. była trzymana w szachu.

Odhaczyć pozycję na liście: unieszkodliwiona.

Uwaga na marginesie: tymczasem.

Jak długo jednak miało potrwać to odroczenie wyroku? Niewiele dłużej, jak sądziłam.

Nie zamarzałam się jednak zamartwiać tego dnia. Razem z babcią stałam na progu drzwi prowadzących do domu Kat - szklanej przegrody między nami i ciepłem. Kiedy babcia podniosła rękę, żeby nacisnąć dzwonek, w polu widzenia pojawiła się Kat w fartuszkach. Uśmiechnęła się na nasz widok.

Była blada. Poszłam z nią kilka razy na dializy i wiedziałam, że przeszła ten zabieg zeszłego wieczoru. Poddawała się im trzy razy w tygodniu, czasem cztery i odciskały na niej swoje piętno, ale nigdy się nie skarżyła - nie częściej niż dwanaście razy.

- Wchodźcie, zanim wszystkie zamarzniemy! - powiedziała, machając na nas. Na policzkach miała

mączne smugi, a na brodzie coś czerwonego. – Och, wesołych świąt.

Tego ranka przywołałam Emmę, chcąc ujrzeć jej twarz jako pierwszą w Boże Narodzenie, tak jak wówczas, kiedy żyła. Zjawiała się z szerokim uśmiechem i jakoś nie przejmowała się tym, że jest martwa (cieleśnie) i że nasza rodzina nie jest razem. Ja też próbowałam się tym nie przejmować.

Babcia dała mi w prezencie szklane serce z maleńkimi zdjęciami w środku – mamy, taty, dziadka i siostry. Wiedziałam, że zachowam je na zawsze. Ja dałam babci bransoletkę z wisiorkami, z których każdy symbolizował członków naszej rodziny.

W salonie, wraz z tatą Kat, Garym, siedziało jeszcze dwóch facetów. Wszyscy wpatrywali się w ekran telewizora, pochłonięci meczem. Moja uwaga skupiła się bez reszty na jednym z nich; stanęłam jak wryta, upuszczając niemal placek dyniowy.

– Cole – sapnęłam. Wrócił. Był tutaj.

Nie zadzwonił ani nie przesłał mi wiadomości.

Trzy pary oczu zwróciły się w moją stronę.

Gary wstał i uśmiechnął się.

– Miło cię znów widzieć, Ali.

– Pana też – odparłam, kiwając odruchowo głową.

Wciąż patrzyłam na Cole'a, a serce wymykało mi się spod kontroli. Czekałam na wizję, mając nadzieję, modląc się, ale... nie. Nie tym razem.

- Kiedy wróciłeś?

- Trzy dni temu - odparł naburmuszony.

Trzy dni. Dlaczego przestał esemesować? Spotkał kogoś? Przełknęłam pytania, których najwyraźniej nie miałam prawa zadawać, ale nie mogłam przełknąć bólu.

- No cóż, cieszę się, że wszystko w porządku.

Kat poklepała mnie po tyłku.

- Kiedy wyjaśniłam Cole'owi, jakie konsekwencje poniesie, jeśli nie przyjdzie, pojawił się z radością.

- Znowu grozisz ludziom, Katherine? - spytał Gary i cmoknął z dezaprobatą.

- Zawsze, tato.

- To jedna z tych rzeczy, które najbardziej mi się w niej podobają - oświadczył Szron.

Gary zignorował go i spojrzał w stronę Cole'a.

- Przykro mi z tego powodu, synu.

- Niepotrzebnie. - Cole przyjrzał mi się tak, jakby zamierzał mnie pochłonąć, a ja zadrżałam. - Chciałem tu być.

Dlaczego się ze mną nie skontaktował? Skąd powrót tej emocjonalnej huśtawki, gorąco-lodowatego traktowania?

Do pokoju wkroczyła babcia i zajęła miejsce między dwoma chłopcami.

- Tęskniłam za wami i krwawi mi serce, że już nie wpadacie. Teraz mi to wynagrodzicie i powiecie, co się wydarzyło w waszym życiu.

- Chodź - szepnęła do mnie Kat.

Poszłam za nią do kuchni.

- Czym zagroziłaś Cole'owi? - spytałam, kiedy już byliśmy same.

- Powiedziałam, że umówię cię ze swoim kuzynem Rickiem.

- I podziałało?

- Jak zakłęcie.

Umieściłam placek między gigantycznym indykiem i nadzieniem. Pozostałą część blatu zajmowały miski z brokułami i zapiekanką z ryżu, sosem żurawinowym, fasolką szparagową, kukurydzą, sosem, tłuczonymi ziemniakami i, ku mojemu zdumieniu, spaghetti.

- Sama to wszystko przygotowałaś? - spytałam.

- Wszystko prócz spaghetti.

- Które pojawiło się z powodu...

- Moich zasad. Jem tylko to, na co mam ochotę, a miałam ochotę na spaghetti mojego taty. Wstał wcześniej i przyrządził je dla mnie, żeby mi potem nie przeszkadzać w kuchni.

Czyż nie było to słodkie?

- W czym mogę ci pomóc? Co mam robić?

- Dokładnie to, co robisz. Stój tam i wyglądaj pięknie. Bułeczki się pieką i kiedy będą gotowe, zaczniemy je pożerać niczym zwierzęta, którymi przecież jesteśmy.

Do kuchni wkroczył Cole. Nie powiedział słowa, tylko chwycił mnie za rękę i odprowadził na bok, tak jak zrobił to w wieczór Halloween. Zerknęłam na Kat, która podniosła kciuki.

Nie zatrzymał się, dopóki nie stanęliśmy na ganku; zewsząd otaczało nas zimno.

- Musisz z tym skończyć - oznajmiłam.

- Z czym?

- Z tym ciągnięciem mnie bez jednego słowa.

- I dać ci okazję, żebyś odmówiła?

Celna uwaga.

- Jak się czujesz? - spytał, spoglądając mi głęboko w oczy, szukając w nich... czego?

- W porządku. - Oblizalam wargi. - A co u ciebie?

- Byłem cholernie zajęty. Tata się wkurzył, że nie powiedziałem mu wcześniej o szpiegu.

- Dlatego cię tam wysłał?

- To jeden z powodów. Tak przy okazji, śledził Ethana i dotąd nie stwierdził niczego podejrzanego.

Byliśmy na błędnym tropie?

- A inny powód?

Westchnął.

- Uważał, że powinienem oderwać się na jakiś czas od... No cóż, mniejsza z tym.

Oderwać się ode mnie. Staralam się usilnie zamaskować zranione uczucia.

- Daj spokój - powiedział Cole, głaszcząc mnie opuszkami palców po policzku. - Uważał, że potrzebuję szerszego spojrzenia, więc wysłał mnie do Georgii, żebym pomógł grupie Gavina i Veroniki.

- Pojechali z tobą? - niemal krzyknęłam, a potem się skuliłam.

Uśmiechnął się.

- Nie. Zostali tutaj. - Pociągnął mnie za koszulę, a ja wpadłam na niego. - Przyniosłem ci prezent gwiazdkowy.

Zrobiłam wielkie oczy.

- Ale ja nic dla ciebie nie mam. To znaczy myślałam o tym, ale nie...

- W porządku - odparł, uśmiechając się szerzej. - I tak nie mogę ci dać tego prezentu teraz. Muszę poczekać, aż przyjdiesz do mojego domu. Twoja obecność to najwspanialszy podarek, jakiego pragnę.

Co takiego miał dla mnie?

Twarz mu nagle pociemniała, co mnie zaskoczyło. Przypominało to zwiastun burzy.

- Jeśli chodzi o Gavina i to, co się wydarzyło...

Poczułam ukłucie winy i spuściłam wzrok. Racja, nie rozmawialiśmy o tym. Nie tak do końca.

- Przepraszam. Przyszedł do mnie. Byliśmy w środku rozmowy, niewinnej rozmowy, i nagle odezwał się głód.

- Nie przepraszaj. Ja też przyszedłem, mając nadzieję, że podwiozę cię do szkoły. Twoja babcia wspomniała, że jest u ciebie Gavin, więc pobiegłem do twojego pokoju. Zamierzałem wytrzeć podłogę jego twarzą. Potem zobaczyłem cię z nim na łóżku i przyznaję, że wyglądało to źle. Wtedy jednak przyszło mi coś nagle do głowy. Znam cię. Nie całowałaś się ze mną jednego dnia, a drugiego z innym facetem, poza tym nie robiłaś tego przy otwartych drzwiach, kiedy twoja babcia była obok. Uświadomiłem sobie prawdę sekundę później i chwyciłem cię, zanim zdążyłaś go ugryźć.

- Zaufałeś mi - zauważyłam głęboko zaszokowana. - Pomimo tego, co zobaczyłeś.

Było to całkowicie, absolutnie niesamowite.

- Tak - odparł. Dotknął mojej twarzy. - Powiedziałem ci, że tak jest. Tkwię w tym po uszy, Ali. Na całego.

- Ale dlaczego przestałeś przysyłać mi wiadomości?

Zauważyłam, jak jego oczy zachodzą mgłą lodu i poczułam dreszcz.

- Tata kontrolował moje esemesy.

Och. Zatem ten lód w jego wzroku przeznaczony był nie dla mnie, tylko dla jego ojca.

Spojrzałam w bok, żeby dać sobie czas do namysłu, i uchwyciłam swoje odbicie w szybie drzwi. Zatoczyłam się niemal do tyłu.

A.Z. powróciła.

W jej oczach migotały czerwone błyski, a ciemne smugi na policzkach miały głębszy odcień. Uśmiechnęła się do mnie, pomachała, a potem zobaczyłam, jak opuszcza moje ciało i oddala się od szyby.

Deszcz sztuczonego szkła

Z głośnym tykaniem zegara w uszach patrzyłam, jak A.Z. spływa z ganku na podjazd. Zatrzymała się, żeby spojrzeć na mnie i zakrzywić palec - milczący rozkaz: chodź. Zżerało mnie pragnienie poznania jej zamiarów; ruszyłam za nią.

Usunąć z listy: unieszkodliwiona.

- Ali! - zawołał Cole.

- Powiedz babci, że wrócę jak najszybciej. I nie idź za mną. - Kto mógł wiedzieć, dokąd mnie zaprowadzi?

A.Z. wciąż podążała przed siebie, przez ulicę, na czyjeś podwórko. Słońce kryło się za gęstymi szarymi chmurami, tworząc posępne tło. Spodziewałam się, że lada chwila spadną obfite krople deszczu, które mnie zmoczą i przyprawią o chłód. Zastanawiałam się, jak zareaguje - czy woda w ogóle jej dotknie.

- Jedzenie na stole! - zawołała Kat. Wyrzała pewnie na zewnątrz.

Nie usłyszałam odpowiedzi Cole'a.

A.Z. przeniknęła przez ogrodzenie, a ja byłam zmuszona wspiąć się na nie. Na szczęście na posesji nie było nikogo, kto mógłby mnie oskarżyć o wejście na teren prywatny. Zrobiłyśmy to jeszcze trzykrotnie, zanim udało się nam dotrzeć do jakiegoś potoku porośniętego wysoką trawą.

Spojrzała na mnie przez ramię i zachichotała.

- Co robisz? - spytałam.

- Zobaczysz - padła śpiewna odpowiedź.

Podążała uparcie dalej.

Nie ruszyłam się z miejsca, zastanawiając się, czy postępuję mądrze. Jednak, im bardziej się oddalała, tym bardziej czułam się przez nią przyciągana. Zmuszana. Miałam wrażenie, że moje stopy obdarzone są własną wolą.

Dotarła do następnego podwórza, do następnego ogrodzenia. I znów przez nie przeniknęła. A ja ponownie się na nie wspięłam. Wyszłyśmy z posesji na ulicę, a ona po raz kolejny przystanąła, żeby pokiwać na mnie palcem. Zbliżyłam się do niej, niemal zetknęłyśmy się nosami.

- Jak ty to robisz? - rzuciłam zdyszana.

Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po moim policzku. Nie czułam jej dotyku, ale czułam chłód jej skóry – znacznie zimniejszej niż powietrze.

Zadrzałam.

- Taka ładna – powiedziała.

Cofnęłam się gwałtownie.

- Nie mogę zrewanżować się tym samym komplementem.

Wykrzywiła usta w niespiesznym uśmiechu. Nachyliła się i wyszeptwała:

- Jeśli nie zdołam osiąść twojego ciała, to będę musiała się go pozbyć i uwolnić się z naszej więzi.

Z dali dobiegł klakson jakiegoś samochodu. Sekundę później coś we mnie uderzyło, odrzucając na sporą odległość. Wylądowałam na ziemi, tracąc oddech, i wtedy to „coś” przywaliło mnie, pozbawiając resztek powietrza w płucach. Przeszył mnie ból, usłyszałam też pisk opon.

- Chcesz się zabić?! – wrzasnął Cole.

Podniosłam głowę. Samochód przemknął tuż obok miejsca, w którym przed chwilą stałam, zarzuciło nim, potem kierowca odzyskał panowanie nad wozem. Popatrzyłam na drugą stronę ulicy, moje spojrzenie napotkało wzrok A.Z.

Dostrzegłam w nim wściekłość.

- Zniknęłaś na chwilę - wyjaśnił Cole. - Nigdzie cię nie widziałem. Kierowca też chyba cię nie widział. I wtedy się pojawiłaś, facet zatrąbił, ale stałaś po prostu w miejscu.

- Ja... - Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. A.Z. próbowała mnie właśnie zabić.

- Dość tego. Od tej chwili pełnię oficjalną rolę twojego strażnika. - Wstał, przerzucił mnie przez ramię jak worek kartofli i ruszył w stronę domu Kat.

- Puść mnie, Cole. Zamorduję ją! - Zaczęłam okładać go pięściami po plecach, nie żeby sprawić mu ból, tylko zwrócić na siebie jego uwagę. Nie zwolnił kroku.

A.Z. obserwowała nas nieufnie, kiedy zbliżaliśmy się do niej.

- Kogo zamordujesz? - spytał od niechcienia.

- Ją! Swoją dręczycielkę.

Zmusiłabym swojego ducha do opuszczenia ciała, przywołałabym ogień i spaliła ją na popiół - białym ogniem czy czerwonym, nieważne. Skoro mogła przeżyć beze mnie, ja mogłabym przeżyć bez niej. Bez dwóch zdań.

Skręcił na rogu, a ona wyciągnęła rękę. Nie miał o tym pojęcia. Ja natomiast poczułam, jak wnika z powrotem we mnie.

Jęknęłam w duchu.

- Dlaczego jej nie widzisz? Potrafisz widzieć inne duchy.

- Nie wiem. Może, tak jak ty, odznacza się szczególnymi zdolnościami. Może umie się kamuflować.

To brzmiało sensownie. Koszmarnie, przerażająco sensownie.

- Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło, Ali. Podaj mi dłuższą wersję, ale streszczaj się. Chcę poznać całą historię, zanim dotrzemy do domu Kat.

- Opuściła moje ciało i próbowała mnie zabić, a teraz znowu jest we mnie, i będzie bardziej ostrożna, bo jest cwana i wie, że nie mogę się do niej dobrać, dopóki znów mnie nie opuści. - Ogarnęła mnie taka frustracja, że zaczęłam go okładać z jeszcze większą siłą. - Nienawidzę tego! Nienawidzę jej!

Niechcący walnęłam go kolanem w brzuch, ale trzymał mnie mocno.

- Ali, uspokój się.

Nie. Skończyłam ze spokojem. Wykręciłam tułów i zsunęłam się z jego ramienia. Nie mógł nic na to poradzić, ale zdołał mnie złapać, zanim spadłam na ziemię. Wyprostowałam się szybko, starając się mu

umknąć, pobiec. Z chwilą, gdy zostałam sama, zamierzałam zabić tkwiące we mnie zombi.

Złapał mnie za nadgarstek i zatrzymał.

- Uspokój się - powtórzył. - Mówię poważnie.

Uspokoić się? Uspokoić się! Dosłownie eksplodowałam.

Rzuciłam się na niego, wymierzając cios z lewej, prawej, lewej. Uchyłał się, wyginał do tyłu, przechylał w bok; ani razu nie udało mi się go trafić i tym bardziej mnie to złościło.

- Co się z tobą dzieje? - spytał ostro.

- Moje życie znowu się zmienia i kiedy już myślę, że jestem na właściwej drodze, dzieje się coś, co dowodzi, że się myliłam, a ja jestem zmęczona tym, że się ciągle myślę, i chyba jestem na ciebie wścicka, bo zostałeś na trzy dni dłużej, a teraz wróciłeś, ale wiem, że byłoby najlepiej, gdybym trzymała się od ciebie z daleka i od wszystkich innych, bo mogłabym cię zranić, poważnie zranić, a ja po prostu nie wiem, ile jeszcze zdołam znieść!

Zamierzyłam się na niego. Znowu zrobił unik.

- Myślisz, że było mi łatwo przebywać z dala od ciebie?

- Tak.

- Tata mi powiedział, że nie będzie się wtrącał w nasz związek, jeśli rozstanę się z tobą na

dziesięć dni. Tylko na dziesięć. Żadnych kontaktów. Miał chyba nadzieję, że tęsknota i pragnienie przygasną. Wiesz, który to dzień, Ali? Dziewiąty. Nie potrafiłem wytrwać przez jeszcze jedną cholerną noc.

Znieruchomiałam, dysząc ciężko. Nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć.

Popatrzył na mnie.

- Kocham cię, Ali. Rozumiesz? Kocham cię.

Zaraz. Co?

- Kochasz mnie?

- Nigdy nie powiedziałem tego innej dziewczynie.

- Uniósł brodę, napiął ramiona i rozstawił szeroko nogi, jakby się szykował do prawdziwej bitwy. - Jesteś uparta, zbyt ciekawska, co niejednokrotnie komplikuje ci życie, i stałaś się nieprzewidywalna, ale tak, kocham cię.

On.

Mnie.

Kocha.

- I mówisz mi o tym w ten sposób?

Warcząc, wysunęłam błyskawicznym ruchem nogę i wymierzyłam mu kopniaka w kostki. Upadł do tyłu, a ja rzuciłam się na niego, wymierzając mu kolejne ciosy - ale brakowało w nich pary. Moje serce było zbyt zajęte fikaniem koziołków.

Przewrócił mnie na plecy i przygwoździł ręce ponad głową. Szarpnęłam się, ale ważył więcej ode mnie; nie mogłam go z siebie zrzucić. Nasze spojrzenia zwały się i zaczęło tlić się między nami napięcie, gorące, silne i niezaprzeczalne.

- Puść mnie - wysapałam.

- Nigdy więcej - odparł.

Oddychałam tak ciężko, że moje piersi ocierały się o jego pierś. Nasze nogi były splątane; czułam każdy skrawek jego ciała. Przesunęłam językiem po wąskiej linii jego ust; gniew ustępował przed pragnieniem.

- Powiedz mi, co do mnie czujesz - poprosił chrapliwie.

- Nie. - Pokręciłam głową. Nie mogłam. Nie chciałam. Gdybym wypowiedziała te słowa - kocham cię, Cole, kocham aż do bólu - wykorzystałby je, żeby nigdy więcej mnie nie uwolnić, a musiał mnie uwolnić. - Mówiłam ci. Nie jestem dla ciebie w tej chwili dobra. To jedyne, co się nie zmieniło, a ja nie zamierzam ryzykować...

- Okay, nie jesteś gotowa. Rozumiem. Wrócimy do tego tematu później. - Zniżył głowę i musnął mnie nosem.

Chłonełam jego zapach.

- Nie. Nie później.

- Świetnie. Skończymy teraz. Pragnę cię, a ty pragniesz mnie. Chwilowo musi to wystarczyć.

Przywarł do mnie wargami, jego język wniknął głęboko, i było to tak doskonałe, że zajęczałam. Jego smak, jego żar, jego siła, jego... wszystko. Tego mi brakowało. Tego tak bardzo łaknęłam. Nas razem. Nie z gniewu czy bólu. Po prostu z pragnienia.

Objęłam go w pasie nogami i wygięłam się w łuk, nie mogąc się powstrzymać. Puścił moje ręce, a ja z miejsca zanurzyłam palce w jego włosach.

- To nie znaczy, że znów jesteśmy razem - uprzedziłam.

- Cokolwiek powiesz, Ali-gator.

Cisnienie narastało, niemal nieznośnie, a jednak nie dość - nie dość, muszę więcej - kiedy jego dłonie wędrowały po mnie, dotykając piersi, robiąc rzecz... tak ekscytujące. Gdy wciąż szalały we mnie różne odczucia, moja skóra stała się wrażliwsza, krew gorętsza; nerwy iskrzyły. Uwielbiałam to. Nienawidziłam tego.

Kochałam go. Musiałam mu powiedzieć. Nie mogłam mu powiedzieć. Musiałam to przerwać, ale chciałam więcej. Tak bardzo więcej. Złakniona ponad wszystko dotyku tak bliskiego, jak to tylko

możliwe, wsunęłam mu dłonie pod koszulę i przesunęłam paznokciami wzdłuż kręgosłupa.

- Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz - powiedział.

Zrobiłam to znowu, a pocałunek wymykał się spod kontroli, aż w końcu gryźliśmy się nawzajem, on szarpał moje ubranie, ja szarpałam jego, och, to miało się stać, czyż nie? Tutaj i teraz, na dworze, w zimnie. Nie wiedziałam, ile mi jeszcze czasu zostało, więc nic nie mogło mnie powstrzymać przed spełnieniem tej chwili.

- Okay. Powinienem się być domyślić, dlaczego wyszliście tak niespodziewanie.

Szron, któż by inny.

Do diabła! Miałam dość tych ingerencji!

Cole zerwał się ze mnie, przyjmując pozycję obronną.

Szron poruszył ramionami, jakby się rozgrzewał, twardy i nieustępliwy, i równie gotowy.

- Nie próbuj się mnie pozbyć. Nie odejdę stąd bez Ali. Babcia się martwi.

- Doskonale. Ale się odwrócisz - warknął Cole.

Wydawało się, że Szron chce zaprotestować, ale wykonał posłusznie polecenie.

Policzki mi płonęły, a serce waliło, kiedy się podniosłam i usiadłam. Cole pomógł mi doprowadzić do porządku zmięte ubranie, potem zajął się

swoim. Nasze spojrzenia spotkały się na długą, pełną napięcia chwilę i oboje wiedzieliśmy, że jest milion rzeczy, które pragniemy wyznać, ale nie możemy. Nie teraz.

- Później - wymówił bezgłośnie, zakładając mi kosmyk włosów za ucho.

Powinłam mu znowu powiedzieć „nie”, powiedzieć, że nic z tego, koniec. Mogłam stanowić zagrożenie dla niego i dla jego zdrowia, a on zagrożenie dla mojej samokontroli. Ale tylko skinęłam głową.

Otoczył mnie ramieniem i ruszyliśmy z powrotem w stronę domu.

- Dobra, słuchaj, Ali - zwrócił się do mnie Szron. - Wiem, że nie zaliczałem się ostatnio do twoich wielbicieli, i jest mi przykro. Lubię cię, naprawdę, i zdaję sobie sprawę, że przechodzisz teraz trudny okres, ale widziałem, co zrobiłaś Cole'owi, i wyobrażałem sobie, że robisz to samo Kat - wyznał urywanym głosem. - Nie jest dość silna, by przeżyć.

- Rozumiem - odparłam. - Pilnowałam się przy niej. Jeśli kiedykolwiek poczuje choćby cień chęci, zostawię ją i zaaplikuję sobie antidotum. Też nie chcę jej zranić.

Skinął tylko sztywno głową, ale był to jakiś początek.

*

- Ali, kochanie.

Głos babci wyrwał mnie z głębokiego snu.

- Idę do sklepu. Potrzebujesz czegoś?

- Która godzina? - spytałam jękliwie.

- Ósma.

Za wcześnie. Był dzień po świętach i nie musiałam wybierać się dokądkolwiek aż do siedemnastej. Miałam ochotę spać do szesnastej. Siedziałam do późna, próbując sprowokować A.Z. do opuszczenia mojego ciała i stoczenia walki. Zignorowała mnie i w końcu padłam na łóżko. Teraz byłam zmęczona. Tak bardzo zmęczona.

- Niczego nie potrzebuję, ale mimo wszystko dzięki.

- No to w porządku. Wrócę za jakąś godzinę.

Nakryłam głowę poduszką. Usłyszałam kroki. Jęk zamykanych drzwi.

Nie wiem, ile dokładnie czasu upłynęło, zanim rozległ się trzask drzwiczek szafki kuchennej, później zapadła cisza, a potem stuknęły drzwi frontowe, jakby babcia znowu wyszła.

Chciałam wstać i sprawdzić, co się dzieje, ale nie miałam na to dość energii.

Usłyszałam dzwonek.

Stoczyłam się z łóżka, naciągnęłam szlafrok na podkoszulek i szorty i poszłam do salonu. Spodziewając się Kat i tysiąca pytań na temat tego, co wydarzyło się z Cole'em - nie miałyśmy okazji pogadać - otworzyłam drzwi. O framugę stał oparty Gavin - robił wrażenie z tymi płowymi włosami zaczesanymi do tyłu i oczami o barwie połyskliwego lodu.

Przychodził wcześniej kilka razy, ale za każdym razem go ignorowałam.

- Nie możesz mnie unikać. Musimy porozmawiać o tym, co się stało, kiedy byłem tu ostatnim razem - oznajmił.

- Okay - odparłam i odsunęłam się na bok. Zdobyłam się na odwagę. - Świetnie.

Wszedł do środka, a ja zamknęłam drzwi.

- Tylko daj mi najpierw kilka minut. Wstałam właśnie z łóżka.

Popędziłam do swojego pokoju, wyczyściłam zęby i uczesałam się, potem włożyłam podkoszulek i dzinsy. Wychodząc z sypialni, zerknęłam w lustro i zacisnęłam zęby na widok A.Z., która uśmiechała się do mnie zarozumiale.

Popatrzyłam na nią wilkiem.

- Niedługo się policzymy. Ostatecznie - rzuciłam.
Jej usta wykrzywił złośliwy grymas.

- Głodny? - spytałam Gavina, kiedy dotarłam do salonu. - Masz ochotę na śniadanie?

Przyglądał mi się podejrzliwie, ale odparł:

- Jasne.

Włożyłam bułeczki do piekarnika, usmażyłam bekon i upichciłam sos. Przyglądał mi się, ale nie odzywał (ani nie próbował mi pomóc). Nie naciskałam go. Kiedy wszystko było już gotowe, podsunęłam mu talerz.

- Bez jajek? - spytał.

- Rany. Twoja wdzięczność jest wręcz upokarzająca.

W kącikach ust błąkał mu się uśmiech.

- O co chodzi? Lubię jajka.

Moje wargi też drgnęły. Nie podobało mi się, że wcześniej zachowywał się tak oficjalnie. Usiadłam przy stole i zaczęliśmy jeść.

W końcu oświadczył:

- Zastanawiałem się nad wszystkim i przykro mi, że nie uświadomiłem sobie wcześniej, co się z tobą dzieje... Przepraszam, że cię dotykałem i że próbowałem dostać coś więcej prócz kilku pocałunków. Poznałem cię przez te kilka miesięcy

i powinienem zdawać sobie sprawę, że nigdy byś nie dobiegała się do mnie w chwili, gdy twoja babcia jest tuż obok. No i próbowałaś mnie ostrzec.

Zaraz. Przepraszał mnie? On? Nie tego się spodziewałam.

- No cóż, a ja przepraszam, że próbowałam cię zjeść.

Tym razem rozciągnął usta w pełnym uśmiechu.

- Gdybym usłyszał te słowa od kogoś innego, zabrzmiałyby podniecająco. Z twoich ust... nie za bardzo.

Roześmiałam się.

- Muszę ci coś wyznać. Jestem trochę zaskoczona, że nie zabiłeś mnie w chwili, gdy zdałeś sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- Nie będę kłamał. Myślałem o tym. To znaczy wiem, że udawało ci się zapanować wcześniej nad sobą w takiej sytuacji, ale po raz pierwszy zetknąłem się z tym osobiście. Problem w tym, że najpierw musiałbym poradzić sobie z Cole'em, by się do ciebie dobrać, i musiałbym najpierw zabić jego, ponieważ nie przestałby cię osłaniać i bronić. Ten chłopak naprawdę cię kocha.

Odwróciłam się, by ukryć uniesienie, które bez wątpienia można było dostrzec w moich oczach;

ktoś jeszcze zauważył, co Cole do mnie czuje - i oto miałam przed sobą A.Z.

Stała przy mnie i wciąż szczerzyła w uśmiechu zęby.

Wyglądało na to, że do naszej ostatecznej rozgrywki dojdzie właśnie dzisiaj.

Czując, jak serce wali mi o żebra, bezzwłocznie uwolniłam swojego ducha z ciała; otuliło mnie lodowate powietrze. Drżąc, wyciągnęłam ręce w jej stronę, ale ona zachichotała i skoczyła za kanapę.

- Teraz oberwiesz - powiedziałam.

- Ali? - spytał zdziwiony Gavin.

- Widzisz ją? - Wskazałam kanapę.

- Kogo?

Cole uważał, że A.Z. potrafi się kamuflować i może rzeczywiście tak było.

- Zostań tu. Nie widzisz ani nie słyszysz zombi, które jest w pokoju. Maskuje się, a ja nie chcę, żeby cię skrzywdziła.

- Nie możesz mnie złapać - rzuciła śpiewnie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ci udowodnię, że się mylisz.

Skoczyłam w jej stronę, ale uderzyłam o kanapę. Gdybyśmy nie oznaczyli wszystkiego Liniami Krwi, przeniknęłabym przez mebel, ale oznaczyliśmy i teraz wszystko stanowiło dla mojego ducha

fizyczną przeszkodę, tak jak dla ciała. Upomniałam się, by nie zapominać o tym więcej.

Przerzucając nogi przez kanapę, wznieciłam ogień. Z moich palców dobyły się małe trzaskające czerwone płomienie. Czerwone? Dlaczego czerwone? A.Z. nie przebywała już we mnie.

Może wciąż była tam obecna jej toksyna. Może...

Poduszka pod moimi palcami zamieniła się w popiół. Co u licha?

A.Z. przemknęła obok mnie, a ja próbowałam jej dosięgnąć. Chybiłam, skoczyłam na nogi i rzuciłam się w pogoń. W kuchni okrążyła wyspę o granitowym blacie. Wskoczyłam na niego, ześliznęłam się, spadłam. Jakies sprzęty runęły na podłogę razem ze mną.

- Przestań! - krzyknął Gavin. - Ali, musisz przestać!

Śmiejąc się, A.Z. pobiegła korytarzem do sypialni babci. Wskoczyła na łóżko. Znowu rzuciłam się w jej stronę. Kiedy wylądowałam na poduszkach, łóżko się rozwalilo, ja zaś rąbnęłam o podłogę.

Niech ją diabli!

Wymknęła się z pokoju babci i pobiegła do mojego. Byłam tuż za nią. Cisnęła krzesło, które znalazło się na mojej drodze. Chwyciłam je i rzuciłam przez cały pokój, mierząc w jej głowę.

Krzesło spłonęło, nie dotarłszy do celu; w powietrzu zawirował popiół.

Nie mogę zmarnować tej szansy.

- Tralala, nie złapiesz mnie.

- ...dzieje? - usłyszałam babcię. - Jakim cudem? Jej ciało jest w kuchni. To niemożliwe! Ona nie może robić czegoś takiego! Nikt nie może! Nikogo tu nie ma.

Jej głos wdarł się w mroczną determinację, która mnie przynaglała. Zamrugalam, skupiając się siłą woli na świecie rzeczywistym. Babcia stała w drzwiach, blada i roztrzęsiona, rozglądając się po pokoju, który właśnie zdemolowałam. Gavin i Cole stali obok niej.

Zrobiłam krok w jej stronę.

Chłopcy przesunęli się do przodu, blokując mi drogę.

- Zabierz stąd jej babcię - powiedział Cole do Gavina.

Gavin ujął babcię pod ramię i odciągnął ją. Wysunęłam ku niej ręce, uświadamiając sobie, że moje dłonie wciąż płoną czerwonym ogniem, i zastygłam z przerażenia.

Gdyby doszło do kontaktu, przeniknęłabym przez ciało i spaliła jej ducha - a to, co się manifestowało

w duchu, manifestowało się też cieleśnie. Umarłaby.

Zabiłabym ją.

Dokładnie to, czego pragnęła zapewne A.Z. Nie zdołała mnie zabić, więc za moim pośrednictwem chciała osiągnąć moich bliskich. A ja jej pozwoliłam. Nie zawahałam się, by pomyśleć o tym, co robię.

- Jest z tobą coraz gorzej, Ali - oznajmił Cole i wyciągając do mnie ręce uspokajającym gestem, podszedł bliżej. - Obawiam się, że nie zdołamy nad tobą zapanować, jeśli coś takiego znowu się wydarzy.

- Cole.

- Nie zgadzaj się ze mną - przerwał mi. - Nie mów nic. Pomyśl tylko o tym, co robisz w tej chwili, dobrze?

Ale musiałam mu powiedzieć - nie, nie mogłam. Miał rację. Gdybym w to uwierzyła, ziściłoby się wszystko, co bym powiedziała.

Spojrzałam za siebie, nie bardzo wiedząc, co zrobić z A.Z.

Nie było jej.

Mój wzrok powędrował w stronę lustra. Tam. Była tam.

Z powrotem we mnie. Patrząc z gniewem.

- Zgaś ogień, okay? - poprosił Cole łagodnie.

Próbowałam, naprawdę próbowałam, ale płomienie nabrały tylko mocy, rozprzestrzeniały się szybciej.

- Przykro mi, Ali. - Sięgnął po małą kuszę, którą nosił przytroczoną do kostki. Zamiast bełtem, załadował ją strzykawką. Potem opuścił swoje ciało, tak abyśmy oboje byli w duchowej postaci. Milczał przez chwilę. - Pomyślałem o wizji i przestałem nosić bełty. Uświadomiłem sobie, że mogę potrzebować antidotum.

Sekundę później poczułam w szyi ostry ból. W mgnieniu oka załadował następną strzykawkę, która pomknęła w moją stronę. Znowu poczułam ukąszenie. Zalała mnie fala ciepła, a jednak płomienie zaczęły przygasać, a w końcu zniknęły.

Załadował trzecią strzykawkę.

- To środek usypiający.

Poczułam trzecie ukłucie; cokolwiek mi zaaplikował, podziałało szybko. Ogarnęła mnie ciemność, kolana się pode mną ugięły. Potem już niczego nie czułam.

*

Łupało mi w głowie, kiedy otworzyłam oczy. Leżałam na... swoim łóżku? Nie, materac był zbyt

wąski. Usiadłam ostrożnie. Wszystko zawirowało, a ja jęknęłam.

- Hej, Ali-gator.

Głos Cole'a. Odetchnęłam głęboko, żeby pozbyć się oszołomienia, i zobaczyłam niepokojące piękno jego twarzy. Nie chciałam odrywać od niej wzroku, ale ciekawość zwyciężyła. Przebywaliśmy w małej sypialni, której nie poznawałam - ściany z drewnianych bali i deski na podłodze.

- Znajdujesz się na odludziu, w domu należącym do Ankha. Około trzydziestu kilometrów od mojego domu - wyjaśnił. - Ale nie prowadzi tu autostrada, więc dojazd zajmuje mi czterdzieści minut.

Skazali mnie na banicję.

Choć wiedziałam, że tak jest lepiej, na mojej twarzy musiała się uwidocznic konsternacja, ponieważ dodał:

- Jesteś zbyt niebezpieczna, żeby przebywać w tej chwili z innymi, kochanie.

Poczułam w gardle kwaśność i zakrztusiłam się.

- Wiem, i pewnie powinnam była tu trafić już wiele tygodni temu, ale... hm... jak długo mam tu zostać?

- Tak długo, jak to konieczne.

Żeby wyzdrowieć albo umrzeć, cokolwiek wydarzy się najpierw.

- Cole...

- Musisz zrezygnować z pracy, przykro mi. Babcia zadzwoni do twojego szefa. A kiedy zaczniesz się szkoła, porozmawia z dyrektorem, żebyś mogła uczestniczyć w lekcjach przez internet. Jeśli odmówi, będziesz musiała złożyć podanie o indywidualny tok nauczania.

- Cole - spróbowałam ponownie. Co chciałam mu powiedzieć? Sama nie bardzo wiedziałam.

Pokręcił głową, ciemne włosy opadły mu na oczy.

- Wziąłem twój dziennik - ciągnął. - Przejrzę każdą stronę, każdy ustęp. Emma powiedziała mi, że jest tam zawarty klucz do twojego ocalenia.

- Kiedy z nią rozmawiałeś?

- Dziś rano. Przyszła się ze mną zobaczyć, chyba śmiertelnie wystraszyłem ojca. Chciał wiedzieć, dlaczego gadam do powietrza.

Uśmiechnęłam się.

Cole odetchnął z ulgą.

- No, teraz lepiej.

- Co?

Dotknął mojego policzka. Podniosłam rękę i ujęłam go za nadgarstek.

- Nie znoszę myśli, że tak ucierpiałaś. Chciałem zobaczyć, jak się uśmiechasz.

Nic dziwnego, że ciągnęło mnie do tego chłopaka.

- Jak mogę ci się jeszcze podobać po tym wszystkim, co zrobiłam?

Wytarł kciukiem łzę, która wymknęła mi się z kącika oka.

- Nie chodzi o to, że mi się podobaasz, Ali, chodzi o to, że nie możesz przestać mi się podobać. I nie chcę, byś przestała. Poza tym próbowałaś poradzić sobie z zombi. To godne podziwu.

- Widziałeś ją?

- Tak. Jej kamuflaż opadł na chwilę, kiedy zasłoniliśmy z Gavinem twoją babcię. Była tak zła, że jej oczy świeciły jasną czerwienią. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, chyba się wystraszyła, bo od razu schowała się w tobie.

- To nie był jej koniec. - Wciąż ją czułam, jakąś uporczywą obecność w głębi umysłu. Bicie serca, którego nie zdołałam nigdy stłumić.

- Znajdziemy sposób, żeby ją pokonać - zapewnił, a ja skinęłam głową pomimo wszelkich obaw.

Emma powiedziała to samo.

Babcia powiedziała to samo.

Do diabła, ja też powiedziałam to samo.

Teraz nie byłam już taka pewna.

- Wiesz - ciągnął - usłyszałem kiedyś od mamy, że chłopiec będzie wiedział, że stał się mężczyzną, kiedy przestanie myśleć głównie o sobie. Że pojawi się dziewczyna i że nie będę w stanie o niej zapomnieć. Że ta dziewczyna będzie mnie denerwować, irytować i stanowić dla mnie wyzwanie, ale też sprawi, że będę robił wszystko, co jest konieczne, by stać się lepszym człowiekiem - człowiekiem, jakiego potrzebuje. Z tobą chcę być lepszy. Chcę być tym, czego potrzebujesz. Powiedz mi, czego potrzebujesz?

Potrzebuję ciebie, pomyślałam.

Mackenzie powiedziała mi kiedyś, że ma nadzieję, iż Cole spotka dziewczynę, bez której nie potrafiłby żyć. W tym momencie byłam całkowicie pewna, że to ja jestem tą dziewczyną. I wydało mi się to dziwne. Tyle się wydarzyło. I tyle miało się jeszcze wydarzyć. Ale to coś między nami nie zmieniło się.

- Położysz się obok mnie? - spytałam.

Jego uśmiech krył w sobie gorycz.

- Dam ci wszystko prócz tego. Znam ciebie i siebie i wiem, co się dzieje, kiedy się całujemy, i jeśli położę się obok ciebie, to zaczniemy się całować. Jestem w tym dobry, pragnę tego, ale nie ma tu nikogo, kto mógłby nas powstrzymać.

- Myślisz, że A.Z. znowu będzie górą?

- Może tak, może nie, ale nie o to chodzi.

- Dobrze, bo chyba nie chciałabym, żebyś przestał - przyznałam cicho.

Podniósł moją dłoń do ust i pocałował.

- I nie masz pojęcia, jaki jestem z tego powodu szczęśliwy. Ale nie mam kondoma i nie chcę narażać cię na ryzyko, nawet w sytuacji, gdy przerwałbym w odpowiednim momencie. Nie mam żadnej choroby ani nic takiego - dodał pospiesznie. - Nigdy nie robiłem tego bez prezerwatywy, ale wolałbym, żebyś nie zaszła w ciążę.

Ten jeden raz nie czułam się zażenowana, rozmawiając z nim o tym.

- Och. No cóż, to wkurza.

- Wierz mi, wiem o tym. - Wstał i spojrzał na mnie z góry. - Zaopatrzyłem lodówkę we wszystko, co lubisz. Spodziewam się, że to zjesz.

- Zjem.

- Przyjadę jutro. I każdego następnego dnia.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziałam.

Wyciągnął do mnie rękę... i zacisnął dłoń w pięść, zanim zdążył mnie dotknąć. A potem odszedł.

Tym razem obrócił się tyle razy, że nie potrafiłabym tego zliczyć.

Spóźniam się na zabójczą randkę

Współczałam szczerom laboratoryjnym. Naprawdę współczałam. Każdego ranka w małym domku w lesie zjawiał się pan Ankh i pobierał mi krew, a także badał moje funkcje życiowe. Opukiwał mnie i nakłuyał tak często, że wyglądałam pewnie jak ćpunka.

Powiedziałam mu, że wszystko to niepotrzebne.

Miałam tu umrzeć i wiedziałam o tym. Wszystko, co mogłam robić, to cieszyć się czasem, jaki mi jeszcze pozostał.

I cieszyłam się. Z powodu Cole'a. Ale w głębi serca przyznawałam, że nie tak chcę odejść. Chciałam umrzeć, walcząc, zabierając ze sobą tyle zombi, ile bym tylko zdołała.

Westchnęłam. Cole odwiedzał mnie każdego popołudnia i zawsze przywoził ze sobą babcię. Mogłam się domyślić, że sama prosiła go o to, a on nie

potrafił jej odmówić, ponieważ zawsze dostrzegałam w jego oczach błysk niezadowolenia. Chociaż bardzo pragnął być ze mną sam na sam, nigdy się jednak nie skarżył.

Raz odciągnął mnie na bok.

- Twoja babcia to najtwardsza przyzwoitka, jaką kiedykolwiek spotkałem - poinformował.

Zachichotałam.

W Nowy Rok siedzieliśmy we trójkę na kanapie, oglądając film, który babcia przywiozła ze sobą. Byłam zbyt rozkojarzona przez żar i zapach Cole'a i ogólnie jego smakowitość, by śledzić to, co dzieje się na ekranie. Zajmowałam miejsce pośrodku, on siedział po prawej, opierając głowę na moim ramieniu, a babcia po lewej.

Kiedy w końcu pojawiły się napisy końcowe, powiedziałam:

- Naprawdę mi przykro z powodu tych nowych mebli, które kupiłaś, babciu. - Powtarzałam to każdego dnia. Poczucie winy nie opuszczało mnie ani na chwilę.

- Tłumaczyłam ci. Meble można wymienić. Ciebie nie.

- Ale pieniądze...

- Ali Bell - zwróciła się do mnie, grożąc palcem i potrząsając talizmanami na bransoletce. - Jeśli

usłyszę jeszcze słowo o pieniądzach, to zacznę krzyczeć. Mówię poważnie.

- Życzę powodzenia - wtrącił Cole. - Ali jest najbardziej upartą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Hej! - rzuciłam oburzona.

- To nic obraźliwego, jeśli jest prawdą. - Pocałował mnie w skroń. - Chciałbym, żebyśmy mogli zostać dłużej, ale tata spodziewa się, że wrócę.

I zapewne musiał się zająć polowaniem na zombi.

Babcia pocałowała mnie w policzek.

Cole posłał mi przeciągłe, badawcze spojrzenie, które mówiło nieomylnie, że przystąpiłby do działania, gdybyśmy byli sami. Potem wsiedli do jego samochodu i odjechali. Patrzyłam na nich przez okno, starając się nie płakać.

Chcąc się czymś zająć, chodziłam po domu tam i z powrotem. Usunięto wszystkie lustra. Były za to setki książek - romanse, kryminały, science fiction i fantasy, literatura faktu, Biblia - plus telewizor i dobrze zaopatrzona lodówka. Cole dopilnował, żebym miała swoje ubrania, iPoda z nagraniami zespołu Thousand Foot Krutch i Krystal Meyers, moimi najnowszymi faworytami, a także znalezione przez babcię zdjęcie, na którym byłam z Emmą.

Zaćwierkała komórka. Spojrzałam na ekran i uśmiechnęłam się szeroko, czytając wiadomość od Cole'a: „Wróćę, jak już zamelduję się u taty. Jeśli zdołasz się obnażyć, zanim tam dojadę, to naprawdę zaoszczędzisz mi trochę czasu”.

Wracał.

Lista rzeczy do zrobienia: pocałować go. Dotknąć go. Posiąść go.

Zaskrzypiały zawiasy, wrywając mnie z marzyielskiego uniesienia.

Zmarszczyłam czoło. Znałam dobrze ten dźwięk. Ktoś otworzył właśnie drzwi wejściowe, ale to nie mógł być Cole. Chwyciłam nóż leżący na szafce kuchennej i przywarłam plecami do ściany. Poruszając się bardzo powoli, wyjrzałam zza narożnika. Moje serce biło nierówno.

Kroki się przybliżały.

Ściskając rękojeść broni, wyskoczyłam z kryjówki, gotowa do ataku.

Wrzask jakiejś dziewczyny. Chwyciła się za serce, cofając się gwałtownie, byle dalej ode mnie.

- Kat? - spytałam, opuszczając rękę z nożem.

- Nie waż się mnie dźgnąć, Ali Bell. - Wynurzyła się z cienia, a światło księżycy wpadające przez okno zalało ją swoim blaskiem. Wsparła dłonie na biodrach, uosobienie gniewu pomimo bladości

twarzy i sińców pod oczami. Nie było z nią dobrze.

- Jesteś mi winna wyjaśnienia. Ustaliłyśmy w końcu, gdzie jesteś, i przybyłyśmy ci na pomoc, a ty niemal mnie zamordowałaś, zanim dokończyliśmy robotę.

My?

Szok narastał we mnie w zastraszającym tempie.

- Tęskniłam za tobą, Kat, i to bardzo, ale nie powinnaś się tu zjawiać.

- Jakbym mogła cię tu zostawić, gdy tylko się dowiedziałam, że Ankh zesłał cię na Syberię.

- To tylko trzydzieści kilka kilometrów, poza tym wyświadczył mi przysługę. Podoba mi się tutaj. Jak się dowiedziałaś, gdzie jestem?

Zignorowała moje pytanie.

- Oczywiście, że ci się tu nie podoba - oznajmiła.
- Przy drzwiach i w oknach są kraty.

Te kraty miały chronić ludzi przede mną.

- Nie chcę stąd odchodzić.

Zmrużyła oczy.

- Cierpisz na syndrom sztokholmski czy coś w tym rodzaju? Bo znam swoją Ali, a ona nigdy by nie odeszła bez pożegnania i nigdy nie zdecydowałaby się na życie w takim miejscu.

Nie miałam szans jej przekonać, prawda?

- Poważnie, jak mnie znalazłaś? I kto to „my”?

- Mogę na to odpowiedzieć. - Obok Kat stanął Ethan, przyglądając mi się nieufnie.

Ethan? Potencjalny szpieg?

Wspaniale. Cudownie. Nie mogło być już gorzej.

- Wyjaśnijcie wszystko, zanim dostanę ataku paniki.

- No cóż, powiem na początek, że dowiedziałam się o zombi - odezwała się inna dziewczyna.

Przy drugim boku Kat pojawiła się Reeve.

Okay. Było jednak gorzej. Już oficjalnie.

- Mój tata nie wie, że ja wiem - oświadczyła Reeve.

- Kiedy zniknąłś, Reeve przeprowadziła małe śledztwo i powiedziała mi o tym, czego się dowiedziała - wtrącił Ethan. - Właśnie wtedy odkryliśmy zombi i miejsce twojego pobytu i postanowiliśmy wziąć ze sobą Kat, żeby pomogła nam cię ocalić. Jesteś przyjęta z otwartymi ramionami, tak przy okazji. Masz pojęcie, co musieliśmy zrobić, żeby włamać się do komputera pana Ankha i ustalić współrzędne tego miejsca?

Miałam nadzieję, że pytanie jest retoryczne.

- Co się tyczy innych zaskakujących nowin, Szron i ja rozstaliśmy się, oczywiście - odezwała się Kat, zanim zdążyłam przetrwać w umyśle wszystko, co

właśnie usłyszałam. – Nie chciał mi powiedzieć, gdzie cię przetrzymują.

– Wątpię, czy wie.

Machnęła lekceważąco, a ja zauważyłam, że drży jej ręka.

– Semantyka.

– Nie powinnaś odpychać chłopaka za każdym razem, kiedy czujesz się urażona. Pewnego dnia przestanie do ciebie wracać.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale szybko je zamknęła.

– Dość gadania – nakazał Ethan. – Wynośmy się stąd.

– Czekajcie. – Tych troje nie było w mojej obecności bezpiecznych, nie mając u boku wyszkolonego zabójcy, ale jeśli tej nocy gdzieś czaiły się zombi, to nie byłiby bezpieczni beze mnie. Musiałam eskortować ich do samochodu, gdziekolwiek się znajdował. – Dajcie mi minutę.

Pobiegłam do sypialni, włożyłam czarną koszulę, spodnie w barwach ochronnych i wojskowe buty. Potem przytroczyłam do kostek u stóp i nadgarstków ostrza, za paskiem umieściłam duży rewolwer, a w tylnych kieszeniach dwa mniejsze.

Zadzwoiłam do Cole'a, ale od razu połączyłam się z pocztą głosową. Albo miał wyłączonej

komórkę, albo akurat rozmawiał. Prawdopodobnie to drugie.

- W chacie zjawili się właśnie Ethan, Reeve i Kat. Odprowadzę ich do samochodu. Spróbuję też pobawić się w detektywa, jeśli chodzi o chłopaka. Oddzwon.

Kiedy wróciłam do nich, Kat unikała mojego wzroku. Do diabła. Nie powinnam była wtrącać się w jej sprawę. Wydawało mi się, że odrobiłam lekcję na temat włożenia z butami w czyjeś życie.

- Przepraszam - powiedziałam i ścisnęłam jej dłoń.

Skinęła sztywno głową.

Informacja drobnym drukiem: nie wybaczę. Westchnęłam.

- Chodźcie za mną.

Kiedy dotarliśmy do drzwi frontowych, wzięłam głęboki oddech, by dodać sobie sił. Drżała mi dłoń, kiedy przekreślałam gałkę, a kolana ugięły się przede mną, gdy wyszłam na zewnątrz. Otoczyło mnie zewsząd zimne powietrze, jakby obejmując lodowatymi ramionami.

Wokół majaczył las. Spadł drobniutki śnieżek, pokrywając wszystko cienką glazurą bieli. Było ładnie. Zesztywniałam, penetrując ciemność

wzrokiem, ale nie dostrzegłam niczego niezwykłego.

- Gdzie stoi wasz samochód? - spytałam.

- Przy drodze za lasem - wyjaśnił Ethan. - Nie chcieliśmy, żeby twoi strażnicy nas usłyszeli.

Rozmawiałam z Cole'em o okolicy i wiedziałam, że czeka nas ponadtrzykilometrowy spacer.

- Będę szła przodem - oznajmiłam. - Macie robić to, co wam powiem i kiedy wam powiem, bez najmniejszego sprzeciwu. Mówię poważnie. Kocham was, dziewczyny, z całego serca, ale jeśli nie będziecie mnie słuchać, to wybiję wam zęby, przysięgam.

Kat się w końcu uśmiechnęła.

- No, no, nie owijasz w bawełnę.

Ethan zasłonił Reeve, jakby chciał ją ochronić przed moim domniemanym gniewem. Czy rozumiał, że wobec niego spełniłabym groźbę, a może nawet zrobiła coś gorszego?

- Trzymajcie się za mną. - Wkroczyłam w las, nasłuchując uważnie. Za plecami chrzęściły kroki. Z przodu nie dobiegał żaden dźwięk. Dobrze. Omijaliśmy drzewa, schodząc po zboczach; upływała minuta za minutą. - No więc - zwróciłam się do Ethana - słyszałeś kiedykolwiek o Liniach Krwi?

- Nie.

- Dlaczego więc otaczają twój dom?

- Twoi przyjaciele zadali mi to samo pytanie, a ja powiedziałem im to, co tobie. Nie wiem.

Kłamał. Musiał kłamać.

- Jak się poznaliście z Reeve?

- Możemy nie rozmawiać o tym w tej chwili? - spytał poirytowany.

- Masz rację. Zaczekamy, aż dojdziemy do samochodu. Wsadzimy dziewczęta do wozu, a potem przejdziemy się i pogadamy. - Istniało duże prawdopodobieństwo, że tylko jedno z nas wróciłoby z tej przechadzki.

- Ali? - spytała zaniepokojona Reeve. - Co się dzieje?

Skinął szybko głową. Zbyt szybko?

- Samochód.

- Ethan wyjaśni to później.

Dotarliśmy do małej, okrągłej polany, gdzie nieba już nie zakrywały szczyty drzew. Okazało się, że widoczna na nim wielka biała chmura w kształcie królika pulsuje. Pojawiała się. Znikała. Pojawiała się. Znikała. Pojawiała się...

Przystanąłam, zeszywniałam. Nie wyczułam nic, czego nie powinnam wyczuć.

Głodny, wyszeptał jakiś głos. Tak głodny.

Hm. Pachnie tak dobrze.

Mieć.

Chcieć.

Moje. Moje, moje, moje.

Zombi wyszły na świat i były niedaleko.

- Co to jest? - wyszeptał drżącym głosem Ethan.

- Kat, Reeve, wejdźcie na te drzewa za waszymi plecami - rozkazałam, wyjmując sztylet i broń palną. - Teraz!

Spenetrowałam wzrokiem linię pni wyrastających przed nami. Na prawym krańcu zatrząś się krzew, śnieg spłynął tanecznym ruchem na ziemię.

Sekundę później z zarośli wypadła Emma, choć w ogóle jej nie przywołałam.

Jej twarz zdradzała panikę, drobne ręce poruszały się szybko przy bokach.

- Nadchodzą! - krzyknęła. - Uciekaj! Uciekaj, Alicjo! To pułapka!

Pułapka? Nie mogłam po prostu odejść i zostawić przyjaciół. Rzuciłam się do biegu. Nie zamierzałam ruszać się dokądkolwiek bez swojej siostry. Biegając, próbowałam uwolnić ducha, ale A.Z. otoczyła mnie ramionami i przytrzymała.

- Puść! - wrzasnęłam na nią.

Roześmiała się.

Za Emmą z krzewów wypadły zombi.

Ścigały ją?

Och, do diabła, nie. Była duchem. One były duchami.

Byłyby zdolne jej dotknąć.

Po moim trupie.

Im bliżej siebie się znajdowałyśmy, tym szybciej pędziłyśmy. Po chwili przemknęła przeze mnie, wypychając ze mnie mojego ducha; A.Z. krzyknęła z bólu.

Zatoczyłam się do tyłu, moje ciało pozostało przede mną. Chłód powinien się nasilić. Tymczasem poczułam, jak ogarnia mnie ciepło. Obejrzałam się. Emma zatrzymała się w końcu - przed Ethanem. Zamachała na niego pięściami, ale nie doszło do kontaktu. Stał obok drzewa zupełnie nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje, obserwując mnie z ponurą miną. Dziewcząt nigdzie nie było widać. Przypuszczałam, że posłuchały mnie i wspięły się gdzieś wysoko.

Zwróciłam się ku zombi, wycelowałam i zaczęłam pociągać za spust. Raz, drugi, trzeci! I znów, i znów, i znów!

Ciała padały, ale po chwili podpełzały z powrotem. Odrzuciłam broń z opróżnionym magazynkiem i chwyciłam sztylet. Stwory podchodziły coraz bliżej, poruszając się szybciej niż kiedykolwiek. Były niemal na wyciągnięcie ręki. Po

raz pierwszy od tygodni te czerwone złe oczy skupiały się całkowicie na mnie. Gotowe mnie dopaść? O, tak. Bez względu na powód – czyżby Emma uczyniła coś więcej, niż tylko przeraziła A.Z.? – znowu stałam się celem. Uderzyłam.

Moje sztylety przecięły jedno gardło, potem dwa, sześć, potem wbiły się w kręgosłup, w dwa, w osiem, zgniłe ręce wyciągały się do mnie. Poczerniałe zęby kłapały na mnie. Przynajmniej nie atakowały mnie szepty. Wyginałam się do tyłu, do przodu, unikając chwytliwych kończyn. Odwracałam się, cięłam. Odwracałam się z powrotem, cięłam, poruszając się bezustannie, wiedząc, że chwila wahania oznaczałaby przegraną bitwę.

Wywinęłam stworem przed sobą, posługując się nim jako tarczą, wykonałam obrót i dźgnęłam jego towarzysza w bok. Na wszystkie strony trysnęła czarna maź. Potem skróciłam swoją tarczę o głowę.

Nikt więcej nie ruszył na mnie i uświadomiłam sobie, że urósł stos wijących się ciał, zagradzając drogę innym. Wydostałam się na wolną przestrzeń, zachowując czujność, a wokół mnie pojawiły się nowe stwory; zaczęły krążyć, jakby rozważały najlepszy sposób działania.

Zwykle zombi były bezrozumne. Te nie były. I nie tylko krążyły wokół mnie, ale podchodziły coraz bliżej. Ruszyłam błyskawicznie do ataku – cholera, straciłam sztylety. Wpakowałam podbicie dłoni w szczękę jednego zombi po lewej stronie, a drugą walnęłam w gardło osobnika po prawej.

Gdy wyciągnęły się po mnie liczne ręce, rzuciłam się na ziemię i potoczyłam, zbijając z nóg kilka stworów. Wstałam z dwoma pistoletami w dłoniach – wycelowałam, strzeliłam, wycelowałam, strzeliłam, w odstępach nieledwie sekundowych, ale zawsze pilnując, żeby trafić zombi znajdujące się najbliżej.

Strzeliłam jednemu w twarz i w tym momencie w obu pistoletach rozległ się trzask iglicy. Koniec amunicji.

Gdy napierała na mnie kolejna horda, nacisnęłam guzik z boku kolb, wysuwając spod luf ostrza. Wyciągnęły się ku mnie powykrzywiane, zdeformowane ręce. Skrzyżowałam pistolety przed sobą i trafiłam dwa znajdujące się przede mną stwory w skronie, wykręciłam się, uderzyłam dwa inne, wykręciłam się, trafiłam dwa inne...

Na mojej szczęce wylądowała twarda pięść.

Przed oczami zamrugały mi idiotyczne gwiazdy. Mimo wszystko zdołałam uskoczyć, unikając

drugiego ciosu, który musiał przyjąć na siebie zombi za moimi plecami. Wyprostowałam się, chwytając następnego, zamierzając użyć go jako tarczy, ale odpadła mu ręka. Zatoczyłam się w bok, tracąc równowagę. Jeden ze stworów chwycił mnie za nadgarstek i zwałił na ziemię. Wyszwoleciłam się, ale wypuściłam z dłoni ostrza, przetoczyłam się, ponownie zwalając z nóg kilka zombi.

- Ogień! - krzyknęłam.

Po moich kostkach prześliznęły się maleńkie płomienie; były białe. Przeszyło mnie ostrze ulgi.

Kroki za moimi plecami.

Odwróciłam się błyskawicznie i wyciągnęłam rękę, żeby musnąć opuszkami palców pierś stojącego najbliżej zombi. Nie zamienił się w popiół, ale zasyczał i cofnął się przede mną.

Powrócił, głupiec, a ja zrobiłam to znowu. Tym razem uderzył mnie w rękę, zdeterminowany. Ktoś pojawił się za nim, powstrzymując go i zakładając mu metalową obręcz na szyję. Zombi osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Rozejrzałam się zaskoczona i zdezorientowana.

Otaczali mnie ludzie w kombinezonach, którzy zakładali obręcze pozostałym zombi.

Świadomość tego, co się dzieje, kazała mi rzucić się do ucieczki, ale wpadłam na coś twardego.

Odwróciłam się, wymierzając już cios, i trafiłam przeciwnika w brodę. Zatoczył się w bok, dzięki czemu mogłam ruszyć w stronę przyjaciół, ale w jego miejsce pojawili się trzej inni w kombinezonach.

Nim zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, założono mi obręcz na szyję i w tym momencie poczułam, jak przeszywają mnie ostre elektryczne impulsy. Nagle nie mogłam się ruszać, z trudem oddychałam. Porwała mnie fala paniki, łącząc się z adrenaliną; moje ciało nie miało pojęcia, jak reagować. Dalej walczyć czy zamknąć się w sobie.

- Co wy robicie? - usłyszałam krzyk Kat. - Puśćcie ją!

Widziała mnie? Może ta obręcz...

Walcz. Zdecydowanie. Próbowалам wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Chcecie, żebym była potulna? Nie mieszajcie w to dziewcząt! - próbowałam zawołać, ale z mojej krtani dobyło się tylko gulgotanie.

- Ethan? - krzyknęła Reeve bez tchu. - Pomóż nam!

- Mówiliście, że nie skrzywdzicie Reeve! - wrzasnęła Ethan.

Zrozumiałam natychmiast. Znał tych ludzi, ponieważ był jednym z nich.

Był szpiegiem – teraz już nie żywiłam co do tego żadnych wątpliwości – i uzyskiwał informacje od Reeve. Kiedy u niej mieszkałam, poznał dokładnie mój rozkład dnia. Resztę załatwiła obserwacja.

Umiejętnie zacierał za sobą ślady. Wciąż czułam się głupio. Powinnam była wiedzieć.

Ktoś przykucnął przede mną i podniósł przezroczystą osłonę na oczy. Musiał być po pięćdziesiątce, miał włosy koloru soli z pieprzem i zmarszczki wokół stalowoszarych oczu.

Uraczył mnie smutnym uśmiechem.

- Nie podoba mi się, że aż do tego doszło, panno Bell, naprawdę, ale moja córka jest chora i podejrzewam, że może być pani jej lekiem.

Kto ukradł zatrute ciastka?

Mój duch został przyciągnięty do ciała; jeden z ludzi w kombinezonach zdjął ze mnie obręcz, podczas gdy kilku pozostałych zmusiło moje dwie połówki do ponownego złączenia. W jednym momencie ruszyłam do ataku, gotowa walczyć z tymi osobnikami przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Niektórzy jednak nie znajdowali się w postaci duchowej i jeden z nich zdołał uderzyć mnie pięścią w skroń.

Oszołomienie...

Powolność...

Wciąż walczyłam.

Usłyszałam szum powietrza, poczułam ostre ukłucie bólu w ramieniu. Pomacałam się w tym miejscu i wyrwałam z ręki strzałkę.

Oszołomienie pogłębiło się jeszcze bardziej, potęgowane przez jakiś narkotyk? Zachwiałam się, kości jakby się rozlewały, kolana ugiwały. Kiedy

upadłam na ziemię, ktoś podniósł mnie i związał mi dłonie na plecach; nic nie mogłam na to poradzić. Założono mi na głowę czarny kaptur i wepchnięto do jakiegoś pojazdu, a potem wieziono przez Bóg wie ile kilometrów. Czas przestał istnieć. Było tylko teraz i tutaj. Ciemność, narastająca panika. Gdzie się podziewała Kat? Reeve?

Nasłuchiwałam jakiegokolwiek ruchu - albo płaczu - ale docierał do mnie tylko szum silnika, gwizd mijanych samochodów i ciche pomrukiwanie radia.

Zachowaj spokój.

Tak łatwo pomyśleć, znacznie trudniej zrobić. Wstrząsały mną dreszcze, skórę perlił pot. Krew w żyłach stanowiła groźną mieszaninę nadmiernego gorąca i nadmiernego zimna.

Zaparkowaliśmy gdzieś i zostałam wyciągnięta z wozu przy „serdecznej” pomocy dwóch strażników. Weszliśmy na schody i po chwili wkroczyliśmy w obszar ciepła. Ogrzewany budynek? Usłyszałam kroki. Dzwonek. Zatrzymaliśmy się i po chwili świat wokół mnie zadrżał. Byliśmy w... windzie?

Ponownie dzwonek. Znowu mnie wyciągnięto. Przystawaliśmy jeszcze kilka razy, ja zaś wyobrażałam sobie, że otoczenie, w którym się

znalazłam, musi wyglądać niezwykle ponuro. Loch, jak ten w domu pana Ankha. Sala tortur ze ścianami obwieszonymi śmiertelną bronią stosowaną w średniowieczu.

Weszliśmy do pomieszczenia rozbrzmiewającego chaosem dźwięków. Jęki, stękania, grzechoczący metal.

Inni więźniowie?

Nie mogę tu zostać. *Działaj!* Zbierając resztki sił, spróbowałam się uwolnić. Zdołałam walnąć głową jednego strażnika i podciąć drugiego; wszyscy troje upadliśmy na podłogę. Zanim mogłam zerwać się do ucieczki, ktoś chwycił mnie z tyłu za koszulę i dźwignął na nogi. Uwolniono mi dłonie i popchnięto do przodu. Kiedy wylądowałam na podłodze, zdało mi się, że słyszę, jak Kat i Reeve wzdychają. Jęknęły zawiasy i po chwili zatrzasnęły się jakieś drzwi. Drżąc, ściągnęłam z głowy kaptur i zamrugalam, kiedy ostre światło w pomieszczeniu ukłuło mnie w oczy.

Znajdowaliśmy się w laboratorium – komputery, dziwny sprzęt nieznanego mi przeznaczenia, kilkoro ludzi w białych kitlach. Były tam też klatki z zakutymi w obręcze i oszalałymi zombi.

Zamkniętymi – tak jak ja.

A w sąsiedniej klatce siedziała dziewczyna, którą uważałam za martwą. Jacklyn Silverstone.

Była brudna, włosy miała splątane, wychudzone ciało leżało wyciągnięte na pryczy. Żyła jednak i w tym momencie przestała być moim wrogiem, stała się zaś najwierniejszym sprzymierzeńcem.

- Nie wolno im rozmawiać z nami ani patrzeć na nas - powiedziała słabym głosem. - Pan K. obawia się, że poczują się winni i nas uwolnią.

Uświadomiłam sobie z całą siłą grozę sytuacji, by po chwili ulec wściekłości; zerwałam się na równe nogi. Musiałam się dowiedzieć, czy mówi prawdę, i rzuciłam się na kraty, trzęsąc całą klatką.

- Wypuście nas!

Tak jak mówiła, wszyscy mnie zignorowali.

- Hej! - zawołała Kat, stając obok mnie. W jej głosie wyczuwało się drżenie. - Ona do was mówi. Lepiej posłuchajcie, bo jak nie, to pożałujecie.

I znowu nas zignorowano.

Usłyszałam szloch za plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam Reeve stojącą pośrodku naszej celi; obejmowała się ramionami. Po policzkach płynęły łzy, zostawiając na skórze maleńkie różowe smugi.

- Zdradził mnie - powiedziała, pociągając nosem.

- To wszystko przeze mnie. Rozmawiałam z nim, opowiedziałam mu o wszystkim, co odkryłam. Po

prostu nigdy nie podejrzewałam, że już wie, co się dzieje, że zmusza mnie, bym odkrywała jeszcze więcej, że mnie wykorzystuje. Wykorzystuje.

Kat podeszła do niej.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na ludzi w kitlach – nikt na mnie nie popatrzył – i zbliżyłam się do przyjaciółek. Reeve była bliska załamania; bez trudu rozpoznałam objawy.

- Nie mogłaś przejrzeć jego planu – oświadczyłam, chcąc, by brzmiało to spokojnie i racjonalnie. Ale gdy tylko padły te słowa, uświadomiłam sobie, że kłamię. Mogła przejrzeć jego plan – gdybym jej wyjaśniła, co się dzieje, kiedy po raz pierwszy okazała ciekawość. – Twój tata zainstalował wszędzie kamery. Zobacz, co się wydarzyło w lesie. Znajdzie nas.

Oby.

Kat zagryzła wargę.

- Tak mi przykro, Ali, ale Ethan pomógł nam wyłączyć wszystkie kamery. Powiedział, że nie chce, by ktokolwiek zobaczył nas albo przeszkodził nam w twoim uwolnieniu.

Największa nadzieja, jaką żywiłam, umarła właśnie szybką śmiercią. Ścisnęłam palcami nos. Było źle. Naprawdę źle.

Zostały mi jednak trzy małe nadzieje. Pierwszą była Emma. Mogła ostrzec Cole'a. Drugą - wiadomość, którą mu zostawiłam. Trzecią - Justin. Mógł znać prawdę o tym, co się z nami stało. Ale czy rzeczywiście stał po naszej stronie?

Staralam się za wszelką cenę zachować kamienny wyraz twarzy, kiedy kazałam dziewczynom przejść na koniec klatki i usiąść na zimnej betonowej podłodze.

- Co zrobimy? - spytała szeptem Reeve.

- Tak, Ali, co? - spytała Kat bez cienia typowej dla niej zuchwałości.

- Na razie odpoczniemy - odparłam ze słabym uśmiechem. Zerknęłam na Jacklyn. - Coś wymyślę. Przyrzekam.

*

Godziny upływały z bolesną powolnością. Wezwałam Emmę, ale się nie pojawiła. Przyglądałam się uważnie otoczeniu, chłonąc wszystkie szczegóły. Ta sama poświata, którą widziałam w lesie, kiedy tropiłam szpiega, widniała tu na podłodze i ścianach pod postacią smug. Może toksyna zombi?

W górnym prawym rogu naszej klatki zamontowano kamerę, która rejestrowała każdy nasz ruch i słowo.

Nie było żadnych łóżek ani koców, toalety w kącie niczym nie zasłonięto. Liczba pracowników w kioskach malała niespiesznie, ale systematycznie, i w końcu pozostało tylko dwóch ludzi. Inni mieli jednak wrócić. Wiedziałam, że tak się stanie.

Podeszłam do krat oddzielających mnie od Jacklyn. Z bliska mogłam dostrzec chudość jej policzków.

- Jak długo tu jesteś? - spytałam.

- Trochę ponad miesiąc, jak mi się wydaje. Straciłam poczucie czasu.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Tak, nie żyję, ale tylko w słodkich marzeniach. - Wzruszyła ramionami, widać było, że sprawia jej to trudność. - Pan K. chciał znaleźć jakiś sposób, żeby kontrolować Justina, zmusić go, by wrócił do Cole'a... do was. Zamiast mu powiedzieć, że mnie więzi, i ryzykować tym samym, że Justin zacznie mnie szukać, wmówił mojemu bratu, że Cole mnie zabił.

Pan K. Ten, który tu rządzi. Następca pani Wright. Człowiek, którego córka była chora - dziewczyna, której miałam w jakiś sposób pomóc.

- Próbowałam uciec - ciągnęła. - Myślę, że dlatego utrzymują mnie w stanie niedożywienia. Żebym była apatyczna i słaba.

Dobry plan. Zmęczenie przydawało ciężaru moim kończynom, miałam też wrażenie, że powieki zamięły się w papier ścierny. Mruganie przypominało koszmarny wysiłek. Nie mogę pozwolić sobie na sen. Wierzyłam, że trafi się okazja, by coś zrobić. Cokolwiek.

- Zjawiają się tu ludzie, ale nigdy stąd nie wychodzą - mówiła dalej. - Pan K. lubi przeprowadzać doświadczenia na pacjentach z nowotworami. Może próbuje ich wyleczyć, bo zawsze się martwi, kiedy umierają, ale szybko przestaje się tym przejmować. Pacjenci to teraz zombi, których tu widzisz.

Stworzył armię zombi z pacjentów cierpiących na raka? Ten człowiek miał poważne zaburzenia.

- Jakie stosuje tu środki bezpieczeństwa? - spytałam.

- Za drzwiami tego pomieszczenia zawsze pełnią wartę strażnicy, obserwując nas na monitorach. Nie wiem, ilu ich jest. I zabezpieczyli to miejsce swoją wersją Linii Krwi, nawet kraty, więc nasze duchy nie mogą się stąd wydostać i zawiadomić innych zabójców.

Nic dziwnego, że Emma się nie pojawiła.

Zgasła kolejna nadzieja.

O 7.58 rozsunęły się drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia i do środka wszedł uśmiechający się mężczyzna z lasu. Towarzyszyli mu dwaj wysocy i uzbrojeni ludzie i po chwili cała grupka podeszła do naszej klatki. Kat i Reeve siedziały przytulone do siebie, wspierając się jedna na drugiej, oczy miały zamknięte, oddech miarowy. Ich adrenalina uspokoiła się po jakimś czasie i gdy w końcu nadszedł sen, nie zdołały mu się oprzeć.

- Idzie pani z nami, panno Bell.

Jacklyn sięgnęła przez kraty i ścisnęła mój nadgarstek.

- Będzie bolało. Przykro mi.

Rozległ się szczeł metalu, gdy otworzono drzwi klatki. Uzbrojeni mężczyźni wkroczyli do środka, a moje serce zabiło w rytm ich gniewnych kroków. Nie zamierzałam tak łatwo porzucić przyjaciółek i wymierzyłam cios. Moja pięść wylądowała na nosie faceta po lewej stronie. Trysnęła krew, zawył z bólu. Zanim zdążyłam zrobić to samo z tym po prawej, chwycił mnie za rękę i wykręcił mi ją za plecami. Poczulałam ból eksplodujący w ramieniu.

Zakuto mnie w kajdanki i wyciągnięto z klatki. Ot tak, po prostu.

- Hej! Co wy robicie? Puśćcie ją! - zawołała Kat, którą zapewne obudziło całe to zamieszanie.

W klatkach, w których siedziały zombi, zapanaowało niespokojne ożywienie. Pomrukiwania, postękiwania, szuranie stóp.

Głodny...

Żywić...

Niebawem...

Teraz...

W chwili, gdy szepty dotarły do mojej świadomości, przyprawiając mnie o drżenie, zaprowadzono mnie do innego pomieszczenia. Stał tam fotel z rodzaju tych, jakie widuje się w gabinetach dentystycznych. Obok zauważyłam wyściełany taboret, stolik z ostrzami o różnej wielkości i strzykawkami, a także jakieś urządzenie, które przypominało na pierwszy rzut oka silnik samochodowy.

Kiedy zaczęto przywiązywać mnie rzemieniami do fotela, zaczęłam się szarpać.

- Proszę się uspokoić, panno Bell - powiedział człowiek z lasu. - Porozmawiamy, pani i ja.

- Pieprz się.

Zignorował moje słowa.

- Jestem Kelly Hamilton. Zwykle nie ujawniam swojego nazwiska, wolę anonimowego pana K., ale

niebawem połączy nas bliska więź. Ty, moja droga, możesz nazywać mnie Kelly.

Hamilton. Jak Ethan Hamilton. Kelly musiał być jego ojcem.

Zdrada głębsza, niż sobie uświadamiałam.

I, och, wielkie nieba, już nigdy nie wydostanę się z tego laboratorium, prawda? Dlatego z taką niefrasobliwością ujawnił swoje prawdziwe nazwisko, ogniwo z Ethanem. Nie miało to nic wspólnego z bliskością, o której przed chwilą wspomniał.

Usiadł na taborecie i włożył lateksowe rękawiczki.

- Muszę przyznać, że jesteś dziewczyną, którą trudno było znaleźć. Akurat w chwili, kiedy doszedłem do wniosku, że możesz mi pomóc, zniknęłaś.

- Nie bez powodu.

- A jaki to powód?

- Jestem niebezpieczna.

Lepiej w to uwierz, palancie.

- Tak. Słyszałem, że zaczęłaś zdradzać z czasem zombiczne tendencje. To, że wciąż żyjesz, że twoje ciało jest zdrowe i nienaruszone, intryguje mnie.

Kłapnęłam na niego zębami.

- Jeśli nie będziesz ostrożny, doświadczysz tych tendencji na własnej skórze.

Poklepał mnie uspokajająco po ramieniu.

- Wiem, że się boisz, i jest mi z tego powodu przykro, ale możesz być pewna, że to, co się tu dzieje, ma swoją niezwykle istotną przyczynę. Moja córka umiera, panno Bell, a ja muszę znaleźć dla niej jakiś lek.

Siostra Ethana. Białaczką.

- Jak mogę pomóc? Konkretnie?

- Wykluczając sytuację, w której wy, zabójcy, posługujecie się swoim ogniem i zamieniacie zombi w popiół, posiadają one zdolność wiecznego życia. Liczę na to, że uda mi się wykorzystać tę zdolność w przypadku ludzi.

- To śmieszne. Zombi żyją na swój sposób, ale nie przestają się rozkładać.

- I nawet to samo w sobie jest cudem, panno Bell. Proszę pomyśleć o wszelkich możliwościach. Jeśli zdołamy ustalić, jak i dlaczego dochodzi do rozkładu, to będziemy mogli zorientować się, jak wyeliminować ten efekt uboczny i ocalić ludzi przed śmiercią.

- Zombi są śmiercią, w każdym znaczeniu tego słowa. Tendencje, o których wspomniałeś, sprawiały, że chciałam zabijać ludzi.

- Niewielka cena za życie wieczne. - Podniósł pustą strzykawkę i pomachał mi igłą przed twarzą, upewniając się, że skupiłam na nim uwagę. - Pomyśl tylko. To, co się stanie z tobą w tym laboratorium, pomoże ocalić niezliczone istnienia.

Może. Pewnego dnia. Ale co z niezliczonymi istnieniami, które należałoby poświęcić?

Chciał ocalić córkę. Rozumiałam to. Naprawdę. Pragnęłabym pomóc babci, Cole'owi i Kat, gdybym znalazła się w takiej sytuacji. Pragnęłabym pomóc za wszelką cenę - już pragnęłam, prawdę powiedziawszy. Wiedziałam, że z Kat jest coraz gorzej - i był to istny horror. Ale uważałam, że nie tędy droga.

- Kochasz swoją córkę - powiedziałam. - I mogę się założyć, że ona kocha ciebie. Chciałaby tego? Krzywdzić ludzi, żeby uzyskać pomoc?

Jego usta zacisnęły się w wąską linię.

- Zakłuje, ale postaram się zrobić to jak najdelikatniej.

Nachylił się nade mną, obwiązał mi rękę poniżej ramienia opaską uciskową i wbił igłę w miękką tkankę po wewnętrznej stronie łokcia.

Skuliłam się, patrząc na szkarłatny płyn w pojemniku strzykawki.

- Zamierzamy się zorientować, co sprawiło, że twoje ciało wchłonęło toksynę, a mimo to nie zabiło cię ani nie wywołało rozkładu. - Zdjął z mojej ręki opaskę uciskową i opatrzył ranę.

Jest zbyt zdeterminowany. Nie przemówisz mu do rozumu. Musisz wykorzystać to, czym dysponujesz.

- Nie potrzebujesz do tego dziewczyn. Wypuść je. Nie mają nic wspólnego z naszą wojną.

- Twoja troska jest godna podziwu, ale tak naprawdę potrzebujemy tych dziewczyn. Chcemy, żebyś była uległa, a one stanowią nasze zabezpieczenie.

Wiedziałam, że są dla niego kimś innym. Świadcami.

Musiałam je stąd wydostać.

- Obiecuję, że będę uległa, jeśli je wypuścisz.

- I tak będziesz uległa. Czujesz oszołomienie? - spytał. - Jeśli tak, to dam ci ciasteczko z twoim imieniem.

Wolałam już zło w czystej postaci, bez dodatków serdeczności.

- Bardzo dobrze. Przejdziemy dalej. To, co teraz nastąpi, będzie dla ciebie znacznie boleśniesz, i jest mi z tego powodu przykro, ale muszę wiedzieć, co twoje ciało może zaakceptować,

a czego nie. Twoje moce i słabości, jeśli wolisz. Muszę też wiedzieć, co się stanie z toksyną, kiedy ciało zostanie poddane wyjątkowo silnemu stresowi. – Wziął do ręki następną strzykawkę; tym razem zawierała gęsty zielony płyn.

Moje więzy napięły się, kiedy próbowałam się cofnąć.

– Co to takiego? – spytałam, nie mogąc zapanować nad drżeniem.

– Izotop adrenaliny i innych pyszności, których celem jest przyspieszenie reakcji twojego ciała. Zareaguje chęcią do walki albo ucieczki; chodzi o wywołanie stresu, o którym wspominałem. Liczę na to, że wyzdrowiejesz szybko, a toksyna nie zdoła zapanować nad tobą i zrobić ci krzywdy.

Nie miałam dokąd uciec ani jak się wykręcić, kiedy wbił mi w rękę igłę i wstrzyknął w nią istny ogień. Rozlała się we mnie płynna lawa, paląc mnie, roztapiając wszystkie wewnętrzne organy. Oblałam się znieczulaczem. Może i krwią. Nie potrafiłam się zorientować – oczy zaszyły mi już mgłą. Mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia, drgnęły boleśnie, a oba moje serca zaczęły bić niebezpiecznie szybkim rytmem. Bum, bum, bum, bum, bez przerwy, bez zwolnienia, tylko uderzenie

za uderzeniem o żebra. Zagryzłam język, żeby nie krzyczeć.

- Przestań - wysapałam, czując ucisk w płucach.

- Natychmiast.

- Proszę się nie martwić. To nie potrwa długo. -

Przesunął dłonią po moim czole. - Nie jestem potworem i przykro mi, że się denerwujesz. Ale jestem też człowiekiem zdeterminowanym. Muszę ocalić córkę, panno Bell, i jeśli ma to oznaczać zniszczenie świata i każdego jego mieszkańca, zrobię to.

- Zbrodniarz - zdołałam z siebie wydusić. -

Zasługujesz na... więzienie.

- Przemawia przez ciebie ból. Nie obrażam się o twoje słowa. - Wstał i umieścił elektrody na moich skroniach, szyi, nadgarstkach, brzuchu i kostkach u nóg. - Zamierzamy też sprawdzić, co się dzieje z twoim duchem.

Wziął do ręki kolejną strzykawkę, z zielonym płynem. Nim zdążyłam zaprotestować, zrobił mi zastrzyk. I znowu zalała mnie fala gorącej lawy.

Wygięłam się bezwiednie w łuk. Tym razem serce waliło mi z taką siłą, że zdawało mi się, iż lada chwila usłyszę trzask pękających żeber. Nie mogłam powstrzymać krzyku. Dobywał się ze mnie

raz za razem, szarpiąc mi gardło, aż miałam wrażenie, że szyję ściskają mi jakieś ręce.

- Ciekawe - powiedział Kelly, przykładając palce do mojej tętnicy szyjnej. - Twoje ciało i duch słabną w szybkim tempie, a mimo to jest coś w twoim wnętrzu, co nabiera mocy.

Miałam rozmazany wzrok, ale wydawało mi się, że widzę A.Z. w kącie pokoju; obserwowała mnie.

- Dlaczego nie umierasz? - warknęła.

Tak. Była tutaj. Czy to ona stanowiła to coś, co nabierało mocy?

Zrobiła krok, potem drugi, zbliżając się do mnie. Sunęła właściwie. Bezbarwne splątane włosy okalały twarz pokrytą teraz w całości smugami. Uśmiechnęła się, obnażając zęby poplamione krwią.

- Teraz to tylko kwestia czasu - dodała.

Zamknęłam oczy, żeby jej nie widzieć.

- No, no - odezwał się Kelly. - Wystarczy. Zrobimy przerwę.

Poczułam jeszcze jedno ostre ukłucie w szyję, choć tym razem towarzyszył mu lód zamiast ognia. Serce zwolniło biegu, ja zaś osunęłam się bezwładnie na fotelu - mokra, rozmiękła masa.

- Muszę przyznać, że miałem nadzieję zobaczyć czerwony ogień - powiedział Kelly, zapisując coś

w notatniku. – Słyszałem, że rani zabójców i zombi, ale nie ciebie. Zastanawiam się siłą rzeczy, co on ci uczynił?

A.Z. stała tuż za nim, a ja pilnowałam się, żeby nie napotkać jej spojrzenia.

– Co byś zrobił, gdybyś go zobaczył? – wydyszałam. – Spaliłabym ten fotel i ciebie także, możesz mi wierzyć.

– Na suficie jest zainstalowany zraszac, dokładnie nad tobą. – Wskazał urządzenie końcem długopisu. – Ugasiłbym cię jednym naciśnięciem guzika.

– Może.

– Zdecydowanie. – Postukał się długopisem w brodę. – Wiem. Sprawdzimy, czy czerwony ogień się pojawi, kiedy wprowadzę do twojego organizmu więcej toksyny.

Odłożył notatnik i wziął jeszcze jedną strzykawkę, tym razem wypełnioną czarną mazią.

Co?!

– Nie! – Zmagalam się z więzami. Wrzynały mi się w nadgarstki i kostki nóg, trzymały mocno. Krew kapiała na krzesło, na podłogę.

A.Z. klasnęła.

– Teraz już nigdy nie będziesz mogła mnie powstrzymać!

- Zabijesz mnie - powiedziałam, ignorując ją. -
I nie dowiesz się niczego nowego. Nie pomożesz
córcie.

Kelly pokręcił głową.

- Robiłem to już z innymi, panno Bell. Wiem, co
mogę zaaplikować, a czego nie, i utrzymać
pacjenta przy życiu.

Nie rozumiał. Wypląnęły ze mnie pełne rozpacz
słowa:

- Jestem inna. Nie rób tego. Błagam, nie rób
tego.

- Proszę się uspokoić. To syntetyczna odmiana
toksyny, nie zainfekuje cię trwale, wypali się za
około pół godziny. Nie będziesz nawet potrze-
bowała antidotum.

- Nie, nie rozumiesz. Ja...

Wbił mi igłę.

Wszystkie potwory chcą się bawić

Wielokrotnie, jako mała dziewczynka, patrzyłam na dom, który zbudował mój ojciec, i dostrzegałam w nim więzienie. Tylko dwa razy sprzeciwiłam się swojemu wymuszonemu odosobnieniu, wrzeszcząc i drąc się na rodziców, i narzekając na całą tę niesprawiedliwość. Nie tylko ze względu na siebie, ale też Emmę. Nie miała życia, nie miała przyjaciół.

Może właśnie dlatego byliśmy ze sobą tak blisko. Zawsze miałyśmy tylko siebie. Rozumiałyśmy się nawzajem, ponieważ tkwiłyśmy na jednej łodzi, pośrodku tego samego sztormu.

Potem ojciec zaczął mnie szkolić w sztuce samoobrony, a ja odkryłam, że mam do tego talent. Dawało mi to okazję, żeby coś robić, myśleć o czymś, wyczekiwać czegoś. Lecz jeśli chodziło o zombi, ojciec nie znał wielu sztuczek.

Tych nauczyłam się od Cole'a. Pod jego czujnym okiem nabrałam pewności siebie, może nawet uważałam chwilami, że jestem niepokonana. Żaden jednak trening nie mógł mi teraz pomóc.

Choć opierałam się z całych sił strażnikom, zdołali zawlec mnie z powrotem do klatki.

GLÓD!

PRAGNAĆ!

WKRÓTCE!

MOJE!

Zombiczne myśli - już nie szepty - rozbrzmiewały krzykami w mojej głowie, echo moich własnych myśli. Chłonełam obecny w powietrzu najśłodszy, najczystszy aromat rozsiewany przez strażników, przez Kat i Reeve, przez Jacklyn.

Mmm... takie dobre...

A.Z. znowu wniknęła we mnie; czułam jej głód. Dlaczego nie zaatakowała Kelly'ego, kiedy znajdowała się poza moim ciałem - nie miałam pojęcia. Chyba że nie mogła. Nie zaatakowała też Cole'a czy Gavina. Może, dopóki była ze mną związana, ograniczała ją w jakiś sposób moja wola.

- Stańcie pod tylną ścianą! - krzyknął jeden ze strażników. Kat i Reeve przybliżyły się szybko do krat, gdy tylko mnie zobaczyły. - Natychmiast!

Dziewczyny usłuchały, chcąc prawdopodobnie zająć się mną jak najszybciej. Otwarto klatkę i wrzuciono mnie do środka, drzwi się po chwili zatrzasnęły. Siły opuściły mnie już dawno i teraz osunęłam się na dłonie i kolana.

Dziewczyny pospieszyły do mnie, słodycz ich woni była tak przemożna, że ślina napłynęła mi do ust.

- Odsuńcie się - wychrypiałam. - Musicie się ode mnie odsunąć.

- Róbcie, co mówi - usłyszałam bezwzględne polecenie Jacklyn. - Dla waszego własnego dobra.

Co szkodziłoby posmakować? Tylko raz?

- Co oni ci zrobili? - spytała Kat.

- Och, Ali - rzuciła bez tchu Reeve.

- Natychmiast! - odpełzłam od dziewczyn i skuliłam się w przeciwległym narożniku klatki. Objęłam się ramionami, całe ciało drżało mi z bólu, który wciąż tlił się we mnie. Drżało z zimna, słabości, strachu, przerażenia i głodu... Och, ten głód...

Uderzyłam głową o ceglana ścianę. Nie mogę myśleć o dziewczynach. Nie mogę myśleć o tym, jak łatwo byłoby je obezwładnić, przytrzymać i przebić się zębami przez ich skórę i mięśnie i sięgnąć...

Nie! Nie mogę myśleć.

Uderzałam głową mocniej, szybciej. O wiele mocniej. Pod przymkniętymi powiekami pojawiły się czarne plamy. Uśmiechnęłam się wraz z pierwszą falą ulgi. Nadchodził koniec mojej męki, skradał się... Już niedługo... Westchnęłam uszczęśliwiona, pogrążając się w błogiej nieświadomości.

*

Kiedy się ocknęłam, świat, o dziwo, był znacznie jaśniejszym miejscem. Nie skrzywdziłam swoich przyjaciółek. Znajdowałam się w najgorszym możliwym stanie, dręczona przez niepowstrzymany głód i zdesperowana, a jednak wytrzymałam.

Coś we mnie, jakąś cząstka - miłość do Kat i Reeve być może - okazała się silniejsza niż A.Z.

Mogłam to zrobić, wygrać. Mogłam walczyć i przewycięzać.

Tym razem naprawdę w to wierzyłam.

Ułożyłam nową listę. Zrobić, co tylko konieczne, żeby uciec z Kat, Reeve i Jacklyn. Wrócić z Cole'em i innymi zabójcami. Zniszczyć Animę - zacząć od Kelly'ego.

Żeby uciec, potrzebowałam siły.

Żeby mieć siłę, potrzebowałam jedzenia.

Każda z nas dostała małą, suchą kanapkę; powiedziano nam przy okazji, że ma to wystarczyć na cały dzień; było to nasze śniadanie, obiad i kolacja.

Poprawka do listy. Przekonać kogoś, żeby nas nakarmił.

Niedługi czas później odprowadzono mnie pod eskortą do sali horrorów Kelly'ego i przywiązano rzemieniami do fotela, a potem nałożono na całe ciało elektrody.

Kelly usiadł obok.

- Widzisz, mówiłem, że toksyna cię nie zabije. - Uśmiechając się z dumą, poklepał mnie po rękę, jak zwykł to robić dziadek. - Porozmawiajmy, zanim przystąpimy do dzisiejszych testów.

- Nie porozmawiamy. Jestem zbyt głodna.

Zignorował moją uwagę.

- Wiemy, gdzie mieszka każdy z twoich przyjaciół, ale nie to, czy posiadają niezwykle zdolności tak jak ty. Chciałbym zwłaszcza wiedzieć, czy któryś z nich potrafi się wyleczyć nienaturalnie szybko.

- Odpowiedzi w zamian za jedzenie. - Fałszywe odpowiedzi.

Jego rysy stwardniały.

- Podziwiam twojego ducha, panno Bell, ale narobisz sobie kłopotów. Powiedziałem przecież,

że zrobię wszystko, co konieczne, żeby pomóc swojej córce, i mówiłem poważnie.

- Cheeseburger. Frytki. Shake czekoladowy.

Naszpikował mnie jeszcze większą liczbą elektrod, które były podłączone do dziwnie wyglądającej maszyny, i przekręcił włącznik. Poczułam, jak przebiegają przeze mnie wołty, ostre, gorące i żarłoczne. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć.

Ból skończył się tak szybko, jak się zaczął.

Próbując rozpaczliwie wciągnąć tlen w pozbawione powietrza płuca, spojrzałam na swojego dręczyciela.

- Przykro mi, że musiałem to zrobić, ale sama jesteś sobie winna. Na szczęście dla ciebie jestem gotów spróbować jeszcze raz. Czy któryś z twoich przyjaciół odznacza się zdolnością nadprzyrodzonego zdrowienia?

- Pizza - rzuciłam ochryplym głosem.

Marszcząc czoło, Kelly przekręcił włącznik.

Ból trwał tym razem dłużej, serce dosłownie zatrzymało się na chwilę, zanim ruszyło ponownie z własnej woli.

I tak to się odbywało. On zadawał pytanie dotyczące zabójców i ich zdolności, a ja wymieniłam nazwę jakiejś potrawy - jeśli mogłam akurat

mówić. Byłam święcie przekonana, że mój mózg przypomina papkę.

- Proszę się skupić, panno Bell.

Przekręciłam głowę w stronę Kelly'ego. Zamierzał mnie złamać i jeśli chodzi o ciało, dopinał swego, ale tak naprawdę tylko pogłębiał moją determinację.

- Jeśli nie chcesz mówić w tej chwili o zabójcach, to nie będziemy, ale nie skończyliśmy jeszcze na dzisiaj. Widzisz, wysłałem pewnego człowieka, żeby cię schwytał. Zastrzelił Halima Bendarięgo, a ktoś inny zastrzelił jego kierowcę. Od tej pory nie miałem od niego żadnych wiadomości. Wiesz przypadkiem, co się z nim stało?

- Poszukaj go... w swoim tyłku.

Wysunął szczękę - i przekręcił włącznik.

Fotel trząsł się, poruszany siłą moich dreszczy, ból był dojmujący, skręcał wnętrzości i wnikał w samą duszę. Kelly zamierzał mnie zabić. Czy mogło być inaczej? Po chwili nawet moja skóra zaczęła wibrować i nie przestała, kiedy wyłączył maszynę. Odnosiłam wrażenie, że kości mam tak kruche, jakby mogły lada chwila pęknąć. Zdawało się, że moje płuca wypełnia zamiast powietrza potłuczone szkło. Każdy oddech przypominał agonię.

Ocknęłam się, kiedy Kelly poklepał mnie po policzku. Musiałam zemdleć.

- Dosyć na dzisiaj - oznajmił z głębokim westchnieniem. - Jutro będziemy kontynuować. Mam nadzieję, że wykażesz się większą chęcią do współpracy.

Chyba przycisnął mnie bardziej, niż zamierzał.

- Lasagne. Spaghetti. Chleb czosnkowy.

Skrzywił się.

- Nie chcę tego robić, ale przywiążę twoją przyjaciółkę do stołu. I każę ci patrzeć, jak wstrzykuję jej toksynę. Zacznesz mówić, zanim wbiję w nią pierwszą igłę?

Potwór! Obnażyłam zęby, żałując straszliwie, że nie mogę zrobić nic więcej.

Odsunął mi wilgotne włosy z czoła, wiedząc, że udało mu się dotrzeć do poziomu, którego nie mogła dosięgnąć maszyna.

- Jutro znów utniemy sobie pogawędkę. Jeśli zawiedziesz mnie tak jak dzisiaj, posłużę się chorą już Katherine Parker.

Wiedział. Wiedział, że jest chora, a mimo to był gotów ją wykorzystać.

Nie potrafiłam udźwignąć choćby kilograma swojej wagi i musiałam zostać odwieziona do klatki na wózku. Chciałam zapewnić Kat i Reeve, że nic mi

nie jest, ale gdy tylko wylądowałam na podłodze, pchnięta przez strażników, pochłonęła mnie ciemność.

*

- ...tak mi przykro - mówił jakiś męski głos. Rozpoznałam go. Wzbudzał we mnie gniew. Gniew dostatecznie silny, by wyrwać mnie siłą z głębokiego snu, jedynej rzeczy, która pozwalała mi nie odczuwać bólu wciąż uporczywie obecnego w moim ciele.

Zamrugalam, spoglądając oczami szklistymi od przemęczenia i wysiłku, jaki musiały znosić. Przy kratkach naszej klatki stał Ethan, błagając Reeve, by wybaczyła mu udział w naszym porwaniu. Gniew się spotęgował, dodając mi sił. Warcząc jak zwierzę, którym mogłam stać się w każdej chwili, rzuciłam się na kraty. Próbowałam go chwycić, zamierzając zdusić w nim życie - i śmiejąc się jednocześnie.

Cofnął się poza zasięg moich rąk.

W naszą stronę ruszyli czym prędzej dwaj ludzie w kitlach, żeby go najprawdopodobniej osłonić, ale wstrzymał ich gestem uniesionej dłoni, oni zaś przystanęli i szybko wrócili do swoich zajęć. Obciągnął sweter, trzymając się w bezpiecznej

odległości od naszej klatki, by uniknąć powtórki tego, co się przed chwilą wydarzyło.

- Ty to zrobiłeś! - wrzasnęłam, zaskoczona dźwiękiem swojego głosu. Tak, wrzasnęłam, ale dało się słyszeć jedynie szept. - Zabiję cię. Zatlukę.

- Pozwól mi wyjaśnić - poprosił, jego twarz była równie udręczona jak ton. - Błagam.

- Oszczędź sobie. Nie ma czego wyjaśniać.

Patrzył przez chwilę na Reeve, jakby szukając choćby odrobiny miękkości.

- Człowiek, który jest właścicielem tego wszystkiego, to mój ojciec. Pracuje dla Animy od dwudziestu lat i w końcu został awansowany na jedno z kierowniczych stanowisk.

Rodzinną spuścizna. Jakież to miłe.

- Wyrwę ci oczy i nigdy już nie zrobisz czegoś takiego! To ty byłeś tamtej nocy w lesie, szpiegując Trinę i Lucasa.

Spuścił wzrok. Ze wstydu? Po chwili skinął głową.

- Nie możemy pozwolić sobie na porażkę, ja i tata, jeśli moja siostra ma przeżyć. Dlatego musieliśmy zabezpieczyć się ze wszystkich stron. Dlatego posłał mnie do Reeve, a ja się zgodziłem. Dlatego wysłał Justina do zabójców.

- Wykorzystałeś mnie - oznajmiła cicho Reeve. - I oczekujesz, że ci wybaczę i zapomnę?

Odwróciłam się do niej. Czekałam, aż uderzy mnie jej zapach, aż wzbudzi we mnie niepokój i wywoła obsesję, ale poczułam tylko nieznaczną woń perfum, która przetrwała zapewne na jej skórze.

Ścisnęłam jej dłoń dla dodania odwagi, a ona zrewanżowała mi się słabym uśmiechem wdzięczności.

- Nie wykorzystałem cię - zapewnił Ethan, kręcąc głową. - To znaczy z początku, owszem, tak, wykorzystywałem cię, ale nawet wtedy mnie pociągałaś. Im więcej czasu z tobą spędzałem, tym bardziej byłem w tobie zakochany. Nikt nigdy nie miał cię skrzywdzić.

- W przypadku twojego ojca nikt się nie liczy - rzuciłam zawzięcie. - Powinieneś być o tym wiedzieć.

Ethan uniósł brodę.

- Kocham cię, Reeve - wyznał, nie zwracając na mnie uwagi. - Nigdy nie kłamałem, jeśli o to chodzi.

Ona też uniosła brodę, a ja wiedziałam, że zaraz odezwie się jej uparta natura.

- Nigdy nie powiedziałam ci tego samego, nie wymówiłam tych dwóch słów, ponieważ nigdy tego nie czułam. I wciąż nie czuję.

Zamknął oczy, odetchnął z wysiłkiem.

- Nieważne. Kocham cię za nas oboje. Niczego ci już nie zrobią. Nie pozwolę na to.

- Jakbyś mógł ich powstrzymać. Już nas głodzą. A pewnego dnia, kiedy nie będę więcej potrzebna...

- *albo umrę* - ...twój tata ją zabije i doskonale o tym wiesz. - Zdawałam sobie sprawę, że to, co mówię, przeraża ją, ale uważałam, że gra jest warta świeczki. Gdyby Ethan zaczął się obawiać o jej życie, to może pomógłby nam w ucieczce. A gdyby nam pomógł, jedzenie nie miało większego znaczenia. - Wie za dużo, widziała za dużo.

- Nie - powiedział, znowu kręcąc głową.

- O, tak.

- Porozmawiam z ojcem.

- I uwierzysz we wszystko, co ci powie? Uwierzysz człowiekowi, który już cię zawiódł i zamknął w klatce dziewczynę, którą kochasz?

Ethan chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Wiedziałam, że szuka jakiejś odpowiedzi. Kiedy żadnej nie znalazł, odwrócił się na pięcie i wyszedł zdecydowanym krokiem z laboratorium.

- Krzyż na drogę - mruknęła Kat.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że siedzi w tym samym miejscu, które zajmowała od kilku godzin. Jej skóra była blada - zbyt blada - a ciałem wstrząsały dreszcze. Oczy miała szkliste, jakby odczuwała koszmarny ból.

- Kat - zwróciła się do niej Reeve, wyraźnie zaniepokojona.

- Wyglądam okropnie, wiem. Załatwiłam sobie dwie kiepskie nerki. Przepraszam, że ci nigdy nie powiedziałam.

- Co?! - Reeve podeszła do niej.

- Co mogę zrobić? - spytałam.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Naprawdę. Jestem tylko tak głodna, że chyba wytatuuję sobie na brzuchu „Jamie Oliver”, kiedy już będzie po wszystkim. Robi wspaniałe przegrzebki. Dźgnęłabym tatę nożem, żeby je teraz dostać.

Potrzebowała dializy, i to natychmiast; wiedziałam o tym. Od tej chwili jej stan tylko się pogarszał. A w przypadku nerek nie dało się naprawić spustoszeń. Sprawdziłam to.

- To moja wina - oznajmiła Reeve, której broda drżała płacząco. - Nigdy nie powinnam była zaufać Ethanowi.

- Wszyscy popełniamy błędy - powiedziała Kat i dodała z buńczucznym uśmiechem: - Ale Szron

się zjawi. Uratuje sytuację. Nie pozwoli, by coś mi się stało. Albo nam. Ale głównie mnie.

Reeve próbowała się dostosować do nastroju.

- Może weźmie ze sobą Bronxa, a ja będę mogła błagać go o przebaczenie.

- Błagać nago - zasugerowała Kat. - Wtedy zgodzi się na wszystko.

Poklepałam Kat po ręku. Była zwiotczała i zimna. Nie mogłam czekać, aż Ethan udowodni, że ma sumienie albo jaja. Nie mogłam czekać, aż chłopcy nas odnajdą albo dostaną coś do jedzenia, żeby się wzmocnić. Musiałam działać już teraz.

Jak?

Przysunęłam się do krat po stronie Jaclyn i zaczęłam rozglądać się bacznie po laboratorium, wypatrując wszystkiego, co mogłam przeoczyć. Każdy, kto tu wchodził czy stąd wychodził, musiał przysunąć identyfikator do czytnika zainstalowanego na drzwiach. Na przeciwległej ścianie wisiała szklana gablota z kilkoma sztukami broni na pociski ze środkiem usypiającym. Widziałam, jak ci w białych kitlach posługują się tą bronią przeciwko zombi w obręczach.

Strażnicy mieli klucze do klatek. Może i pracownicy laboratorium je mieli, a może nie, trudno było się zorientować.

Wiedziałam, że muszę ukraść klucze, kiedy przyjdą po mnie następnym razem.

- O czym myślisz? - spytała mnie Jaclyn.

- Prawdopodobnie o tym samym co ty.

- Tak. Placki jagodowe to byłoby coś.

Niemal się uśmiechnęłam.

- Nie. Myślę o tym, że czas się stąd zbierać.

Obie popatrzyłyśmy na Kat. Ziewnęła i wsparła głowę na ramieniu Reeve.

- Nie powinno jej się tak szybko pogorszyć - wyszeptała Jaclyn, nie mogąc ukryć troski.

- To stres wynikający z sytuacji - odparłam. -
Wtedy wszystko jest gorzej.

- Słyszę was, uprzedzam lojalnie! - zawołała Kat.

- Co zrobimy?

- To moje zmartwienie. - Patrzyłam Jaclyn w oczy, aż skinęła głową.

- Chciałabym coś zrobić - wyznała. - Ale już nawet nie otwierają mojej klatki. Mogłabym czegoś spróbować, ale znają mnie dobrze, tak jak moje sztuczki, i po prostu mnie ignorują, cokolwiek powiem.

Skinęłam na Reeve.

Ułożyła głowę Kat na podłodze i zbliżyła się do mnie. Przysunęłam usta do jej ucha i szepnęłam:

- Kiedy strażnicy przyjdą po mnie, a przyjdą na pewno, zaatakujesz jednego z nich. Być może cię uderzy, przykro mi, bo to cię zabolí, ale musi się na kilka sekund usunąć mi z drogi. Dasz radę? Pamiętasz, czego cię uczyła Veronica?

Skinęła zdecydowanie głową.

- Dość tego gadania - warknął twardy głos, a po kratkach przejechała hałaśliwie pałka.

Spojrzałam. Pod drzwiami naszej klatki stał jeden ze strażników.

- Jesteśmy głodne i spragnione - wyrzuciłam z siebie. - Może byś się zrehabilitował za wszystkie przestępstwa, które przeciwko nam popełniliście, i coś z tym zrobił?

Przesunął po nas uważnym spojrzeniem, zatrzymując się odrobinę za długo na postaci Reeve, potem obrócił się na pięcie.

- Daj im coś do jedzenia i picia - nakazał jednemu z laborantów. - Natychmiast.

Każda z nas dostała paczkę z krakersami z masłem orzechowym i butelkę wody, nawet Jaclyn.

Byłam tak głodna, że ten posiłek wydał mi się prawdziwą ucztą. Jakże smutne to było.

- Proteiny nie są w moim przypadku wskazane - wymamrotała Kat. - Przeciążą mi nerki.

- Zeskrobiemy masło orzechowe, będziesz mogła zjeść krakersy - odparłam. - Bo coś musisz zjeść.

Słowa, które kiedyś usłyszałam od Cole'a. Teraz do mnie dotarły.

Kat i Reeve usnęły wkrótce po posiłku, a ja zaczęłam chodzić tam i z powrotem po klatce, obserwując zegar. Wraz z upływem dnia liczba ludzi w kioskach malała. Tak jak poprzednio. O drugiej nad ranem pozostało tylko dwóch pracowników. Tak jak poprzednio. O szóstej zjawili się pozostali. Niezmienna prawidłowość.

Oznaczało to, że miałam czterogodzinne okienko. Czas na działanie.

Zastanawiałam się, ilu strażników dyżuruje o drugiej przy monitorach. Jednego lub dwóch mogłabym załatwić. Większa liczba oznaczała poważne problemy.

Musiałam zaryzykować. Tej nocy.

Wiedziałam, że nazajutrz Kelly spróbuje posłużyć się Kat.

Strażnicy wrócili po mnie o dziesiątej.

- Wy dwie - powiedział ten, który... wcisnął kciukiem czujnik przy drzwiach klatki. Cholera! Żadnego klucza, który można by ukraść. - Cofnijcie się pod tylną ścianę. - Skupił uwagę na mojej osobie. - Stań na środku.

- Zapomnij o moim planie - wyszeptałam do Reeve, która zamrugała zaskoczona.

Miała szeroko otwarte oczy i drżała na całym ciele, kiedy zakuwano mnie w kajdanki i wyprowadzano z celi. Wiedziałam, że chciała mi pomóc w jakiś sposób, jakikolwiek, ale nie dałabym rady odciąć facetowi kciuka, więc nie było nic do zrobienia.

Zaprowadzono mnie pod eskortą do sali tortur. Był już tam Kelly. Siedział i czekał na mnie.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Muszę przyznać, że bywało lepiej.

Patrząc na niego, powzięłam pewien plan. Niebezpieczny. Głupi. Ale nie widziałam innego wyjścia.

- Nie wątpię - odparł i skinął głową strażnikom.

Trzeba działać teraz. W chwili, gdy mnie rozkuto, rzuciłam się na Kelly'ego, celowo uderzając ciałem w wózek ze strzykawkami i skalpelami.

Runęliśmy na podłogę, ja zaś chwyciłam pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce, i wpakowałam ją w jego szyję. Kiedy strażnicy przyskoczyli do mnie, chwyciłam drugą rzecz, jaka wpadła mi w ręce, i wsunęłam ją do kieszeni.

Wszystko to rozegrało się w ciągu dwóch, może trzech sekund.

Na mojej skroni wylądowała twarda pięść, odrzucając mnie na bok. Gwiazdy. Ból. Przywalił mnie ogromny ciężar, rzucając na brzuch. Wykręcono mi brutalnie ręce za plecami i ponownie skuto.

- Zabierzcie ją stąd - wychrypiał Kelly.

Kiedy podniesiono mnie z podłogi, zobaczyłam, że siedzi i wyjmuje sobie z szyi strzykawkę. Tylko strzykawkę. Kiepsko.

Strażnicy pchnęli mnie; doczłapałam do klatki. Gdy już znalazłam się w środku, zrobiłam to samo co poprzedniego dnia. Rzuciłam się w przeciwległy kąt, ukrywając twarz - i coś jeszcze. Sięgnęłam ukradkiem, jak najostrożniej, do kieszeni. Wyczułam skalpel.

Doskonale.

Cokolwiek jest konieczne.

Reeve zbliżyła się do mnie i położyła mi miękką dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz? Krwawisz.

Spuściłam wzrok i uświadomiłam sobie, że ostrze skalpela rozcięło mi dłoń. Podejrzewałam, że buzuje we mnie adrenalina, bo niczego nie poczułam.

- Poradzę sobie.

Moja koszula i tak już była podarta, bez trudu dało się ją rozerwać zębami. Obwiązałam ranę kawałkiem materiału, zaciskając go mocno.

- Odpocznij trochę - poradziłam. Zważywszy na to, co się miało jeszcze wydarzyć.

*

Krążąc po klatce, ponownie obserwując zegar, czekając, czekając, czułam się tak, jakby moja normalność... moje emocje... moje wszystko było zawieszona na końcu koszmarnie postrzępionej liny. Lada chwila włókna mogły pęknąć, ja zaś runęłabym w dół, a cała ciemność w moim wnętrzu rozlałaby się szeroką strugą.

Nastąpiłyby śmierć i zniszczenie.

Nikt nie byłby bezpieczny.

Musiałam wziąć się w garść ze względu na Kat, Reeve i Jaclyn.

Zmęczenie brało górę, ale starałam się nie myśleć o piekących oczach, drżących kończynach, bólu i ukłuciach. Mogłam spać dopiero wtedy, gdy dziewczyny byłyby bezpieczne.

W końcu wybiła druga. Chwila prawdy.

W laboratorium został tylko jeden pracownik - dobrze zbudowany mężczyzna około czterdziestki. Mogłam pokonać go w walce bez większych

problemów. Jedyłą niewiadomą była liczba strażników przy monitorach.

Nie do końca. Nie wiedziałam też, ilu ludzi znajduje się w budynku. Albo ile zabezpieczeń musiałabym pokonać, żeby dotrzeć do wyjścia.

Nie mogło mnie to powstrzymać. *Zrobię wszystko, cokolwiek jest konieczne.*

Zerknęłam na dziewczyny. Kat spała, choć niespokojnie. Widziałam, jak poruszają się jej gałki pod powiekami, a ciałem wstrząsają gwałtowne dreszcze.

Reeve była przytomna i patrzyła na mnie, ale leżała przy Kat, obejmując ją i ogrzewając.

Jaclyn siedziała na brzegu swojej pryczy.

- Teraz - wymówiłam bezgłośnie i obróciłam się w stronę człowieka w kitlu.

- Wypuść nas! - wrzasnęłam. Wystraszył się na tyle, że na mnie spojrział. Załomotałam kratami z całej siły. - Moja przyjaciółka potrzebuje pomocy. Gdzie masz serce? Jak możesz nas tak zostawiać? Żebyśmy głodowały? Oczekiwały tortur?

Mój piskliwy i przeraźliwy głos obudził zombi. Wokół mnie rozbrzmiała kakofonia jęków i pomrukiwań.

Głodny.

Jeść. Jeść.

Człowiek w kitlu wstał z miejsca i wyszedł z pomieszczenia. Gdyby nie przyprowadził ze sobą strażnika...

Drzwi otworzyły się po chwili i znów się w nich pojawił, towarzyszył mu strażnik wyglądający na zmęczonego.

Staralam się nie okazywać ulgi.

Marszcząc groźnie czoło, strażnik wycelował we mnie palec.

- Bądź cicho - warknął.

Pachnie tak dobrze.

On. Chcę go.

Jeść... Wysysać do cna...

Myśli zombi... czy A.Z.?

- Nie będę cicho. Skończyłam z tym! - wrzasnęłam. Łup, łup, łup. Waliłam w kraty, nie przejmując się piekącym bólem w otartych dłoniach. - Nigdy więcej nie będę cicho. Chyba że mnie zmusicie.

Reeve stanęła czym prędzej u mojego boku, jej głos współgrał z moim.

- Chcemy stąd wyjść. Wypuście nas! Wypuście nas!

Roześmiałam się, ale nie zabrzmiało to przyjemnie.

- Jesteś taki odważny za kratami, co? - zaczęłam drwić ze strażnika. - Wątpię, czy byłbyś tak pewny siebie tutaj, w klatce. Potrafiłabym cię załatwić w kilka sekund.

- To twoja ostatnia szansa, żeby się przymknąć - warknął groźnie, opierając dłoń na pałce przy boku. Potem jego spojrzenie padło na Reeve; zmrużył oczy i oblizał wargi. - Ale proszę, wyświadcz mi przysługę i odrzuć tę szansę. Wejdem tam i pokażę ci, jaki potrafię być odważny.

- Wypuście nas! Wypuście nas! - Reeve.

- Tchórz! - ja.

Krzywiąc twarz w koszmarnym uśmiechu, przyłożył kciuk do zamka automatycznego. Kiedy drzwi klatki się otworzyły, odsunęłam Reeve za siebie i pchnęłam ją w stronę Kat, która zdążyła się już obudzić i teraz opierała się o tylną ścianę. Przez cały czas ścisnęłam skradziony skalpel, ukrywając go w dłoni.

Ruszył w naszą stronę, a pragnienie, by jak najszybciej dotknąć Reeve, odebrało mu rozum. Chwycił mnie, chcąc zapewne odsunąć na bok, ale uderzyłam bez wahania, wbijając mu ostrze w szyję.

Wyjąc z bólu, wytrzeszczając oczy, zatoczył się do tyłu. Kolana się pod nim ugięły, zanim zdążył

opuścić klatkę, i zwałił się na podłogę. Z rany tryskała krew, przeciekając przez palce, które zaciskał na szyi.

Cokolwiek jest konieczne, pamiętasz?

- Skalpel! - krzyknęła Jaclyn, wrywając mnie z chwilowego oszołomienia.

Rzuciłam go jej, zastanawiając się, do czego jest jej potrzebny, potem wypadłam z klatki i zbliżyłam się do człowieka w kitlu. Wciąż stał w miejscu jak skamieniały.

- Nie rób mi krzywdy - poprosił błagalnym tonem.

- Tak jak ty nie zrobiłeś mi krzywdy? - Walnęłam go w krtań zakrwawioną pięścią i on też zwałił się na podłogę. Zerwałam mu z szyi identyfikator i podeszłam do gabloty z bronią na pociski usypiające.

Na korytarzu rozdarł się alarm, jego dźwięk docierał przewodami wentylacyjnymi. Do diabła. Był co najmniej jeszcze jeden strażnik.

- Zabierz Kat i wyłazcie stamtąd - poinstruowałam Reeve i rąbnęłam pięścią w szkło. - Ja uwolnię Jaclyn.

Na podłogę posypało się szkło; kostki dłoni zapiekły i pokryły się krwią. Chwyciłam broń w chwili, gdy otworzyły się gwałtownie boczne

drzwi i do środka wtargnął strażnik. Zanim zdążył mnie dopaść, odwróciłam się i nacisnęłam spust. Upadł – wprost na mnie.

Łapiąc oddech, wygramoliłam się spod niego, gotowa załatwić faceta w kitlu, ale uświadomiłam sobie, że odzyskał zimną krew, znalazł gdzieś drugi identyfikator, otworzył drzwi i wypadł z pomieszczenia.

- Ali!

Reeve próbowała podtrzymać Kat. Wpakowałam do kieszeni tyle pocisków usypiających, ile tylko zdołałam, i pospieszyłam jej na pomoc, przebiegając obok Jaclyn.

Zdołała się już uwolnić.

Rozejrzałam się i zrozumiałam, jak tego dokonała. Strażnik leżał dostatecznie blisko jej klatki, by mogła sięgnąć jego ręki i odciąć mu kciuk skalpelem. Potem posłużyła się tym, czego go pozbawiła, żeby otworzyć drzwi swego więzienia.

Strażnik przestał się rzucać i teraz leżał nieruchomo w kałuży krwi. Oczy o zastygłych powiekach spoglądały gdzieś w dal.

Odebrałam życie.

COKOLWIEK JEST KONIECZNE.

Wyrwał mi się szloch, przypomnienie o tej coraz bardziej strzępiącej się linie, na której zawieszono

były moje emocje. Wiedziałam, że niedługo już wytrzyma. Drżąc, zabrałam martwemu mężczyźnie identyfikator i podałam go Reeve, na wypadek gdybyśmy się rozdzieliły.

- Wzięłam drugą broń. - Obok mnie stanęła Jaclyn i uwolniła delikatnie Kat z moich ramion. Objęła dziewczynę w pole, żeby ulżyć Reeve. - Jesteś najsilniejsza z nas. Ty prowadzisz.

- Będę wam tylko przeszkadzać - wysapała Kat. - Zostawcie mnie tutaj i wróćcie później.

- Nie gadaj głupstw - skarciłam ją. - Wolałabym tu zostać, niż odejść bez ciebie.

- Poważnie, Kat - dodała Jaclyn. - Przymknij się.

- A teraz za mną.

Posługując się identyfikatorem, otworzyłam drzwi laboratorium. Znalazłyśmy się w długim i wąskim korytarzu. I pustym, jak z ulgą zauważyłam. Może unieszkodliwiłam jedyne go strażnika. Proszę, proszę.

- Dokąd mamy iść? - spytała Kat z napięciem w głosie.

Zerwałam ze ściany kartkę z planem ewakuacyjnym, rzuciłam okiem na rozkład korytarzy i wskazałam drogę:

- Tędy.

Korytarzem przed siebie. Skręcić. Następny korytarz, następny zakręt. Klatka schodowa, nasze oddechy i kroki odbijały się echem od ścian. Ale nic więcej nie było słyhać. Nikt nas nie ścigał. Wiedziałam jednak, że niedługo ktoś się pojawi. Wiadomość o alarmie z pewnością dotarła już do Kelly'ego, gdziekolwiek w tej chwili się znajdował.

Kat opuściła bezwładnie głowę, kiedy dziewczyny sprowadzały ją po schodach, niżej, coraz niżej. Byłam zmordowana, wygłodzona, ranna; drżałam coraz silniej z każdym centymetrem, który udawało mi się pokonać.

Wreszcie dotarliśmy na dół. Otworzyłam drzwi za pomocą karty.

- ...weszy do klatki schodowej. - Głos Kelly'ego przebił się przez istną symfonię hałaśliwych kroków.

Do diabła! Jakim cudem zdołał tak szybko tu dotrzeć?

Wymieniłyśmy z Jaclyn spojrzenia pełne najczystszej, absolutnej paniki.

- Chcę, żebyście w sześciu przeczesali cały budynek. Postawcie człowieka na każdym piętrze. Mamy do czynienia z czterema na wpół zagłodzonymi dziewczynami. Znajdźcie je i obezwładnicie bez trudu.

Wciąż niezauważone, zaciągnęliśmy Kat do recepcji, gdzie nikt na razie nie siedział.

W samą porę. Minęła nas pospiesznie grupa mężczyzn. Sześciu zniknęło w drzwiach pomieszczenia, które właśnie opuściliśmy, a jeden z nich mruknął pod nosem: „Zbyt mało nam za to płacą”. Kilku weszło do windy. Wszyscy byli ubrani niezbyt starannie, jakby wyrwano ich właśnie ze snu. Gdzieś w pobliżu musiała znajdować się ich kwatera, coś w rodzaju baraków wojskowych. Pomyślałam, że trzeba je omijać z daleka.

Popatrzyłam tęsknym wzrokiem na oszklone drzwi prowadzące na zewnątrz.

- Wy dwaj poczekacie tutaj - nakazał Kelly, wchodząc do windy. Szyję miał obwiązana białym bandażem. Był blady, niemal tak roztrzęsiony jak ja. - Wezwijcie mnie, jeśli uda im się tu dotrzeć.

Po chwili drzwi windy zamknęły się za nim.

Obaj pozostawieni na warcie mężczyźni zajęli stanowiska; musiałyśmy przesunąć się odrobinę za biurkiem, żeby nas nie zauważyli. Siedziałam tam przez chwilę, zastanawiając się nad kolejnym ruchem.

W gruncie rzeczy można było zrobić tylko jedno.

- Zaczekajcie tutaj - szepnęłam i przesunęłam się za biurkiem, a potem wyjrzałam ostrożnie zza jego

krawędzi, żeby się zorientować, w którym dokładnie miejscu stoją strażnicy. Następnie położyłam ładunek przy udzie, przygotowałam broń, wymierzyłam.

Głęboki wdech, przytrzymać, odetchnąć... Pociągnęłam za spust.

Rozległo się westchnienie, szelest ubrania - a potem ciężki łoskot. Pierwszy strażnik został właśnie załatwiony.

Tak!

- Co się stało? - spytał drugi, podbiegając do towarzysza.

Zobaczył strzałkę tkwiącą w jego udzie, zmarszczył czoło i podniósł wzrok.

Zanim zdążyłam załadować broń po raz drugi, przystawiał do ust krótkofalówkę.

- Panie K., znalazłem...

Wystrzeliłam.

Ugięły się pod nim kolana, a potem zapadła cisza.

- Co znalazłeś? - spytał Kelly.

Niewiele brakowało!

- Chodźcie - rzuciłam pospiesznie, a Jaclyn i Reeve dźwignęły Kat z podłogi.

Ruszyliśmy zgodnie do przodu. Nadepnęliśmy strażników, zbyt zmęczone, żeby przeskoczyć leżące ciała, i wyszliśmy na zewnątrz. Otoczyło

nas zimne powietrze, które wydawało się tym chłodniejsze, że nie miałyśmy płaszczy, czapek ani rękawiczek. Byłyśmy ubrane tylko w podkoszulki i dżinsy.

Śnieg nie przestał padać od chwili naszego uwięzienia i teraz chodnik i parking pokrywała kilkucentymetrowa biała warstwa. Wiedziałam, że Kat nie wytrzyma już długo.

- Zaczekajcie - nakazałam dziewczynom, a sama pobiegłam z powrotem do budynku, chcąc zabrać płaszcz jednego ze strażników, ale okazało się, że nie potrafię sobie poradzić z martwym i bezwładnym ciężarem. Porażka!

Stuk.

Z kieszeni płaszcz wypadła komórka. Nie ma tego złego. Chwyciłam telefon i wypadłam na dwór. Prowadząc Kat między sobą, oddaliśmy się od latarni na parkingu w stronę krajobrazu spowitego ciemnością.

Przed nami zamajaczyło zdradliwe na pierwszy rzut oka wzgórze. Było pokryte lodem, ale rosły tam też drzewa. Mogłyśmy się tam ukryć. Niewykluczone, że zamarzłybyśmy na śmierć. Albo nie. Nie przejmowałam się tym, dopóki nie sięgały nas macki Kelly'ego.

Wystukałam w biegu numer Cole'a. Czy raczej próbowałam. Ruch, pomijając drzenie, sprawił, że się pomyliłam. No dalej, dalej. Dasz radę. Spróbowałam ponownie, w końcu mi się udało.

Odpowiedział po trzecim sygnale, pytając ostro:

- Kto mówi?

- Cole - wydyszałam.

- Ali!

- To Ali? - usłyszałam w tle głos Szrona. - Spytaj ją o Kat.

- Spytaj ją o Reeve - wtrącił pospiesznie Bronx.

- Pomóż nam - rzuciłam pospiesznie. - Musisz nam pomóc.

- Spieszmy się, kochanie - powiedział Cole, a ja usłyszałam troskę w jego głosie. - Spieszmy. W końcu ustaliliśmy wasze położenie, jesteśmy prawie na miejscu. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

- Uciekłyśmy z budynku... ruszyłyśmy w stronę... wzgórza. Kat potrzebuje pomocy lekarskiej. Kelly... nas ściga. Zimno. Jaclyn... żyje.

- Szybciej - rozkazał temu, który prowadził samochód. - Będziemy tam za dwie minuty, kotku. Wytrzymaj - powtórzył.

- Panno Bell - zagrzmiął nagle głos Kelly'ego, a ja w panice upuściłam telefon. - Wiem, że pani tam jest.

Reeve sapnęła.

Jaclyn warknęła pod nosem.

Zapomnij o komórce. Przyspieszyłam kroku, przekraczając niebawem pierwszą linię drzew. Wiatr się nasilił, miałam wrażenie, że tnie mi skórę na kawałki. Dwie minuty. Potrafiłam przechytrzać swoich wrogów przez dwie minuty. Właściwie minutę i czterdzieści pięć sekund.

Posadziłyśmy Kat pod drzewem.

Wyszeptałam do Jaclyn: „Pilnuj ich”, a do Reeve: „Ogrzewaj Kat”.

- Dokąd idziesz? - Reeve objęła troskliwie Kat, obdarzając ją swoim ciepłem. - Co chcesz zrobić? - spytała, a jej skąpana w blasku księżyca twarz wyrażała przerażenie.

- Niech robi to, co trzeba robić, a pytać będziemy później - oznajmiła Jaclyn, która już przyjęła pozycję strzelecką, wodząc wokół czujnym wzrokiem. Strzeliłaby do każdego, kto by się zbliżył, i to bez wahania.

Ścisnęłam dłoń Reeve i oddaliłam się na palcach bez słowa. Kiedy dotarłam do skraju lasu, przywarłam do drzewa i spojrzałam w stronę budynku. Z okien wylewało się światło, kąpiąc w swym blasku pobliski teren. Kelly stał przy drzwiach,

dłonie opierał na biodrach, z jego ust przy każdym oddechu dobywała się para.

Jaki był zasięg mojej broni?

Jak pewną miałam rękę?

Mieszkając w chacie, nie przerwałam treningu. Ostatnimi czasy częściej trafiałam, niż chybiałam, o czym zaświadczyli martwi strażnicy w holu wejściowym. Ale teraz trzęsłam się tak bardzo, że nie potrafiłam utrzymać pewnie broni w rękach.

Musisz spróbować. Położyłam skalpel przed sobą, na kamieniu, tak na wszelki wypadek, po czym wyciągnęłam się płasko na brzuchu, opierając łokieć o ziemię tuż obok ostrza. Bez względu jednak na to, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam opanować ręki.

Skrzypienie śniegu po lewej. Natychmiast odezwał się instynkt – chwyciłam skalpel i rzuciłam nim sekundę później. Na ziemię runął mężczyzna, łapiąc spazmatycznie oddech; z gardła sterczało mu ostrze.

Ilu jeszcze strażników kręciło się w pobliżu?

Usłyszałam dobiegający z oddali metaliczny trzask. Chwilę później na parking z impetem wjechał dżip. Gdy tylko zahamował, z jego wnętrza wyskoczyli Cole, Justin, Szron i Bronx.

Nadjechał drugi samochód – Trina, Gavin, Veronica i Lucas.

Potem pojawił się trzeci, z którego wysiedli pan Ankh z panem Hollandem i pozostałymi zabójcami.

Chciałam... Byłam gotowa... Wytrzymaj. Jeszcze chwilę. Byli tutaj. Byli tutaj, a to oznaczało, że dziewczyny zostaną ocalone i że cały ten ból i cierpienie nie poszły na marne, i och, wielkie nieba, płakałam, łzy rozmazywały mi wzrok i zamarzały na policzkach.

- Gdzie one są? - spytał ostrym tonem pan Holland.

Każdy zabójca dobył broni i wymierzył ją w Kelly'ego.

Każdy strażnik, który stał przy nim, dobył broni i wymierzył w zabójców.

Kelly zacisnął pięści.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Wiem jednak, że jest to prywatny teren i że nikt was nie zapraszał. Odejdźcie stąd, zanim zrobię coś, co wam się nie spodoba.

- Wiemy, że tu są - powiedział Cole. - Ali!

- Jesteście otoczeni - rzucił przez zaciśnięte zęby Kelly. - Naprawdę chcecie się posunąć dalej?

- A pan? - spytał pan Ankh, spokojny jak nigdy. - Nie wątpię, że nawet panu trudno byłoby wyjaśnić,

skąd wzięło się kilkanaście trupów na pańskim parkingu, albo je ukryć.

- Chcemy odzyskać dziewczyny - rzucił Cole. - Natychmiast.

- Tutaj! - zawołałam. - Jesteśmy tutaj!

Kelly zeszywniał.

Szron i Bronx podążyli za echem mojego głosu. Dotarli do mnie w kilka sekund.

- Gdzie jest Kat? - spytał Szron.

- Tutaj! - zawołała Reeve, która siliła się na odwagę i spokój. Zorientowałam się po jej głosie.

- Jaclyn, opuść broń - uprzedziłam.

- Jaclyn?! - Justin rzucił się biegiem w stronę dziewczyn.

Podobnie jak Szron i Bronx. Po chwili Szron niósł Kat, Bronx niósł Reeve, a Justin swoją siostrę. Wszyscy chyba płakali. Wstałam z wysiłkiem i ruszyłam z wolna w stronę przyjaciół.

Cole trzymał Kelly'ego na muszce, palec drgał mu nieznacznie na spuście. Chciał zabić tego człowieka. I to bardzo. Dostrzegłam to w jego postawie, wyczuwałam we wściekłości, którą emanował.

- Wiem, że nienawidzisz faceta i chcesz go uśmiercić za porwanie Ali, musisz jednak zająć się

swoją dziewczyną - oznajmił Gavin, ujmując broń Cole'a za lufę. - Albo ja to zrobię.

Cole zaklął pod nosem, ale oddał broń, nie pociągając za spust, i podbiegł do mnie. Przyjrzał mi się uważnie i rysy mu stwardniały. Wziął mnie w ramiona, a ja mogłam tylko oprzeć mu głowę o bark.

- Mam cię, kochanie - wyszeptał. - I nigdy więcej nie pozwolę ci odejść.

Zadrżała mi broda, byłam bliska płaczu.

- Śmiało, zabierzcie je sobie - powiedział Kelly, trzęsąc się z wściekłości. - Nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek tu przebywały. Powinienem na dobrą sprawę zawiadomić policję, że cztery nastoletnie dziewczyny weszły na tym terenie.

- Zabijcie go - rzuciłam słabym głosem.

Oczywiście nikt nie usłuchał. Zaczęli się już wycofywać w stronę samochodów. No cóż, przykro mi, ale nie mogłam pozwolić, by Kelly odszedł cały i zdrowy, bez względu na to, jak szlachetnymi motywami się kierował. Musiałam coś zrobić. Teraz, kiedy jeszcze miałam okazję.

Cole ogrzewał mnie swoim ciepłem; czułam, jak dreszcze ustępują. Wykrzesalam z siebie resztki energii, uniosłam broń i nacisnęłam spust.

Strzałka ze środkiem usypiającym utkwiała w policzku Kelly'ego.

Celowалам w oko. No dobra, trudno.

Ugięły się pod nim kolana i po chwili runął na ziemię.

Kilku strażników rzuciło się w jego stronę, inni odbezpieczyli broń, gotowi wziąć odwet. Wepchnięto mnie do samochodu, kiedy rozległy się strzały. Cole zasłaniał mnie ciałem jak tarczą.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Nie mogłam się oprzeć.

- Nie przepraszaj, Ali. Sam nie wiem, co bym zrobił... Ledwie się powstrzymałem... - Przytulił mnie jeszcze mocniej. - Musisz mi powiedzieć, co się tam stało.

- Nie teraz - odparłam. Sama myśl o tym niemal mnie paraliżowała. - Proszę.

- Okay. W porządku. Ale niedługo.

- Niedługo - obiecałam.

*

Po powrocie do domu pana Ankha spałam dwa pierwsze dni; moje ciało próbowało za wszelką cenę wyleczyć się z obrażeń, które odniosło - za wszelką cenę, ale nie dość, jak się okazało. Siły wciąż mnie opuszczały. Uświadamiałam sobie

mgliście, że zjawia się u mnie babcia i ściska mnie za rękę, że Emma krąży przy moim łóżku i że pan Ankh bada mnie od czasu do czasu.

Gdzie podział się Cole?

Dopiero trzeciego dnia odkryłam, że spał przez cały czas na krześle w kącie mojego pokoju. Obudziłam się z płaczem, nad którym nie mogłam zapanować. Płakałam, aż zabrakło mi łez, a on wziął mnie czym prędzej w ramiona, szepcząc mi w ucho najśłodsze słowa.

„Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Rozbijałem świat na kawałki, szukając ciebie. Nie zamierzałem przestać, dopóki cię nie znajdę.

Tyle dla mnie znaczysz. Potrzebuję cię”.

Przywarłam do niego, jakby był moim kołem ratunkowym.

Był nim wówczas.

Powiedział mi, że Kat i Reeve wracają do zdrowia. Wiedział, że Reeve była nieświadomym szpiegiem i że był nim za jej pośrednictwem Ethan. Opowiedział o wszystkim pozostałym zabójcom; zapewnił, że bardzo chcą mnie zobaczyć.

- Co z Jaclyn? - spytałam.

- Jest w domu z Justinem. Chłopak twierdzi, że dziewczyna wraca do siebie fizycznie, ale nie psychicznie. Nie chce nigdzie wychodzić.

- Traktowali ją okropnie - powiedziałam, wzdrygając się.

- Ciebie też. Każdą z was. Powiesz mi teraz?

- Jutro - wyszeptałam, nie chcąc, by mroczne wspomnienia zatruły tę chwilę.

A potem nadeszło jutro. Czwarty dzień od chwili powrotu. W moim pokoju zjawili się pan Ankh i pan Holland i zaczęli wypytywać mnie o szczegóły, a ja opowiedziałam im o wszystkim, czego się dowiedziałam i co przecierpiałam. Cole obejmował mnie i byłam mu za to wdzięczna. Choć sztywniał i przeklinał podczas mojej relacji, okazywał mi czułość, przesuwając palcami po moich włosach, a gdy wydawało mi się, że znów doznam załamania, mówił mi szeptem, jaka byłam dzielna. I jak bardzo jest mu przykro.

Twarze obu mężczyzn pokrywała bladość, kiedy skończyłam opowiadać.

- No cóż - odezwał się pan Ankh i odchrząknął. Czyżby jego oczy błyszczały od łez? - Przykro mi z powodu wszystkiego, przez co przeszłaś, panno Bell.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem.

- Obawiam się jednak, że nie jest jeszcze z tobą dobrze - dodał. - Poziom toksyny w twojej krwi jest wyższy niż kiedykolwiek. Podaliśmy ci więcej

antidotum i to pomogło... na jakiś czas. Tak szybko je pochłonęłaś, że, jak przypuszczam, już stajesz się na nie odporna. Sądzę, że będziesz mogła je przyjmować jeszcze przez kilka tygodni, ale niewiele dłużej.

Tak mało czasu.

Przełknęłam z wysiłkiem.

Kiedy mężczyźni wyszli z pokoju, Cole ujął delikatnie moje włosy na skroniach i spojrzał mi głęboko w oczy.

- Kelly'emu nie ujdzie to na sucho. Masz moje słowo.

Był taki piękny. Taki groźny.

- Cole...

- Nic nie mów. Wciąż zdrowiejesz i na tym powinnaś się skupić. Chcę ci coś pokazać. - Przekręcił się na plecy i podciągnął podkoszulek, odsłaniając masywną pierś w całej jej okazałości.

Jego tatuaże były... O, wielkie nieba.

Wśród nich dostrzegłam wymalowane dużymi, pogrubionymi literami swoje imię i nazwisko.

ALI BELL - biegło łukiem od jednego sutka do drugiego, przekłutego, i zajmowało na piersi Cole'a poczesne miejsce.

- Cole - powtórzyłam z drzeniem w głosie.

- Chciałem dać ci coś więcej niż słowa. Chciałem ci pokazać, że jesteś dla mnie wszystkim, że nie ma nikogo innego i nigdy nie będzie. Nie obchodzi mnie, co się stanie. Nie obchodzi mnie, co mówią nam wizje. Chcę tylko ciebie.

Żaden chłopak nigdy nie zdobył się dla mnie na tak ostateczny gest. Żaden nigdy nie patrzył na mnie tak jak ten tutaj, jakbym stanowiła najważniejszą część jego życia. Jakby nie mógł nie patrzeć na mnie.

- Kocham cię - wyszeptalam. Powieki mi się zamknęły, a umysł pogrążył w rozlewisku czerni.

Chyba się uśmiechałam.

Piątego dnia pobytu Cole przeniósł mnie do apartamentu Reeve. Za zgodą zarówno pana Ankha, jak i pana Parkera, Kat też się do nas przeprowadziła; obie dziewczyny prosiły o mnie - potrzebowały mnie. W klatce połączyła nas nierozzerwalna więź; wiedziałyśmy, że przetrwa, dopóki będziemy żyły.

Mężczyźni naszego życia nie chcieli zakłócać nam spokoju, więc teraz, bez względu na zagrożenie, jakie wciąż stanowiłam, w sypialni stały obok siebie trzy pojedyncze łóżka.

Ale...

Szóstego dnia zaczęłam odczuwać obecność A.Z. Złej. Głodnej. Zdeterminowanej. Walczyłam z nią za pomocą wszystkiego, czym wciąż byłam, starając się utrzymać ją na krótkiej smyczy, co kosztowało mnie wiele. Siły, jakie udało mi się odzyskać, utraciłam ponownie, i wylądowałam w łóżku.

Reeve pierwsza wydobyła się z traumy i właśnie wtedy jej ojciec uderzył z najmniej spodziewanej strony.

Wszedł do naszego pokoju, usiadł przy jej łóżku i wziął ją za rękę. Nie zważając na obecność osób trzecich, oznajmił:

- Będę mówił, a ty będziesz słuchać i nie odezwiesz się, dopóki nie skończę. - Zaczekał, aż córka skinie posłusznie głową. - Zamierzam cię wysłać za granicę. Nigdy nie chciałem, żebyś wiedziała, co się tu dzieje, nie chciałem, żebyś żyła w strachu i niebezpieczeństwie.

- Nigdzie nie jadę - przerwała mu. - Mam rozumieć, że problem z zombi występuje tylko tutaj?

- Nie, nie tylko - odparł sucho. - Nie chcę jednak, byś przestawała z ludźmi, którzy walczą w tej wojnie. Stanowią cel. Magnes. Jeśli tu zostaniesz, ulegniesz i będziesz z nimi przestawała. Potem,

kiedy już zobaczysz, jakie odnoszą rany, zaczniesz się bać i przestaniesz żyć swoim życiem.

- Widziałam ich rany i nie boję się. Jestem gotowa i chętna do pomocy. Ci ludzie dźwigają ogromny ciężar, a ja zamierzam przyłączyć się do nich i wziąć na siebie brzemię.

Leżałam na boku, podobnie jak Kat, która zajmowała środkowe łóżko. Patrzyłyśmy na siebie, zachowując milczenie i wsłuchując się w popiskiwanie i szum aparatury medycznej.

- Co możesz zrobić? - spytał pan Ankh. - Nie potrafisz dojrzeć potworów.

- Ty też nie potrafisz, a jednak sobie radzisz.

- Jestem lekarzem.

- A ja jestem zdrową dziewczyną o dwóch sprawnych rękach i nogach, zdolną wykonywać polecenia lekarza zajmującego się zabójcami.

Pokręcił głową.

- Zombi mogą cię ugryźć.

- I mogę dostać antidotum - odcięła się. - Posłuchaj, tato. Zamierzam wspierać sprawę, bez względu na to, czy będę to robiła tutaj, czy gdzieś indziej. Nie możesz temu zapobiec. To ja doprowadziłam do tej koszmarnej sytuacji, w jakiej się znalazłyśmy. Ja. I chcę to odpokutować. Muszę to odpokutować.

- Nie, wcale...

- Tato, oboje znamy prawdę - przerwała mu zdecydowanie. - Szpiegowałam wszystkich, próbując się zorientować, o co chodzi, i dlaczego ludzie, których kocham, ludzie, którzy kochają mnie, jak twierdzą, wciąż mnie okłamują. Kiedy szukałam odpowiedzi, Ethan potrafił dodać mi odwagi i nauczyć przy okazji, jak stać się lepszym szpiegiem. Powiedziałam mu wszystko, czego zdołałam się dowiedzieć. To moja wina, ja do tego doprowadziłam.

Przygarbił ramiona i przesunął dłońią po twarzy.

Ziewnęłam, powieki ciążyły mi coraz bardziej.

- Jeśli chcesz tu zostać, to zostań - oznajmił cicho. - Jeśli chcesz pomóc, to pomóż. Ale nie zbliżysz się do tego chłopca. - W jego tonie pojawiła się nuta twardości. - Rozumiesz mnie?

Reeve popatrzyła na niego złym wzrokiem.

- On ma imię.

- Bronx - rzucił przez zaciśnięte zęby doktor. - Nie zbliżysz się do niego.

- Dlaczego? Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz?

- To nieprawda. Nie czuję do niego nienawiści. Nie mogę tylko znieść myśli, że będziecie razem. On jest... zbyt brutalny jak na ciebie, kochanie. Nie

czytałaś jego akt i nie znasz jego przeszłości ani kłopotów, w jakie się wpackował, nie wiesz o tym, co robił, ani tego, co jeszcze zrobi.

Jej uśmiech był naznaczony smutkiem.

- I nie obchodzi mnie to. Wiem, jakim chłopcem jest teraz, i tylko to się liczy.

- Reeve...

- Nie! Nie jestem mamą. Nie rozumiałam wcześniej tych jej ataków nerwowych ani tego, co dla ciebie oznaczały, ale teraz rozumiem. Dotarło do mnie. Ale nie możesz kontrolować całkiem mojego życia. I jeśli spróbujesz go ukarać, i innych zabójców, tylko dlatego, że chcę z nimi być, to mnie stracisz. Wyprowadzę się. Jak myślisz, do kogo?

Znowu ziewnęłam, tym razem niemal zwichnęłam sobie szczękę. Powieki mi opadły i dalsza część tej rozmowy umknęła z mojej świadomości.

Jeszcze nie koniec... Spróbuję znowu... Nie wygrasz... Moją głowę wypełniał głos A.Z., przenikając bariery, które zdołałam wznieść.

Chciałam odpowiedzieć, ale umysł spowijała mi dziwna mgła, gmatwając słowa.

- ...wciąż śpi - powiedziała Kat.

- Tak - odezwał się Cole. - Śpi cały czas.

Próbowałam otworzyć oczy, ale na próżno.

- Martwię się o nią. - Znowu Kat. - Nigdy nie widziałam, by wyglądała tak... krucho.

Rozmawiali o mnie?

- Wyzdrowieje - zapewniła babcia. - Nie stracę jej.

Babcia też tu była?

Jeśli Cole coś odpowiedział, to nie dotarło to do mnie.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim poczułam ciepłe palce głaszczące moje włosy. Mgła się w końcu przerzedziła. Otworzyłam oczy, czując przyływ energii, która rozbłysła maleńkimi iskierekami. Babci nie było, jak sobie uświadomiłam. Cole siedział obok z zamkniętymi oczami. Odruchowo głąaskał mnie po głowie.

Uśmiechnęłam się. Potrzebowałam tego więcej. I jego więcej.

Pomyślałam o dzienniku. O odpowiedziach. Światło. Ogień. Wszystko wskazywało na to, że to Cole był dla mnie światłem. I wszystko wskazywało na to, że płonęłam dla niego. Jednak wciąż coś jeszcze mi umykało.

Lista: zorientować się, i to szybko. Czasu uciekał.

*

- ...zawsze wiedziałem - mówił Szron do Kat.

Uniosłam powieki i uświadomiłam sobie dwie rzeczy jednocześnie. Że zasnęłam, kiedy Cole mnie głaskał, i że nadszedł ranek.

Szron siedział obok Kat, trzymając ją za rękę. Z drugiej wystawały rurki podłączone do dializatora.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Wiedziałeś?

- No, tak. Widzisz, Kitty Kat, jestem jak mistrz operacji specjalnych, i nie tylko w przypadku gier komputerowych. Żeby się koło ciebie kręcić i żebyś ty mogła się kręcić koło moich przyjaciół, musiałem dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Nigdy słowem nie wspomniałem o twojej chorobie, ponieważ chciałem, żebyś zaufała mi na tyle, by wyznać mi prawdę z własnej woli.

Rany. Zawsze wiedział.

- No cóż, nie przeszkadzało ci to pytać mnie milion razy, co robię każdego dnia - mruknęła urażona.

- Dawałem ci szansę wyjaśnienia sprawy - odparł z uśmiechem, w którym nie było nawet cienia skruchy.

- Zastawiłeś na mnie pułapkę, ty gnojku, bez dwóch zdań. Powinnam być na ciebie wściekła.

Uniósł brew.

- Powinnaś?

Westchnęła.

- Z jakichś powodów nigdy nie wydawałaś mi się bardziej seksowny. A wiesz, że niełatwo mi wścikać się na cokolwiek, co jest sexy.

Parsknął śmiechem, ale spoważniał po chwili. Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, intensywnym i poważnym.

- Chcę, żebyś wyzdrowiała, Kat. Chcę, żebyś była ze mną, żebyś dręczyła mnie już zawsze.

- Ja też tego chcę - szepnęła. - Bardziej niż czegokolwiek. I przykro mi, że zrywałam z tobą tyle razy. Nie chciałam, żebyś mnie widział, kiedy jestem chora. Nie chciałam twojego współczucia czy litości. Nie chciałam, żebyś był ze mną tylko dlatego, że czujesz się zobowiązany.

- Nie masz za co przepraszać. Zmusiłaś mnie, żebym się za tobą uganiał, i uwielbiałem to. A byłem z tobą dlatego, że cię kocham. Z żadnego innego powodu.

Ścisnęło mi się serce. Nie powinnam tego słuchać. Było to coś wyjątkowo osobistego. Chwila wrażliwości i tęsknoty, których nie miałam prawa dzielić. Odwróciłam się na drugi bok, by zapewnić tym dwojgu jak najwięcej prywatności, i okazało się, że patrzę na Cole'a.

Obserwował mnie.

- Wyglądasz lepiej - zauważył.

- Wciąż tu jesteś - odparłam, nie bardzo wiedząc, dlaczego jestem tym faktem zaskoczona.

- Oczywiście, że jestem. Nie chciałbym być nigdzie indziej.

Poczułam, jak serce podjeżdża mi do gardła.

- Cole - rzuciłam półgłosem. - Dziękuję, że przyszedłeś i mnie znalazłeś. Dziękuję za wszystko.

Skinął głową, ale w jego oczach pojawił się twardy błysk.

- Odwiozłem babcię, zameldowałem się u ojca i wróciłem do chaty. Nie było cię tam, ale ślady prowadziły na zewnątrz. Potem dostałem twoją wiadomość. Myślę, że zjawiłem się półtorej godziny po twoim wyjściu i wtedy było już za późno. I chcę cię za to przeprosić. Nie - dodał, kiedy otworzyłam usta, żeby mu odpowiedzieć. - Nie musisz mi mówić, że nie mam powodu czuć się winnym. Kocham cię i będę czuł się winny, jeśli zechcę.

Powiedział mi kiedyś, że podąża za mną bez względu na okoliczności. To było wszystko, czego potrzebowałam.

Nie potrafiłam wykrzesać z siebie dość siły, żeby podnieść rękę i go objąć, choć bardzo się starałam.

Mogłam się tylko nachylić i przycisnąć czoło do jego piersi. Serce było mu szybko, ale rytmicznie.

- Jak nas wytropiłeś? - spytałam.

- Justin znał adresy kilku obiektów Animy w okolicy. Wrzeszczałem jak opętany, żeby przyciągnąć uwagę twojej siostry. Pojawiła się, podałem jej adres, a ona okazała się lepsza niż kamera.

- Nie mogła jednak dostać się do budynku i nas zobaczyć. Zainstalowano blokadę.

- Tak, ale widziała i słyszała wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili. I wspomniała o tobie.

Och, dzięki, kochana siostrzo.

Pocałował mnie w skroń.

- Powiesz mi to, co chcę teraz usłyszeć?

Ujął dwoma palcami moją brodę i uniósł mi głowę; nasze spojrzenia się spotkały. Przyglądał mi się w milczeniu przez długą chwilę, potem uśmiechnął się krzywo.

- Mniejsza z tym. Zaczekam.

- Na co?

- Na ciebie. - Przycisnął moją głowę do piersi, zaczął się bawić moimi włosami. - Wiem, że lubisz zadawać tysiące pytań. Czy jest coś, co chciałabyś bardzo wiedzieć o tym, co się tu działo?

Byłam zmieszana tą wymianą zdań - co w gruncie rzeczy chciał mi powiedzieć? - i jednocześnie bez reszty przez niego uwiedziona. Każda jego cząstka, wszystko, co się z nim wiązało, przynosiło głębokie odprężenie.

- Wiesz, gdzie jest babcia?

- Wcześniej przechodziła obok twojego pokoju, usłyszała, jak mówisz przez sen, i postanowiła spędzić resztę nocy przy łóżku, na wypadek gdybyś jej potrzebowała. Zjawiłem się kilka godzin temu. Wziąłem prysznic i odesłałem ją do jej dawnego pokoju, żeby odpoczęła. Nie chciała cię zostawić, dopóki nie obiecałem, że ją zawołam, kiedy się obudzisz.

Kochana babcia. Napatrzyła się ostatnimi czasy na śmierć.

- Tak bardzo pragnę zabić A.Z.

- Zachcianki?

Wiedziałam, o co pyta.

- Czuję to, niepowstrzymaną chęć zabijania i zjadania, gdzieś na obrzeżach świadomości. Potrzebuję więcej światła.

- Tak. To właśnie jest napisane w dzienniku.

Spytałam zaskoczona:

- Potrafiłeś go odczytać?

- Potrafiłem. Siedziałem nad nim godzinami, nie mogąc nic wskórać, rozmyślając o liczbach i symbolach, o ich znaczeniu, obracałem je bez końca w głowie, i wreszcie, niespodziewanie, słowa zaczęły odkrywać swój sens. Byłem tak wystraszony, że rozejrzałem się, żeby mieć pewność, że nie śnię, i dostrzegłem swoje odbicie w lustrze. Miałem srebrne oczy.

- Srebrne?

- Tak. Jak zwierciadła.

Zwierciadła. Interesujące.

- Jeśli oczy są oknami duszy, to myślę, że mogą być też zwierciadłami. - Milczałam przez chwilę. - Co było w tym wypadku katalizatorem, jak myślisz?

- Może to, że byłem tym całkowicie pochłonięty. Jesteśmy tym, co jemy, prawda? A mój mózg zjadał dziennik.

- Co byłeś w stanie odczytać?

- Fragment o zabójcach posiadających dar, którego nie mają inni, jak wizje, i o twojej zdolności widzenia Linii Krwi.

- Tak, też to czytałam.

- Potem był ustęp o umieraniu, które oznacza prawdziwe życie, i o tym, że potrzeba ognia, żeby wypalić w tobie toksynę. - Objął mnie jeszcze

mocniej. - Wiem, że próbowałaś tego na sobie, ale sądzę, że twój ogień był już wówczas w jakiś sposób niedostateczny. Albo to, albo A.Z. jest odporna na twój płomień i toksynę, tak jak ty stajesz się odporna na antidotum.

O to chodzi, pomyślałam. O to drugie. Tak właśnie brzmiała odpowiedź.

- Zastanawiam się, co by było, gdybyś użył na mnie swojego ognia.

- Myślałem o tym i nie zamierzam ryzykować. A jeśli cię zabije? Spopieli? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

A gdyby A.Z. umarła, a ja żyłabym dalej?

- Po prostu... nie wykluczaj tego, okay?

Westchnął.

- W porządku, ale to będzie ostatnia deska ratunku. To ryzykowne, a mnie nie bawi myśl o tym, żeby cię narażać.

- Wielkie ryzyko przynosi czasem wielką nagrodę.

- Jasne, Muhammad Ali - odezwał się kobiecy głos, zanim Cole zdążył powiedzieć cokolwiek.

Oderwałam głowę od jego piersi i zobaczyłam Trinę, Mackenzie i Lucasa.

- Wydostałaś z łap Animy siebie i trzy ofiary losu
- oznajmiła Trina. - Jeszcze chyba nigdy nie byłam z ciebie tak dumna.

- Hej - prychnęła Kat.

- Właśnie! Kogo nazywasz ofiarą losu? - wtrąciła oburzona Reeve.

- Mówiła chyba o tobie - zauważył Bronx.

Był tutaj? Spojrzałam i zobaczyłam, że siedzi przy łóżku dziewczyny i oboje... o, wielkie nieba... oboje trzymają się za ręce. Otwarcie. Bezwstydnie.

Szczęśliwie.

Pan Ankh ugiął się zapewne.

- Ali Bell uwielbia bawić się w chowanego - oznajmił Lucas. - Krótko mówiąc: schowaj się i błagaj Boga, żeby Ali cię nie znalazła.

Mackenzie się uśmiechnęła.

- Kiedy Ali Bell pokazuje komuś środkowy palec, to mówi, ile sekund życia mu jeszcze pozostało.

Cole parsknął śmiechem.

- Strach przed pajakami to arachnofobia - powiedział. - Strach przed przestrzenią to klaustrofobia. Ale strach przed Ali Bell to logika.

- Och. - Kat klasnęła uradowana. - Kiedyś była ulica nosząca imię Ali Bell, ale musieli zmienić jej nazwę, bo nikt nie mógł przejść po Ali Bell i przeżyć. Szczera prawda.

Parsknęłam.

- Słyszałem kiedyś, że Ali Bell ukąsił grzechotnik - oznajmił z kamienną twarzą Lucas. - Ale po trzech dniach bólu i agonii grzechotnik zdechł.

- No cóż, słyszałam, że kiedy Ali Bell chce się pośmiać, to czyta Księgę Rekordów Guinnessa! - zawołała Reeve.

Zaczęłam chichotać, ale mój śmiech przerodził się niebawem w kaszel. Nie wiem, ile minut to trwało. Byłam świadoma tylko tego, że wyplułam mnóstwo krwi na dłoń. Niezręczne.

- Ankh mnie uprzedzał, że tak może się stać - powiedział Cole. - Toksyna zombiczna i toksyna antyzombiczna, którą wytwarzasz, wchodzi w reakcję.

Trina rzuciła mi ręcznik.

- Dzięki. - Cole, pomagając mi doprowadzić się do porządku, wyrzucił ją z pokoju, także Mackenzie i Lucasa. Zwrócił się do Bronxa i Szrona. - Wy też.

- Przykro mi, bracie - odparł Szron, w którego głosie nie wyczuwało się nawet cienia żalu. - Nie zostawię Kat.

Bronx wysunął środkowy palec.

- Owszem, mówię ci, jak długo będziesz jeszcze żył, jeśli każesz mi się stąd wynieść.

Cole już otworzył usta, żeby zaprotestować. Wiedziałam, że chce zaoszczędzić mi w tej sytuacji zakłopotania, co sprawiło, że jeszcze bardziej uległam jego czarowi.

- Niech zostaną - powiedziałam jednak. Jak mogłabym pozbawić swoje przyjaciółki obecności ich chłopaków? Nienawidziłabym każdego, kto chciałby zrobić to samo ze mną.

Cole oparł brodę o czubek mojej głowy i pogłaskał mnie po włosach.

- Okay. Dla ciebie wszystko.

Bronx pochylił się na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

- Nigdy więcej cię nie opuszczę. Byłaś tak bliska śmierci, Reeve, a ja nic nie mogłem zrobić, żeby cię uratować.

Reeve przesunęła palcem po jego uchu.

- Przeżyłam. Wszystkie przeżyłyśmy.

Podniósł wzrok i popatrzył na nią; miałam wrażenie, że powietrze w pokoju naładowało się elektrycznością.

Takim samym spojrzeniem obrzucał mnie często Cole. Wygłodniałym. Zdezorientowanym. Zdecydowanym. Trochę dzikim.

- Musimy wykończyć Animę - powiedział zdecydowanie i chłodno. - Nie możemy pozwalać, żeby nam zagrażała.

- Co mamy zrobić? - spytałam.

Zapadła cisza; trzech chłopcy wymienili spojrzenia, w których zawierała się milcząca obietnica.

- Iść na wojnę - odparł Cole.

Krwawa łaźnia i jeszcze więcej

Chłopcy spełnili obietnicę.

Kilka dni później, kiedy nadrobiłam zaległości w szkole, do mojej sypialni wkroczył Cole z szerokim uśmiechem na ustach. Było wtorkowe popołudnie, Kat i Reeve miały lekcje. Babcia siedziała na dole i piekła ciasteczka.

Nie chciała odchodzić od mojego łóżka, ale ilekroć na mnie spojrzała, od razu zaczynała płakać, a ta jej troska pogłębiała ciemność, która wciąż kłębiła się w zakamarkach mojego umysłu i zagrażała niepewnym i chwiejnym barierom.

Powiedziałam jej, że mam wielką ochotę na coś słodkiego.

Cole pochylił się i pocałował mnie w czoło, jego wargi były miękkie i doskonałe. Żałowałam, że nie mam dość siły, żeby zrobić coś z włosami i nałożyć na siebie kilogramy makijażu.

Może należało dziękować Bogu, że z pokoju usunięto wszystkie lustra.

- Powinieneś być w szkole - zauważyłam.

Uśmiechnął się tylko szerzej.

- Chrzanić szkołę. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Wziął mnie w ramiona, przeniósł mnie przez cały dom, a potem schodami do piwnicy.

Pociągnęłam nosem, spodziewając się woni rozkładu. Było bardzo prawdopodobne, że trzymał tam jakiegoś zombi. Okazało się jednak, że nie. Wyczułam zapach miedzi. Zaszniętej krwi. Zmarszczyłam czoło. A potem usłyszałam metaliczny grzechot krat.

Szron, Gavin i Bronx utworzyli groźny szereg przed jedną z klatek; Cole przecisnął się między nimi, żeby nic mi nie zasłaniało widoku na...

Ethana.

Gdybym w tej chwili stała na własnych nogach, to runęłabym pod wpływem szoku na ziemię.

Jedno oko miał podbite, na dolnej wardze widniało kilka rozcięć. Ktoś zdrowo mu dołożył.

Gavin mrugnął do mnie.

- Nieźle się spisaliśmy, hę?

Szron strzelił poobijanymi palcami.

- Wytropienie go było łatwe. Złapanie jeszcze łatwiejsze. No dobra, kto chce zobaczyć, jak wyciągam z tego dupka informacje?

Nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym sama zdradziła.

- Nie złapaliście mnie - wypalił Ethan. - Sam się oddałem w wasze ręce.

- Jasne - oznajmił kpiąco Bronx. - Jak już przestawiliśmy ci twarz.

Ethan pokręcił głową.

- Posłuchajcie. Ojciec wysyłał zombi do domów ludzi i w identyczny sposób wysłał je dziś w nocy do stodoły Cole'a Hollanda. - Odetchnął głęboko. - Łapie te istoty i zakłada im obręcz, a potem je wypuszcza. W obręczach jest zamontowany GPS, więc może monitorować miejsce ich pobytu. Potem, dzięki impulsom elektrycznym, potrafi je skierować tam, gdzie chce.

Zombi sterowane pilotem. Miłe.

- Jeśli to prawda, to dlaczego zombi nie wkraczały już później do innych domów? - spytał nieustępliwie Cole.

- Tamtej nocy chodziło o próbę, o sprawdzenie, czy to działa. Dzisiejszej nocy nie ma mowy o próbie. Ojciec chce odzyskać Ali. Uważa, że tylko ona może ocalić moją siostrę. Izzy zostało tylko

kilka miesięcy życia, i to jeśli będzie miała szczęście.

- Dzięki czemu możesz udawać, że chcesz nam pomóc - zauważył Cole.

Ethan znowu pokręcił głową.

- Wierzcie mi, dostałem nauczkę. Nie można ratować kogoś, kogo się kocha, krzywdząc inną ukochaną osobę.

Podobnie jak Cole, nie byłam przekonana.

Zaniósł mnie z powrotem do mojej sypialni i położył troskliwie do łóżka.

- Co zamierzasz zrobić z tym przypuszczalnym atakiem zombi? - spytałam.

Musnął mi policzek.

- Zaplanuję własny atak. Tymczasem odpoczywaj i odzyskuj siły.

Innymi słowy: nie przewiduje się mojego udziału.

- Muszę lecieć - powiedział. - Ale wrócę, jak już... wrócę.

Potem odszedł. A ja zostałam sama.

Nie martwiłam się o wynik nadchodzącej bitwy.

Sporządziłam nową listę.

Zawierała tylko jeden punkt: nie pozwól przyja-
ciolom wkroczyć do niebezpiecznej strefy. Bez
ciebie.

Kiedy byłam w pełni sił, stanowiłam cenny nabytek. Mogłam znów być w pełni sił, choćby przez krótką chwilę. Kiedy babcia zjawiła się z ciastkami i mlekiem, podziękowałam, ucałowałam ją i wysłałam po coś jeszcze. Powiedziałam, że pan Ankh jest w pracy (wreszcie) i że jego sekretarza nie ma, więc nikt nie pilnuje gabinetu, a następnie poprosiłam, żeby przyniosła stamtąd torbę z fiolkami antidotum.

Zapewniłam ją, że nie będzie miał nic przeciwko temu. I że potrzebuję tego specyfiku.

Nie rozumiała, że uodparniam się na niego i że im więcej go zażywałam, tym szybciej się uodparniałam, więc nie dopatrzyła się niczego podejrzanego w mojej prośbie. Dla niej to był tylko lek, a ja powinnam go zażywać.

- Znalazłam - oznajmiła babcia, wchodząc do pokoju. Pokazała mi czarną torbę, chcąc się upewnić, że to właśnie ta, a potem postawiła ją na łóżku. Uśmiechała się jak zawsze. Dopóki na mnie nie spojrzała.

Ostatnimi czasy nikt z wyjątkiem Cole'a się nie uśmiechał, kiedy na mnie patrzył.

- Jesteś nieoceniona, babciu.

- Oczywiście, że tak. Ponoszę częściową odpowiedzialność za twoje przyjscie na świat. - Stukając

palcem w mój nadgarstek, spytała: - Ali, kochanie, kiedy zamierzałaś powiedzieć mi o tych twoich tatuażach?

Oho.

- Gniewasz się?

- Nie, ale jesteś nieletnia i chciałabym mieć w takich sprawach coś do powiedzenia.

- No cóż. - Gdybym miała przeżyć nadchodzące wydarzenia, a byłam pewna, że tak się stanie, bo ważne jest zaufanie, to równie dobrze mogłam ją uprzedzić o tatuażach numer trzy i cztery. - Chcę zrobić sobie jeszcze dwa.

- Co? Dlaczego?

Wyjaśniłam, jak to jest z zabójcami, jak grawerują sobie ciała imionami zmarłych towarzyszy; twarz jej złagodniała. Powiedziałam jej, jak bardzo chcę upamiętnić dziadka, ale nie rozwodziłam się szczegółowo nad tatuażem numer cztery. Miał związek z Cole'em...

- No dobrze - oświadczyła z westchnieniem. - Ale następnym razem pójde do salonu z tobą. Mam ci wstrzyknąć lek? Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale oglądam często telewizję, więc jestem pewna, że sobie poradzę.

- Jasne, po prostu... - Moje spojrzenie spoczęło na jej szyi... na jej pulsie, jaśniejącym tak pięknie,

uderzającym tak miękko; moje nozdrza owionął najśłodszy zapach.

Drżąc, zamknęłam oczy. Kiedy chodziło o dobro ludzi, których kochałam, byłam silniejsza, niż sobie kiedykolwiek uświadamiałam. W tej chwili jednak nie chciałam ryzykować w najmniejszym nawet stopniu.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała, kładąc mi dłoń na czole. - Jesteś rozpalona.

Syknęłam, czując jej dotyk.

Ugryź ją, wyszeptała A.Z.

- Nic mi nie będzie, nie martw się. Po prostu... tak bardzo cię kocham, babciu, ale w tej chwili chcę być sama. Poradzę sobie z zastrzykiem, okay?

- Ja też cię kocham - powiedziała, ale dosłyszałam w jej głosie nutkę urazy. - Zostawię cię teraz, ale proszę, nie opuszczaj mnie. - Pocałowała mnie w policzek i wyszła z pokoju.

Drżała mi ręka, kiedy grzebałam w torbie, z której wyjęłam jedną, trzy, sześć specjalnie oznaczonych strzykawek. Te z antyalergicznym antidotum. Zaczęłam kłuć się w ramię, raz za razem, i poczułam znajomą ciepłą falę. A.Z. wrzasnęła przeraźliwie, potem się uspokoiła. Pragnienie, by gryźć i żywić się, ustąpiło. Ze względu na potężną dawkę A.Z. nie mogła już się mną karmić; moje

ciało odzyskało energię. Kończyny uwolniły się od drżenia.

Spuściłam nogi na podłogę i stanęłam. Wyciągnęłam ręce nad głową, potem wygięłam tułów od lewej do prawej. Ani śladu bólu. Ani śladu słabości.

Działało.

Przez kilka ostatnich dni musiałam znosić poniżenie, jakim było mycie gąbką dokonywane przez babcię. Raz, kiedy zaczęłam jęczeć, że chcę wziąć prysznic, Cole wziął mnie na ręce i zaniósł do łazienki. Wszedł do kabiny razem ze mną i umyliśmy się, mając na sobie tylko bieliznę.

Wszystko, co mogłam na ten temat powiedzieć: gdybym była wtedy zdrowa, nie byłabym teraz dziewczicą.

Teraz jednak umyłam się sama. Potem się wytarłam i włożyłam strój bojowy. Czarny T-shirt z długim rękawem, spodnie w barwach ochronnych i buty wojskowe. Moją broń przeniesiono do pokoju Reeve, w którym spałam, bardziej dla mojego komfortu niż czegokolwiek innego, i teraz obwiesiłam się sztyletami i gwiazdami ninja.

W korytarzu wisiało lustro, chciałam ominąć je szerokim łukiem, naprawdę, ale przystanęłam i spojrzałam w nie. Zobaczyłam siebie. Tylko

siebie. Twarz trochę za szczupła jak na mój gust, podkrążone oczy, rozcięcia na wargach, ale kolor twarzy w porządku, odcień różany, samo zdrowie i ani śladu choroby.

Zastałam babcię w kuchni, sprzątała akurat bałagan po wypiekach.

- Ali! - zawołała, podbiegając i zarzucając mi ramiona na szyję. - Wyglądasz... Rany! Lekarstwo podziałało.

- Dziękuję. - Przez chwilę chłonełam jej miłość i ciepło, rozkoszując się poczuciem domowej swojskości. - Posłuchaj, muszę pożyczyć twój samochód.

Odsunęła się ode mnie, marszcząc czoło.

- Mój samochód?

- Będę ostrożna, obiecuję.

- Wiem, że tak, ale nigdy wcześniej nie interesowałeś się prowadzeniem. Zaliczyłeś kilka lekcji, ale wciąż masz tylko pozwolenie tymczasowe i...

Położyłam dłonie na jej policzkach.

- Zaufaj mi, babciu, muszę to zrobić.

Był już najwyższy czas. Dziewczyna wybierająca się na wojnę nie mogła pozwolić sobie na strach. Nie zamierzałam więcej go tolerować.

- Mogę cię zawieźć, dokądkolwiek zechcesz...

- Proszę, babciu. Proszę. Nie separuję się od ciebie. Chcę tylko sobie udowodnić, że potrafię to zrobić. - Pragnęłam zacząć tę nową podróż od zwycięstwa.

- W porządku. - Skinęła głową. - Przyniosę kluczyki.

*

Czoło zraszały mi krople potu; starałam się oddychać miarowo pomimo guli, którą czułam w gardle. Palce zaciśnięte na kierownicy pozbawione były jakiegokolwiek barwy. Mijały mnie w pędzie samochody, klaksony trąbiły jak oszalałe.

Ktoś pokazał mi środkowy palec.

O co chodziło? Jechałam tylko piętnaście kilometrów poniżej dopuszczalnej szybkości.

Udało mi się wydłużyć dwukrotnie piętnastominutową jazdę, nim dotarłam do stodoły Cole'a - i cud nad cudami, nie spowodowałam kraksy. Na zwirowym podejździe parkowało kilka samochodów, wiedziałam więc, że jest tu już kilku zabójców, którzy przygotowywali się do nocnych działań.

Zbliżając się do drzwi, spojrzałam w niebo i zobaczyłam dokładnie nad swoją głową chmurę w kształcie królika.

Emma wciąż nade mną czuwała.

Uśmiechnęłam się, kiedy już weszłam do środka. Cole, Szron, Gavin i Veronica pochyłali się nad stołem i przeglądali jakieś papiery.

Odczekałam chwilę, żeby nacieszyć się niezaprzeczalną normalnością tej sceny. Dzikim pięknem Cole'a. Więzią spajającą tych czworo ludzi. Determinacją, jaka z nich biła.

Anima powinna uciec i się schować.

- Ali - sapnęła bez tchu Veronica.

Wszystkie oczy, niczym promienie lasera, skierowały się na mnie. Obchodził mnie tylko Cole i...

...trzymał mnie przerzuconą przez ramię. Krew kapła z nas obydwójga, a ja nie potrafiłam powiedzieć, czy była nasza, czy kogoś innego. Dyszałam, próbując oswobodzić się z jego rąk.

„Puść mnie” - zażądałam.

„Nigdy więcej”.

„Wciąż to powtarzasz. Czego ode mnie chcesz...”

Wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Zamrugalam, pokręciłam głową. Spytałam Cole'a Hollanda: „Czego ode mnie chcesz?”. Jakby był obcy?

Dlaczego?

- Co widziałaś? - spytał Gavin, a ja popatrzyłam na niego...

...staliśmy pośrodku spowitej nocną ciemnością drogi. U naszych stóp zalegał zombiczny popiół, wirował w powietrzu, odlatywał gdzieś w dal, a nas otaczały kombinezony.

Kelly podniósł maskę. Patrzył gniewnie.

„Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?”

- ...znowu to samo - usłyszałam głos Veroniki, przywołujący mnie z powrotem do terażniejszości.

Gavin spojrział na nią ze złością.

- Następnym razem przymknij się i nie przerywaj wizji. Widzieliśmy dzisiejszą bitwę. W każdym razie to, co przypominało dzisiejszą bitwę. I nie było to miłe.

Siliła się na jakąś odpowiedź.

Cole podszedł do nas.

- Jak?

Wiedziałałam, o co pyta, i chciałam skłamać.

- Antidotum. - Żadnych kłamstw. Uniosłam głowę. - To, co widzieliśmy...

- Nie wiem, co to oznacza, i nie zamierzam zgadywać. Nigdy wcześniej mi się to nie udało. Ważne jest coś innego: powiedziano ci, żebyś nie brała antidotum, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Zmrużył groźnie oczy, wziął mnie za rękę i pociągnął do szatni. Oczekiwałam, że się odwróci

i uraczy mnie jakimś wykładem, gdy tylko drzwi się za nami zamkną i zostaniemy sami.

Odwrócił się, owszem.

Ale nie uraczył mnie wykładem.

Przywarł do moich warg ustami, obdarowując mnie roztopiającym pocałunkiem, którego, jak doskonale wiedziałam, nigdy nie zapomnę. Zareagowałam natychmiast, owijając się wokół niego, przyciągając go, chłonąc.

Pchnął mnie i przyparł do ściany, unieruchamiając. Jego ciało zamknęło się wokół mnie, napierało, ocierało się, szukało. Dłonie wędrowały cały czas, zatrzymując się, by ugniatać tu i ówdzie i... Och, święci pańscy. Zadrżałam z przemożnej rozkoszy.

- Masz tak cudowny dotyk - wydyszał chrapliwie.

- Tak cudowny smak. Jesteś na mnie gotowa, prawda? Powiedziałaś, że jesteś gotowa.

- Tak bardzo gotowa.

- Musimy jednak przestać. Nie możemy zrobić tego tutaj.

Jęk rozpaczy.

- Wiem.

Zdyszani jak po biegu, oderwaliśmy się od siebie.

Rozległo się walenie w drzwi.

- Cole! - zawołał Szron. - Twój tata właśnie przyszedł.

Cole przycisnął czoło do mojego czoła.

- Za sekundę wyjdziemy - odpowiedział.

Pomruk. Cichnące kroki.

- Pewnego dnia zwiejemy stąd - powiedział do mnie. - Tylko my dwoje.

Pewnego dnia. Chciałam tego - chciałam przyszłości.

Zmrużył oczy, które zamieniły się w wąskie szparki.

- To, co zrobiłaś, było głupie, Ali.

- Czasem najmądrzejsza decyzja wydaje się najbardziej niemądra.

- Powinienem dać ci klapsa.

- Spróbuj. Proszę.

Parsknął śmiechem.

- Myślisz, że skończy się na tym, że ty mi dasz klapsa?

- Nie myślę. Wiem.

Zanim zdążyłam się zorientować, obrócił mnie i trzepnął po tyłku.

- Chodź. Pomożesz nam opracować najlepszy sposób działania na dzisiejszą noc. Rano pogadamy o ostatniej wizji i o tym, co zrobiłaś z antidotum. I jeszcze więcej o tym, że jesteś na mnie gotowa.

Dosłyszałam chrapliwą obietnicę w jego głosie.

- Cole... - zaczęłam.

Pokręcił głową.

- Później.

Owszem. Tak prawdopodobnie było najlepiej. Skinęłam głową.

Gem... Set... Śmiertelny mecz

Pozostali zabójcy zjawiali się o różnych porach przez cały dzień i wszyscy reagowali na mój widok tak samo. Absolutnym, niekłamanym szokiem. Obejmowali mnie. Klepali po głowie. Obdarzali smutnymi uśmiechami, bo każdy wiedział, że ta sytuacja nie potrwa długo.

Trwało to kilka godzin, ale w końcu opracowaliśmy plan ataku.

Było mi nawet żal kombinezonów.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, Cole ucałował mnie pospiesznie i zajął miejsce pośród krzeseł stojących pod przeciwległą ścianą.

- Jak tylko zobaczysz zombi - powiedział - wzniecasz płomień i zaczynasz spopielać. Nie trać energii na walkę. Od tego my jesteśmy.

- Tak jest, wodzu. - Usiadłam obok niego.

- Jeśli twój płomień będzie czerwony...

- Wiem. Mam sobie wstrzyknąć antidotum, a potem uciekać bardzo daleko, jak najdalej.

Musnął czubek mojego nosa, gest czułości.

- Kiedy będzie po wszystkim, odszukam cię. Lepiej żebyś nie miała nawet jednej rany.

- Ty też nie.

Podeszła do nas Veronica; zasznurowała usta, widząc, że rozmawiamy swobodnie.

Powinnaś zobaczyć jego klatę, droga Ronny.

Usiadła naprzeciwko mnie. Przyłączyli się do nas pozostali zabójcy i po kolei zaczęliśmy opuszczać swoje ciała. Antidotum wciąż działało i potrafiłam się podnieść, czując tylko nieznaczny opór ze strony A.Z.

Chłód w powietrzu był bardziej wyczuwalny niż zwykle. Cole, nim wyprowadził nas ze stodoły, wziął mnie w ramiona, dzieląc się ze mną swoim ciepłem.

Noc zaczęła się już na dobre, księżyc wzeszedł na niebie, a halogeny zainstalowane przez pana Hollanda wokół posesji płonęły pełnym blaskiem, oświetlając nam drogę. Ta iluminacja paliła mnie w oczy i przyprawiała o łzy.

Wyszliśmy za bramę, wszyscy czujni i gotowi.

Na niebie pulsowała królicza chmura Emmy, jakby niespokojna.

Przypomniałam sobie ten ostatni raz, kiedy tak się działo, i przełknęłam z wysiłkiem.

- Są blisko - oznajmiłam.

- Nie. - Twarz Cole'a budziła lęk. - Już tu są.

I rzeczywiście były. Rozejrzałam się i dostrzegłam jarzące się w oddali czerwone oczy. Mnóstwo czerwonych oczu. Dało się słyszeć zawodzenie, a wiatr przyniósł woń rozkładu. Nie spodziewałam się, że wszystko zacznie się tak szybko, ale dostroiłam się czym prędzej do sytuacji.

Ethan mówił prawdę.

- Jazda, jazda, jazda - rozkazał Cole.

Ruszyliśmy do przodu jak jedna zwarta masa. Cole wystrzelił z kuszy, bełt wgrzyzł się w krtań zombi. Trina przyspieszyła, wysuwając się na czoło i wymachując toporem. Szron i Bronx, w zgodnym duecie, obezwładnili parę zombi; potem obwiązali je liną i zaczęli ciąć, to tu, to tam. Potwory mogły tylko znosić bezradnie ciosy, zanim obcięto im nogi, a wtedy zwały się na ziemię.

Gavin trzymał się blisko Veroniki. Spychała szereg zombi pod uderzenia jego miecza. Derek i Cruz przerąbawali się przez drugi i trzeci szereg potworów. Przystanąłam w tej ciżbie i rozpostarłam ramiona. Jakiś zombi próbował mnie

chwycić, ale Cole był na miejscu - ciął krótkim mieczem i pozbawił napastnika kończyny, nim ten zdążył mnie dotknąć.

Kolejny zombi przypuścił atak, ale tym razem byłam gotowa, napełniona mocą - mogłam to zrobić. Z moich palców wytrysnął ogień. Biały i zwieńczony złotem, dzięki Bogu, i w mgnieniu oka sięgnął ramion. Mogłabym wznieść okrzyk radości.

Zombi dotknął mnie i zamienił się w chmurę popiołu.

Uśmiechałam się, gdy ogień obejmował moją głowę, potem zsunął się na piersi, talię, nogi, kostki i stopy. Poddałam się żarowi, pławiłam się w nim, czerpałam z niego moc i szłam przed siebie; wniknęłam palcami w kręgosłup zombi rąbanego przez Cole'a.

Popiół.

Przesuwałam się od jednego do drugiego. Popiół. Popiół. Jedno dotknięcie, to wszystko, co było potrzebne. Wkrótce żaden stwór nie stał na własnych nogach. Zabójcy dyszeli zmęczeni, przyglądając mi się z pełną zachwyty fascynacją.

- Bycie partnerem Ali... Zamawiam! - oznajmił Gavin, wznosząc pięść ku niebu. - Na całą wieczność.

Veronica szturchnęła go w brzuch.

- Co? - zdziwił się, marszcząc czoło. - Wierzę w to. Mówię to. Staje się. Tak? Prawo duchowe.

- Nie, jeśli naruszasz moją wolną wolę. - Pokazałam mu język. - Ktoś został ugryziony?

- Nie - rozległ się zgodny chór głosów.

- Dobrze. - Cole skinął z zadowoleniem głową. - W porządku. Czas się rozdzielić. - Popatrzył na mnie. - Wciąż jesteś sprawna?

Wydawało się, że pory mojego ciała otworzyły się i wchłonęły płomień, ale żar tlił się tuż pod powierzchnią, gotów w każdej chwili do działania.

- Jestem. A ty?

- Tak.

Trzymaliśmy się przez chwilę za ręce, tylko przez moment, dodając sobie w milczeniu odwagi, potem przysunęłam się do Gavina. Oboje oddaliliśmy się od grupy, zmierzając w stronę drogi, którą widzieliśmy w naszej wizji, zachowując normalny, naturalny krok.

- Wydaje się, że ty i Veronica jesteście bardzo blisko - powiedziałam. - Bliżej niż zwykle.

- Nic dziwnego. Spiknęliśmy się ostatniej nocy.

- Niemożliwe.

- Było dobrze, ale nie wspaniale. - W jego głosie nie wyczuwało się już rozbawienia. - Na dobrą sprawę było to żalosne piep... seks.

- Fe. Nie powinieneś mi o tym mówić.

- Dlaczego?

- Opowiadanie ludziom, z kim się spało, nie jest w dobrym tonie.

Wzruszył ramionami.

- Lucas nas nakrył. Nie jest to jakiś wielki sekret.

Mimo wszystko.

- Zazdrosna? - spytał.

Przewróciłam wymownie oczami, tak żeby to zauważył.

- Gavin, stwierdzam, że jesteś odrażający.

- Zabawne. To samo powiedziała, kiedy oznajmiłem, że seks to seks i że jestem chętny o każdej porze, jeśli tylko zechce, ale żeby niczego więcej się nie spodziewała. I wiesz co? I tak się ze mną bzykała.

- Niektóre dziewczyny nie mają gustu.

- W tym wypadku ty go nie masz.

Znowu przewróciłam oczami.

- Kiedy ona będzie chętna, zamierzasz widywać się z innymi kobietami, prawda?

- Wydawało mi się, że dałem to jasno do zrozumienia. Czy nie tak?

- Jak pomyślę, że dotykałam językiem twojego ciała... - Wzdrygnęłam się.

Uśmiechnął się szeroko.

- Możemy więc o tym teraz żartować?

- Dlaczego nie? - odparłam, przekomarzając się z nim. Miałam wrażenie, że znów jestem tą dawną dziewczyną i bardzo mi się to podobało. - To było tak okropne, że nic więcej nie da się z tym zrobić.

- Okropne?

- Na dobrą sprawę zbadałeś mi migdałki na okoliczność infekcji, Gavin.

Parsknął głośnym śmiechem.

- Ha! Gdybyś miała tyle szczęścia, żeby się ze mną całować, to wciąż krzyczałabyś z rozkoszy.

- Ty mówisz „rozkosz”, ja mówię... - Zauważyłam w dali charakterystyczne czerwone oczy. Wciągając gwałtownie powietrze w płuca, wyczułam odrażający smród rozkładu i usłyszałam pomrukiwania i jęki wywołane nigdy nie zaspokojonym głodem. - Są tutaj.

Gavin spowaźniał w okamgnieniu; przyspieszyliśmy kroku.

Kilka sekund przed tym, jak dotarliśmy do potworów, wzbudziłam ogień i, tak po prostu, moje ciało wybuchło płomieniami. Popiół, popiół, popiół.

Walka przestała być nawet uczciwa, pomyślałam z satysfakcją.

Zombi nie miały się jak bronić.

Jednak to nie one były tej nocy naszym celem.

Pozostałe potwory rozdzieliły się, w połowie otaczając Gavina, w połowie mnie. Powietrze tak cuchnęło, że zatykało mi nos i drażniło gardło. Zakrztusiłam się, poczułam, jak płomień zaczyna ją syczeć i strzelać, i na dobrą sprawę przeniknęłam tanecznym krokiem przez szeregi przeciwników, by powalić ich jak najwięcej, nim będzie za późno.

Skupiłam uwagę na Gavinie i zobaczyłam, że nie idzie mu tak dobrze jak mnie. Otaczało go około dwudziestu zmutowanych zombi, on zaś ciął je i rąbał swoimi ostrzami. Ruszyłam w jego stronę, ale nie dość szybko. Jeden osobnik zdołał podkraść się do niego od tyłu i wgryźć mu się w łydkę. Wyjąc z bólu, Gavin osunął się na kolana.

Rzuciłam się na potwora i w chwili kontaktu moje płomień objęły go swoimi językami. Żegnaj.

- Inni - wysapał Gavin, w którego krwiobiegu już działała toksyna.

Zniszczyłam pozostałe zombi i przykucnęłam u jego boku, potem wyciągnęłam z kieszeni antidotum i wbiłam mu igłę w szyję. Moje białe-złote

plómienie nie przygasały, co uświadomiłam sobie zbyt późno. Polizały mu gardło i twarz, a on zawył, wyginając ciało.

- Przepraszam! - Nie chciałam... Mogłam... Cholera! A jeśli właśnie podpisałam jego wyrok śmierci?

Krzyknął, kiedy plómienie zniknęły mu pod skórą. Cofnęłam się, dysząc, modląc się, próbując nie ulegać panice, a potem bełkocząc: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję”, gdy się uspokoił i osunął na kruchą trawę, wciąż oddychając.

Oznaczało to, że przeżyje.

Kiedy plómienie w końcu zniknęły ze mnie, rozejrzałam się i uświadomiłam sobie, że otaczają nas wzgórki popiołu.

Wzgórki, które widziałam w naszej wizji.

Podeksycytowana, starając się nie ulegać strachowi, wymierzyłam Gavinowi policzek.

- Ocknij się!

- Jestem przytomny. Jezu, kobieto! To bolało.

W jego głosie było tyle szyderstwa, że wystraszyłby najodważniejszych mężczyzn, ale ja mogłam się tylko roześmiać.

- Co się stało? - spytał.

- Myślę, że płomienie wypaliły toksynę. - Odegnęły ciemność, tak jak napisano w dzienniku. - Toksyna wciąż działa?

Zastanawiał się przez chwilę, potem zamrugał. Można było dostrzec, że jest głęboko zdumiony.

- Nie. Zniknęła.

Czy jego płomienie odniosłyby w moim przypadku taki sam skutek? Czy też - ponieważ byłam po części zombi - zniszczyłyby mnie? Tak czy inaczej, wiedziałam teraz bez żadnych wątpliwości, że jest to rozwiązanie, które miałam nadzieję znaleźć; zabrakło po prostu czasu, żeby to sprawdzić.

Podniosłam się z ziemi i pomogłam mu wstać.

- Zachowaj przytomność.

- Tak, wodzu - odparł, drwiąc sobie ze mnie, tak jak ja zadrwiłam wcześniej z Cole'a.

Nagle dotarł do mnie odgłos kroków. Odwróciłam się na pięcie, serce waliło mi jak szalone. Kombinony. Nadchodząc ze wszystkich stron, otoczyli nas wkrótce. W nasze głowy wycelowano broń.

Ponieważ nie byli zabójcami, ale mogli nas widzieć, wiedziałam, że są w postaci duchowej. Użyli zapewne mechanicznego urządzenia, o którym wspominał doktor Bendari.

Ja i Gavin przywarliśmy do siebie plecami.

- Gdzie on jest? - spytał Kelly, zdejmując maskę.
- Co z nim zrobiliście?

Wizja.

- Z kim? Z twoim ukochanym synem? - Uśmiechnęłam się. Zemsta wkurza, co? - Chyba zachowam tę informację dla siebie.

Trzask broni.

- Może pokażę ci, gdzie on jest? - odezwał się Cole zza jego pleców.

Kelly zbladł.

Zabójcy wciąż znajdowali się w postaci duchowej i teraz wyłonili się z ciemności, otaczając kombinezony.

Mieliśmy nadzieję, że przestraszą się naszej broni, z której do nich mierzyliśmy, i że się poddadzą. Zamknęlibyśmy ich wtedy w piwnicy pana Ankha, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Ale ten najbardziej korzystny scenariusz nie był tym, co planowaliśmy - i bardzo się z tego powodu cieszyłam.

Bez dalszej zwłoki, kombinezony przystąpiły do działania, i zaczęła się bitwa.

Niektórym z zabójców wytracono broń. Innym nie i noc wypełnił dźwięk strzałów, przypominający fajfajerwerki. Trach, trach, trach.

Padły dwa ciała w strojach ochronnych.

Wymierzano ciosy. Rozlegały się postękiwania. Pękały kości. Do tego chóru przyłączyły się krzyki. Przez kilka uderzeń serca stałam w miejscu, przywołana niepewnością - miałam się wycofać, czekać. Zapomnij o odstawce. Ruszyłam w stronę Kelly'ego, który przyglądał się szaleństwu walki.

Kątem oka dostrzegłam, jak Cole zrywa maskę jednemu z kombinezonów. Trina dostała cios w szczękę, ale szybko się pozbierała, machnęła toporem i dosięgła celu. Padło kolejne ciało w stroju ochronnym i nie podniosło się więcej. Szron bawił się swoją ofiarą, uśmiechając się, kiedy przecinał kombinezon przeciwnika. Bronx zaatakował dwóch ludzi jednocześnie, waląc jednego i kopiąc drugiego.

Justin przyłożył z bekhendu facetowi, którego miał przed sobą. Mackenzie wskoczyła jakiemuś mężczyźnie na ramiona, oplótła jego ramiona nogami i wygięła się do tyłu, zwalając go na plecy. W jakiś sposób zdołała utrzymać go w swoim uścisku, kiedy runęli na ziemię, i dusić, dopóki nie stracił przytomności. Veronica zablokowała cios wymierzony w jej głowę, ale nie uniknęła ciosu w bok, wymierzonego przez innego przeciwnika. Impet uderzenia oszołomił ją, ale szybko się

otrząsnęła i och, zapalała gniewem! Rzuciła się na sprawcę i oboje padli na ziemię w plątaninie rąk i nóg. Dwa kombinezony wykręciły Lucasowi ręce do tyłu, a trzeci próbował założyć mu na szyję metalową obręcz.

Walnęłam Kelly'ego w policzek. Zatoczył się, odzyskał równowagę i spojrzał wściekle; oczy płonęły mu furia.

- Nie powstrzymasz nas - powiedział. - Nie pozwolę córce umrzeć.

- My cię powstrzymamy, a ty nie będziesz miał kogo winić z wyjątkiem siebie.

Spróbował uciec. Wysunęłam nogę i trafiłam go w kostkę. Kiedy padał, próbując się czegoś chwycić, skoczyłam na niego. Polecieliśmy na ziemię, a on stracił maskę.

Zamachnął się na mnie, ale uchyliłam się przed ciosem. Potem złamałam mu nos. Rozwaliłam oczodół. Rozerwałam wargę. Jego zęby pocięły mi skórę na dłoni, ale nie zważałam na to.

Podkurczył nogi, położył dłoń na moim brzuchu i pchnął. Poleciałam do tyłu, on zaś zerwał się z ziemi i odsunął ode mnie. Wstałam i zaczęłam rozglądać się za nim, ale białe kombinezony zlewały się ze sobą, skutecznie go ukrywając.

Ktoś chwycił mnie za włosy i szarpnął w przeciwną stronę. Otrząsnęłam się z oszołomienia i walnęłam nogami w brzuch przeciwnika. Wyprostowałam się, kiedy upadł, potykając się o jednego z leżących już towarzyszy.

Usłyszałam świst metalu przecinającego powietrze i odwróciłam się błyskawicznie – zobaczyłam mężczyznę, który wymachiwał na mnie ostrzem. Zrobiłam unik, ale nie dość szybko. Uderzenie...

Nie trafiło celu. Gavin podskoczył do mnie i pozbawił faceta ręki.

- Dzięki! - zawołałam, przekrzykując wrzawę.

- Zawsze do usług, słodka!

Ruch po mojej prawej stronie. Odwróciłam się.

Inny kombinezon ruszył na Gavina, już mierząc do niego z broni. Chwyciłam go za ramię, jego rozpęd pozwolił mi się wyprostować. Gdy tylko odzyskałam równowagę, wykorzystałam całą swoją siłę, żeby wykręcić facetowi rękę na plecach. Broń wypadła mu z dłoni, rozległ się trzask pękającej kości. Zawył z bólu, kolana załamały się pod nim.

Dostrzegłam Trinę kilka kroków dalej, miała już obręcz na szyi. Taką samą, jaką ci ludzie także mnie kiedyś założyli, taką samą, jaką zakładali zombi, żeby pobudzać je impulsami elektrycznymi.

Przynajmniej Lucas uniknął tego losu. Walczył zjadle z każdym, kto próbował zbliżyć się do dziewczyny.

Próbowałam zerwać metal z jej szyi, ale zacisk trzymał mocno. Popatrzyła na mnie orzechowymi oczami, teraz ciemnymi od bólu. Rozsunęła wargi, ale z jej ust nie dobył się żaden dźwięk.

Poczułam, jak wzbiera we mnie gniew.

- Trzymaj się. Znajdę sposób, żeby ci pomóc.

- Tak, pomóż jej - rzucił przez zaciśnięte zęby Lucas, uchylając się przed ciosem.

Rozejrzałam się i znalazłam to, o co mi chodziło. Zbliżyłam się do nieruchomego kombinezonu i pociągnęłam faceta w stronę Triny. Rozciąłam mu rękawicę i przycisnęłam jego kciuk do niewielkiego czujnika przy obręczy. Nic się nie stało.

Może Kelly uczył się na błędach. Może zadziałałby tylko odcisk jego kciuka.

Rozejrzałam się wokół jeszcze raz. Wciąż ani śladu. Był tchórzem, więc zapewne umknął z pola walki. Nie mógł jednak uciec daleko. Chciałby obserwować z bezpiecznej odległości, przekonać się, czy jego ludzie wygrali, czy przegrali.

Wlepiałam wzrok w ciemność, wypatrując bardziej ruchu niż sylwetki. Tam! Delikatne

poruszenie w zaroślach. Kelly? Można było się przekonać tylko w jeden sposób.

- Mam plan.

Potrzebowałam doładowania, więc zaaplikowałam sobie antidotum i wystartowałam, trzymając się zacienionych miejsc i zmierzając ku linii drzew. Gdy tylko dotarłam do pierwszego, zmieniłam kierunek i ruszyłam w stronę drgających zarośli.

Staralam się stąpać lekko i ostrożnie, ale pod moją nogą trzasnęła gałązka. Spięłam się cała, jednak nie przystanęłam ani nie zwolniłam. Ujęłam oba sztylety i uniosłam je, zanim dotarłam do krzewów. Gotowa.

Ale nie było go tam.

Poruszył się inny krzew, w odległości kilku kroków, domyśliłam się więc, że usłyszał mnie i ruszył dalej. Przyspieszyłam kroku, ścigając go.

Wyczułam woń rozkładu. Kiedy przebiłam się przez ścianę zieleni i wyszłam na małą łąkę, zobaczyłam, jak Kelly'ego otaczają zombi. Sześć istot wyciągało po niego ręce, kłapało zębami.

To, co stało się potem, stało się szybko. W ciągu co najwyżej trzech sekund. Mogłam się tylko przyglądać.

Jeden z potworów wgrzył mu się w ramię. Kombinezon chronił skórę, ale Kelly poczuł nacisk zębów i mruknął groźnie. Zamachał drugą ręką i uderzył zombi w głowę. Ten wgrzył się w niego jeszcze zajadlej, niczym buldog, który obrabia kość i nie chce jej oddać. Inny zombi przywarł do jego ramienia, ciągnął go ku ziemi.

- Puść! - rozkazał ojciec Ethana. - Przestań. Przestań!

Jeszcze inny stwór runął na niego i zatopił mu zęby w nieosłoniętym policzku. Kelly wydał z siebie przeraźliwy wrzask.

Ruszyłam do akcji, przywołując jednocześnie ogień. Rozbłysły białe-złote płomienie. Nie były tak dzikie i zachłanne jak wcześniej, ani też tak słabe jak w przypadku Gavina, ale wystarczyły. Dopadłam zombi i zabrałam się do roboty.

Kontakt. Popiół. Kontakt. Popiół. Kontakt. Popiół.

Upojona zwycięstwem, spjrzałam na Kelly'ego, który wił się na ziemi.

- Antidotum - wycharczał. - Proszę. W mojej kieszeni.

Przytroczona do fotela... Naszpikowana trucizną...
Rażona prądem, który przeze mnie przepływał...

- Pomogę ci, ale potem pomożesz mojej przyjaciółce. - Wsunęłam dłoń w kieszeń jego kombinizonu. Potem wbiłam mu igłę do szyi.

Tak jak stało się to z Gavinem, moje płomienie polizały go, a on wygiął się w łuk.

- Nie martw się. Przygasnę...

Kelly eksplodował w chmurę popiołu.

Zszokowana, upadłam na tyłek. Płomienie zamięrały. Tak jak Kelly. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami na wzgórek poczerniałego pyłu, który pozostał po tym człowieku. Ja... ja właśnie...

W moje ramiona wbiły się twarde dłonie i szarpnęły do tyłu. Uderzyłam głową o jakiś kamień i po chwili zaczęła mnie wchłaniać nieświadomość. Zaczęły krążyć wokół mnie dwa zombi z obręczami na szyjach, spoglądając na mnie z odrażającym głodem. Ich czerwone oczy świeciły jasno; widziałam je jako rozmazane plamy.

Co te istoty robiły? Dlaczego nie atakowały?

Obręcze?

Próbowałam usiąść i walczyć, ale moje ciało poddało się całkowicie. Powinnam... Och, gwiazdy zawirowały w górze, obracając się bez końca, hipnotyzując mnie. Myśl. Skoncentruj się.

- Emma. - Tak. Ona pomoże. - Wezwij... Cole'a.

Potrafił ją widzieć. Mogła mu powiedzieć, gdzie jestem.

Wydawało mi się, że zobaczyłam, jak rozstępuje się ściana chmur i oto spłynęła do mnie moja mała siostra. Jej twarz wykrzywiał grymas troski; otworzyła usta, żeby przemówić, ale nie usłyszałam jej słów.

A.Z. opuściła moje ciało i chwyciła ją za rękę. Obie spojrzały na siebie.

- Nie... dotykaj... jej - próbowałam krzyknąć.

Zombi obnażyły pokryte czarnymi plamami zęby.

Zombi!

Jak mogłam o nich zapomnieć?

Nie czekając już dłużej, oba runęły na mnie i wgryzły się w moje ciało. Ból był nieznośny, rozpalony do białości, a mimo to lodowato zimny. Wiedziałam, że muszę wzniecić płomienie... płomienie... płomienie... ale wciąż trwały w uśpieniu.

Nagle, znienacka, zombi odskoczyły ode mnie, zainfekowane antytoksyną; zaczęły się miotać i chwytać za gardła.

Emma uciekała, a ja chciałam za nią zawołać, powiedzieć jej, że wszystko w porządku, że to niebezpieczne, że musi stąd odejść.

Gdzie była A.Z.? Z powrotem we mnie?

Płomienie... płomienie... Wciąż nic. Mogłam tam tylko leżeć, świadoma, że narasta we mnie głód, aż do szpiku kości.

Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, nim poczułam delikatny, pieszczotliwy dotyk na policzku. Uniosłam niepewnie powieki. Majaczył nade mną Cole, jego rysy skąpane były w czerwieni. Czerwieni... z moich oczu? Mówił coś, ale jak w przypadku Emmy, nie słyszałam go. Wbił we mnie igłę, potem następną, potem jeszcze jedną.

Ile dawek tego dnia pochłonęłam?

Poczułam, jak przepływa przeze mnie wartka struga mocy, a ból nieco ustępuje. Zimno i żar się zrównoważyły.

Świadoma obrażeń, usiadłam ostrożnie. Jak wiele mogłam znieść?

- Złamałam twoje zasady - powiedziałam. - Ugryziono mnie.

- Nieważne. - Pocałował mnie, mocno i szybko. - Już w porządku. Tylko to się liczy.

- Nic mi nie jest - potwierdziłam. - A ty? Pozostali?

- Ze mną okay. Kilku chłopaków jest zdrowo pokiereszowanych, a Trina...

- Wiem. Założyli jej obręcz. Myślę, że dałoby się ją otworzyć kciukiem Kelly'ego, ale... zabiłam go.

Miał w sobie mnóstwo zombicznej toksyny, a ja go dotknęłam i, tak jak zombi, spopieliłam.

Przesunął opuszkami palców po moich policzkach.

- Dziecinko, on musiał umrzeć. Jeśli chodzi o Trinę, znajdziemy inny sposób. Chodź.

Kiedy pomógł mi wstać, spytałam:

- Jak mnie znalazłeś?

- Emma. Powiedziała, że była zmuszona walczyć z tą drugą Ali, żeby do mnie dotrzeć.

Tak, prawda. A.Z. próbowała skrzywdzić moją małą siostrę.

Nikt nie mógł tego zrobić bezkarnie.

Opuściliśmy polanę, ręka w rękę. Kiedy próbowałam go ponaglić, pokręcił głową.

- Już po wszystkim. - Uśmiechnął się, fioletowe oczy błyszcząły triumfalnie. - Wygraliśmy.

*

Postanowiliśmy zostawić kombinezony w lesie, zarówno tych, którzy przeżyli, jak i martwych, zamiast tracić czas i przewozić do naszego lochu. Martwiliśmy się przede wszystkim o Trinę i rannych. Połączyliśmy się z ciałami i pospieszyliśmy do piwnicy pana Ankha, gdzie Ethan, posługując

się swoim kciukiem, zdjął dziewczynie z szyi obręcz.

Kiedy już wszystkich zabandażowano, pan Holland, Cole, Szron i Gavin wepchnęli Ethana na tylne siedzenie samochodu i dokądś wywieźli. Zamierzali zostawić go gdzieś w dziczy. Po śmierci ojca chłopak jako jedyny mógł zająć się swoją siostrą Isabelle. Miałam nadzieję, że dziewczyna wyzdrowieje, naprawdę. Tyle że nie naszym kosztem.

Pomimo dość opłakanego stanu pozostali zebrali się w pokoju gier pana Ankha. Niektórzy grali w bilard. Niektórzy w ping-ponga. Niektórzy w rzutki. Anima nie została do końca skreślona, zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale cała ta firma doznała poważnego uszczerbku, my zaś czuliśmy upajający smak zwycięstwa.

Reeve i Kat, usłyszawszy naszą wrzawę, zbiegły na dół. Zaczęły się rozglądać za Szronem i Bronxem, a kiedy stwierdziły, że ich nie ma, dopadły mnie i zaczęły bombardować pytaniami, chcąc wiedzieć, co się stało. Wyjaśniłam wszystko w miarę możliwości, a one się odprężyły.

- Żałujcie, że nie mogłyście zobaczyć w działaniu naszej dziewczyny, Ali-minatora - powiedział Justin, stając przy moim boku i obejmując mnie

ramieniem. - Jak żyję, nie widziałem czegoś takiego.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Ty też byłeś niezły.

- Prawdopodobnie drugi z kolei - oznajmił, kiwając głową.

- Bez jaj. Twoim umiejętnościom daleko do moich, Justin! - zawołał Lucas. Przywierał do pleców Triny, gdy ta ustawiła się do uderzenia przy stole bilardowym. Wydawało się, że bliskość chłopaka w ogóle jej nie przeszkadza.

Czyżby byli parą?

- W porównaniu ze mną wyglądasz jak nowicjusz - odciął się Justin.

Lucas pokazał mu środkowy palec, a Trina wybuchnęła śmiechem, waląc przy okazji kijem w stół.

- Skoncentruj się na grze, Rina - nakazał Collins.

- Słowo daję, moja mama gra lepiej od ciebie. A jest niewidoma!

- Może Trina nie potrafi lepiej? - wtrącił Justin, jakby biorąc jej stronę. - Nie pomyślałeś o tym?

Trina pokazała mu język.

Cieszyłam się, że grupa jest teraz taka rozluźniona w obecności Justina. Dowiódł swojej wartości. Był jednym z nas.

- Na razie, dziewczyny. Zamierzam wygrać w bilard - powiedział i odszedł.

Reeve bezustannie zerknęła na drzwi.

- Gdy tylko Bronx się tu zjawi, przyprę go do ściany i pogadam z nim sobie. Nie omówiliśmy niczego, co się wydarzyło, nie mieliśmy odwagi poruszyć tematu wspólnej przyszłości. Jakoś uniknęliśmy kłótni, co jest niezwykle, ale to za mało.

- Cieszę się - oświadczyła Kat. - Jeśli nie powie ci wszystkiego, co chcesz usłyszeć, każę Szronowi stłuc go na kwaśne jabłko.

- Ale... - Reeve przestępowała z nogi na nogę. - A jeśli mnie nie zechce? A jeśli podobały mu się te wszystkie wymówki, żeby trzymać się ode mnie z daleka?

- Błagam, powiedz, że mnie nie przychodzą do głowy tak idiotyczne pomysły - zwróciłam się do Kat.

- No cóż, chcesz, żebym kłamała? - odparła.

Stłumiłam uśmiech.

- On cię pragnie - zapewniłam Reeve. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie było cię z nami tamtej nocy, kiedy odkryliśmy, że wymykasz się z domu i spotykasz z Ethanem.

Zaraz. Byłaś, tyle że nie razem z nami. Spanikował. Na całego.

- Naprawdę? - spytała z nadzieją w głosie.

- Naprawdę.

- Ali-Kat Bell - powiedziała Kat, opierając dłonie na biodrach. - Przyłapałaś Reeve na wymykaniu się z domu i do głowy ci nie przyszło poinformować mnie o tym?

- Albo mnie - odezwał się zza naszych pleców pan Ankh, a my zeszywniałyśmy. - Przyniosłem tacę z przekąskami. Ali i Kat, może zostawicie mnie na chwilę z panną Uciekinierką?

Wymamrotałam przeprosiny i ruszyłam wraz z Kat w stronę stołu.

Wpadłam na Veronicę.

Obie cofnęłyśmy się o kilka kroków.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- Tak - odparła.

Żadna z nas nie ustąpiła miejsca drugiej.

Kat nie zauważyła tego incydentu i skupiła się na tacy przyniesionej przez pana Ankha.

- Nie wiem, co Cole w tobie widzi - powiedziała cicho Veronica.

Ja i Cole nie zeszliliśmy się oficjalnie, ale był mi oddany. Mogłam jej powiedzieć, żeby trzymała się od niego z daleka, ale nie chciałam być taka. Jeśli

nie umiałam mu zaufać w sprawie Veroniki, to nie powinnam z nim być.

- Widzi chyba to, co mu się podoba. - Próbowałam ją wyminąć, ale ruszyła za mną. - Naprawdę chcesz to zrobić teraz i zmarnować wszystkim wieczór?

- Masz rację - zauważyła, a ja mogłam dostrzec bez trudu, że stara się powstrzymać łzy. - Zrozumiałam w końcu, że to się nie zmieni. Chyba mi przykro, że się do niego dowalałam.

Nie bardzo wiedziałam, jak mam na to odpowiedzieć. „Rany, dzięki” wydawało się niewłaściwe.

- I tak by to długo nie trwało - dodała.

To był podstęp? Nie inaczej.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Pomijając koszmarną obsesję na twoim punkcie? - spytała, a mnie zatrzepotało serce. - Nigdy się z nim nie spierałam. Zawsze się na wszystko zgadzałam. Ale ty tłukłaś go i wyzywałaś, a jemu wciąż było mało. Nie chcę być w takim związku.

Biedna dziewczyna nie wiedziała, co traci.

- No cóż, mam nadzieję, że znajdziesz to, czego pragniesz - oznajmiłam i to było wszystko, na co mogłam się zdobyć, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

Zamknęła na chwilę oczy. Kiedy znów uniosła powieki, jej wrażliwość zniknęła, a pojawił się gniew.

- Nie skrzywdź go, bo nie ograniczę się do podrywania. Zrobię znacznie więcej. Odkryję swojego asa i pogrzebię cię w ziemi - oświadczyła i oddaliła się.

Swojego asa? Czym był ten jej as?

Po co się miałam tym przejmować? Wytatuował sobie moje imię na piersi. Należał do mnie, koniec, kropka.

Przyłączyłam się do Kat przy tacy z przekąskami i niemal jęknęłam na widok obfitości roztaczającej się przed moimi oczami. Placuszki krabowe, sajgonki, ptysie różnych rodzajów. Kawałki ciasta czekoladowego, babeczki z jabłkami i cynamonem.

Tylko Ankhowie mogli przygotować taką ucztę w tak krótkim czasie.

Przynajmniej raz zamierzałam pasożytować na kimś. Napchałam się do syta i zaczęło mnie ogarniać zmęczenie. Ziewnęłam, może się nawet zachwiałam, gdy głowa poleciała mi do przodu.

- Chodź - powiedziała Kat, prowadząc mnie w stronę kanapy. - Wyglądasz na zmordowaną.

Wyciągnęłam się, a Reeve przykryła mnie kocem.

- Jak rozmowa z tatą? - spytałam, ziewając po raz kolejny.

- Nie będzie mnie uziemiał do końca życia. Tak postanowił.

- Och... to dobrze... - Potem już zapadłam w niespokojną drzemkę, podczas gdy pozostali z gangu dalej świętowali.

- Nareszcie! Wrócili! - oznajmiła Kat minuty... godziny albo dni później, klaszcząc z podniecenia.

Usiadłam gwałtownie i wyrzałam przez okno. Cole, Szron i Gavin wysiedli właśnie z ciemnego SUV-a pana Hollanda i wkroczyli w noc. Ranek jeszcze nie nadszedł. Kiedy znaleźli się na ganku, straciłam ich z oczu.

Dźwignęłam się na nogi, serce biło mi mocno. Kolana nie ugięły się pode mną. Dobrze. Zmęczenie też minęło. Czekałam. Czekałam, zdawało się, bez końca. I oto w drzwiach pokoju ukazał się Gavin, wysoki i silny, władcza osobowość, która przyciąga nieodparcie wzrok. Ubranie miał jednak bardziej podarte i poszarpane niż przed wyjściem, a na policzku szramę, której wcześniej nie było.

Wiedziałam, że dowiem się później, skąd się wzięła. Przede wszystkim jednak chciałam mu gorąco podziękować. Uratował mi tej nocy życie.

Podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję; uściskałam go i obdarzyłam pełnym wdzięczności pocałunkiem w usta.

- Ty - powiedziałam. Z jakiegoś powodu nie mogłam się zdobyć na nic więcej.

Wiedząc, o co mi chodzi, też mnie uściskał i pocałował w policzek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Blondie.

Odzyskałam rezon i dodałam:

- Jesteś lepszym człowiekiem, niż kiedykolwiek przypuszczałam. - Zmarszczyłam czoło, te słowa wydawały się jakoś znajome.

- Wiem.

- I jesteś taki skromny.

Parsknął śmiechem.

- Ali, najpierw podeszłaś do niego - zauważył Cole z dziwną nutą w głosie. Stał obok nas.

Widząc go, uśmiechnęłam się szeroko i rzuciłam mu się w ramiona.

- Wróciłeś.

- Najpierw podeszłaś do niego - powtórzył.

Cofnęłam się i zamrugałam zaskoczona.

- Nie zauważyłam cię.

- Wszedłem tuż za nim.

- Cole? - spytałam, wielce niepewna w tym momencie.

- Wizja - powiedział, a ja dostrzegłam, że i on ma kilka świeżych zadrapań na twarzy.

Gavin zamrugął zdziwiony, tak jak ja.

- Tak. Ta, którą mieliśmy. W każdym razie po części.

I nie było w niej nic romantycznego, jak się okazało.

- Ocalił mi życie. Miałam wobec niego dług wdzięczności. Właśnie mu dziękowałam.

- Wiem. Teraz. - Cole pocierał nerwowo kark. - Zerwałem z tobą bez powodu - wyznał cicho.

- I nie był to jedyny powód. Bałeś się, że ja...

- Nie tłumacz się za mnie. Przepraszam. Przepraszam. - Chwycił mnie, przyciągnął i przywarł wargami do moich ust.

Zewsząd dobiegły głośne wiwaty i gwizdy. Nie obchodziło mnie to. Brałam, dawałam, znowu brałam, jeszcze więcej. Wszystko, czym był. Wszystko, czym ja byłam. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

Kiedy uniósł głowę, mogłam się tylko do niego przytulić.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, ocierając się nosem o mój nos.

- Ja też za tobą tęskniłam.

- Jak się czujesz?

- Już lepiej.

Zaśmiał się cicho, ale ten przyływ humoru nie trwał długo.

- Przepraszam za wszystko, Ali.

- Hej, to już przeszłość. Sprawa wyjaśniona. Ważne jest to, co teraz i tutaj. Ale dlaczego macie świeże rany, ty i Gavin?

- Facet, który zastrzelił i obrzucił granatami twojego doktora Bendarięgo, pojawił się nagle, próbując odebrać nam Ethana. Nie uświadamiał sobie chyba, że zamierzamy puścić chłopaka wolno. Tak czy inaczej znowu stanął na nogi i okazał się silniejszy, niż można się było spodziewać, więc wywiązała się walka. Wygraliśmy, ale znowu udało mu się zwać.

Uświadomiłam sobie, że zabójcy ponownie wiwatują; rozejrzałam się.

- Słodkie niebios! - zawołała babcia, wachlując się dłonią. Kiedy tu weszła? - W pokoju buzuje od hormonów.

Szron i Kat też byli pogrążeni w pocałunku, równie namiętnym jak nasz. Bronx i Reeve zaanektowali kanapę i rozmawiali teraz cicho. Wszyscy pozostali przyglądali się nam bez żenady i szczyrzyli zęby w uśmiechu.

- Daj mi pięć minut, sprawdzę, co z innymi - wyszeptał Cole. - A potem chcę spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

Skinęłam głową, już odliczając sekundy.

Pocałował mnie jeszcze raz, a potem przyłączył się do swoich przyjaciół przy stole pingpongowym; przybijali sobie piątki, potem klepali się po ramionach. Przypominało to sekretny uścisk dłoni.

Babcia potargała mi włosy.

- Och, znowu być młodą.

- Wciąż jesteś dostatecznie młoda, żeby poszukać sobie kogoś - zapewniłam i natychmiast pożałowałam swoich słów, przypominając sobie dziadka.

Uśmiechnęła się i nagle wydała się o dziesięć lat młodsza.

- Wyrzuty sumienia? - spytała ze śmiechem. - Nie ma obaw. Może bawiłoby mnie szukanie kandydata, ale nie mam ochoty nikogo przydybać.

- Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. - Wracam do łóżka. Zeszłam na dół, żeby się zorientować, co się dzieje. Bawcie się... ale nie przesadzajcie.

- Kocham cię, babciu.

- Ja też cię kocham. - Odfrunęła do siebie.

Przeżuwałam ciasteczko krabowe i przyglądałam się, jak Cole przechodzi od przyjaciela do przyjaciela, rozmawia i śmieje się. Uosabiał piękno, wszystko, co było w świecie słuszne... W moim świecie. Przysunął się do Veroniki i powiedział coś, a ona zmarszczyła brwi. Nie zapaliła się we mnie nawet jedna iskierka zazdrości. Dobra Ali.

- Tak przy okazji, chcę, żebyś wiedziała, że sobie odpuszczam. Nie będę do ciebie startował, Ali Bell - oznajmił Gavin, podchodząc do mnie. - Nigdy nie patrzyłaś na mnie tak, jak patrzysz na Cole'a, i zaczynam sądzić, że chciałbym, by tak właśnie ktoś na mnie patrzył.

- Coś takiego. Oznacza to, że mój mały chłopiec dorasta. Dam ci nawet na początek niezwykle cenną radę.

- Czyli?

- Daj sobie spokój ze stylem podrywacza.

Uśmiechając się szeroko, trącił mnie ramieniem.

- Powiedział ci już ktoś, że jesteś smarkułą?

- Jestem pewna, że Cole wspominał o tym wielokrotnie.

- Bystry chłopak. - Objął mnie i znowu uściskał.

Ja też go uściskałam.

- Jesteś zadowolona z tego, jak sprawy się potoczyły? - spytał.

Ujęłam w dłonie jego twarz, a ten gest przypominał mi wizję. Spojrzałam na Cole'a, który wciąż rozmawiał z Veronicą. Napięcie, które nosił jak drugą skórę, opadło bez śladu.

- Tak. A ty?

- Nigdy nie było lepiej. Postanowiliśmy z Veronicą przeprowadzić się tutaj. Nie znam jej powodów, ale moje są proste. Alabama to ocean niewykorzystanych, napalonych ryb, a tata lubi owoce morza.

Roześmiałam się.

- Cieszę się, że zostajesz. Tęskniłabym za tobą.

Moje spojrzenie znów powędrowało w stronę Cole'a. Obserwował mnie teraz. W jego oczach nie było cienia podejrzliwości, gniewu. Wciąż mi ufał, tak jak ja ufałam jemu.

Podszedł do mnie.

- Jestem coraz bardziej przekonany, że wizje nie zawsze oznaczają to, co się nam wydaje. Twoje pięć minut już minęło - powiedział, biorąc mnie za rękę. - Czas na naszą rozmowę.

- Rozmowę? Tak się to teraz nazywa? - spytał ze śmiechem Gavin.

Przeszliśmy obok pana Ankha, a potem pana Hollanda; poczułam, jak płoną mi policzki.

- Dokąd idziecie? - spytał pan Holland tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Do dawnego pokoju Ali.

- Macie dziesięć minut. Potem przyjdę po was.

Dostrzegłam kątem oka, że Cole pokazał tacie środkowy palec.

- No dobrze, piętnaście minut - mruknął pan Holland.

- Dałeś im piętnaście. Ja daję pięć - oświadczył pan Ankh. - Jej babcia odznacza się niezłym temperamentem. Nie mam zamiaru doświadczyć go po raz kolejny na własnej skórze.

Babcia odznaczała się temperamentem?

Gdy tylko weszliśmy do mojego dawnego pokoju, a ja zamknęłam drzwi, odwróciłam się do niego i otoczyłam go ramionami. W następnej chwili całowaliśmy się już i było to elektryczne, wszechogarniające, o sile tak wielkiej, że czułam się tak, jakbym stała się jego częścią.

- Ali - powiedział, kiedy w końcu zabrakło nam powietrza. - Ludzie bezustannie szermują słowem „miłość”, ale zanim się pojawiłaś, nigdy go nie wymówiłem. I nigdy nie potrzebowałem go słyszeć. A potem, tamtej nocy, wypowiedziałaś do mnie tamte słowa, i nic nie szkodzi, jeśli tego nie pamiętasz, ale słyszałem je i odcisnęły na mnie swe

piętno, i teraz chcę te słowa usłyszeć naprawdę, bo kocham cię tak bardzo, aż do bólu. Muszę, pragnę usłyszeć te słowa. Jeśli jesteś gotowa je wypowiedzieć.

Wielki krok. Taki, który oznaczał dla mnie skok w przepaść.

Ujął moją rękę i wsunął sobie pod koszulę, kładąc moją dłoń tuż nad sercem, gdzie widniała wyryta ostatnia część mojego imienia.

- Jesteś częścią mnie samego i zawsze nią będziesz, i jeśli potrzebujesz więcej czasu, to w porządku.

- Cole...

Pokręcił głową.

- Nie mów nic. Jeszcze nie. Chcę powiedzieć wszystko do końca.

Otworzyłam szeroko oczy. Było coś jeszcze?

- Mówiłem ci chyba, jaka jesteś uparta, jaka ciekawska i nawet zazdrosna, a także porywcza, i masz najpaskudniejszy prawy prosty wszech czasów.

- Hej - rzuciłam, tracąc nieco z radosnego uniesienia.

- Ale czerpię więcej radości z twoich uśmiechów niż z czegokolwiek innego - ciągnął. - Patrzę na ciebie i pragnę cię. W gruncie rzeczy wystarczy,

żebym tylko o tobie pomyślał, a natychmiast cię pragnę. Jest w tobie słodycz, miękkość, którą ujawniasz tak niewielu ludziom, ale ja zaliczam się do tych szczęśliwców i zawsze będę ci za to wdzięczny.

Och.

Kogo chciałam oszukać? Już skakałam w przepaść.

- Jesteś moja, Ali Bell.

Milczenie.

- Mogę teraz mówić? - spytałam.

Skinął sztywno głową.

Czy bał się tego, co miałam mu do powiedzenia?

- Zerwanie z tobą było najtrudniejszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Tak w każdym razie wtedy uważałam. Ale życie bez ciebie okazało się jeszcze trudniejsze. Od chwili, gdy nasze oczy się spotkały, ciągnęło mnie do ciebie. Nie tylko dlatego, że jesteś najgorętszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek poznałam, ale także dlatego, że wykazujesz się niebywałą odwagą i honorem, i kiedy z tobą jestem, czuję się bezpieczna i chroniona, nawet uwielbiana. Mogę być twoja, ale ty z pewnością jesteś mój i nigdy ci nie pozwolę odejść. Ja też cię kocham, Cole'u Hollandzie.

- Dzięki Bogu. - Przytulił mnie jeszcze mocniej.

A teraz złe wiadomości.

- Kiedy nie będę mogła już zażywać antidotum, chcę, żebyś posłużył się swoimi płomieniami - powiedziałam cicho.

- Nie.

- Tak - odrzekłam z uporem. - Musisz.

- Nie mogę cię stracić.

- Może nie stracisz. - Lista: przeżyć.

- Może stracę.

- Wiara. Wierz we mnie, wierz w to. Kiedy ostatnim razem nie uwierzyłeś, rozstaliśmy się.

- Ali...

- Światło przegna ciemność - przerwałam mu.

- Ali - powtórzył.

- Wiem. Wiem, że to trudne. - Pocałowałam go i nie odezwałam się więcej. Nie zmieniłam jednak zdania.

I nie zamierzałam zmieniać.

Koniec w nowym początku

Przez cały następny tydzień unosiłam się na obłokach szczęścia. Wciąż aplikowano mi antidotum, więc zachowywałam w jakimś stopniu siły, choć zdarzały mi się chwile całkowitej słabości i momenty odrażającego głodu.

A.Z. walczyła.

Cole rzadko mnie opuszczał. Pokazał mi prezent gwiazdkowy, który dla mnie obmyślił - szufladę w swojej sypialni. Rzuciłam mu się w ramiona, objęłam go w pasie nogami i pohukiwałam jak obłąkana kobieta. Zerwał z Mackenzie, kiedy się do niego wprowadziła, tłumacząc to tym, że sprawa stała się zbyt poważna. W moim przypadku, jak oświadczył, sprawa nigdy nie mogłaby być poważniejsza.

Potem zabrał mnie, żebym odwiedziła Jaclyn. Biedna dziewczyna. Od czasu naszej ucieczki nie chciała się z nikim widzieć i odsyłała każdego

gościa. Mnie wpuściła do swojej sypialni, uściskała i zaczęła szlochać, aż w końcu straciła przytomność z wyczerpania.

Pragnęłam teraz ze wszelką cenę przywrócić ją do życia.

Wren i Poppy też tam były, towarzysząc Justinowi. Wiedziały, że znowu przyjaźni się z Cole'em, więc zdziwiłam się, że Wren i Justin znowu ze sobą chodzą. Dziewczyny zaskoczyły mnie też, bo rozmawiały ze mną, jakbym znowu wróciła do łask, i obiecały zadzwonić.

Zmiana. Bez względu na to, co się działo, zawsze do niej dochodziło.

W tej chwili wszyscy zabójcy i ludzie zorientowani w sytuacji siedzieli w stodole Cole'a, skupieni wokół ogromnego telewizora i oglądali wideo, na którym pan Holland szkolił pięcioletniego syna, przygotowując go do walki z zombi.

Był niewymownie uroczy - to znaczy Cole, nie jego tata - z czupryną czarnych włosów i wielkimi oczami. Trochę przesadził z nunchaku i przywalił ojcu między nogi. Tłum widzów wybuchnął śmiechem.

Siedziałam mu na kolanach. Wyszczrzył do mnie zęby.

- Tak, jestem niezły.

Uwielbiałam tę żartobliwą stronę jego natury.

Kogo oszukiwałam? Kochałam każdą jego stronę.

Kat, która siedziała obok mnie, zawołała: „Przewińcie to do początku!” i rzuciła popcornem w ekran telewizora.

- Jezu, widzieliście? Mina pana Hollanda mówiła: „Och nie, przyszyjcie mi jaja z powrotem”, a Cole wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć: „Stracisz coś jeszcze, lewusie”.

Kat i Szron nie zerwali ze sobą od czasu, kiedy wyznała mu, że jest chora. A rozmowa Reeve z Bronxem przebiegła lepiej, niż dziewczyna mogła sobie wymarzyć - i dokładnie tak, jak spodziewaliśmy się z Kat. Był jej w pełni oddany i żądał wyłączności.

Wszyscy byli tacy szczęśliwi. Nawet Veronica wydawała się odprężona (zastanawiałam się, czy znów zechce wykorzystać Gavina).

Oparłam głowę na ramieniu Cole'a, a on objął mnie mocno. Jeszcze nie uprawialiśmy seksu. Babcia nie odstępowała mnie na krok. A jeśli nie babcia, to pan Holland albo pan Ankh. Albo Kat i Reeve. Nigdy nie zostawialiśmy sami i ja to rozumiałam, naprawdę. Wszyscy wiedzieli, że pocałunki Cole'a pochłaniają mnie całkowicie, pozwalając A.Z. przejąć władzę nad moim ciałem.

Czasem nawet pocałunek nie był potrzebny. O wielkie nieba, to właśnie nadszedł taki moment. Pocierałam nosem o jego szyję i nagle uwiodła mnie słodycz jego zapachu. Ślina napłynęła mi do ust.

Głodna.

Nie. Och, nie.

Pachnie tak wspaniale.

Nie! Nigdy.

Muszę się nakarmić!

Nie.

Trzęsąc się, wstrzymałam oddech i wstałam.

- Muszę... iść - powiedziałam.

- Coś nie tak? - spytał, patrząc na mnie ze zmarszczonym czołem. Obejmował mnie w talii, trzymając w miejscu.

- Potrzebuję następnej dawki.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Ale przecież zażyłaś antidotum pół godziny temu.

- Wiem. - Ogarnął mnie przyprawiający o mdłości żar, który sprawiał, że pociłam się i drżałam jednocześnie. Wrażenie, które znałam bardzo dobrze. Tyle że tym razem było o wiele intensywniejsze. Pokój wypełniło dziwne bzyczenie, tłumiąc inne

odgłosy. - Ja... ja... - Odsunęłam się od niego, kręcąc głową. - Tym razem jest gorzej.

- Ali? - Kat wyciągnęła rękę i dotknęła mnie, ale natychmiast krzyknęła z bólu i cofnęła dłoń.

Szron podskoczył czym prędzej i przesunął ją za siebie.

Cole wyprostował się gwałtownie. Spuściłam wzrok. Czerwone płomienie powróciły, trzaskając na moich dłoniach. Na moich ludzkich dłoniach. Ogień był tak silny, że dokonał wyłomu w moim duchu i przesączył się przez ciało. Próbowałam go stłumić, ale się rozprzestrzenił nieubłaganie.

Wszyscy z wyjątkiem Cole'a odsunęli się czym prędzej.

- Ali - powiedział, zbliżając się.

- Nie dotykaj mnie! - nakazałam skrzekliwym głosem. - Wyjdę stąd i wstrzyknę sobie ostatnią dawkę. A potem ktoś dotknie mnie swoim płomieniem. Błagam.

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Ten ktoś będzie musiał pokonać najpierw mnie, a to wykluczone.

A.Z. wyszeptała w mojej głowie: „Myślisz, że przetrwałabyś tak długo, gdybym ci nie pozwoliła? Czekałam na tę chwilę, kiedy antidotum nie będzie

mogło już ci pomóc. Więc śmiało. Zażyj dawkę znowu. Zobaczysz, co się stanie”.

Patrzyłam ze zgrozą, jak płomienie rozprzestrzeniają się jeszcze bardziej, aż do łokci. Bolało. Och, jak bardzo bolało. Ból mnie przeszywał, niezaprzeczalny, cierpienie w najczystszej postaci.

- Musicie... odejść - wydyszałam. - Odejść. Wszyscy.

Nie słuchając mojego polecenia, Cole wziął mnie na rękę. Pilnowałam się, by trzymać dłonie przyciśnięte do tułowia, z dala od niego, a kostki nóg wyprostowane. Zatrzymał się przy stole z górami jedzenia i drinków, po czym przycisnął mnie do piersi, żeby zrzucić wszystko na podłogę. Potem położył mnie ostrożnie na blacie.

Usłyszałam chlupot rozlewającego się płynu, kiedy wlepił we mnie wzrok.

- Zwalcz to - rozkazał.

Płomienie sięgnęły moich ramion.

- Próbuję.

- Spróbuj mocniej.

Otoczyli mnie pozostali zabójcy. Dostrzegłam żal. Dostrzegłam strach. Dostrzegłam grozę.

Nie wyszli. Musieli wyjść.

Ty umrzesz, a ja powstanę.

- Nie pozwólcie jej żyć - powiedziałam. - Zabijcie ją. Zabijcie ją we mnie.

To teraz niemożliwe - oświadczyła chępliwie. - *Zamierzam ucztować na nim. Opróżnić go do cna.*

- Nie - odparł, a jego głos załamał się. - Wszystko, tylko nie to.

- Cole, musisz... zabić ją... błagam. - Nie poprzestałaby na nim. Zniszczyłaby każdego. - Jest tutaj... chce ciebie.

- Nie - powtórzył z uporem. - Musi istnieć inny sposób.

Po policzkach spływały mi łzy i nawet one mnie paliły.

- Proszę - błagałam. - Boli. Boli mnie. Ból. Nie do zniesienia.

I tak jak płomień, ból się nasilał.

- Musisz go znieść, bo ja nie będę mógł znieść twojej straty. Jeśli umrzesz, odejdę z tobą.

- Nie! - krzyknęłam i wydaje mi się, że pozostali zabójcy zrobili to samo.

- Więc walcz - zażądał. - Walcz z całych sił.

Nie rozumiał? To właśnie robiłam.

Próbowałam uciec przed nim, a moje spojrzenie przesuwano się po twarzach otaczających mnie ludzi.

- Pomóście.

- Przeżyłem to - rzucił Gavin. - Dotknęła mnie przypadkowo swoimi płomieniami i przeżyłem. Zombi mnie ugryzły, a ona musiała dać mi antidotum i sparzyła mnie. Potem czułem się silniejszy niż kiedykolwiek.

Już kiedyś powiedziałam to Cole'owi.

Pokręcił głową, sprzeciwiając się Gavinowi tak, jak sprzeciwił się mnie.

- Nie miałeś w sobie w pełni rozwiniętego zombi.

- To prawda, ale jeśli nic nie zrobisz, ona i tak umrze, a my będziemy musieli walczyć z jej bliźniaczką. Bliźniaczką o jej mocach.

Cole przesunął dłoń po twarzy, wyraźnie rozdarty.

- Ali dotknęła swoimi płomieniami Kelly'ego, a on zamienił się w popiół.

- Ona nie jest jak Kelly.

- Nie słyszysz, co mówię? Ma w sobie zombi. W tej chwili jest bardziej jak Kelly niż ty.

- Słyszałem. Teraz ty posłuchaj mnie - Gavin nie ustępował, wyciągając rękę. - Zrobię to, czy ci się to podoba, czy nie. Nie zamierzam patrzeć, jak umiera.

- Zaczekaj. - Cole chwycił go za nadgarstek. - Pozwól mi pomyśleć.

- Już myślałeś. Nadszedł czas na działanie - oznajmił Gavin i uderzył go drugą ręką w twarz.

Cole zatoczył się do tyłu, a Gavin przysunął się do mnie, jego duchowa ręka uniosła się ponad fizyczną. Sekundę później położył rozpalone dłonie płasko na mojej piersi.

Krzyknęłam, uświadamiając sobie, że to dopiero jest ból, nie zaś to, co czułam wcześniej.

Na szczęście nie trwało to długo. Czerwone płomienie oparzyły go; syknął i cofnął się gwałtownie.

Cole odsunął go.

- Lepiej módl się, żeby... - Jego spojrzenie zatrzymało się na mnie. Drgnął. - Ali, twoja skóra wygląda lepiej.

Zareagował natychmiast. Jego duch opuścił ciało. Mrużąc oczy, wyciągnął ręce, na których pojawiły się biało-złote płomienie, świecąc jasno. Z drżeniem przyłożył dłoń do mojej piersi.

Znowu wydałam z siebie krzyk.

Nie! - wrzasnęła A.Z.

Czerwień nabrała intensywności i choć Cole sycał z bólu, który mu sprawiała, nie cofnął się.

Lucas też opuścił swoje ciało i odciągnął Cole'a ode mnie, wołając:

- Może tego nie chce, ale cię zabije, człowieku.

Cole stawiał opór i odepchnął brutalnie chłopaka. Leżałam bezwładnie na stole, czerwone płomienie rozprzestrzeniały się szybciej, jakby rekompensując to, co próbował zrobić Cole. Po chwili Cole znowu był przy mnie, znowu mnie dotykał.

Ból nasilił się o tysiąc stopni, przeszywając mnie niczym pocisk, i z moich ust dobył się ponownie przeraźliwy krzyk. Wygięłam plecy w łuk, unosząc się nad stołem, cały mój ciężar opierał się teraz na barkach i palcach u stóp. Czułam, że rozpadnę się na kawałki. Lada chwila.

A jeśli to Cole'a zabije?

- Prze... przestań - zdołałam z siebie wyrzucić. - Przestań.

Zawarczał głucho, ale nie przerwał kontaktu.

- Cole! - ryknął Szron. - Skończ z tym. Nie pozwolimy ci na to.

- Pomóż mi go odciągnąć - rzucił przez zaciśnięte zęby Bronx.

Miałam wrażenie, że moja skóra pęka, eksploduje, rozrywa się. Ten ból... Nic nie mogło się z nim równać. Był wszechogarniający, wszechogarniający, nie do zniesienia. Chciałam umrzeć.

- Czerwień blednie! - usłyszałam, jak Gavin krzyczy. - Ona zdrowieje! Pomóżcie Cole'owi. Wzniećcie płomienie i połóżcie na niej dłonie.

Nie wiedziałam, ile sekund - minut? - upłynęło, nim wszyscy posłuchali. Nie potrafiłam spojrzeć poza granice bólu, ale w końcu poczułam nacisk na kostki nóg, kolana, uda, brzuch, ręce i ramiona. Wypełnił mnie straszliwy żar i rozdarł na pół.

Nie! - wrzasnęła A.Z. - *Każ im przestać, każ im przestać!*

Tego już nie ma... na mojej... liście - próbowałam jej powiedzieć.

Jej głos cichł, cichł coraz bardziej... aż umilkł na dobre.

A potem ból... zanikał?

Tak, uświadomiłam sobie kilka sekund później. Zanikał. Żar stał się znośny, niemal przyjemny. Opadłam bezwładnie na stół, mogąc w końcu oddychać swobodnie.

Wzrok mi przejaśniał, mogłam dostrzec płomienie tańczące po moim ciele; nie były już czerwone, tylko złote, takie, jakie miały być.

Zabójcy mnie ocalili.

Ich dłonie oderwały się ode mnie. Ktoś przysunął mi lusterko do twarzy, spojrzałam w nie i nie zauważyłam ani śladu A.Z. Potem lusterko zniknęło, a ja wpatrywałam się w Cole'a, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że odczuwam jedynie pragnienie, by go obejmować i całować, nie zaś gryźć.

Wypełniały mnie podniecenie, ulga i niczym niezmacona radość; znalazłam w sobie dość siły, żeby unieść rękę i objąć go za szyję.

- Cole - zaszlochałam.

Drżały mu dłonie, kiedy odsuwał mi włosy z twarzy.

- Wciąż tu jesteś. Wciąż tu jesteś!

Byłam, i on był, choć całą rękę miał pokrytą pęcherzami - z mojej winy.

- Tak mi przykro, że cię zraniłam.

- Niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

- No cóż, nigdy więcej nie rób czegoś takiego, słyszysz mnie?

- Nigdy więcej mnie tak nie strasz.

- Nie martw się.

Pocałował mnie szybko.

- Światło odeгнаło ciemność.

- Tak. W końcu umarłam dla zła i przeżyłam dla światła.

- Ale twój ojciec, twój dziadek. Kelly. Spopielili się, kiedy dotknęłaś ich swoimi płomieniami.

Prawda. Położyłam na tych trzech ludziach rozjarzone dłonie, a oni zamienili się w popiół.

- Mój tata i dziadek byli zombi, i to w pełni, nie została w nich nawet odrobina człowieczeństwa. A Kelly zniszczył własne człowieczeństwo swoimi

czynami. Ja wciąż walczyłam. - Nagle przyszło mi coś do głowy. - Czy kiedykolwiek położyłeś w ten sposób dłoń na innym zabójcy?

- Nie. Nigdy. Za bardzo się baliśmy, że spalimy się nawzajem.

Usiadłam zdziwiona, że nie kręci mi się w głowie, że nie doznaję słabości. Była tylko czysta, niezafałszowana siła. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej.

Wykreślić z listy: zabić A.Z., przeżyć.

Rozprostowałam palce, poruszyłam karkiem.

- Nie ma nawet śladu zombicznej toksyny - zauważyłam ze zdziwieniem. - Nie potrzebuję antidotum. Niczego nie potrzebuję. Jestem jak nowo narodzona. W stu procentach.

Jego spojrzenie taksowało mnie z uwagą.

- I tak też wyglądasz. Sińce zniknęły. Wargi nie są popękane. Nawet wychudzenie zniknęło.

Przez cały czas posiadaliśmy moc, by to zrobić; nie wiedzieliśmy o tym po prostu. Teraz podejrzewałam, że nikt z nas nie będzie już potrzebował antidotum. Nie musieliśmy się martwić, że się na nie uodpornimy. Że będziemy zmuszeni zaprzestać walki z zombi. Mogliśmy sobie pomagać. Wzmacniać się nawzajem.

Tak, ktoś musiałby zostać ugryziony, a my musielibyśmy spróbować tego znowu, by się upewnić, ale w głębi serca wiedziałam, że się nie mylę. Nawet pan Holland znów mógłby walczyć z zombi.

Kat przepchnęła się przez krąg zabójców, odsunęła Cole'a na bok i zarzuciła mi ręce na szyję.

- Jesteś uzdrowiona!

Też ją uściskałam.

A potem przyszła kolej na Reeve, ona także mnie objęła i wszystkie trzy podskakiwałyśmy i śmiałyśmy się. Chciałam, by i z Kat się udało, nie mogłam znieść myśli, że ją stracę z powodu choroby nerek. Co jednak uczyniłby jej ogień? Czy byśmy ją zabili, dotykając płomieniami? Możliwe, przecież nie była zabójcą.

Wiedziałam jedno: umrze, jeśli tego nie zrobimy.

Nabrałam pewności, że mogę teraz przeczytać dziennik. Niewykluczone, że kryła się w nim odpowiedź.

- No dobra, moja kolej. - Cole uwolnił mnie z ramion dziewczyn i zaciągnął do szatni. Potem stanął przede mną.

Nim zdążył się odezwać, wspięłam się na palce i przywarłam do jego ust.

Objął mnie w talii i podniósł, przyciskając jednocześnie do ściany. Oplotłam go nogami

i przywarłam do niego jeszcze mocniej. Pocałunek się pogłębił, nasze języki ocierały się o siebie, z pewnością i przekonaniem; żar i słodycz doprowadzały mnie do szaleństwa.

Jego siła otaczała mnie bez reszty. Był wszystkim, co znałam, wszystkim, co pragnęłam znać. Jakbyśmy byli dwojgiem jedynych żywych ludzi na świecie. Razem – teraz, zawsze.

– Musisz spać dzisiaj w swojej dawnej sypialni – powiedział. – Odeślę wszystkich do domu i przekradnę się do ciebie.

– Nie chcesz, żeby Kat i Reeve usłyszały twoje mistrzowskie posunięcia, co?

– Nie chcę, żeby Kat i Reeve usłyszały, jak re-agujesz na moje posunięcia.

O, niebiosa.

– Jesteśmy oficjalnie razem? – spytałam.

– Powiniennem dać ci klapsa za takie gadanie. Byliśmy razem przez cały ten czas. Tyle że okazałaś się niezwykle uparta. – Całował mnie po szyi. – Jeszcze nigdy się tak nie bałam, Ali. Próbowałam się trzymać, ale kiedy widziałem, jak wpadasz w tę koszmarną spiralę, a potem gaśniesz, a ja nie miałem pojęcia, co robić... – Wzdrygnął się.

- Powiedziałam ci, że trzeba wierzyć. - Skubałam płupek jego ucha. - Przeżyliśmy i dowiedzieliśmy się. Jesteśmy teraz silniejsi niż kiedykolwiek.

Mruknął, przechylając bardziej głowę.

- W walce z zombi, owszem. Ale co z Animą? Wciąż działa, a trzeba ją powstrzymać na dobre.

- Wymyślimy coś - odparłam. - W tej chwili masz mnie całować, aż pokryją mnie niezatarte ślady twoich ust. Potem odeślesz wszystkich do domu. Potem przekradniesz się do mojego pokoju, tak jak obiecywałeś. A potem mi pokażesz, jak mnie kochasz.

- Uważaj to za załatwione. Ale jeśli ktoś nam przeszkodzi dziś w nocy, to zamierzam... Nie wiem, czy można podobną brutalność opisać słowami.

Roześmiałam się.

Złagodniał.

- Uwielbiam, kiedy się śmiejesz. To doskonały prezent urodzinowy.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Masz dziś urodziny?

- Nie. Dziewiątego stycznia.

Kilka dni temu. Uświadomiłam sobie, że to przegapiłam, i zmarszczyłam czoło.

- Cole...

- Nie. Byłaś chora, a ja nie zamierzałem obchodzić tego dnia bez ciebie.

- No cóż, masz osiemnaście lat. Jesteś pełnoletni. Urządę ci przyjęcie - powiedziałam. - To będzie niespodzianka.

Tym razem to on się roześmiał.

- Więc dlaczego mi o tym mówisz?

- Och, zamknij się i całuj mnie.

Od Cole'a

Wolałbym tego nie pisać. Chcecie wiedzieć, jak się czuję. Chcecie wiedzieć, w najdrobniejszych szczegółach, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, co działo się za kulisami, co myślę o swoich błędach, o tym, jak się to skończyło, i co planuję w następnej kolejności. Chcecie, żebym opisywał rzeczy, które pragnę za wszelką cenę robić z Ali.

Może po prostu na tym zakończymy? Rezultat będzie identyczny.

Nie jestem facetem, który obnaża duszę przed obcymi, i to się nie zmienia, nie zamierzam więc dać wam tego, czego oczekujecie. Nie, przykro mi.

Wiem, że to potwierdza wszystko, co o mnie słyszeliście, a co było przekazywane szeptem. Jestem zbyt twardy. Jestem miły tylko dla nielicznych wybrańców. Jestem wredny, apodyktyczny. Niełatwo mnie polubić. Niektórzy ludzie mogą mnie zaakceptować, ale większość mnie odrzuca.

Nie obchodzi mnie to.

Jestem tym, czym uczyniło mnie życie.

Poza tym mylicie się co do powyższego - jestem jeszcze gorszy.

Oto, co wam powiem: widziałem i robiłem rzeczy, które doprowadziłyby was do wymiotów. Spędzam większość czasu w mroku, a mrok przywiera czasem do człowieka. Czasem trudno się z niego otrząsnąć. Co jednak ważniejsze, mógłbym umrzeć, byle chronić to, co jest moje - więcej, mógłbym zabić.

Ali jest moja.

Jeśli jesteście gdzieś tam i mnie słyszycie, ludzie z Animy, jeśli znów zamierzacie podnieść rękę na moją dziewczynę, to lepiej przygotujcie się na walkę z bestią. Będę was tropił i nigdy nie przestanę. Będę was wykańczał po kolei, do ostatniego.

Możecie patrzeć na mnie i dostrzegać nastolatka. Ja popatrzę na was i dostrzegę cel. Martwy cel.

Na ogół trafiam w dziesiątkę.

Więc zastanówcie się dobrze, zanim postanowicie mnie zaatakować. Nie istnieje nic, czego bym nie zrobił, nic, by chronić tych, których kocham. Jeśli macie trochę oleju w głowie, to zwiejecie i schowacie się gdzieś, nim do tego dojdzie.

To jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymujecie.

Cole Holland.

Podziękowania

Dwojgu najwspanialszym dzieciom, jakie może mieć matka – moim dzieciom. R. i V. Poczytuję sobie za błogosławieństwo to, że was mam, że was wychowuję i że was znam. Niech wasze życie będzie pod każdym względem takie, jak to sobie wymarzyłyście. Mama was kocha.

Wspaniałemu mężowi, który po niemal dwudziestu latach małżeństwa wciąż sprawia, że czuję się ładna... choć nadal noszę prawie codziennie te same spodnie od dresu. Sprane do cna.

Mojej najlepszej przyjaciółce Jill Monroe, która wciąż odbiera moje telefony, nawet w najmniej odpowiednich chwilach. Jakim skarbem jesteś! Jednym z moich ulubionych duchowych pobratymców.

Mojej fantastycznej redaktorce Natashii Wilson, która za każdym razem służy mi nieocenioną pomocą. Twoje wsparcie oznacza dla mnie więcej, niż potrafię to wyrazić. I nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek zdołała ci podziękować w pełni za notatki dotyczące tej książki. To się nazywa

sumienność! Kobieto, wywołujesz uśmiech na mojej twarzy.

Mojej matce, która, gdy zadzwoniłam do niej zapłakana, przyjechała po mnie i pomogła mi znów stanąć na nogi.

Mojej agentce, Deidre Knight, która wspiera mnie na każdym kroku. Jestem podekscytowana myślą, że razem zmierzamy ku przyszłości.

Tobie, Alysheo Rains. To prawdziwe błogosławieństwo, że cię znam!

I Bogu, ponieważ w jednej z najgorszych chwil mojego życia poszukałam Cię i znalazłam.

Tytuł oryginalny: Alice Through the Zombie Glass

Opracowanie graficzne okładki: Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący: Jacek Fronczak

Opracowanie redakcyjne: Joanna Morawska

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2014 by Gena Showalter

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin jest zastrzeżony.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-238-9781-1

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

